

ROBERT GRAVES

ŽONA PANA MILTONA



R O B E R T G R A V E S

ŻONA PANA MILTONA

Przełożyli
CECYLIA ŻÓŁTOWSKA i ZYGMUNT KUBIAK



POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY

PRZEDMOWA

W roku 1942 upływa trzechsetna rocznica wybuchu wojny domowej, a zarazem ślubu Johna Milтона z jego pierwszą żoną, Marie Powell z Forest Hill pod Oksfordem[1]. Miał on wówczas trzydzieści trzy lata, a ona szesnaście. Ponieważ książka ta jest powieścią, a nie biografią, nie muszę pisać uczonego wstępu dla uzasadnienia mojej hipotetycznej rekonstrukcji owego szeregu zdarzeń: jak doszło do tego, że Milton ją poślubił, dlaczego po paru tygodniach ona go opuściła, dlaczego w trzy lata później wróciła do niego itd. Staram się jednak przekonująco i uczciwie odpowiedzieć na wszystkie te pytania w trakcie narracji.

Trzy stulecia historii angielskiej nie wydają się niezmiernie długim okresem czasu. Wprawdzie język i szczegóły życia społecznego nie mało się zmieniły, ale za to wojna ciągle jest w modzie, roгатki są ciągle przestarzałe, pogoda w Anglii nadal niepewna, przepisy rozwodowe tak samo zawikłane, dokoła widzi się ciągle tych samych pospolitych ludzi ze swojskimi twarzami, podatki są tak samo uciążliwe jak zawsze, gazety tak samo niegodne wiary, kolegia oksfordzkiego uniwersytetu znowu pod władzą rządu; i niewiele spośród problemów politycznych wysuniętych przez wojnę domową doczekało się prawdziwego rozstrzygnięcia - można dziś nawet spotkać w prasie wznowioną skargę na „ingerencję arcybiskupa Canterbury w sprawy świeckie”.

Cromwellowskie rozwiązanie owych problemów politycznych, podżyrowane przez Milтона, było drastyczne i niepraworządne - dziś określilibyśmy je jako „jawny faszyzm”. Nasi demokratyczni dziennikarze i politycy, którzy cytują z aprobatą słowa Wordswortha:

Miltonie, żyć winieneś w tej godzinie! Anglii Tak bardzo trzeba ciebie... powinni wreszcie przeczytać - albo przestudiować na nowo - biografię i dzieła Milтона. To prawda, że podczas wojny napisał on swoje sławne *Areopagitica*, obronę wolności prasy. Ale niemal zaraz po zakończeniu walk został cenzorem prasy przy Radzie Stanu i starał się narzucić najbardziej tyrańskie ustawy cenzorskie. Owa Rada była organem wykonawczym rządu opartego na mniejszości, narzuconego przez zbuntowaną Armię Nowego Wzoru po zniesieniu Izby Lordów i po sprowadzeniu Izby Gmin (poprzez wyrugowanie - drogą gwałtu - konserwatywnej większości) do nielicznej grupki „niezależnych”, tych, którzy chcieli uczestniczyć w straceniu króla i w likwidowaniu monarchii.

[1] Dzisiejsi historycy odrzucają tradycyjną datę 1643. (Przyp. aut)

Rok 1942 jest również trzechsetleciem bitwy pod Newbury, w której pod sztandarami króla Karola poległ najsympatyczniejszy przedstawiciel owej epoki, Lucius Cary, drugi wicehrabia Falkland. Chciałbym podziękować mojemu sąsiadowi, trzynastemu wicehrabiemu (zwie się on także Lucius Cary) za jego bardzo życzliwą pomoc w przygotowaniu tej książki do druku.

R.G.

Galmpton, Brixham, Devon czerwiec 1942

Rozdział pierwszy

OSTATNI DZIEŃ ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA 1641

Był to 6 stycznia roku 1641, ostatni z dwunastu dni świąt Bożego Narodzenia, piętnasta rocznica moich urodzin. Chrzestna moja, ciotka Moulton, przyjechała własnym powozem z Honeybourne, z hrabstwa Worcestershire, aby spędzić święta Bożego Narodzenia w naszym hałaśliwym domu, którego każdy kąt był wówczas obwieszony gałązkami ostrokrzewu i bluszczu. Dworek ten znajdował się w miasteczku Forest Hill, odległym od Oksfordu nie więcej niż cztery mile; dojeżdżało się do niego gościńcem skręcającym do Headington Hill w kierunku wschodnim. Owego dnia rano ciotka, wchodząc do wielkiej bawialni, gdzie siedziałam z braćmi i siostrami (na dworze bowiem padał śnieg obfity), rzekła do mnie: „Masz tu, dziecko moje, widzisz, byłabym zapomniała! urodzinowy prezent ode mnie”.

Zerwałam się, z policzkami zaróżowionymi od blasku ognia płonącego na kominku, i skłoniłam się przed nią głęboko. Wprawdzie już ze dwa albo trzy razy tego rana pokłoniłam się jej w taki sam sposób, ale chrzestna moja była damą, której dostojne zachowanie narzucało dzieciom ceremonialną uprzejmość. Zresztą urodzinowy prezent od niej zawsze zasługiwał na tuzin ukłonów - tak trafnie umiała go dobrać.

Zdjawszy papierowe opakowanie ujrzałam książkę średniej wielkości, oprawioną w delikatny biały welin, ze srebrną klamrą, przy której był zamek i kluczyk srebrny. Tytuł wytłoczony na okładce złotymi literami głosił: „Księga Marie Powell”. Wnet stłoczyli się wokół mnie młodsi bracia i siostry, a Zara, która pod względem wieku następowała zaraz po mnie, krzyknęła całkiem nieobyczajnie: „Pokaż! Pokaż! O, daj mi to otworzyć i zobaczyć kolorowe obrazki!”.

Ale brat mój, James, który w hierarchii starszeństwa bezpośrednio mnie wyprzedzał i rozpoczął już studia w Christ Church, odepchnął ją, mówiąc: „Cierpliwości, Zara! Twoje urodziny wypadają dopiero we wrześniu. Dziś jest święto Marie - dziś ona jest wszystkim, a ty niczym!”. Wtedy hałaśliwa dzieciarnia cofnęła się trochę, a ja mogłam otworzyć klamrę.

Rozwarłam książkę na stronicę, która powinna być tytułowa, ale ta okazała się zupełnie pusta, tak samo jak wszystkie następne karty, które odwracałam. Stropiło mnie to w pierwszej chwili, choć oczywiście starałam się ukryć swe rozczarowanie przed ciotką Moulton. A ona ujęła mą twarz w dłonie ozdobione mitenkami z białej włóczki i wielkim pierścieniem berylowym w srebrnej oprawie i pocałowała mnie w czoło. „Chrześcijańsko - rzekła - spodziewam się, że ci przypadnie do gustu mój podarunek, ta książka, którą oprawił sam introligator naszej Królowej. Pomyślałam sobie, że już ci się na pewno znudziły takie rzeczy jak *Siedmiu szermierzy chrześcijaństwa* albo *Śmierć Artura* czy inne tego rodzaju papistyczne opowieści o rzeziach i czarach, w których się ciągle

zaczytywałaś, gdy ostatnio cię widziałam; a z drugiej strony nie dorostaś jeszcze do wieku, w którym mogłoby cię ucieszyć otrzymanie dobrego zbioru kazań. Potem zaś pomyślałam o twojej bujnej wyobraźni, która zresztą nie powinna nikogo dziwić u dziecka urodzonego, tak jak ty, pod rozpląsanym znakiem Koziorożca, a do tego jeszcze w noc Trzech Króli, kiedy gwiazdy zdają się tańczyć na niebie. Powiadam więc sobie tak: Niechże dziecko zacznie w tym nowym roku pisać swą własną książkę; ale zaopatrzę ją w klamrę i zamek, aby moja Marie mogła ukryć to pisanie przed wścibskimi oczami braci i sióstr. Będzie nosiła kluczyk na wstążeczce, na szyi”.

Pomysł ciotki, tak wspaniale wyłożony, oczarował mnie zupełnie. Zaczęłam się jąkać w moich podziękowaniach, a ona, wiedząc, że są szczere, uśmiechnęła się i zawołała: „Dzieci, zostańcie z Bogiem! Muszę już iść i przebrać się w strój zapustny!”. Rzekłszy to, poszła do pokoiku nad kuchnią, w którym zawsze się u nas zatrzymywała, gdyż był najcieplejszy, a nie przeszkadzało jej to, że okno wychodziło nie na sad i ogrody, lecz na drewnię i stajnie. Po jej wyjściu moi młodszy bracia, John, William i Archdale, chłopaki psotne i nieokrzesane, grasujące zawsze razem, niby jazgocząca sfera psów gończych, znowu mnie osaczyli, napierając się: „Pokaż! No, pokaż!”.

Upewniłam ich jednak, że nie było tu nic do oglądania oprócz białych kart i ładnej oprawy, wrócili więc zaraz pod kominek, gdzie bawili się w jakąś niemądrą grę, do której używali laskowych orzechów. Tylko William stał twardo i powiada do mnie: „Siostrzyczko Marie, może napiszesz w swej nowej książce opowieść o czarodziejach i wróżkach, którą nam potem będziesz odczytywała każdego sobotniego wieczoru, rozdział za rozdziałem? Nikt w całym mieście nie opowiada baśni tak pięknie jak ty! Albo może opiszesz dzieje rycerzy, giermków i olbrzymów w niegdysiejszych, wspaniałych dniach?”.

Zrazu nic mu nie odrzekłam, bo chociaż pochlebiła mi ta prośba, jakoś nie zgadzała się ona z przekonaniem wszczepionym mi przez ciotkę Moulton, że powinnam treść mej księgi zachować tylko dla siebie.

„Nie - rzekłam w końcu. - Nie potrzeba tego pisać. Potrafię odczytywać opowieści z płomieni igrających na kominku, gdy siedzę przed nim na zydlu; ogień więc jest lepszą księgą niż ta. Jutro usłyszysz opowieść o Matce Grime, wiedźmie z Wheatley, która żyła za dni króla Henryka - o tym, jak rzuciła klątwę na dzwony w dzwonnicy, aby dzwonić nie mogły. Obiecuję ci na pewno”.

„A czy ona nasmarowała swą miotłę żmijowym tłuszczem, by fruwała szybciej?”, zapytał.

„Ech, to jeszcze nic! - rzekłam, śmiejąc się. - Wiedzmy, nawet te najmniej przemyślnie, zawsze smarują swe miotły tłuszczem żmii albo węża. Ale Matka Grime to nie była taka sobie wiedźma. Ona zawiązywała ogon jamnikowi, swemu słudze, w trzy supły, aby psiak był niewidzialny i szczekał bezgłośnie”.

„A czy warzyła diabelski rosół w wielkim kotle miedzianym? Czy wrzucała tam żaby, ropuchy, trupie palce i sadzę z morskiego węgla?”

Powiedziałam mu, że musi poczekać cierpliwie do następnego dnia, jeśli chce się dowiedzieć dokładnie, jak należy warzyć diabelski rosół według zasad i reguł samej królowej Hekate. A wtedy Zara, która w owym okresie była małą, przekorną sekutnicą i wciąż mi dokuczała, znowu się do mnie przysunęła i powiada z niewinną miną: „Siostrzyczko, czy naprawdę będziesz powierzała tej księdze całe swe serce i wszystkie myśli? I powtórzysz tu bez żadnych osłonek, co ci szeptał ów uczniaczek z Magdalen Hall, Grzegorz Taki-czy-Owaki, w samą wilię, gdy się ślizgałaś na lodzie, i co mu odpowiedziałaś? I czy przepisziesz również ten list pachnący piżmem, który on wsunął ci w rękę, gdy szliśmy ku...”

W tym momencie tak serdecznie grzotnęłam Zarę w łeb moją książką, że runęła jak długa na podłogę. I zaraz, nieco unosząc spódnicę, wybiegłam szybko z pokoju, aby jakiś większy zamęt nie przeszkodził mi w cieszeniu się radosnymi pomysłami, które tłoczyły się w mej głowie.

Najpierw poszłam zapukać do drzwi gabinetu ojca, małego pokoju, który zarazem był naszą przechowalnią bielizny. Ojciec siedział tam nad swymi rachunkami, pracując przy świecy, gdyż całe niebo zaciemnione było śnieżycą. Natychmiast otworzył drzwi - klamka znajdowała się blisko jego ręki. Pokazałam swój prezent urodzinowy, który ogromnie mu się spodobał. Po paru chwilach rozmowy zdobyłam się na odwagę, aby prosić go o pęk gęsich piór, kałamarz i piaskowniczkę. Początkowo nie chciał się zgodzić, ale ja przypominałam, że to przecież moje urodziny i dzień Trzech Króli, a przy tym zaproponowałam mu, aby on pierwszy coś napisał na stronie tytułowej. Dobrze wiedziałam, że aż go palce świerbiły, by to uczynić. Prawdę mówiąc, sama bałam się bazgrać pierwsza w czyściutkiej księdze. A bardzo kochałam mojego biednego ojca i rada byłam, że będzie mógł coś sobie napisać. Za tę cenę uzyskałam od niego wszystko, czego mi było potrzeba.

Zapytał mnie, czym zamierzam zapełnić te karty, ale ja wywiodłam go w pole, mówiąc, że mój braciszek Will prosił, abym zapisała tu opowieści o dawnych wspaniałych dniach, o Robin Hoodzie i panu Lancelocie znad Jeziora, które będę potem każdej soboty odczytywać przed kominkiem o zmierzchu, zanim nadejdzie pora wieczery. Ojciec jednak *przez* dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie badawczo, a potem z westchnieniem, które miało w sobie coś proroczego, rzekł: „Marie, dziecko moje, dobrze sobie zapamiętaj, co ci powiem. Dziś są wspaniałe dawne dni, takie, jakich nigdy przedtem nie było. O nich pisz, jeśli masz ochotę, i niech to wspomnienie będzie dla ciebie pociechą w tych smutnych nowych dniach, które - obawiam się - muszą niebawem na nas spaść po obecnej odmianie spraw króla”.

Wziął do ręki pióro, dobrze zaostrzył je nożykiem i odsunął na bok lichtarz ze świecami, aby mieć więcej miejsca dla oparcia łokci. Zabrawszy się do swego dzieła, bardzo starannie wyrysował piórem na tytułowej stronie mojej książki ramkę w kształcie rombu, a w niej herb Powellów - srebrną krokiew na czarnym tle i trzy skrwawione ostrza włóczni, dwa na górze i jedno na

dole: *guty de sang*^[2], takie jest hasło herbowe, związane z owymi kroplami krwi kapiącymi z włóczni. Nie mając koloru szkarłatnego, wymalował owe krople krwią wydobytą z własnego kciuka, który nakłuł sobie nożem, aby okazać, jak bardzo jest dla mnie czuły. Potem zaś nakreślił zamaszyste M i zamaszyste P po obu stronach tarczy herbowej, a pod nią wypisał datę - dzień i rok. U samego dołu stronicy wykaligrafował pięknym włoskim pismem:

To były dawne wspaniałe dni - powiada Richard Powell.

Dokonawszy dzieła ucałował mnie i kazał zaraz iść, bo już cztery razy pomylił się w zawiłych obliczeniach finansowych, nad którymi właśnie siedział.

W taki to sposób stałam się posiadaczką owej księgi i zaczęłam prowadzić pamiętnik moich dziewczęcych dni w Forest Hill, które (jak mi się teraz wydaje) były naprawdę dawnymi wspaniałymi dniami, takimi, jakich już nigdy nie będzie. Był to bowiem ostatni rok pokoju w Anglii przed wybuchem owych krwawych zamieszek, które miały rzucić nas, Powellów, jak i wiele innych niefrasobliwych, lojalnych i zamożnych rodzin w żalosne, mroczne bagno zniszczenia i występku.

Tego samego dnia po obiedzie, gdy jedenastu zaproszonych gości razem z szesnastoma naszymi domownikami zasiadło do stołu, rozpoczęły się doroczne figle wieczoru Trzech Króli, na które zjeżdżało się do naszego domu wiele znakomitych osób, naszych sąsiadów, powozami albo na podjezdkach ze wszystkich domów okolicznych - aż po Thame i jeszcze dalej. W związku bowiem z moimi urodzinami obchodziliśmy wieczór Trzech Króli weselej niż którakolwiek z okolicznych rodzin. Przyjeżdżali w maskach, we wspaniałych szatach albo w jakichś groteskowych przebraniach: w skórkach dzikich zwierząt albo w cudzoziemskich szatach Turków, Żydów, Chińczyków. Nieraz przebierali się za opryszków, błaznów, dziwaków, astrologów, wiejskich prostaków, odmieńając nie tylko swój wygląd, ale nawet głos. Królem Swawoli, który krzepką ręką musiał sprawować rządy nad całą uroczystością, był mój brat Richard, najstarszy z rodzeństwa, poświęcający się zawodowi prawnika. Każdy z uczestników obowiązany był złożyć przed nim oskarżenie, jeśli zdołał wyśledzić którąkolwiek z zamaskowanych postaci, oznajmiając, że kryje się tu taki a taki. znajomy. Wówczas Król Swawoli, wyciągając swoją długą czarną laskę, podchodził do oskarżonego i powiadał: „Panie (albo: Pani), ten wiarygodny świadek oskarża cię, iż jesteś taką a taką osobą. Czy przyznajesz się do winy, czy też winie zaprzeczasz? Daj to do zrozumienia, potakując albo trzęsąc głową”.

Jeśli przebieraniec przyznał się do winy, natychmiast kazano mu zdjąć maskę i zapłacić fant. Jeśli jednak, potrząsając głową, oznajmiał swą niewinność, wówczas oskarżyciel płacił fant, chyba że - zadając kłam oskarżonemu - z żartobliwą powagą żądał, aby tamten się ujawnił.

[2] krople krwi (zniekształt. fr.)

W takim wypadku fant był podwojony na niekorzyść tej strony, która okazała się w błędzie. Pomiędzy paniami i panami tradycyjnym fantem był albo całus, albo upokarzający pokłon. Dżentelmen, który rozszyfrował przebranie drugiego, mógł go otwartą dłonią uderzyć w czoło albo umazać mu nos węglem lub też lekko pociągnąć go za brodę. Jeśli jednak po zdjęciu maski przez tamtego okazało się, że się pomylił, pokrzywdzony miał prawo mocno kopnąć go w tyłek. Prastare prawo Swawoli zabraniało jednak kobietom występować z oskarżeniem przeciw innej kobiecie; myślę, że to było bardzo mądre postanowienie.

Nasz bliski przyjaciel, kapitan sir Robert Pye junior z Faringdon Magna w Berkshire, przyszedł przebrany za wiejskiego furmana: miał na sobie kaftan, w rękę trzymał bat, policzki wysmarował ochrą. Moi młodszy bracia przebrali się za małpki. Skakali jak szaleni i usłużnie wyszukiwali sobie nawzajem pchły. Ponieważ wszyscy mieli podobny wzrost i tuszę, niełatwo było odróżnić jednego od drugiego. William zdobył fant z racji fałszywego oskarżenia ze strony Provosta Tolsona z Oriel College, który wziął go za Archdale'a. Jako spłacenie fantu mały William zażądał prawa do posmarowania twarzy Provosta węglem drzewnym. Na obu policzkach wyrysował mu literę R. Ów starszy dżentelmen zrazu myślał, że to tylko jakieś zwykłe bazgroły i razem ze wszystkimi śmiał się z siebie samego. Kiedy jednak w srebrnym zwierciadélku, które mu podsunęłam, zobaczył, iż napiętnowany jest jako Rebeliant i Rokoszanin, zatrzęsł się ze zgrozy i śpiesznie starł tę hańbę śliną i rękawem swej szaty.

Moja matka udawała starą, potulną mniszkę, znakomicie odgrywając tę rolę. Policzki miała pobielone kredą, skromnie spuściła oczy i głos jej drżał, gdy mamrotała modlitwy, przesuając w palcach różaniec zrobiony z wiśniowych pestek. Rola ta jednak była całkowicie sprzeczna z jej prawdziwą naturą, gdyż matka jest w istocie wesołą, energiczną, przedsiębiorczą kobietą i bynajmniej nie przesadną w pobożności. Nie minęło wiele czasu, gdy jakiś podchmielony dżentelmen począł wołać, iż w rzeczywistości jest ona starą rozpustnicą, która co trzecią noc śpi z diabłem. Wtedy nie wytrzymała i wybuchnęła swoim głośnym śmiechem, od razu się demaskując. Słyszając to, inny dżentelmen, który był przebrany za diabła, z kopytami, rogami i kozią bródką, roześmiał się jeszcze głośniej. Oznajmiono więc Królowi Swawoli, że to na pewno mój ojciec. Tak więc ów żartobliwy dżentelmen ustrzelił dwa ptaki jednym kamieniem. Zaraz też małe małpiątka, moi młodszy bracia, poczęły cisnąć się do łona matki, udając, że chcą jej wydrzeć różaniec, a Diabeł za wrzasnął do Mniszki: „Na siarkę piekielną! Czyż nie spłodziłem z twego lubego ciała zacnej czeredy diabła?”.

Zara przebrała się za hiszpańską damę wielkiego rodu, odziewając się w wytworne szaty użyczone jej na tę okazję przez ciotkę Moulton. Stanik był z żółtego atłasu, bogato haftowany, spódnica z tkaniny przeplatanej złotem, robron ze szkarłatnego aksamitu z podniesionym włosiem, podbitego białym

muślinem, na którym iskrzyły się srebrne gwiazdki. Moja chrzestna przywiozła tę suknię dla mnie, ale gdy się okazało, że jest na mnie za mała, Zara skorzystała z podarunku.

Ja zaś odważyłam się owego wieczoru na przybranie męskiego stroju. Udawałam nowomodnego, zadzierzystego młokosa, w wysokim kapeluszu o wąskim rondzie, ozdobionym wstążkami i wielkim piórem, które przewiązane było u obu końców srebrną tasiemką. Przez ramię przerzuciłam płaszcz jasnoblękitny na białym spodzie. Przeguby rąk i szyję ozdabiały delikatne greckie koronki. Odziana byłam w obcisły atłasowy kaftan koloru szarozielonego, o bardzo krótkich połach, i w spodnie tej samej barwy w kształcie piszczałek organowych, ozdobione przy kolanach mnóstwem strzępiastych koronek. Podeszwy butów były o dwa cale za długie, a ich ozdobione koronką cholewki, straszliwie wielkie, były wywinięte w dół aż do złożonych ostróg, które brzęczały jak dzwonki mauretańskiego tancerza. W prawym ręku trzymałam laskę, bawiąc się nią, gdy paradowałam przez salę. Nogi rozstawiałam szeroko, niby dziecko, które próbuje pierwszych kroków; bałam się bowiem, aby nie zaplątać kółek ostróg w koronce i nie runąć na ziemię. Miałam też przyprawioną bródkę w ostry szpic, którą szarpałam co chwila - bardzo ostrożnie, aby nie została mi w ręku, i piękne rękawiczki ozdobione frędzlą i nasycone wonią piżma. Idąc tak, kłaniałam się zamiast dygać. Mój kuzyn, Marmaduke Archdale, który zginął potem pod sztandarami króla podczas oblężenia Gloucester, pożyczył dla mnie ten maskaradowy strój od pewnego znajomego dworzanina; zawsze bowiem chętnie spełniał moje prośby.

Jeśli pomyśli się o tym, że mogłam wówczas - chociaż byłam już dorosłą panną - tak pofolgować swej fantazji i podczas tańców wmieszać się pomiędzy mężczyzn, a kiedy mnie w końcu oskarżono i kazano zdjąć maskę, moi rodzice bynajmniej nie byli zakłopotani, ani też nikt inny się nie zgorszył, lecz cały wybryk przyjęto życzliwie jako figiel wieczoru Trzech Króli - jeśli się o tym wszystkim pomyśli, to chyba wyraźna staje się zarówno moja osobista śmiałość, jak i ogólna łagodność owych czasów. Nigdy nie dopuszczaliśmy do tego, aby gość, który przekroczył próg naszego domu, mógł się w nim czuć skrępowany - chyba że był to jakiś łotrzyk pojmany przez konstabla z miasteczka i przywleczony na sąd do mojego ojca, który był sędzią pokoju; albo też jakiś zrzędlivy purytanin, kupiec przybyły w interesach, który słysząc naszą swobodną rozmowę, mógł nieraz pomyśleć, że znalazł się w Babilonie albo w Bantam. Jedynie ciotka Jones z Sandfordu, starsza siostra mojego ojca, która była kobietą zapatrzoną w przeszłość i zjawiała się na naszej maskaradzie w staroświeckiej szarej sukni, otwartej na piersiach, w wykrochmalonej kryzie, którą zawsze nosiła, i w staroświeckim aksamitnym kapeluszu, który wyglądał jak nadmuchany balon - jedynie ona powiedziała ojcu parę cierpkich słów na mój temat. Wskazując mnie palcem dosyć grubiańsko, zapytała go, czy jego

zdaniem jakikolwiek roztropny dżentelmen, myślący o małżeństwie, zechce wybrać sobie coś takiego?

Ojciec odpowiedział, że to przecież wieczór Trzech Króli i że jeśli ona jeszcze raz przemówi tak paskudnie, oskarży ją o psucie zabawy, a wówczas Król Swawoli podda ją ogniowej próbie żartów i natrząsam Prosiła go więc o przebaczenie i już nie rzucała żadnych uwag. Ciotka Jones miała zawsze w swej twarzy i postępowaniu jakiś rys niezwyklej uniżoności.

W przerwie tańców rozkroiłam - był to mój przywilej - wielki placek świąteczny, pełen rodzyneków, śliwek, imbiru, miodu i pieprzu, a po wierzchu powleczony lukrem; na jego środku stał ulany z kolorowego cukru wóz drwala, napełniony porąbanymi drwami. Tu i tam zatknięte też były różne owoce: jabłka, cytryny, pomarańcze, gruszki, śliwki - wszystkie ulane z cukru, a tak dobrze pofarbowane, że prawie nie można było ich odróżnić od prawdziwych. Pragnąc się odwdziaczyć mojej chrestnej za piękny podarunek, postarałam się, aby jej przypadł ten kawałek ciasta, w którym było ukryte ziarnko fasoli „na szczęście”; byłam bowiem w naszej kuchni cukierniczej właśnie wtedy, kiedy przygotowywano ciasto do pieczenia i naznaczyłam sobie to miejsce. Znalazłszy ziarnko krzyknęła z radości jak dziecko. A kiedy wśród wiwatów ukoronowano ją na Królową Świętą, wybrała na Króla mojego brata, Jamesa, a mnie na pazia. Król Swawoli zaś został jej Wysokim Szambelanem.

Będąc Królową, ciotka poczęła nakładać na swych dworzan różne zabawne obowiązki. Na przykład sir Robert Pye otrzymał polecenie, aby stanął przed jej obliczem i wygłosił kazanie ku czci boskiego prawa biskupów. Mój ojciec protestował, powiadając, że chce ona strzyc tę owcę trochę zbyt dotkliwie; bo jak wszyscy wiedzieliśmy, sir Robert miał takie same prezbiteriańskie przekonania jak jego ojciec, sir Robert Pye, senior, który był członkiem Parlamentu z okręgu Woodstock, a Parlament przecież dążył uparcie do tego, aby usunąć biskupów, wyrwać ich z korzeniami z owych potężnych stanowisk, jakie zajmowali przy królu. Ojciec za żadne skarby nie chciał dopuścić, aby obrażono któregokolwiek z Pye'ów, gdyż był wobec nich zobowiązany do wdzięczności za otrzymaną od nich pożyczkę pieniężną.

Sir Robert jednak nie był żadnym małostkowym nędznikiem, ale rycerzem szlachetnego umysłu. Występując w roli, którą podjął, połknął - jak to się mówi - i przynętę, i haczyk, i wędkę. Zaczął bowiem wysławiać biskupów w sposób wielce ironiczny, przyrównując ich do zapobiegliwych wiejskich furmanów, którzy nie poprzestają na troszczeniu się o konie i towary powierzone ich pieczy, ale uważają jeszcze za swój obowiązek przysłuchiwać się wszelkim zabawnym pogwar-kom na podwórzach i w okolicznych oberżach i wyciągać ze starych kumoszek, pasażerek ich wozów, wszelkie plotki krążące w parafii. Przysięgał, iż ci duchowi woźnice, biskupi, przez kupczenie nowinami stali się tak wszechwiedzący, tak niezmiernie oświeceni, iż bardziej zasługują na zajmowanie owych dostojnych stanowisk, na których są tylko upoważnionymi

gośćmi, niż nieoświeceni laicy, którzy sprawują władzę na podstawie praw dziedziczności.

Mowa ta rozdrażniła dwóch hipochondrycznych doktorów z uniwersytetu, dr Browne'a i prebendarza Ilesa z Christ Church, którzy byli zażartymi zwolennikami hierarchii kościelnej i trafnie się teraz domyślili, że sir Robert dworuje sobie z biskupa Oksfordu, dra Bancrofta, który podczas swej niedawnej wizytacji w Woodstock wsadzał nos trochę zbyt natrętnie w sprawy sir Roberta seniora. Ściągnęli swe szaty wokół szyi i siedzieli sztywni i naburmuszeni, a dr. Browne nawet coś mruczał, że zaszkoziła mu na żołądek pewna potrawa świąteczna przyrządzona z Pye'ów[3].

Wtedy mój brat James zmarszczył czoło i, zwracając się do Królowej, rzekł głośno: „Królowo, oto siedzą tam dwaj zgryźliwi nasi poddani, którym trzeba przypomnieć o należnej nam czci”.

To śmiałe wystąpienie zostało z aprobatą przyjęte przez całe towarzystwo. Jako karę, czy też grzywnę, James wyznaczył winowajcom, że mają wypić razem pół galonu szkockiego piwa „na cześć Niebieskich Beretów”; miał tu na myśli szkockich prezbiterian, wrogich wobec hierarchii, którzy wystąpili do walki zbrojnej przeciw modlitewnikowi narzuconemu im przez naszego arcybiskupa Lauda. Doktorzy nie śmieli odmówić zapłacenia grzywny, a zresztą wiedzieli, że u nas szkockie piwo, nad którego warzeniem ja sama czuwałam (zlewając je do beczki po słodkim winie), było - jak rzadko gdzie - mocne i smakowite.

Gdy przyniosłam dzban, wymamrotali wymagane od nich słowa, ale przezornie dodali jeszcze życzenie, aby owe Niebieskie Berety stały się całe niebieskie, od pysków aż po tyłki, w interesie pokoju i bezpieczeństwa obu królestw. To wywołało ogólny śmiech, który także im przywrócił dobry humor. Pili więc, podając sobie dzban z rąk do rąk. Piwo tak potężnie na nich podziałało, że zaczęli mrugać oczami jak sowy i rychło zapomnieli o przyczynie nałożonej na nich kary.

Około pół do dziesiątej, zupełnie nie w porę - siedzieliśmy bowiem właśnie przy wieczerzy - rozległo się pukanie do drzwi, a kiedy je otworzono, na progu ukazał się konstabl parafialny, chłop wielki i gruby, trzymając jakiegoś człowieczyńę mocno za kołnierz.

„Czy jego wysokość sędzia jest w domu? - zapytał. - Czy ma czas, żeby osądzić tego nicponia? Mam tu ze sobą potrzebnych świadków, co mogą zaprzysiąc, że próbował rabunku”.

Podeszłam do drzwi i powiedziałam: „Do licha, mości konstablu, nie mamy czasu dziś wieczór na żadne takie nakazane sądy. Czyż nie wiesz waść, że to jest pora absolutnej swawoli?”.

[3] Nieprzetłumaczalna gra słów: ang. pie, wymawiane tak samo jak nazwisko Pye (paj), znaczy ciasto zapiekane z mięsem lub owocami.

Konstabl jednak nie chciał zabrać owego człowieka, tłumacząc, że wskutek niedbalstwa naszego cieśli więzienie miejskie nie ma zasuw, więc ten łotrzyk na pewno by umknął. Prosił, aby sędzia ulokował go na noc w jakimś zabezpieczonym miejscu. Bardzo się przy tym upierał. A również sam oskarżony, nabrawszy otuchy na dźwięk słowa „sędzia”, wykrzyknął: „Ach, osądź mnie natychmiast, sędzio sprawiedliwy! Jam nie żaden łotrzyk, ale porządny człowiek z parafii Noke. Zabłądziłem w drodze i straciłem konia w tym śniegu, a muszę śpiesznie wracać do mojej żony leżącej w połogu”.

Gdy ojciec przez służącego dowiedział się o tej sprawie, rzekł: „Niech mi konstabl przyprowadzi więźnia i świadków do małego salonu. Wezwijcie też sekretarza sądu - niech ma przygotowane mittimus[4]i wszystko, co uzna za potrzebne”. Potem zaś obrócił się do sir Roberta i powiada: „Kuzynie, chodź ze mną do salonu, a zobaczysz coś zabawnego!”.

Zanim poszli, pożyczył od innego przebierańca czarną maskę w kształcie długiej przyłbicy i wsadził ją sir Robertowi na głowę. Prawie w tym samym czasie sekretarz sądowy nadbiegł z kuchni, odziany jeszcze w czarny, wełniany płaszcz, na którym wymalowane były białe kości, i w straszliwą maskę będącą wizerunkiem trupiej czaszki. „Pozwól mi, wasza miłość - wołał - pójść do domu i zmienić to przebranie na mój strój urzędowy”.

„O tym nie ma żadnej mowy, bałwanie! - powiada ojciec. - Musimy przeprowadzić całą sprawę we właściwym stylu. Zostań taki, jak jesteś”.

Konstabl więc wprowadził do małego salonu owego rzekomego łotrzyka. Był to w istocie uczciwy biedak, niejaki John Ford z parafii Noke (leżącej o parę mil od nas na drodze do Worcester) i mój ojciec go znał. Tak mu się zdarzyło, że koń zrzucił go w śnieg i wtedy nieszczęśnik brnął przez zaspy, aby schronić się w stojącym obok kurniku. Spostrzegli go dwaj ludzie i jeden z nich pochwycił go, wołając: „Złodziej! Złodziej!”, a drugi pobiegł po konstabla.

Za konstablem i oskarżonym szli świadkowie, oszołomieni mnóstwem świateł i zgiełkiem. Kiedy znaleźli się w małym salonie - wielkie nieba! Co za widok tam zobaczyli! Sam diabeł we własnej osobie, z twarzą umalowaną na żółto (w kopalni na polach Tyrellów u skraju Shotover Forest wydobywa się bardzo dobrą żółtą ochrę), sam diabeł, powiadam, siedział tam przed nimi na tronie wyścielonym jedwabiem o barwie żółtych pierwiosnków. Za nim zaś stał ponury drągał w czarnej przyłbicy, trzymając w ręku obnażony miecz. Przy stole posepny kościotrup zabawiał się piórem i inkaustem, a z tyłu na skrzyni, siedziały, drapiąc się, trzy małpiątka. Świece, ocienione czerwonym papierem, rzucały jakąś piekielną poświatę na całą tę scenę.

O tym, co się dalej wydarzyło, nie mogę mówić z całą pewnością, gdyż nie było mnie wówczas w salonie, a ojciec nigdy nie omieszkał upiększyć każdej zabawnej historii. Działo się jednak mniej więcej tak:

[4] nakaz aresztowania (łac.)

Konstabl, który wiedział, jakie fantastyczne żarty czasem przychodziły mojemu ojcu do głowy, zachował przytomność umysłu, chociaż - jak śmiem sądzić - musiał być nieco zdumiony. Ale ów biedak z Noke pobladł i zawołał: „O, łaskawy szatanie, o, wasza dostojność, ja mam czyste sumienie, przysięgam, że się ciebie nie boję, mogę stawić ci czoło! Jam nie żaden łotrzyk, ja jestem John Ford, ubogi hodowca gęsi, i przez całe życie nigdy świadomie nie ukrzywdziłem żadnego człowieka, a pochodzę z porządnej rodziny”.

„Ha, ha, Johnie Ford! - powiada diabeł, rżąc jak koń -pięknie do mnie przemawiasz. Ale strzeż się, abym cię nie pochwycił, albowiem jest na twoim koncie jedna taka sprawka, a może dwie, które - jeśli nie dasz za nie zadośćuczynienia -powiodą cię prosto w najgorętsze czeluście mojego paleniska”.

„Na pewno dam zadośćuczynienie, dostojny panie - mamrocze nieszczęśnik, łkając (albowiem ów przypadkowy strzał okazał się trafny) - najpóźniej jutro, choćbym musiał sprzedać złoty pierścionek mojej żony, aby zdobyć potrzebną sumę”.

„A teraz do tej drugiej sprawy! - rzecze diabeł, nagle bardzo surowy. - Gdzie są twoi oskarżyciele? Chodźcie tu, chłopcy!”

Dwaj świadkowie - skórnik i jego syn, pochodzący z Watlington, miejscowości znajdującej się za Wheatley - przez cały czas patrzyli na wszystko jakby porażeni. Kiedy jednak mój ojciec wezwał ich, aby się zbliżyli, syn wrzasnął i wybiegł z pokoju, a stary skórnik za nim. Wtedy już wszyscy z wyjątkiem Johna Forda wybuchnęli rozgłośnym śmiechem. Ojciec zaś począł wołać zdyszany głosem do trzech małpek, moich braci: „Huzia, huzia, dzielne moje nicponie! Goń ich, Sroka, goń ich, Tom! Huzia na nich, mała Mungo, skarbie mój! Huzia, huzia na nich, biegiem!”.

Małpki porwały wiązkę szmermeli, kilka z nich zapaliły od świec i rzuciły je na korytarz za uciekającymi skórnikami. Ci zaś - kiedy drogę zatarasowali im goście - pobiegli z powrotem na górę, po schodach, i obaj wyskoczyli przez okno. Pewnie by się zabili, gdyby nie to, że spadli na słomiany dach starej szopy. Dach załamał się pod nimi, a oni wnet wygrzebali się bez szwanku i uciekli poprzez ośnieżone pola.

„Konstablu - rzecze mój ojciec, przybierając wyraz największej, na jaką go było stać, łagodności i powagi - ponieważ obaj oskarżyciele tego zacnego człowieka uciekli, my nie możemy - imć Belzebub i ja - przyznać ci mittimus, którego oczekujesz, gdyż nie ma przeciw oskarżonemu żadnych dowodów winy. Niechże odejdzie w pokoju! Przedtem jednak zatroszczcie się, aby przygotowano dla niego w kuchni ciepłą winną polewkę z miętą. I - poczekajcie jeszcze! - trzeba mu dać podjezdka ze stajni, aby mógł dojechać do swojej żony”.

Po skończeniu wieczerzy całe towarzystwo zabawiało się niefrasobliwą grą w ciuciubabkę, a potem znowu tańczono. Taka wesoła zabawa ciągnęła się aż do północy, która już kładła ostateczny kres świętom Bożego Narodzenia. O

północy Król Swawoli stuknął laską w podłogę i nakazał nam zdjąć ze ścian gałązki ostrokrzewu i bluszczu. Zdjęliśmy je i rzuciliśmy do ognia, aby słuchać, jak palą się z trzaskiem. Napiliśmy się gorącego wina z korzeniami i wszyscy zaśpiewaliśmy pieśń: *Żegnaj gwiazdko!* - wszyscy, którzy jeszcze pozostaliśmy, gdyż całe towarzystwo bardziej posunięte w latach leżało już w łóżkach albo też poszło po swe powozy. Pięciu młodych dżentelmenów, którzy wyszli razem na śnieg bez płaszczy, niebawem powróciło do kominka. Tu - pod wpływem tak raptownego przejścia od okropnego zimna do gorąca - nagle ich zmorzyło wypite wino. Poczęli chwiać się na nogach, a wreszcie trzech z nich runęli jak dłudzy i już nie mogli się podnieść. Narzuciliśmy na nich koce i służba zapakowała ich wszystkich na sofę, jak marynowane śledzie - głowa przy nogach, nogi przy głowie - gdzie chrapali straszliwie aż do rana.

Muzykanci oznajmili, że już nie będą więcej grać tego wieczoru. Namówiliśmy jednak przynajmniej jednego, najgorszego spośród trzech skrzypków, aby pozostał. Ugodziliśmy się z nim na sześć pensów, ale żądał, aby ta suma była podwajana co pół godziny. Tańczyliśmy więc nasze jiggi, galliardy i inne tańce jeszcze przez długi czas. Aby czuć się swobodniej, włożyłam znowu strój niewieści, drugą spośród najlepszych moich sukien, z zielonego atlasu.

Wówczas to pewien francowaty młody galant, Ropier, kuzyn lorda Ropiera, ubrdał sobie, że nagle zakochał się we mnie po uszy. Ponieważ zaś nie było akurat nikogo starszego

Wickiem albo wyższego odeń godnością, kto mógłby go powściągnąć, pan Ropier począł zachowywać się nader bezczelnie, naprzykrzając się, abym dała mu całusa albo nawet jakichś większych udzieliła mu łask. Płaszczył się przede mną pochlebczo, mówiąc: „Najsłodsza pani, magnetyczna pani, odmowa twoja to sztylet wbity w moje serce!” - albo: Jakże len żarliwie wierny twój poddany będzie mógł żyć, o, władczyni mej duszy, jeśli mu odmawiasz?”, itd. - Jedyne odpowiedzi, jakich raczyłam mu udzielać, brzmiały: „Nie, panie!” albo: „Nie, nie, panie!” albo jeszcze: „Możesz porozmawiać ze mną jutro, dumny sługo, kiedy wytrzeźwiejesz trochę, ale nie dziś!”. Nie ośmieliłam się trzasnąć go w gębę (jak trzasnęłabym każdego innego dżentelmena, który by zachowywał się wobec mnie w sposób tak niegodny dżentelmena), znałam bowiem jego okrutny i zdradziecki charakter. Niebawem dał mi spokój i począł na odmianę napastować Zareę, aby - jak myślę - obudzić we mnie zazdrość. Ona zaś okazała się znacznie dla niego łaskawsza.

O trzeciej nad ranem panowie doszli do wniosku, że ich wspólna kasa nie może dłużej sprostać stawkom podbijanym przez skrzypka, który tym swoim lichym rzępoleniem zarobił u nas w ciągu trzech godzin więcej niż trzydzieści szylingów: laską właśnie należność udowodnił nam prostym dodawaniem I mnożeniem. Kiedy nie chciał zgodzić się na przyjęcie mniejszej sumy, proponowanej mu przez nas, czterech młodych dżentelmenów chwyciło go za nogi i ręce i wyrzuciło na śnieg, a młody Ropier w złośliwej pasji roztrzaskał mu skrzypce na głowie. Był to, jak sądzę, brzydki postępek, bo jednak umowa

jest umową i chociaż on sam był kiepskim skrzypkiem, to przecież skrzypce były dobre.

Wreszcie pożegnaliśmy się wszyscy i życzyliśmy sobie dobrej nocy. Poszłam na górę i patrzyłam z mojego pokoju przez szybę, jak latarnie i pochodnie wędrują, chwiejąc się, przez podwórze ku stajniom, gdzie konie rżały, słysząc, że nadchodzą ich panowie i panie. Niebawem ujrzałam też, jak cała kawalkada wyjeżdża przez bramę i kieruje się ku gościńcom, jedni w tę stronę, inni w tę, niby w figurze tańca, jadąc różnymi drogami do swoich domów poprzez głęboki śnieg.

W moim pokoiku (znajdującym się nad pralnią) zatknęłam w kandelabrze świecę, którą sobie przyniosłam zapaloną. Ponieważ Zara już leżała w łóżku, nie zdjąwszy nawet sukni, i twardo spała, narzuciłam na nią kołdrę, a sama wyjęłam pióro i kałamarz i zaczęłam pisać w mojej księdze. Najpierw wypełniłam pół stronicy opisem maskarady - tyle, aby móc się cieszyć różnymi szczegółami, kiedy będę sobie kiedyś to wszystko odczytywała. Zupełnie jednak nie podejrzewałam wówczas, że zanim dojdę do wieku dwudziestu jeden lat, te pół stronicy będzie dla mnie opowieścią przedziwną, niby jakaś historia z Chin albo Abisynii. Całe przyjemne towarzystwo rozwiane wiatrem, dom już nie do nas należy, nawet samo świętowanie Bożego Narodzenia zniesione decyzją Parlamentu!

W całym domu było dosyć cicho, a pokój był bardzo chłodny. Mój dobry nastrój, rozpalony winem i muzyką, zaczął powoli opadać. Napisałam więc, że zabawa, która nie kończy się o północy albo najdalej o pierwszej nad ranem, nie jest korzystna dla żadnej panny. Dodałam jeszcze, że młody pan Ropier nieładnie postąpił z biednym skrzypkiem i że nigdy nie poślubiłabym takiego paskudnego bydlaka jak on, choćby nawet był wart 1500 funtów rocznie; i zaznaczyłam, że istotnie miałam ofertę jego ręki i fortuny. W końcu wyznałam, że bardzo jestem głupia, bo trzeba było iść do łóżka już trzy godziny temu. Zegar w jadalni wybijał czwartą, gdy zdmuchnęłam świecę. A nazajutrz rano leżałam w łóżku - z bólem głowy - dłużej niż do dziesiątej.

Rozdział drugi

LEK PRZED ZARAŻĄ

Nasza pokojówka, Trunco, była wówczas u nas już od czterech lat, od czasów niemowlęstwa George'a, najmłodszego z moich braci. W tym okresie mojej matce - wskutek nagłej choroby - zabrakło pokarmu dla dziecka i ojciec na gwałt szukał jakiejś młodej i zdrowej mamki. Mając owego dnia sprawę do załatwienia w Banbury, gdzie jest targ zwany Wiehciowym, pojechał tam bardzo wczesnie rano; jego stary powóz jechał za nim z tyłu. Na tym Wiehciowym Targu pracownicy, którzy chcą zmienić chlebodawców, stoją grupami: drwale z toporami, furmani z biczami, kopacze z łopatami, służące z miotłami (stąd właśnie pochodzi nazwa targu) i sprzedają się najlepszemu panu, jakiego mogą znaleźć, po możliwie wysokiej cenie. Ojciec w tym roku wydzierżawił był od biskupa Oksfordu kilka zagajników w Stow Wood w królewskim lesie Shotover (jest to zniekształcona francuska nazwa: Chateau Vert - Zielony Zamek), znajdującym się pomiędzy Forest Hill a Oksfordem. Potrzebował więc jednego czy dwóch zręcznych drwali, którzy by najpierw wycięli poszycie leśne, a potem pocięli piłą i wywieźli zwalone pnie i naprawili rozbite ogrodzenia; zagajniki bowiem były wyniszczone długim zaniedbaniem. Dzierżawa dawała prawo tylko do drzew, które się zwały, i do młodych zarośli, a nie do wielkich drzew, stojących jeszcze krzepko, więc drwał w podeszłym już wieku bardziej odpowiadał celom i kieszeni mojego ojca niż drwał młody i krzepki.

Dwóch takich starych i wychudzonych nędzarzy, których znalazł na Wiehciowym Targu, potraktował piwem i przywiózł do domu, rozciągniętych na dnie powozu. Tam również spotkał moją kochaną Trunco, stojącą trochę na uboczu od innych kobiet, bardzo smutną, z dzieckiem na ręku. Mąż jej, piwowar z Abingdon, niedawno zmarł wskutek zarazy, jaka w tym roku straszliwie się srożyła w owym mieście. Po spłaceniu jego długów Trunco została bez środków do życia. Wróciła więc do parafii, z której pochodziła, a ponieważ nie była specjalnie zaprawiona ani do miotły, ani do igły, urzędnicy parafialni posłali ją na targ, aby się wynajęła jako mamka do jakiejś bogatej rodziny, gdyż miała dosyć mleka dla dwojga dzieci. Ojciec mój, uznawszy ją za zdrową i uczciwą kobietę, zaraz ją najął i wsadził do powozu razem z owymi starymi drwalami, a potem dołożył jeszcze indyka z dwiema kokoszami tudzież nakrapianego wieprza, tudzież tuzin kaczuszek - wszystko, co zakupił. Pamiętam, że wrócił do domu, tupiąc mocno - była to już noc głęboka - trochę podchmielony i wykrzykiwał dziarsko, że upolował na Wiehciowym Targu nader różnorodną zwierzynę - poczynając od kaczek i indyków, a kończąc na młodych nimfach i starych satyrach.

Dziecko Trunco niebawem zmarło w ataku kaszlu. Przywiązała się ona potem do mnie bardziej niż do jakiegokolwiek innej istoty na ziemi, nie wyłączając nawet jej mlecznego syna, George'a. Kiedy bowiem inna służąca oskarżyła Trunco przed moją matką o kradzież jakiejś tam wstążki czy aksamitki i matka zamierzała porządnie ją wychłostać, ja stanęłam w jej obronie, ręcząc za jej uczciwość i świadcząc z całą odpowiedzialnością, że Trunco na pewno nie jest złodziejką, podczas gdy właśnie Agnes, jej oskarżycielka, może być przedmiotem uzasadnionych podejrzeń. Niewinność Trunco wyszła niebawem na jaw i w nagrodę obdarzono ją wielkim zaufaniem: odtąd była naszą pokojówką. Potem jeszcze podniesiono jej wynagrodzenie do trzech funtów rocznie, gdyż okazało się, że posiada ona cenną umiejętność destylowania esencji leczniczych z dzikich ziół i z kwiatów ogrodowych, a także Wody Ślimaczek, wody Bezoartys, Hiera Picra, Mitrydalesowej na melancholię, Aqua Mirabilis i innych tego rodzaju niezwykłych wód leczniczych, których właściwości znała nie gorzej od najbardziej wytrawnego aptekarza. Poza tym powierzono jej pieczy wszystkie naczynia cynowe i srebrne, aby utrzymywała je w czystości i strzegła przed zgubieniem i kradzieżą. Wobec Trunco mogłam mówić o swoich sprawach dosyć swobodnie, gdyż ufałam jej bardziej niż komukolwiek z mojej rodziny wyjąwszy tylko mego brata Jamesa.

To właśnie Trunco obudziła mnie nazajutrz po owym dniu moich urodzin, mówiąc, że już najwyższy czas wstać, bo to przecież dzień pracy i Zara już jest na nogach i że matka, nie widząc mnie przy śniadaniu, miała minę wielce niezadowoloną. Trunco chwilę czekała na moją odpowiedź, a gdy przyjąłam wszystko milczeniem, zaczęła mnie przebiegle badać. „Wyznaj mi, śliczna panienko - mówiła - czy żaden dżentelmen nie ofiarował ci wczoraj swego gorącego serca na cynowym półmisku? Czy żaden nie prosił o pozwolenie, aby mógł się rozmówić z twoim czcigodnym ojcem?”

Odpowiedziałam cicho: „Tylko jeden zabrał się do tego, moja kochana Trunco, i to nie ten, o którego chodziło. A ty obiecywałaś mi co najmniej czterech!”

Trunco była dostatecznie wścibska, aby zapytać: „Któż więc, panienko, jest ten, o którego chodziło?”

„Boli mnie głowa - broniłam się. - Nie męcz mnie, kochana Trunco. Wszystko mi się miesza w głowie”.

Przeprosiła mnie więc i zaraz potem przyniosła kordiał z porzeczek, abym sobie rozgrzała żołądek, i zsiadłe mleko w kubku, a do tego biały chleb; to pożywienie trochę mnie wzmocniło. Włożyłam wełnianą sukienkę, którą zwykle nosiłam do pracy, i gorsze buty i powoli zesłam po schodach. Dom już był zamieciony i mniej więcej uporządkowany, a z owych trzech pijanych dżentelmenów na tapczanie pozostał tylko jeden. Siedział już przebudzony i wyglądał dosyć głupio w swym maskaradowym stroju Herkulesa: ubrany był w cieliste trykoty i obcisły kaftan, a wokół szyi miał przerzuconą lwią skórę, spiętą miedzianym guzikiem. Na podwórzu wjechał, turkocząc, wóz pełen drewna.

Wyjrawszy przez okno, zobaczyłam, że nie jest on już ustrojony bożonarodzeniową zielenią; tylko do jednego koła był jeszcze przywiązany pęczek ostrokrzewu, który zapomniano odczepić.

„A więc zesłaś nareszcie, Marie Niecnoto! - wołała do mnie matka ze spiżarni. - Potrzebowałam dziś rano dziesięciu rąk, a mam tylko dwie. Idź zaraz do kurnika i zobacz, czy kurczęta i grubsze ptactwo nie zdechło z głodu. Za tydzień mamy je brać na stół i jeśli do tego czasu nie utuczą się dostatecznie, wiesz dobrze, wesoła córeczko, czyje boki będą obite”.

Wyszłam więc na podwórze, a tam mój ojciec, obrócony do mnie plecami, przypatrywał się rozbitemu dachowi szopy. Mówił do rządcy: „Myślę, że to już nie da się naprawić. Zdejmij tę starą strzechę - trzeba ją rozpostrzeć jako podściółkę na tym skrawku ziemi za sadem, gdzie teraz pasą się gęsi”.

Tak bardzo bolała mnie głowa, że nawet nie powitałam ojca, ale minęłam go, milcząc.

W kurniku każda sztuka drobiu miała swój odrębny kojec, tak ciasny, że nie mogła się w nim obrócić; od tyłu oczyszczało się kojec z łajna, a z przodu stała miseczka z pożywieniem i garnuszek z napojem. Dawałam ptactwu jęczmień dobrze ugotowany - raz w mleku, a raz w piwie, na odmianę; zawsze jednak mieszałam go w miseczce z pewną ilością ciemnego cukru. Do garnuszków co dzień nalewałam mocnego piwa, aby kury były ciągle bardzo pijane i nie ruszały się zanadto, gdyż od ruchu chudną; nocą zaś miały świeżą wodę i przez cały czas nad kojcami paliła się świeca, aby ptactwo nie spało. Przy takim odżywianiu kury piły dużo wody, gdyż piwo wzbudzało w nich pragnienie, i dużo jadły, bo woda rozdrażniała ich głód. Przy takim systemie mogły stać się niebywale tłuste w ciągu dwóch tygodni. Kurczęta zaś, których było po sześć w jednym kojcu, miały inną dietę: ryż gotowany na mleku, tak gęsty, że łyżka w nim stała, osłodzony cukrem kuchennym po sześć pensów za funt. Przez dwa tygodnie podawałam im codziennie ten pokarm, dorzucając jeszcze do ryżu trochę otrąb, aby im przeczyszczały wola; dzięki temu ich mięso było białe i miało delikatny smak. Potem zaś przez pięć dni dawałam im suszone rodzynki, roztarte w móżdżerze i zalane mlekiem, oraz okruchy suchego białego chleba. Nocą obsługiwała je ta sama świeca, która paliła się dla starszego drobiu, a rozkoszny smak rodzynek sprawiał, że przez cały czas jadły. Kiedy osiągały najwyższy poziom utuczenia, od razu szły na stół, bo jeśli zostawiało się je na dłużej, traciły apetyt i zaczynały chudnąć. Wtedy zaś, gdy były najbardziej utuczone, miały wyborny smak, zwłaszcza gdy się je umiejętnie przyrządziło: smażyło się je na maśle, dodając trochę białego wina, wonnych ziół i cykorii. Teraz właśnie był drugi dzień ich diety rodzynekowej i miały one wielkość mniej więcej kosów, ale tak były tłuste, że już nie mogły stać, tylko na brzuchach czołgały się do żarcia.

Kiedy przyszłam do kurnika, świeca już dawno była zgaszona, w kojcach był już jęczmień i piwo, a ptactwo żarło łapczywie; również kurczęta już zaopatrzone w ich rodzynekową potrawkę. Wszystko to zrobiła Trunco, jej winna

byłam wdzięczność za tę przysługę. Wróciwszy do domu zajrzałam do spiżarni, spodziewając się, że tam ją zastanę. Ale nie było jej w spiżarni, więc poszłam do kuchni.

W kuchni owiał mnie odór sztokfiszka smażącego się na ogniu i zapach rozcieranego czosnku. Ledwie przekroczyłam próg, wszystko poczęło wirować mi przed oczyma jak kołowrotek i zachwiałam się na nogach. Dwa razy kichnęłam, a wtedy kucharz wyciągnął rękę - to samo uczyniły dziewczki kuchenne - i wszyscy zawołali jednym głosem: „Niech Bóg ochrania naszą panienkę!”. A ja zaczęłam wymiotować - zrzuciłam kordiał porzeczkowy, chleb i zsiadłe mleko. Cóż za popłoch w kuchni! Jedna z kuchareczek zaraz umknęła na podwórze, przekradając się za moimi plecami, a tłusty kucharz runął na kolana i począł odmawiać długą litanie modlitw, ja zaś stałam, nie bardzo wiedząc, co się dzieje; aż wreszcie - próbując się odwrócić - upadłam jak długa na podłogę.

Owa zaraza, która niegdyś - na rok przed moim urodzeniem - srożyła się straszliwie w naszym kraju, kładąc trupem w samym Londynie ponad 30 000 ludzi, wróciła znowu, cztery lata temu, i zabiła dziewięćdziesiąt osób w miejscowości Abingdon, leżącej niezbyt daleko od nas w kierunku południowym. Oksford ma okolice bardzo zdrowe i dzięki temu zawsze odczuwał wściekłość zarazy słabiej niż inne miasta, niemniej jednak żyliśmy w wielkim strachu. Tego roku zaraza znowu była w Londynie. A właśnie spędzili u nas dzień Bożego Narodzenia dwaj bracia mojej matki, Archdale'owie z Wheatley, przybywszy do naszego domu prosto z Moorgate, tej parafii Londynu, o której mówiono, że jest nawiedzona zarazą. Jeden z nich, Cyprian, rzeczywiście zachorował i musiał skrócić swoją wizytę. Odjechał powozem do swego domu w Wheatley, aby nie być dla nas ciężarem podczas świąt. Łatwo więc można sobie wyobrazić, jaka wrzawa i zamęt zapanowały w całym domu, gdy tak kichnęłam i upadłam w omdleniu na podłogę, zwłaszcza że kucharz od razu sobie przypomniał, iż poprzedniego dnia rano przyszedł do niego po bryłkę suszonych fig, aby przyłożyć sobie plaster do jakiegoś spuchnięcia pod ramieniem. Było więc zupełnie widoczne - tak widoczne jak zęby szczeniaka, który zęby wyszczerzył - że dotknięta jestem zarazą.

Zara, a wraz z nią młodsze siostry, Ann i Bess, i młodszy bracia wybiegli z domu, aby przez okno kuchenne zobaczyć, jak ja leżę na podłodze. Ojciec stanął w drzwiach, zmieszany, przerażony, i żegnał się co chwila znakiem krzyża niby papista. Już chciał podejść bliżej i podnieść mnie z podłogi, ale za każdym razem reflektował się i znów cofał się do tyłu.

Matki mojej nie było w domu i daremnie jej szukano, gdyż właśnie pobiegła na gościniec - pół mili od naszego obejścia

- aby nawymyślać furmanowi przywożącemu mąkę z młyna Tomlinsów, że nie dostarczył nam pełnej miary wymienionej w rachunku. Ciotka Moulton zaś odjechała już do Oksfordu, a moi starsi bracia harcowali ze swoimi psami gdzieś pod Elsfield. Nie licząc więc ojca, w całym domu nie było nikogo z głową jako

tako przytomną oprócz jednej jedynej Trunco. Gdy jej oznajmiono: „Starszą panienkę powaliła zaraza w kuchni; leży tam bez czucia”, Trunco nie zwlekała ani chwili. Natychmiast pobiegła do kuchni, wzięła mnie na plecy i zniosła do łóżka. Cała służba uciekała przed nami na wszystkie strony, niby przerażeni wieśniacy przed oddziałem dragonów ruszających na rabunek.

To była prawdziwa miłość! Nie przyjdzie mi jednak nigdy do głowy, abym napisała cokolwiek przeciwko postawie mojego ojca, gdyż znalazł się on rzeczywiście w bardzo trudnej sytuacji. Ponieważ od trwałości jego życia i zdrowia zależał los dziesięciu pozostałych jego dzieci, ojciec nie mógł sobie przyznać prawa do tego, aby ulec pierwszemu odruchowi i wziąć mnie w ramiona, ryzykując zarażenie. Ja osobiście mniemam, że to właśnie chlubnie świadczy o nim jako o ojcu, iż umiał się powstrzymać i nie zbliżył się do mnie. Znacznie gorsze wystawiłby sobie świadectwo, gdyby przez ślepą miłość do mnie narażał siebie na chorobę, a całą rodzinę na zniszczenie.

O tym wszystkim dowiedziałam się dopiero później, tak samo jak o wykadzaniu całego domu siarką, co od razu zorganizowała matka, gdy tylko wróciła; i o natychmiastowych ostrzeżeniach, jakie skierowano do wszystkich naszych gości z wieczoru Trzech Króli; i o skrapianiu całego obejścia płynem przeciw zarazie, który w dużej ilości zgotowała była Trunco już poprzedniego roku, przyrządzając go po większej części z przeróżnych ziół zebranych - na jej polecenie - przez dzieci na polach^[5].

Pod wpływem całej tej wrzawy zjawili się u nas jeszcze tego samego dnia wieczorem urzędnicy parafialni z lekarzem, aby stwierdzić mój stan. Ale Trunco jeszcze przedtem ściągnęła ze mnie ubranie i zanim mnie odziała w ciepłą koszulę nocną, dokładnie obejrzała moje ciało. Miała więc już coś do powiedzenia lekarzowi, gdy wszedł (bardzo niechętnie) do mego pokoju, wachając cytrynę jako antidotum przeciw zarażeniu i trzymając się możliwie najbliżej drzwi. „Łaskawy panie - rzekła Trunco - mój biedny mąż i jego siostra zmarli na zarazę przed czterema laty, a ja pielęgnowałam ich do końca i pogrzebałam oboje. Nie boję się zarazy, bo tak sobie myślę, że Bóg uczynił mnie odporną przeciw niej. Mogę przysiąc, że znam jej objawy nie gorzej od każdego lekarza w Anglii. I powiadam wam, że jeśli podejrzewacie to moje biedne jagniątko o zarazę, jesteście w wielkim błędzie.

[5] Były to: ruta, rzepik, piołun, jaskólcze ziele, szałuża, balsam, bylica pospolita, wyżlin, kurzyślak polny, nagietek ogrodowy, maruna, krwiściąg i szczaw, a także leśna petunia, driakiew, rumianek, mięta, benedyk, kurze ziele, drapacz lekarski - wszystkie zioła w jednakowej ilości, ale rozmarynu dwakroć tyle i półtora raza tyle korzenia *elicam-pane*. Miesza się to wszystko i kraje na drobne kawałeczki, a potem zanurza się te zioła w dobrym białym winie na trzy dni i trzy noce, poruszając je raz albo dwa razy na dzień. Mikstura ta uchodzi za środek zabezpieczający do pewnego stopnia przeciw zarazie, a również za niezły lek w wypadku zarazy. (Przyp. aut.)

Przyznaję ci, wasza miłość, że kichnęła i wymiotowała, i leży teraz w gorączce, i ma niewielkie opuchnięcie i zaczerwienienie pod prawą pachą, tam gdzie zwykle wyskakuje czyrak czy karbunkuł, czy jak wy to nazywacie, Powiadam jednak: to opuchnięcie zjawilo się wtedy, kiedy ona była jeszcze w doskonałym zdrowiu - już wczoraj rano przykładała sobie plaster figowy, natychmiast po zjedzeniu obfitego śniadania: zrazów cielęcych i jajecznicy z trzech jaj. Myślę więc, że to nie jest wrzód zwiastujący zarazę, ale krosta zupełnie innej natury.

Uważam, wasza miłość, że cała ta choroba to tylko zaziębienie, jakiego się nabawiła wczoraj wieczór, wałesając się gdzieś w chłodzie po nadmiernym zagrzaniu się w tańcu. Zaczerwienienie zaś pochodzi z pewnością od owego figowego plastra, który odparzył jej skórę. Możesz zresztą sam zobaczyć, wasza miłość, że opuchnięcie znajduje się niżej i bardziej w kierunku żeber, niż to zwykle się dzieje w przypadku zarazy”.

Wtedy lekarz, już nieco ośmielony, zbliżył się, uniośł moją koszulę i począł macać opuchnięcie lancetem, dobytym z torby. Przez chwilę prowadził to badanie i nagle wyciągnął niewielki kolec tarniny. Ten to kolec według wszelkiego prawdopodobieństwa był jedyną przyczyną opuchnięcia, a może i całej choroby. Utkwił mi pod pachą parę dni temu, kiedy byłam z braćmi na polowaniu i koń mój przeskakiwał nad potokiem, którego brzeg był porośnięty tarniną. Trzy czy cztery kolce wbiły mi się wówczas przez suknię pod ramię, podczas gdy uniosłam rękę, aby dłonią osłonić twarz.

Lekarz mógł więc zanieść radosną nowinę mojej matce, która w wielkim strachu oczekiwała go na schodach, machając kociołkiem pełnym cuchnącej siarki. Kiedy jej wszystko wyjaśnił i pokazał kolec tarniny tkwiący na ostrzu lancetu, matka wpadła w szal: kociołek z siarką śmignęła za okno, a mnie zaczęła nielicho błogosławić, wołając, że wszystkie cenne makaty i suknie są niemal całkowicie zniszczone owym ostrym wykadzaniem, którego im nie skąpiła. Mało tego! Oto część służby umknęła w trwodze i jest teraz w odległości co najmniej pięciu parafii od naszego domu, a co najgorsze - nasz kucharz, znakomity mistrz swego rzemiosła, zwłaszcza Jeśli chodzi o wszelakie bigosy, leży w ataku, z pianą na ustach. Gdzie teraz znaleźć służących albo wieśniaków, aby ich posłać w trop za posłańcami, którzy z wieścią o zarazie pojechali do domów naszych wczorajszych gości? I ilu spośród owych posłańców odważy się do nas wrócić?

Po tygodniu jednak wszystko wróciło jakoś do porządku i znowu panował spokój w naszym dworze, a ja wyzdrowiałam na tyle, że mogłam już siedzieć na łóżku, opierając się na poduszkach ułożonych za moimi plecami, i jeść kleik owsiany z rozmoczonymi kawałkami chleba.

Trunco pielęgnowała mnie przez cały ten czas i nikomu innemu nie pozwalała nawet się zbliżyć. Tylko moją matkę dopuszczała raz na dzień, ale też nie na długo. I nie pozwalała łajać mnie za ów zamęt, jaki spowodowałam w domu. „Kiedy twoja córka, pani - mówiła Trunco - była podejrzewana o zarazę,

wszyscy domownicy od niej uciekali wyjąwszy tylko twą służącą, Trunco. Ona więc teraz, za twoim łaskawym pozwoleniem, domaga się, aby dano jej czuwać nad twoją córką przez całą jej chorobę, bez żadnych uwag i rad z niczyjej strony”.

Matka zżymała się na takie szczere słowa, ale w końcu zgodziła się zostawić nas w spokoju, pod warunkiem że Trunco szybko mnie wykuruje. Trunco podjęła się dokonać tego przed upływem miesiąca. Wyposażona w taką władzę, stawiała opór również lekarzowi, który chciał spuścić mi kwartę krwi. Twierdziła bowiem, że w styczniu, kiedy ciało jest osłabione i natura skąpo wydziela soki żywotne, byłoby zbrodnią odbieranie mi nawet naparstka krwi. Rzuciła przy tym na lekarza spojrzenie straszliwe, godne tygrysy, więc poszedł po rozum do głowy i odstąpił od swych zamiarów. Tak samo wygoniła proboszcza, wielbego Johna Fulkera, który chciał odmówić nade mną modlitwy. „Mój ty wielbny - rzekła - idźże lepiej do Molly Wilmot i z nią się módl, bo myślę, że niebawem będzie ona potrzebowała najgorętszych twoich modlitw i kazań!” Owa Molly Wilmot, córka jednego z dzierzawców, była trzpiotką i zalotnicą i powszechnie mówiono, choć może z większą dozą złośliwości niż prawdy, że proboszcz znał jej ciało dokładniej niż ciało swej prawowitej małżonki. Teraz wielbny Fulker mocno się zaczerwienił, nie wiedział, co odpowiedzieć, i zostawił nas w spokoju. Otrzymał on swoje uposażenie - dwadzieścia funtów rocznie - od mojego ojca. Probostwo bowiem należało do dworu.

Trunco opiekowała się mną cudownie, siedząc u mego wezglowia dzień i noc, głaszcząc mnie po głowie, poprawiając mi poduszkę, podkładając pod kołdrę rozgrzane cegielki zawinięte w wełnę, aby nie marzły mi nogi, zamawiając dla mnie w kuchni galaretki i inne specjały, jeśli tylko pomyślała, że mogę mieć na nie apetyt. Kiedy moi mali bracia hałasowali na wchodach albo w swym pokoju, który znajdował się tuż obok mojego, Trunco rzucała się na nich z pięściami i bardzo szybko zaczynali pilnie baczyć na to, aby jej nie urazić. Dzięki temu - gdy już opadła gorączka - spędzałam rozkoszne dni, jedne z najprzyjemniejszych w moim życiu; utylałam i stałam się bardzo wesółą.

Zapytałam Trunco, czy słyszała ode mnie, pogrążonej w malignie, jakieś słowa dziwaczne, jakieś niedorzeczności.

Czy powiedziałam coś, czego nie powinnam była powiedzieć, c/.y wyjawiałam coś, co skromność nakazywała ukryć?

„Ach, nie, moja kochana - powiada Trunco. - Przez cały czas byłaś po prostu uosobieniem rozsądku”.

„Czy przypadkiem nie wymieniłam nazwiska jakiegoś dżentelmena w taki sposób, że tobie, kochana Trunco, mogło to się wydać dziwne? - pytałam. - Czy nie mówiłam jakichś obrzydliwych bredni?”

„W każdym bądź razie - rzekła - nie było tu oprócz mnie nikogo, kto mógłby to słyszeć, a co ja usłyszałam, to i zapomniała. Przysięgam ci jednak, panienko, że to, co szeptały Twoje wargi, to nie były żadne sprośne brednie, ale przeciwnie - najśliczniejsze majaczenia, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się

słyszeć. Zaiste, twoje bredzenia więcej miały czaru niż szumne wypowiedzi wielu innych kobiet. Nie bój się, całkowicie zapomniałam ich treść. Tyle tylko pamiętam, że ciągle mówiłaś o jakichś uroczych pierwiosnkach i fiołkach”.

W tym była cała Trunco! Bo mogę przysiąc, że mówiłam w malignie tysiąc zwariowanych rzeczy na temat pewnego dżentelmena, którego jeszcze ani razu nie wymieniłam w tej opowieści.

W mojej welinowej księdze oznaczałam go literą „M”, ale tu nie potrzebuję mu nadawać żadnych zagadkowych kryptonimów, mogę napisać jego pełne miano; „M” oznaczało „Mun”, czyli skrót od imienia Edmund. Jego nazwisko rodowe brzmiało: Verney. Był trzecim synem sir Edmunda Verneya z Claydon w hrabstwie Buckinghamshire, królewskiego marszałka i chorążego. Parę lat wcześniej, kiedy studiował w Magdalen Hall, w Oksfordzie, Edmund był u nas dwa czy trzy razy na zaproszenie mojego brata Richarda, z którym jeździł na polowania. Może się to wydawać rzeczą absurdalną i niemal przeciwną naturze, że ja, będąc wówczas dzieckiem jedenastoletnim, obudziłam w sobie tak poważne i stałe uczucia dla mężczyzny prawie o dziesięć lat starszego ode mnie. Tak jednak się stało i jeśli to był błąd, to trzeba przyznać, że czas go naprawił.

Na uniwersytecie Mun miał opinię nicponia, rozwydrzonego hulaki. Jego tutorem^[6] w Magdalen Hall był Pan Henry Wilkinson, purytanin, płomienny kaznodzieja, brat dra Wilkinsona, rektora Magdalen College. Tutor i Mun jakoś nie mogli współżyć ze sobą. Mun kiedyś powiedział mojemu bratu: „Kochany Dick, wiesz o tym, że nikt nie jest bardziej oddany Bogu i Kościołowi niż ja. Ale nużą mnie nazbyt długie modlitwy. A gdy mój umysł zasypia, wtedy diabeł wchodzi tylnymi drzwiami”. Aby oszukać diabła, Mun uciekał od modlitw w kolegium - ilekroć mógł mieć nadzieję, że jego nieobecność nie będzie zauważona - i chodził do oberży „Pod Chartem”, aby pić i grać w kręgle. Po pierwszym czy drugim trymestrze znużyły go również studia, owe nauki, które - jak się zdawało - nie prowadziły do żadnego określonego celu: problemy logiki, sofizmaty, dysputy, nauki katechizmowe, deklamacje metafizyczne i inne tego rodzaju ćwiczenia, do których chciano go skłonić w kolegium, były, zdaniem Muna, całkiem nieodpowiednie dla ludzi obdarzonych fantazją. Miał wstręt nawet do czytania Arystotelesa i zniknął z wykładów rektora kolegium, spędzalił len czas w towarzystwie wesołych hulaków, młodzieńców z wielkich rodów, z którymi się stowarzyszył w oberży albo na publicznym placu gry w kręgle, albo wreszcie w szkole tańców Willa Stokesa. Aby zachować estymę u swoich znajomych, musiał mieć niegorsze od nich stroje i konie, grać w karty i w kości na takie stawki, jakie oni proponowali, i zakładać się na równie wysokie sumy..

[6] Tutor kolegialny - w starych uniwersytetach w Oksfordzie i Cambridge opiekę nad przydzielonymi sobie studentami sprawuje tutor, czyli wychowawca-profesor, zwykle będący członkiem kolegium, który nie tylko czuwa nad nauką swoich studentów, odbywa z nimi kolokwia, lecz także pilnuje dyscypliny kolegialnej i uczy studentów szermierki, jazdy konnej itp.

Musiał się na to decydować, chociaż jego ojciec, marszałek, mający wiele innych dzieci, które również trzeba było zaopatrzyć, mógł mu dawać na utrzymanie nie więcej niż 40 funtów rocznie. Taki tryb życia, jak łatwo się domyślić, pograżył Muna w wielkich długach. Kiedy wreszcie utracił nadzieję, że kiedykolwiek zdoła je spłacić, przyznał się do wszystkiego ojcu, ten zaś natychmiast pojechał do Oksfordu, aby zabrać stamtąd Muna i jakoś ułożyć jego sprawy. Myślę, że sir Edmund musiał być wówczas niezmiernie przygnębiony, gdyż obdarzał Muna szczególnie czułym afektem. Mun, niestety, potrafił być mu wzmówcą, że bardzo lubi zarówno swego troskliwego tutora, jak i trudne studia i że pilnie uczęszcza na ćwiczenia w kolegium, a po odbyciu obowiązkowych trymestrów łatwo osiągnie stopień magistra wraz z wyrazami wysokiego uznania zarówno ze strony przełożonego Magdalen Hall jak i ze strony rektora kolegium.

Muszę jednak powiedzieć na obronę Muna, iż wstąpił on na tę szaleńczą drogę niepostrzeżenie, a sami doktorzy uniwersyteccy bardzo zawinili tym, że go w porę nie zawrócili. Mimo ciągle żywił nadzieję, że przez jakąś pożyczkę albo inny szczęśliwy przypadek zdoła wydobyć się z błota i że ojciec nigdy nie dowie się o tym, jak głęboko jego syn w tym bagnie ugrzązł. Brał udział w wyścigach konnych, stawiał wysokie miary i nieraz wygrywał sporo pieniędzy, ale innym razem tyle samo - albo i więcej - przegrywał. Kiedy w końcu był już po pas w błocie, wołał - jak myślę - zginąć marnie niż zwrócić się o pomoc do swych arystokratycznych przyjaciół. Uczynił jednak coś jeszcze gorszego: nie mając innego wyjścia, zaczął pożyczać pieniądze od szynkarzy, od służących kolegium i innych ludzi drobnej kondycji, którzy oczywiście nie mogli zdecydować się na utracenie nawet niewielkich sum. Jeśli jednak chodzi o moje osobiste zetknięcia z Munem, to nigdy nie miałam mu nic do zarzucenia. Żywił on bowiem przekonanie, że prawdziwy dżentelmen, choćby nie wiem jak był pijany, winien zawsze traktować damy z takim szacunkiem i atencją, jak gdyby był całkowicie trzeźwy.

Pierwszy raz w życiu ujrzałam go pewnego marcowego popołudnia roku 1637. Był do nas zaproszony na obiad na środę, ale pomylił dzień i tak się zdarzyło, że w chwili jego przyjazdu wszyscy mężczyźni byli poza domem, gdzieś na polowaniu w towarzystwie Tyrrellów, a matka była zbyt zajęta w mleczarni (gdzie właśnie wytłaczano sery), aby mogła go bawić. Żona rządcy, która czuwała nad mleczarnią, właśnie poroniła - na miesiąc przed spodziewanym terminem porodu. Oprócz niej zaś tylko moja matka znała sztukę przyrządzania śmietankowych serków. Tego dnia matka zrobiła z mleka dziesięciu krów dwanaście funtów takich serków i ułożyła je w płaskich skrzyniach drewnianych, aby się odleżały.

Matka przeprosiła Muna, że nie może go bawić. Kiedy jednak chciał odjechać, w żaden sposób na to nie pozwoliła. Byłoby to bowiem obrażą dla jego rodziny, którą matka miała w wysokim poważaniu. Powiedziała zaraz: „Panie Verney, oto moja córka, Marie. Będzie ona, za twoim pozwoleniem,

pełnić rolę gospodyni, zanim ja nie będę trochę swobodniejsza. Widzisz waszmość, że teraz jestem po łokcie zamoczona serwatką, a kadzie jeszcze się nie wypełniły serami. Marie, jeśli sobie tego waszmość życzysz, pokaże ci bibliotekę i stajnie. Możesz palić tytoń w jadalni - tylko proszę, nie pal w pokojach bawialnych - i służba dostarczy ci wszelkich napojów, jakich w granicach rozsądku będziesz mógł zaprzagnąć". W taki sposób zdarzyło się, że już przy tym pierwszym naszym spotkaniu zostałam przedstawiona Munowi jako dorosła kobieta. I dla honoru domu podejmowałam go bardzo obyczajnie i uprzejmie. Kiedy zaś pełniłam te obowiązki, nagle - po raz pierwszy w moim życiu - ogarnęła mnie miłość do mężczyzny.

Mun nie był nazbyt barczysty, ale miał niezwykle wdzięczną i smukłą figurę. Miał szerokie czoło i wyrazisty, szlachetnie zarysowany nos, który kompensował szczupłość i bladość Jego policzków. Oczy były lekko zamglone melancholią, włosy - gęste, jedwabiste, piękne - opadały mu na ramiona, wijąc się ciemnymi splotami. Odziany był w strój łowiecki z czerwonego sukna z guzikami srebrnymi i perłowymi i w hiszpański kapelusz do konnej jazdy. W rękę trzymał biczyk, którego rączka była misternie ozdobiona muszelkami. Siedząc okrakiem na plecionym krześle, potrafił końcem biczyka uderzyć ziarnko fasoli albo grochu - leżące na podłodze w odległości I rzędu albo czterech kroków od niego - w taki sposób, że wirowało jak fryga przez całą salę.

Przyjechał z uniwersytetu w ponurym nastroju, który pogłębiła jeszcze lekkomyślna pomyłka co do terminu wizyty. Ale moja nieśmiała obecność wywarła na niego jakiś dziwny wpływ. Ledwie zamieniliśmy ze sobą parę słów o jakichś obojętnych sprawach, nagle rozjaśniła się twarz Muna. Był tak dobry, że powiedział mi: „Panno Marie, jakie piękne masz włosy! Na honor, nigdy nie widziałem piękniejszych. W blasku słońca jaśnieją jak delikatne złociste nitki”.

Podziękowałam mu za komplement i rzekłam, że bardzo pragnęłabym, aby moje rysy dorównywały włosom, które Istotnie były w swoim rodzaju ładne; jednak - niestety! - zwierciadło matki powiedziało mi, iż rysy mej twarzy nie są kształtne, zwłaszcza nos.

„Zwierciadło twej matki jest zazdrosne, na pewno - odrzekł. - Daję ci słowo, że cała twoja twarz, nos i wszystko Inne jest jak u leśnej boginki”.

„A czy widziałeś waszmość kiedykolwiek taką pannę leśną? - zapytałam przekornie. - Bo jeśli nie widziałeś, to jakże możesz snuć takie porównania?”

Namyślał się przez chwilę, zanim odpowiedział. „Żeby tak prawdę powiedzieć - rzekł wreszcie - nigdy nie widziałem. Parę lat temu jednak było o nich wiarogodne świadectwo. Pokazały się niedaleko stąd, na wzgórzach Hinkseys, nie więcej niż o milę od Oksfordu. Wzgórze te zwrócone są ku stronie południowej i mają wiele ogrodów i gajów. Leśne boginki zaś, jak wszyscy powiadają, wybierają zawsze południowe stoki i secreta amant, fugiunt aperta, to znaczy: «kochają leśne zakamarki, a stronią od szerokich pól». Stary dr Corbett, który był tu biskupem, zanim przeniesiono go do Norwich, napisał, iż owe śliczne panny często płąsały w blasku księżyca za dni naszych babek:

Jeszcze zostały piosnki, które Za dni królowej Marii Dzwoniły płąsom
leśnych panien Na księżycowej darni.

Lecz potem przyszła Elżbieta,

Jakub zasiadł na tronie - Odtąd leciutkich stóp tańczących Nie znało żadne
błonie.

Dr Corbett na tej podstawie wnioskuje, że wyznawały one dawną religię i dlatego po śmierci królowej Marii większość ich umknęła za morze w tym samym okręcie, który zabrał spowiednika królowej i innych księży”.

Powiedziałam Munowi, że - jak słyszałam - jeszcze można było odpowiednią prośbą skłonić te anielskie istoty, aby się ukazały. Pisał o tym niegdyś stary dr Simon Forman, który -choć pod wieloma względami był łotrem - jednak zasługiwał na pełne zaufanie we wszystkich sprawach dotyczących jego sztuki. Na jego schodach zawsze było tyle duchów, że każdy, kto tam szedł zapukać do drzwi uczonego, mógł posłyszeć ich szelest, niby szmer przelatujących sów. „Oświadczył on jednak kiedyś mojemu ojcu - mówiłam - że bynajmniej nie każdemu człowiekowi ukazują się owe tajemnicze boginki, choćby nawet nie wiem jak długo powtarzał odpowiednie zaklęcie”.

„A jakie jest to zaklęcie?”, zapytał Mun.

Odpowiedziałam mu, że zaczyna się tak: „O beati Fauni proles, turba dulcis pygmaeorum - O, najdroższe karzelki, dzieci Fauna błogosławionego, ale nie znam dalszego ciągu, gdyż dr Forman nie chciał mojemu ojcu sprzedać tajemnicy za cenę choćby o pensa mniejszą od 200 funtów, a takiej sumy ojciec nie chciał - a może nie mógł - zapłacić. Tyle jednak powiedział dr Forman, że wszyscy, którzy pragnęliby wzywać owe boginki, a zwłaszcza ich królowę, Mikol, koniecznie muszą ubierać się czysto i schludnie, odżywiać się w sposób umiarkowany, wieść prawe życie i żarliwie modlić się do Boga”.

„A więc nigdy żadnej z nich nie zobaczę! - powiedział Mun. - Bo ja, jeśli mam mówić szczerze, nie jestem bynajmniej umiarkowany ani w jedzeniu, ani w picciu; a również życie moje nie jest we wszystkim prawe, ani też moje modlitwy do Boga nie są żarliwe, gdyż w ostatnich czasach zawisła jakaś mgła pomiędzy Nim a mną, jakaś mgła, przez którą nie mogę się przedrzeć. A jednak ujrzałem dziś - chociaż nie wypowiedziałem zaklęć i nie zadałem sobie żadnego trudu - ujrzałem zjawisko, które zadowoliło mnie w pełni. Chociażbyś bowiem waćpanna nie była boginką leśną, jesteś jednak najpodobniejszą do niej istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. I nie wydajesz mi się bardziej cielesna niż one”. Mówił poważnie, nawet bez cienia uśmiechu. Potem zaś westchnął i spuścił wzrok jak ktoś, co żałuje szaleńczego trybu swego życia. Patrzyłam na niego, zachwycona, podczas gdy on nożykiem zdrapywał błoto z obcasa.

Wzrok ma w sobie jakąś siłę, siłę zimnego płomienia, którą nagle zaczyna odczuwać człowiek, jeśli się w niego ktoś wpatruje. Wiele razy tego doświadczyłam. Siedząc na tłumnym zebraniu, nieraz mówię sobie: Ktoś z lewej strony przypatruje się uparcie mojej twarzy, albo: Ktoś z tyłu pożera oczami moje włosy - i wystarczy, żebym raptownie się odwróciła, a za każdym razem

odkrywam, że istotnie tak jest; osoba, która się we mnie wpatruje, odwraca wzrok, zmieszana. Jeśli chodzi o kobietę - a mogę tu przemawiać tylko w imieniu kobiet - to takie uświadomienie sobie cudzego wzroku może budzić w niej jedno z dwóch zupełnie różnych uczuć: albo uczucie ogromnego obrzydzenia - jak gdyby ktoś zuchwale przywłaszczył sobie jej ciało; albo też, czasami, uczucie głębokiej rozkoszy - jak gdyby z owym cudzym wzrokiem spływało na nią jakieś trwałe dobrodziejstwo, tak wielkie, że jeśliby była kotem, mogłaby mruczeć rozkosznie. Nie wiem, w jaki sposób Mun odczuwał siłę mego wzroku. Nagle jednak podniósł głowę i przestał oskrobywać buty, choć jeszcze nie skończył tej pracy. Uśmiechnął się promiennie, patrząc na mnie w milczeniu. Ja też milczałam i nadal patrzyłam prosto w jego oczy.

Nie wiem, ile czasu tak siedzieliśmy. W końcu jednak się opamiętałam i spojrzałam ku oknu. Po chwili zapytałam go poważnie, jak to się stało, że zachował tak piękne długie włosy, chociaż podczas ostatniej wizytacji króla jegomości w Oksfordzie, ubiegłego sierpnia, wydano polecenie, aby wszyscy studenci - pod groźbą wyrzucenia z Uniwersytetu - obcięli włosy po koniuszki uszów.

„Ach, uniknąłem tego dzięki pomocy mojego czulego ojca - powiedział. - Na cały czas pobytu króla w Oksfordzie ustanowiono w każdym z naszych domów dyżurnego. Ponieważ zaś zorientowałem się, że najważniejszą spośród reform, jakie przeprowadzą oni dla przypodobania się jego królewskiej mości, będzie obowiązek skrócenia włosów, napisałem do ojca błagalny list, aby natychmiast zabrał mnie do domu, zanim utracę swoje loki. Domyślałem się, że surowość dyżurnych będzie trwała najwyżej tydzień. Nie pomyliłem się. Po odjeździe najjaśniejszego pana mogłem już się śmiać beztrąsko, paradując przed nimi w całym przepychu moich splotów. Swoją drogą zupełnie nie rozumiem, dlaczego król jegomość w całej tej sprawie długich włosów nagle przyjął postawę purytanina”.

Ja też nie rozumiem - krzyknęłam - chociaż moja matka powiada, że długie włosy są często schronieniem dla niedobrej zwierzyny”.

„Cóż dalej? - rzekł Mun, podnosząc się z krzesła. - Może byśmy tak wyszli na pole i razem nazbierali pierwiosnków, aby ofiarować je twojej matce? Jeden czy dwa pierwiosnki to nic nie znaczy, ale wazon pełen kwiatów może rozkosznie odświeżyć stęchłe powietrze w całym pokoju”.

Ucieszyła mnie ta propozycja, gdyż zbieranie kwiatów dla domu należało do moich obowiązków, a dzieci nie chciały mi w tym pomagać albo też zrywały same główki kwiatów. I powiodłam więc Muna do zagajnika za stajniami, gdzie pierwiosnki mają długie łodygi, a rosną tak gęsto, że można zgarnąć dziesięć kwiatów za jednym wyciągnięciem ręki. Przeszliśmy przez niewielką łąkę, której murawa, nasycona deszczem, syczała pod naszymi stopami.

„To jest dobra łąka do tańca, kiedy słońce ją wysuszy”, powiedziałam.

„Wezwij mnie tu w lipcu - rzekł na to Mun - a zobaczysz, że żwawy ze mnie tancerz”.

Gdy doszliśmy do żywopłotu, który oddzielał łąkę od gaju, Mun podał mi rękę, abym mogła łatwiej przeskoczyć. Jego ręka była silna i pewna, a moja drżała. Zabraliśmy się do zrywania kwiatów. Zauważyłam, że Mun układa pierwiosnki bardzo porządnie w koszyku, rozdzielając je na niewielkie pęki luźno związane suchą trawą, a do każdego pędu dodaje pięć czy sześć wąskich zielonych liści, aby uwydatnić delikatną barwę kwiatów. Pochyleni w cieniu drzew, gwarzyliśmy ze sobą. Naszą uwagę pochłaniało zbieranie pierwiosnków, ale fantazja była dostatecznie swobodna, aby bujać wśród obłoków.

Chociaż jeszcze przed niespełną godziną byliśmy wobec siebie zupełnie obcymi ludźmi, miałam teraz takie uczucie, jakbyśmy znali się przez całe życie. Z całą szczerością powiedziałam to Munowi.

„Nie - odrzekł - nie przez całe życie ludzkie, ale od wieków”.

Wtedy, na mocy jakiegoś niewypowiedzianego porozumienia, zaniechaliśmy zbierania pierwiosnków, chociaż żadne z nas nie dopełniło jeszcze swego bukietu. Mun wziął moje kwiaty i złączył je ze swoimi, najpierw dodając do nich parę dużych fiołków, jakie rosną w naszych lasach i gajach. Mają one liście pokryte meszkiem i białe prążki na płatkach blado-niebieskich; są jednak pozbawione zapachu.

„To bukiet do twojego pokoju, moja luba”, rzekł.

Usiedliśmy blisko siebie na pniu zwalonego drzewa. Mun zapytał: „Czy słyszałaś kiedykolwiek o Greku Pitagorasie?”

„Słyszałam, oczywiście! Mój brat, James, studiuje teraz księgi Euklidesa. W pierwszej z nich jest twierdzenie, które właśnie wczoraj demonstrował mi na podwórzu. Układał na śmietniku trójkąty i kwadraty z patyków. I mówił: czy to nie piękne dowodzenie, siostrzyczko? Euklides zaczerpnął je od niejakiego Pitagorasa”.

„Czy rzeczywiście ci się tak spodobało?”, z uśmiechem zapytał Mun.

„O, zapewniłam Jamesa, że jest cudownie piękne. Ale akurat przechodził stary Marten, drwal, i, zobaczywszy te poukładane patyki, przemówił do Jamesa z całą powagą: «Paniczu, ośmielę się powiedzieć, że czcigodny twój ojciec byłby bardzo niezadowolony, gdyby zobaczył, jakie diabelskie znaki panicz układa na jego podwórzu». I dodał jeszcze: «Gdyby tak Łaciata przypadkiem postawiła kopyto na jednej z tych figur, poroniłaby cię przed czasem. Uważaj, paniczu, uważaj!»”.

„Tak - rzekł Mun - to właśnie ten Pitagoras, o którym chciałem ci mówić. Głosił on również naukę o tak zwanej "inetempsychozie». Według tej nauki dusza - kiedy mężczyzna albo kobieta umiera - nie odchodzi do czyśćca ani do otchłani, ani do żadnych innych miejsc zaświatowych, ale wstępuje w ciało innej osoby, a czasem - jeśli ma ponieść karę za występki - w ciało wieprza albo lwa, albo wilka, i tak przechodzi z ciała do ciała aż do dnia Sądu, na którym wszystkie jej czyny będą obrachowane. Powiadają, że Pitagoras doszedł do tego poglądu dzięki przypomnieniu sobie swoich własnych minionych istnień, dwóch czy trzech. Jeśli więc my oboje mamy teraz takie uczucie, jakbyśmy znali się od

bardzo dawna, to, być może, iż nie jest to żadna próżna fantazja, ale rzetelna prawda. Nie wiem tylko tego, czy byłaś moją siostrą w Atenach Arystotelesa, czy żoną w Rzymie cesarów, czy też miłowaną na dworze króla Artura, damą serca, której rękawiczkę nosiłem jako godło przy mej misiurce”.

„To bardzo dziwna i bardzo piękna nauka”, rzekłam.

Wracaliśmy do domu powoli, nie mówiąc ani słowa, a gdy Mun znowu pomagał mi w przechodzeniu przez żywopłot, już nie mogłam się opanować, zapłakałam cicho - z radości.

Nie wiem, czy on uświadamiał sobie, jak głębokie ślady wyłobił wówczas na świeżym wosku moich uczuć. Ale pocałował mnie w rękę i powiedział, iż przez cały ten czas, odkąd studiuje na uniwersytecie, nigdy jeszcze nie spędził tak szczęśliwej godziny. Kiedy to mówił, nagle rozległy się krzyki i tętent na gościńcu. Niebawem nadjechał cwałem mój ojciec i brat, Richard, za nimi zaś, mniej więcej w odległości strzału z łuku, pędził James. Spiesznie pobiegłam do domu, całując ukrycie bukiet. Tego dnia nie miałam już sposobności, żeby przemówić choć jedno słowo do Muna; ani on nie przemówił do mnie.

Teraz, kiedy leżałam chora w moim pokoju, a Trunco otaczała mnie opieką, dziesiątki razy wracałam myślą do owego dnia, powtarzając sobie szeptem słowa, które Mun wtedy mówił do mnie, i słowa, którymi mu odpowiadałam. A raz w mojej wyobraźni nawet wyruszyłam razem z nim na wędrowkę miłosną do naszych pól leżących koło Lusher's Farm i do posiadłości zwanej Pilfrance. Była piękna czerwcową pogodą tuż przed sianokosami, kiedy trawa iskrzy się srebrem i złotem jaskrów i wielkich stokroci. I Mun pocałował mnie w same usta, i nazwał mnie swoim skarbem. I takimi słowami przemówił w moim marzeniu: „Niedługo będzie lipiec i skoszą siano, a wtedy będziemy pisać na murawie, na łące za stajniami. I będziesz moim najdroższym kochaniem”.

Rozdział trzeci

WIDZĘ KRÓLEWSKĄ PARĘ I JESZCZE KOGOŚ

Jeśli młoda panna do tego stopnia rozlubowana jest w sobie samej, że gotowa jest trudzić się zapisywaniem drobnych szczegółów swego życia, jak to właśnie ja czyniałam w mojej welinowej księdze, to śmiem twierdzić, iż zawsze rozpoczyna ona od oglądania, śledzenia i studiowania swej postaci w zwierciadle i czyni z niej niejako kartę tytułową całej opowieści. W wypadku młodego dżentelmena sprawa przedstawia się inaczej: on zaczyna od kolekcji znakomitych przodków i od opisu, jak to oni szlachetnie się upamiętnili w pradawnych bitwach i oblężeniach. Jeśli zaś jego ojciec był novus homo (jak bez estymy nazywamy świeżo upieczonych szlachciców, którzy dorobili się fortuny na handlu), to rozpoczyna on od dziadka (bogobojnego dzierzawcy, pochodzącego z tej a tej miejscowości, szanowanego przez sąsiadów) i pisze o jego rodowych związkach z jakimś wielkim domem. Nie omieszka też - dla swej własnej pociechy i honoru - wspomnieć, iż dziadek ów wywodził się ze starszej linii wyżej wzmiankowanego wielkiego rodu, która w wojnach domowych między książętami Yorku a Lancasteru stała po stronie tych drugich i utraciła wszystko na polu Bosworth; wtedy to owi przodkowie przezornie zmienili swe nazwisko z Bolton albo de Manny albo de Lancaster na zwykłe Hogman albo Henman.

Kiedy więc dokładnie obejrzałam się w podręcznym zwierciadélku, zobaczyłam oczy szaroniebieskie, wąskie czoło, Twarz raczej pociągłą niż okrągłą, prosty nos, wargi trochę wydęte, w ustach tylko dwie szczyrby (brak dwóch tylnych zębów), uszy długie i wąskie. Ręce zadowolily moje badawcze spojrzenie, gdyż byly małe, długie i kształtne. Teraz, po dziesięciu dniach mojego leżenia w łóżku, były dzięki bezczynności tak gładkie i śliczne, jakbym je codziennie myła w mleku i wodzie różanej. Jeśli zaś chodzi o włosy (nie piszę tego, aby się chwalić, gdyż jest to przecież dar natury), to stanowiły one dla wszystkich przedmiot podziwu: były tak długie, że sięgały mi aż do stanu, i tak gęste, że każdego ranka musiałam pół godziny poświęcić na to, aby je dobrze rozczesać. Zara nie patrzyła na nie przychylnym okiem, gdyż jej włosy były szurzego koloru, cienkie, wiotkie i niezbyt długie.

Jestem, jak na kobietę, mniej niż średniego wzrostu, ale nogi mam proporcjonalne do wymiarów ciała; widziałam zaś nieraz kobiety niskiego wzrostu i przeciętnej tuszy, mające nogi krótkie i grube jak u kaczek - w Forest Hill nazywa się je „motylkami”. Piersi moje są kształtne i nigdy nie opadają na zebra. Skóra, jak zobaczyłam w zwierciadle, nie jest olśniewająco biała, ale raczej ma barwę brzoskwini i pokryta jest takim samym jak brzoskwinia

meszkiam. Wbrew temu, co mówiłam Munowi w dniu naszego pierwszego spotkania, raczej przychylnie oceniałam swą twarz i całą postać. Wówczas jednak byłam jeszcze niedojrzała, moje ciało miało kształty chłopięce, kości twarzy były jeszcze surowe i nieukształtowane; zwłaszcza nos nie urósł jeszcze do swoich pełnych rozmiarów. Ale od owego czasu wady te zniknęły.

Imię moje, Marie, nadano mi na cześć królowej, żony króla Karola. Król jegomość nazywał żonę zawsze jej drugim imieniem: Marie, a nie pierwszym Henriette. Poślubił ją akurat na parę miesięcy przed moim urodzeniem. W późniejszych latach nieraz widziałam królową w Oksfordzie u boku króla. Pierwszy jednak raz zobaczyłam ich w Enstone (miejscowości leżącej o kilka mil na północ od Woodstock), w domu dziedzica Thomasa Bushella. Miałam wtedy dziesięć lat. Rodzina nasza utrzymywała bliskie stosunki z sąsiadem, sir Thomasem Gardinerem, seniorem, z Cuddesdon, który był sędzią karnym Londynu, i z jego synem, młodszym sir Thomasem, późniejszym mężem młodszej siostry Muna, Cary. Pewnego sierpniowego dnia młodszy sir Thomas odwiedził mego ojca i oznajmił nam, że za dwa dni - czyli dwudziestego trzeciego sierpnia - odbędą się wielkie uroczystości w domu dziedzica Bushella w Enstone, które zaszczyca swą obecnością para królewska. Sir Thomas zapytał ojca, czyby z nim nie pojechał. Zapewniał go, że będzie tam mile widziany. Ojciec wymówił się zbyt krótkim terminem, nie ma przecież odpowiedniego kapelusza, kaftana ani koronek, w których mógłby Nłanać przed obliczem królewskiego majestatu. Wątpił, czy zdoła wymóc na krawcach, aby w ciągu dwóch dni uczynili z niego dżentelmena. „Poza tym - mówił - właśnie dziś zniemy jęczmień na naszym polu w Picked Stone, a za dwa dni będzie się go układać w kopy; muszę tego sam dopilnować”.

Wtedy sir Thomas powiedział, że w dniu owej wizyty królewskiej pary, wczesnie z rana, jego matka i młoda kuzynka będą przejeżdżały obok naszego domu wygodnym nowym powozem, zmierzając z Cuddesdon do Enstone, a on będzie towarzyszył im na koniu. Proponował więc mojemu ojcu, aby jego dwie starsze córki zabrały się tym samym powozem; już on na pewno zatroszczy się dla nich o dobrą opiekę i dobre przyjęcie.

Ojciec chętnie się zgodził. Miałyśmy więc pojechać my dwie, Zara i ja. Tak się bowiem złożyło, że właśnie w ubiegłym tygodniu byłyśmy druhami na ślubie kuzynki Agnes Archilale i obie miałyśmy nowe atlasowe suknie kremowego koloni z krótkimi rękawami, ujętymi na łokciach w złote rozety; matka zaś miała mi pożyczyć perełkowy naszyjnik i fartuszek z greckiej koronki. Sir Thomas nie powiedział nam wówczas nł słowa o widowisku, jakie miałyśmy zobaczyć w Enstone; wołał, żeby było niespodzianką.

Gdy nadszedł ów dzień, wsiadłyśmy do powozu, który zaraz ruszył w drogę. Najpierw przejechaliliśmy obok Beckley, dokąd nieraz jeździliśmy konno, siedząc na tylnym siodle za ojcem albo bratem, Richardem. Dalej mineliśmy owo miejsce, powyżej Noke, skąd widzi się trzy wieże kościelne - jedną za drugą w prostej linii - i wreszcie dotarliśmy do miasteczka Islip. Nie

odwiedzałyśmy tej miejscowości już chyba od dwóch czy trzech lat, bo prawie wszystkie nasze letnie przejażdżki zmierzały w zupełnie przeciwnym kierunku, ku naszej posiadłości w Wheatley albo do Oksfordu. Islip więc wydało się nam zupełnie nowym, nieznanym miejscem. Było to małe miasteczko, ale prawie każdy jego dom był oberżą, a w pozostałych znajdowały się kuźnie i sklepy kołodziejów. Dwóch czy trzech pijanych mężczyzn leżało w rynsztokach twarzą w dół, a inni wyciągnęli się na trawie u stóp wiązów rosnących przy bramie kościoła. Podobny widok rzadko można było zobaczyć w Forest Hill nawet w dzień świąteczny, a już nigdy w godzinach porannych, jak to działo się tu; nasz konstabl bowiem był bardzo srogi dla pijaków. Wielka liczba oberży i kuźni wynika stąd, że przez Islip przejeżdża ciągle mnóstwo powozów i furgonów, bo jest tam most kamienny, jedyny most w obrębie wielu mil. Naokoło rozpościera się bagnista równina. Tu zaś jest twardy grunt nawet w lutym. Pod mostem płynie niewielki strumień Ray, dopływ rzeki Cherwell, mocno zarosły sitowiem. Na jego brzegach szumią wysokie, prześliczne osiki i gęgają wielkie stada gęsi.

Wyjechawszy z miasteczka, ujrzałyśmy po prawej stronie starą stodołę i stajnię stojącą wśród pól. Woźnica wskazał na nie batem i powiada: „Tu, panienko, jest kaplica króla Edwarda, zwanego Wyznawcą, Saksończyka. Teraz było poi się z jego chrzcielnicy i - do krośset! - to jest słuszne, bo on wyznawał rzymską religię, a nie prawdziwą wiarę chrześcijańską”.

Sir Thomas opowiedział nam wtedy - przez okno powozu - że to właśnie ów król pierwszy otrzymał od anioła dar leczenia poprzez dotknięcie ręką chorych na fistulę, czyli na „chorobę królewską”. Od niego dar ów przeszedł w prostej linii dziedzictwa na miłościwie nam teraz panującego króla Karola; może nawet dziś będziemy się mogły same przekonać o prawdzie tych słów. Dodał jeszcze, że właśnie w Islip, z kamieniołomów założonych przez króla Edwarda wydobywa się głazy, z których zbudowano opactwo westminsterskie w Londynie; spławiano je rzeką Cherwell na barkach.

Potem sir Thomas pojechał szybciej naprzód, aby złożyć uszanowanie jakiemuś swemu przyjacielowi w Hampton Gay. Obiecał, że przyłączy się do nas znowu w Enstone. Jechaliśmy więc dalej przez Kidlington, gdzie ujrzałam wielki wydrążony wiąz, który służył jako więzienie, i przez inne miejscowości, nieodznaczające się niczym szczególnym, aż dotarliśmy do Woodstock, bardzo starego miasta, gdzie wyrabiają piękne rękawiczki i znakomite noże. Ulice zatłoczone były ciżbą mieszczan i ich żon, odzianych w stroje odświętne i czekających cierpliwie, aby zobaczyć orszak królewskiej pary. Przednie ściany domów obwieszane były flagami, proporcami, chorągiewkami. Z okien zwisały jedwabne kapy i wszędzie, nawet w oknach skromniejszych domów, było mnóstwo kwiatów: róże, peonie, goździki, tojady. Burmistrz i jego urzędnicy w paradnych szatach stali na rogu i bez końca dopytywali się: „Czy forysie jeszcze nie nadjechali? Kiedyż oni nadjadą?”.

Stanęliśmy w oberży „Pod Niedźwiedziem”. Tam zjedliśmy chleb z zielonym serem i marmoladą z pigwy, które mieliśmy ze sobą w powozie.

Zamówiliśmy też jeden czy dwa garnce cienkiego piwa. Potem zaś - widząc, że pogoda była piękna, a gościniec czysty - aż do końca miasta szliśmy pieszo, podczas gdy powóz jechał w niewielkiej odległości za nami. Doszliśmy do domu zwanego „domem Chaucera” i do bramy Królewskich Ogrodów. Ogrody te król Henryk I otoczył murem, aby mogły tam biegać swobodnie przeróżne dzikie zwierzęta, jakie otrzymywał w darze od innych książąt. Miał wielbłądy, rysie, lamparty i lwy, ale nie utrzymały się one długo, bo jedne pożerały drugie i nie były zdolne do rozmnażania się. W końcu została tylko jezatka, zwierzę mające kształt wielkiego jeża. Powiadają o nim, że grzechocze swymi kolcami i godzi nimi w atakujące go psy; tym sposobem potrafi zabić nawet lwa. Jednakże owa jezatka już od wielu stuleci nie żyła. Teraz był w Ogradach tylko jeleni oraz kilka bobrów i lisów.

Jeden wszakże dziw pozostał, a mianowicie Echo. Pouczono nas, że trzeba stanąć w rogu muru opasującego trzy stogi siana i tam nasłuchiwać, podczas gdy woźnica będzie wykrzykiwał jakieś słowa, stojąc naprzeciw królewskiego pałacu, który wznosi się na niewielkim wzgórzu nad strumieniem. Echo, jak nam powiedziano, powtarza tu dziewiętnaście sylab w dzień a dwadzieścia w nocy. Lady Gardiner rzekła więc do woźnicy: „Hob, zejdź no z kozła i wykrzyknij coś do nimfy Echo, bo te panienki chciałyby usłyszeć, jak ona ci odpowie. Nie, nie tu, stań w tamtym rogu!”.

Jestem do usług, łaskawa pani - powiada on. - Ale jakie słowa mam wykrzyknąć?”

Jakie chcesz, kapuściany łbie - odrzekła cierpko - byle nie jakieś sprośne świństwa”.

Tak upoważniony, Hob mocno rozkraczył nogi, odkaszlnął, chrząknął i wreszcie zaczął wrzeszczeć wielkim głosem:

Wyszło mi gardło, poblady lica,
Ulżyć mi może piwa szklanica!

Echo odpowiedziało natychmiast: „Szklanica - nica - ica - ica - ca!”.

„Słuchajcie, dzieci! Słyszałyście, prawda? - mówiła stara lady Gardiner. - Kochany Hob, zawołaj jeszcze raz, ale ustaw głos trochę wyżej”.

Pocziwy Hob nie wiedział, w jaki sposób ustawić swój głos wyżej, potrafił tylko zawrzasać jeszcze głośniej. Począł więc znowu ryczeć ku nimfie Echo:

Zbladły mi lica, głowa się kiwa,
Ulżyć mi mogą dwa kufle piwa!

Cała odpowiedź nimfy była tylko taka: „Kufle - ufle - piwa - iwa - wa!...”.

Wówczas lady Gardiner wreszcie się rozsierdziła i powiada ostro do Hoba: „Właz z powrotem na swój kozioł, draniu, zanim nas doprowadzisz do zupełnej ruiny tym nienasyconym pragnieniem. Zaraz będziesz prosił o trzy szklanice grzanego wina ze śmietanką albo zacnego cheresu z korzeniami!”.

Przez cały ten czas pewien dżentelmen, którego piękna kasztanowata klacz przywiązana była do bramy ogrodu, obserwował nas, stojąc w pobliżu. Zara już

przedtem pociągnęła mnie za rękaw i zamruczała cicho: „Spójrz, Marie, na tego dziwnego dżentelmena! Czy widziałaś kiedy takiego jak on?”

Był ubrany skromnie, ale gustownie, bynajmniej nie w owym natrętym, pokorniułkim stylu obłudnych purytanów, którzy skracają to, co ludzie bogaci i dostojni noszą długie, a wydłużają, co tamci noszą krótkie; i którzy - unikając radosnych barw - lubują się w posępnej czerni albo w kolorze ciemnobrunatnym czy w beznadziejnej szarości. Jego ubranie było niezwykle dobrze skrojone: kaftan barwy gołębioszarej ze spadającą kryzą w holenderskim stylu; jasnoszare pończochy jedwabne i ciemniejszy trochę od kaftana - wpadający w barwę niebieską - płaszcz z rękawami, do tego szpada ze srebrną rękojeścią i kapelusz z szerokim rondem bez piór. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krzepkiej postawy, o szybkich ruchach doświadczonego fehmistrza. Włosy miał lśniące, o barwie jasnego kasztanu, a co się tyczy jego twarzy, to właśnie jej szczególny wyraz sprawił, że Zara pociągnęła mnie za rękaw. Rysy miał kształtne i czystą cerę, długi podbródek i nos, wysokie czoło, oczy ciemnoszare i jakby kobiece, usta małe i o szlachetnej linii. Przy tym wszystkim jednak było w tej twarzy coś trudnego do określenia, wyraz jakiejś wyniosłości i świadomej mocy, tak wielkiej, iż wydawało się, że człowiek ten stanął tu po to, aby dochodzić swych pradawnych praw do władzy nad pałacem - wbrew wszystkiemu, choćby wbrew całemu krajowi, głoszącemu, iż dobro to należy do króla. Stał z ustami zaciśniętymi, patrzył przed siebie bez zmrużenia i szpicem buta stukał w ziemię, jak gdyby przez cały czas z trudem powstrzymywał się od namiętnej przemowy. Jeśli chodzi o jego wiek, to można by sądzić, że był gdzieś między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia. Ów dżentelmen, kiedy Hiob markotnie wdrapał się z powrotem na swój kozioł, podszedł do nas, zdjął kapelusz, kłaniając się powściągliwie i sztywno, i rzekł: „Aczkolwiek nie mam jeszcze zaszczytu znać was, dostojne panie, jednak pochlebiam sobie, iż mogę być wam użyteczny. Wasz głupkowaty auriga[7] bowiem nie ma absolutnie żadnego pojęcia o tym, jak należy zwracać się do nimf. Jeśli pozwolisz, pani, pokażę tym młodym panienkom, jak należy to uczynić”.

Starsza dama była nieco zaskoczona władczą swobodą, z jaką nieznajomy dżentelmen narzuczał się nam ze swoimi usługami, chociaż nikt go o to nie prosił. Nie odprawiła go jednak. Oświadczyła krótko, że jeśli sobie życzy, może zademonstrować ową umiejętność, a ona wyrazi mu wdzięczność uzależnioną od tego, w jakim stopniu próba jego zostanie uwieczniona powodzeniem.

„A więc po pierwsze - zaczął (przemawiał płynnie, niby doktor matematyki, i wymawiał głoskę „r” bardzo mocno, prawie jak Szkot) - twój woźnica, pani, nie stanął we właściwym centrum phonicum[8], czyli miejscu, skąd należy przemawiać.

[7] woźnica (łac.)

[8] ośrodek akustyczny (łac.)

Miejsce to według moich obliczeń znajduje się w odległości około trzydziestu kroków od rogu, gdzie on stanął. Odległość od grzbietu wzgórza, z którego Echo odpowiada, można dokładnie ocenić według owej liczby sylab, o której mówiłaś, pani. W moich obliczeniach wynosi ona 456 kroków geometrycznych. Ponieważ zaś - jak to wszyscy przyznają - na jedną sylabę wypadają dwadzieścia cztery kroki, więc Echo może powtórzyć dziewiętnaście sylab. Nie wolno jednak - jak już zaznaczyłem - szukać centrum phonicum w rogu muru, który nie leży pod kątem prostym wobec grzbietu wzgórza, ale trochę ukośnie; znajduje się ono raczej tu, gdzie teraz stoję. Miałas, pani, rację również wtedy, gdy polecałaś swemu słudze, aby ustawił głos wysoko. Albowiem grube i ciężkie dźwięki nie przemykają się tak łatwo przez medium^[9] gęstego powietrza doliny jak dźwięki lekkie i melodyjne. Dlatego też głos kobiecy jest w tym wypadku trochę lepszy niż głos mężczyzny, chyba że mężczyzna jest tenorem”.

To rzekłszy, władczy ruchem podniósł rękę na znak milczenia i począł wołać wiersz łaciński (którego dokładne brzmienie sprawdziłam potem, aby powtórzyć go w tej opowieści) bardzo czystym, silnym, śpiewnym głosem:

...Quae nec reticere loquenti,

Nec prior ipsa loqui didicit resonabilis Echo.

Tym razem Echo powtórzyło wszystkie słowa niemal zupełnie dokładnie, zachowując nawet dźwięk „s”. Wszystkie wyraziłyśmy nasz podziw, a stary Hob zawołał z powozu: „Do kroćset, Echo kpi sobie z uczciwej angielskiej mowy, a na paryską francuszczyznę odpowiada jak z nut. Niech franca ściśnie to głupie stworzenie!”.

Zara zapytała nieznajomego: „Co powiedziałaś, waszmość, Echu?”.

Wyjaśnił, iż słowa te w nieco swobodnym przekładzie znaczą mniej więcej tyle: Nimfa, będąc kobietą, jest tak dobrze wychowana, że ani nie zaczyna pierwszej rozmowy, ani nie wzdraga się przed udzieleniem odpowiedzi, jeśli ją ktoś zapyta grzecznie.

Zara nachmurzyła się, gdyż pomyślała sobie, że to przytyk do niej. On zaś - tym razem już bez niczyjego zaproszenia - znowu coś zawołał, ale nie chciał nam wyjaśnić treści owych słów. Myślę, że był to jakiś wiersz obraźliwy.

„Zdaje się - rzekła lady Gardiner - że jesteś, waszmość, człowiekiem uczonym. U mnie w domu rozmawiano któregoś wieczoru o echach tautologicznych. Czy możesz mi wyjaśnić, co to znaczy?”

Odpowiedział, iż są to echa, które powtarzają te same słowa dwukrotnie albo nawet jeszcze więcej razy. Końcem szpady począł kreślić na murawie linie, aby wyjaśnić rzecz matematycznie. „Takie echo tautologiczne - mówił - jest w Rzymie, u stóp wzgórza, na którego szczycie wznosi się biały marmurowy grobowiec dostojnej Cecylii Metelli;

[9] ośrodek, środowisko (łac.)

wszędzie dokoła zaś znajduje się wiele starożytnych murów, z których jeden, zwany Capo di Buoi, ozdobiony jest prawie dwiema setkami byczych głów wyrzeźbionych w marmurze. Mury te, będąc gładkie, jedne ku drugim odbijają echo, tam i na powrót, tak że jeśli ktoś pośle swój głos wzdłuż takiej linii - tu zaznaczył linię lekkim zamachem szpady - może usłyszeć pierwszy wiersz *Eneidy* Wergiliusza powtórzony osiem razy wyraźnie, a potem jeszcze wiele razy - ale już rozłamany i zamacony”.

Lady Gardiner i nasza kuzynka podziękowały mu za wykład. Skłonił się im bez uśmiechu i rzekł, iż nie sprawiło mu to żadnego trudu. Wtedy ona zapytała, czy mogłaby - bez zbędnych ceremonii - dowiedzieć się, jak się on nazywa.

Rozejrzył się dokoła, trochę dziwacznie, i minęło nieco czasu, zanim odpowiedział: „Pani, dzisiaj nie mam żadnego imienia, ale możesz mnie, jeśli łaska, nazywać Tyrezjaszem. Z profesji bowiem jestem poetą”.

Znowu skłonił się sztywno, wcisnął swój szeroki kapelusz na głowę, wskoczył na kasztanowatą klacz i odjechał cwałem poprzez park, ku prawej stronie, gdzie niebawem zniknął nam z oczu, pogrążywszy się w jakimś parowie.

„Tak, już dawno słyszałam, że wszyscy poeci są szaleni - powiedziała lady Gardiner. - Niewątpliwie szaleni i ogromnie narwani. Ale teraz do powozu, wszyscy! Poganiaj konie, Hob! Masz tu szylinga i jeszcze dwa razy po pół pensa na to piwo, o którym mówiłeś, łajdaku z ośłą głową!”

Wróciliśmy na gościniec wiodący do Enstone na krótką chwilę przed przybyciem do miasta forysiów królewskiej pary. Jechaliśmy więc dalej zwawym kłusem, aby się nie spóźnić, i po godzinie czy dwóch przybyliśmy do Enstone. Sir Thomas już tam czekał i oznajmił, że ma dla nas miejsca siedzące, z których będzie można dobrze obserwować widowisko. Opowiem teraz, co to było za widowisko. Esquire Bushell, człowiek bardzo pomysłowy, który zarządzał królewskimi kopalniami w majątkach walijskich, przed kilkoma laty oczyścił źródło zwane Złocistym Zdrojem, aby umieścić tam cysternę, z której mógłby czerpać wodę do picia. Cały grunt był dokoła zarosły krzewami i cierniem. Kiedy wycięto zarośla i usunięto wszystko, co stało na zawadzie, wyłoniło się wielkie źródło i skala tak cudownie ukształtowana przez samą naturę, że Esquire Bushell, jak sam powiadał, uznał, iż dla wyzyskania tej piękności warto zastosować całą sztukę inżynierską. Postawił więc tam cysterny i zmyślnie poumieszczał rury między skałami. Nad nimi zbudował letnią rezydencję z wielką salą biesiadną otoczoną wieńcem małych komnat; na piętrze zaś były jeszcze inne komnaty. Zasadził gaje składające się z różnych drzew krzaczastych, takich, które szybko wyrastają do wielkiej wysokości i wyglądają bardzo okazale, a między nimi położył kamienne chodniki. Były też małe mostki, kaskady i wszelakiego rodzaju niespodzianki. Teraz, gdy wszystkie te cuda były już gotowe, pragnął pokazać je królowi i królowej po raz pierwszy, podejmując dostojnych gości w sposób odpowiadający jego lojalności i jego wielkiej fortunie.

Zasiedliśmy na ławach, na platformie pokrytej zielonym sukniem wyszytym w kwiaty z kolorowego jedwabiu. Stała ona na wzgórzu wznoszącym się nad wodą. Po obu stronach mieliśmy wykwintne towarzystwo. Niebawem wszedł na platformę również nasz tajemniczy dżentelmen z Woodstock, a wraz z nim inny pan bardzo pięknie ubrany, o którym sir Thomas powiedział półgłosem do swej matki: „Spojrzyj, pani, ten dżentelmen w szkarłatach to pan Henry Lawes z przybocznej orkiestry króla. Znasz przecież jego pieśni. To właśnie on razem z panem Simonem Ivy skomponował całą muzykę na owo sławne widowisko w pałacu Whitehall, które się odbyło dwa czy trzy lata temu w dzień Matki Boskiej Gromniczej”.

„A ten drugi, z lśniącymi włosami, wysoki, który teraz rozmawia z panem Lawes, to chyba pan Ivy?”, spytała lady Gardiner.

„Nie - odpowiedział. - Nie domyślam się, pani, kto to może być, ale tyle przynajmniej wiem, że to na pewno nie pan Ivy, którego zresztą zobaczysz za chwilę. Wyłoni się on, przebrany za pustelnika, z urny stojącej pod tamtym łukiem, kiedy zacznie się przedstawienie”.

Dostłyszałam, jak nasz dżentelmen, który siedział teraz akurat za nami, opowiadał panu Lawes, że poprzedniego dnia przyjechał konno z Horton w Buckinghamshire i ubiegłej nocy spał w Oksfordzie. Pan Lawes pytał go, czym się teraz zajmuje. Zrazu nie odpowiedział na to pytanie, mówił tylko, że próbuje swych skrzydeł, sposobiąc się do wyższego lotu.

W końcu jednak wyszło na jaw, iż postanowił napisać wierszem sztukę o królu Makbecie, zamierzając w niej przewyższyć Williama Shakespeare'a, który jakieś trzydzieści lat temu napisał sztukę na ten sam temat. Shakespeare bowiem - mówił ów dżentelmen - był wprawdzie poetą obdarzonym wielką imaginacją, ale nie ujął swego tematu tak tragicznie, jak powinien to uczynić: w nedorzeczny sposób pomieszał wzniosłe momenty ze scenami sprośnymi, przez co zasłużył na wielkie potępienie; i do tego stopnia zaniedbał reguły jedności ustalone przez Arystotelesa, że jego sztuka chwilami pogrąża się w zupełnym absurdzie. Nasz dżentelmen mówił to wszystko ostrym i przenikliwym głosem. Sir Thomas musiał bardzo męczyć się tym, że będąc człowiekiem dobrze wychowanym, nie mógł mu przerwać i wtrącić się do rozmowy. Potem bowiem - kiedy już wracaliśmy do domu - mówił nam żarliwie, że żaden z dramatopisarzy nie potrafi dosięgnąć Shakespeare'a, absolutnie żaden, czy to w komedii, czy w tragedii, i że ten, kto próbuje go przewyższyć, musi być albo głupcem, albo łotrem.

Pan Lawes zaczął niebawem opowiadać o jakimś „naszym widowisku w Ludlow w dniu św. Michała”. Tak wielu znawców literatury - skarżył się - osób znakomitych, którym nie wypadało odmówić, prosiło go o odpisy recytowanych tam wierszy i o teksty piosenek, że już się całkiem zmęczył przepisywaniem. Przechodząc do rzeczy, zapytał: John, mój drogi, czy nie można by tego wydrukować w broszurze? Bo mów, co chcesz, ale to śliczna rzecz, godna największego poety, jaki kiedykolwiek żył na ziemi”.

Nasz dżentelmen czynił jakieś mrukiwe uwagi i wysuwał zastrzeżenia, powiadając, że wiele linijek chciałby w tych wierszach poprawić. „A więc cóż ci, na miły Bóg - zapytał pan Lawes - przeszkadza je poprawić?” Był tak natarczywy, że pan Tyrezjasz w końcu wyraził zgodę, ale niechętnie i z tym zastrzeżeniem, że jego nazwisko nie *może* się pojawić w żadnym miejscu broszury.

Nagle rozległ się dźwięk trąb, któremu odpowiedział szmer zaciekawienia wśród gości. Wszyscy lordowie i panowie odkryli głowy i podnieśli się z miejsc, a tak samo my, panie, chociaż dźwięk trąb był jeszcze dosyć daleki. Pan Lawes przeprosił naszego dżentelmena, powiadając, że jego miejsce jest wśród muzykantów, i serdecznie mu podziękowawszy, odszedł szybkim krokiem. W jakieś trzy minuty później przybyli do ogrodu forysie, heroldowie i trębacze. Trąbili i bili w bębny, ale ponad całą tę paradną muzykę wybijała się wrzawa ludu wiejskiego, który gorącymi okrzykami witał królewską parę wjeżdżającą z gościńca w bramę ogrodu. Któryś z kamerdynerów królewskich zauważył, że w cieniu drzew jacyś dwaj młodzi i elegancy panowie palili tytoń; wiatr przyniósł ku niemu smrodliwy dym z ich fajek. Bodąc konia ostrogami, rzucił się ku nim i całkiem grubiańsko wyrwał im fajki z ust, powiadając, że najjaśniejszy pan serdecznie nienawidzi odoru tego ziała. Zapytał ich też, czy przypadkiem nie wychowali się wśród tatuowanych dzikusów z Ameryki. Ogromnie byli skonfundowani.

Niebawem główna część orszaku ukazała się u stóp wodospadu: najjaśniejsi państwo na koniach - król na rosłej klaczy flandryjskiej (mówiono, że we wszystkich jego trzech królestwach nikt nie umiał dosiadać konia z takim wdziękiem jak on), a królowa na niewielkim arabczyku stawiającym nogi z taką gracją, jakby były namaszczone oliwą. Obok nich jechało paru wielmożów ze dworu, mężów znakomitej prezencji, spośród których wyróżniało się zwłaszcza trzech wspaniałych Szkotów: hrabia Carlisle, hrabia Kellie i markiz Hamilton, członkowie Rady Przybocznej, którzy w owym czasie rozporządzali największymi bogactwami w kraju; nawet najjaśniejszy pan nie mógł z nimi współzawodniczyć. Jechały też prześliczne damy, na pięknych siodłach, w sukniach iskrzących się złotem i klejnotami prawie tak wspaniale jak szaty wyżej wymienionych panów. Za nimi zaś w powozach jechali biskupi i dostojni zwierzchnicy oksfordzkich kolegów w uroczystrych szatach oraz członkowie Tajnej Rady Królewskiej, z których zapamiętałam tylko Lorda Wielkiego Skarbnika, hrabiego Portlanda; jego żona i córka usługiwały królowej, gdyż były tak jak i ona wyznawczyniami dawnej religii. Król w tym okresie rządził wyłącznie za pomocą swej Tajnej Rady, mając obrzydzenie do Parlamentu; cała jednak bieda była w tym, że bez Parlamentu trudno było uzyskać pieniądze.

Kiedy ze czcią pokłoniliśmy się królewskiej parze, król łaskawie pozwolił nam usiąść. Lordowie i szlachta - z wyjątkiem tych panów, którzy stanowili jego orszak - pozostali z odkrytymi głowami, chociaż słońce dopiekało silniej niż zazwyczaj.

Będąc jeszcze naiwnymi dzieciakami, dziwiłyśmy się z Zará, że król nie nosi korony i że jest tak niski, prawie najniższy ze wszystkich dorosłych ludzi znajdujących się w ogrodzie, wyjąwszy jego karła. Poprowadzono go razem z królową do wiejskich tronów ozdobionych królewskimi godłami. Wnet przyniesiono im zimne napoje i galarety. Chłopiec murzyński - pierwszy Murzyn, jakiego widziałam w życiu - wachlował królową wachlarzem ze strusich piór. Król z uśmiechem opadł na oparcie tronu i dał znak, aby rozpoczęto przedstawienie.

Wówczas z ukrytych instrumentów wydobyły się dźwięki łagodnej, pluszczącej muzyki. I oto nagle podnosi się wieko urny kamiennej, wyziera z niej dostojny starzec i pyta: „Skąd ta muzyka biegnie cudna? O, cóż zwiastuje ona?” etc. Powoli i z trudem wynurza się z urny i oznajmia, że jest pustelnikiem i żywi się jeno żołędziami i bukwami, a pije źródlaną wodę, i ten pokarm bardzo dobrze mu służy (tu sir Thomas dyskretnie zachichotał, pamiętając, jak bardzo pan Ivy jest chciwy na wymyślne łakocie francuskie). I powiada dalej, że śpi w tej urnie, aby sobie nieustannie przypominać o naszej wspólnej doli śmiertelnej. Nie ma żadnego pojęcia o tym, co się dzieje w wielkim świecie, poza jego pustelnią, ale może wszystkich zapewnić, że na pewno Anglia jest teraz szczęśliwa. Albowiem dowiedział się we śnie, iż panuje tam władca łaskawy, król Karol, który ma przy sobie królową godną jego czci i miłości. Po czym odwraca się - i nagle omal nie zemdłał ze zdumienia! Pyta drzew i strumieni, czy to jest znowu cudowna wizja jego snu, itd., itd. - bo oto siedzą tu na tronach sami najjaśniejsi państwo, promieniując blaskiem! Upadł więc przed nimi twarzą na murawę, a powstawszy znowu, idzie chwiejnym krokiem naprzód i głosem drżącym od udanej trwogi zaprasza ich, aby podeszli parę kroków, jeśli chcą zobaczyć dziwy tej zaczarowanej skały, dziwy, jakich nie można ujrzyć nigdzie indziej - „nawet w królestwach waszych przewspaniałych, w kredowym Dover, w zimnej Newfoundlandii, w dalekich krajach, skąd przybywa cukier”. Nie otrzymawszy żadnej określonej odpowiedzi, wskazał wyraźnie na dom znajdujący się na skale, jeszcze raz skłonił się głęboko i począł się cofać, aż doszedł do urny, w którą wszedł i - trrach! - zamknął nad sobą pokrywę.

Król był znużony, bo tego dnia rano grał dwie czy trzy partie tenisa przed śniadaniem, a dzień był upalny. Patrzył markotnie. Chętnie by posiedział dłużej na swym tronie. Królowa jednak, jak się zorientowaliśmy, złążała go łagodnie za zaniedbywanie swej roli i powiedziała mu, że ona w każdym razie pragnie zwiedzić tę skałę, on zaś jeśli chce, może jej towarzyszyć. Tak zawstydzony, wreszcie się podniósł i poszli naprzód. Był tam chór chłopców ze szkoły katedralnej w Oksfordzie, przebranych za dzikie ptaki. Śpiewali piosenkę składającą się z pytań, na które odpowiadał dorzecznie ukryty głos, odgrywający Echo. Było to krótkie Echo, dostosowane do dwudziestu czterech kroków geometrycznych (według tego, czegośmy się dowiedziały dziś rano); odbzmiewały bowiem tylko pojedyncze sylaby. Piosenka jednak tak zmyślnie

była ułożona, że każda sylaba mówiona przez Echo stanowiła sensowne potwierdzenie wypowiedzianego zdania.

Tu słowiki słyszeć w południe się dają.

Echo: Dają.

Tu bez pałeczek bęben dudni.

Echo: Dudni.

Gdy królewska para przechodziła obok naszych ław, znowu wszyscy powstali. Królowa, która miała czarne oczy i śniadą cerę i tak samo jak król była niskiego wzrostu, wypowiedziała do jednej ze swoich dam dworu jakąś uwagę o barwie moich włosów. Ta rzekła wówczas, że należę zapewne do domu sir Thomasa Gardinera, który stoi obok mnie i którego siostra Mary była niedawno polecona do służby przy najjaśniejszej pani. Przyzwano więc mnie i poprzez ławki zeszłam z platformy na dół, aby pokłonić się królowej. Pogładziła moje włosy, ujęła mnie czule za ramiona i nazwała belle mignonne, chwając mnie przed królem, który w roztargnieniu kiwał głową, prawie nie zwracając na mnie uwagi. Pomimo to znalazłam się wtedy w pierwszym rzędzie osób, które zaraz za królewską parą weszły do sławnej groty w skale.

Ta łaskawość królowej nie wytrąciła mnie z równowagi, gdyż do naszego domu przybywało wiele znakomitych dam, nawet margrabin, które nieraz prawily mi komplementy. A nauczyłam się trochę francuszczyzny, tyle przynajmniej, aby teraz odpowiadać: „Oui, Madame la Reine.” Sprawiałam jej ogromną przyjemność, mówiąc, że na jej cześć nazwano mnie Marie. Zawołała, że chętnie byłaby moją matką chrzestną, gdybym należała do prawdziwej religii. Odpowiedziałam jej kulawą francuszczyzną, że mój ojciec jako lojalny Anglik jest w sprawach religii posłuszny nie papieżowi, ale jej mężowi. Wtedy ona wydeła wargi i pokiwała palcem. Śmiejąc się wesoło, szepnęła mi głośno do ucha, że król jest większym i bardziej upartym tyranem niż jakikolwiek papież. A potem spojrzała kwaśno na króla i zaśmiała się znowu. Król wcale nie zauważył tego szyderstwa, chociaż ona zupełnie wyraźnie pragnęła, aby je spostrzegł. Właśnie rozmawiał bardzo poważnie z hrabią Kellie o jakiejś dziwnej chorobie, której nabawiły się jego sokoły w królewskich stajniach w Windsor Castle.

Królowa zachwycała się rozkosznym chłodem groty. Ale rozejrzawszy się dokoła, powiedziała, że oprócz wysokiej wilgotnej skały nie widzi żadnego obiektu, na którym mogłoby spocząć jej oko. Skała ukształtowana była z ogromnych chropawych głazów pokrytych mchem. Z obszernych szczelin pomiędzy głazami wypływała woda żwawymi strumieniami, które niżej rozpryskiwały się o inne głazy. Nagle u naszych stóp rozległy się dźwięki muzyki. Był to sygnał dla dozorca rur wodnych, przebywającego w jednej z komnat na górze, aby zaczął odkręcać kurki, jeden po drugim. Wówczas na przedzie skały najpierw wytrysnął ku górze misterny kraciasty szpaler strumyków wody, wydobywającej się z małych rurek umieszczonych ukośnie, a potem dwie szerokie kolumny wody po bokach, łączące się w górze wielkim

lukiem ponad szczytem skały, wreszcie zaś duża, okrągła, prosto ku górze biegnąca kolumna, która wzniosła się ku sklepieniu ponad nami i już nie wracała w dół, lecz była wchłaniana w ukrytą na górze rurę. Na tle tego wszystkiego poczęły nagle płasć dwa małe wytryski wody o barwie różowej, z których każdy podrzucił ku górze złotą kulę i trzymał ją w zawieszeniu na wysokości około trzech stóp.

Królowa wyciągnęła rękę i chwyciła jedną z kul. Była ona z czystego złota. Otworzywszy ją, znalazła w środku jakiś komplement wypisany po francusku i ciastko marcepanowe, które najpierw powąchała, a potem wsunęła mi do ust. Było ono bardzo smaczne. Zachęciła króla, aby on również sięgnął po swoją kulę. Gdy ją otworzył, znalazł tam malutki, wymalowany na kości słoniowej portret królowej stojącej w obliczu owych tak misternych strumieni, a pod portretem jeszcze jeden komplement. Bardzo ucieszony tą niespodzianką, przycisnął portret do ust. Wtedy jedna z rur poczęła szczebiotać jak słowik, zgodnie z obietnicą wypowiedzianą przez Echo, a druga dudniła głucho niby bęben. W końcu zaś, po zapowiedzeniu jeszcze jednej zmiany, cały ten wodny kobierzec niby wielka szklana tafla opadł w dół do stóp skały, a poza nim wytrysnęło ku górze wiele nowych strumieni, krzyżując się, łącząc się w sklepienia, splatając się jakby w uściski, aż królowa zaklaskała w ręce z zachwytu. Na omszałym występie skalnym stały zapalone świece, które płonęły przez cały czas, bez żadnego zakłócenia, pomimo przelewającej się nad nimi wody.

Esquire Bushell, który stał przy królu gotowy na każde wezwanie, szepnął coś markizowi Hamilton do ucha. Ten wyszczerzył zęby i podszedł zaraz do najjaśniejszego pana. Przez chwilę naradzał się z nim wesoło, a zaraz potem posłano kogoś z panów, aby przyprowadził błazna królewskiego imieniem Archie Armstrong.

Ów Archie, zanim otrzymał stanowisko trefnisia na szkockim dworze króla Jakuba, był łotrzykiem na terenach pogranicznych i złodziejem owiec. Dowcip miał przebiegły i zgryźliwy, ale błazeńska czapeczka z dzwoneczkami chroniła go od wszelkich niebezpieczeństw. Mówił bardzo prostą angielszczyzną, z której niewiele mogłam zrozumieć. Przybiegł do grotty pędem, co chwila się potykając i padając jak długi na ziemię. Ten niewymyślny żart wywoływał za każdym razem burzę śmiechu wśród zebranego towarzystwa. Archie trzymał w ręku pieczonego kurczaka i ogryzał go chciwie. Najbardziej jednak zdumiewało wszystkich to, że co chwila oblizywał i ssał trzymane w drugim ręku pałeczki od bębna, jakby były cukrowymi laskami (w rzeczywistości były one ubarwione po wierzchu karmelem).

Oto siada sobie teraz na schodku przed grotą i wykrzykuje do zebranej kompanii jakieś nienowe i niezbyt mądre żarty, a wszyscy Szkoci śmieją się z całej duszy. Nagle król pyta: „Archie, ty wierutny złodzieju, czy byłeś kiedy ochrzczony?”.

„Oj, byłem, wujku - powiada on. - Raz i nawet trzy razy, jeśli mi się w głowie nie pokiełbało. Jedną razą przez księdza, drugą razą przez pewnego starego diabła, i jeszcze przez jakąś jejmość z wyparzoną gębą, z domu pod szubienicą. Wrzasła z okna: Uwaga! ale wrzasła za późno i wylała cały kubek na moją łepetę”.

„Chodź więc, Archie, do czwartego chrztu!” - mówi Lord Hamilton.

„Nie podleżę dalej jak do bramy” - odpowiada ostrożny Archie. Ale nie potrzebował podchodzić dalej, bo oto na znak dany przez markiza zaczął się z nadproża lać szeroki strumień wody. Gdy Archie zerwał się, by uciekać w stronę gaju, spadł przed nim drugi, jeszcze gorszy wodospad, który odciął mu drogę. Całe towarzystwo bawiło się jego kosztem, bo przemókł do nitki. Szkoccy lordowie trzymali się za boki ze śmiechu i podchodzili do błazna, aby z niego szydzić.

On zaś staje na czworakach i zaczyna szczekać jak wodny pies, trzęsie uszami, dzwoni swą dzwoneczką i tak szczekając, przechodzi przez bramę groty, przeskakuje przez strumień lejącej się wody (niby te psy, które widziałam w Oksfordzie, na jarmarku Św. Idziego, co przeskakują przez papierowe obręcze) i znowu szczeka otrząsając się z wody. Potem zaś rzuca się na hrabiego Kellie, który stał trochę bliżej niż inni, i swoimi łapami moczy jego piękny szkarłatny kaftan, i niby chce polizać go po twarzy. Znowu się otrząsa, znowu szczeka i rzuciłby się teraz na markiza Hamiltona, ale ten pędem ucieka po schodach, podczas gdy Archie już depta mu po piętach.

Król - z lekkim uśmiechem - powiada, trochę się jękając, ale bardzo dorzecznie: „Właśnie wczoraj czytałem w doskonałym dziele Gervase'a Markhama o sztuce polowania na ptaki zatytułowanym *Obrona przed głodem*. «Nikt z nas nie jest tak nieokrzesany, aby nie umiał powiedzieć, widząc takiego psa: To jest wodny pies, czyli pies przyuczony do wody»”.

Esquire Bushell od razu podchwycił słowa „obrona przed głodem” i z głębokim ukłonem oznajmił najjaśniejszemu państwu, że jeśli są tak łaskawi, mogą wejść na górę po schodach, bo tam w komnacie jest już przygotowana dla nich uczta. Królowa ucałowała mnie na pożegnanie i odesłała do sir Thomasa. Znakomici goście poczęli wchodzić na schody w kolejności dokładnie odpowiadającej ich dostojności. Skromniejsze towarzystwo zaś mogło teraz wejść do groty i podziwiać strumienie i fontanny. Co chwila któryś z owych gości lichej kondycji przeżywał w bramie groty taką bolesną kąpiel, jaka przedtem przypadła w udziale Archie'emu.

Siedzieliśmy w sali wielkiego domu wśród dwunastu innych gości przy stołach obficie zastawionych jadłem i napojami, kiedy nagle oznajmiono nam uroczyście, że królowa raczyła nadać swoje imię skale i owemu źródłu^[10].

[10] Za zgotowaną wówczas zabawę Esquire Bushell został nagrodzony również nominacją na nadzorcę i kierownika robót w mennicy srebrnej w Aberystwyth w Walii. (Przyp. aut.)

Wypatrywaliśmy, kiedy król wyjdzie ze swojej komnaty biesiadnej, bo już czekało na niego około dziesięciu ludzi chorych na fistulę, przyprowadzonych tu przez zakrystiana. Kiedy król jegomość dowiedział się, że są oni dzierzawcami jego gospodarza, zgodził się dotknąć ich miejsc owrzodzonych, powtarzając za każdym razem: „Bądź czysty w Imię Boże!”. Wznosili ku górze oczy pełne wdzięczności, wołając: „Niechaj niebo błogosławięństwem swoim odpłaci najjaśniejszemu panu!”. Gdy patrzyłam na te nieszczęsne istoty, zebrało mi się na płacz; i z tego współczucia moja własna skóra zaczęła mnie swędzić.

W niedługi czas potem jechaliśmy już powozem do domu. Kurz na drodze wzniesiony przez wiele mijających nas koni i powozów wznosił się tak wielkimi tumanami, że omal się nie udusiłam. Zjechaliśmy więc z gościńca i wróciliśmy tam dopiero wtedy, gdy ruch się całkowicie uspokoił i kurz trochę opadł. Nie spotkaliśmy już po raz drugi owego dżentelmena, którego pan Lawes zwał Johnem, a który sam nazywał siebie Tyrezjaszem.

Wszyscy z mojej rodziny - i kto tylko odwiedzał nasz dom przez wiele następnych tygodni - wypytywali mnie bez końca, jak wygląda król, jak wygląda królowa, jakie słowa wyrzekła do mnie i co ja jej na to odpowiedziałam - i jeszcze o wiele innych rzeczy, a sir Thomas chwalił mnie przed ojcem i matką, powiadając, że zachowałam się jak prawdziwa Powell.

Kiedy w wolnej chwili opisywałam to wszystko w mojej welinowej księdze, patrząc na ów dzień z perspektywy niemal pięciu lat, poświęciłam mniej niż dwie stronice na opowieść o dziwach wodnych i o królewskiej parze (samemu królowi zaś poświęcone było zaledwie parę linijek). Natomiast owemu dziwnemu dżentelmenowi przeznaczyłam całe trzy stronice, gdyż nawet po upływie tak długiego czasu jego słowa dźwięczały w moich uszach. Napisałam, jakim to on był gwałtownym człowiekiem i jak podobna była jego twarz do twarzy gniewnego anioła. Miałam na myśli anioła przedstawionego na witrażu naszego kościoła pod wezwaniem Św. Mikołaja, anioła dzierżącego miecz w rękę. Postanowiłam też przy pierwszym spotkaniu z moim bratem, Jamesem, zapytać go, co wie o imieniu „Tyrezjasz”. Miałam nadzieję, że w ten sposób rozwikłam tajemnicę nieznanego.

Opisując to wszystko, przypominałam sobie, co nasz proboszcz, wielbny John Fulker, powiedział niegdyś w kazaniu: że włosy kobiety winny być przykryte. Dlaczego? Dla trwogi przed aniołami.

„To się dziwnie zgadza - rzekłam sobie wtedy - z tym, co zapamiętałam, bo tam, u kresu miasteczka Woodstock ów Tyrezjasz z twarzą anioła wpatrywał się w moje włosy (których nie okrywałam ani kapeluszem, ani nawet chustką) z jakąś bezlitosną pasją, jakby były one dla niego zniewagą, i gładził swoje jedną ręką”.

Rozdział czwarty

NASZE DNI W FOREST HILL

Opuszczając wiele dziecinnych drobiazgów, zdarzeń nie-mających większego znaczenia (nie zamierzam na przykład opowiadać o tym, jak chorowałam na odrę bardzo ciężko w wieku lat czterech, ani o tym, jak śnieżna zawierucha zaskoczyła powóz ojca w 1634 roku, kiedy padały wielkie śniegi, a ja właśnie byłam w tym powozie i spędziłam w nim całą noc i część następnego dnia), opowiem tu pokrótce, jakie życie wiedliśmy w Forest Hill aż do momentu, gdy nad naszymi głowami rozpętał się zamęt wojny.

Najpierw o rozrywkach. Trzymaliśmy zawsze dwa silne charty irlandzkie, trójkę sokołów i przynajmniej cztery dobre konie wierzchowe. Na naszych polach, zwłaszcza po tej stronie Minchin Court i na pastwiskach w kierunku Red Hill, było mnóstwo zajęcy a także kuropatw i innego ptactwa. Tyrrellowie, nasi sąsiedzi, którzy mieli wielki dwór w Shotover, pozwalali nam polować na jelenie w borach królewskich. Pozwolenie jednak dotyczyło tylko nas i nie mogli z niego korzystać żadni nasi goście, a poza tym musiał nam zawsze towarzyszyć podleśniczy, co było już dosyć uciążliwym warunkiem. Sir Timothy Tyrrell służył niegdyś przy księciu Henryku (który był ukochanym bratem króla Karola i zostałby królem, gdyby nie umarł przedwcześnie), mając pieczę nad jego psiarnią. Pewnego dnia w borach królewskich zgonili pięknego jelenia. Sir Timothy podniósł głowę zwierzęcia, aby księżę mógł je dobić swym sztyletem myśliwskim. Jeleń jednak wrywał się i potrzasał rogami, a księżę, nieostrożnie posługując się sztyletem, przeciął sir Timothy'emu mięsień w ramieniu, tak dotkliwie, że ręka na zawsze stała się bezwładna. Jako rekompensatę otrzymał sir Timothy - na mocy listu żelaznego - leśnictwo w borach; poza tym dzierżył stanowisko urzędnika królewskiego, które przysługiwało mu prawem dziedzictwa. Sprawowanie leśnictwa wymagało niezwyklej bacności, ponieważ wielu młodych dżentelmenów z uniwersytetu, znudzonych jednostajnym pożywieniem składającym się z ryb rzecznych, sztokfiszka i chudej baraniny, ośmielało się wdzierać do borów i czerpać stamtąd zwierzynę, chociaż bardzo niewesoło wyglądała ich sytuacja, jeśli pochwycili ich gajowi.

W Forest Hill nie mieliśmy ustawowego prawa do wypasu bydła na terenach borów. Wyganiałszy tam jednak nasze stada świń, aby tuczyły się na żołędziach i bukwach. Płaciliśmy za to Tyrrellom 20 albo 30 szylingów rocznie. Wszystkie świny musiały być okolczykowane, aby nie ryły w ziemi, a jeśli znaleziono którąś bez kolczyka, była konfiskowana przez leśniczego; jamy bowiem wydrążone w ziemi przez świny stwarzały niebezpieczeństwo dla łowcy, którego koń mógł się na nich potknąć. Oprócz jeleni były w Shotover borsuki, lisy i żbiki; tylko żbiki oszczędzano przy polowaniu, gdyż tępiły one króliki.

Nieraz jeździłam na polowanie, ale rzadko do borów - i chyba tylko jeden raz w towarzystwie Tyrrellów, gdyż nie lubili oni obecności kobiet podczas łowów. Powiadali, że kobiety i duchowni przynoszą pecha. Umocnili się w tym przekonaniu, kiedy dowiedzieli się pewnego dnia, że królowa niefortunnie ugodziła - strzałą wypuszczoną z kuszy - ulubionego charta króla. Co zaś tyczy się duchownych, to ilekroć mój brat James trzymał łuk trochę niezręcznie, jeden z młodych Tyrrellów zawsze wołał szydlerczo: „Arcybiskup Canterbury! Istny arcybiskup!”. Wiąże się z tym smutna historia, która wydarzyła się w Hampshire na rok czy dwa przed moim urodzeniem. Lord Zouch zaprosił arcybiskupa Abbota z Canterbury, aby przyjechał polować na jelenie w jego lasach. Ten wymawiał się, że nie jest zaprawiony do używania kuszy, ale wreszcie uległ namowię - i pierwsza strzała, jaką wypuścił, zraniła śmiertelnie jednego z leśniczych. Powstał zawiły problem dla profesorów prawa kanonicznego: czy mężobójca może nadal sprawować urząd arcybiskupa? I chociaż król Jakub uniewinnił go decyzją trybunału Wielkiej Pieczęci i przywrócił mu prawa do sprawowania urzędu (w których był zawieszony aż do terminu rozstrzygnięcia sprawy), nieszczęście to jednak tak bardzo przygniotło duszę arcybiskupa, że odtąd rzadko pokazywał się na dworze, a pierwszy wtorek każdego miesiąca był dla niego dniem uroczystego postu i umartwień.

Ta właśnie posępna przygoda arcybiskupa sprawiła, że arminianie, owi niemal papiści, których przywódcą był biskup Laud, doszli tak łatwo do władzy po śmierci króla Jakuba. Arminianie uważali, że król rządzi z bożej łaski i choćby wydawał rozkazy przeciwne prawu bożemu, poddani winni być mu we wszystkim posłuszni bez oporu i bez szemrania. Arcybiskup Abbot miał na tę sprawę zupełnie odmienny pogląd. Głosił on, że Boga Wszechmocnego nie można czynić służebnikiem jakiegokolwiek króla czy księcia. Jednak z powodu nieszczęsnej przygody na polowaniu nie mógł on narzucić swojego zdania. Myślę zresztą, że wtedy coś się w nim załamało, chociaż żył jeszcze długo. W tej sytuacji owa bardziej umiarkowana - czy też bardziej ortodoksyjna - część kleru utraciła swego przewodnika i nie umiała już stawiać silnego oporu arminianom. Ponieważ zaś arminianie dążyli konsekwentnie i zażarcie do całkowitego poddania wszystkich trzech królestw władzy króla w kwestiach religii, niebawem wybuchła wojna, która srożyła się w każdym z królestw po kolei. A wszystko stało się tak powiadali Tyrrelowie, z tej przyczyny, że pewien duchowny - zamiast pilnować swoich modlitw - wybrał się na polowanie.

Polowanie na zające nie sprawiało mi przyjemności, gdyż są to takie mile i trwożliwe zwierzątka. Chowałam w domu jednego zająca, którego mój brat James schwycił kiedyś, jeszcze malutkiego, w miejscu zwanym Pole Cat End. Posypywałam jego futro proszkiem, aby nasze psy dostawały mdłości, jeśli zbliżą się zanedo: dzięki temu zając długo żył. Łowy z sokołem natomiast bardzo lubiłam. Najdzikszy z naszych sokołów łagodnie poddawał się mojej ręce. Richard chował jastrzębia, z którym polował na skowronki. Ja wołałam

łowić większe ptactwo: jechać konno jesienią przez rżyska w pogoni za zrywającymi się ku górze kuropatwami. Gdy sokół posłyszał trzepot przepiórczych skrzydeł, zaczynał szamotać się na mojej pięści, ale kaptur nie pozwalał mu zerwać się do lotu. Zrywałam kaptur i rzucałam sokoła ku górze, by potem puścić się za nim cwałem na koniu. Jakże krzyczałam z radości, gdy sokół wzbijał się w przestworze, zawisał w powietrzu i spadał na drżące ptactwo! Gdy zdobycz była już w torbie łowieckiej, a on z powrotem siedział na mojej rękawicy, wysławiałam go najbardziej wymyślnymi komplementami. Zawsze brzydziłam się zabijaniem ptaków ze strzelby. Sokoły kosztują bardzo drogo i niezmiernie jest trudno je hodować, ale polowanie z nimi to zabawa szlachetna i godziwa. Natomiast używanie prochu przeciwko dzikiemu ptactwu wydaje mi się obrzydliwe i sprzeczne z naturą.

Już dostatecznie wyraźnie dałam do zrozumienia, jak bardzo lubiłam tańczyć. Nauczyłam tańca moje młodsze siostry i braci, gdyż jest to rozrywka najbardziej dobroczynna dla zdrowia: dzięki niej dzieci stają się silne i poruszają się z wdziękiem. Nauczyłam ich tradycyjnych tańców znanych u nas w parafii, a także nowych tańców cudzoziemskich, które poznałam. W dni świąt kościelnych i w każdą porę szczególnie hucznych zabaw, takich, jakie się odbywają w drugi poniedziałek po Wielkanocy albo w dzień św. Michała, wychodziliśmy - wszystkie dzieci ze dworu - na łąkę, aby tańczyć z synami i córkami naszych dzierżawców, okazując im w ten sposób przyjaźń i serdeczność.

Gdy miałam siedem lat, z rozkazu króla Karola odczytywano w kościołach Księgę Zabaw, ustanawiającą dla ludu pewne niewinne rozrywki. W niektórych bogobojnych okolicach Anglii ustawa ta była źle przyjęta przez purytanów i innych rygorystów, którzy uznali ją za profanację Dnia Pańskiego. U nas jednak nie było żadnej wrzawy ani nawet cichego szemrania. Tylko w jakiś czas potem pewien młodzieniec nazwiskiem Messenger, który przed paroma laty powędrował do Londynu, aby nauczyć się tam szewstwa od swego wuja, i wrócił do nas jako czeladnik, zachował się bardzo nieobyczajnie na porannym nabożeństwie niedzielnym. Nie rzucał, oczywiście, żadnych grubiańskich wyzwisk, bo dobrze wiedział, że gdyby choć najmniejszym słowem przeszkodził proboszczowi w odprawianiu nabożeństwa, byłoby to traktowane jako zakłócenie porządku i pospolita burda. Ale wszedł do kościoła późno, odziany w wyrudziałą czerń, i stanął w nawie pod półkolistym sklepieniem obok prezbiterium. Nie zdejmując kapelusza z głowy, stał tam, rozkraczony, podczas gdy śpiewano psalmy, i gapił się na ambonę. Kiedy proboszcz rozpoczął kazanie, nawiązując do tekstu: „Czemuż skacze tak, wysokie wzgórza?”, i upatrując w tym wersecie Pisma aprobatę dla naszych wiejskich jigów i innych piasów, Messenger począł się kręcić niespokojnie i głośno kasłać, jak gdyby chciał zagłuszyć słowa proboszcza. Wreszcie obrócił się na pięcie i z prostackim hałasem wyszedł z kruchty. Po wysłuchaniu nabożeństwa i otrzymaniu błogosławieństwa wszyscy wychodzili z kościoła. Messenger czatował na

proboszcza u drzwi zakrystii. Tam zwrócił się do niego gburowato: „Czy taniec to nie jest rozpusta Jezabeli? A wasz prążkowany słup majowy czy to nie bałwan pogański? Nie odchodź, waść, odpowiedź mi na to! Czy chcesz, żeby te biedne dusze płąsały diabelski taniec w piekle i były potępione na wieki! Dlaczego to św. Jan Chrzciciel był święty? Czy nie dlatego, że pewna ladacznica tańczyła jig? I dlaczegoż to król Ezechiasz kazał wyrąbać gaje? Bo pełno w nich było plugawych, pogańskich słupów majowych!”.

Proboszcz - przy wszystkich swoich wadach - wiedział jednak o prawach przysługujących mu jako przedstawicielowi

Kościola, a także znał Biblię lepiej niż ów nędzny szewczyzna z poobtłukiwanymi palcami, który, jak sędzę, nauczył się na pamięć jakiegoś zbioru kazań anabaptystów czy antynomia-nów. Zapewne przeżuwał i mamrotał te kazania w przerwach swej pracy, gdy siedział w tylnej izbie warsztatu wuja w Ludgate. Proboszcz natychmiast odpowiedział mu, że tak jak król Dawid niegdyś tańczył przed arką będącą dawnym mieszkaniem Boga, tak my powinniśmy wszyscy płasać przed Jego obecnym przybytkiem, kościołem, oddając Mu cześć na bębnie i w korowodach; i nikt nie powinien nam w tym przeszkadzać.

Wtedy nadszedł mój ojciec, który nazbyt późno dowiedział się o bezczelnym zachowaniu owego człowieka, bo podczas całego nabożeństwa, jak zwykle, drzemał. Zapytał teraz proboszcza, czy on albo kościelny mają jakieś zarzuty przeciw temu młokosowi; gotów jest natychmiast ich wysłuchać.

Proboszcz odpowiedział: „Człowiek ten, wasza miłość, zadał mi tylko pytania, które - choć sformułowane były dosyć obcesowo - nie mogą być uznane za naruszenie porządku w parafii. Uważa on jednak - o ile dobrze zrozumiałem - że nasz prążkowany słup majowy jest pogańskim bożkiem”.

Na to ojciec potrząsnął głową i - cofnąwszy się znowu w stronę łąki - zawołał do wszystkich zebranych ludzi: „Słuchajcie, dobrzy ludzie, jest tu ktoś, co wszedł do waszego kościoła z tym ulem na głowie, a teraz twierdzi, że słup majowy to bałwan pogański. Proszę was jednak, żebyście z niego nie zrobili bałwana!”. Tu mrugnął do nich zupełnie wyraźnie i odszedł, zostawiając im swobodę zabawy. Zabrał też ze sobą proboszcza, aby go uwolnić od zarzutu na wypadek jakiegoś zamieszania; posłał też przezornie po konstabla.

Tom Messenger już przedtem rozdrażnił naszych parafian swymi złośliwymi uśmiechami, wzdychaniem i ową pobożnością na pokaz, ale dotychczas nie śmieli się z nim rozprawić. Kiedy więc, jak uznali, otrzymali do tego upoważnienie, aż zaklaskali w ręce z radości. Jedni trzymali go mocno, podczas gdy inni przygotowywali się do płasów. Był to dzień zwany Kuflem Robin Hooda, kiedy obyczaj nakazuje młodym ludziom strzelać z kuszy do tarczy strzelniczej. Ten, kto trafił najbliżej celu, był właśnie Robin Hoodem. Jego weseli kompani prowadzili go potem do altany zbudowanej na dziedzińcu kościelnym, gdzie już czekała Panna Marion, aby dać mu nagrodę i całusa. Pod koniec uroczystości wszyscy razem pili i ucztowali, objadając się bigosem,

pasztetem i zimnym mięsem, przynoszonym z każdego domu. Przedtem jednak, aby się rozgrzać po tak długim przebywaniu w chłodnym kościele, wszyscy tańczyli wokół słupa majowego. Słup wieńczyli kwietnymi girlandami i przywiązywali do jego szczytu długie wstążki, które potem zwijali i rozwijali, wirując w tańcu. Ponieważ ów pradawny ich słup majowy został oto uznany za pogańskiego bożka, związali teraz Toma Messengera, krępując mu ręce na biodrach, i uwieńczyli kwieciem jego wysoki kapelusz, a głowę zatkali mu szmatami. Tak zrobili nowy słup majowy. Podwoili jego wysokość przez to, że ustawili Toma na kamiennym filarze wznoszącym się w rogu łąki. Sznurami przywiązywali jego nogi do filaru, aby nie mógł zeskoczyć. I płásali dokoła przez całe pół godziny przy dźwiękach bębnów i piszczałek. Wreszcie mój ojciec, który obserwował wszystko ze swego domu, z górnego okna, wyszedł w towarzystwie konstabla i klasnął w ręce, domagając się ciszy. Muzyka umilkła. Wtedy westchnął i rzekł: „O, dobrzy ludzie, cóż to ja widzę? Czyżby ten wścibski młokos chciał pohańbić zabawy nakazane przez najjaśniejszego pana? Czy właśnie dlatego stanął on w publicznym miejscu jako słup majowy i namówił was, abyście uczynili z niego bożka z wielką szkodą dla spokoju i porządku w parafii?”. A potem krzyknął do Toma Messengera: „O, Tomie, Tomie, który stoisz tak wysoko nade mną, czy to są owoce twego siedmioletniego terminowania w Londynie? Czy to jest twoja wdzięczność za to, że dałem ci niegdyś na tę podróż pięć szylingów i wielką gomółkę sera? Czy po to teraz wracasz do swych stron rodzinnych, aby psuć dawne obyczaje, wywyższając się ponad ludzi lepszych od ciebie i okazując dumę i pychę?”.

Tom jednak nie mógł odpowiedzieć ani słowa, gdyż usta miał zapchane szmatami.

Więc rzekł jeszcze mój ojciec: „Posłuchaj, Tomie, co ci powiem. Gdyby nie to, że tak wysoko cenię jejmość Messenger, twoją matkę, wdowę, i twego wuja Dicka, który jest zacnym człowiekiem i dobrym szewcem, jeszcze dziś przed wieczorem posłałbym cię do więzienia w Oksfordzie, aby cię poddano sądowi. Mam jednak serce litościwe i nie chciałbym rzucić niesławy na miasto. Tomie, jesteś wolny”.

Zdjęto więc Toma Messengera z filara i dano mu na pokrzepienie kwartę piwa. Odtąd nic już nie mówił, chociaż nadal nie chciał strzelać do tarczy tak jak inni ani nie chciał uczestniczyć w tańcach i w skokach o tycze.

Tyle miałam do powiedzenia o rozrywkach, których mi nie brakowało w owych czasach. Matka bowiem wyznaczała mi w domu prace ściśle określone. Kiedy je wykonałam, mogłam wyzyskać swój wolny czas, jak mi się podobało, chociaż musiałam zawsze jej mówić, gdzie i w czyim towarzystwie przebywam. Zawsze, nawet w zimie, budziłam się wcześniej, a ponieważ robota paliła mi się w rękach, szybko wypełniałam swe obowiązki. Matka zaś nie wykorzystywała już mojego tempa pracy w tym celu, aby nałożyć na mnie jeszcze więcej powinności.

Przechodzę teraz do innych spraw. Ojciec mój objął majątek po Brome'ach, oni zaś otrzymali go od króla Henryka VIII, który zabrał tę posiadłość zakonnikom z Osney, gdy rozwiązywał ich opactwo. Ojciec wziął majątek w dzierżawę na okres pięćdziesięciu jeden lat, dając Brome'om większą część owych 3000 funtów, które moja matka wniosła mu w posagu, a potem płacąc co roku 5 funtów czynszu. Majątek i dom przynosiły mu rocznie prawie 300 funtów dochodu, co stanowiło znaczną sumę. A przy tym ojciec posiadał jeszcze wolną własność gruntową i grunt dzierżawny w Wheatley, które dawały mu co najmniej 100 funtów. Poczynił różne ulepszenia we dworze, który w chwili obejmowania go był trochę zdewastowany, i upiększył ogrody. Ponieważ zaś bardzo kochał łowy i wszelkie rozrywki na świeżym powietrzu i lubił przyjmować gości, jego wydatki zawsze przerastały dochody o jakąś jedną piątą albo co najmniej o jedną dziesiątą. Ale gdy obejmował Forest Hill, miał w ręku pokaźną sumę pieniędzy i ufał, że wszystkie jego wydatki zwrócą mu się z procentem. Te części starych murów domu, które nie były zbudowane z wygładzonego kamienia, kazał otynkować dobrą zaprawą z wapna wymieszanego z krowim nawozem. Póki jeszcze zaprawa nie wyschła, biegły sztukmistrz z Norwegii wyrysował na niej zwoje splecione ze wstęgami, a w przerwach pomiędzy nimi wymalował barwne róże, osty i lilie; liście winogrodu, spod których wyzierały obfite grona, kotwice, skrzydlatych cherubinów (tych umieścił na szczycie, w rogu pod dachem); a także pierwszych rodziców, przystojnie ubranych, jak spierają się ze sobą pod drzewem wiadomości dobrego i złego, podczas gdy wąż miota się wśród gałęzi.

Ogród wyposażył ojciec we wszelakie drzewa owocowe, ozdobił go cisami i bukszpanem, misternie wystrzyżonymi; założył sadzawki rybne i postawił altany, zwrócone ku południowej stronie, pokryte dachówką. Zrobił też aleję wysadzoną po obu stronach krzewami jałowca. Gdy się stało w jej środku, w miejscu, skąd zstępowały schody wiodące ku sadzawce, i patrzyło się wzdłuż alei w prawo i w lewo, wydawała się ona doskonale prosta; było to jednak złudzenie, gdyż z żadnego jej końca nie można było dojrzeć człowieka nadchodzącego od przeciwnej strony. Mieliśmy dwadzieścia uli; jeden z nich miał ściany z miki, niby latarnia, tak że można było zajrzeć do środka i obserwować, jak krzątają się pszczoły. Mieliśmy też dwa wielkie szpalery lawendy, mnóstwo krzewów róż karmazynowych, których liście zwykle kandyzowaliśmy w cukrze, i grządkę goździków korzennych, używanych przez nas do przyrządzania pitnego miodu. Tuż za ogrodem był sad ł zielarnia a także chmielarnia, przy której zbudowano też suszarnię chmielu.

Na tyłach domu znajdowały się stajnie, zagrody dla owiec, chlewy, kurniki, obory, szopy dla wozów i furgonów, a obok nich wielkie sterty drewna na opał i drewna budowlanego, kupy odartej z drzew kory do garbowania oraz wielkie stosy plecionek, nad którymi pracowali dwaj ludzie, wyrabiając dwie sztuki na dzień i nie zajmując się już niczym więcej. Robiło się je głównie na sprzedaż, dla hodowców owiec z Wydm, gdzie o plecionkę jest trudno. Ojciec mój

zatrudniał w domu i ogrodzie, na polach i w lesie, około dwudziestu dorosłych ludzi. Piekarnia i browar ciągle u nas wrzały pracą, gdyż za niewielką opłatą wypiekaliśmy chleb i warzyliśmy piwo dla wszystkich ubogich ludzi z miasteczka.

Rodziców moich bardzo kochano, gdyż nikt nie mógł o nich powiedzieć, że jedzą chleb próżniaczy albo że skąpią miłosierdzia dla głodnych i nagich. Nikt też nie mógłby ich oskarżyć o to, że zaniedbują kościół i odmawiają mu pomocy. Ojciec bowiem własnym sumptem postawił dwie wielkie szkarpy pod ścianą dzwonnicy; i pilnie baczył, aby proboszcz wypełniał swoje obowiązki w parafii. Dzwonnica ta jest przystosowana do trzech dzwonów, ale zawsze - jak tylko pamięć sięga - wisiało w niej nie więcej jak dwa dzwony. Jest pieśń o owych dzwonach św. Mikołaja, jak to one potrafią sprostać wszystkim innym i zagłuszają dzwony z sąsiednich kościołów: trzy dzwony z Holton, pięć dzwonów kościoła Św. Jana w Stanton i sześć dzwonów z Wheatley:

Holton rzuca swe wyzwanie:

„Który dzwon Najgłośniej gra?”

Forest Hill, wysokie wzgórze,

Woła wnet:

„My dwa! My dwa!”

Stanton wtedy odpowiada:

„Nasz to głos Najsilniej brzmi!”

Wheatley dzwoni przez doliny:

„Któryż dzwon Dorówna mi?”

Lecz nad wszystkim Forest Hill Grzmi: „My dwa! Ja i ty!”

W dziedzinie religii ojciec był zwolennikiem płynięcia z prądem. Nie pragnął żadnych nowinek. Co za zgodą biskupów nakazał król, tego ojciec się trzymał, nie łamiąc sobie zbytnio głowy. Rodzina jego pochodziła z prowincji walijskiej, gdzie wyznawano dawną religię przez wiele lat dłużej niż w Anglii. Domyślałam się, że jako dziecko został w niej wychowany. Niewiele jednak opowiadał nam o tym, jak toczyło się jego życie, zanim poślubił moją matkę. Nie miał nawet zwyczaju wspominać, że wywodzi się w prostej linii od pewnych książąt walijskich. Domyślałam się więc, że jego rodzina, chociaż szlachecka, musiała być ogromnie biedna. Obserwując też, jak zręcznie posługiwał się toporem, kiedy dawał pouczenia drwalom, myślałam sobie, że w czasach młodości musiał często zajmować się pracą będącą poniżej godności dżentelmena. Również ciotka Jones nigdy nie opowiadała nam o swoim dzieciństwie.

Grunt w majątku był rdzawy, bardzo tłusty i dobrze nawodniony przez strumień, który wytryskał w pobliżu Red Hill. Około dwóch trzecich terenu zajmowały pastwiska i gaje, reszta była ziemią orną. Każdego roku rozpoczynaliśmy pracę na roli tak wcześnie, jak to tylko było możliwe. Użyźnialiśmy nasze pola (z których wielkie pole w Lusher w urodzajnym roku dawało nam pszenicę o wartości 50 funtów) zgniłym nawozem, piętrzącym się

w kupach na naszym podwórzu, dwanaście wozów na jeden akr. Wysypywaliśmy też popiół drzewny z piekarni i odpadki z browaru, a czasem również stare szmaty wełniane, zdobywane za bardzo małą cenę z oksfordzkich kolegów. Szmaty te bowiem tak bardzo są nasycone dobrze oczyszczoną solą, pozostałą z ludzkiego potu, że stanowią cenny nawóz dla roli.

W Forest Hill kolejność uprawy jest taka: najpierw jęczmień, potem groch albo fasola, wreszcie pszenica albo pszenica z żytem, po których już zostawialiśmy pole odłogiem na jeden rok. Pszenicę sieliśmy w ostatniej kolejności z tego prostego powodu, że jeśli rośnie ona na zbyt użyźnionej ziemi, często pokrywa się śniecią. Przeciw śnieci mój ojciec miał jeszcze taki sposób, że obmywał nasiona w słonej wodzie. Nigdy nie skąpił nasienia, przeznaczając cztery buszle pszenicy, żyta albo grochu na jeden akr, a fasoli odpowiednio więcej. I powiadał:

To dla gołębia Dla kruka to,
To na zniszczenie,
A z tego sto.

Nie pozwalał, aby siewcy, tak jak to jest w zwyczaju, sieli jednym rzutem. Kazał im siać podwójnie, w dwie strony, rzucając ziarno najpierw na bruzdy do skiby, a potem od skiby do bruzdy.

Używamy pługa o szerokim lemieszu. Przy orce konie idą jeden za drugim i trzymają się bruzdy, aby nie tratować pola. Po wrzuceniu ziarna bronujemy pole broną ciągnioną przez woły, uzbrojoną w dwadzieścia pięć kolców. Do żniwa używamy ostrego sierpa, a nie kosy jak w innych hrabstwach. Skoszone zboże rozkładamy małymi garstkami po całym polu, aby szybciej wyschło. Po dwóch dniach wiążemy je w bardzo luźne, małe snopki, które układamy w kopice w kształcie krokwi, dziesięć snopków na jedną kopiec; dzięki temu zboże jest świetnie zabezpieczone od szkodliwych wpływów deszczu.

Jęczmień, siany zawsze wtedy, gdy liść wiązu ma wielkość mysiego ucha, uważamy za dojrzały, kiedy kłos żółknie i pochyli się na łodydze. Żniemy go kosą, która nie ma ramy, i nigdy go nie wiążemy, lecz tylko zgarniamy w kopy; leży tak przez dzień albo dwa, aż ziarno dojrzeje, a łuska uwiędnie. Zgarniamy go widłami o trzech zębach, pamiętając o tym, aby stogi były spiczaste, ale niezbyt wielkie. Duże stogi bowiem wchłaniają więcej deszczu i trzeba je potem, aby wyschły, całkowicie rozrzucić, co zawsze powoduje straty. Groch i fasolę także żniemy kosą, zbierając je potem w wiązki i układając w kopy, z tą tylko różnicą, że do zgarniania luźnych łodyg nie używamy grabi, ale zbieramy je ręką; grabie bowiem wytrząsają fasolę ze strąków. Do domu przywozimy zbiory długim wozem na dwóch kołach, zaopatrzonych w mocne obręcze. Na taki wóz można położyć ciężki ładunek, prawie tyle samo co na wielką furę. Wszystkie te nasze sposoby i zwyczaje są bardzo odmienne od metod, jakie potem oglądałam we wsiach leżących w pobliżu Londynu.

Aby zabezpieczyć stogi zboża przed szczurami i myszami, ustawiamy je na platformach, które spoczywają na kamieniach, wysokich na dwie stopy,

zwanych stojakami; na taką wysokość gryzonie nie mogą się wdrapać. Młócimy zboże cepem. Jeśli jednak pszenica jest mocno pokryta śniecią, najpierw chwytamy ją garściami i wytlukujemy o wrota, a potem każdy snopek wiążujemy na nowo. Jest to bardzo uciążliwe, ale samym młóceniem nie można otrząsnąć śnieci. Dopiero dobry przewiew oczyszcza pszenicę. Plewy od ziarna odsiewamy albo na polu, podrzucając ziarno w górę szuflami, albo w stodole, wachlując je liśćmi, które wywołują sztuczny wiatr.

Ojciec często brał mnie ze sobą, abym przyglądała się tym czynnościom. Jeśli bowiem, powiadał, poślubię - tak jak on się tego spodziewa - wiejskiego dżentelmena i jeśli mój mąż umrze albo zachoruje, będę musiała pilnie doglądać robotników, aby nie niszczyli majątku. Pokazywał mi też różne gleby w naszej okolicy i tłumaczył, w jaki sposób każdą z nich należy uprawiać, jak oczyszczać pola od zielska, odstraszać wrony i zabezpieczać stogi od przegrzania, jeśli zebrano zboże zbyt mokre albo za mało dojrzałe. Uczył mnie też właściwej pieczy nad bydłem; mieliśmy zawsze dwadzieścia krów i jednego byka - dzięki temu nigdy nie brakowało nam mleka.

Najwięcej swobodnego czasu było w maju, kiedy już ukończyliśmy wszystkie zasiewy, a jeszcze ani siano, ani zboże nie dojrzało do żniwa, oraz pod koniec września, kiedy żniwa były już po większej części skończone, a nie było jeszcze pełnej miary nasienia pszenicznego.

Do igły byłam dosyć zręczna. Potrafiłam wyszyć równy ścieg i dokładnie obrębić dziurkę od guzika. Ale robienie koronek i hafty przekraczały moje możliwości. Najchętniej spędzałam cały ranek między kuchnią a spiżarnią, przygotowując jakąś nową potrawę. Zawsze obiecywałam ściśle trzymać się przepisu, ale za każdym razem diabelska pokusa zwyciężała i dodawałam coś nowego, spodziewając się, że ulepszę potrawę. Było to wielkim ryzykiem. Jeśli bowiem wypadło dobrze, otrzymywałam tylko bardzo powściągliwą pochwałę; jeśli zaś wszystko zepsułam, matka brała mnie na górę do swego pokoju i dawała mi porządne lanie za tę zuchwałość. Jeszcze teraz dźwięczy mi w uszach jej krzyk: „Za dużo gałki muszkatołowej! niepotrzebny cynamon! za mało soli! za długo było w piecu! za mało, za mało soli! Czy ty się nauczysz posłuszeństwa?”. Przy każdym oskarżeniu spadał na moje plecy cios bicz. Trzęsłam się cała, ale nie płakałam ani nawet nie krzyczałam.

Kiedy skończyła, szeptałam cichutko: „Pani matko, dziękuję ci przynajmniej za to, że wybaczyłaś majeranek”.

Wtedy podnosiła bicz, ale po chwili go odkładała i mówiła z uśmiechem: „Nie, moja droga, majeranek byłby dobrym pomysłem, gdyby nie inne twoje błędy”.

Bardzo wiele czasu zajmowały ojcu prace w zagajnikach Shotover. Gaje te, jak już wspomniałam, były bardzo zaniedbane i zniszczone. Wiele drzew zważyło się igniło na ziemi, wiele innych uschło. Nie bardzo więc zasługiwały te zarośla na nazwę gajów, raczej były to gęste poszycia leśne, pełne cierni i głogu. Latem rosły tam wielkie kępy krwawnicy. Ojciec jednak, który nie wypłacał

biskupowi żadnego czynszu za pierwsze dziesięć lat, stopniowo przywrócił gajom dawną świetność i osiągnął za swoje trudy cenną nagrodę w postaci drewna na opał, gałęzi do wyplatania koszyków i drewna budowlanego. Po upływie dziesięciu lat miał płacić 100 funtów rocznego czynszu królowi i drugie 100 funtów biskupowi; można było jednak liczyć na to, że w tym czasie gaje będą przynosiły więcej dochodu, niż wynosi ów czynsz, bo miasto Oksford jest ciągle spragnione drewna na opał. Ojciec nie wycinał drzew w gaju całymi pasami, ale - jak to powiadał - „wyciągał niektóre z szeregu”. Co roku zrąbywał te drzewa, które były już dostatecznie wysokie i grube. Według ustaw każde polano powinno być długie na trzy stopy i cztery cale; liczba cali jednak zmieniała się, gdyż różnie ją oznaczano.

Bracia moi pobierali naukę łaciny u proboszcza, a rządca nauczył ich liczyć i prowadzić rachunki. Razem z braćmi nauczyłam się trochę łaciny, tyle, aby czytać „Pamiętniki Cezara”, matka zaś dawała mi lekcje francuskiego. Od ojca nauczyłam się śpiewać i grać na małej gitarze ozdobionej kością słoniową i hebanem, którą mi' sam podarował. Gitara to najradośniejszy instrument z całego gatunku lutni. Lubiłam trącać struny palcami niedbale albo wystukiwać rezonans. Bardziej jednak niż instrumentowi ufałam swemu własnemu głosowi, który ma dosyć czyste brzmienie. Dzięki Trunco posiadałam sztukę destylowania i przyrządzania leków z ziół leczniczych. Krótko mówiąc, zdobyłam trochę tych najpotrzebniejszych wiadomości, jakie powinna mieć kobieta mojej kondycji. Nawet matka, która była nader surowa w swych sądach, przyznawała, że nadaję się do małżeństwa i niebawem będę dobrą partią, choćbym nie wносиła dużego posagu. Woląla jednak, abym jeszcze poczekała jakieś dwa czy trzy lata.

Myślę, że mój ojciec jako sędzia pokoju lepiej znał się na prawie niż niejeden z owych uczonych dżentelmenów, którzy zasiadali z nim razem na sesjach kwartalnych. Ale w owych czasach przedwojennych niewiele zdarzało się w Forest Hill przestępstw i rzadko padali ich ofiarą nasi ludzie, jeśli nie liczyć takich drobiazgów jak łamanie płotów albo spory o psy napadające na owce. Za to po gościńcu wiodącym do Worcester włóczyło się, zwłaszcza letnią porą, mnóstwo zuchwałych nicponiów i łazęgów, którzy ściągali prześcieradła i chustki z płotów, wdzierali się do kurników i sadów i dopuszczali się mnóstwa innych rabunków. Ojciec był bardzo surowy dla tych łotrów. Wielu z nich było niegdyś żołnierzami w armii holenderskiej albo pod sztandarami króla Szwecji. Będąc przyzwyczajeni do znacznie surowszej chłosty z rąk swoich dawnych oficerów, nie lękali się zbytnio tych razów, jakie otrzymywali u nas przywiązani do słupa. Ojciec jednak, wiedząc, jak bardzo boją się zimnej wody, pławił ich w cuchnącej sadzawce na podwórzu i w ten sposób zniechęcał ich do odwiedzania Forest Hill.

Często wytaczano sprawy przeciwko biednym starym kobietom, oskarżając je o rzucanie uroków na pastwiska, o przeklinanie krów, aby poroniły, o zatrucie mleka, o sprowadzanie na małe dzieci krost i wrzodów. Ale po dokładnym zbadaniu sprawy przez ojca okazywało się zawsze, że oskarżenia są

bezpodstawne, a owym staruszkom można by zarzucić tylko to, że są tak ubogie i nieszczęśliwe. Pewnego dnia zauważono, że babka Catcher, która mieszkała w nędznej lepiance z patyków i murawy niedaleko młyna nad Bayardswater, ma w torbie ropuchy, ślimaki i inne skaczące albo pełzające stwory oraz trochę korzeni dziwnych kształtów. Natychmiast żona młynarza Tomlinsa doniosła, że staruszka niechybnie miała jakieś wrogie zamiary wobec młyna, bo kiedy ją nagle zauważono, wypuściła torbę, z której wyskoczyły żaby, a sama uciekła. Ojciec jednak nie chciał uwierzyć w oskarżenie przeciw staruszce i przez swoje postępowanie wydobył z niej całą prawdę. Miała ona syna, człowieka ciężko pracującego, który niechętnie ją żywił. Nie chcąc więc poniżyć się proszeniem urzędników parafialnych o pomoc albo też może lękając się, że w ten sposób utraciłaby wolność, karmiła się pieczonymi żołądziami i rzeżuchą. Było to pożywienie nikłe i jednostajne, więc tęskniąc za jakimś pokarmem mięsnym, pomyślała sobie: skoro Francuzi jedzą żabie łapki i gotują rosół na ślimakach, dlaczegoż by ona nie miała pójść w ich ślady? Kiedy żona Tomlinsa zastała ją przy tych łowach, babka Catcher bardzo się zawstydzila i uciekła. Owe korzenie zaś były z irysów florenckich. Miała je wysuszyć i utrzeć na polecenie żony proboszcza, która chciała nasycić ich wonią bieliznę kościelną.

Ojciec dał babce Catcher parę szylingów, ze dwa bochenki chleba i trochę dziczyzny. Powiedział też żonie młynarza, że jeśli chce mieć nagrodę w niebie, powinna od czasu do czasu dać staruszce woreczek stęchłej mąki, aby sobie upiekła placki. Obiecała, że tak będzie czynić.

Później babka Catcher, aby okazać wdzięczność memu ojcu, zbierała dla nas zioła, a któregoś dnia przyniosła mu guzik od kaftana oprawny w srebro, który ojciec zgubił na polowaniu i bardzo go żałował.

Rozdział piąty

MUN ZOSTAJE ŻOŁNIERZEM

Wracam znowu do Muna. Ogólnie mówiąc, wszystkie fakty jego życia, które miały dla mnie znaczenie, związane były z wielkimi wydarzeniami owych czasów. Aby więc opowieść moja była zrozumiała, muszę kolejno relacjonować te wydarzenia. Bo od tego czasu pod mostami Tamizy, Severn i Tweed upłynęło tyle wody zmieszanej z krwią, tylu sprzymierzeńców stało się wrogami i tylu wrogów przemieniło się w sprzymierzeńców, że prawie wszyscy ludzie już dawno zapomnieli, jak przedstawiały się sprawy na początku.

Pierwszy raz spotkałam się z Munem w marcu 1637 roku. Potem przyjeżdżał jeszcze z Oksfordu dwa razy tego samego miesiąca i raz w kwietniu. Nie chciał jednak, by ktokolwiek się domyślił, że przyjeżdża głównie po to, aby się zobaczyć z taką małą dziewczynką jak ja. Zachowywał się więc bardzo ostrożnie. Za pierwszym razem miałam z łaski losu to szczęście, że przez parę minut siedziałam z nim sam na sam w altanie, obok placu do gry w kręgle, podczas gdy mój ojciec i bracia kończyli partię. Niewiele mówiliśmy do siebie, ale mogłam rozkoszować się jego towarzystwem, a on, jak się zdaje, radował się moim widokiem. Za drugim razem wszystko ułożyło się źle: przez całe popołudnie musiałam pracować w mleczarni na piętrze i ujrzałam tylko piórko Muna, chwijające się nad drogą, gdy odjeżdżał. Za trzecim razem - gdy przybył, aby się z nami pożegnać, bo jego ojciec, już na dobre rozgniewany, postanowił zabrać go z uniwersytetu - postarałam się o to, aby spostrzegł, jak idę do owego gaju, gdzie rosną pierwiosnki. Czekałam tam na niego pół godziny, a może dłużej. W końcu przyszedł, chwycił mnie w ramiona i ucałował, nazywając śliczną boginką. I wyznał, że jego szaleństwa doprowadziły go do całkowitej ruiny. Zapewnił mnie, że ze wszystkich twarzy, jakie widział przez cały czas pobytu w Oksfordzie, właściwie tylko mojej będzie mu brakło, gdy stąd odjedzie. Prosił, abym mu pozwoliła pisywać listy. Odmówiłam, bo moja matka i tak nie dałaby mi ich nigdy do ręki. Obiecał więc, że będzie często pisał do mego brata Richarda, dołączając w każdym liście serdeczne posłanie do mnie.

„Ach, nie, Munie - rzekłam - to też nie jest wyjście, bo Dick będzie sobie ze mnie dworował, nazywając ciebie moją zdobyczą. Nie można mu ufnie powierzać takich czułych tajemnic. Oczywiście, pisz do Dicka, powiadamiał go, co się z tobą dzieje, ale nie załączaj nigdy żadnego szczególnego posłania do mnie”.

„Nie chcesz więc ode mnie pozdrowień? - zapytał. - Gardzisz mną za to, że tak zmarnowałam studia w Oksfordzie i oszukiwałam ojca?”

„Nie, kochany Munie - odrzekłam - wcale tobą nie gardzę, bo myślę, że nie masz żadnych złych cech, a tylko wielkie zamięłowanie do towarzyskiego życia (muszę zresztą wyznać, że zamięłowanie to podzielam), na które brakuje ci

dostatecznych środków materialnych. Ale pewna jestem, że wszystko potrafisz wyrównać”.

„Łatwo byłoby uniknąć rozpaczy - zaczął Mun żarliwym, smutnym głosem - gdybym tylko mógł wierzyć... - Nie dokończył zdania. Dopiero po chwili mówił dalej: - Wszyscy moi przyjaciele i krewni bardzo źle o mnie myślą, więc gdybym mógł wierzyć, że przynajmniej jedna osoba w całym tym kraju...” - nie mógł więcej wykrztusić.

„Ach, ty biedaku” - szepnęłam, płacząc. Pogładziłam go po twarzy i powiedziałam, że jest mi droższy niż którykolwiek z moich braci, nawet niż moi rodzice, i że niczego na świecie nie pragnęłabym tak bardzo jak jego listów, gdyby tylko można było przy tym uniknąć niepokojenia rodziców; ale to jest niemożliwe. Zapewniłam go, iż mocno ufam, że już nigdy nie pogrzy się w takich samych szaleństwach; a ja przecież jestem dla niego tak bardzo życzliwa i myślę o nim pięćdziesiąt razy na dzień, i tak już będzie, spodziewam się, do końca mego życia.

Dziecinne te moje słowa podniosły go na duchu. Wyznał mi, że musi udać się do niejakiego pana Crowthera, niegdyś członka Hart Hall, któremu jego ojciec powierzył wiejską posiadłość w Buckinghamshire; pod jego kierunkiem miał Mun podgonić swoje zaniedbane studia. Domyślałam się jednak, że wyrósł on już z wieku szkolnego i że będzie mu naprawdę bardzo trudno wrócić do ślęczenia nad książkami, choćby nawet całkowicie się odciął od swych miłych kompanów. Oświadczył z całą powagą, iż będzie się starał zasłużyć na mój szacunek; ale niestety, takie już ma usposobienie, że łatwo Ignie do figłów; chyba więc trzeba będzie przybić gwoździem skraj jego kaftana do ławki, aby mógł usiedzieć.

Byłam zbyt młoda, aby mu dawać rozsądne rady. Tylko wpatrywałam się w niego ufnie i z miłością. Sprawiało mu to radość. Pół żartem, pół serio powiedział mi, że dotychczas nie kochał jeszcze żadnej kobiety, ale pewnego dnia - jeśli postaram się szybko dorósć - poprosi mego ojca o moją rękę. Tymczasem będę jego małą damą serca, a on moim wiernym sługą.

Nagle usłyszałam, że Trunco woła mnie z podwórza. Szybko więc chwyciłam go za rękę i zawołałam: „Żegnaj, sługo!”. Pobiełam w kierunku kuchni, podczas gdy on wolnym krokiem odszedł ku stajniom po swego podjezdka. Takie to było nasze pożegnanie na okres prawie pół roku.

Ponieważ w niespełna miesiąc wychowawca Muna zachorował i zmarł, przeniósł się on do swego wuja, sir Aleksandra Dentona, do miejscowości w Buckinghamshire zwanej Hillesden. Przebywał tam przez pewien czas, pomagając wujowi w zarządzaniu majątkiem. Dopiero pod koniec lata przyjechał do nas w odwiedziny pod pretekstem, że ma do zapłacenia jakiś dług w Oksfordzie. Przedtem pisał trzy czy cztery razy do mego brata Richarda, dołączając zawsze wyrazy szacunku dla moich rodziców. Przyjęto więc go u nas bardzo serdecznie. Kiedy spotykaliśmy się ze sobą w obecności innych domowników, przekomarzał się ze mną i przemawiał jak do małej dziewczynki.

Nie miałam o to urazy, bo gdy tylko zostawaliśmy sami, głos Muna zmieniał się, nasycając się czułością. Snuł wówczas plany podróży na wyspy Barbados w towarzystwie hrabiego Warwicka, który zakupił plantację położoną na najlepszej i najzdrowszej z owych wysp dalekiego zachodu. Było tam mnóstwo wspaniałych owoców - pomarańczy, cytryn, owoców limonii, bananów rajszych, ananasów, a także obfitość pieprzu, cynamonu, imbiru oraz kapusty rosnącej na drzewach. Głównym pożywieniem były kartofle, gotowane i tłuczone, potrawa niezwykle pożywna i smaczna, która nikomu nie może się znudzić, choćby ją jadł przy każdym posiłku. Największą wadą owych wysp, jak słyszał Mun, było to, że na ziemi mrowiło się mnóstwo krabów, które potrafiły ukąsić człowieka nawet przez skórę obuwia albo odgryźć mu palec, jeśli zasnął na trawę. Odczuwało się tam też wielki brak wykwalifikowanych pracowników oraz przedmiotów domowych - narzędzi metalowych i bielizny. A wyspy te leżą tak daleko od Anglii, że człowiek, który by tam pojechał, może sobie wyobrazić, iż jest na księżycu.

Nie powędrował tam jednak, a jedyną przyczyną jego rezygnacji było, jak sędzę, tylko to, że usłyszawszy o jego planach, wybuchnęłam płaczem i nie chciałam słuchać żadnych pocieszeń. Wołałam, że nie budzą we mnie trwogi owe kraby, ale nienawidzę oceanu: na pewno okręt się rozbije - albo podczas pierwszej podróży, albo w drodze powrotnej - i Mun stanie się pastwą rekinów. Nie wiem, w jaki sposób wytłumaczył swojej rodzinie tę tak nagłą zmianę postanowienia. Na miejsce Muna pojechał jego brat Tom, ale nie powiodło mu się na wyspie i niebawem wrócił do Anglii.

Tymczasem duchowieństwo arminiańskie pod przewodnictwem arcybiskupa Lauda (który niedawno objął urząd po arcybiskupie Abbocie, nieszczęsnym mężobójcy) nakłoniło króla do narzucenia kościołom we wszystkich jego krajach takiej jednolitości liturgii, jakiej nie domagał się był ani jego ojciec, król Jakub, ani królowa Elżbieta. Od czasów sporu króla Henryka VIII z rzymskim papieżem Kościół był niby stół o nierównych nogach, podpieranym od spodu pakułami tolerancji albo - w wypadku jawnej herezji, której nie można było osłonić tolerancją - drewnianymi klinami wykrętów. Teraz arcybiskup chciał tak przypiłować nogi, aby stół stał równo po odrzuceniu wszystkich pakuł i klinów. Znając jednak usposobienie ludu angielskiego, nie ośmielił się od razu narzucić swej nowej liturgii naszemu narodowi. Pomyślał, że lepiej będzie - jak to się mówi - „wypróbować rzecz na psiarni”, czyli narzucić ją najpierw Szkotom, małemu i ubogiemu narodowi.

Okazało się to ciężkim błędem. Szkoci bowiem mieli wrażliwe żołądki; zwymiotowali nową liturgię, a potem zbiegli się i zaprzysięgli między sobą przymierze, przeciwstawiając się królowi, chociaż pochodził z dynastii, którą niegdyś oni sami dali angielskiemu królestwu. Wyzwali go do walki zbrojnej, powołując u siebie pospolite ruszenie, na którego czele postawili oficerów zaprawionych do boju w wojnach szwedzkich. Oświadczyli, że nie tylko nie przyjmą liturgii, ale od tej chwili nie będą uznawać władzy swoich biskupów,

którzy próbowali im ją narzucić; na ich miejsce ustanowią starszyznę kościelną, czyli prezbiterów, którzy będą rządzić Kościołem za pośrednictwem zgromadzeń.

Kiedy pierwsza wieść o buncie na północy dotarła do dworu w Londynie, Archie Armstrong, królewski trefniś, spotykając arcybiskupa Lauda kroczącego do gmachu Rady, zupełnie zapomniał o tym, że dzwonkowa czapeczka nie może rzucać obelg przeciw mitrze. Zwrócił się do niego obelżywie i zapytał, kto teraz jest błaznem. Ani arcybiskup, ani król nie przyjęli tego żartu łaskawie. Powleczono Archie'ego przed Radę i uznano, że należy ściągnąć mu ze łba dzwonkową czapeczkę i wykopać go za drzwi, aby już nigdy nie śmiał pokazać się na dworze. Tak uczyniono i przekazano jego urząd innemu błaznowi szkockiemu, nazwiskiem Muckle John, ociężałemu tępakowi ze zwisającą wargą. W owych czasach trzeba było wielkiej odwagi, aby powiedzieć albo napisać cokolwiek przeciw arcybiskupowi. Dotkliwie przekonał się o tym nasz przyjaciel, uczony pan Lambert Osbaldiston, który za to, że nazwał go „pchłą i kuglarzem” w liście prywatnym napisanym do biskupa Lincolnu, został nie tylko zasądzony na 5000 funtów grzywny, ale jeszcze pozbawiono go stanowiska preceptora w szkole westminsterskiej i w obecności wszystkich uczniów postawiono pod pręgierz. Archie jednak został potem pomszczony, gdyż Rada, która wydała na niego wyrok, teraz już nie istnieje, a on sam zachował nietkniętą głowę na karku dłużej niż arcybiskup i król.

Nie było innego wyjścia, król musiał wystąpić do walki przeciw Szkotom. Wojna ta porwała Muna w swój wir. Został zaciągnięty jako ochotnik przez swego własnego ojca, sir Edmunda Verneya, który będąc marszałkiem i chorążym królewskim, powiódł do Szkocji zgromadzoną armię. Król zrezygnował ze zwołania Parlamentu i z proszenia go o pieniądze na żołd. Wiedział bowiem, że zanimby członkowie Parlamentu uchwalili jakąkolwiek poważną pomoc, najpierw żądaliby od niego wyrównania krzywd, jakich sporo się namnożyło przez długie lata królewskich rządów bez Parlamentu. Poza tym w wielu częściach Anglii dosyć chłodno patrzono na biskupów. Wśród kupców i rękodzielników londyńskich mówiło się otwarcie, że Szkoci to dzielni chłopcy i słusznie dopominają się o swoje prawa. W styczniu 1639 roku król wysłał listy do wszystkich wielmożów z żądaniem, aby przywiedli swe zbrojne oddziały na oznaczone miejsce w Yorkshire. W odpowiedzi niektórzy panowie obiecali po dwudziestu jeźdźców i po 1000 funtów; inni - 500 funtów i pięciu jeźdźców; jeszcze inni zapowiedzieli ostrożnie, że zjawią się z takim zaopatrzeniem, na jakie im pozwoli ich fortuna i krótki termin; niektórzy wreszcie ekskuzowali się swym ubóstwem, przypominając najjaśniejszemu panu o poważnych sumach, jakie należą się im z jego skarbcza, i wyrażali obawę, że tylko niewielkiej będą mogli udzielić pomocy. Ogólnie biorąc, nie ofiarowali królowi wiele. Dwaj wielmoże zaś, lord Brooke i lord Saye and Sele, całkowicie odmówili, oświadczając, że czekają na rozkaz Parlamentu; za to nieposłuszeństwo oddano ich pod straż. Zwrócono się również do gmin w każdym hrabstwie i mieście o

uchwalenie dobrowolnych podatków. Król jednak zawiódł się co do ich wysokości. Cały Londyn ofiarował nie więcej niż 5200 funtów, czyli około sześciu pensów od jednego mieszkańca. Król uznał to za nędzną sumę i odrzucił ze wzgardą. Natomiast duchowieństwo było hojne, gdyż arcybiskup Laud mógł swoim rozkazem wyciągać z niego pieniądze, oświadczając bez ogródek, że tym razem najjaśniejszy pan domaga się większej sumy niż zazwyczaj. Nawet od naszego proboszcza zażądano pięciu funtów, co wynosiło jedną czwartą jego rocznych poborów.

Na początku marca biskup Oksfordu przysłał mojemu ojcu list, który proboszcz miał odczytać z ambony. W liście tym, napisanym przez samego króla, Szkoci, którzy zawarli Przymierze, byli określani jako wrogowie monarchii, planujący napaść na Anglię. Część ludzi zgromadzonych w kościele - zwłaszcza kobiety - poczęła wzdychać i głośno domagać się zemsty przeciw tym zdradzieckim psom cudzoziemskim. Ludzie zamożni jednak wysłuchali listu powściągliwie, a już w kruchcie imć Flight oświadczył, iż jego zdaniem najjaśniejszy pan chyba się myli, bo Szkoci - w piśmie, które sam miał w ręku - zupełnie inaczej przedstawiali swoje zamiary. Flight uchodził za człowieka rozsądnego, więc nikt z obecnych nie wystąpił przeciw niemu, a nawet wielu przyświadczyło, że myślą podobnie i spodziewają się, iż łaska boża uchroni oba królestwa od walki. Tom Messenger zaś, który na nowo osiedlił się był w naszym miasteczku, utrzymywał, że to wielka odwaga ze strony Szkotów, będących tak małym narodem, przeciwstawiać się potędze Anglii i że jeśli naprawdę wystąpią przeciw nam, to nie będzie ulegało wątpliwości, iż Bóg jest po ich stronie. Chciał jeszcze więcej mówić, ale mój ojciec upomniał go, że powinien zastanowić się, co mówi, bo już niejedyn człowiek - nawet za drobniejsze sprawy - poszedł na szubienicę. Tom więc przerwał swe wywody i prosił zebranych o przebaczenie. W kwietniu nakazano nam modlić się publicznie o zwycięstwo króla, powtarzając słowa za proboszczem. Nie była to bynajmniej żarliwa modlitwa, choć już trzech mężczyzn poszło z Forest Hill na wojnę. Wyzaczył ich mój ojciec, starając się wybrać takich, których z najmniejszym stosunkowo zalem można się było pozbyć z parafii. Dwaj z nich byli niepoprawnymi pijakami i próżniakami, a trzeci miewał tak dziwaczne pomysły, że najlepiej pasowałyby do domu wariatów. Ojciec nie chciał dopuścić do tego, aby za jego sprawą jakikolwiek porządny człowiek miał narażać swe życie na niebezpieczeństwa wojny.

Król długo zwlekał w Yorku, zanim wyruszył do Newcastle. Tam znowu zatrzymał się na długi czas, trzymając pod bronią swą niemal pięćdziesięciotysięczną armię. Spodziewał się, że rzuci trwożę na Szkotów. Oni jednak nakupili sobie dobrej broni od Szwedów i zaczęli teraz zajmować właściwą postawę obronną, gorąco modląc się do Boga. Ich pastory bili pięścią w ambonę jak w bęben i wzywali wiernych, aby „nie trwożyli się niczego, albowiem Bóg jest ze swoim ludem”. Instruktorzy wojskowi chodzili po całym

kraju, wdrażając ludzi do używania broni i do posłuszeństwa wobec rozkazów oficerów.

Jeszcze podczas marszu do Yorku Mun wysłał sześciopensową pocztą list do mego brata Richarda. Zaraz po otrzymaniu Richard odczytał nam list przy obiedzie. Mun wyrażał nadzieję, że cała wyprawa będzie tylko marszem triumfalnym, który zakończy się hołdem wierności złożonym przez Szkotów królowi, a wtedy on, Mun, będzie mógł odnowić znajomość z nami jeszcze tej jesieni. Jeśliby jednak doszło do walki - pisał - to i tak ma nadzieję, że wróci cało, choć bynajmniej nie pozwoli zardzewieć swej włóczni i pistoletom. Obiecywał też, że przyśle nam dokładny spis wszystkich Szkotów, których zabije. Przez całą tę wiosnę i początek lata bardzo niepokoiłam się o Muna. W czerwcu napisał do nas znowu, z Berwickupon-Tweed, donosząc nam, że armia szkocka mocno obsadziła wzgórze panujące nad drogą do Edynburga; jest to wojsko dobrze wyćwiczone i obficie zaopatrzone w prowiant, podczas gdy z armią królewską sprawa nie przedstawia się dobrze. Żołnierze nie potrafią posługiwać się bronią, machają włóczniami jak grabiami, a jeden z muszkieterów już przestrzelił namiot królewski. Wyglądało na to, że mój ojciec nie był jedynym urzędnikiem, który - gdy lord namiestnik hrabstwa zażądał ludzi - wysłał takich, jakich z najmniejszym żalem mógł się wyrzec, czy raczej - jakich chętnie się pozbywał. Zresztą niejedynemu mężczyźnie obciął sobie palec u nogi albo w jakiś inny sposób się okaleczył, byle tylko nie iść na wojnę. A do tego jeszcze oficerowie nie byli zaprawieni w kierowaniu wojskiem. Nieustannie słyszało się wrzaski i pomstowania na brak chleba i dobrych trunków. Mun wyrażał obawę, że jeśli Szkoci napadną na taką armię, skoszą ją z taką łatwością, jak ostry sierp kosi łąn dojrzałego jęczmienia. I dziękował Bogu, że ma dobrego wierzchowca, który uniesie go z tej ciżby, jeśli zapanuje ogólny popłoch.

Król, widząc tę sytuację, dał się wreszcie przekonać swym szkockim lordom i przystał na zawarcie ugody. Wtedy ziomkowie lordów, upewnieni o zmianie nastroju króla, wysłali do niego petycję.

Ojciec Muna został wydelegowany do ich obozu, aby przedstawił pewne żądania królewskie będące warunkiem wszczęcia rokowań. Żądania te nie były zbyt surowe, więc zawarto wówczas układ zwany ugodą w Birks. W układzie tym Szkoci prosili króla o przebaczenie, że przywiedli go do gniewu; król zaś przychylił się łaskawie do wszystkich ich próśb: zgadzał się na to, aby Szkocja we wszystkich sprawach świeckich i kościelnych była rządzona swobodnymi decyzjami parlamentów i dorocznych zgromadzeń Kościoła, bez żadnej obcej interwencji. Po zawarciu układu oba wojska zostały rozpuszczone do domów. Było to jakby zakończenie roku szkolnego przed letnimi wakacjami: krzyczano, wrzeszczano, bawiono się hałaśliwie.

Tak się skończyła owa wojna bez rozlewu krwi. Ucierpiały w niej tylko psy z Aberdeen. To miasto, jedyne w Szkocji, nie chciało zaprzysiąc Przymierza i tamtejsze damy zawiązały swoim pieskom na szyjach wstążeczki niebieskie, aby

wyrazić swą pogardę dla barwy Przymierza; uczestnicy Przymierza zaś wychwyтали i pozabijali nieszczęsne zwierzęta. W niedługi czas po zawarciu ugody w Birks ojciec mój widział list napisany przez pokojowca królewskiego, który uskarżał się, że cały ów czas dłużył się im nieznośnie, bo tydzień za tygodniem było zimno i dżdżysto. I pisał jeszcze: „Rozgrzewaliśmy jednak naszych żołnierzy nadzieją na to, że oskubią, obedrą i obłupią tych parszywych, brudnych, plugawych, ohydnych, zawszonych, owrzodziałych, strupiastych, niechlujnych, zasmarkanych, tępych, głupich, bezczelnych, zuchwałych, dziadowskich, barbarzyńskich, bydlęcych, niedorzecznych, fałszywych, łgarskich, nikczemnych, diabelskich, długouchych, krótkowłosych, przeklętych, ateistycznych, purytańskich łotrów ze szkockiego Przymierza. Ale teraz nastał pokój w Izraelu”. Było tam jeszcze więcej w podobnym guście, ale ojciec powiedział, że nie są to rzeczy odpowiednie dla naszych uszu.

Zwolnieni ze służby żołnierze długo wlekli się do swoich domów. Spośród trzech ludzi z naszego miasteczka jeden, ów szalony, zmarł po drodze od gorączki, jakiej się nabawił śpiąc w mokrym odzieniu, a dwaj rzezimieszkowie przybyli do nas głodni i bosy, prawie zupełnie nadzy, gdyż podczas wędrówki musieli rozstać się ze swym ubraniem, aby kupić chleba. Mówili zresztą, że rozstawali się z nim bez żalu, gdyż roilo się ono od owych pełzających stworzeń zwanych „robakami Przymierza”, które rozmnożyły się w szwach żołnierskich kubraków, kiedy gnili w obozie w Szkocji. Mun jednak wrócił do domu bez przeszkód.

Pewnego pięknego dnia zjawił się w naszym domu, odziany w kaftan ze skóry bawolej. Jechał właśnie do Oksfordu, aby zobaczyć uroczystość mianowania doktorów na wydziale sztuk wyzwolonych. Był to już zupełnie odmienny Mun, nie ten biedny, zahukany student z Hart Hall, którego przed niespełna rokiem pocieszałam przyjaźnie. Ujrzałam teraz zadzierzystego, szarmanckiego żołnierza z dumnie podniesioną głową, bynajmniej niepotrzebującego pocieszenia. Ja również się zmieniłam. Nie byłam już dzieckiem, ani nie byłam jeszcze dorosłą kobietą, ale czymś pośrednim. Mun nie bardzo wiedział, jak ma do mnie mówić. Myślę, że unikał pozostania ze mną sam na sam, obawiając się, że jego przyjaźń będę przyjmować jako zaloty. Bardzo mnie to bolało, chociaż muszę przyznać, że niczym mnie nie uraził i w obecności innych ludzi nie przekomarzał się ze mną, ale przemawiał do mnie uprzejmie i poważnie. Był teraz chorążym kompanii sir Thomasa Culpeppera, która miała niebawem pożeglować do Flandrii, aby połączyć się z armią Stanów Generalnych. Mówił nam, że wprawdzie ma jeszcze paru wierzycieli w Oksfordzie, ale nie braknie mu teraz pieniędzy na spłacenie ich wszystkich, więc będzie miał uregulowane rachunki i postara się o to (tu wreszcie rzucił na mnie ukradkowe spojrzenie), aby już nigdy, póki żyje, nie popaść w długi. Opowiedział też historię, która nas rozśmieszyła. Oto pewien londyński kupiec, jego znajomy, napisał do swego agenta w Surat Castle, w Indiach, aby przysłał mu pakę zakonserwowanych cytryn, dwa wielkie dzbany oliwy, cynamon i dwie

albo trzy małpy; napisał jednak list niewyraźnie i agent zrozumiał, że chodzi mu nie o dwie albo trzy, ale o dwieście trzy małpy. Wysłał mu więc osiemdziesiąt małp i zaznaczył na rachunku, że pozostałe sto dwadzieścia trzy przyjedzie następnym okrętem. Wielka to szkoda, mówił Mun, że owe osiemdziesiąt przybyło zbyt późno, aby je było można posłać przeciw Szkotom; są to bowiem bestie o silnych łapach i potężnych zębach.

Przed odjazdem ucałował młodsze dzieci na pożegnanie, a potem, zwracając się do mnie, rzekł z uśmiechem: „Panno Marie, myślę, że ty już jesteś zbyt dużym dzieckiem, aby cię całować”. A ja, głupia, odpowiedziałam: „Tak, już nie jestem dzieckiem, panie chorąży Verney!”. Nie otrzymałam więc odeń tego, czego pragnęłam z całej duszy. Odjechał uśmiechnięty, ale wiedziałam, że teraz już nigdy nie napisze listu ani do Richarda, ani do nikogo z naszego domu. Poszłam na górę do mojego pokoju, aby wypłakać się na łóżku, ale zastałam tam Zarę czeszącą włosy moim grzebieniem. Zabrałam jej grzebień, wygrzmociłam ją porządnie i wyszłam z pokoju, wielce nieszczęśliwa, aby opowiedzieć swe niedole gęsiom na podwórzu.

Mun we Flandrii nie uczestniczył w żadnych bitwach ani oblężeniach. W takiej sytuacji trudno jest oficerowi liczyć na awans, gdyż nie ma żadnego trupa, którego buty mógł by wciągnąć na swoje nogi. A przy tym żaden kapitan nie chciał mieć przy boku oficera tak honorowego jak Mun, którego sumienie nie godziło się na oszustwa przy sporządzaniu rejestrów. Dzięki takim oszustwom zaś kapitanowie mogli pobierać żołd na konto żołnierzy, którzy już polegli albo opuścili służbę. Fałszywe rejestry były częste w armii i oszustwa rzadko wychodziły na jaw. Pułkownik bowiem miał udział w zdobytych tą drogą dochodach, a jeśli generał żądał od kapitana okazania kompanii w pełnym składzie, zawsze można było z innej kompanii pożyczyć żołnierzy na ten dzień. Owego pierwszego roku w zimie Mun stał na kwaterze w Utrechcie, gdzie jest uniwersytet. Tam, w ciągu wielu miesięcy, poświęcał co dzień siedem albo osiem godzin na naukę, aby poprawić swą znajomość łaciny i francuskiego i zapoznać się z zasadami fortyfikacji i innymi sprawami pożytecznymi dla żołnierza. O tym jednak nic wówczas nie wiedziałam.

Tymczasem król, którego bardzo trapiła klęska zadana mu przez Szkotów, przygotowywał zemstę i nieustannie naradzał się nad tą sprawą z grupą ministrów ze swojej Rady. Nie mogąc znikąd zdobyć pieniędzy, w końcu zdecydował się na zwołanie angielskiego Parlamentu (czego nie czynił nigdy od początku swego panowania). Spodziewał się, że skłoni Parlament do uległości pięknymi słowami i oświadczeniem, iż Szkoci knują niebezpieczny bunt. Trudno było jednak zrozumieć, dlaczego mieliby się jeszcze buntować, skoro dzięki ugodzie zdobyli już wszystko, co im było potrzebne. W kwietniu 1640 roku, na dwa dni przed zebraniem się Parlamentu, król rozpętał komedię wokół pewnego listu skierowanego przez szkockich przywódców do króla Francji, w którym prosili tego monarchę o zainteresowanie się sprawami ich narodu. Nie prosili bynajmniej o zbrojną pomoc i być może pragnęli tylko jego mediacji; trzeba też

zaznaczyć, że list był napisany jeszcze przed ostatnimi zamieszkami i zresztą nigdy nie został wysłany, był tylko szkicem. Miał jednak w sobie posmak zdrady, więc król wezwał owych Szkotów do Londynu. Ponieważ zaś oni roztropnie wstrzymali się od przybycia, król uznał to za nieposłuszeństwo usprawiedliwiające wojnę, którą właśnie zamierzał wszcząć.

Zgromadził się Parlament. Tylko niewielu spośród jego członków płonęło lojalnym gniewem przeciw Szkotom. Większość zdecydowała, że nie będą rozważać sprawy dwunastu podatków wojennych, jakich król zażądał natychmiast, dopóki nie odpowie on na inne pytania, jakie członkowie Parlamentu zechcą mu postawić. Wówczas przygotowali długą listę zarzutów, obciążając nimi króla i jego ministrów i domagając się zadośćuczynienia. Król w gniewie rozwiązał Parlament po trzech zaledwie tygodniach obrad. Musiał jednak zdobyć pieniądze. Przeważnie doił kler, sprzedawał patenty i monopole, zwiększył opłaty akcyzowe i zażądał od Londynu wielkiej pożyczki - dwustu tysięcy funtów. Najpierw wziął od radnych każdej dzielnicy listę obywateli, których można było opodatkować. Ale pomimo całej tej natarczywości radni zdobyli dla niego zaledwie jedną piątą żądanej sumy. Ściągał też podatki z okrętów, podatki na odzież wojska i jeszcze mnóstwo innych opłat. Mój ojciec tak był tym wszystkim przytłoczony, że chodził nieprzytomny, jakby miał zastrzał w palcu. Mało kto śmiało otwarcie przeciwstawiać się królowi, ale to, co się robi opornie i wbrew woli, nigdy nie jest wykonane szybko ani dobrze, a trzech mężczyzn, których tym razem ojciec musiał posłać na wojnę - dwaj dawni i jeszcze jeden człowiek, który stał się ciężarem dla parafii, bo był krawcem, a zepsuł mu się wzrok - wzbudzali powszechną litość, jak gdyby szli na szafot. Ociągali się z wyruszeniem, aż przybył sierżant z Oksfordu, aby wziąć ich siłą.

W maju przyzwano Muna - tak samo jak innych oficerów - z Hagi, gdzie wtedy przebywał, i powierzono mu dowództwo nad dosyć bezładną kompanią pieszych, która miała wyruszyć przeciw Szkotom. W dużej mierze składała się ona z ludzi, których posłano na wojnę, aby ich ukarać za purytańskie wystąpienia. Nie było to dobrze pomyślane. Podczas marszu na północ byli oni dla Muna nieustanną zgryzotą i wstydem. Włamywali się do kościołów i jeśli znaleźli w nich coś sprzecznego ze swymi upodobaniami, od razu wszystko poprawiali: usuwali balustradę sprzed ołtarza, wyciągali znowu na środek kościoła stoły komunijne, które arcybiskup Laud ustawił jako ołtarze na wschodnim krańcu, wyrzucali świece płonące bez celu, komże darli na chustki do nosa.

Szkoci wcześniej dowiedzieli się o tym, że coś się przeciw nim szykuje, znowu więc zgromadzili swą armię, pokornie padli na kolana przed Bogiem i rozłożyli obóz w tym samym miejscu co przedtem. Wszystkie te przygotowania ukończyli już w połowie sierpnia, kiedy oddziały królewskie jeszcze ciągle włokły się mozolnie ku Szkocji - źle uzbrojone, niedożywione, nader niechętnie witane przez mieszkańców Yorkshire i innych hrabstw północnych, gdzie już

rok temu pochłonęły wiele paszy i zabrały mnóstwo zboża, trzody i drobiu - bez żadnego „dziękuję”; przekleństwa były jedyną zapłatą, jakiej żołnierze udzielali.

Dobrze zorganizowana armia szkocka nie chciała czekać, aż król przysposobi swych ludzi do ataku na Edynburg. Szkoci śmiało przeszli w bród przez rzekę Tweed w pobliżu Coldstream, dźwigając na plecach wory z owsem, i pomaszerowali na Anglię. Mieli dobrą artylerię i na ogół nie brakowało im muszkietów; jedynie nadzy górale mieli zamiast muszkietów łuki i strzały. Żaden jednak ze Szkotów nie nosił zbroi; słusznie uznali, że bardziej ona przeszkadza w marszu, niż pomaga w bitwie.

Była to naprawdę dziwna inwazja. Nie pozwolono bowiem żołnierzom na żadną grabież. Zachowywali się tak statecznie jak uczestnicy uroczystej procesji, ogłaszając z naciskiem, że przychodzą jako przyjaciele, aby pocieszyć swych cierpiących braci w Anglii, którzy byli zagrożeni w swej wierze i wolności zupełnie tak samo jak oni. Oświadczali też, że nie wezmą od nich niczego, nawet kurczaka czy dzbanka piwa, bez uiszczenia zapłaty w solidnej monecie. liczyli na to, że Anglicy będą współdziałać z nimi w tym tak sprawiedliwym i szlachetnym dążeniu do spełnienia sprawiedliwych i szlachetnych postulatów obu narodów.

Na południowym brzegu rzeki Tyne, około czterech mil powyżej Newcastle, postawiono parę tysięcy ludzi z armii królewskiej, aby bronili przejścia. Kiedy jednak nadeszli Szkoci, żadne z wojsk nie było skłonne do wszczęcia zwady, bo od czasu, gdy pradziad króla jegomości, król szkocki, zginął na polach Flodden, nie było, jak myślę, nieprzyjaźni między obu narodami. Jeźdźcy z obu wojsk poili konie w tej samej rzece, chociaż z przeciwnych brzegów. Ale wreszcie jakiś pijany muszkieter angielski wypalił ponad rzeką w szkockiego oficera i w ten sposób rozejm został zerwany. Zabrzękały inne muszkiety i ryknęła szkocka artyleria, w której każda armata wyrzucała pocisk co trzy minuty. Wtedy Anglicy uciekli od jednego z dwóch szańców, które właśnie przygotowywali. Szkoci, korzystając z niskiego poziomu wody, przeszli wplaw przez rzekę. Wówczas Anglicy uciekli również od drugiego szanca. Parę oddziałów angielskiej jazdy stawiało opór, ale -osamotnione i już niemal okrążone - także rzuciły się do ucieczki, utraciwszy około pół setki ludzi. Ogromną przewagę dawała Szkotom artyleria, nieporównanie liczniejsza od naszej i mająca znacznie większą siłę ognia, gdyż kanonierzy szkoccy krzatali się przy armatach ze zręcznością godną tancerzy. Oprócz wielkich dział mieli oni jeszcze wiele małych armatek żelaznych, długich zaledwie na cztery stopy, a nader groźnych - sami Szkoci je wynaleźli. Miotaly one pociski o wadze dwóch do trzech funtów i raziły śmiertelnie na odległość trzystu kroków.

Szkoci mrowili się na drodze do Newcastle. Dwie noce przedtem przybyła tam - forsownym marszem - kompania Muna z Yorkshire. Na ulicach Newcastle Mun zastał straszliwy zamęt. Nie poczyniono jeszcze żadnych przygotowań. Natychmiast rozkazał żołnierzom zabrać się do naprawiania fortyfikacji, które były w ruinie. Pracowali dzień i noc niemal bez przerwy. Nagle jednak

przyszedł rozkaz, aby kompania Muna przerwała pracę i wymaszerowała z miasta, bo sytuacja była już beznadziejna. Wobec braku koni musieli wszystkie bagaże zostawić przeciwnikom. Wrócili więc do Yorku - tak samo szybko, a może nawet szybciej, niż przyszli. Szkoci ulitowali się i nie pogonili za nimi, chociaż mogli to uczynić. Uznali, że rozsądek im nakazuje zająć spokojnie hrabstwa Northumberland i Durham i zawładnąć znajdującymi się tam kopalniami i zapasami węgla. Zła to była wieść dla kupców londyńskich i dla wszystkich gospodyń i piekarzy, którzy potrzebowali węgla do swych pieców. Ale Szkoci zachowali się tak łaskawie, że nie spowodowali żadnej przerwy w handlu węglem; tym umiarem zasłużyli sobie na wielką pochwałę. W owych tarapatkach Mun stracił cały dobytek, jaki miał ze sobą, oprócz jednego ubrania, najgorszego ze wszystkich, które właśnie nosił, dopiero po kilku miesiącach odzyskał jeden ze swoich trzech kufrów.

Trzej mężczyźni z Forest Hill opuścili swe szeregi i jeden po drugim wrócili do domu; na Boże Narodzenie wszyscy byli już na miejscu i jedli świąteczne potrawy. Konstabl oskarżył ich o dezercję, ale kiedy mój ojciec wezwał ich na przesłuchanie, oświadczyli, że ich oficerowie, którzy zresztą uciekli wcześniej od nich, nigdy im nie zapłacili ani pensa żołdu, a bardzo niewiele dawali im napoju i pożywienia; ojciec więc ich uniewinnił. Dwaj rzezimieszkowie znowu pogrążyli się w próżniactwie i pijaństwie. Natomiast krawiec, jak się okazało, wzmocnił sobie oczy dzięki długiemu odpoczynkowi od igły. Ojciec więc zrobił go drwalem; odtąd był dla nas bardzo pożyteczny.

Jeśli chodzi o możnych i szlachtę, to nasi sąsiedzi wielce się srożyli przeciw Szkotom, ale jeszcze bardziej przeciw owym zdrajcom angielskim, którzy się z nimi sprzymierzyli; było bowiem powszechnie wiadome, że wszyscy ci, co nienawidzili biskupów i nie kochali króla, ośmielili Szkotów do podjęcia wyprawy.

Ponieważ Szkoci zwrócili się wówczas do króla z prośbą o zwołanie Parlamentu w Anglii, a król nie był w stanie im odmówić, zwołano Parlament - właśnie ten Parlament, którego członkiem był, jak napisałam w pierwszym rozdziale, sir Robert Pye senior. Żałosna resztką tego Parlamentu sprawuje jeszcze teraz władzę w Westminsterze - po dwunastu latach, podczas których dokonał on rzeczy wielkich i straszliwych. W owych czasach Parlament był zazwyczaj dobrze usposobiony wobec Szkotów i chętnie zgadzał się, aby pozostali na terenie Anglii, dopóki nie zostanie podpisany traktat korzystny dla obu narodów. Większość członków Parlamentu nie narzekała nawet na to, że trzeba było Szkotom przez cały czas ich pobytu w Anglii dawać 850 funtów dziennie; wszystko gotowi byli uczynić byle tylko zastraszyć króla i skłonić go do posłuszeństwa wobec Parlamentu. Sporą niedogodność jednak stanowiło to, że pozostawała jeszcze w Yorku część angielskiej armii, której ze względów prestiżowych nie można było zwolnić ze służby. Temu wojsku również trzeba było dawać żołd, ale Parlament nie wypłacał go tak regularnie jak Szkotom. Jego członkowie pracowali teraz głównie nad tym, aby zapewnić Parlamentowi

mocną i trwałą pozycję: znieśli trybunały, które były narzędziem niekontrolowanej władzy króla; przywrócili dawne prawo, według którego nie można nakładać podatków na lud bez zgody Parlamentu, znieśli monopole i patenty; w końcu zaś ograniczyli władzę biskupów.

Mun przebywał wraz z rozbitą armią w Yorku. Źle się czuł i brakło mu pieniędzy. Był tam właśnie podczas owych świąt Bożego Narodzenia roku 1641-1642, kiedy - jak opowiadałam w pierwszym rozdziale - chrzestna moja, ciotka Moulton, dała mi welinową księgę. Tu wreszcie wróciłam do początku opowieści, którą zaczęłam zbyt pośpiesznie; postaram się nigdy już nie cofać w moim opowiadaniu.

Rozdział szósty

WPADAM W POBOŻNOŚĆ I ZNÓW JĄ TRACĘ

Na wiosnę roku 1641, kiedy się wyleczyłam z domniemanej zarazy i zaczęłam znów chodzić po domu, popadłam w melancholijne przygnębienie, bo polubiłam to ciepłe, rozpieszczone życie w łóżku i odeszła mnie chęć i smak do zwykłych moich zajęć.

Matka orzekła, że zbyt dobrze mnie karmiono podczas choroby i że przez dziesięć dni musi mi codziennie puszczać pół kwaterki krwi, by mnie postawić na nogi. A że już nie byłam pod opieką Trunco, nie było rady, musiałam cierpliwie się poddać. Ta utrata krwi bardzo mnie osłabiła i jeszcze posmutniałam. Mój ojciec wezwał dra Batesa, medyka z Oksfordu, a ten pewien był, że mam szkorbut, i dał mi bardzo przykre leki: zaparzone zioła przeciwskorbutowe, piołunowe piwo i musztardę przy każdym posiłku, czego mój żołądek nie znoślił.

Poza tym była wiosna, a walczyła ze mną jak wróg. Nasi poeci udają, że wiosna to radosna pora, lecz niewątpliwie powtarzają to za Włochami i Hiszpanami bez zastanowienia. W tamtych ogrodach migdałowe drzewa owocują, kiedy nasze zaledwie kwitną. W Forest Hill przez cały post owego roku dał ostry wschodni wiatr, który według przysłowia nie służy ni ludziom, ni bydłom. A nasz dom, jako że już stary, nie był szczelny. Pierwiosniki się opóźniły i nie cieszyły mnie, bo nie było Muna, by je ze mną rwał. Jednakże ze względu na pamięć o nim zawsze układałam moje wiązanki tak, jak on mnie tego nauczył.

Inna jeszcze chmura przyćmiewała tę wiosnę. W Parlamencie miała się toczyć sprawa hrabiego Strafforda, głównego doradcy króla i najzręczniejszego dowódcy, oskarżonego o bezprawia i zdrady, jakich dopuścił się w Irlandii. Jasnym było dla każdego, kto go znał, że był najwierniejszym sługą króla jegomości. Jeśli zdradzał Anglię, to chyba zdradzał ją też jego pan, który poczynania jego znał i pochwalał - chyba że monarcha źle czynić nie może. Jednakże w Parlamencie upierano się, by go skazać na śmierć dla przykładu i ostrzeżenia, a pośledniejsza kara nie zadowalała ich, bo, jak powiadali, „nieboszczyk nie ma kamratów”. Nikt nie posądzał króla jegomości, iż zezwoli na śmierć wiernego sługi. Z drugiej strony mówiono, że gdyby król się wtrącił w najmniejszej mierze do wyroków Parlamentu, kraj niechybnie popadnie w wojnę domową. Parlamentarzyści przytaczali powiedzenie (trzeba zaznaczyć, że strony już się podzieliły: parlamentarzyści przeciwko stronnikom królewskim, czyli rojalistom): „Nikt nie zgadnie, ile grubości włosa składa się na wzrost wysokiego człowieka ani ile na niskiego. Jednakże każdy z nas pozna, czy

człowiek jest wysoki, czy też niski. Nie wiem również, ile bezprawnych czynów składa się na zdradę, ale każdy z nas odróżni zdrajcę, kiedy go zobaczy, od człowieka uczciwego i wiernego”.

Mój ojciec był ostrożny i nie zdradzał swego mniemania, ale mówił każdemu z tej czy tamtej partii: „Nie mogę roztrząsać słuszności tego, co waszmość głosisz, ale uważam to za rzecz złą i niebezpieczną”. - A takiemu, co przemawiał gwałtownie, by sprawę zaognić, powiadał: „Powoli, waszmość, powoli! Kto dmucha w żar, niech wie, że mu twarz osmali”. -Matka moja jednak, urodzona Moulton z Worcestershire, szczególnie wiernego hrabstwa, całą duszą była za królem, a przeciw „wściekłym psom i zdrajcom, stronnikom tego nicponia, Pyma”.

W wielkim tygodniu wujostwo Jonesowie przyjechali nas odwiedzić. Wuj, jako człek surowych zasad, skorzystał z mego ponurego humoru, by mówić ze mną bardzo poważnie o mojej nieśmiertelnej duszy. Dociekliwie mnie pytał, czy gryzie mnie sumienie, czy zgrzeszyłam cielesnie, czy ufam, iż osiągnę wieczne zbawienie, itd., itd. U nas w domu tak lekko brało się sprawy religii, jak mój ojciec obowiązki sędziego. Naśladowaliśmy innych, czyniliśmy to, czego wymagało prawo albo religijny obyczaj - nic ponadto - nie wojując zbytnio ze śmiertelnym ciałem. Ledwie wiedziałam o tym, iż posiadam własną, nieśmiertelną duszę. Nasz proboszcz bowiem w swych kazaniach nie rozwodził się nad zbawieniem pojedynczych dusz. Mówił raczej o niezmierzonej dobroci Boga i o wspaniałomyślnej miłości, jaka panuje wśród dobrych sąsiadów. I wołał słowami Psalmisty: „Bracia, jak radosną jest rzeczą przebywać wspólnie w jedności!”. Często nam obiecywał, że jeśli razem kroczyć będziemy łagodnie a radośnie, z miłością w sercu i zgodnie z prawem, cała nasza parafia Św. Mikołaja wejdzie ostatecznie w bramy niebieskie, we wzorowym ordynku, według pozycji i zamożności, i wszyscy staniemy się szczęsnymi aniołami, by śpiewać Bogu na wieki wieków.

Wuj Jones pouczył mnie, iż mam pamiętać w młodości o moim Stwórcy, aby nie przyszły na mnie ciężkie dni (tak jak przyszły na moich wujostwa), o których powiem kiedyś, iż „nie podobają mi się”. Było to dla mnie czymś nowym, a uderzyło mnie swą dziwnością i surowością. Odjeżdżając zaś, zostawił mi dwie książki: dra Sibbesa *Skruszona trzcina* i pana Roberta Boltona *Cztery rzeczy najlepsze i pouczenia dla właściwej pociechy sumienia strapionego*. Były to książki wydane niedawno, drukowane w tym samym roku.

Nie mogłam strawić *Skruszonej trzciny*. Natomiast pan Bolton pisał wielce zrozumiale i przekonał mnie, że mam sumienie wrażliwe. Badając gruntownie to nowo odkryte i wrażliwe sumienie, spostrzegłam, że ciąży na nim bez liku grzechów, nieznanymi mi dawniej pod tak straszliwymi nazwami. Natychmiast postanowiłam żałować i zadośćuczynić za wszystko i kroczyć przed Panem w czystości serca. O płynęłam blaskiem świętości i zdało mi się, jakoby owe języki ognia nadziei, o których mówi książka, dotykały mojego serca.

Był to krótkotrwały nastrój, gdyż niebawem przyćmił się blask świętości, płomienie przygasły, a zanim noc zapadła, powróciłam do starego bagna moich grzechów - niby pies do swych wymiocin, jak mówi Pismo - i oskarżałam siebie jako nędzną, zatwardziałego serca grzesznicę, wstrętną bestię, która powraca do swych grzechów. Odwróciłam moją welinową księgę i zaczęłam pisać od przeciwnego końca, zestawiając bardzo dokładny inwentarz błogosławieństw i krzyżów na każdy dzień. Spisywałam także wszystkie pokusy, jakie mnie opadały - zaznaczając plusem lub minusem, czy im uległam, czy nie - oraz wszystkie dobre postanowienia - i czy je wypełniłam. Najczęściej powtarzające się znaki wskazywały na: obżarstwo, bo namiętnie lubiłam słodczy wszelkiego rodzaju i białe mięso kurcząt; pychę, którą pobudziła moja nowa suknia z zielonego i czerwonego cycu w kwiaty, kupionego w Londynie po trzydziestu szylingów za jard; lenistwo, bo z nas dwóch ja nigdy nie wstałam pierwsza, ale czekałam, aż Zara była zupełnie utrefiona i miała rękę na klamce, by wyjść z pokoju; kłamstwo i mydlenie oczu - ilekroć moja matka stawiała pytania, na które nie chciałam odpowiedzieć; złość, gdyż wybuchałam gniewem, kiedy zarządzili mną starsi; okrucieństwo wobec Trunco, bo ilekroć się zniecierpliwiłam, ale nie śmiałam tego komu innemu okazać, pozwalałam sobie na wyładowanie wściekłości na niej, wiedząc, że dla wielkiej miłości nie zachowa do mnie urazy.

Obrachunki te uważałam za wielce uciążliwe, gdyż albo musiałam wciąż pamiętać każdy szczegół i powtarzać w kółko ze strachu, iż do chwili wieczornego pisania już mi się wszystko zatrze w pamięci; albo też w ciągu dnia wielokrotnie wpadać do pokoju, otwierać kluczykiem księgę, wyciągać pióro i inkaust i zapisywać, a potem posypywać pismo piaskiem, czekać, aż wyschnie, i na nowo księgę zamykać. Owym baczny czuwaniem, jakie nałożyłam sobie na język i ręce, mogłabym się szczycić, gdyby nie było ono tak dokuczliwe i nienaturalne. Uważałam, że jestem w stanie łaski przygotowawczej, ale nie posiadam jeszcze tej łaski szczególnej, która jest udziałem świętych. Im głębiej badałam swą rozbudzoną duszę, tym bardziej się w tym wszystkim wikłałam. By uśmierzyć pychę, zaniedbałam trefienia włosów i schludności w stroju; odtąd bardzo źle zaczęłam się prezentować. Kiedy zaś moja matka spostrzegła, że mniej jem i piję niż zazwyczaj, że chodzę po cichutku, a odpowiadam jej pokornie, wyciągnęła z tego wnioszek, iż musiałam popełnić znaczne przestępstwo, które chcę przed nią ukryć. W drugim dniu mego nowego życia zawołała mnie rankiem do swego pokoju i usiłowała ze mnie prawdę wyciągnąć, ale nie miałam co wyznać poza drobnostkami, które jej zdaniem niewarte były spowiedzi. Pomyślała więc, że ją oszukuję, i wyłajała mnie. Pokornie spuściłam oczy, ale nie rzekłam ani słowa o mojej łasce przygotowawczej - jeśli w ogóle to była łaska, a nie złudzenie - aby się nie uniosła tym więcej.

Matka często urągała wujowi Jonesowi, choć nigdy w oczy ani w obecności mego ojca, za jego obłudę, purytanizm i hipokryzję w zachowaniu. Nazywała go lisem, który stracił ogon w paści i chciałby nakłonić wszystkie lisy (samców i samice), by swoje również potraciły, aby on nie czuł abominacji dla swego

braku ogona. Byłam dość utwierdzona w wierze, ale nie byłam z rodu męczenników i w żaden sposób nie chciałam się narazić na kpiny ze strony matki, gdyby się dowiedziała, że jestem wyznawczynią wuja Jonesa z jego prostymi kołnierzykami bez ozdób i niedorzecznym kapeluszem. Pewnego dnia po obiedzie matka spostrzegła, jak się skradam do swego pokoju, pewna, że nikt na mnie nie zważa. Kroczyła za mną cicho i weszła do mnie, kiedy właśnie otwierałam zamek książki, by zabrać się do pisania. Nie zarzuciła mi kłamstwa, gdy rzekłam drżącym, cichym głosem, że prowadzę sekretny rachunek moich grzechów, przeznaczony jedynie dla mnie i mego Stwórcy. Roześmiała mi się w twarz. Powiedziała, że to samo zaszło i w jej życiu, kiedy była w moim wieku i zakochała się w moim ojcu: dla zbolełego serca znajdowała ukojenie w wypisywaniu swoich tęsknot w księdze takiej jak moja, czasem prozą, czasem średnio udatnym wierszem. Pocałowała mnie, znów się śmiała i rzekła, bym kochała, kogo zechcę, ale bym była tak powściągliwa, jak ona kiedyś, i dobrze strzegła mego dziewictwa, gdyż jest to i wartościowy, i użyteczny skarb, perła wysoko ceniona, więc nie należy cisnąć jej pod nogi pierwszego lepszego nicponia, choćby urodziwego, ale zachować ją na dobrą partię. Wyraziła też nadzieję, iż nie poślubię człowieka biednego, tak jak to ona uczyniła. Bo choć fortuna, jaką wniosła memu ojcu, skłoniła go do niezwyklej grzeczności wobec niej, to jednak przez szczupłość jego kiesy musi stale odmawiać sobie nawet takich przyjemności, których - jak się spodziewała - nigdy nie powinno jej zabraknąć.

Miałam ochotę przerwać ten wykład zapewnieniem, że jedyną moją miłością jest Chrystus Pan; powstrzymałam się jednak, bo po pierwsze pomyślałaby, że nie tylko ją oszukuję, ale jeszcze i bluźnię, i byłaby mnie wytargała za uszy; a po drugie - nie mogłam sama przed sobą zataić prawdy, że w swym zepsutym sercu żywiłam do Muna, grzesznego człowieka, miłość tak wielką jak do nikogo innego na świecie.

Odtąd jeśli mi się zdarzyło zaniedbać jakieś moje gospodarskie obowiązki, matka żartowała ze mnie lekko wobec braci i sióstr, że pewnie z miłosnej tęsknoty tak czynię, i podsuwała najbardziej nieprawdopodobne osoby jako przedmioty mego afektu, dodając: „Przyznaj się, córko - to chyba nie on?”.

Byłam zmieszana, onieśmielona, i nie wiedziałam, co bym rzekła, gdyby przypadkiem wymieniła Muna. By uniknąć tego niebezpieczeństwa, usiłowałam o nim zapomnieć i całkowicie oddać serce Bogu. Ale nie mogłam wyrwać go z serca. Wtedy grzechy moje wzrosły, gdyż jakkolwiek się starałam, nie umiałam być potulna. Zara przekomarzała się i drażniła mnie do nieprzytomności. Naśladowała moją matkę, ale w niemądry, złośliwy sposób.

Wreszcie w pięć czy sześć dni po Wielkanocy, kiedy siedziałyśmy razem w jadalni, zajęte haftowaniem, nagle zawołała: Już wiem, już wiem - to pan Tyrezjasz, ten, którego spotkałyśmy wówczas w Woodstock! Słyszałam, jak prosiłaś Jamesa, by ci opowiedział wszystko, co wie o innym Tyrezjaszu”.

Wtedy upuściwszy pas, który haftowałam, podbiegłam do Zary, podrapałam paznokciami jej policzki i grzmotnęłam ją w brzuch.

Ale ona nawet wśród krzyku i łez triumfowała, wołając: „Więc to on! To on! Zgadłam. Marie umiera z miłości do pana Tyrezjasza”.

Ach, tak ją zaatakowałam zębami, że mój brat Richard musiał mnie oderwać od niej, przytrzymując za włosy oburącz.

Nastąpił głęboki żal za grzechy i znak w księdze za grzech nienawiści, bo (jak napisałam) gdyby nie to, że Richard, za sprawą bożą, przechodził przez sień i usłyszał zgiełk, byłabym zamordowała rodzoną siostrę, która prawdziwie nie zamierzała nic złego. Trochę się jednak pocieszyłam, pisząc, że chociaż w owej chwili pokusa zwyciężyła ducha i miłość bożą, było to jeno przejściowe. Diabeł podstawił mi nogę, ale dzięki łasce bożej powstanę z nową siłą.

Kiedy to wszystko napisałam, usłyszałam, że woła mnie James, więc poszłam do niego. Ucałował mnie i rzekł: „Siostrzyczko, już od dziesięciu dni, czy nawet więcej, nie jeździłaś konno. Kto wie, może to właśnie sprawia, że tak źle się czujesz: nie wyhasałaś się i nie wytrzymałaś dostatecznie, tak że krew stanęła ci w żyłach, a humory cię duszą. Jedź teraz ze mną, wsiądź na Roarera, przejedziemy się w stronę Red Hill”.

Byłam mu wdzięczna, przygotowałam się i ruszyliśmy przed siebie. Gdy tylko znalazłam się w siodle, natychmiast poczułam się podniesiona na duchu. Chart puścił się za lisem, a my pół pola za nim. Zwrócił pysk ku Beckley i pędził wytrwale. Mój Roarer był wielkim, nieujeżdżonym kasztanem, a że ostatnio go nie dosiadałam, poniósł i nie mogłam mu już dać rady. Chwyciłam się za łęk siodła i dziko wzywałam imienia bożego, błagając o ratunek, gdyż lis pędził do kryjówki w głębokim dole, zwanym Dołem Owczarza, obrośniętym ciernistymi krzakami. Mój Roarer skręcił w bok, unikając niebezpieczeństwa, i zeskoczył ze stromego brzegu drogi w wąską ścieżynę, która prowadziła w głąb dołu. Wysadził mnie z siodła przez łeb, tak, że wpadłam po łokcie w błoto, ale nie potłukłam się boleśnie. Koń stanął nade mną i leżałam między jego kopytami, a nie uraził mnie przy tym, choć mi kopytem zrzucił but z nogi.

Była to łaska boska warta zapisania w księdze. Jednakże gdy ubiwszy w dole lisa wróciliśmy do domu, stwierdziłam, że iskra z kominka padła do mego koszyczka z przyborami do haftu, pozostawionego w sieni. Wypaliła dziurę w haftowanym przeze mnie pasie i zniszczyła brokat, którym koszyk był wybity, a także parę pięknych koronkowych rękawiczek, zawiniętych w papier, i inne drobiazgi dla mnie cenne, jak wstążki i nici jedwabne. Koszyk jeszcze się tlił.

Czy to nie było więcej, niż można znieść? Wiadomo mi było, że Zara widziała, jak moje rzeczy płonęły, i naumyślnie ich nie ugasiła, choć zarzekała się, że noga jej więcej nie powstała w jadalni po okrucieństwie, jakie ją tam ode mnie spotkało. Tego wieczoru, kiedy przeprowadzałam moje obrachunki, zrobiłam pod nimi podwójną kreskę, by udowodnić, że skończyłam i zwinęłam żagle. Łaska szczególna bowiem długo kazała na siebie czekać, a zbytnie rozmyślanie o grzechu rodzi grzech. Ufałam też, iż Bóg nie będzie dla mnie

srogi, jeśli ofiaruję swą obecną niezdatność, aby w przyszłości służyć Mu tak wiernie, jak tego żądają pan Bolton czy dr Sibbes, czy wreszcie mój wuj, Jones.

Nazajutrz leżałam w łóżku dziesięć minut dłużej, aniżeli należało, i sprawiło mi to przyjemność. Byłam znów sobą, a od tej chwili nigdy więcej nie wzięłam dobrowolnie do ręki zbioru kazań ani żadnych innych pism nabożnych, które przypominałyby mi o tym, co posiadam najcenniejszego, ale zarazem kłopotliwego nad marę, o mojej duszy. Moja rodzina już się nie naigrawała ze mnie, a Zara bała się mojej furii. Niemniej utkwiło w pamięci domowników, jak się zeżliłam, gdy wymieniono pana Tyrezjasza jako przedmiot mego afektu.

O tamtym, starożytnym Tyrezjaszu, którego imię przybrał nasz znajomy, James mógł mi powiedzieć tylko tyle, że był to tebański poeta czy prorok w starożytności i że był niewidomy. Kiedy jednak James pojechał do Londynu i przechodził przez dziedziniec katedry Św. Pawła, nie omieszkał zapytać tamtejszych księgarzy o *Maskę* wydaną pod nazwiskiem pana Henry Lawesa (pod którym to nazwiskiem pan Tyrezjasz opublikował swój utwór). Tam wskazano mu miejsce, gdzie może ją nabyć, i przywiózł mi ją w darze.

Czytywałam już przedtem wiersze, szczególnie owe długie, miłe opowieści poetyckie Samuela Daniela i Edmunda Spencera, które miała moja matka, ale raczej dla treści niż dla formy. Teraz jednak, kiedy odłożyłam na bok moją pobożność, jako niewczesną, szukałam odpoczynku dla umysłu w czytaniu poezji. Będąc bardzo młoda wyobraziłam sobie, iż jestem znawcą sztuki, i czytałam tyle nowszych książek, ile tylko James mógł pożyczyć od swoich przyjaciół z Oksfordu. *Maskę* zaś uznałam za świetny wiersz. Była to historia o dwóch braciach i siostrze, która zginęła w dzikim lesie przez ich niedbalstwo. Czarownik nazwiskiem Comus z bandą podchmielonych potworów spotyka ją i namawia do rozpusty. Lecz ona zarzeka się, że jest dziewicą i że żaden czarownik nie ma władzy nad niewinnością. Comus rozpoczyna dysputę, twierdząc, iż czystość nie jest skarbem, lecz błyskotką - a kiedy ona przeczy nadal, on ofiarowuje jej zaczarowany napój, który rozchwieje skrupuły. Na to wpadają bracia z dobytymi szablami i rozpędzają całą zgraję. Reszta opowiadania tyczy się trudności, na jakie napotykają bracia w odczarowaniu dziewczyny, która nie może powstać z miejsca. Przywołują nimfę, a ta śpiewa cudną pieśń, która uwalnia dziewczynę. Wiersze zachwyciły mój umysł wężowymi splotami dźwięków i cała historia zapadła mi głęboko w serce.

Poprosiłam Jamesa, by mi powiedział, co mniema o tym wierszu, ale dopiero po głębokim namyśle, bo mnie się zdaje nadzwyczaj udatny i nie ucieszy mnie osąd przeciwny.

James po przeczytaniu odpowiedział roztropnie, że poemat ten jest prawdziwie nadzwyczajny i że przedstawia dwa uderzające paradoksy; po pierwsze, iż wygląda to na kompozycję czy mozaikę ułożoną z różnych innych poematów, które czytał, i jakoby oprawioną w ramę zapożyczoną od łacińskiego poematu *Comus* niejakiego Henri du Puy, który go wydał w Oksfordzie parę lat temu i którego część, jak twierdził James, kazano mu tłumaczyć na greckie

heksametry, jako szkolne ćwiczenie. Nie można jednak zaprzeczyć, mówił, że ten nowy *Comus* przerasta wszystkie inne gładkością i pięknnością i że poeta odkrył nowe myśli za pomocą starych. Drugim paradoksem było to, iż po rozważeniu pro i contra prawdziwej wartości dziewictwa w długiej dyspucie pomiędzy ową damą a Comusem - wprawdzie *Comus* poniósł klęskę, jednakże tylko od szabli, a nie od rozumu. Ponadto wiersze, które miały największą siłę i najłatwiej pozostać mogą w pamięci, to te, które czarownik wypowiada przeciwko niewdzięcznemu szaleństwu wstrzemięźliwości i przeciwko purytańskiemu sposobom życia, przeciw ludziom, którzy żyją jako bękarci Natury, a nie jej synowie”.

James jeszcze rzekł: „Człowiek, który to napisał, aczkolwiek nazwałbym go śmiało bardzo zręcznym poetą, wydaje mi się nieukojonny w imaginacji swego serca, a wnikliwość jego umysłu nie daje mu radości. Za jedno ręczę: nie jest on wychowankiem naszej uczelni. To mi pachnie uczelnią w Cambridge, gdzie stroją skrzypce na zbyt ostry ton. Ten poemat można podziwiać, ale nie ukochać. A to znów paradoks, bo jak można podziwiać to, czego się nie kocha? Ja prawie przekładam nad to nieuczone, swojskie wiersze Taylora, wodnego poety^[11], bo u «Wioślarza» Taylora nic nie jest ukryte, lecz wszystko pieni się życiem, choćby to były błahostki. Ale nie to chciałem rzec, bo nie ma porównania między poetą a rymotwórcą. Po prawdzie, nie wiem dobrze, co chciałem rzec, chyba tylko to: *Non amo te, Licini, nec possum dicere quare* - Nie kocham cię, Liciniuszu, lecz czemu, rzec nie mogę”.

James nie zadowolili się tym wywodem, lecz powracał do niego często i uzupełniał: „Siostrzyczko, ten Tyrezjasz nęka mnie bardzo. Powiadasz, że w ogrodzie w Enstone mówił o upierzeniu swych skrzydeł. To słowo «upierzenie» można rozumieć dwojako: albo on układa i wygląda własne pióra u skrzydeł, albo też swe nagie skrzydła stroi w cudze piórka. Boć wyskubał pióra ze skrzydeł innych poetów, by z siebie zrobić wielkiego, nieśmiertelnego feniksa. Uczynił to jednak tak zręcznie i z tak niezwykłym umiarem, że pióra te bardziej zdobią jego skrzydła i ogon, gdy go rozkłada, aniżeli tych, którym je zabrał. Albo rzekłbym, iż wykradł miód z pracowitych uli innych poetów, by własną bułkę grubo nim posmarować, a teraz powiada im wzgardliwie: *Sic vos non vobis melli-ficatis, apes.* - Pszczoły, oto gromadzicie miód, lecz nie dla własnych żołądków. - Zda mi się, iż odgadłem jego tajemnicę: on kocha namiętniej sławę poetycką niż samą poezję. Ale, na Boga, ani jednej skazy nie znajdziesz w tych wierszach, choćbyś długo szukał. W nim siedzi niespokojny demon, a pokazuje kopyto w przemowach czarownika Comusa”.

Nie zgadzałam się z Jamesem. Wydawało mi się słuszne, by pro i contra czystości były dokładnie odważone i aby dopiero szabla lub siła rozstrzygała na rzecz cnoty.

[11] Tak nazywano Johna Taylora (1578-1653), ponieważ był przewoźnikiem na Tamizie.

Gdyby nie przymus prawa, nie narodziła się jeszcze taka kobieta, która nie poszłaby za głosem serca i nie oddała się pierwszemu urodziwemu młodzieńcowi, który jej się spodoba. Uważałam też, że słowa Jamesa o uczelni w Cambridge wykazały zawistną jego stronnictwość. Żądałam dowodu, że wiersze tego poety są plagiatami lub odpisami. Dał mi tuzin dowodów, lecz każde podobieństwo nowego poematu ze starym zdało się przypadkowe i nieznaczne. Chociaż James był kochającym i cierpliwym bratem, jednak już nie mógł wytrzymać i krzyknął: „O, dziecko, dziecko, czyż nie widzisz i nie słyszysz? Tu nie chodzi o pojedyncze słowa, ale o kadencję, o samą duszę wiersza, którą zapożyczył: tu z *Pastorałek* Williama Browne’a, tam z *Pasterki* Johna Fletchera, a tam znów z *Opowieści starych kobiet* George’a Peela, a tu znowu...”

„Ani tego nie widzę, ani nie słyszę - rzekłam. - Ta *Maska* jest pięknym poematem. A co do literackiej sławy, jak mógł poeta jej nie pragnąć? Sława zapewnia mu czytelników i mecenasów. Bez nich poeta niszczeje, jego wiersze są zamknięte w szufladzie jak w więzieniu, nie służąc żadnym celom”.

„Im więcej poeta się kieruje sławą, tym mniej kieruje się prawdą”, rzekł James.

Na to odparłam: „Nie myślałam, że do poetów należy mówienie prawdy, która raczej zostawiona jest duchownym i filozofom”.

A James rzecze: „Siostrzyczko, najzwyczajniej się mylisz. Poezja bez prawdy jest zwykłym cukierkiem czy miodownikiem”.

„Obydwo łąkomię pożądam”, wyznałam.

„Będzie to twoją zgubą”, powiedział James, zbyt surowo jak na mój gust. Błagał, bym się nie obraziła, ale zapytał, czy jest prawdą, co mówiła Zara, że pokochałam autora tej *Maski*. Odrzekłam, iż myśleć może, co chce, a ja muszę się czuć głęboko obrażona jego pytaniem. Prosił o przebaczenie, którego niechętnie mu udzieliłam. Rada byłam jednak, że rodzina moja idzie po fałszywym tropie. Niech węższą w kierunku mojego afektu dla uczonego poety z Cambridge. A ja będę po cichu szczęśliwa w miłości do tępego żołnierza z Oksfordu.

Nareszcie wiatr wschodni ustał, a powiało łagodnie z południa i wkrótce już jagnięta w polu były tylko o połowę mniejsze wzrostem od swych matek. Hrabia Stratford uznany został za zdrajcę i ścięty; król, który przedtem zapowiedział, iż włos mu z głowy nie spadnie, zezwolił na tę śmierć z obawy przed czymś gorszym. A kraj odetchnął, bo groźba wojny minęła. Parlament nadal trudził się ustawodawstwem, wrywając królowi część jego władzy. Pozostawiał mu jednak tytuł i godność suwerena, a nikt się nie spodziewał, aby król, skoro już raz ustąpił - i to nikkzemnie, jak wielu sądziło - ośmielił się znów stawiać opór. Szkoci jeszcze stali pod bronią na północy, a było to ostrzeżeniem dla króla, by zważał na wszystko, co mówi i czyni.

Tego lata mieliśmy dobre zbiory siana, pszenicy i jęczmienia, choć inni gospodarze, których rolę wypalił żar z nieba, byli mniej szczęśliwi. Nic

znacznego się nie stało u nas w domu ani we wsi oprócz tego, że na skutek skargi, jaką złożyli dwaj gospodarze u biskupa Skinnera (następcy zmarłego niedawno dra Bancrofta), proboszcz został przesłuchany prywatnie przez mego ojca, który mniemał, iż jego poufałość z Molly Wilmot siała zgorzenie, choć nie stwierdzono cudzołóstwa. Mój ojciec lubił wielbego Johna Fulkera, człowieka dobrego serca, choć rozwiązłych obyczajów. Toteż nie stawiał go przed sąd kościelny, lecz spokojnie go odprawił. Co się z nim dalej stało, nie wiem. Ojciec starannie wybierał następcę i naradzał się z wujem Jonesem. Prosił go o polecenie duchownego odpowiedniego na dzisiejsze czasy, to znaczy - takiego, który będzie chętnie słuchał Parlamentu, ale nie będzie też urągał biskupom.

I tak przyszedł do nas wielbny Lukę Proctor. Był to rosły mężczyzna, sztywny, poważny. Skłaniał się ku dyscyplinie presbiteriańskiej i nie był skłonny do wypitki z okazji Zielonych Świąt, półrocznych sądów, zebrań duchownych i innych świąt zwyczajowych. Nie piorunował przeciw biskupom, ale też nie chwalił bożej dobroci. Natomiast prawił na kazaniach o nieszczęściach, jakie czeka ją cały kraj, jeśli nie będziemy pokutować. Kiedyś wśród wieczornego nabożeństwa, gdy właśnie zachodziło słońce, mówił nam: „Bracia, wiem, iż na ten szeroko rozlany czerwony blask patrzycie jako na piękny zachód słońca i jako na «radość pasterza».

Mnie jednak zda się on raczej daleką łuną piekła, która oczekuje bezbożników, ludzi twardego serca, kłamców, cudzołożników i rozpustników”.

Na to mały synek Johna Mathadee, siedzący za nami, rozplakał się żałośnie, a proboszcz wskazał na niego i rzekł: „Płacz, dziecko, płacz, dobrze czynisz, płacząc! Bo w owe dni radować się będą kobiety niepłodne, dla przekleństwa, jakie dotknie ich siostry i zapłodnione ich łona”. To obraziło moją matkę, która wyprowadziła z kościoła wszystkie młodsze dzieci, a jejmość Mathadee uczyniła to samo.

Ulubionym poetą wielbego Proctora był pan George Wither, purytanin, ten, któremu stary Ben Jonson odmówił tytułu poety, nazywając go „szarlatanem dowcipu i ohydą wszystkich Muz”, gdyż pisał jeno, by dogodzić motłochowi. Jego łatwe, płytkie strofy cytował najczęściej i nazywał je „złotymi jabłkami, zdobionymi srebrem”. Pan Wither (który obecnie jest wysokim oficerem w armii generała Cromwella) wypowiedział dla Anglii przepowiednię słowami, które tak mile brzmiały w uszach naszego proboszcza:

Na twe okręty, porty i przystanie,
Na twierdze, które stoją niezachwianie,
Na twe warsztaty, bogactwa, zaszczyty,
Na twych pałaców przepych znakomity,
Na wszystkie płody, na bydło wśród pola,
Na wszystkie stwory, które żywi rola,
Morze, powietrze, na wielkich i małych,
Na ciurów, wieszczów, wielmożów wspaniałych -

O, tak! Na wszystkie miejsca, wszystkie stany,
Bóg sąd przywiedzie swój nieubłagany.

„Tak! Amen! Amen! Amen! - wołał proboszcz. - Chyba że się opamiętacie i będziecie pokutować!”

Kiedy na św. Michał mój ojciec był zmuszony - rozporządzeniem Parlamentu - wyrzucić lub potłuc wszystkie zwodnicze figury, jakie się znajdowały w kościele, czy to posążki, czy obrazy, czy malowane szkło, proboszcz skłaniał się do wykonania rozkazu, a szkło chciał potłuc kijem. Ale ojciec nie zgodził się, bo, jak mówił, tym sposobem dziecko może się skaleczyć w nogę lub rękę. Wieczorem sam usunął szkło i rzekł, iż wyrzucił je do dołu w lesie, a razem z nim wyrzucił też stare, szerniałe obrazy malowane na drzewie, małą, zniszczoną już figurkę św. Mikołaja trzymającego niemowlęta na rękach, purpurowy aksamit, stary i pięknie haftowany w anioły, którym nakryta była ambona, a również starą kapę wyszywaną w sześćskrzydłe serafiny i w inne wzory. Zdaje mi się jednak, że ukrył to wszystko gdzieś w naszych piwnicach - w nadziei, że któregoś dnia łagodniejszy Parlament odwoła ów ostry i niemądry wyrok. Ludzie serdecznie się smucili, gdy kazano te odwieczne ozdoby usunąć, a zwłaszcza gdy zobaczyli, że sam proboszcz jakąś skrobaczką albo zwykłym nożem zdrapał z tynku nad amboną malunki, które znaliśmy i tak lubiliśmy od dzieciństwa, a mianowicie św. Mikołaja w wysokiej mitrze, rozdającego ciastka i jabłka małym dzieciom i drugi wizerunek św. Mikołaja, jak grzmoci niewiernego Ariusza pięścią w ucho. Szemrali, że szczęście opuściło miasto na zawsze, ale nic nie dało się zrobić, bo było za późno i Parlamentu nikt nie zdołałby przekonać. Potem przyszli urzędnicy kościelni obejrzeć kościół i stwierdzili, iż wszystko zrobiono zgodnie z rozkazem i wszelkie ślady zabobonów usunięto.

Wielebny Proctor wdraprywał się na ambonę, trzymając w ręku długi zwój papieru, którego drugi koniec spoczywał na jego prawym ramieniu niby siekiera. Wypowiadał tekst stanowczym głosem, dwukrotnie, jakby odrąbywał kłodę od potężnego pnia Pisma św., a potem wpatrywał się przez chwilę przenikliwym wzrokiem w stalle i ławki i wreszcie zabierał się jakoby do rozszczepiania owej kłody. Czasami drzewo było miękkie lub gładkiego słoja, tak że jednym lub dwoma nikłymi uderzeniami rozszczepiał je na drzazgi. Ale czasem było sękate i pokręcone, więc musiał kombinować i kręcić się, i walczyć, i pocić, używając klinów i młota, by je rozbić na użytek człowieka.

Pamiętam, jak raz nam powiedział: „Bracia, piękną ja tutaj rzecz odkryłem. W dwudziestym trzecim rozdziale Ewangelii według św. Łukasza, wiersz dwudziesty ósmy: «Nie płaczcie nade mną, ale płaczcie nad samymi sobą». Patrzcie, jak łatwo tych osiem słów można rozdzielić. Tekst nasz się rozpada. Powiem, że rozpada się jak hiszpańska pomarańcza na osiem cząstek, czyli prosiątek, jak mawiają dzieci.

1. Nie płaczcie
2. Ale płaczcie

3. Nie płaczcie, ale płaczcie
4. Płaczcie nade mną
5. Nad samymi sobą
6. Nade mną, nad samymi sobą
7. Nie płaczcie nade mną
8. Ale płaczcie nad samymi sobą

Tych osiem nagłówków stanowi jakoby osiem punktów na marynarskim kompasie, cztery strony świata i cztery punkty pośrednie. Zaczynamy tedy od punktu «północ» to jest od słów «Nie płaczcie». Tutaj Pan wyraźnie nam nakazuje, byśmy nie płakali. Kimże jesteśmy, by się z nim sprzeczać albo Go nie słuchać? Ale czy wolno nam pokornie zapytać, czy rozkaz Pański skierowany jest do naszego wewnętrznego oka czy do cielesnego oka, czy do obu? Bracia moi, kiedy dojdziemy do północnego wschodu, będę wam miał coś do powiedzenia na ten temat. Ale tymczasem słuchajcie, jak to Pan rozkazuje wam nie płakać, jak rozkazuje wam powstrzymać fontanny żalu (choćby tylko na chwilę jedną), abyście powstrzymując się od płaczu jako dzieci zaskoczone wśród żalu, mogli dawać lepsze baczenie na Jego słowa zgrozy i sądu”.

I tak prawił dalej, rozszczepiając piękną kłodę jesionową w długie drzazgi, które potem zbierał do kupy, związując powrósłem i ładując na ramię. Ludzie nazywali go drwalem Luke.

Miał okropny zwyczaj: gdy się modlił, wywracał oczy tak, że znikaly źrenice, co się nazywa „wystawiać białka”. I wymawiał też słowa bardzo dziwnie, prezbiteriańskim akcentem. W czasie kazania stała przy nim na ambonie klepsydra i mówił tak długo, aż cały piasek się przesypał. Kiedyś, na Wszystkich Świętych, chciał przewrócić klepsydrę i mówić jeszcze całą godzinę, ale mój ojciec krzyknął ze swojej stali: „Księżu dobrodzieju, czuję swąd spalenizny. Wybacz mi!”. Wszyscy wierni wybiegli za nim z kościoła w strachu wielkim, pozostawiając kaznodzieję na ambonie, mówiącego dalej.

Wówczas jegomość Mathadee zapytał mego ojca: „Wasza miłość, czy rzeczywiście poczułeś swąd?”.

„Ej, sąsiedzie - powiedział ojciec - poczułem cielece paszteciki przypalające się w naszym piekarnianym piecu. Jeszcze dziesięć minut tego kazania, a obróciłyby się w popiół”.

Rozdział siódmy

OSOBLIWA HISTORIA SYMPATII

W tym to czasie rozpuszczono szkockie i angielskie wojska i Mun, który był kapitanem garnizonu w York, wrócił do domu rodzinnego w Claydon. Drugiego listopada u schyłku dnia przyjechał w towarzystwie naszego sąsiada, pana Thomasa Gardinera młodszego. Pan Thomas przybył w jakichś sprawach majątkowych, dotyczących gruntów sąsiadujących z naszymi w Wheatley, nabył je jego ojciec, sędzia karny z Londynu. Pragnął także naszych gratulacji z powodu swych zaręczyn z siostrzyczką Muna, Cary. Domyślałam się, iż znowu inaczej ułoży się moja znajomość z Munem, niż gdy się z nim spotkała ostatnim razem. Albowiem wyrosłam tymczasem na kobietę, będąc w tych samych latach co Cary, którą już oto wydawano za męża. Wielce też nabrałam gładkości i pięknych manier, i dowcipu w rozmowie. Ale nie przyszło mi na myśl, że tak nadzwyczajne miało być nasze spotkanie i niepodobne do dotychczasowych.

Zasiedliśmy do dobrej wieczerzy w piętnaście czy szesnaście osób przy jednym stole. Przed nami stały dwa pasztety z młodych gęsi i trzy doskonałe pasztety zajęcze (zrobione były z dodatkiem klarowanego masła i mocnym sosem z czerwonego wina, półwiartowanej cebuli i słoniny). Dla tych zaś, którym służył apetyt, dobrze zaprawiona hiszpańska sałatka z zimnego pieczonego indyka, drobno pokrajanego, zielonej sałaty, rokiety siewnej i młodych cebulek.

Rozmawiano o pewnych eksperymentach naszego przyjaciela, sir Kenelma Digby, dotyczących leczenia ran za pomocą sympatii. Pan Kenelm twierdził, iż jeśli użyje się proszku jego inwencji, w którego skład wchodził rzymski witriol i inne elementy, i przyłoży się go nie do samej rany, gdyż zbyt jest palący, ale do chusty lub odzieży przesiąkniętej krwią z tej rany, lub nawet do broni, która ranę zadała - to rana zgoi się natychmiast przez sympatię, choćby ranny był od nas odległy o trzydzieści mil. Pan Thomas Gardiner dworował sobie z tej opowieści, ale Mun, który niejednego się nauczył podczas pobytu na uniwersytecie w Utrechcie, zapytał, czemu taka kuracja ma być niemożliwa. Pliniusz, rzymski filozof -mówił - stosował słowo „sympatia” nie tylko do współodczuwania istniejącego między ciałem a duszą (tak że gdy jedno cierpi nad miarę, to i drugie cierpieć musi), ale również do wspólnoty między nieżywymi przedmiotami, jak między magnesem i żelazem albo między bursztynem, gdy potarty, i popiołem drzewnym.

Wówczas i James się odezwał, mówiąc, iż może być sympatia także między żywymi i nieżywymi przedmiotami, jak na przykład między krabami a księżycem. I nad tym punktem długo dyskutowali pan Thomas i mój ojciec.

Mun wówczas się ośmielił, aczkolwiek zwykle wstrzymywał się od wyjawiania swych wiadomości w towarzystwie. Opowiedział o takim echu, które się nazywa „bombus”. Jakże ogromna była różnica między jego wahającym się skromnym tłumaczeniem o naturze echa a poważnym wykładem na ten sam temat, który usłyszałam niegdyś z ust pana Tyrezjasza w Woodstock End. Mun rozmawiał na temat odczucia, jakie tkwi w skądinąd nieżywych i nieczułych ciałach. W ten sposób niektóre stalle w kościołach i kaplicach odpowiadają na niektóre nuty organów, a inne stalle - na inne nuty. Są łuki (jak na przykład w bramie kolegium Brazen Nose), które odpowiadają na pewne dźwięki. Takie echo nazywa się „bombus”. Mówił także o niebieskim kamieniu turkusie, który blednie, gdy ten, co go nosi, zachoruje, i o perłach, które tracą blask, jeśli ich właścicielka popada w melancholię.

Tu moja matka, która jak wszyscy Moultonowie nigdy nie zważała na to, co mówi i w jakiej kompanii, krzyknęła: „Niech mnie piekło pochłonie, kapitanie, jeśli moc sympatii nie jest znana każdej gospodyni. Jakżeż bowiem chroni ona drób przed lisem? Karmi drób płuckami lisimi, a wówczas lis czuje się już z nim spokrewniony i nie ruszy drobiu, choćby nie wiem jak był głodny. Albo nieraz jakiś niecny służący ośmieli się spuścić hajdawery przed drzwiami kuchennymi, bo z powodu deszczu lub nocy nie chce mu się iść do odpowiedniego miejsca; jeśli z rana - gdy nikt nie przyznaje się do winy -dotkniemy tej mierzwy rozpalonym rożnem, to byś się waćpan uśmieł, widząc, z jakim nagłym krzykiem winowajca chwyta się za tyłek”.

Kiedy śmiech nieco przycichł, mój ojciec opowiedział o niezwykłym doświadczeniu uczynionym przez Taliacotiusa, profesora fizyki i chirurgii na bolońskim uniwersytecie w Italii, za którego prawdziwość pan Kenelm uroczyście ręczył. Kiedy pewien jegomość utracił w pojedynku kawałek nosa, a tenże kawałek nie został odnaleziony, by można go było na nowo przyklepić, medyk ten zrobił mu inny nos, wycinając kawałek pośledniej części jakiegoś woźnicy i przeszczepił go na miejsce obciętego kawałka, zostawiając dwie dziurki na nozdrza. Zastępczy ten nos służył owemu jegomościowi bardzo dobrze i zdawał się trwale umocowany. Jednakże pewnego dnia jegomość poczuł, że koniec nosa się chwieje i jakby go coś skręciło, po czym zdrętwiał i wreszcie odpadł, gdyż woźnicę spotkał wypadek, na skutek którego zmarł, a nos cierpiał przez sympatię i też obumarł.

Jednakże Mun nie dawał się odciągnąć od tematu przez te krotochwilne przykłady, ale zapalił się do niego i w prosty, a wymowny sposób rozprawiał, jako to mąż i żona, jeśli stają się jednym ciałem przez błogosławieństwo otrzymane w świętym związku małżeńskim, są również połączeni w duchu. Opowiedział o wypadku, który znał, że kiedy żona była w górnej komnacie i myślała sobie: „Niestety, przyszłam tu bez naparstka; zostawiłam go chyba na półce w bawialni” - wówczas mąż, pijąc wino w bawialni, nagle opuszcza towarzystwo, mówiąc: „Wybaczenie, panowie, mojej żonie potrzebny jest

naparstek, ale nie chce *nam przerywać* dysputy - wezmę go i zaniosę jej”. I tak czyni.

Moja matka powiedziała drwiąco, że to był prawdziwie dobry i uczynny małżonek i że szkoda wielka, iż nie wyszła za takiego, który by równie doskonale czytał jej myśli.

„Ach, Nan - zawołał mój ojciec - skąd wiesz, że ja tak nie umiem? Umieję, naprawdę, lecz nieraz to niewygodnie biec z twym naparstkiem, wachlarzem lub modlitewnikiem o złożonych kartkach! Moja droga, kiedy byłem w Oksfordzie cztery czy pięć dni temu i kroczyłem ulicą High Street ujrzałem kupca norymberskiego, jak stał w drzwiach sklepu i pokazywał damie jakiś cudowny francuski aksamit kremowego koloru w piękne, złote kwiaty, jeno po dwie Gwinejce za jard. I usłyszałem twój głos, tak wyraźnie, jak go słyszę teraz, mówiący pieszczotliwie: «Dick, Dick, kup mi pięć jardów tego pięknego aksamitu! To bardzo niska cena, jak na taki materiał». A ja odpowiedziałem ci głośno: «Chętnie, kochanie, gdybym tylko miał te pieniądze*. To zdziwiło kupca, a damę mocno obraziło, gdyż myślała, że do niej się zwracam w te słowa”.

Moja matka drogo kazała ojcu zapłacić za ten żart, bo przysięgła, że nie położy się obok niego, póki nie będzie miała w ręku owego aksamitu, gdyż pożąda go tak, jak kobieta w odmiennym stanie pragnie wiśni, i nie zniesie odmowy.

Ten incydent nie zniechęcił Muna, który z prostotą opowiedział nam historię pewnej miłości od pierwszego wejrzenia. Mówił, jak to w paryskim ogrodzie młody Katalończyk, który jeszcze nigdy nikogo nie kochał, spotkał po raz pierwszy młodą Francuzkę, która również nikogo jeszcze nie kochała. Spojrzeli sobie głęboko w oczy i poczuli się tak pociągnięci jedno do drugiego jak magnes do żelaza. Mimo że była obecna w ogrodzie ciotka owej panny i starszy brat młodzieńca, kochankowie natychmiast przywarli do siebie i pocałowali się jak w zamroczeniu, o niczym już nie wiedząc, jeno że się kochają.

Moja matka wtrąciła się znowu: „Fe, niecnoty! - zawołała z głośnym śmiechem. - Ręczę, iż ciotka dziewczyny i brat młodzieńca zarazili się przez sympatię (tak jak zaraźliwe jest ziewanie, kiedy czas iść na spoczynek) i poszli w krzewy róż, aby tam zmienić się w bestię o dwu grzbietach. Nie, kapitanie Verney - jeśli wolno cię zwać kapitanem, gdy nie masz kompanii pod swymi rozkazami - jest to lek dla dziewcząt niebezpieczny. Może miast tego opowie nam kto prawdziwą historię naturalnej antypatii, równie zajmującą”.

Wówczas James opowiedział nam o tym, co nazywał „bombusem antypatii”: jak to nowo wybrany członek King's College w Cambridge, wezwany pewnego dnia w kaplicy, by przeczytał drugą lekcję, rozpoczął czytanie rozdziału o miłości w drugiej epistole św. Piotra do Koryntian, ale jego głos był tak niezwykle donośny, że ledwie zaczął czytanie, stalle zatrzeszczały, sklepienia odezwały się grzmotem, krokwie stęknęły, kamienne płyty drgnęły, a to przyprawiło go o wielki strach i zdumienie. Pospiesznie cofnął się o parę

stronic, myśląc zapewne, że to poruszenie oznacza sprzeciw wobec św. Pawła raczej aniżeli wobec niego i zaczął czytać przypowieść o winnicy. Ale znowu powstało to samo poruszenie, a rektor kolegium zerwał się ze swego miejsca i przybiegł ku niemu, wołając: „Na miłość boską, młodzieńcze, przestań, bo dach skoczy w górę i opadnie na nas, a zgniecie na miazgę!”.

Od tego opowiadania nawiązał pan Thomas dolinnego: o kuzynie swego ojca, obecnie już nieżyjącym, urodziwym mężczyźnie, mieszkańcu Bristolu. Spotkał on kiedyś, krocząc wybrzeżem, Irlandkę niezwyklej piękności. Za pierwszym wejrzeniem opanowała ich tak nagła i gwałtowna nienawiść wzajemna bez żadnej przyczyny, że nie było innej rady, tylko musieli się pobrać, by każde z nich mogło dręczyć współmałżonka nieustannie. A pobrali się w ciągu miesiąca.

Mój brat, Richard, zapytał, co z tego wynikło i czy długo wytrzymali w jednym domu?

„Sześćdziesiąt trzy lata - rzecze pan Thomas - i on nigdy nie przestał być jej wierny ani ona jemu. Ona dlatego, że nie chciała dać mu sposobności do separacji, by pozbywszy się jej, nie radował się z inną kobietą; on zaś dlatego, że wiedział, iż każda noc z nim razem spędzona jest dla niej prawdziwą męką. Największą biedą owego antypatii złączonego stadła było to, że mieli wspólne gusta i mniemania: prawdziwe nie mogli znaleźć powodu do rozdzwiewu ani w zachowaniu, ani w religii, ani w zarządzaniu majątkiem, ani w żadnym innym punkcie. A każde z nich przystępowało do drugiego jeno z uśmiechniętym obliczem i doskonałym opanowaniem. Byli jakoby fechmistrze doświadczeni w pojedynku lub jakoby wrodzy sobie monarchowie. On pierwszy zakończył życie, a ona roniła łzy, niepokieszona, iż wymknął się jej z rąk. A przeżyła go jeno o dwa dni. Pochowani zostali jednocześnie, a liczni potomkowie żalowali ich jako najuczciwszej małżeńskiej pary w Bristolu”.

„Prawdą jest, iż miłość i nienawiść mogą nieraz być trudne do odróżnienia - rzekł James - szczególnie gdy chodzi o natury zmysłowe. Chcę powiedzieć, że tak jak byłoby trudno stwierdzić z całą pewnością, czy ów bombus z kaplicy w King's College był sympatyzujący czy antypatyzujący - czy budowla huczała z radości, czy ze zgrozy, kiedy młodzieniec czytał - tak samo nieraz między dwojgiem ludzi, ogarniętych namiętnością, zachodzi casus odi atque amo[12]”.

„Mądrze prawisz, James - zawołała moja matka, która pociągnęła trochę więcej miodu niż zazwyczaj - bo mimo nieśmiertelnej duszy, czym jesteśmy, jeśli chodzi o ciało, jak nie zwierzętami? Wyjdź tylko na podwórze: gdy jegomość kogut szuka towarzystwa jejmości kury i skoczy na nią, czy wpierw ją czule całuje, czy raczej wyszarpuje dziobem pióra? A mój pan Tom, kotek, kiedy się zaleca do mojej pani Tib, kotki - co za pieśń nienawiści, jakie drapanie pazurami! Gryzą się, szamocą. Nie patrzcie tak wstydliwie córeczki! Skoro Ewa była moją prababcią, to waszą była praprababcią.

[12] wypadek jednoczesnego uczucia nienawiści i miłości (łac.)

A jak mężczyźni z natury mają cztery nogi, tak i kobiety podobnie. Nie ma to większego znaczenia, kogo weźmiecie za małżonka, skoro ciało jest zawsze tylko ciałem, a sympatia i antypatia są sobie równe. Tylko patrzcie, by ten jegomość miał piękną posiadłość, nie był zadłużony ani ospowaty i miał tyle honoru, by wybierał cięcie szablą raczej niż uderzenie pięścią. A jeśli wchodzi do łoża pijany, to tym lepiej! Szczególnie unikajcie młodszych synów, rozmiłowanych w rozpuście i zwolnionych ze służby kapitanów. Do ciebie to mówię, Zara - bo moja siostra robiła wyraźnie oko do Muna, tak że pieniałam się ze złości - bo jak weźmiesz takiego za męża, to kiedyś będziesz leżała chora na jakimś strychu w Westminster, z gromadą zawszonych bachorów ciągnących cię za kieckę z piskiem: «Chleba, chleba!», podczas gdy pan małżonek urządza burdy w piwiarni na rogu ulicy i przegrywa w kości twoją srebrną łyżeczkę i koronkowy fartuszek!”

Mun wesoło się śmiał z drwin mojej matki, lecz odparł: „Wasz-mość pani zapewne nie zechcesz mnie pozbawić tej odrobiny sympatii, jaką darzą mnie mieszkańcy twego domu? Mogę być zwolnionym kapitanem, ale mam obiecaną kompanię w armii, która niezadługo odpłynie do Irlandii. Kto wie, czy nie otrzymam kiedyś wysokiej rangi i niegorzej się będę miał”.

„Wystaw więc tę sympatię na ogniową próbę, dzielny wojaku! - zawołał mój ojciec. - Zaczynaj myśleć uporczywie o jednym, jedynym przedmiocie i zobaczymy, czy jest tu kobieta, która cię darzy sympatią i wpadnie na ten sam co i ty pomysł”.

„Proszę o pół minuty czasu - rzekł Mun - a będę gotów... Dobrze, dostojne panie, starajcie się, ile możecie, bo ja już o czymś pomyślałem. Powiedzcie mi, każda z kolei, co mam na myśli?”

Moja matka powiedziała, że myślał o sznurku bolońskich kielbas; moja kuzynka, że o Archdale'u, irlandzkim wilczurze; Zara - wymieniła płaczącą wierzbę; Ann - białą chmurę, a gdy nadeszła moja kolej, słowa przyszły mi na język niemalże wbrew mej woli: „To rygiel u drzwi kościoła”.

Mun drgnął, lecz z udanym smutkiem powiedział nam, iż żadna z nas nie czuje do niego sympatii, bo żadna nie zgadła: myślał o nabożnej księżce - jak powiadał - którą mu jego brat, Ralph, przysłał do obozu we Flandrii i którą parę miesięcy temu przestudiował, będąc w Yorku. Nazywa się ona *Cztery rzeczy najlepsze*-, ale nazwisko autora, mówił Mun, nie ma znaczenia.

Przez ostrożność nie odezwałam się, ale serce moje skoczyło. Dobrze wiedziałam, że autorem tej książki jest pan Bolton i to nazwisko jego myśl nasunęła mojej, podając je niby rebus czy zagadkę do rozwiązania, bo słowem bolt nazywamy rygiel. Mun dobrze wiedział, że tak się rzecz ma, skoro ominął właśnie imię autora.

Rozmowa potoczyła się dalej, tak jak się rozpoczęła - ze strony mojej matki bardzo sprośna, ze strony Muna - grzeczna, mego ojca - lekkomyślna, Jamesa - poważna, Richarda - nudna, zaś pan Thomas opowiadał facecje. I tak doczekaliśmy się deseru, który jesienią był często najlepszym daniem posiłku:

gruszki „Royal Windsor”, nieszpułki, jabłka „Green-hastings” i Kentyjskie pippins, orzechy włoskie i laskowe, marcypaniki, serki z pigw i damascenek (ugniecione w kształt małych figurek ludzi i zwierząt) i słodkie wina greckie i portugalskie.

Nagle poczuliśmy ostry, zimny podmuch z zachodu. Sekretarz sądowy wpadł do sali jadalnej, pospiesznie się przywitał, a kiedy mój ojciec ostro go zapytał, o co mu chodzi, krzyknął: „Wasza miłość, przybyły z Londynu bardzo smutne i doniosłe wieści dotyczące Irlandii!”.

„Irlandii? - zawołał mój ojciec. - Co mnie, u diabła, obchodzi Irlandia? Nie mam tam ani kapitałów, ani majątków, ani żadnych krewnych z wyjątkiem kuzynów, których nigdy na oczy nie widziałem. Co mnie do Irlandii? Nie, mój drogi, gdybyś rzekł, iż cokolwiek szwankuje w Walii...”

Jednakże moja matka prosiła urzędnika, by mówił dalej, nie bacząc na kpiny sędziego. Wtedy rzekł nam, że ponoć irlandzcy papieści, podżegani przez niejakiego Rory O'More zaprzysięgli uroczyste przymierze i klęli się na wierność królowi Karolowi, a odrzekli się Parlamentu. Liczba ich urosła od razu do 30 000 zbrojnych. Wyrznęli szkockich i angielskich osadników i włóczę się teraz wielkimi oddziałami, zagarniając dla siebie całą prowincję Ulsteru. Do tego czasu pewno i Dublin Castle, i Pale już mają w swych rękach. Krótko mówiąc, cała Irlandia jest stracona, bo nie ma tam więcej niż 2000 piechoty i 1000 konnicy do obrony Dundalku, Droghedy i kilku innych miejsc, jeszcze niezdobytych. By pomścić dawne krzywdy - kiedy to ich odwieczne ziemie zabrali im Szkoci i Anglicy - Irlandczycy zachowali się ponoć w sposób niebywale okrutny.

Sekretarz opowiadał o tysiącach mężczyzn, kobiet i dzieci w hrabstwie Tyrone, odartych do naga i pomordowanych bądź żywcem spalonych w obrabowanych mieszkaniach, bądź przemocą wpędzonych w mokradła lub rzeki, gdzie utonęli. Specjalnie wymienił osiemnaścioro szkockich dzieci, powieszonych na hakach u sukiennika. Pewien młody, gruby Szkot został zarżnięty, a z jego tłuszczu zrobiono świece na ołtarz. Innemu znów żywcem wycięli płat mięsa i szczypcami wkładali mu do ust rozżarzone węgle. Podobnych okrucieństw dopuszczano się we wszystkich innych hrabstwach Ulsteru, a także w Connaught i Leinster. Sekretarz nie ustawał i wyrzucał z siebie te strzępy opowiadania, aż mój ojciec mu przerwał, mówiąc, że dość już słyszeliśmy na wety, i w ten sposób go odprawił.

Na czas jednego pacierza zrobiła się przy stole cisza. Potem pan Thomas rzekł z urazą w głosie: „Gdyby nie byli ścięli szlachetnego hrabiego Strafforda, nigdy by nie doszło do tego nieszczęścia. Lord Essex, który zdobył nominację, siedząc w swoim pokoju, jeszcze nogi nie postawił w Irlandii, a jego zastępcy to słomiane chochoły”.

Moja matka przemówiła cierpko: „Kapitanie Verney, jeśli cię wysyłają do Irlandii, nie wątpię, że znajdziesz tam żwawszą robotę, niżbyś miał ze Szkotami... Jednakże jeśli się nie mylę, Parlament wyśle tam raczej tychże

Szkotów w niebieskich beretach, by za nas wyciągnęli kasztany z ognia, tak jak małpa Ezopa posłużyła się kocią łapką”.

Ojciec rzekł: „To bardzo złe wiadomości. Cały kraj będzie jeszcze bardziej rozdwojony, a podatki wzrosną i przywalą nas wszystkim”.

Mun rzekł tylko tyle, że wczesnym rankiem musi wrócić do domu swego ojca w Cleydon, a stamtąd jechać dalej, do Londynu, po rozkazy i mandat. Z całego serca, powiadał, pragnąłby czego innego: gdyby mógł pojechać z nami na polowanie, na które go mój ojciec zaprosił.

Po paru minutach pan Thomas i Mun pożegnali nas. Nie mogłam mówić z Munem na osobności, bo pan Thomas odjeżdżał razem z nim. Jednakże wiedziałam, że czuje do mnie niezwykły pociąg, a to przez owe znaki rozpoznawcze, które kobieta wyczuwa, kiedy się w niej mężczyzna zakochał. Wewnętrznie złościłam się na moją matkę, że tak niegrzecznie obeszła się z Munem, i chciałam mu rzec, jak mi smutno, że musi iść na wojnę, zanim nawet pomówiliśmy z sobą bez świadków; ale nic się nie dało zrobić, więc naumyślnie uniknęłam uroczystego pożegnania w bramie, gdzie się zebrali wszyscy domownicy, by mu życzyć szczęśliwej wojaczki, i błagali go, by dokonał krwawej zemsty na tych irlandzkich wilkach. Miałam nadzieję, że gdy Mun zauważy moją nieobecność, domyśli się, iż znieść nie mogłam takiego ogólnego pożegnania, gdy wszyscy machają rękami i powiewają chusteczkami, i że się obawiałam wybuchnąć płaczem.

Nadzwyczajne jednak było to, iż choć nie wymieniliśmy z sobą ani jednego słowa przez cały czas jego wizyty z wyjątkiem powitania, a potem grzecznego zapytania, co słyhać z grą na gitarze, na co ona zaledwie dała odpowiedź, i wreszcie owego zgadywania, co on miał na myśli - mimo to, jak mówię, w cudowny sposób zrozumiałam, że cała jego przemowa o sympatii dusz, choć skierował ją do moich rodziców i całego towarzystwa, przeznaczona była wyłącznie dla mnie. Dusze nasze bowiem, ponad dzielącym nas stołem, były w jakiś przedziwny sposób z sobą połączone.

Ekskuzowałam się i poszłam spać wczesnie, ale usnąć nie mogłam, więc zaczęłam wypisywać w mojej księdze wielkie klątwy na papistów, prezbiterianów, arminianów i wszystkich innych ludzi nabożnych, ortodoksyjnych czy schizmatyckich, którzy od lat mieczem Chrystusowym wojują jedni przeciw drugim na całym kontynencie europejskim, a ostatnio i na naszych wyspach. To z ich przyczyny Mun odjeżdża, porzucając mnie w tej właśnie chwili, kiedy odkryliśmy wzajemną naszą miłość. Potem zapadłam w niespokojny sen. Śniły mi się jakieś zawikłane sprawy. Gdy się ocknęłam, usłyszałam: bim-bam! - dwanaście uderzeń dzwonu o północy, które wiatr nam niósł od Wielkiego Toma, dzwonu w Christ Church, i zobaczyłam, że Zara śpi u mego boku. Nie wiem, czy byłam już naprawdę przebudzona, ale spokojnie wstałam, odziałam się bez światła, a w uszach wciąż mi dzwoniły słowa: „Rygiel na kościelnych drzwiach”. Czułam silny i nieuzasadniony nakaz, by

wyjść z domu - chociaż zimno przenikało mnie do szpiku kości - i sprawdzić, czy drzwi kościelne są zaryglowane, czy nie.

Stary chart, drzemiący przy kominie, warknął na mnie, gdy zesłam na dół, trzymając się ściany. Uspokoiliam go: „To ja, Jowler, to Marie, twoja przyjaciółka”, więc zbliżył się w ciemności i polizał mi rękę. Ominęłam kuchnię, gdzie zawinięty w derkę spał przy niewygasłym piecu kucharz, i wyszłam tylnymi drzwiami. Bez trudu odsunęłam rygiel i wymknęłam się na podwórze, gdzie nic się nie ruszało. Szłam powoli cienistą stroną, wyszłam bramą i zmierzałam do kościoła w niewyraźnym świetle, kiedy nagle zawrzała straszliwie sowa, zrywając się z pobliskiej kupy chrustu. Skoczyłam w górę i pobiegłam z powrotem, jakby czar prysł, a kiedy się opamiętałam, byłam znów przy drzwiach kuchennych.

Cicho obróciłam gałkę i pchnęłam drzwi, ale były zamknięte. Pchnęłam mocniej, tak że jęknęły, ale nie mogłam otworzyć, choć na ogół otwierały się łatwo, nawet w porę deszczową. Zaraz pojęłam, że kiedy byłam na dworze, ktoś zeszedł za mną po schodach i zasunął rygle. Okrążyłam dom i weszłam do ogrodu. Stamtąd rzucałam grudki ziemi w okno naszego pokoju, by zbudzić Zarę, a choć trafiłam w szybę trzy czy cztery razy, nie wyjrzała.

Zgniewało mnie to i rzekłam do siebie: „Czego się trwożę? Czy muszę uciekać dlatego, że sowa piszczy mi nad uchem? Nie, skoro odcięto mi odwrót do łóżka, to przynajmniej zrobię to, co zamierzałam. A więc - do kościoła, Marie! - i nie bój się sów ani nietoperzy, ani złych duchów czy upiorów, ani długonogich bestii czy innego straszzydła, zaczajonego o tej porze na przykościelnym cmentarzu między cisami i ostrokrzewem”.

Wtedy wrócił mój poprzedni nastrój i już niczego się nie bałam. Śmiało szłam przez podwórze, a potem przez gościniec. I oto już kościół Św. Mikołaja, wielki cień wyrastający przede mną. Kiedy się zbliżyłam, rozróżniłam na tle nieba dzwonicę i obydwie dzwony wiszące obok siebie i zaczęłam nucić końcowy wiersz piosenki o dzwonach „Ja i ty, ja i ty!”.

Odsunęłam rygiel furtki i poszłam ścieżką do drzwi kościoła. Tam, na ławie pod gołym niebem, siedział Mun otulony płaszczem i cierpliwie na mnie czekał. Nic nie powiedział, tylko pochwycił mnie w ramiona i uniósł. Jak długo trwał nasz uścisk, nie wiem. Drżałam na całym ciele tak, że zdawało mi się, iż członki moje rozpadną się od drżenia, choć on mnie przyciskał do siebie. Rzekł: „Drzwi kościelne nie są zaryglowane, schrońmy się tam przed wiatrem” - i wprowadził mnie do kościoła. Poszliśmy do kruchty dzwonników i tam zaczęłam w uniesieniu znów śpiewać: „Ja i ty, ja i ty!”.

Mun wydobyl krzesiwo i zapalił przyniesioną latarkę, poszliśmy do stall po poduszki do klęczenia i stołeczki pod nogi i przynieśliśmy je sobie do kruchty. Usłaliśmy legowisko, a Mun nakrył mnie swoim płaszczem i rozmawialiśmy szeptem.

Łatwo się domyślić, iż nie była to zwykła paplanina miłosna, jako że spotkanie nasze było osobliwe, a miejsce święte; do świtania zaś niewiele nam

pozostawało czasu. Pamiętam, że mówiliśmy językiem naprawdę odmiennym od tej zwykłej angielszczyzny, którą gadają do siebie jakiś John i jakaś Jane w całym kraju. Nasza mowa składała się z urywków zdań dziwnych a wymyślnych, całkowicie naszych własnych. Gdyby nas kto podsłuchał, chyba wzięłby nas za Chińczyków.

Dużo było pocałunków i pieszczot, lecz choć całym ciałem należałam do niego, nie nadużył mnie, jak można by przypuszczać, ani ja nie dbałam o to, czy tak uczyni, czy też nie. W porywie miłości do niego unosiłam się ponad sprawy ciała w jakąś doskonałą szczęśliwość - w tę szczęśliwość, o której mówi Pismo św., powiadając, iż w niebie nie ma ożenku ani wydawania za mąż. Co było jeszcze dziwniejsze, to to, że nie zajmowaliśmy się jego wyjazdem do Irlandii ani tym moim niby wdowieństwem w Forest Hill; nie mówiliśmy ani o następnym spotkaniu, ani o wymianie listów między nami i jakiego na to użyć sposobu; ani o żadnych temu podobnych sprawach tego świata. Mówiliśmy jeno o tym, co nas złączyło, o tym, co się działo przez ostatnie miesiące, i o miłości, i o dzwonach. Kiedy zapytałam: „Mun, Mun, powiedz mi, jakie są cztery rzeczy najlepsze?” - odpowiedział: „Marie i Mun, i Alfa, i Omega. Lub, jeśli je uszeregować według czasu, Alfa i Mun, i Marie, i Omega”. Po tym poznałam, że Alfa i Omega to były właściwe imiona dzwonów nad naszymi głowami, symbole początku i końca czasu, który obejmował Muna i jego Marie.

Z brzaskiem dnia, jaki spłynął na nas przez okna dzwonnicy, sznury dzwonów stały się już całkiem widoczne. Wiedzieliśmy, iż pora się rozstać. Mun siadł i rzekł roztropnie swym codziennym głosem: „Kochanie, już dnieje. Jeśli zabawimy dłużej, może być z nami źle”.

Odpowiedziałam: „Musisz wyjść, a ja zostanę. Nie mogę na razie wrócić do domu. Zostanę tu, aż zbliży się pora śniadania, a wtedy wrócę odważnie. Jeśli mnie matka zapyta, powiem, iż wstałam wcześniej, gdy Zara jeszcze spała, i poszłam do kościoła. I to prawda”.

Znów mnie pocałował, ale nie rzekł ani słowa na pożegnanie, bo miał dwojakie przeczucie: najpierw, że kiedyś spotkamy się znowu, a potem, że zanim się spotkamy, każde z nas przecierpi bezmiar smutków. Znów zapalił na chwilę swoją latarkę (co było wielkim błędem i zgubiło nas) i przy jej świetle przenieśliśmy słomianki i poduszki na ich właściwe miejsce. Wtedy podeszłam do drzwi i wyjrzałam. Miasto było uspione. Wróciłam jeszcze do Muna i mówiliśmy o sprawach obojętnych: o mojej siostrze, Żarze, o jego koniu, którego spętał w zaroślach o milę stąd, i o zimie.

Mun zdjął z palca pierścioneł, popatrzył chwilę, lecz włożył go z powrotem i rzekł: „Marie, nam nie trzeba wymiany pamiątek. Nie zrób mi zawodu pod żadnym warunkiem, a we mnie nie znajdziesz zaniedbania. Wiesz, że serce moje należy do ciebie całkowicie tak jak twoje do mnie”.

„Na tysiąc lat”, odparłam.

„Nie, na dwa razy tyle - rzekł. - Gdy zestawimy razem Mun i Marie, otrzymamy «MM», a to w łacińskim piśmie oznacza dwa tysiące lat. Ale nawet dwa tysiąclecia nie wypełnią rozpiętości zawartej między Alfą i Omega”.

„Wystarczą nam do pierwszego naszego zapoznania” - odpowiedziałam ze śmiechem, wyciągając do niego rękę, której nie ucałował, lecz pochwycił w swoją i patrzył na mnie uporczywie przez krótką chwilę. Potem odwrócił się i wybiegł z kościoła, wciskając na głowę kapelusz z długimi piórami.

Siadłam w naszej ławce i modliłam się - jeśli można to nazwać modlitwą, gdyż nie prosiłam Boga o nic, a tylko dzięki czyniłam z pełności serca. Wkrótce przerwał mi modlitwę tupot końskich kopyt na drodze, lecz nie w kierunku, jaki obrał Mun, ale w przeciwnym. Tupot minął kościół i ucichł w oddali, więc nie był to powracający Mun. Wstałam i wróciłam do kruchty dzwonnika, a serce moje śpiewało Ja i ty, ja i ty”. I wiedziałam, że tak samo odpowiadało echo w sercu Muna na jego drodze do Cuddesdon.

Rozdział ósmy

WPADAM W NIEŁASKĘ

Mun dojechał chyba nie dalej jak do Wheatley, kiedy usłyszałam ciężkie kroki na ścieżce wiodącej do kruchty. Wymknęłam się z za przepierzenia i uklęknęłam w nawie. Tu postanowiłam modlić się dalej bez względu na osobę przybysza, by uniknąć nagabywania i pytań. Był to Ned, kościelny. Minął mnie, nie zatrzymując się, wszedł do kościoła i zaczął dzwonić, ciągnąc za sznur. Rozległy się pojedyncze, powolne uderzenia, i to tylko drugiego dzwonu, który Mun i ja nazwaliśmy Omegą. Domyśliłam się więc, że jest to podzwonne na śmierć, o której kościelny został powiadomiony w nocy. Wstałam z klęczek i zapytałam go, na czyją śmierć dzwoni. Wtedy on, pociągając kosmyk nad czołem, powiada, że umarła babka Catcher, ta, co mieszkała przy Bayardswater. Znaleźli ją utopioną w stawie młyńskim. Głos dzwonu odbijał się złowrogim echem w moim sercu, brzmiał ciągle tym samym wołaniem: „Śmierć! Śmierć! Śmierć!” - z długą pauzą między jednym uderzeniem a drugim. Wybiegłam więc z kościoła w straszliwej rozterce serca. Dopadłam do furtki w bramie i właśnie ją otwierałam, by pędzić dalej drogą ku domowi, gdy nagle jakiś człowiek wychynał zza ostrokrzewu, gdzie się był zaczął, i chwycił mnie za ramię.

Krzyknęłam głośno z przerażenia, ale obróciwszy się ujrzałam, że stoi za mną nasz nowy proboszcz, wielebny Luke Proctor w podartej sutannie i w starej wełnianej szlafmicy na głowie. W rękę trzymał toporek.

„A więc to ty, panno Marie Powell!”, powiedział.

„Witam waszą wielebność - rzekłam, ochłonawszy z wrażenia. - Myślę, że waszmość tu przyszedłeś ze swoim toporkiem i czepkiem, by przetrzebić ostrokrzew. Spełniaj więc dalej tę niewczesną robotę, tylko weź rękę z mojego ramienia, nędzny pijaku!”

Ale on trzymał mnie tym mocniej i zapytał: „Gdzie byłaś, kobieto?”

Odpowiedziałam: „Wasza wielebność, przyznaję, że jestem kobietą, ale gdybyś był trzeźwy, to byś nie zapomniał dobrego obyczaju i nie zwracałbyś się do mnie tak obcesowo, używając tylko miana kobiety, jak gdybym była ladaco. Ale dajmy temu spokój i wróćmy do twojego pytania. Byłam w kościele i modliłam się. Czułam głęboką potrzebę, aby tam pójść i szukać pociechy w modlitwie. Ponieważ zaś zastałam drzwi otwarte, weszłam.”

„Gdzie twoja latarka?”, zapytał.

„Nie mam latarki - odrzekłam. - Przyszłam bez żadnej latarki ani świeczki”.

„Widziałem światło w północnych oknach ledwie pół godziny temu - powiedział - kiedy wstałem z łóżka, żeby wpuścić do domu kota. Natychmiast się ubrałem, chciałem zobaczyć, jacy złodzieje gospodarzą w moim kościele. Złapałem ten toporek, podszedłem do wrót i nadśluchiwałem. Słyszałem głosy

wewnątrz, więc przyczałem się w krzakach. Niebawem jakiś młody gach wyskoczył, ale gdy zobaczył jego szablę, odeszła mnie ochota zatrzymywania go i czekałem, aż jego towarzysza też wyjdzie. Potem przez furtkę wszedł kościelny, lecz nie wyszedł mnie w krzakach, gdzie się skryłem. Syknąłem na niego, chcąc go ostrzec przed grożącym mu niebezpieczeństwem, ale on jest głuchy, więc nie usłyszał. Wszedł do kościoła - dzięki Bogu, nic mu się nie stało - i zaczął dzwonić. Jeżeli teraz nie ma już nikogo więcej w kościele, będę wnioskował, że ty i ów młody gach byliście tam sami wówczas, kiedy widziałem światło”.

„Możesz wnioskować wszystko, co ci się podoba, a jeśli znajdziesz coś porzucanego w kościele albo coś popsutego czy też stwierdzisz kradzież, to nie masz powodu winić mnie, ale sam siebie, boś zostawił odryglowane wrota kościelne, kiedy wyszedłeś wczoraj przez drzwi zakrystii. Jak już mówiłam (tylko nazbyt jesteś pijany, by to usłyszeć), wstałam wcześniej z łóżka i przyszedłam tu, by się modlić. Kościelny zastał mnie klęczącą w przejściu, jak ci to sam opowie. I to wszystko, co mogę rzec w tej sprawie”.

On jednak, wygrażając mi swą bronią, zmusił mnie, bym razem z nim wróciła do kościoła. Tam znalazł w kącie na macie zapomnianą przez Muna latarkę, chwycił ją i stwierdził, że metalowa jej część jest jeszcze trochę ciepła.

Nazwał mnie ladacnicą i zaczął przewracać oczyma jak turecki rycerz w pantomimie. Powiedział, że zbecześciłam kościół, czyniąc z niego dom rozpusty. Za ten grzech należy mi się wieczne potępienie.

Kiedy tak mówił, przestałam panować nad sobą. Chwyciłam latarkę i zamierzyłam się nią w jego głowę, ale on się uchylił. Latarka uderzyła w toporek i stłukła się. Nazwał mnie oszalałą jędzą i babilońską czarownicą. Kościelny nie na tyle był głuchy, aby nie usłyszeć tych strasznych wyzwisk. Zastygł w zdumieniu, na chwilę przestał dzwonić, ale nic nie rzekł.

Pobiegłam w kierunku domu. Wszystkie drzwi były już otwarte. Gdy weszłam, usłyszałam gwar i krzątanie - jedzono już śniadanie w jadalni. Spotkałam parę dziewcząt, które mnie pozdrowiły i, jak mi się zdawało, wpatrywały się we mnie bacznie. Nie nawiązałam z nimi rozmowy, poszłam na górę do mojego pokoju, aby uporządkować ubranie i włosy; nie było jeszcze godziny ósmej. Zara leżała w łóżku, już przebudzona, i gryzła ciasteczko.

„Marie, twoje włosy są w strasliwym nieładzie! - powiedziała do mnie. - Skąd przychodzisz?”

„Z kościoła”, odrzekłam krótko.

„Czy długo tam byłaś?”, zapytała przymilnie.

„Dzwonią na śmierć babki Catcher - rzekłam, w nadziei że odwrócę jej ciekawość. - Znaleźli ją utopioną w młyńskim stawie. Czy myślisz, że to mogło być samobójstwo?”

„Kto wie, wszystko możliwe - odpowiedziała Zara, chichocząc z cicha. - Nawet możliwe, że to ty ją wepchnęłaś, wstrętna intrygantko! Nie było cię tu w łóżku tyle czasu, że mogłaś utopić z tuzin takich starych jędz”.

Podbiegłam do łóżka, trzymając w ręku długą kościaną szczotkę do włosów i już miałam grzmotnąć Zarę w głowę, ale skryła się pod pikowaną kołdrę, więc biłam ją po kolanach i łokciach, jak mogłam najmocniej przez jej okrycie. Ostrzegłam ją też, że jeśli powie jeszcze jedno grubiańskie słowo, wyciągnę ją za uszy i powykręcę jej ręce, aż zapłacze o litość. Nigdy sobie nie mogłam dać rady z Zarą bez gróźb i szturchańców. Za to druga moja siostra, Ann, była miłym dzieckiem, uległym wobec łagodnych słów i całusów; była o dwa lata młodsza od Zary.

Kiedy się już ustroiłam, z twarzy zmyłam ślady nocy i utrefiłam włosy, zeszłam znów do jadalni i dygnęłam rodzicom, którzy mnie powitali tak jak zwykle - ku mojej wielkiej uldze. Zabawiali wuja Jonesa z Sandford, który wszedł na chwilę przede mną. Mówił im, że wstał do dnia, by pojechać do Beckley za interesami, chcąc tam zastać pewnego jegomościa, zanim ten wyjedzie na cały dzień. Sprawę swoją załatwił, a teraz wracał do domu bardzo głodny, bo przez cały czas nic nie jadł. Zsiadł więc z konia przed naszym domem, licząc na poczęstunek.

Wuj się rozwodził nad różnymi sprawami, a moi rodzice odpowiadali mu krótko (przy śniadaniu zazwyczaj było u nas ponuro i mrukliwie). W końcu rzekł: „Kiedy przejeżdżałem opodal waszego domu wczesnym rankiem, mniej więcej o milę stąd, jeszcze w półmroku, o mało nie najechałem jakiegoś dżentelmena idącego naprzeciw mnie. Zaklął krótko, gdy już pocałowałem dalej, ale to mi wystarczyło, by go rozpoznać, choć nie byłem w stanie przypomnieć sobie nazwiska. Teraz nagle mi ono wpadło do głowy: to ten student z Magdalen Hall, którego tu spotkałem, przy tym samym stole, ze cztery lata temu, ów młodzieniec tak bardzo zapóźniony w studiach, młodszy syn królewskiego marszałka. Od tego czasu wyrósł na okazałego nicponia”.

Na to moja matka nadstawiła uszu jak pies gończy: „Masz na myśli młodego Edmunda Verneya?”, zapytała.

„O tak, właśnie tak się nazywał - zawołał wuj Jones. - Miał długie ciemne sploty, wielki nos i melancholijne spojrzenie”.

„A to ci osobliwa sprawa! - krzyknęła matka, wreszcie dając folgę językowi. - Był tu wczoraj po południu w towarzystwie młodego pana Thomasa Gardinera. Jednakże w godzinę po kolacji, to znaczy około ósmej, ponuro nas pożegnał (bo wyznaczony jest na tę nową wojnę w Irlandii) i odjechał z powrotem do Cuddesdon z panem Thomasem”.

Wuj Jones chrząknął z zastanowieniem i powiedział: „To swawolny ptaszek. Możliwe, że stąd wybrał się do oberży, pił i grał w kości, aż przegrał i pieniądze, i konia, tak że o świcie z konieczności powędrował na piechotę”.

James jednak zaoponował: „Zatrzymać się w oberży, i to nie pierwszej jakości, po dobrej wieczerzy u nas, pozwolić panu Thomasowi jechać dalej samopas, a samemu grać w kości i pić piwo z naszymi wiejskimi pijakami - to do kapitana Verneya niepodobne i mnie się w głowie nie mieści. Mógłbym przysiąc, że wzięliście za niego, wuju, jakiegoś innego człowieka. Nieraz już

zauważyłem, że jeśli się gdzieś było, pozostawia się tam po sobie uludę, która nie porusza się bezcielesnie, ale uczepia się innego człowieka tego samego wzrostu i tej samej tuszy. Pamiętam, że kiedyś trzykrotnie mi się zdawało, iż widzę mego wuja Cypriana Archdale'a na ulicy w Westminsterze i za każdym razem było to złudzenie; jednakże za czwartym razem był to on we własnej osobie - choć nie miałem pojęcia, że wyjechał ze swego domu w Wheatley, który opuszcza bardzo rzadko”.

Czułam, że się rumienię i że mi uszy płoną na samą wzmiankę o Munie. Odsunęłam moje danie z zimnej dziczyzny i słodkich gruszek w occie, aby ukryć koniec nosa w pucharku piwa. Ale skoro dane przez Jamesa wyjaśnienie opowieści wuja uznano za trafne, odetchnęłam swobodniej, zwłaszcza że wuj Jones już miał nowego konika, a mianowicie -posępne rzezie w Irlandii.

Westchnęłam pobożnie: żeby też proboszcz dostatecznie się bał mego ojca, od którego otrzymywał swe uposażenie, i nie przybiegł z plotką o naszym spotkaniu, a nawet nakazał milczenie kościelnemu. To bowiem, że nazwał mnie ladaczną bez żadnej racji prócz wymysłów swej brudnej wyobraźni, nie mogło się spotkać z uznaniem u nas w domu, a jeszcze ciążyła na nim jako na proboszczu poważna wina za to, że przez jego niedbalstwo drzwi kościoła zostały otwarte, nie zaryglowane. Jednym słowem, zagrzebaliśmy się oboje równie głęboko. Co do Żary, miałam nadzieję, że dam sobie z nią radę. Zastanawiało mnie jednak, czyja to ręka zamknęła za mną tylne wejście naszego domu. Prawdopodobnie, rozumowałam, kucharz słyszał trzaskanie drzwi na wietrze i wynurzywszy się ze swego zapiecka zaryglował je, a potem powrócił do przerwanej drzemki. Jeśli tak się rzecz miała, winna mu byłam serdeczne dzięki. Gdyby bowiem nie jego zbytnia usłużność, byłabym wróciła do łóżka i Mun czekałby na mnie do rana w kruchcie kościelnej, by znowu odejść z niczym.

Poprosiłam o pozwolenie wstania od stołu i pobiegłam znów na górę, właśnie gdy Zara schodziła. Cichutko jej zagroziłam, że jeśli wspomni komukolwiek, iż byłam wcześniej w kościele na modlitwie, to ją jeszcze tej nocy uduszę we śnie. Nie chcę bowiem, by ludzie wiedzieli, że myślę o zbawieniu i o rzeczach pobożnych.

Zara popatrzyła na mnie bezczelnie i powiada: „Powiem, komu mi się spodoba, bo jeśli jesteś naprawdę odrodzona duchowo, będziesz silna w Panu i otwarcie wyznasz swoją nową wiarę, mnie zaś przebaczysz, cokolwiek bym uczyniła przeciw tobie. A co się tyczy uduszenia mnie, to jakże możesz żywić nadzieję na zbawienie, stając się morderczynią własnej siostry?”.

„Nikommu nic do tego - odpowiedziałam. - Pilnuj dziś swego języka, Zara, inaczej wydasz wyrok sama na siebie i zginiesz marnie tej nocy”.

Na tym się rozstałyśmy i poszłam do swoich codziennych zajęć w kurniku i w mleczarni.

O jedenastej Trunco wywołała mnie z mleczarni. Widać było, że płakała, a nad jednym okiem miała siniaka. Pełna trwogi i zadyszana wołała: „Ach, moje dziecko drogie, pani matka wzywa cię natychmiast do małej bawialni”.

„Co się stało, kochana Trunco?”, zapytałam.

Odpowiedziała mi: „Nasz wielbny drwal Lukę przyszedł do twego ojca, do małej bawialni, ze skargą na ciebie, nie wiem jaką, ale w ręku niósł stłuczoną latarkę, a za nim włókł się kościelny, Ned, sprowadzony chyba na świadka. Nie śmiałam słuchać pod drzwiami, bo rządca czekał, by mówić z twoim czcigodnym ojcem. Dopilnowałam jednak, aby i on nie słuchał. Niedługo więc odszedł. Twój ojciec kazał zawołać twoją matkę. Przyszła z kuchni i potem słyszałam z pokoju głośną sprzeczkę, w której górował głos twojej matki. Nagle pani matka wypadła z pokoju i zaczęła krzyczeć, żeby przyszła Zara, która też wnet przybiegła. Wtedy usłyszałam jeszcze głośniejszą sprzeczkę, odgłosy bicia i piski Zary, a potem jeszcze głos proboszcza wykrzykującego i głuszącego tamtych. Po tym wszystkim pani matka wyszła znowu i, nieprzytomna z furii, wysłedziła mnie czającą się w przejściu, więc podbiegła do mnie z pięściami i uderzyła mnie w oko za podsłuchiwanie. Przysyła mnie teraz «po tę bezwstydną ladacznicę, Marie, swoją córkę»”.

Obtarłam ręce z serwatki i zdjęłam fartuch. Składałam go starannie, rozmyślając nad tym, co mi wypada powiedzieć. Wyszłam bez pośpiechu, z beczką Trunco na piętach. Nie miałam grzechu na sumieniu i nie lękałam się nikogo, nawet matki, chociaż mogłam się od niej spodziewać takiego lania różgą z ostrokrzewu, o jakim mi się jeszcze nie śniło. Kiedy przechodziłam przez jadalnię i zbliżałam się do drzwi małej bawialni, zdawało mi się, że słyszę Muna szepczącego mi cicho do ucha: „Nas dwoje, kochanie, nas dwoje! Alfa i Mun, i Marie, i Omega. Nic na świecie nie może nam wyrządzić krzywdy ani żadnej szkody, gdy jesteśmy połączeni duchowo i zjednoczeni, serce z sercem”.

Ten głos cudownie mnie pokrzepił. Westchnęłam głęboko, pchnęłam drzwi i weszłam.

Pierwsza odezwała się matka. Przyjemnie mnie zaskoczyło - po tym, co mówiła Trunco i czego się spodziewałam - że przemawiała do mnie słodko i czule. Rychło pojęłam, że mimo całego gniewu uważa ona za swój macierzyński obowiązek bronić mnie przeciw oskarżeniom jako niewinną ofiarę, nawet gdybym była przyłapana na gorącym uczynku. Bo nie wiem jak w innych hrabstwach, ale u nas żaden dżentelmen nie weźmie za żonę dziewczyny, która nie jest dziewicą, i nawet największy posąg nic tu nie poradzi.

Matka trochę się zaśmiała, choć jej śmiech był wymuszony, i powiada: „Marie, moje kochanie, oto nasz nowy duchowny przyszedł do twego ojca z jakąś niedorzeczną, do niczego niepodobną plotką i śmie cię nazywać ladacznicą!”.

Na takie dictum odzyskałam śmiałość i z miejsca odrzekłam: „W Piśmie świętym dwóch starców złożyło taką samą skargę przeciw Zuzannie i, jak się okazało, równie kłamliwą. Po furii, z jaką mnie potraktował dzisiejszego ranka,

nie dziwię się wcale, że ten hultaj jest dość bezwstydnym, aby przyjść do was z taką gadką. Pani matko, miałam dość miłości chrześcijańskiej, by nie składać skargi na niego, ale skoro on się chce osłonić rzucaniem fałszywych oskarżeń, to ja muszę wam powiedzieć, jak było. Obudziwszy się dziś wcześniej niż zazwyczaj, poczułam niezwykłą chęć, by pójść do kościoła. Narzuciłam ubranie i zesłam na dół, a potem dalej na podwórze. Gdy dotarłam do kościoła, drzwi kruchty zastałam otwarte, nie zaryglowane. Weszłam, by się pomodlić. W jaki sposób się modliłam, to pozostanie między moim Stwórcą a mną. I nie wiem, jak długo to trwało. Potem ktoś wszedł, a był to Ned, kościelny, i zaczął wydzwaniać podzwonne. Modliłam się tym goręcej. Gdy usłyszałam jeźdźca przejeżdżającego drogą, przerwało mi to modlitwę. Zapewne był to wuj Jones. Wstałam i zapytałam Neda, komu dzwoni, a on odpowiedział: «Babce Catcher, którą znaleźli utopioną w młyńskim stawie». To boleśnie zraniło moje serce. Wybiegłam więc z kościoła ku furtce, a tam jego wielebność, wasz proboszcz, zaczajony w krzakach jak rzeźmieszek i bardzo nieprzystojnie odziany, chwycił mnie za ramię, grożąc mi toporkiem, wypluł parę pijackich wyzwisk, nazwał mnie ladacznicą i powlókł do kościoła. Potem zaś podniósł tę latarkę i wpychał mi ją do rąk - nie wiem dlaczego - i krzywiąc się mówił, że jeszcze ciepła. Wreszcie nazwał mnie babilońską czarownicą, jak to może potwierdzić poczciwy Ned; a ja tak się przelęknłam - myśląc, że on po prostu zwariował - iż rzuciłam w niego latarką i uciekłam”.

„No, Dick - rzekła matka - ten twój święty Lukę jest, jak się zdaje, niezłym hultajem. Odradzałam ci wydalenie zanego Johna Fulkera, który ci służył dobrze i wiernie przez lat czternaście i był kochany przez całą parafię”.

Wtedy proboszcz wybuchnął: John Fulker, ona mówi o Johnie Fulkerze! Znany cudzołożnik, włóczący się po karczmach, wilk przebrany za pasterza, prałacka zakąła, grzyb trujący, papieski szczeniak, śmierdziel! On, który z kazalnicy publicznie wyraził życzenie, by wszelkie kolano, które się nie ugnie na imię Jezusa, cierpiało łamanie! Wasza miłość, ta córka twoja stawia swoją czystość obok czystości Zuzanny. Ale przecież niewinność owej dziewicy wynikała ze sprzecznych zeznań dwóch starców. Tu zaś sprawa ma się inaczej, bo ja na moje własne oczy widziałem przed brzaskiem światło w północnych oknach kościoła, więc szybko wstałem i czekałem w krzakach. Wewnątrz słyszałem głosy. I nagle widzę, jak wychodzi młody galant z wyciągniętą szablą w rękę, klnąc na potęgę. Dałem mu drogę (jako że sam za całe uzbrojenie miałem toporek), a on poszedł w stronę Wheatley. Potem ukazał się Ned, wszedł do kościoła i zaczął dzwonić. Ja czekałem dalej w krzakach - i nagle wybiega z kościoła wasza córka, a suknia jej była w nieładzie. Chwyciłem ją grzecznie, a ona zaczyna lżyć mnie okropnie: Więc cóż to jest, o pani, jak nie rozwiązłość i rozpusta? A czy twoja druga córka, Zara, nie oświadcza, bez *mojego* przynaglenia, że zbudził ją trochę po północy hałas kamyczków rzuconych w okno i że usłyszała cichy męski głos proszący o coś, po czym usnęła, a gdy się zbudziła o świcie, łóżko jej siostry było puste?”.

To była woda na mój młyn. Teraz wiedziałam, skąd wiatr wieje. Było jasne, że moja podstępna siostrzyczka udawała śpiącą, gdy ja wychodziłam, i cichutko za mną zesła. Więc to ona zaryglowała drzwi po moim wyjściu - dla figla - a teraz skłamała, żeby uniknąć lania.

„Zara często miewa dziwne halucynacje w nocy - powiedziałam. - Mogę przysiąc przed Bogiem Wszechmocnym, że żaden kawaler nie rzucał wczoraj żwirem w moje okno - chyba gdy spałam. Przeciw takim oskarżeniom muszę się bronić i dowieść mojej czystości jak Zuzanna; jej jednak bronił młody i piękny jurysta, który pogrążył starców w krzyżowym ogniu pytań, a ja jestem sama. Ale powiedzcie mi to jedno: Twierdzicie, że wstałam krótko po północy, bo zaiste ktoś rzucał kamykami w moje okno. Skoro tak było, to jakim sposobem drzwi, którymi wyszłam, same się za mną zaryglowały i okiennice się zamknęły? Bo nie wierzę, by ktoś ze służby, zapytany o to, śmiało twierdzić, iż zastał dom tak źle broniony ryglami i okiennicami, jak jest nasz kościół obecnie, odkąd ten człowiek został u nas proboszczem”.

Tu ojciec kiwnął głową, okazując, że się w tym zgadza ze mną. I dodał: „Zauważ to, panie Proctor, zauważ to dobrze!”.

To mi dodało śmiałości. Dotąd nie skłamałam, choć opuściłam sporo prawdy. Ale teraz, gdy świadkowie nałgali - Zara rozprawiając o męskim głosie, a wikary kryjąc swoje tchórzostwo śmieszoną opowiadką o wyjściu Muna z kościoła z wyciągniętą szablą w rękę i z przekleństwami na ustach, a potem o mojej sukni w nieładzie - teraz czułam się rozgrzeszona z wszelkiej nieprawdy. Rzekłam ojcu: „Tak, panie, rzeczywiście zerwałam się do dnia i doszedł moich uszu hałas rozpalania ogniska w kuchni, no i zastałam otwarte drzwi na podwórze, gdzie kucharz, zaraz jak wstaje, wypuszcza ogary dla ich potrzeby. Inaczej jakże mogłabym wyjść niezauważona, chyba żebym wyskoczyła z okna głową naprzód w ciemność?”.

Ta obrona przewyższała rozum wielebnego Proctora, ale zapytał mnie, skąd się wzięła latarka w kościele.

Wykorzystałam swoją przewagę, mówiąc: „Tę odpowiedź, mój panie, ty musisz dać, nie ja. Jeśli zostawiasz kościół przez noc otwarty, musisz liczyć na złodziei, którzy skradną kielich i szaty, a zostawią w to miejsce szmaty i żelastwo. A co do mojej sukni w nieładzie, to ty sam poszarpałeś ją, gburze, i rozdarłeś, ciężko się ze mną zmagając! Wielebny Fulker może się włóczy po karczmach - ale to by jeszcze świadczyło o towarzyskim usposobieniu. Lepsze by to było, niż tak pić samotnie śmierdzącą okowitę, jak to waść uprawiasz”.

Wtedy mój ojciec nader roztropnie kazał mi odejść, bym nie popsuka sprawy jakimś niepotrzebnym słowem. Nie wiem, w jaki sposób przemówił potem do proboszcza, ale na pewno zganił go poważnie za niedbalstwo w sprawie zamykania kościoła i za pijackie i gwałtowne zachowanie wobec mnie; wyraził też nadzieję, że w przyszłości wielebny Procter będzie sobie ostrożniej poczynał, bo inaczej może pewnego dnia utracić duszpasterstwo.

Matka zaczęła robić proboszczowi gwałtowne wyrzuty, ale ojciec ją zganił, prosząc, by miała tyle miłości bliźniego, ile ja okazałam, chociaż proboszcz złośliwie spotwarzył moją niewinność. Ona jednak tym gwałtowniej mu groziła i nie można było jej pohamować, póki ojciec nie wymógł na nim obietnicy, że słowa o tym wszystkim nie piśnie żywej duszy, chyba po to, aby wszystkiemu zaprzeczyć. Również Ned, który cały czas stał, mrugając oczyma i obracając kapelusz w rękę, złożył taką samą obietnicę.

Moi rodzice rozumieli się bardzo dobrze i odegrał swoje role w tej komedii, nic sobie nawzajem nie podpowiadając.

Oboje wiedzieli, że nie ma dymu bez ognia i że niemądre byłoby wydalenie proboszcza, który wtedy poszedłby na skargę do wuja Jonesa z Sandford, bo to on go polecił ojcu i on też właśnie spotkał Muna na drodze. Gdyby opowieść wuja i proboszcza złożyć w jedną całość - byłoby z nami źle.

Dobrze wiedziałam, że gdy matka będzie rozmawiać ze mną na osobności, nie obdarzy mnie uśmiechem ani czułymi słówkami, ani też nie wyrazi przekonania o mojej cnocie. Po obiedzie wzięła mnie do swego pokoju, zaryglowała za sobą drzwi i rzekła: „Marie, jesteś szcwanym obrońcą. Wyznaję, że nie doceniałam twoich zdolności do tak śliskich sztuczek, jakich użyłaś wobec proboszcza: zręcznie go położyłaś na obie łopatki, śmiała dziewczyno! Niemniej jesteś całą gębą ladacnicą, jak sama wiesz i jak ja wiem, i jak wie twój ojciec. Według mnie, jakkolwiek chytrze ukryłaś swą nocną wyprawę, to przecież spędziłaś noc na rozpuście z młodym Verneyem, na podłodze w kościele. Nie jesteś dziewicą i jeśli Bóg nie okaże ci szczególnej łaskawości, na jaką nie zasłużyłaś, to za dziewięć miesięcy urodzisz nam bękarta, a siebie pogrążysz do reszty. Tymczasem mam zamiar ci sprawić takie lanie, jakiego jeszcze nigdy nie spuściłam ani tobie, ani nikomu, przez całe życie!”

Kiedy się zatrzymała, by mi dać czas na odpowiedź, popatrzyłam jej w oczy i odpowiedziałam: „Pani, jesteś moją matką i tylko dla tej przyczyny nie wydrapię ci oczu za to niecne oskarżenie. Nie uprawiałam rozpusty zeszłej nocy z kapitanem Verneyem ani z żadnym innym mężczyzną, ani - dzięki Bogu -nie utraciłam dziewictwa. Jestem tak czysta jak nasza mała Bet-ty - i na to ci przysięgnę najświętszymi słowami, jakie włożysz w moje usta. A co do chłosty, jaką mi obiecujesz, to zniosę ją, jeśli taka twoja wola, pani matko. Pomyśl jednak, że gdy wyjdę stąd zapłakana i pokrwawiona, a służba zobaczy, jak bardzo się na mnie rozgniewałaś, wszyscy uwierzą, że jestem tą ladacnicą, za jaką mnie uważasz; ale jeśli mnie wszem wobec nazywać będą nierządnicą, no to ciebie chyba... stręczycielką”.

To trafiło w sedno. Odpowiedziała: Jako żywo, król Henryk źle zrobił, że rozwiązał klasztory w całej okolicy! Gdyby jeszcze były zakonnice w Minchin Court, córeczko, rychło znaleźlibyśmy tam dla ciebie celkę, byś miała gdzie się biczować i odpokutować swoją winę. Ale niestety! Cóż teraz matka może począć z córką nierządnicą? - sama się nad tym zastanów! Żaden dżentelmen z

taką się nie ożeni, a domowi i siostróm szkodzi taka w opinii. Marie, pograżyłaś nas wszystkich!”.

„Mówię ci, że nie utraciłam dziewictwa! - krzyknęłam w świętym oburzeniu. - Jeśli chcesz mi zadawać jeszcze inne zbędne pytania, gotowa jestem przysiąc na Pismo święte, po pierwsze, że żaden dżentelmen z szablą w ręku nie wyszedł z kościoła, póki ja byłam w środku; po drugie, że Zara kłamie, mówiąc, iż jakiś mężczyzna rzucał kamykami w nasze okno; po trzecie, że nie dostałam ani listu, ani innej wiadomości od kapitana Verneya, zanim wczoraj do nas przyszedł, i że ani słowa z nim nie zamieniłam, póki był w tym domu, prócz tego, co sama na własne uszy słyszałaś; po czwarte, że zerwałam się wcześniej i poszłam do kościoła tylko pod wpływem wewnętrznej skruchy, a nie z umowy z kapitanem Verneyem czy z kimkolwiek innym... Mogłabym tak wyliczać setkami moje racje z książki o Zuzannie z równą pewnością siebie, jak drwał Lukę wylicza swoje”.

Tu wybuchnęłam płaczem jak niemowlę i krzyknęłam: „Wierz mi, mateczko, to prawda, prawda, wierz mi, że cię nie okłamuję!”.

Matka poczuła litość i choć się domyślała, że coś przed nią kryję, jednak to przynajmniej wiedziała, że proboszcz nie miał racji, nazywając mnie ladaczną. Ucałowała mnie i pogłaskała po głowie, a potem - jakby nigdy nic - oświadczyła, że mam wrócić do moich zajęć. Obiecała też, że będzie się odnosić do mnie tak łaskawie i serdecznie jak dawniej i dodała, że chyba się języki wkrótce uspokoją. Otarłam więc łzy i nos, podziękowałam, jak przystoi, dygnęłam i wyszłam.

Jednakże chociaż matka dotrzymywała obietnicy i okazywała mi - przynajmniej na oczach ludzi - więcej czułości niż kiedykolwiek, spojrzenia służby domowej pouczyły mnie, że jestem wyrzucona poza nawias domowego życia. Gdy szłam ulicą, widziałam też po oczach mieszczan, że oszczerstwa przeciwko mnie krążą. Zapewne proboszcz, idąc do ojca na skargę, dodał sobie otuchy szczyptą mocnego trunku i naradą z dwoma lub trzema zaufanymi kompanami z parafii. Potem już nie było mowy o odwoływaniu tej opowieści, która się rozeszła tak szybko, jak biegnie ogień przez łąn jęczmienia. Mnie zaś nie o to chodziło, co o mnie mówią, bo czułam się tak bogata miłością Muna, że śmieszyły mnie te kwaśne miny i szeptane oszczerstwa: byłam jednak zmartwiona, że rodzice cierpią przez moją lekkomyślność.

W następną niedzielę całe miasteczko szło do kościoła, spodziewając się, że proboszcz odmówi mi komunii, gdy przyjdzie na mnie kolej; rozczarowali się tylko, bo proboszcz podał mi ją ruchem łaskawym; zauważyłam jednak jego niepokój.

Pewnego dnia w ostatnim tygodniu przed Bożym Narodzeniem James spotkał młodego pana Ropiera (tego właśnie, który się tak źle obszedł ze skrzypkami) wyjeżdżającego z bramy domu pana Timothy’ego Tyrrella, gdzie ostatnio gościł. James mu się grzecznie uklonił, a Ropier, ledwo zwalniając

kroku, powiedział szyderczo: „Podobno twoja matka co noc przykuwa twą gorącą siostrzyczkę do łóżka łańcuchem i kłódką”.

Rzekłszy to, pojechał dalej, ale James odwrócił swą klacz, ciął ją przez boki i doganiając młodego Ropiera, chwycił go za kołnierz i ściągnął z siodła na bitą drogę. Potem zaś, zsiadłszy z konia, podniósł go na nogi, trzepnął przez ucho i wrzasnął: „Teraz wyciągnij szablę, gburze, a ja wyciągnę swoją!”.

Jednakże nic z tego nie wynikło, bo gdy młody Ropier spostrzegł, że nie było świadka tej sceny, oświadczył, iż nie poniży się do pojedynku z wyrostkiem. Na takie dictum James kopnął go jako wstrętnego łotra i dał mu drugi policzek (który mu wyłamał ząb), a potem wsiadł na konia i odjechał. James był na tyle honorowy, że nikomu nie opowiedział tego zajścia prócz mnie jednej; a młody Ropier trzymał język za zębami ze wstydu.

Dla Anglii nie były to wesołe święta Bożego Narodzenia. Pogoda była burzliwa, śnieżna i mroźna. Zaraza, szalejąca w Londynie cały rok, teraz zabierała po dwieście do trzystu osób tygodniowo. Spór między królem Karolem a Parlamentem zaostrzył się tak dalece, że w dzień św. Szczepana doszło do rozlewu krwi na ulicach Westminsteru. Oficerowie królewscy wybiegli z gołymi szablami przeciw burzącym się mieszczanom i terminatorom w niebieskich fartuchach.

Dla mnie w szczególności święta zeszły smutno i ponuro. Udawałam wesołość, by okazać, że nie dbam o szeptki, spojrzenia i drobne zniewagi, ale nie mogły one ujść mojej uwagi, chyba żebym była głuchą i ślepą. Nie będę opowiadać szczegółów tych błahych ukłuc i docinków, bo moja dusza wzdraga się przed tego rodzaju podłością. Z tych jednak powodów żałowałam teraz, iż nie wymieniliśmy z Munem pamiątek. Przynajmniej miałabym w ręku jakiś dowód, że nasze miłosne rozmowy pod dzwonami nie były wytworem chorej wyobraźni.

Dręczyło mnie, że nie wiedziałam na pewno, gdzie się Mun obraca, czy jeszcze w Anglii, czy już za morzem w Irlandii. Ale wyczuwałam niejako w duszy, że jest jeszcze po naszej stronie. Okazało się to później prawdą, bo aż do samych świąt nie było sprzyjających wiatrów, więc utknął w Westchester i dopiero później popłynął ze swoją kompanią - i w sam dzień Nowego Roku 1642 dobił szczęśliwie do Dublina.

Rozdział dziewiąty

ROZMOWA O PANU MILTONIE

Nowy rok zaczął się nie mniej złowieszczo, niż stary rok się zakończył. Król jegomość zżymał się na Parlament, który wystąpił przeciwko dwunastu biskupom z zarzutem zdrady stanu i uwięził ich. Stali się więc towarzyszami niedoli arcybiskupa Lauda, który był już uwięziony od pewnego czasu. Tylko sześciu biskupów jeszcze chodziło wolno. Nie było między nimi naszego miejscowego biskupa Skinnera. Król jegomość zaś ustąpiłby chyba we wszystkim, tylko nie w sprawie pozbawienia jego biskupów doczesnej władzy. Na dwa dni przed szesnastą rocznicą moich urodzin, dnia czwartego stycznia 1642 roku, poniosła go pasja. Wkroczył do kaplicy Św. Stefana w czasie sesji Izby Gmin, wiodąc za sobą około czterystu zbrojnych, którzy mieli porwać pięciu posłów, a między nimi pana Johna Pyma, głowę Partii Krajowej, i dziedzica Johna Ilampdena, spokrewnionego z panem Johnem Pye'em, najbogatszym szlachcicem całej Anglii. Król nazwał ich zwyczajnie zdrajcami. Takie wkroczenie było pogwałceniem starodawnych przywilejów, a poza tym źle zostało przeprowadzone, bo posłowie dowiedzieli się zawczasu o królewskich zamierzeniach. Rozejrzawszy się po sali, król spostrzegł, że ptaszki wyfrunęły, jak to sam powiedział, i wycofał się, niezręcznie przeprasząc.

Były to gorące dni w oficynach drukarskich, jako że ostro wojowano słowem, a co się tyczy walki o biskupów, to mnożyły się coraz to nowe pamflety. Odkąd król stanął mocno przy dygnitarzach kościelnych, pole bitwy rozszerzyło się na drugi, szerszy teren, którego hasłem było: „Dwór czy kraj”, „Król czy Parlament”. Dotychczas jednak walka toczyła się otwarcie jedynie na gruncie węższym. Mój brat Richard przywiózł raz z Oksfordu zbiór pamfletów napisanych przez stronników króla o sprawach jurysdykcji kościelnej - siedem pamfletów zeszytych w jednej okładce i zatytułowanych: *Niektóre krótkie traktaty, napisane przez różnych uczonych, a dotyczące dawniejszego i nowoczesnego sposobu zarządzania Kościołem*. Wyznaję, że nie przeczytałam ich wówczas ani też później, ale spowodowały one moc ostrych utarczek u nas w domu, bowiem mój ojciec i Richard uważali pamflety za przekonujące - napisane były one zresztą z większym umiarem niż inne - i mówili, że trudno im się przeciwstawić. Wuj Jones jednak i proboszcz zarzucali tym pismom, że się skłaniają ku bałwochwalstwu; moja matka zaś uważała je - jak sama mówiła - za nie dość bałwochwalcze, by ją mogły zadowolić. Matka wyznawała protestantyzm zwykły, który uważała za złoty środek między papizmem a purytanizmem. Moultonowie i Archdale'owie porzucili wiarę papistów jedynie dlatego, że wyszła z mody (tak jak bulwiaste kapelusze i wielkie, krochmalone kryzy), ale w głębi duszy jeszcze się skłaniali w tę stronę.

Wreszcie pewnego styczniowego dnia wuj Jones, przyjechawszy do nas w odwiedzinie, rzucił cienki pamflecik na stół w sieni i tonem starego gracza zawołał: „To są tak mocne karty, że pobiją wszystkie wasze figury!”. Mój ojciec był wyjechał za interesami do Thame, więc poza Richardem nie było w domu żadnego mężczyzny oprócz pewnego chichotliwego i tłustego księżulka o powolnych ruchach. Nazywał się wielebny Robert Pory, a przywiózł go do nas Richard. Wuj ogłosił, że pamflet napisany jest językiem wprost anielskim i czytał nam z niego wyjątki swoim grzmiącym głosem. Tytuł brzmiał: *Dlaczego zarząd Kościoła nie potrzebuje prałatów*.

Autor argumentował na rzecz presbiteriańskiej dyscypliny w Kościele na wzór szkockiej i zwalczał twierdzenie, jakoby jedynie biskupi chronili Kościół przed schizmą, bo gdyby ich zabrakło, powstałaby ponoć niezliczona ilość niezależnych, heretyckich sekt. Autor twierdził, że jeśli biskupi istotnie oddalają niebezpieczeństwo schizmy, to jedynie dzięki otepiałej i paraliżującej głupocie duchowej, do jakiej ludzi doprowadzają. Równie dobrze mógłby śmiertelny paraliż się przechwalać, że chroni człowieka przed kolkami, cierpieniem, ranami i przykrym uczuciem zimna i gorąca. Utrzymywał też, że irlandzką rebelię przypisać trzeba biskupom, gdyż pozbawili oni wszelkiej pożytki duchowej rodowitych Irlandczyków, którzy zemścili się na angielskim cielem za zubożenie ich ducha.

Kiedy wuj przeczytał jedną czy dwie strony, Richard powiedział: „Ten styl wytworny i poetycki przewyższa zwykły poziom pamfletów. Autor sprawia wrażenie jubilera czy rytownika, który się wziął do odlewania spiżowego działa połowego i nie chce się wyrzec zbędnych ozdób na lufie”.

„Niemniej kule wystrzelone z tego ozdobnego działa są śmiertelne - rzekł wuj Jones. - Czytaj i przekonaj się, jaki wyłom robią w argumentacji biskupa Andrewesa i arcybiskupa Ushera z Armagh. Ktokolwiek odważy się na szermierkę słowną z tym młodzieńcem - bo sam podaje się za młodzieńca - ten dostanie ostrą replikę”.

Richard wziął książkę i zaczął czytać. Czytając nieraz kiwał głową w skupieniu. Podziękował wujowi i postanowił przestudiować pamflet tej nocy. Tymczasem wielebny Pory zerknął na nazwisko autora na karcie tytułowej i zawołał: „Ach, słowo daję, to nazwisko znam jak swoje własne! Kolegowaliśmy w St. Paul's School i razem poszliśmy do Christs College na uniwersytecie w Cambridge. Tam dzieliliśmy tę samą komnatę. Razem odbywaliśmy studia, a potem razem wstąpiliśmy na uniwersytet w Oksfordzie, aby również tam otrzymać stopnie uniwersyteckie. Od tego czasu nasze drogi się rozeszły. Tak, to będzie on. Zakładam się o dwadzieścia funtów do jednego złamanego miedziaka, że to właśnie on, John Milton.”

Wuj Jones był chciwy wszelkich wiadomości o owym panu Miltonie, jakich tylko wielebny Pory był w stanie udzielić.

Pan Pory jednak się wzdragał, mówiąc, że zna go za dobrze. Uważał, że przeżyć wspólnie piętnaście lat od dzieciństwa do wieku młodzieńczego, a

nigdy się nie pokłócić i nigdy nie nawiązać serdecznej przyjaźni, potem zaś, gdy się ich drogi rozchodziły, nie przeżywać żadnego smutku, nie pisywać listów ani się nie spodziewać listów od kolegi, nie próbować go odwiedzić w jego domu w Londynie (choć dzieli go ledwie parę ulic od jego własnego domu), a spotkawszy go kiedyś przypadkiem na ulicy przejść ograniczając się do grzecznego „dzień dobry” - to wszystko, mówił pan Pory, świadczy o takiej obojętności uczuć u tego człowieka, że on nie uważa się za uprawnionego do mówienia w szerszym gronie na temat pana Milтона. Jednakże przez grzeczność odpowie na każde postawione mu pytanie.

„Powiedz mi przede wszystkim - rzekł wuj Jones - czy jest on takim uczonym, jak to tutaj utrzymuje, czy też posługuje się wiadomościami innych?”

Pan Pory odpowiedział: „Nigdy nie wyściubił nosa spoza swoich książek przez cały czas naszej znajomości, chyba że się oddawał muzyce albo szermierce lub też dysputom w szkole. Nawet mając siedem lat zawsze wolał czytać książkę niż bawić się bąkiem lub toczyć kółko. W kolegium mógł przełknąć całą bibliotekę bez wysiłku, jak kot łyka dzieżkę mleka - chlip, chlip, chlip, chlip - odwracając kartki miarowo i bez przerwy. Język grecki, holenderski, hiszpański, hebrajski, francuski - dla niego wszystko było słodkim mlekiem”.

„Czy czytałeś, waszmość, jego wiersze? - zapytał wuj Jones. - W przedmowie do drugiej części pamfletu pisze, że dotychczas miał myśl skierowaną wyłącznie na wielką i potężną poezję i długo obmyślał szlachetną pieśń w angielskim języku ku chwale tej wyspy, pragnąc zapewne zostawić potomności rzecz na tyle dobrze napisaną, by nie poszła w zapomnienie. Jednakże uważa, że w obecnej udręce Kościoła byłoby tchórzostwem i niewdzięcznością nie powstać i nie zabrać głosu w obronie sprawy bożej i sprawy Kościoła przed zniewagami potwarców. Obecnie więc wyjdzie z miłego odosobnienia swej twórczości, by żeglować po wzburzonym morzu ochrypłych zatargów. Zarazem postanawia, że gdy ukończy tę podróż, a nasz kraj uwolniony zostanie od «natrętnego brzemienia wysokiego kleru, pod którego mroczną tyranią żaden wyzwolony i piękny umysł nie może się rozwinąć, wtedy on, John Milton, wróci do rozmowy ze swoją Muzą».”

„To jest John Milton w każdym calu - rzekł wielebny Pory. - Nie, ja przeczytałem zaledwie kilka jego wierszy. Pamiętam, że były jakieś dwa wiersze łacińskie, które wydał, będąc na uniwersytecie - pobożna elegia, w której żalśnie opłakuje śmierć dra Andrewesa, biskupa Winchesteru, tego samego człowieka, którego pracę teraz zbija bez żadnego szacunku, i druga na śmierć dra Feltona, biskupa Ely, w którego diecezji leży Cambridge. John bowiem był bojowym stronnikiem wysokiego kleru w owym czasie. Jeśli mnie pamięć nie myli, pisał on o nich obydwu, jakby szli wśród pól niebiańskich w śnieżnobiałych komzach i pozłacanych sandałach. Pamiętam też inny wyborny wiersz o spisku Guy Fawkesa, o tym, jak to sam szatan skusił spiskowców, aby podnieśli świętokradczą rękę przeciw królowi. Przeczytanie jego opisów

piekielnych okolic, gdzie buntownicy uknuli spisek, wystarczyło, aby zatrząść ludzkimi trzewiami. Pamiętam, że było w tym coś z Guillaume'a du Bartos. Ale z angielskich poematów Johna - pomijając jakieś drobnostki - widziałem tylko dwa”.

„Cóż to było takiego?”, zapytał wuj.

„Pierwszym z nich była *Oda o poranku Narodzenia Jezusowego* - powiedział pan Pory, powoli cedząc słowa. - Sam mi ją pokazał. I spodziewał się, jak myślę, że upadnę na twarz w podziwieniu dla jego dobroci, iż łaskawie dał właśnie mnie pierwszemu rzecz tę do czytania. Inkaust bowiem nie był jeszcze dobrze zasechł u dołu stronicy. Było to rzeczywiście bardzo gładko i pomysłowo napisane. Wydało mi się, że był to wariant wesołego pomysłu Francuza François Rabelais'go, który każe swojemu bohaterowi, ociężałowemu olbrzymowi, wylewać łzy wielkie jak piłki tenisowe na wieść o narodzeniu Zbawiciela. John przewertował był wszystkie legendy starożytności i pisma hebrajskie, żeby wydobyć stamtąd wielkich, ponurych bogów i kazać im podobnie płakać. Dla Johna jednak ich łzy nie były przedmiotem śmiechu jak dla tego błazna Rabelais'go. Kiedy, śmiejąc się, szczerze mu powiedziałem: «No, John, ładnie i pomysłowo ulepszyłeś wersję Rabelais'go o piłkach tenisowych* - tak się rozszłościł, że o mało nie zrobił piłki tenisowej ze mnie. Nawykliśmy jednak do unikania kłótni, więc przeprosiłem go, mówiąc, że nie chciałem go obrazić i że w ogóle nie jestem powołany do osądzania utworów poetyckich. Przebaczył mi, ale oświadczył: «Jeśli Rabelais skradł mi mój właściwy temat, korzystając z tego, że wcześniej się ode mnie urodził, i zbrukał go obrzydliwymi, francuskimi dodatkami, pachnącymi wygódką czy burdelem, to co mnie to obchodzi? Rabelais jest niczym i nienawidzę go. Żebyś więcej od ciebie nie słyszał o Rabelais'm!»”.

„No i co dalej?” - zapytał wuj Jones.

„Potem - odrzekł wielebny Pory, to chichocząc, to ziewając - potem chował swoje wiersze przede mną do kieszeni czy do szuflady i odkładał pióro, kiedy wchodziłem do pokoju. Jednakże widziałem jeszcze jedną rzecz, wydrukowaną mniej więcej trzy lata temu w książce pt. *Pienia żałobne*, którą wydał uniwersytet. Za naszych czasów w Christs College był niejaki Ned King, którego ojciec był ważną osobistością, jako że pełnił urząd sekretarza stanu dla spraw Irlandii w ciągu panowania trzech kolejnych królów. Z łaski samego króla Nedowi przyznano bursę, na którą - gdy tylko zawakowała - szykował się był John. Było to dla niego ciężką próbą, że młodzieniec pięć lat młodszy od niego i niedorównujący mu w naukach osiągnięciach z wyjątkiem tenisa i konnej jazdy zasiada wyżej od niego przy stole korporantów. Nie śmiem twierdzić, że John był zazdrosny. Kto uważa się, jak on, za co najmniej równego każdemu człowiekowi na świecie (czy to aktualnie, czy potencjalnie), nie może ulegać tak wstrętnej namiętności jak zazdrość. Ale łatwo można było poznać, gdzie kolec bodzie. Bursa w kolegium - dla takiego człowieka jak John - była drobnostką, zabawką, błyskotką, ale że mu odmówiono tej zabawki, po którą był wyciągnął

dumną rękę, to było dla niego nie do zniesienia. Przeciwno Nedowi King powstał bardzo sprośny pamflet, *Pasquinata*, napisany wierszem po łacinie. Znalaziono ten utwór przybity na drzwiach do mleczarni. Rzecz była tak cięta i zręcznie podana, że autorstwo nie ulegało żadnej wątpliwości, toteż korporanci z Partii Krajowej po cichu składali Johnowi powinszowania, gdyż nie mogli tego znieść, że Ned, chociaż uprzejmy i wdzięczny chłopak, był im jednak narzucony królewskim mandatem”.

Richard zapytał: „Jakże mógł ten pamflet być pieniem żalobnym?”.

„Poczekaj waść - rzekł pan Pory - musisz mnie wysłuchać do końca. Pienie żalobne zostało napisane po angielsku. Ów Ned, chociaż był zwinny tenisistą i świetnym myśliwym, nigdy nie nauczył się pływać. W czasie podróży do Dublina, kiedy żeglował po morzu gładkim jak tafla, na odległość strzału z łuku od walijskiego wybrzeża, okręt nagle uderzył o skałę i - wobec braku łodzi ratunkowych - Ned poszedł na dno razem z okrętem, klęcząc zamodlony na pokładzie. Potem uczczono jego pamięć książką, napisaną wierszem po łacinie, co po grecku i po angielsku przez tuzin, czy zgoła dwudziestu poetów z Cambridge, bo uznano go za ozdobę naszego kolegium. John Milton napisał po angielsku do tego dzieła elegię, która była zakończeniem owej pochwalnej litanii. Utwór ten wydał mi się wykwinny i zręczny. John tak dalece już zapomniał koledze ową przewinę, iż wyższe od niego zajmował miejsce i spijał jego burgunda, że opłakiwał go w swym wierszu nie mniej poważnie i żalobnie, niżby to czynił dla własnego brata lub dla któregoś z pomienionych biskupów - i umajał jego wawrzyny wszelkim rodzajem wdzięcznego kwiecica, ujętego w miódopłynne wiązanki. Zdaje mi się jednak, że pomimo wszystko nigdy nie zapomniał królowi jegomości owego nieszczęsnego mandatu. Nie chcę posądzać Johna, iż był królowi niewierny. Ale żeby król miał władzę wtrącania się do wyborów w kolegium i narzucał swego kandydata - tego mu nie mógł darować”.

„Wyznaję, że jestem po stronie pana Milтона w tym względzie”, zawołał wuj Jones.

Tak zachęcony, wielebny Pory ciągnął powolutku dalej: „Wydaje mi się, że dobrze rozumiem zawziętość Johna przeciwko biskupom. Tutorem naszym w kolegium był od samego początku pan William Chappell. Starł się z Johnem, nazywając go dumnym rebeliantem, kiedy John dowiódł cytatem omyłkę pana Chappella, który usiłował wykazać mu błąd w łacińskim wierszu. John na to przewanie «dumny rebeliant» nie dał repliki, tylko drwiąco i sarkastycznie zawołał: «Ha, ha!» Wtedy pan Chappell chwycił ferułę, którą nieraz bił młodszych uczniów, i byłby go pobił dotkliwie (choć to było wbrew prawom kolegium, bo John będąc dorosłym nie podlegał chłóście), gdyby mu John nie wyrwał feruły po pierwszym czy drugim uderzeniu...”.

Tu urwał, nieco zawstydzony, że rozpuścił język zbyt swobodnie, nadal sobie chichocząc. Richard jednak zachęcał go, aby mówił dalej: „Opowiadajże,

waszmość, i przedstawiaj wszystko jasno i bezstronnie, jak należy. Więc cóż tam było dalej?”.

„A więc - rzekł pan Pory - John został wydalony ze szkoły na jakiś czas, bo pan Chappell nie chciał już się nim zajmować, a bez tutora John nie mógł pozostawać w kolegium. Jednakże nie stracił ani jednego semestru; znaleziono szybko dla niego nowego preceptora, niejakiego pana Toveya, z którym się lepiej zgadzał. Potem arcybiskup Laud mianował pana Chappella rektorem Trinity College w Dublinie i biskupem w Ross - i on to stał się, jak wiecie, głównym narzędziem arcybiskupa w jego walce o narzucenie jednolitej liturgii irlandzkiemu Kościołowi. Ta właśnie nominacja, jak się zdaje, obaliła u Johna wszelki dotychczasowy szacunek dla wyższego kleru. Do tejże elegii na cześć Neda Kinga, którego nazwał Lycidasem, wśliznęły się nieco niestosowne, ukryte między wierszami, pogardliwe przycinki do biskupów, którzy sponiewierali pastorały i byli niewierni swym owieczkom. John bowiem przypuszczał, iż biskup z Ross przyczynił się do uzyskania bursy dla biednego Neda”.

Tu wuj Jones ośmielił się zganić pana Pory za niemiłosci-we przedstawienie owego Johna Milтона jako powodowanego niskimi pobudkami. Pan Pory oświadczył wtedy z naciskiem, że nie miał żadnych złych intencji, a do tej opowieści zmusił go Richard. Richard zaś wyśmiał ich obydwu i wyraził nadzieję, że ów pamflet, nazwany przez wuja anielskim, nie jest dziełem złośliwego diabełka, spragnionego zemsty na preceptorze, który go okładał kijem.

Ja milczałam w czasie tego opowiadania, zajęta szyciem przy kominku. Teraz odłożyłam robotę i - przepraszając, że się wtrącam - wystąpiłam w obronie pana Milтона, bo mi się nic podobały śmiechy i drwiny Richarda. Powiedziałam, że nie uważam wymienionej pobudki za niską, bo jeśli ktoś doświadczył szczególnej niesprawiedliwości, to słusznie wyciąga stąd morał, choć oczywiście powinien odróżniać narzędzie niesprawiedliwości od władzy, której podlega. Jeśli liczna grupa ludzi będzie ofiarą nadużyć i dozna krzywd ze strony dwudziestu czy trzydziestu biskupów, nauka moralna, jaką ludzie skąd wyciągną, będzie ta, że hierarchia jest złą formą zarządzania; i będzie to uzasadnione szeregiem skarg. Gdyby zaś nadużycia hierarchii były nieznaczne lub żadne, to żal ogólny do biskupów nie byłby tak ostry, jak to zewsząd teraz słychać. „Sama nie mam nic przeciw biskupom - rzekłam - ani przeciw królowi jegomości. Gdyby jednak jakiś biskup tu wszedł, krytykował tę moją robotę i dokuczał mi, i kłuł, i ciął nożyczkami, albo gdyby moja siostrzyczka, Betty, otrzymała na mocy królewskiego mandatu wyższe miejsce niż ja przy wspólnym stole i to najbliższe miejsce przy kominku, które mnie się należy - to niewątpliwie podzielałabym stanowisko pana

Milтона. Można sądzić innych tylko na podstawie własnego doświadczenia”.

Wielebny Pory podziękował mi za te słowa i zaczął teraz wychwalać przed wujem Jonesem żywość i zacięcie pana Milтона w dysputach. „Słyszałem go w

świetnej kondycji - powiedział - podczas uczty w auli kolegium, gdy miał lat dwadzieścia i został wybrany «ojcem», czyli zwierzchnikiem owego dnia. Wiódł filozoficzną dysputę o tym, że «oddawanie się od czasu do czasu sportowym ćwiczeniom nie kłóci się bynajmniej ze studiowaniem filozofii». Ale najpierw muszę wam jeszcze jedno opowiedzieć: Miał on twarz tak bladą i urodziwą i tak delikatne ręce, a przy tym ubierał się tak osobliwie, nosząc nowomodne suknie koloru pierwiosnka albo koloru nieba, aczkolwiek ze zwisającymi rękawami, i jedwabne pończochy, różowe lub karmazynowe (wbrew przepisom tak bardzo kochał się w swoich długich splotach, które przez cały czas studiów bez końca czesał grzebieniem z kości słoniowej, najpierw prawą ręką, potem lewą, że go przezwali «Dumą z Christs College»). Ten żart podjął on na owej uczcie i zwrócił go przeciw kolegom, pytając, jak dama może zostać ojcem? Bo mędrcy greccy utrzymywali, że kobieta zawsze pozostaje wierna swojej płci, chyba że ją zgwałcił bóg: wtedy zetknięcie z bóstwem zmieniało ją w mężczyznę; i tak samo mężczyzna pozostaje wierny swej płci, chyba iż nieszczęście chciało, iż zabił węża: wówczas dostaje się pod władzę zaklęcia mogącego (według Greków) zmienić mężczyznę w kobietę na jakiś czas, jak się to stało z poetą Tyrejaszem...”.

Kiedy wymówił słowo „Tyrejasz”, przerwałam mu. Poprosiłam, by mi określił kolor włosów owego Johna Milтона - czy były one jasnokasztanowate? a czy ciemnoszare? czy miał długi nos i długi podbródek i czy wymawiał mocno głoskę „r”?

„Ależ tak, to właśnie pan Milton! Skąd ta znajomość?”. „Nie znam go - odrzekłam, uśmiechając się. - Możesz waszmość wierzyć lub nie, ale wywnioskowałam jego obraz z opisu jego zachowania”. Wówczas ich pożegnałam, pozwalając im myśleć do woli nad tą zagadką.

Następne, co usłyszałam o panu Miltonie, to to, że wyszła rzecz zbijająca jego pamflet. Napisał ją - przy współpracy swego syna - biskup Hall z Exeter, wówczas uwięziony w Tower. Obydwaj wspólnymi siłami uderzali namiętnie, niby kowale bijący w ten sam żelazny łom na kowadle. Pana Milтона przezywali „karczemnym, ponurym, płaskim, ohydnym durniem” oraz „złośliwym wierszokletą”. Podkreślali, że został „wylany z uczelni w Cambridge do zapadłego przedmieścia Londynu, które od czasu jego przyjazdu cierpi od dwóch plag: od niego i od morowej zarazy”. Twierdzili też, iż całe dnie spędza on między domem gry a domem schadzek. Rzucali nawet oskarżenie (ale zaraz potem cofali je jako niezgodne z miłością bliźniego), że to przez zranioną ambicję pan Milton napada na biskupów, wiedząc, iż jego głowa nigdy nie dorosnie do mitry, i że pisze swe nieprzystojne i nędzne pamflety w nadziei pozyskania serca jakiejś bogatej wdówki, przeciwniczki hierarchii.

Richard powiedział, że taka słowna gra wojenna cieszy go jak każda inna gra; ale jeśli którakolwiek strona pragnie leczyć rany Kościoła tego rodzaju plastrami, to jest to driakiew nieskuteczna. Dodał jeszcze: Jednakże ręczę, że ten

twój pan Milton podniesie się znowu, choć teraz powalony, i przy najbliższej utarczce wyrzuci przez okno i biskupa, i jego syna”.

Zara, która była przy tym obecna, zapytała: „Bracie, czemu go nazywasz panem Miltonem naszej Marie?”.

Między Richardem a Zarą była taka sama przyjaźń, jaka łączyła Jamesa ze mną. Odpowiedział, że ja, jako dziewczyna, gorąco broniłam pamfletu pana Milтона przeciw oskarżeniom i rzęch ichmościów i to jest powodem jego zwrotu. Do tej chwili Zara nie wiedziała, że pan Tyrezjasz i pan Milton to jedna i ta sama osoba; teraz jej to powiedziałam, sama nie wiem dlaczego.

Na to otworzyła wielkie oczy i zawołała: „Aha, Marie, to ty modlisz się znowu przed tą samą figurą! Prawdę mówiąc, nigdy nie wierzyłam - mimo całego gadania w miasteczku - by twoje serce zwróciło się do kogo innego”. Potem, chroniąc się za Richardem, dodała: „Nigdy nie wierzyłam, że wyszłaś wówczas jak kot, by się zabawiać z kapitanem Verneyem tej nocy, co to kamyczkami rzucono w nasze okno. Nadto on jest szlachetny i porządny, by spojrzeć na taką zalotnicę jak ty”.

Opanowałam się i odparłam swobodnie: „Kochanie, nigdy nie pretendowałam do takich przywilejów. Zaiste, przypuszczam, zauważywszy oczko twoje i zalotne miny, jakie wtedy do niego stroiłaś - że go brały ciągoty i że to dla ciebie rzucał kamyczki w okno, a nie dla mnie. Co do moich uczuć względem pana Tyrezjasza czy Milтона, rób z tym, co ci się podoba, ty arogancka, smarkata, szczerbata i rozczochrana oślisko!” I wyszłam, zostawiając ich stojących w pokoju.

Ludziom się nieraz zdaje, że skojarzenie myśli czy wydarzeń trafia się przez ślepy przypadek i że jeśli, na przykład, dwie osoby na dwóch końcach długiego stołu razem zaczynają mówić (same nie wiedząc dlaczego) o kuzynie Tomie, o którym może nie mówiły i nie myślały od roku - to taki wypadek nic nie znaczy i można o nim tylko powiedzieć, że „tak się złożyło”. Ja jednak wierzę, że jest jakiś znak w tym skojarzeniu, że nieomylnie jest to zapowiedzią, iż w ciągu tygodnia lub dwóch najdalej przyjdą wiadomości od owego kuzyna Toma. Podobne przeczucia - wprost przesądne - miałam w wypadku Johna Milтона, który z powodu osobliwej natury swego serca i umysłu i z powodu owego zazdrosnego pragnienia, aby być Johnem Miltonem, a nikim innym - choćby nawet miał od tego umrzeć - był człowiekiem, który rzucał długi cień przed sobą. Wywnioskowałam, że teraz, gdy go już znam po imieniu, a nie z pseudonimu „Tyrezjasz”, spotkam go wkrótce i zapoznam się z nim samym.

Tymczasem miałam wciąż na myśli Muna i każdego dnia, ledwie się zbudziłam, powtarzałam sobie całą naszą rozmowę. Pewnego dnia jednak, gdy wzięłam swą welinową księgę, by w niej zapisać nasze słowa, tak jak mi się utrwały w głowie, uświadomiłam sobie, że uleciały mi one całkiem z pamięci. Było to tak, jakby oblicze człowieka umarłego, znalezionego w starej, ołowianej trumnie, nagle się rozsypało w proch, Itak że nic już nie pozostaje z jego rysów, tylko naga, trupia czaszka. Zdolałam jedynie uchwycić parę zwrotów i te

zanotowałem. Odtąd nawet w półśnie nie dostąpiłam widoku ani nie usłyszałam głosu Muna, a kiedy próbowałam wyczarować jego obraz wysiłkiem myśli, odtwarzałam tylko zamazaną i niejasną postać. Czasami podczas swoich zajęć lub konnych wycieczek z braćmi uderzały na mnie poty, wstawały przede mną mętne, przerażające wizje. Wiedziałam, że pochodzą one zza morza, z Irlandii. Często czułam głód i pragnienie, nawet po dobrym obiedzie. Kiedyś, gdy podano piątkowe danie ze śledzi, nic mogłam go przełknąć i zawołałam: „Na miłość boską! Znowu śledzie! Czy nie może być innej potrawy, tylko same śledzie?”. A wówczas pierwszy raz od dwóch tygodni podano nam śledzie, więc matka popatrzyła na mnie jak na wariatkę. Dowiedziałam się później, że to Mun cierpiał na przesyty śledzi, które - na zmianę z soloną wołowiną - stanowiły jedyne pożywienie w jego obozie. Kto nie przyzna, że to nadzwyczajne?

Pan Thomas Gardiner nic nie wiedział o skandalu rozpowiadany o Munie i o mnie, bo był w tym czasie w Covent Garden, w swoim domu. Pewnego dnia zjawił się w Covent Garden w interesach i wspomniawszy pobieżnie, iż ma wiadomości od Muna z Irlandii. Mun pisze do niego, że rebelianci, choć jest ich dziesięciu na każdego Anglika, nie śmia im wydać bitwy, lecz schronili się w warownych zamkach, z których robią wypadki, gdy Anglicy odstępują od murów, i wówczas wyrządzali im szkody. Mun pyta się w tym liście, czemu Parlament nie wysłał wojska do Irlandii. Gdyby wysłano dziesięć tysięcy ludzi, już na Nowy Rok rebelia byłaby stłumiona. Im dłużej zwleka Parlament, tym więcej tamci nabierają rezonu. Poza tym Parlament, powiada Mun, jest najgorszym w świecie płatnikiem. Żołnierze głośno sarkają, bo nie dostają żołdu ani żywności, a niezwykajni są żyć powietrzem jak kameleony; podają sobie z ust do ust hasło: „Jaka płaca, taka praca”. Niemniej jednak prosty żołnierz bije się dzielnie z wrogiem, tak barbarzyńskim, że nawet wśród pogan takiego chyba nie znajdziesz.

Pan Thomas wyglądał na bardzo zmartwionego tym listem, bo - jak mówił - to nie z winy stronnictwa, którego członkiem był jego ojciec, wojska w Irlandii były traktowane po macoszemu; to John Pym i jego przeklęta konfederacja nie chcą płacić królewskim oficerom w Irlandii ani uchwalić grubszych sum, by ściągnąć więcej żołnierza, chyba że król zrezygnuje na rzecz Parlamentu ze swojej odwiecznej władzy nad angielską siłą zbrojną. Bo Pym ze swoją juntą twierdzi, że gdyby zwołano pospolite ruszenie, by iść z odsieczą do Irlandii, to król najpierw by go użył przeciwko swobodom Anglików. Pan Thomas mówił, że nie brak posłów, którzy twierdzą, iż cała owa straszna rebelia i masakra zostały właśnie w tym celu wzniecone tajemnymi intrygami królowej. Kiedy król stał w Newmarket, posłano do niego hrabiego Pembroke'a, by go skłonił, o ile to możliwe, do przekazania Parlamentowi władzy nad siłą zbrojną, ale najjaśniejszy pan odrzekł jasno: „Nie, na Boga! Ani na godzinę!”.

Opowiedziawszy nam to wszystko, pan Thomas nagle rzekł krotoczwilnie: „Ręczę, że wiele młodych dam w Anglii oplakuje obecne przykre położenie kapitana Muna. Do tych to licznych piękności - nie wątpię - przesyła on listy

każdą pocztą. Słyszałem od mojej najdroższej Cary, że jej kuzynka, Doli Leke, do której pisuje listy najbardziej czułe, szykuje się do ślubu z nim, gdy tylko Mun powróci, choćby się nawet miał stać żebrakiem. Coś mi Cary wspominała, że Doli otrzymała od niego pukiel włosów i że wtedy serce jej trochę zadrżało (choć to grzech być przesadnym), bo wydało jej się to raczej legatem niżli pamiątką”.

Można sobie wyobrazić, jaki ogarnął mnie smutek, gdy to usłyszałam. Nie wiedziałam, co myśleć. Nie mogłam wątpić, że Mun mnie kocha, jak sam powiedział, ponad wszystkie żyjące kobiety. Dlatego też oświadczył, iż jemu i mnie nie potrzeba dowodów pamięci. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że kiedy leżeliśmy obok siebie w kościele owej nocy, złączeni byliśmy najwyższą miłością, jaka istnieje, miłością, która nazywa się platoniczną, a polega na złączeniu dwóch dusz w miłości piękna bez żadnej myśli o cielesnej rozkoszy. A jednak -zadawałam sobie pytanie - czyż nie jesteśmy również mężczyzną i kobietą? Czy szczerść wobec naszego śmiertelnego dała nie każe nam przewidzieć, że pokochamy się kiedyś w sposób zwykły, a nie na szczytach? Czy też mamy dopuścić między nami jedynie miłość tak eteryczną i zaświatową, że pozostawia ona Munowi swobodę pisania listów do wielu młodych niewiast, a nie do mnie, a nawet - jeśli wierzyć panu Thomasowi, który chyba mówi prawdę - do posyłania pukli włosów swojej kuzynce?

Było to zagadnienie zawile i kłopotliwe, którego nie umiałam rozwiązać, ani też nie mogłam prosić Muna, by je rozwiązał, skoro nie miałam bezpiecznego sposobu wysyłania do niego listów. Nie byłabym też wiedziała, jakimi słowami trzeba napisać taki list. Cechą szczególną naszej sytuacji było to, że im wyżej ceniłam jego miłość do mnie, a on moją do niego, tym bardziej zdawała się ona oderwana od wszelkich praktycznych i naturalnych konsekwencji. Wziąć ślub z Munem wobec wielebnego Luke'a Proctora - myślałam sobie - czy wobec jakiegokolwiek innego duchownego, byłoby wprost śmieszne, czułabym, że świętość naszej miłości jest skalana pobłogosławieniem naszego małżeńskiego związku. A jednak - czyż mogę spędzić życie w dziewictwie z tego powodu, że mężczyzna kocha mnie miłością zbyt doskonałą, by się ze mną ożenić?

Płakałam całą noc w tajemnicy, pogrążona w morzu wątpliwości; ranek nie przyniósł mi ani ulgi, ani żadnego światła.

Rozdział dziesiąty

ZGADZAM SIĘ NA ŚLUB

Moja przepowiednia czy przeczucie (o którym pisałam w ostatnim rozdziale), że skoro długi cień pana Milona przeciął moją ścieżkę, to niebawem ukaże się i on osobiście - sprawdziła się, i to w sposób zdumiewający. Pewnego ranka w pierwszym tygodniu maja, kiedy szłam po śniadaniu do mego pokoju, ojciec wbiegł za mną na górę, chwycił pod rękę i wprowadził do swojego gabinetu. Tam przybrał ton wesoły i, zamykając za sobą drzwi, powiada: „Drogie dziecko, zdaje mi się, że mam dla ciebie miłe wiadomości”.

„To rzeczywiście coś nowego, panie ojcze - odrzekłam - bo od szeregu tygodni niewiele dobrego słyszałam od ciebie i od wszystkich innych. Ciągle tylko rzeczy niezmiernie smutne”.

„To wielka prawda - rzekł z westchnieniem. - Teraz, gdy król jegomość wycofał się do Yorku i tam stawia czoło Parlamentowi i ściąga do siebie głównych panów i doradców z całego kraju, a królowa opuściła wyspę, aby szukać, jak mówią, pomocy u obcych sił zbrojnych - o, teraz wiele rzeczy dzieć się zacznie. Biedny nasz kraj! Wkrótce bracia rodzeni będą nastawać na siebie z kopiami i obnażonymi szablami tak zażarcie, jak gdyby byli Niemcami. Ponadto myślę, że zwalczające się stronnictwa, ponieważ są równe w sile i w zapale, wojować będą zażarcie i długo. W Oksfordzie przyrzekają królowi zwycięstwo w ciągu trzech tygodni, gdy raz już wyjdzie w pole, ale ja temu zaprzeczam. Południe i wschód, najbogatsze i najsilniejsze dzielnice królestwa, złączyły się przeciw królowi, który w tamtych okolicach nie może liczyć na wierność samej nawet szlachty. A Szkoci, chociaż głoszą, że są zadowoleni z warunków, jakie ostatnio otrzymali od króla, jednak są podstępni jak psy i patrzą tylko swojej korzyści. Przewiduję, że ktokolwiek weźmie górę, rządzić będzie krajem /rujnowanym. Tak samo wojny religijne w Europie zamieniły urodzajne księstwa w pustynie i zniszczyły całe królestwa”.

„Dalibóg, ojcze - rzekłam - po takim smutnym wstępie u lec liże się wreszcie dowiem owych miłych wiadomości”.

Zdawał się być zmieszany moją prośbą i zaczął coś mówić lic/ związku, ubolewając nad niepewnością czasów. „Zapewniam cię, droga córko, że chociaż twoja matka i ja mamy bardzo dobrą pozycję wśród okolicznej szlachty, bardzo trudno jest nam związać koniec z końcem przy tak licznej rodzinie, lak wysokich podatkach, tak obciążonym majątku i tak małych funduszach. Chcę ci przedstawić nasze położenie, skoro dojrzałaś już do tego, by zrozumieć i podzielić moje utrapienia. Wierz mi, już zupełnie nie wiem, gdzie mam szukać pieniędzy. Ten dwór ze wszystkimi przyległościami wzięłam od Broome'ów w długoletnią dzierżawę. Wkrótce potem zastawiłem go u pana George'a Fursmana (którego znasz) za 1000 funtów. Suma ta miała być spleacona w lecie

dwa lata temu. Ale nie zdołałem jej zebrać w porę, a ponieważ pan Fursman stawał się natrętny - czego zresztą należało oczekiwać od człowieka jego kondycji - zwróciłem się w tej ciężkiej potrzebie do poczciwego pana Roberta Pye'a, seniora, któremu już byłem winien 300 funtów. Pomógł mi i całkowicie spłacił mój dług u pana Fursmana. Tak to winien jestem panu Robertowi 1300 funtów z dodatkiem 100 funtów, które poprosił tytułem procentu. Odtąd on jest moim wierzycielem, a nie pan Fursman. Wolę zadłużyć się na dziesięć funtów u kogoś ze szlachty niż na pięć u prostaka”.

Ja też bym wołała - rzekłam - gdybym nie miała widoków na spłacenie któregośkolwiek z nich”.

„Parę lat temu - ciągnął dalej ojciec - zapożyczyłem się na 400 funtów u pana Edwarda Ashwortha z Wheatley. Jako zastaw przekazałem mu nasz dziedziczny grunt tam położony. Ponieważ zaś zapóźniłem się z wypłaceniem procentów, przed samym Bożym Narodzeniem - aby pan Ashworth nie mógł wejść w posiadanie gruntu i chat, do czego miał prawo - sprzedałem działkę lichej ziemi w Walii, którą odziedziczyłem i za którą uzyskałem 100 funtów. Zapożyczyłem się jeszcze na 300 funtów u mego kuzyna, pana Edwarda Powella, któremu w zamian poddzierżawiłem wziętą przeze mnie w dzierżawę na lat dwadzieścia jeden ziemię w Wheatley. Dzięki temu w styczniu tego roku zapłaciłem, co należy panu Ashworthowi, więc nie doszło do zabrania naszego gruntu. Nasze długi jednak, niestety, pozostają wciąż niespłacone”.

„Wszystko to, panie ojcze, jest dla mnie istotnie nowiną -rzekłam - ale bynajmniej nie dźwięczy ona radośnie”.

„Słuchaj mnie cierpliwie, dziecko - odparł. - Mamy nadzieję, twoja matka i ja, że przy pewnym szczęściu i pilnym staraniu jakoś jeszcze wypłyniemy. Twoi bracia to dobrzy chłopcy. Nie kosztują mnie tyle, ile inni synowie kosztują swoich ojców, którzy wyskrobują resztki z kieszeni, aby ich posłać na studia i zaopatrzyć na drogę w świat. Jednakże nie znasz jeszcze całej historii. Póki jej będziesz słuchać, masz tu różaną miętówkę... A więc był pewien stary, bardzo stary podleśniczy borów Shotover. Mieszkał on w Stanton St. John mniej więcej trzydzieści lat temu. Był papistą i (jak sam mówił) człowiekiem zbyt dumnym, by ugiąć kolano w zborze Remmona[13]. Odważył się powiedzieć proboszczowi w swoim kościele, że było weselej na świecie, kiedy duchownym nie wolno się było żenić, i że dzieci duchownych są bękartami w oczach bożych. Za słowami poszły i czyny, bo nie pojawił się w kościele przez trzy miesiące i został za to skazany na 60 funtów grzywny. Nawet wtedy nie poddał się i został skazany ponownie parę miesięcy później, na taką samą sumę. Było to dużą stratą dla dzierżawcy, którego dochody nie wynosiły więcej niż 20 funtów rocznie.

[13] Stary Testament, Księga II Królewska, Rozdz. V, w. 18.

Człowiek ów nazywał się Dick Mellon i miał syna, którego posłał na studia do Christ Church i który tam wykazał skłonności do nowej religii (co było tak sumo powodem niezgody między moim własnym ojcem a mną. Za to został przez ojca wydziedziczony. Wówczas syn przeniósł się do Londynu i - jak słyszałem - zaczął od tego, że pracował u złotnika. Później został pośrednikiem handlowym, a wreszcie skrybą. Wzbogacił się i żył statecznie. Był też muzykantem i ułożył madrygał, odśpiewany wobec królowej Elżbiety w tym samym roku, kiedy jego oporny ojciec spłacał swoją drugą karę”.

„Ale cóż ma ta kara czy ten madrygał wspólnego z tobą, panie ojcze, albo ze mną?” zapytałam.

„Nic - odpowiedział - ale słuchaj dalej. Ów skryba - muzykant, John Melton, żyje dotąd i jest nieszkodliwym, skromnym staruszkiem, mającym jeszcze spryt do podstępnych zabiegów. Jego ojciec, ten, co był skazany na grzywnę, podawał się za szlachcica, szafując dobrze znanym twierdzeniem, że Jego rodzina została zrujnowana podczas wojen Yorku i Lancasteru. Syn więc złożył podanie o herb do urzędu heraldycznego, który lekkomyślnie wyraził zgodę i przyznał mu srebrnego, dwugłowego orła na czerwonym tle. Jest to herb Mittonów, rodziny znanej w Shropshire i gdzie indziej. Meltonowie zaś - jak dobrze wiadomo - nigdy nie byli Mittonami, przynajmniej w ciągu ostatnich sześciu pokoleń, choć pisali się nieraz Mylton. Jednakże cech skrybów w Londynie ma dwugłowego orła i ten znak wisiał od dawna jako szyld nad sklepem Johna Meltona na Bread Street. Dlatego też ów Melton czuł niejaki do niego prawo. Mówię ci to wszystko szczerze - wiesz, że ja sam nigdy nie wziąłbym udziału w heraldycznym oszustwie. Faktem jest jednak, że urząd heraldyczny przyznał, czy potwierdził herb Mittonów synowi starego Dicka Meltona. Przeto jego wnuk (o którym chcę dziś z tobą pomówić) jest dżentelmenem co najmniej od jednej generacji, i to z uczciwej rodziny. W Stanton i w Beckley żyją Meltonowie, ludzie dzielni, mimo że dopiero początkujący w naukach, i z dobrą opinią, chociaż z pustą kieszenią”.

Postawiłam ojcu pytanie, które go zaskoczyło. Ono też skłoniło go do wyznań, od których - jak myślę - pragnął się powstrzymać: „Panie ojcze, czy masz jakieś zobowiązania wobec owej rodziny Meltonów czy Myltonów, czy też Mittonów, że mi ją tak serdecznie polecasz? Czy może winien jesteś któremuś z nich pieniądze?”.

Westchnął głęboko i rzekł: „Drogie dziecko, wydobyłaś ze mnie to wyznanie - tak właśnie rzecz się ma. Stary Dick Melton przed śmiercią zapisał niektóre chaty w Wheatley wnukowi, pomijając syna, skrybę, aby dać wyraz swemu wciąż niewygasłemu niezadowoleniu ze zmiany wyznania. Wnuk ten, też imieniem John, studiujący w Cambridge, lecz zamieszkały w Horton, w Buckinghamshire, sprzedał mi owe chaty wraz z działką ziemi przylegającą do mojego gruntu; cały ów majątek dałem później w zastaw, jak już wiesz, panu Ashworthowi, ale z powrotem go odzyskałem. Wnuk Meltona żądał za tę własność 312 funtów, których ja - jak mu to jasno powiedziałem - nie mogłem

zapłacić od razu... Cóż, moje dziecko, skoro - jak widzę - połknęłaś już swój cukierek, nie będę cię nużył szczegółową relacją o całej tej transakcji. Powiem krótko: ponieważ nigdy nie spłaciłem owemu wnukowi 312 funtów, obecnie jestem mu winien 500 funtów, co jest sumą i wielką, i prawnie zastrzeżoną. Inaczej mówiąc, jego należność przewyższa wszystkie inne długi ciężące na mojej ziemi i innych dobrach, tak że ma on prawo, kiedy zechce, wejść w posiadanie moich domów i gruntów do chwili, kiedy spłacę dług w monecie królewskiej. Ten kwit długo spoczywał cierpliwie w jego kieszeni, ale każdej chwili może się zbudzić i pójść w obieg”.

„To był bardzo niezręczny interes - rzekłam, chwytając oddech - tym bardziej że wszystkie inne twoje grunta były już oddane w zastaw innym panom”.

Opuścił głowę i mruknął: „Najgorsze jednak jest to, że nic nie wspomniałem o tej sprawie panu Robertowi Pye’owi, kiedy poszedłem do niego po pomoc, bo inaczej nie byłby tak chętnie jej udzielił”.

„Panie ojcze - rzekłam trochę cierpko - ufam, że teraz wyłonią się te miłe i pożądane wieści, tak jak w owej baśni nadzieja z puszki Pandory wyłoniła się na końcu, kiedy już wszystkie uskrzydłone niedole wyfrunęły i pokąsały ją do nieprzytomności”.

Gdy mi się to wyrwało, natychmiast pożałowałam swych słów, bo widziałam, że był bliski płaczu. Wzięłam go za rękę, pogłaskałam ją i rzekłam: „No, dalej, ojczulku, wyrzuć resztę, powiedz mi jeszcze najgorsze! Domyślam się, że masz desperacki pomysł wydania mnie za mąż za pana Johna Meltona, juniora, niby ów ojciec w Moskwie, co wyrzucił swoje dziecko z sań, aby opóźnić sforę goniących go wilków. Czy wiadomość ta jest miła dlatego tylko, że moja matka nie będzie oponowała, o ile pan Milton złapie się na przynętę?”.

„On jest bardzo przyzwoitym dżentelmenem - rzekł mój biedny ojciec, mówiąc szybko, zniżonym głosem, jak uczeń wypowiadający lekcję z pamięci - z niewielkim, ale dostatecznym majątkiem i był ozdobą uczelni dzięki swej wymowie. A teraz szeroko o nim mówią w Londynie jako o pisarzu. Sam czytałem jego komedię, napisaną dla pana hrabiego Bridgewater, prezydenta Walii. Odegrano ją w zamku Ludlow

I szlachta całego Shropshire zachwycała się tym przedstawieniem. Co do jego pism prozą - których jest cztery albo pięć - na temat hierarchii, wyznaję, że nie podzielałam jego sposobu widzenia, ale są to rzeczy cięte i pisane świetną angielszczyzną. Twój wuj, Jones, stawia go bardzo wysoko. Nawiasem mówiąc, nigdy nie nazywaj go, w jego obecności, panem Miltonem, bo na tym punkcie jest wrażliwy i uczulony”.

„Powiedz mi, ojcze - rzekłam - czy to ja, będąc kobietą, mam się starać o tego pana Milтона? Słyszałam już coś niecoś o nim od jego kolegi z Cambridge, walebnego Roberta Pory”.

„Posłuchaj mnie, wdzięczna dziewczeczko - odrzekł z uśmiechem - nie posądzaj mnie o podstęp lub złośliwość. John Milton szczerze cię kocha i

przyszedł do mnie tak uczciwie, jak w Piśmie świętym Jakub do Labana, by prosić o twoją rękę”.

Jakże ten człowiek może mnie kochać, skoro nie zna nawet mojego imienia?”

„To łatwo wytłumaczyć - odpowiedział. - Tydzień czy dwa tygodnie temu wuj Jones pojechał do Londynu, by panu Miltonowi wyrazić swój podziw z powodu małej książeczki, którą i ty widziałaś. Zastał go w jego wygodnym domu przy ulicy Aldersgate i odniósł z tego spotkania bardzo przyjemne wrażenie. Opowiedział mu o dyspucie, jaka powstała w domu brata jego żony, szlachcica, pana Powella, między jego siostrzenicą, Marie, a siostrzeńcem, Richardem; Richard wydrwiwał tę książkę, a ona jej broniła. Wtedy pan Milton, który na początku był nieco bezceremonialny i niedbały wobec wuja Jonesa, nagle zapytał z wielkim zaciekawieniem: «Czy pan mówi o Marie Powell z Forest Hill, dziewczynie znanej ze swoich wspaniałych włosów?». Wuj przyznał, że właśnie o tobie mowa. Na gorącą prośbę pana Milтона szeroko rozpowiadał mu o tobie i wychwalał cię. Wiedział od twojej siostry, Zary, że czytałaś poemat pana Milтона i mówiłaś o nim z uwielbieniem swemu bratu, Jamesowi, który zlekceważył ten utwór. Co to był za poemat?”

„To była właśnie ta komedia grana w Ludlow - odrzekłam.

- Nie podobał mi się sąd Jamesa, bo był surowy”.

Ja uważam to za rzecz piękną, bardzo piękną - mówił ojciec. - Ale mówmy do rzeczy: pan Milton, słysząc, że podziwiałaś jego poemat, kiwnął głową raz i drugi i zawołał głośno: «Czy to nie nadzwyczajne? Czy to nie nadzwyczajne?». Oświadczył wujowi Jonesowi, że dowiedział się dostatecznie wiele i chciałby jeszcze tylko zapytać, czy już obiecano komuś twoją rękę? Wuj Jones odpowiedział, że o ile mu wiadomo, to nie, ale że twoja matka i ja martwimy się bezsensownym oskarżeniem przeciw tobie (pochodzącym zapewne od boga - tego młodzieńca, któremu dałaś rekuzę, gdy ci wyznał swą miłość), on jednak sam mógłby ręczyć za twoje dziewictwo, hm Milton zaśmiał się krótko i powiada: «Biskup Hall i ten żak, jego syn, rzucili podobne oskarżenie na mnie i rozpowszechnili je drukiem. Ale to jest strzelanie śrutem przeciwko warowni, bo mój uczciwy sposób życia jest powszechnie znany, a jako mężczyzna mogę bronić swej czci szablą, gdy zajdzie potrzeba, albo piórem, jeśli ono może zadać głębszą ranę niż szabla. Ale dla dziewczyny to ciężkie przeżycie, gdy Jest tak obrzucana błotem, więc bardzo jej współczuję”.

Zapytałam: „Czy w takim razie pan Milton pamiętał mnie od owego dnia, dawno temu, gdy mnie widział ze starą lady Gardiner w Woodstock Town End, a potem jeszcze raz, gdy rozmawiałam z królową w Enstone, tam gdzie iskrzyły się fontanny?”.

„Właśnie to mi powiedział wczoraj w domu twego wuja Jonesa w Sandford, gdzie mieliśmy umówione spotkanie - rzekł ojciec. - Powiedział, że słyszał twe nazwisko z twoich własnych ust, kiedy śmiało je wymieniłaś wobec królowej, a

potem natychmiast zarzuciłaś francuski i wróciłaś do ojczystego języka, oświadczając, że pochodzisz od dawnych książąt walijskich”.

„O tym szczególnie zapomniałam!”

„Ale on nie zapomniał. Ani nie zapomniał o twoim zachowaniu pełnym szacunku, a jednak swobodnym wobec jej królewskiej mości. Powiada, że wtedy tak rozgorzało jego serce, iż postanowił - gdy dojrzejesz do małżeństwa - odszukać cię i pojąć za żonę. W tym celu jechał za twoim powozem od samego Enstone i obserwował, przed którym domem wysiądziesz, a później dowiadywał się u oberżysty, czyj to jest dom”.

„To jest niezwykle zbieg okoliczności - rzekłam - i nie wiem, jaką mam dać odpowiedź. Mówiąc prawdę, czuję się pochlebiona, że dżentelmen tak świątły zwrócił w moją stronę i umysł, i serce, chcąc mnie pojąć za żonę: nic nie mogę zarzucić jego osobie, jak ją sobie przypominam. Ale czy nie uważasz mnie, panie ojcze, za zbyt młodą do małżeństwa? Czy to dobrze, by kobieta rodziła dzieci, kiedy jeszcze ma kości niedojrzałe?”

„Ale, Marie, przecież szesnaste urodziny już masz za sobą!

- powiedział. - Moja matka już była urodziła i pochowała dwoje dzieci, kiedy doszła do twoich lat”.

„Ach, biedaczka! - zawołałam. - I umarła w czasie połogu przy piątym dziecku, nie mając nawet dwudziestu lat. Śmiem twierdzić, że nie miała szczęśliwego życia”.

„Twój dziadek uwielbiał ją”, rzekł ojciec.

„Tak by się zdawało, panie ojcze - odpowiedziałam - jeżeli robienie z nią wciąż dzieci można uważać za dowód uwielbienia. Jednakże pan Milton może traktowałby mnie grzecznie, gdybym pragnęła wstrzymać na czas krótki dopełnienie małżeństwa”.

„Ale poza tym zgadzasz się na nie?”, zapytał rozpromieniony.

„Cóż mogłabym uczynić innego, panie ojcze? - odrzekłam. - Widzę, że twoje interesy są trudne, niemal oplakane, więc jeśli mogę wybawić z kłopotu tych, których kocham, jest moją powinnością oddać nawet życie jako okup. Nie jestem niewdzięcznym dzieckiem. W wypadku kłamliwego doniesienia złożonego na mnie przez proboszcza, potraktowałaś mnie łaskawie i nigdy nie usłyszałam wymówki za moją nieostrożność, która się stała powodem owej plotki. Ani nie zmieniłaś się w stosunku do mnie, choć na skutek złośliwości mych wrogów imię moje było szargane. Dobrze, dobrze, uczynię, czego sobie życzysz, i to z radością. Nie mogę postanowić, że będę pana Milтона kochała, bo miłość wymaga wzajemności uczuć, a tego nakazać nie można; ale jeśli się będzie do mnie odnosił dobrze, to tak samo ja się odniosę do niego.

Zdaje się, że dość dużo jego utworów czytałam, by wiedzieć, jakim jest człowiekiem, i wierzę, iż możemy się dopasować do siebie, jako umysły dumne, miłujące wolność, niezdolną do fałszywej uległości. Zawrzyj z nim najlepszą, jak tylko umiesz, transakcję ślubną (jak uczynił Laban z Jakubem), tylko nie mów mi, na czym stanęło. Nie dbam o pieniądze i sprawy swoje powierzam

tobie całkowicie. Jedyne warunek, jaki śmiem postawić, to, by nasza służąca, Trunco, jechała ze mną. Nie mogę przypuścić, byście mi tego odmówili”.

Serdecznie mi podziękował i zawołał, że ma naprawdę dobre dzieci. Upewnił mnie, że Trunco pozostanie ze mną na dobre i złe chwile. Wówczas zapytałam: „Kiedy mam poznać mego męża?”.

Jeszcze dziś po południu, jeśli chcesz”, odpowiedział.

„Byłabym bardzo rada, bo właśnie dziś po południu matka zamierzała mi puścić kwartę krwi i dać mocny środek czyszczący dla wyleczenia - jak powiada - mego złego humoru. Może teraz będzie mi darowane”.

„Moja w tym głowa, by tak się stało - rzekł. - A popatrz, tu jest dar od wuja Jonesa: nowy pamflet pióra pana Milтона, zdaniem wuja, bardzo piękny”.

Wychodząc z gabinetu mego ojca, uczułam jakby zawrót głowy i siadłam na skrzyni stojącej przy ścianie. Tak siedząc, zastanowiłam się nagle, jaki to obcy duch ze mnie przemówił, żeby ojcu dać taką odpowiedź! Zdało mi się, że to ktoś rzucił na mnie urok i zmusił mnie do zaprzędania swego ciała i duszy, a za ten cyrograf żadnej nagrody nie dał. Rzuciłam książkę, którą trzymałam w ręku, i wstałam ze skrzyni, kierując się w stronę gabinetu. Chciałam ojcu powiedzieć, że mówiłam zbyt pochopnie, bezmyślnie i niemądrze; że kocham innego i jemu dochowam wierności; że wzięłam w obronę książki pana Milтона nie z czułego dla niego podziwu, lecz tylko dlatego, iż w dyspucie chciałam sprzeciwić się braciom; że, krótko mówiąc, czuję raczej niechęć niż pociąg ku małżonkowi, którego mi rają, i że muszą się znaleźć stosowniejsze środki na spłacenie starych długów, a nie wydanie mnie wierzytelom modłą Turków czy innych bisurmanów, którzy tak właśnie z kobietami czynią.

A przecież nie znalazłam w sobie serca, aby ojca, biednego rozbitka, pozbawiać tej ostatniej deski ratunku, której się uchwycił, aby ocalić swą nieszczęsną głowę od topieli. Wspomniałam też sobie ową Doli Leke i ten kosmyk włosów, który dostała od Muna. Wzruszyłam ramionami i wróciłam do skrzyni, a na dworze rozległy się kościelne dzwony na takie czy inne święto.

Nagle nadeszła Trunco, wołając, że pani matka poszukuje mnie wszędzie. Jestem, kochana Trunco - rzekłam - i pójdę teraz do niej. Ale nikt nie będzie mną tu rozporządzał dłużej niż parę tygodni”.

Trunco podniosła ręce, wołając: „Ojej, panienko! Straszno mi! Czy panienka chora? Powiadasz: Nie zostanę dłużej niż parę tygodni. Czyż nie żal tak mówić, kiedy tyle pięknych kwiatów zakwitło?”.

„Ach, wiosenne kwiaty, wiosenne kwiaty! - krzyknęłam. - Niech Bóg wybawi od zawodnych pierwiosnków, kluczyków, kaczeńców i fiołków! I oby te dwa kościelne dzwony ucichły na wieki! Tak głupio wydzwanianą wciąż: Ja i ty, ja i ty!”

„Powiedz swojej Trunco, co ci dolega”, prosiła.

„Nic takiego, kochany smoluchu - odrzekłam - jedynie to, że mam niedługo poślubić pana Johna Milтона z Cambridge i z Londynu, szlachcica i poetę, ale to jeszcze tajemnica, więc zrób to dla mnie i nic nie mów”.

„Nie znam tego pana - zawołała Trunco. - Nigdy nie mówiłaś, że zamieniłaś choć jedno słowo z jakimś panem Miltonem”.

„Bo też nie zamieniłam - powiedziałam. - Niemniej wyjść za niego muszę”.

Widziała, że nie mam ochoty do dalszej rozmowy. Zaczęła głośno płakać i zawodzić na myśl o moim wyjeździe. Powiedziałam jej, że po ślubie wyjedzie razem ze mną, bo tak załatwiłam sprawę z ojcem. Wtedy otarła łzy i błogosławiła ten dzień. Życzyła mi szczęścia, największego w świecie, i zaczęła wyłamywać sobie palce z radości, co mnie zawsze drażniło, więc rzekłam jej, że jeśli będzie tak robić, to nie wezmę jej ze sobą. Potem wstałam i poszłam szukać matki, która wciągnęli inni zaraz do swego pokoju i zaczęła się rozwodzić powianie i przesadnie nad wstydem i kłopotami, jakie wynikają z plotek rozsiewanych o mnie przez naszych wrogów. Zapytali mnie, czy gotowa jestem na to, aby poddać się jej kierownictwu i przy jej pomocy odkupić swą winę.

Cicho się zaśmiałam i wyraziłam nadzieję, że chyba jej nie /martwi wiadomość o mej rozmowie z ojcem, który, choć przybrał tę sprawę w inną szatę, mówił mi o niej przed chwilą) w tym samym duchu, przynaglając mnie, bym poślubiła niejakiego pana Milona.

Zaskoczyło ją to, gdyż ojciec nie miał, zdaje się, mówić ze mną o tej sprawie, zanim matka jej nie zagai. I z tego wpadła w wielką złość. Uspokołam ją szybko, zapewniając, że ojciec wyłożył mi rzecz jasno i dyskretnie i jestem gotowa poddać się jego woli.

„No, córeczko - rzekła - nigdy nie myślałam, że wymowa ojca tak prędko cię przekona. Jakich użył argumentów? Dziecko winno posłuszeństwo rodzicowi, ale słowo daję, że będąc w twojej skórze, nie poddałabym się tak szybko. A może użył podstępu? Czy ci zachwalał pana Milona jako człowieka o wielkim majątku i urodzeniu i broniącego słusznych przekonań religijnych i politycznych? Czy tak? Czy ci obiecał bogaty związek?”

„Nie, pani matko - odrzekłam. - Określił mi pochodzenie pana Milona krótko, ale wystarczająco. Obiecał mi skromne wygody w domu londyńskim przy ulicy Aldersgate. Wszystkie pochwały pism pana Milona podawał nie od siebie. Ale rzekł krótko i węzłowato, że poślubić go muszę, aby odpędzić wierzycieli od naszych drzwi. Wyglądał tak żałośnie, że obiecałam spełnić obowiązek córki, byle tylko się nie rozpłakał. Jedynie to sobie zastrzegłam, że Trunco pojedzie ze mną. Bez niej byłabym samotna, a gdyby działa się źle, ona stanie przy mnie”.

Matka poklepała mnie po ramieniu mówiąc: Jesteś dziewczyną roztrofną i rozumiesz, co jest korzystne dla nas wszystkich. Nie znam tego człowieka, ale twój narwany wuj Jones wystawia mu dobre świadectwo. Nie wątpię, że spłodzi z tobą zdrowe dzieci, będzie cię wiernie kochał i zdaje mi się, że obrotniejszy będzie w interesach aniżeli twój biedny ojciec. Nie skrywam swego rozczarowania, bo związek jest marny, ale to twoja wina, że zepsułaś ciasto jeszcze w piecu. Musisz jeść chleb, który upiekłaś, chociaż nie jest najbielszy.”

„Pani matko, a Trunco?”, zapytałam.

„Owszem, owszem, ten bagaż możesz wziąć ze sobą”, odpowiedziała.

Młodszemu memu rodzeństwu o tych zamysłach nic nie wspomniano. Jeszcze tego dnia pojechałam z matką powozem do Sandford; ojciec i mój brat, James, jechali konno przed nami. Ciotka Jones przyjęła nas w maleńkim domku, mizernie opatrzonym, nawet bez ognia na kominku. Powiedziała, że wuj i pan Milton jeszcze nie wrócili z kamieniołomów w Headington, dokąd pojechali, aby się przyjrzeć jakimś wielkim kościom, znalezionym tam przez kamieniarzy. Czekając na nich, odczytywałam sobie nową książkę pana Milтона, nad którą już spędziłam część ranka. Znalazłam ustęp sławiący męską czystość, gdzie było napisane, iż Jeśli nieczystość jest u kobiety wstydem i plamą na czci, to bez wątplenia u mężczyzny musi być jeszcze większym skalaniem i zhańbieniem”. Z tego musiałam wnioskować, że on sam jest ową szczególną istotą - dziewiczo czystym mężczyzną w wieku lat trzydziestu czterech. I drugi ustęp znalazłam, dający replikę urąganiu biskupa Halla i jego syna, że on, Milton, pragnie piórem pozyskać sobie bogatą wdowę. Odpowiadając, autor stwierdzał, że ten, kto napisał takie oszczerstwo, mniej ma zdolności wróżbiarskich niż pierwsza lepsza Cyganka: „Bo tyle tylko mogę mu powiedzieć - pisał - choć utracę tym samym «moje bogate nadzieje», jak on je nazywa, że jestem po stronie tych, którzy - tak z przeczności, jak i ze szlachectwa ducha - prędzej by wybrali dziewicę niezamożną a uczciwą niż najbogatszą wdowę”.

Wiele jeszcze było takich skromnych dowodów wysokiego mniemania o sobie, dołączonych do głównego tematu pamfletu, którym było ubliżanie przeciwnikom, sławienie Parlamentu, narzekanie na suchą, jałową, zadufaną w sobie angielską liturgię będącą wówczas w użyciu, i ogólne potępienie kleru za ciemnotę i niechlujstwo. Trafiłam też na taki passus: „O tym, gdzie spędzam ranki, ów człowiek nic nie wie. Przebywam tam, gdzie należy, czyli w domu, i spędzam czas nie na drzemce ani wśród wspomnień obfitej uczy, ale w ciągłym ruchu i działaniu. Zimą jestem często na nogach, zanim głos pierwszego dzwonu zbudzi ludzi do pracy albo do modlitwy, latem - równo z pierwszym zbudzonym ptakiem lub rychło po nim”.

To dobrze - pomyślałam sobie - bo nienawidzę wstawać pierwsza. Ciekawam, czy będzie dość dobrym mężem, by w zimie podać mi kubek ciepłego mleka z cukrem i cynamonem, abym nabrała chęci do wstania po nim?

„...czytając dobrych autorów lub dając ich innym do czytania aż do znudzenia...”

Odczytując głośno ten ustęp obecnym, spytałam ojca: „Panie ojcze, cóż to znaczy? Co za mnisze zwyczaje ma ten mój przyszły mąż? Czy mam wstawać, gdy kur zapieje, by mu odczytać przy pulpicie święty żywot na dany dzień?”

Matka przerwała mi: „Czy cię twój ojciec nie uprzedził, że ten konkurent jest belfrem albo, jeśli wolisz, bakałarzem? On ma dwóch siostrzeńców i, zdaje się, jeszcze jednego czy dwóch urwisów, których uczy. Bez wątplenia to oni mu na głos czytają, ćwicząc się w nauce”.

„Uspokoilaś mnie, pani matko - rzekłam. - Nie cierpię dobrych autorów na czczo, a złych jeszcze mniej”. I czytałam im dalej głośno:

„...a potem pożytecznym i szlachetnym wysiłkiem utrzymując swe ciało w zdrowiu i prężności, by poddać się wymogom religii i wolności ojczyzny, kiedy potrzeba będzie niezachwianych serc w zdrowych ciałach, umiejących wytrwać i obronić swe stanowiska...”

„Pan Milton - rzekłam - tak pisze, jak gdyby się ćwiczył w sztuce wojennej”.

„To by mnie nie dziwiło - powiedział mój ojciec. - Tam jest plac ćwiczeń artylerii, tuż koło jego domu. Oficerowie ćwiczebnych oddziałów codziennie doskonali obywateli w żołnierskiej postawie i w różnych ćwiczeniach kompanii”.

„Przekłete łotry! - zawołała moja matka. - Oni raczej by wystrzelili ze swoich pistoletów w oficerów królewskich niż w irlandzkich pogan”.

Ciotka właśnie chciała ostro odpowiedzieć, kiedy usłyszeliśmy odgłos kopyt na ulicy i ojciec, spojrzawszy przez okno, rzekł: „Moja droga, oto idzie twój przyszły mąż. Przyjmij moją rękę: mów mało i słuchaj uważnie”.

Rozdział jedenasty

KONKURY PANA MILTONA

Wuj wszedł do domu, powitał towarzystwo i przedstawił pana Milтона. Jego strój i tym razem był dobrze skrojony, lecz nieco ciemniejszy niż ten, którym był dawniej odziany. Był tym samym człowiekiem postawnym i krzepkim, tylko oczy

I włosy straciły nieco ze swego młodzieńczego połysku. Przywitał towarzystwo uprzejmym ukłonem i ucałował dłoń mojej matki, ale nie ucałował mojej, gdy mnie ojciec przedstawił, jeno spojrział na mnie bystro. Chciałam i ja na niego spojrzeć śmiało, ale gwoli dobrem obyczajom spuściłam wzrok, a on zwrócił się do mnie ze słowami: „Panno Marie Powell, jestem rad ujrzeć cię znowu i mam nadzieję, że teraz będziemy mogli zapoznać się bliżej”.

Wstrzymałam ciętą odpowiedź, jaką już miałam na języku,

I zadowoliliam się oddaniem mu milcząco grzecznego ukłonu. Na to nie odpowiedział już ukłonem, ale nagle odwrócił się do mego ojca, jak gdyby przestał o mnie myśleć, pragnąc całkowicie się zająć innymi sprawami. Powiedział: „Pan Jones i ja prowadziliśmy pewną dysputę, którą - jak ufam - zechcesz waszmość rozstrzygnąć jako arbiter. Chodzi o ten tu kamień, ukształtowany jak muszla, wydobyty z kamieniołomów w Headington, dokąd pojechaliliśmy dziś po południu i gdzie, jak mówią robotnicy, podobne do tego fossilia[14] trafiają się często. Pan Jones jest zdania, że jest to prawdziwa muszla, przyniesiona tu przez wody za czasów patriarchy Noego, która napełniła się kamienistymi sokami ziemi i z czasem stała się sama kamieniem. Ja, przeciwnie, utrzymuję, że ten kamień, a tak samo inne, podobne mu, które widziałem - w kształcie muszli, ostryg, sercówek, jeżowców - nie są i nigdy nie były muszlami (jak on twierdzi), ale są lapides sui generis[15], kamieniami naturalnie ukształtowanymi przez nadzwyczajne moce plastyczne drzemiące w ziemi tych kamieniołomów, gdzie je znaleziono, i świadomie naśladowujące żywe istoty stworzone przez samego Boga”.

Wuj Jones wsadził swoje trzy grosze: „Obawiam się, że waszmość nie znajdziesz w Piśmie świętym nic na poparcie swego pomysłu, lecz dziwnego twierdzenia, które jest tak wyjątkowe, że gdyby odpowiadało prawdzie, to jakiś kącik czy szczelinka na umieszczenie go powinny się być znaleźć w opowiadaniu Mojżesza o stworzeniu świata albo przynajmniej w opowiadaniu któregoś z pomniejszych proroków w ich natchnionych pismach.

[14] skamieliny (łac.)

[15] kamieniami szczególnego rodzaju (łac.)

Że Bóg stworzył świat i że to On stworzył ukształtowane we wnętrzu ziemi klejnoty, że On stworzył wszystko, co żyje i pełza, i rośnie, i że dał wszystkim tym istotom swobodę mnożenia i odtwarzania się ich własnego gatunku - to wiemy na pewno. Wiemy też, że Bóg odpoczywał siódmego dnia, gdy wszystko już było stworzone i wprawione w ruch Jego ręką. Ale żeby był przekazał nierozumnej ziemi moc tajemnego tworzenia powtórnego, naśladowniczego życia, tę myśl uważam za niepojętą i niemal bluźnierczą”.

Pan Milton dmuchnął kształtnymi nozdrzami i rzekł: „To, że nie ma w Piśmie świętym dokładnej wzmianki o właściwościach, które już dostatecznie nakreśliłem, nie powinno wasz-mości niepokoić jako chrześcijanina. Patriarchowie i prorocy, których geniusz był raczej natury duchowej niż encyklopedycznej, milczą na temat wielu ważnych zagadnień, szczególnie tych, które świeżo utwierdziła fizyka, matematyka i muzyka. Czy Bóg im wyraźnie udzielił odpowiedzi w tych sprawach, o to, uważam, nie potrzebujemy pytać. Czyż bowiem nic jest powiedziane ogólnie przez Chrystusa Pana, że dla Bo-Ka wszystko jest możliwe? A skoro to, co możliwe, może być przedstawione przemyślnym i przekonującym rozumowaniem nie tylko jako prawdopodobne, ale jako jedyne nieuchronne sol[16] różnorodnych, trudnych obiekcji, to jakże zaprzeczymy, że jest to niewątpliwa prawda?”

„Wyznaję jednak waszmości, iż nie uważam twego sol za konieczne - odrzekł mój wuj - skoro potop Noego rozwiązały nam sprawę od razu”.

Pan Milton machnął ręką, jakby niecierpliwie żegnając potop. „Panie - powiedział - nie jestem jednym z tych drapieżnych rysiów, które przeczą, jakoby potop był powszechny,

I twierdzą, że pokrył on tylko ląd azjatycki, oszczędzając Afrykę i Egipt - bo jeśli Ararat był przejściowo zalany, to jak mógł nie być zalany Egipt, położony nisko, tuż przy Morzu Śródziemnym? Ani nie przypuszczam, żeby inne sławne potopy, takie jak w czasach Ogygesa i w czasach Deukaliona w Grecji oraz ten, który według Platona zalał Atlantyde, były jakimiś odrębnymi, krajowymi potopami: prawdziwie był tylko jeden potop (o którym pamięć przetrwała w sposób niedoskonały wśród pisarzy pogańskich, ale wśród Żydów w sposób doskonały), na dowód czego Bóg utworzył tęczę, ten pocieszający luk na niebiosach. Ale ów powszechny potop wynikł z czterdziestodniowych potoków deszczu, których strumienie porwałyby muszle raczej w dół do morza aniżeli na miejsca położone wysoko”.

„Zapominasz waszmość - wtrącił mój wuj - że fontanny wielkich głębin były przerwane i że potop, choć wziął początek z ulewnego deszczu, częściowo wynikł z wylewu wód morskich, które w naturalny sposób wyrzucały muszle na swoje najwyższe brzegi”.

[16] skrót od *solutio*, rozwiązanie (łac.)

„Nie, zdaje mi się, że dobrze pamiętam ten rozdział - powiedział pan Milton z krótkim śmiechem. - Mam w pamięci, że Bóg «przywiódł wiatr na ziemię i upadły wody». Toteż deszcze podnosiły poziom mórz z wolna i miarowo - to chyba jasne nawet dla zakutej pały. Na jakiej więc podstawie można by sądzić, że takie skorupiaki jak sercówki, ostrygi i tym podobne, uczezione zazwyczaj skał i niezdolne do ruchu - chyba że niesie je gwałtowny pęd wzburzonych wód - że (jak mówię) te skorupiaki, oderwane od zwykłych legowisk i niesione na ślepo na wyższe grunty, miałyby teraz - i to tak blisko nas, w Charlton upon Otmoor - leżeć w tak równych rzędach, jak gdyby to były ich przyrodzone wylęgarnie?”

Choć pan Milton przerwał dla nabrania oddechu po tym uroczystym i kształtnym zdaniu, memu wujowi zabrakło odpowiedzi albo może nie chciał rozgniewać pana Milтона i przez to odwieść go od zamiaru poślubienia mnie.

Odezwał się za to mój brat, James: „Proszę waszmościów, jeśli mi wolno wtrącić się do waszej dysputy, podejmuję się odpowiedzieć na obiekcje dotyczące muszli. Otmoor leży zaledwie parę stóp nad poziomem morza, a wody potopu, osiadając koło armeńskiego Araratu, musiały przeć ku zewnętrznemu kręgowi ziemi, by w końcu się przewalić do wielkiej przepaści. Ten ruch musiał wywołać prąd dość silny, aby porwać z sobą wszelkiego rodzaju skorupiaki, kamienie i ryby. Wówczas Otmoor, które zawsze było bagnem, musiało się zamienić na pewien czas w słone bagno czy lagunę, i błądzące skorupiaki mogły tam znaleźć siedlisko i warunki rozwoju”.

Pan Milton spojrział na niego jak na żaka, który śmiał impertynencko przerwać poważną dysputę, i odrzekł lekceważąco: „Mój chłopcze, ręczę, że to były świetne ostrygi, w każdej mierze równe waszym soczystym, zielonym colchesteiom! Gdybyśmy mieli szczęście żyć w tamtych czasach, siedlibyśmy na wybrzeżu, gdzie teraz stoi kościół, i podając sobie z rąk do rąk zakrzywiony nóż do ostryg, ucztowalibyśmy Juk londyńska starszyzna. Chodź tu, chłopcze, przyjmij tę muszlę w darze ode mnie, bo nie mam dziś z sobą smakowitych ostryg z Otmoor. Jedz, jedz, połam zęby na przepysznym mięsie ukrytym pod skorupą!”.

Mój ojciec się roześmiał i przyklasnął panu Miltonowi, mówiąc: „Tą ostrygą mógł się, w samej rzeczy, mój syn udławić. Proszę mu wybaczyć jego upodobanie do sporu. Spodobały mu się oksfordzkie uczelnie, gdzie w każdym dniu nauki staje do zapasów z kolegami. A teraz nużą go wakacje zielonoświęteczne. Wolałby tam wrócić, dysputować i zbijać argumenty przeciwników”.

Wtedy pan Milton, którego gniew ostygł dzięki odniesionemu zwycięstwu, wyznał, że można Jamesowi wybaczyć jego winę, bo również on sam, będąc młodzieńcem, zawsze pragnął wtrącić się do dysput ludzi starszych i bardziej uczonych od niego; w auli Chrisfs College jego gwałtowność nieraz brała górę nad jego skromnością i wykrzykiwał jakieś wyrazy, ryzykując wyrzucenie za drzwi przez pedla. Rzekłszy to, pan Milton przez chwilę milczał, niby

zwycięzca na polu bitwy, dzierżący trofeum w rękę i zbierający swoje szeregi, wreszcie ruszył dalej. „Waszmość panie - rzekł zwracając się do wuja Jonesa - spodziewałem się od ciebie obiekcji przeciw memu twierdzeniu o plastycznej mocy ukrytej w ziemi, obiekcji na tej podstawie, że uznasz moją tezę za sprzeczną z nieskończoną przezornością natury (co można zauważyć we wszystkich dziełach natury - mianowicie przeznaczenie każdej rzeczy do określonego celu, nigdy się niesprzeciwiającego w żaden sposób ludzkiemu rozumowaniu). Mógłbyś więc może w błahy sposób argumentować, że natura nie mogła działać tak nieopatrnie, aby wytworzyć owe fossilia (które nie były nigdy muszlami, lecz jedynie kamieniami) z ich dziwnymi kształtami i ozdobami, jakie je wyróżniają - na dowód przytoczę przykładowo te niby zawiasy w kamieniu muszlowatym - wytworzyć je, powiadam, bez żadnej rozumnej przyczyny, a tylko dla pokazania różnych wzorów i kształtów...”

„Nigdy bym się nie odważył - zawołał wuj Jones - tak znieważać mądrość bożą, której dzieła są, jak ogólnie wyznajemy, tym potężniejsze, że są nieprzeniknione”.

Pan Milton ciągnął dalej: „gdybyś więc waszmość tak argumentował, byłbym cię zmiażdżył tą właśnie obserwacją, że mądrość i dobroć najwyższej Natury, owej naturans [\[17\]](#), rządzącej naturą na ziemi, ową natura naturata [\[18\]](#), kieruje nie tylko tworzeniem rzeczy użytecznych i przydatnych do utrzymania ludzkiego zdrowia, ale również rzeczy pięknych i ciekawych, kształcących ludzkie oko i krzepiących duszę. Jakież mają poza tym znaczenie cudne kwiaty wyzbyte wszelkich wartości leczniczych, jak narcyzy, anemony, asfodele, dzikie lilie, złotogłowy albo te przedziwne barwne ryby, niezdatne na pożywienie dla człowieka, albo też niezliczone odmiany polnych traw, które obojętnie mija ocieęzały wół. Jakaż jest ich rola, jeśli nie upiększenie ziemi i pobudzenie duszy ludzkiej do podziwu dla nieskończonej bożej dobroci?”

„Tak, na pewno!”, zawołał żarliwie wuj Jones.

„Ten więc problem już jest rozwiązany - rzekł pan Milton

- lecz pozostaje druga sprawa, sprawa owej wielkiej kości, którą widzieliśmy dziś w domu kierownika kamieniołomów. Czy nie utrzymywałeś, waszmość, że nie jest to kość, lecz zwykły kamień, przypadkowo tylko i pozornie zbliżony do dolnej części ludzkiej kości udowej? Gdy ją bowiem zmierzyłem, zauważyłeś, iż jest ona zbyt wielka, mając (przy capita feinoris [\[19\]](#))

[17] natura jako czynnik twórczy, w filozofii scholastycznej Stwórcy (średniow. łac.)

[18] natura stworzona, w filozofii scholastycznej to, co zostało stworzone przez Boga (średniow. łac.)

[19] główka kości udowej (łac.)

równy dwie stopy grubości, a nigdy nie istniało w Anglii zwierzę o takich proporcjach”.

„Istotnie, tak twierdziłem - rzekł mój wuj. - Teraz jednak, gdy mnie waszmość przekonałeś o plastycznych właściwościach ziemi, u której ich nigdy nie suponowałem, pozwól, że com rzekł, wycofam. Tym mocniej jestem przekonany, że nie jest to i nigdy nie było kością, ale jednym z owych lapides sui generis, o których wspominałeś. Bo w kamieniołomach druzgotu skalnego w pobliżu Shotover Hill trafiają się kamienie podobne do niektórych części żołądka, a w pobliżu wiatraka w Nettlebed spotyka się inne, które są podobne do sekretnej części męskiego ciała, więc przez skromność nie będę Ich tu, w tej kompanii opisywał. A znowu w Stokenchurch Hill są krzemienie dziwnie podobne do ludzkich sutek. Mają one nie tylko mamma[20], lecz także papilla [21], otoczone przez areola[22] i usiane małymi guzami...”

Tu ciotka Jones przeprosiła i wyprowadziła moją matkę do ogrodu, ale ja zostałam, aby usłyszeć odpowiedź pana Miliona. Nie chciał on pozwolić wujowi na łatwy odwrót, raczej gonił za nim jak terier za lisem czy borsukiem aż do jego nory, chcąc go wypłoszyć ujadaniem i warczeniem.

„Panie Jones - zawołał - jeśli brak waszmości męskiej odwagi, by trwać przy swoim pierwotnym zdaniu, pozwól sobie powiedzieć, że dopóki nie ujrzę tamtych kamieni, przez ciebie wzmiankowanych, nie mogę się o nich wypowiedzieć. Jednak o tej wielkiej kości wiemy, że znaleźli ją zakopaną w kamienistej ziemi, tak położoną, że żadna inna kość nie mogła tam być z nią nigdy złączona, a nawet brakowało dolnego trzonu tejże kości. Przeto musimy zarzucić naturze ukształtowanie przedmiotu złamanego i częściowego, tak jak niezręczny terminator marnuje niejedną róg, zanim wydrąży dobrą kościaną łyżkę. A to byłoby bluźnierstwem”.

Mój ojciec grzecznie zapytał o zdanie pana Miliona, do jakiego to olbrzymiego zwierzęcia należała owa kość (którą sam był widział), zanim została pogrzebana w kamieniołomie. „Czy to mógł być słoń? - zapytał. - Czytałem kiedyś w historii Diona Kasjusza, że cesarz Klaudiusz, kiedy jego pretor przyzwał go z Rzymu na pomoc przeciw Brytyjczykom, przywiódł z sobą słonie na wyspę”.

[20] pierś (łac.)

[21] sutka, brodawka (łac.)

[22] obwódka sutki (łac.)

„Pozwól mi, łaskawy panie, mieć odmienne zdanie w tej materii - odrzekł pan Milton. - Dion Kasjusz twierdzi tylko, że cesarz zgromadził swoje słonie, a nie, że z nimi tu wylądował. U Swetoniusza zaś, w jego *Żywotach dwunastu cesarów*, gdzie też wzmiankowana jest owa wyprawa, nie ma ani słówka o użyciu słoni w walce. Ani też z czasów Nenniusza nie przetrwała pamięć o *tym*, by taka bestia postawiła kiedykolwiek swą olbrzymią stopę na angielskiej ziemi. Toteż wnioskuję, że żadnego słonia tu nie było, aż dopiero cztery wieki temu, kiedy to Ludwik IX, król francuski, przysłał słonia w darze naszemu Henrykowi III; Matthew Paris powiada, że wówczas po raz pierwszy widziano słonia z tej strony Alp od czasu, kiedy je przekroczył Hannibal. A czterysta lat to zbyt mało na taką petryfikację kości udowej, jaką tu widzimy, nawet gdyby król Henryk zadał sobie trud rozebrania owego słonia po jego śmierci i pochowania jego kości w różnych ukryciach - równie wielkie kości odkryto bowiem w Chartham i w Farley w Kencie oraz w dwóch mało znanych miejscowościach w Essex. Skoro więc żaden koń nie miał nigdy tak wielkich kości (nawet ten gatunek wielkich koni, które zjawiły się u nas dopiero wtedy, gdy je przyprowadzili rycerze normandzcy), ani też żaden wół, należy tę kość uważać za pozostałość po owych olbrzymach, z którymi potykał się i których ujarzmił Brutus Trojańczyk, kiedy on i jego trojańscy towarzysze przybili do brzegów w Totnes w Devon z flotą liczącą trzysta dwadzieścia cztery łodzie. Był między nimi niejaki Goegmagog, wysoki na pełnych dwanaście łokci i niezmiernie silny. Taka kość, jaką widzieliśmy, autentyczna, chociaż skamieniała, z przednią i tylną częścią, ze szpikiem z błyszczącej substancji, odpowiada może proporcjami osobie mającej wzrost Goegmagoga. Dlatego ośmielam się wierzyć w ową historię, tak chlubną dla naszego narodu, którą inaczej traktowałbym jako legendę. Jak wiadomo, Goliat Filistyńczyk miał być o trochę mniej niż połowę niższy od Goegmagoga. Mamy świadectwo Józefa w jego *Starożytnościach żydowskich*, w wśród darów króla perskiego przesłanych cesarzowi Tyberiuszowi był Żyd imieniem Eleazar, większy od Goliata o jedną lub dwie piędzi. Aby więc przystąpić do rzeczy - w ratuszu miasta Lucerny (wyznaję, że go nie zwiedziłem, wracając ostatnio z Włoch) wystawiony jest całkowity szkielet człowieka, którego znaleźli pod starym dębem opodal wsi Reyden. Odpowiada on znanym wymiarom Goegmagoga, jeśli nie zważyć na różnicę dziesięciu i pół cali...”

Pan Milton mówił jeszcze godzinę, porównując wzrost poszczególnych olbrzymów i wiarygodność autorów, którzy ich mierzyli. Wreszcie jednak mój ojciec, korzystając z chwili przerwy, poddał myśl, aby pan Milton i on przełamali lody i rozmówili się w swoich sprawach. Czas bowiem upływa i niebawem będziemy musieli wracać do domu na kolację.

Wuj Jones narzekał, że przerywa się ucztę duchową. Nigdy bowiem nie słyszał tak śmiałych twierdzeń, tak udatnego mówcy ani tak wiernych cytatów. Gratulował też memu bratu, Jamesowi, że trafił na taki wykład. „Zapewniam cię

- mówił - że nie otrzymasz nigdy od swoich tutorów w Christ Church tak błyskotliwego pouczenia”.

James puścił to mimo uszu, aby uniknąć porównania między siostrzanymi uczelniami. Kiedy jednak pan Milton i mój ojciec wyszli do drugiego pokoju, a wuj do piwnicy po wino, wyraził żal, że upatrzony dla mnie mąż jest niezwykle monologistą. Ponieważ nieznanymi mi był ten wyraz, wyjaśnił, że oznacza on człowieka, który lubi słuchać sam siebie i nie zniósłby, aby inny był protagonistą w słownym dramacie.

Wyśmiałam go. „Nie bądź obraźliwy - rzekłam - nie dąsaj się o to, że wyrwałeś się jak filip z konopi i dostało ci się za to po palcach. Chyba każdy ma skłonności do monologowania, tylko nie każdy umie zgromadzić audytorium i utrzymać jego uwagę. Nie zaprzeczysz, że pan Milton mówił dziś i uczenie, i do rzeczy. Spodziewam się też, że nie podejrzewasz go o zwyczaj powtarzania tych samych argumentów czy anegdotek każdemu nowemu znajomemu. Wydaje mi się on człowiekiem ogromnej wiedzy, bystrego sądu i tak obrotowego języka, że trudno sobie wyobrazić, aby ktokolwiek mógł go pokonać w dyskusji. Nawet tam bowiem, gdzie jego wiedza jest niedostateczna, wyklada ją, zmierzając bystro do celu, z dużą elokwencją, i pozostaje sam na placu boju. Nie gędzi też owym nudnym pospolitym tonem doktorów uczelni czy duchownych; urozmaica każde zdanie żywą modulacją głosu”.

Jeśli on cię uszczęśliwia, to i ja jestem szczęśliwy - odparł James - jako że jesteś mi siostrą i nade wszystko pragnę twojego szczęścia. Niemniej wolałbym cię widzieć za mężem bliższym ci wiekiem i bez tego zimnego, suchego tonu wyższości, właściwego zdolnym belfrom”.

Na to ja powiadam: „Skoro nie będę uczennicą, lecz żoną, i rządzić mam jego domem, ufam, że mi ten jego ton nie dokuczy. Jesteś jeszcze słuchaczem uczelni, więc buntujesz się przeciwko mówcy, którego głos i zachowanie przypomina ci różgę za twoje uczniowskie wybryki - z tych czasów, kiedy jeszcze ślezczałaś nad swymi *Propria quae maribus*” [23].

Wówczas wróciła do pokoju moja matka z ciotką i wuj z omszałą butelką cypryjskiego wina, którą dawno już trzymał w piwnicy, a teraz niósł pieczołowicie, zawiniętą w serwetę. Ciotka wyłożyła parę szafranowych ciastek na talerz, a my siedzieliśmy, czekając, aż mój ojciec i pan Milton zgodnie ułożą punkty ślubnej umowy. Ciotka rozprawiała o godności małżeństwa w sposób, który mnie nie bardzo do tego stanu zachęcał.

„Pamiętaj - mówiła - że Ewa powstała z żebra Adama, nie z kości wyjętej z jego głowy. Dlatego kobieta nie śmie w dyspucie stawiać czoła mężczyźnie. Bóg uczynił mężczyznę stworzeniem doskonałym, nie stwarzając kobiety jednocześnie. Inaczej było z dwiema płciami innych stworzeń.

[23] To, co stosowne dla mężów, (łac.)

Nie po to jest kobieta, by była mężczyźnie równą, lecz dla jego pożytku i korzyści, by mu służyła.

Patrz, byś szanowała męża i słuchała go, i była mu miła, nie zeglując przez życie, jak tylko ku jego celom. Jeśli go zagniewasz, nie spocznij, póki go nie ukoisz; a jeśli cię zgani bez przyczyny, znieś to cierpliwie i nie dawaj opryskliwej odpowiedzi, a raczej bierz całą winę na siebie. O, niech ci Bóg da cierpliwe opanowanie siebie, by wszystko czynić dla Jego ukontentowania. Strzeż się próżniactwa, unikaj paplania I dumnej postawy; przestrzegaj stanowczo smutku w zachowaniu i ubraniu, oddawaj się uczciwym ćwiczeniom - przedzeniu, szyciu, praniu, wyżymaniu, zamiataniu, szorowaniu i temu podobnym. Jeśli cię twój mąż pochwali, niech serce twe śpiewa. Wyzbij się figli, przywdziej powagę matrony. Nie wychodź z domu, jak tylko gdy on zezwolił: bo kogut leci w świat, by coś przynieść do domu, a kwoka siedzi na gnieździe, by wszystko dla domu zachować. Małżeństwo to smutny stan dla kobiety, .ile zaszczytny; bo choć z natury słabsza jest od mężczyzny I duchem, i ciałem, jednak doskonałym jest dla niego narzędziem, gdy całkowicie mu się podda”.

Mój brat, James, siedział zamyślony przy oknie, a wuj ręce złożył i kręcił kciukami, kręcił - wirowały jak młyńskie koło. Matkę zaś ogarniał coraz większy niepokój: bo jakiegoż to targu dobijał mój ojciec? Rzekła do mego wuja: „Mam nadzieję, bracie, że Dick nie próbuje odgrywać Labana z tym Jakubom, bo choć pan Milton, wedle twoich słów, to dusza wyższa nad chęć zysku, jednak syn skryby nie jest pono głupcem w tej materii, a Dickowi zostanie cieńszy koniec w garści. Poza tym, jeśli dobrze pamiętam tekst Pisma, Jakub, jako kość z kości Hebrajczyk, wziął górę nad tym chytrym, starym Walińczykiem, vel Medianitą, zanim przyszło co do czego”. Zaczęła się wiercić na swoim krześle, aż wreszcie, nie mogąc usiedzieć, wyszła do sieni. Wkrótce doszedł nas z sąsiedniego pokoju jej wysoki, pogodny głos zmieszany z niskim pomrukiem rozmowy mego ojca i pana Milтона.

Jak moja matka rozstrzygnęła sprawę, nie wiedziałam ani wówczas, ani przez szereg następnych tygodni. W każdym razie wszyscy troje wrócili pospołu, pan Milton zadowolony z siebie, mój ojciec trochę przybity, matka zaś wesółą, chytrze uśmiechniętą. Odezwała się pierwsza i powiada do mnie: „Córko, tę kłopotliwą sprawę mamy teraz szczęśliwie poza sobą. Twój ojciec i ja ułożyliśmy się z panem Miltonem bardzo zgodnie i ślub odbędzie się niebawem, skoro tylko damy na zapowiedzi. Masz przed sobą jeszcze trzy niedziele dziewictwa. Chodź tu, dziecko, i ucałuj twego męża, a jeśli ci dopisze przyrodzony twój rozum, będziesz mu zawsze posłuszna. Jest on, jak się zdaje, człowiekiem cholerycznym, jeśli mu się sprzeciwić, ale przywiązuje się czule do wszystkiego, co jego własne.”

Mrugnęła do mnie okiem odwróconym od pana Milтона, na co odpowiedziałam półuśmiechem. Wstałam i przeszłam parę kroków do pana Milтона, który jednak nie uściskał mnie serdecznie i nie pocałował, jakby to

uczynił inny mężczyzna, ale cofnął się nieco. Rzekł: „Panno Marie, zanim przycisnę moje usta do twoich na znak naszego duchowego złączenia lub położę pieczęć pod cywilną umową ślubną, chcę usłyszeć z twoich własnych ust, że prawdziwie jesteś tą, za którą się podajesz”.

Udałam, że nie rozumiem, do czego on zmierza. Odparłam: „Waszmość panie, nie zdaje mi się, bym kiedykolwiek okazała skłonność do chwalenia się przed tobą z zalet i poczynań wartych twego szacunku. Nie umiem pracować igłą; gram na gitarze nie za dobrze, choć głos mam niezły; o moim gospodarzeniu w domu matka moja powie lepiej niż ja”.

Przerwał mi niecierpliwie: „Nie, nie, chcę zapytać, czy jesteś tą dziewczyną, za którą cię mam?”.

Urażona tym pytaniem, odpowiedziałam z przekorą: Jeśli pytasz, czy jestem córką mego ojca, to w tej materii nie mogę cię oświecić z całą pewnością, ale zawsze wierzyłam w uczciwość mojej matki”.

Na to matka głośno się zaśmiała i rzecze: „Niestety, córeczko, to prawda. Żaden godny hrabia nie leżał przy mnie przed twoim urodzeniem i choć masz włosy Moultonów, obawiam się, że nos i podbródek wzięłaś, niestety, po Powellach. Twój konkurent chce, zdaje się, usłyszeć z twoich własnych ust, czy cię sprzedajemy dziewicą, czy nie. Powiadam mu, że to kwestia caveat emptor^[24] - bo nie ma mowy o odesłaniu cię do nas z powrotem (gdy już spędzisz noc w jego łóżu), z uzasadnieniem, że nie jesteś tym, za co cię podaliśmy. Jednakże, Jeśli takie oświadczenie go zadowoli, nie wstydź się powiedzieć mu, że jeszcze nie dopuściłaś żadnego mężczyzny tam, dokąd on pragnie mieć przystęp. Proszę, powtórz za mną te słowa: «Ja, Marie Powell, przysięgam na Boga Wszechmocnego.. .»”.

Pan Milton natychmiast wtrącił, że nie potrzebuje takiej daremnej przysięgi, lecz prostego oświadczenia przy świadkach, iż przychodzę do niego jako czysta dziewczica.

„Waszmość panie - odrzekłam z uśmiechem - jeśli cię to uraduje, jestem czystą dziewicą, ale nie będę składać przysięgi, skoro mnie z tego zwalniasz”.

„To nie nadaje się do uśmiechów, moja panno”, odparł znów nachmurzony.

„Nie nadaje się, mówisz waść? - odrzekłam. - Błagam o przebaczenie. Był to uśmiech mego czystego sumienia, nie mój”.

Musiał się zadowolić tym zagadkowym zdaniem, ale widziałam, że go nie usatysfakcjonowało, bo rzekł: „Skoro złożyłaś w obecności pięciu krewniaków uroczyste oświadczenie, że nigdy jeszcze nie kochałaś ani nie znałaś mężczyzny cieleśnie, ucałuję cię i wezmę cię za żonę”. Wtedy pociągnął mnie do siebie, uchwyciwszy za ramiona, i pocałował. Choć nie sprzeciwiłam się, nie oddałam mu pocałunku: bo słowa włożone w moje usta, to jest, że nigdy nie kochałam mężczyzny, były w rzeczywistości nieprawdziwe.

[24] niech się strzeże kupujący (łac.)

Nastąpiły powinszowania i grzeczności, a wuj Jones wyciągnął korek ze swojej butelki cypryjskiego wina i napełnił czarki. Piliśmy wszyscy, ale pan Milton ekskuzował się, że nie pija wina, wyjąwszy odrobinę przy posiłku, przez wzgląd na swój żołądek. Na to moja matka spojrzała zdziwiona, gdyż jej zdaniem, dieta dietą, choćby najbardziej surowa, ale uprzejmość nieraz wymaga odstąpienia od niej. Reszta towarzystwa wypła za nasze zdrowie, a ciotka wcisnęła panu Miltonowi do ręki ciastko, które ugryzł, myśląc o czym innym. Natychmiast wsadził palec do ust i wyciągnął odgryziony kawałek, by go wyrzucić przez okno ptakom.

Moja matka szeroko otworzyła oczy i sięgnęła po ciastko, mówiąc do ciotki: „To są, zdaje się, świetne ciasteczka!”. Jednakże gdy już miała kawałek ciastka w ustach, zaczęła się dusić i zbliżywszy się do okna wypluła ciastko. Potem zaś poklepała pana Milтона po ramieniu i rzekła: Johnie, mój synu, z radością widzę, że zdrowy rozum cenisz ponad grzeczność. Tylko wariat albo rycerz wędrowny połknąłby to ciastko. Śmiem twierdzić, że leżało w szafie mojej siostry równie długo jak wino w piwnicy mego brata. Mary, przyznaj się, kiedy je piekłaś? Wtedy kiedy nastała moda cebulastych kapeluszy czy jeszcze ze dwa lata pierwej?”

Biedna ciotka zaczęła płakać. „Przecież gdybym wiedziała zawczasu, że dziś przyjedziecie, upiekłabym świeżych. Myślałam, że są jeszcze dobre, bo trzymałam je zamknięte w drewnianym pudełku. Upiekłam je dla was na tydzień przed postem, kiedy się zapowiedzieliście, ale zrobiliście zawód”.

Uśmieliśmy się więc z tego lutowego ciasta mojej ciotki. Był to pierwszy i jedyny przedmiot naszej jedynomyślności, ;i pan Milton przezwiał ciotkę Damą Joanną z Kapadocji, jako że pewien Jan z Kapadocji, będąc głównym kwatermistrzem, dostarczył niedobrych sucharów dla rzymskich żołnierzy, kiedy żeglowali do Kartaginy, aby walczyć przeciw Wandalom, i pięciuset spośród nich zmarło od kolki. Jednakże był już czas wracać do domu i pożegnaliśmy pana Milтона, który wskazał nam dom swego przyjaciela, pana Rousa, bibliotekarza kolegium, gdzie możemy go zawsze zastać. Dodał jeszcze, że za dwa, trzy dni, jeśli pogoda dopisze, a studia pozwolą, odwiedzi nas.

Tak zakończyły się starania pana Milтона o moją rękę. Rada byłam, że nie zalecał się do mnie słodko i uniżenie, co byłoby zwykłe u poety z Cambridge, ale ja bym chyba nie potrafiła tego znieść cierpliwie. Świadczyło to dobrze o jego uczciwości, że badał mnie okiem bystrym, nie rozkochanym, ale chciwym, jak gospodarz, który ogląda ładny kawał gruntu ofiarowany mu dla skwitowania długu.

Rozdział dwunasty

MÓJ ŚLUB

Gdyśmy się szykowały do wieczery tego dnia, powiedziałam mimochodem do Zary, upominając ją żartobliwie za jej brak serca dla mnie: „Muszę ci powiedzieć, że będę cię potrzebowała na drużną mniej więcej za miesiąc. Ufam, że nie zawstydzisz mnie w kościele i nie nasypiesz mi czerstwych okruszków do pościeli, gdy będziesz słała moje ślubne łoże”.

Wyśmiała mnie, bo dotąd nic nie słyszała o ułożonym małżeństwie ani o przyczynie mego wyjazdu do Sandford. „W samej rzeczy - zakpiła - pewnie wychodzisz za swego ulubieńca, pana Tyrezjasza Milтона”.

„A za kogóż by innego? - spytałam cierpko. - Tak natrętnie pchałaś nas ku sobie swymi bezmyślnymi żartami w ostatnim roku albo i dawniej i tak zwickłaś całą sprawę, że w końcu się to dokumentnie sprawdziło. Ten człowiek szaleje za mną.”

„Och, nie cierpię twoich błazeństw! Nie ma w nich krzty prawdy. Nawet mała Betty nie dałaby się nabrać na takie dziwactwo”.

„Nie, siostrzyczko, tu jesteś w błędzie. To żadne dziwactwo, zapewniam cię moim słowem”.

„Nie przyjmuję twego słowa - odrzekła. - Za wiele razy już krzywoprzysięgałaś, jednakże zgadzam się iść o zakład w tym względzie”.

„A co mi dasz, jeśli przegrasz? - zapytałam. - Gadaj, ty niewierny Tomaszu, ja jestem gotowa na twoje wezwanie”.

„Stawiam mój jaspisowy medalion przeciw twemu medalionowi z perełkami, o którym marzę od dawna - odparła z miejsca. - A teraz uderzmy w dłonie, jeśli się nie cofasz”.

„Nie mam nic przeciwko temu”, rzekłam.

Podaliśmy sobie ręce na zgodę i od razu pociągnęła mnie za rękę, zmierzając na dół do mego brata Jamesa. Tam rzekła: „Marie założyła się ze mną o swój medalion z perełkami przeciwko mojemu jaspisowemu, twierdząc, że w przyszłym miesiącu ma poślubić pana Milтона, podczas gdy ja twierdzę, to jest wierutne kłamstwo”.

James zamiast odpowiedzi sięgnął po medalion Zary i odpiął go od łańcuszka, włożył mi go do ręki i przycisnął na nim moje palce. Zara wrzasnęła, że to podły i tchórzowski spisek, i próbowała wyrwać mi medalion, ale nie dałam się. Widząc, nic nie wskóra siłą, poleciała na skargę do mego ojca, ale on ją wyśmiał; teraz była pewna, że cały dom się sprzysiągł, żeby ją obrabować. Ofiarowałam ów medalion mojej siostrze, Ann, która nie miała żadnego świecidełka, nawet pierścionka, ale ona pożałowała Zary i po jakimś czasie zwróciła jej klejnocik.

Po trzech dniach ujrzelismy znowu pana Milтона. Była to niedziela i tego dnia wyszły nasze pierwsze zapowiedzi. Pan Milton siedział obok mego ojca w czasie ogłaszania ich. Ludzie byli zdumieni, słysząc moje nazwisko obok nazwiska pana Milтона, i powstał szmer licznych rozmów. Każdy wykręcał szyję, by się lepiej przyjrzeć owemu panu siedzącemu w naszej ławie. W czasie kazania wielbny Proctor łaskawie dał zadośćuczynienie rodzicom i mnie za wyrządzoną nam krzywdę, rozwodząc się nad ustępem Pisma świętego o cudzołżnicy: „Gdzież są ci, co cię potępiają? Ja cię nie potępiam. Idź i nie grzesz więcej”.

Moja matka westchnęła głęboko, zacisnęła zęby i nastroszyła się, słysząc odczytywany tekst. On mówił jednak dalej bardzo oględnie i do skandalu nie doprowadził. Teraz bowiem, kiedy ów udatny i poważny dżentelmen spadł z nieba (jak sobie ludzie poszeptowali), aby zrobić ze mnie uczciwą kobietę, wielbny Proctor bynajmniej nie chciał stawać na przeszkodzie temu związkowi. Istotnie zrobił rozbiór tekstu zřecznie i po chrześcijańsku, wyciągając z niego wniosek, że skoro Bóg nie może przeciw stawać w obronie nierządu i cudzołżstwa, bo są to grzechy śmiertelne, za które należy się, ogień wieczny, i skoro Chrystus, jako Bóg, znał sumienie kobiety lepiej niż Żydzi, którzy ją oskarżali - więc albo musimy wierzyć, iż żyła ona z mężczyzną, który był prawdziwym jej mężem, choć nie było to powszechnie wiadome, albo też, że z nim nie żyła, a Żydzi głupią zalotność wzięli za nierząd. Budującą tę wiązkę zamknął morałem, że lekkomyślne kobiety, pozwalające sobie na zbyt swobodne słowa i maniery wobec mężczyzny, który nie jest ani bratem ich, ani swatem a tak samo kobiety bojaźliwe, które biorą ślub potajemnie (ze strachu przed rodziną) uchodząc nadal za dziewice - wszystkie takie głupie zalotnice tego się doczekają, że je przezwą ładacznicami, gdy rzecz wyjdzie na jaw.

Gdy opuszczalismy kościół, mój ojciec zapytał pana Milтона, dlaczego nie wybrał on kariery kościelnej. Odpowiedział, że wprowadzie od dzieciństwa przeznaczał go ojciec do stanu duchownego, ale - skarżył się - nie pozwoliło mu na to jego sumienie: nie mógł przystać na biskupów i na liturgię. Mówił też, że ten, kto przyjmuje stan duchowny, musi zaprzedać się w „niewolę” i złożyć taką przysięgę, która dla niego, Milтона, byłaby po prostu przemieszczeniem. Później, kiedy już nasz gość wyjechał, mój brat, James, zastanawiał się, w jaki sposób można sobie wytłumaczyć, że sumienie pana Milтона nie sprzeciwiło się tradycyjnej przysiędze, gdy przyjmował magisterium na uniwersytecie w Cambridge, a potem gdy uzyskał stopień bakałarza w Oksfordzie. Przecież w tej przysiędze ochoczo i ex animo[25]wyznał, że król jest jego panem - po Stwórcy - jedynym zwierzchnikiem duchownym w swoim państwie; że anglikański brewiarz i tekst konsekracji biskupów nie zawierają nic, co by się Pismu sprzeciwiało, oraz że wszystkie trzydzieści dziewięć artykułów (łącznie z ich

[25] z całej duszy (łac.)

ratyfikacją) ustanowionych w roku 1562 zgodne są z Pismem.

Jeszcze tego popołudnia pan Milton zaproponował mojej matce, że przejedzie się ze mną konno, abyśmy się mogli lepiej poznać. Uważał jednak, że byłoby godziwiej, gdyby mój brat pojechał z nami. Matka zgodziła się na to z ochotą i przyprowadzono konie. Gdyśmy już byli w siodłach i blisko bramy otwierającej się na gościniec, James zapytał, dokąd pojedziemy. Pan Milton odrzekł: „Do Wheatley, zobaczyć moje dziedzictwo, które sprzedałem twemu ojcu, ale które mi oddał dwa lata temu w zastaw hipoteczny”.

Nic na to nie odrzekłam, aczkolwiek było to dla mnie nowiną. Pomyślałam sobie, że widocznie mój ojciec zastawił panu Miltonowi dobra już zastawione panu Ashworthowi i obawiał się wyznać mi to. Ten zastaw na rzecz pana Milтона był zapewne potwierdzeniem dawnego długu, wedle statutu. Ale bez żadnej wątpliwości pan Ashworth miał jeszcze prawo do tej ziemi tak długo, dopóki nie uzyska procentów od przypadającej mu sumy zabezpieczonej tym kawałkiem roli. Dochód ten ustalony na 8 procent, musiał już wzrosnąć do 300 funtów, czyli że dorównał pierwotnej pożyczce.

Jakiś czas jechaliśmy obok siebie stępa lub kłusa. Dzień był zimny i szary, raczej listopadowy niż majowy. Z początku pan Milton rozprawiał z Jamesem o łacińskich i greckich poetach, to chwając któregoś, to znów ganiąc innego, aż James powiada: „Wyznaję waszmości, że chociaż na studiach muszę zapoznawać się z tymi starymi Grekami i Rzymianami, jednak o wiele więcej zachwycają się poetami, którzy piszą w naszym języku i w naszych czasach. Żałuję nieraz, że będąc zbyt młodym nie mogłem brać udziału w zebraniach, które się odbywały w «Czarciej Gospodzie» przy Tempie Bar za czasów, kiedy stary Ben Jonson zasiadał tam ze swoim dworem. Skoro się dowiaduję, że waszmość mieszkałeś blisko owej «Czarciej Gospody» i że składałeś wiersze w bardzo młodym wieku, potwierdzisz zapewne moje przypuszczenie, iż należałeś do «pieczętowanych pieczęcią Bena». Byłeś też pewnie w bliskich stosunkach z niejednym poetą, któremu ja cześć oddaję, z takimi jak - spośród poetów dramatycznych John Ford i John Webster, a znów spośród satyryków...”.

Pan Milton mu przerwał: „Nie, mój chłopcze, bardzo się mylisz co do przyszłego swego szwagra, który nigdy nie należał do pieczętowanych jakiegokolwiek pokolenia, ale, podobnie jak Adam, jest własnym i ojcem, i kapłanem. Nie przeczę, że raz i drugi byłem gościem w Sali Apollina u Czarta, łudząc się, że spotkam tam jedną z owych osobistości, z którymi pragnąłem wieść dyskursy. Było jednak wiele rzeczy, których nie lubiłem w sposobie bycia zbierającego się tam towarzystwa. Primo: bałwochwalcze schlebianie temu grubemu, zadufanemu potworowi, Benowi Jonsonowi, który - choć dość uczony i przy tym zręczny składacz dramatów - nie był ani wszechwiedzący, ani grzeczny i nigdy nie mógł tego znieść, by nie pierwsze, lecz drugie miejsce przypadło mu w udziale w zawodach słownych. Jeśli jakiś młodzieniec ośmielił się przeciwnego być zdania niż ów Polifemus w jakimkolwiek naukowym twierdzeniu, zrywali się dworacy gotowi śmiałka wyrzucić za drzwi, jak gdyby

był hałaburdą. Secundo: familiarny sposób, przyjęty w Sali Apollina, nazywania Tomem każdego Tomasza, a Jana Jaśkiem. Skoro nigdy nie wołano mnie inaczej niż chrzestnym moim imieniem, John, nie zmienię się w Jaśka, by im się przypodobać. Tertio: według regulaminu stowarzyszenia były tam przyjmowane uczone białogłowy. A ja nie uważam nauki za rekwizyt pożądany u kobiety i myślę nawet, że jest on wprost niebezpieczny, gdy się kobieta puszy, by dyskutować z mężczyznami w kwestiach sztuki i nauki, o jakich tam traktują. Quarto: Spośród najmilszych Benowi jego synów większość piła na umór, a wielu było ospowatych (tak jak i jego obecny następca, tak honorowany William Davenant, jeden z waszych oksfordzkich zbabiałych mędrków, zresztą spadkobierca odrobiny dowcipu swego ojca chrzestnego, Williama Shakespeare'a, którego zresztą ma być bastardem, jeśli dać wiarę powszechnej opinii). Poza tym śmierzili brzydkimi chorobami, tak że nie odpowiadała mi ich kompania. Prawdziwie żyli jak bestie, a serca mieli niewieście. Quinto: ciskali ordynarnymi i grubymi dykteriami, używając przy tym raz po raz imienia Boga nadaremno. Sexto: stary Simon Wadloe, gospodarz, zdierał za wino ponad zwykłą miarę i co wieczór chodził z kwestą, żeby stary Ben mógł się ululać na koszt obecnych. I wreszcie, niech zakończę siódmką: wprowadzie niewiele razy tam byłem, ale nigdy nie usłyszałem nic mówionego, recytowanego ani śpiewanego, co by warte było paru kroków rozumnego człowieka. Za ostatniej mojej bytności wszystkie pochwały przypadły świńskim, z grubsza ciosanym rymom Johna Skeltona, pospolitego błazna, którego nasz Henryk VIII żartobliwie ogłosił swym piekielnym proboszczem. Poza tym zachwycono się jeszcze mizernymi poematami nędznego Johna Donne[^], niegdyś dziekana Św. Pawła. Tego Ben, trącony na umyśle, ogłosił «pierwszym poetą naszego wieku, a nawet - pod pewnym względem - wyższym od Edmunda Spencera. Wszystko to razem wprowadziło mnie w taką złość, że wyszedłem”.

James badał pana Milтона dalej i postawił takie pytanie: „Wierzę, że poeci szukają towarzystwa innych poetów, więc nie wątpię, iż należałeś waść do wybranego grona z otoczenia lorda Falklanda z Great Tew, gdzie mieszka, tuż za Woodstock. Tam nikt nie dzierżył berła i nie narzucał się towarzyszom, nawet sam lord Falkland”.

„Oczywiście, że nie, bo jakże by mógł tak dalece korzystać z przypadku, jakim jest urodzenie? - zawołał pan Milton. -Mały, czarnooki wierszokleta, z włosami jak tatarak, o nędznej gębie i przykrym głosie, którym rozprawia o wielu uczonych sprawach, nie znając dobrze żadnej. W swoim czasie szeroko otworzył swój dom ludziom różnych fakultetów, by mogli studiować w jego zasobnej bibliotece. Jednakże albo osądzić nie umiał, kogo warto zaprosić, albo też nadużyto jego gościnności, bo, słowo daję, że pośród tych, co przybywali do Tew, mało kto wart był podziwu.

Pamiętam, że odbyło się tam liczne zebranie, czy cornwium^[26] londyńskich luminarzy - prawdziwy wylew z wezbranej «Czarciej Gospody». Sam stary Ben był zaproszony, pijany jak bela, w odzieniu dziurawym - istny furman - z gromadą ludzi tego pokroju co Carew, Waller, Suckling i Montague, tłoczących się za nim. Ja zaś zaproszony nie byłem. Za wyróżnienie to sobie miałem - nie za obrazę. Ben miał bowiem zwyczaj wypełniać sobą całą scenę i wychwalać się nieustannie. Mówił tylko o sobie. Słyszałem, że ostatnio lord Falkland przepędził owych domniemanych poetów i woli bawić się filozofią. Przyjął więc za mistrza niejakiego Chillingwortha, ponurego typa z Oksfordu, który się uważa za teologa (bo zaiste jest chrześniakiem tego małego arcybiskupa Lauda o czerwonej gębie i ogolonym łbie). Był on czas jakiś papistą, a teraz obwołali go drugim Richardem Hookerem z powodu jakiejś głupiej książki, którą napisał, jak gdyby nie dość im było jednego bożyszczka - *Hierarchii eklezjastycznej*. To ten sam, który posłużył arcybiskupowi za szpiega i uwiadomił go, kiedy mój dawny nauczyciel, pan Gili, ostro się wypowiedział przeciw królowi w mleczarni waszego kolegium w Christ Church”.

„Dobrze znam pana Williama Chillingwortha - rzekł James. - Jest moim ojcem chrzestnym, tak jak arcybiskup był jego ojcem chrzestnym, i nie szczędzi mi dowodów rzadkiej łaskawości”.

Pan Milton jednak, nie bacząc na te słowa, prawił dalej: „Poza Chillingworthem lord Falkland powołał jeszcze dra Sheldona z kolegium Wszystkich Świętych, znającego się dobrze na interesie, człowieka, który sobie dworuje z religii, jeżeli nie jest ona narzędziem państwowym, oraz rozkosznego Jacka Halesa, który ma tak czułe serce, iż zaparłby się Kościoła choćby jutro, gdyby mu kazali wierzyć, że jakikolwiek inny chrześcijanin może być potępiony za odmienne zapatrywania niż jego własne. Podejrzewają go, tak jak i jego mistrza, lorda Falklanda, że jest socynianinem wedle wstrętnej szkoły w polskim Rakowie, teraz już szczęśliwie rozbitej. Precz z tym małym kurduplem!”.

„O ile wiem jednak, waszmość panie - rzekł James - uczony badacz starożytności John Selden, zanim został wybrany do Parlamentu, był tak długo gościem w Great Tew, jakby to był jego własny dom”.

„Zaprawdę - odparł pan Milton. - Pan Selden jest niestrudżonym badaczem i szperaczem po szpargałach. Skorzystałem wielce z jego wywodów. Wnioskuje jednak z dziwnej kompanii, z którą się pospolicie zabawia, przebywając w imaginowanym towarzystwie zamorskich i dawno pogrzebanych barbarzyńców, że stał się nieczuły i zatwardziały na grzechy ludzi żywych. Być też może, iż, urodzony w mizernej chacie z nikczemnych rodziców, nie znał wyborowej kompanii od dzieciństwa po dzień dzisiejszy”.

„A co powiesz, waść - pytał dalej James - o panu Sandys, który przetłumaczył dzieło Grotiusa...”

[26] Zgromadzenie (łac).

„Dla Grotiusa żywię głęboką cześć - przerwał mu pan Milton. - Miałem zaszczyt poznać go, gdy byłem - trzy lata temu - za granicą i ubolewam że to, co wyszło spod jego pióra, przełożył na angielszczyznę Georgie Sandys w sposób iście barbarzyński! Czytałeś może jego nedorzeczne tłumaczenie Owidiuszowych *Metamorfóz*? Choć uważam Owidiusza za skamlącą miernotę, ma on przecież śpiewność. Sandys krzywdząco pozbawia go i tego i zostawia nieodziane sprośności tam, gdzie były przedtem pięknie ustrojone. A jego wierszowane Pismo święte to już jest naprawdę nieprzystojne! Wydaje mi się, iż ten twój lord Falkland gratulował mu wierszem z powodu tłumaczenia Psalmów, mówiąc, że wstrząsa on pył z uroczystej liry Dawida». «Strząsa pył», zaiste? Na lirze Dawida leży pył złocisty jak pyłek w kielichu lilii. Sandys jednak, który tyle wie o języku hebrajskim co osioł o warzeniu piwa i nie zna ani lęku, ani czci dla nieśmiertelnej poezji

Dawida, nierozumnym rykiem zmiata ową złocistą kurzawę i miast tego wytrząsa kurz węglowy i sadzę z kopcącego pieca”.

Widząc, że mu się w tej rozmowie nie wiedzie, mój brat ekskuzował się i prosił, aby mu wolno było przecwałować przez szerokie, świeżo zorane pole, by zmęczyć konia, który mu się zbyt rwał w cuglach.

Teraz więc pan Milton został ze mną sam na sam po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy. Długą chwilę nie mówił nic. Ja też milczałam. Postanowiłam nie wyjawiać mu swych myśli i zapatrywań, dopóki nie zechce sam o nie zapytać; wreszcie rzekł: „Włosy twoje radują me oczy, dziecko drogie. Zapewne Ewa miała warkocze jak twoje”.

Odparłam szczerze: „Cieszę się, że waści tak się podobają. Co rano szczotką nadaję im połysk”.

Na to on rzecze: „Odkąd cię ujrzałem po raz pierwszy, wspomnienie twych włosów prześladowało mnie, narzucały mi się one i stawały między mym okiem a każdą książką, jaką tylko brałem do ręki, choćby nawet było to Pismo święte. Wiły się nęcąco, węzowym ruchem, aż zdławiwały sens tego, co czytałem”.

Jeżeli waści przeszkadzałam, serdecznie żałuję”, odparłam, udając niewiniątko.

„Nie był to ani pierwszy, ani jedyny raz, że mnie włosy usidliły - powiedział - ale twoje pętle zaciągnęły się najmocniej. Gdy jednak stwierdziłem, że żadnym rozumowaniem ani też ascetycznym ćwiczeniem nie mogę ani uchylić, ani powstrzymać tego dziwnego upodobania oka, a zarazem, iż jedynie włosy dziewic mają takie działanie, moje przerażenie ustąpiło. Uspokoilem się. Uznałem, iż to wola boża ode mnie żąda, bym jej pokornie uległ i wszedł w związki małżeńskie, przed którymi się wzdragałem z wielu powodów. Odtąd będzie mi wolno napawać się widokiem twych włosów i już wkrótce dzięki poufałemu obcowaniu dzień i noc - nie będę tak ciągle nawiedzany tym obrazem, podobnie jak mnie nie nawiedza obraz moich uszu”.

„Niewiele wiem o tym, jak należy postępować w świecie - rzekłam - ale to wydaje mi się osobliwym dla mężczyzny powodem do zabiegania o rękę

dziewczyny. A może zechcesz mi, waść, jasno powiedzieć, jakie miałeś powody stronienia od małżeństwa?”

Wtedy zaczął do mnie mówić prostym językiem, bez zwykłego krasomówstwa i zawilosci: „Skoro masz zostać własną moją żoną, wyjawię ci to, co dotąd skrywałem przed wszelkim żyjącym stworzeniem. Gdy zostałem poetą, uczyniłem prywatny ślub czystości, tak jak inni, gdy wstępują do zakonu. Aby być poetą całkowicie, człowiek musi mieć życie przyjemne i wolne od trosk związanych z kupiectwem lub gospodarstwem wiejskim; na takie właśnie życie mądry i wspaniałomyślny ojciec mi zezwalał. Poeta musi też wyśledzić i zgromadzić znaczne zasoby przeróżnych wiadomości i powiązać owe sztuki i nauki w zrozumiałą i przystępną całość filozoficznego systematu; musi zabawiać się do woli muzyką, a także wozami zagranicznymi. Jednakże to wszystko, według mnie, jest niczym bez doskonałej czystości. W czystości ma swoje siedlisko magiczna władza nad słowem, bez której poeta nie sięgnie po nieśmiertelną sławę i nie będzie «żywo pomykać z ust do ust wśród ludzi», jak pisał Lukrecjusz.

Jak ci już może wiadomo, istnieją dwa główne konary drzewa poezji: liryka i epos (do liryki włącza się poezję pastoralną, odę i hymn, do eposu - wielką poezję dramatyczną). Poeta w pełnym znaczeniu tego słowa, jak Homer, Wergiliusz i Dante, jest doskonały w obydwu rodzajach poezji. Niedawno, gdy osiągnąłem, według mego zdania, pewien stopień doskonałości w rodzaju lirycznym, postanowiłem wreszcie podjąć także próbę eposu (choć nęciło mnie skomponowanie paru ód i hymnów, zanim przejdę do innej twórczości). Jednakże, pomyślałem, skoro są dwa rodzaje poezji, są też i dwa rodzaje czystości, mianowicie czystość samotnego człowieka, czyli doskonała wstrzemięźliwość, i czystość małżonka, który winien nie tylko ustrzec się od cudzołóstwa, ale również nie być zbyt chciwy rozkoszy w małżeństwie dozwolonej przez naturę. Stąd wniosek, że tak jak doskonała liryka odpowiada czystości mężczyzny nieznanego białogłowy, tak epika doskonała - czystości małżonka. Zanim więc pokusi się o napisanie wzniosłego i nieśmiertelnego eposu czy dramatycznego poematu, musi mężczyzna zadowolić naturalne pragnienie ciała. To właśnie, że dotąd nie znałem cielesnie żadnej kobiety, stało się zapewne przyczyną wielkiego opóźnienia w osiągnięciu zamierzonych przeze mnie celów. Ledwo bowiem dotknąłem się tych nowych strun, pękły one i rozleciały się. Sumienie mi mówi: «pojmij żonę». Kiedy zanosząc modlitwę do Boga otworzyłem Biblię na los szczęścia i przeczytałem tekst, na który padł mój wzrok, zostałem utwierdzoony w moim zdaniu, bo były to wersety z dwudziestego pierwszego rozdziału Księgi Kapłańskiej: «Pannę za małżonkę weźmie. Wdowy i odrzuconej, i zhańbionej, i nierządnicę nie pojmie, ale panienkę z ludu swego».

Ród mój, jak wiesz, panienko, od niepamiętnych czasów zamieszkiwał tę samą krawędź wzgórza, po której stąpają nasze konie”.

„Odpowiedziałeś, waść, na moje pytanie z taką swobodą -rzekłam - że mam śmiałość pytać dalej. Dlaczego podałeś się za Tyrezjasza, kiedy widziałam cię po raz pierwszy w Woodstock Town End?”

„Ta kwestia również należy do mojego wywodu. Na nią więc również chcę dać odpowiedź. Dzieckiem będąc, miałem pierwotnie i śmiałość, i wigor, aż pewnego dnia, gdy doszedłem do lat ośmiu, mój towarzysz zabaw zmarł nagle, kiedy obydwoj przewracaliśmy się po trawie w Lincoln's Inn Fields. Podejrzewano, iż powodem była morowa zaraza. Kiedy wróciłem do domu, rozebrali mnie do naga i wszystko, co miałem na sobie, spalili w piekarni. Zgolili mi włosy przy skórze i zamknęli mnie w pokoju, gdzie siarka płonęła jak wulkaniczny ogień, tak iż byłem bliski uduszenia. Nie zaraziłem się i myślę teraz, że mój rówieśnik zmarł z innych powodów. Ale od owej chwili, przez wiele lat, dopóki włosy mi nie odrosły i nie były równie długie jak uprzednio, byłem słaby i dziewczęcy, cierpiałem na bóle głowy, migreny i złe wapory. Pochodziły one z żołądka i uderzały do mózgu. Wtedy też napastowały innie dziwne upodobania miłosne do osób mojej płci. Prawdę mówiąc, w stosunku do jednego, zmarłego niedawno przyjaciela, w którego żyłach płynęła włoska krew, miałem uczucia raczej troskliwej żony niż ufego towarzysza. Dotąd pamiętam, jak kobiece serce pragnie mężczyzny, ale gwoli wrodzonej przyzwoitości jego i mojej nie staliśmy się kochankami. Toteż wspomnień swoich nie potrzebuję się wstydzić.

Tyrezjasz, który, jak podają Grecy, zabił świętego węża, zmienił się tym sposobem na jakiś czas cieleśnie w kobietę. Toteż skoro odzyskał męskość, stał się tym lepszym poetą, iż był swej męskości tak długo pozbawiony. Po to bowiem, aby stać się poetą w całej pełni, trzeba posiadać moc wkładania zręcznych przemówień w usta niewieście. Pewien jestem, że Grekom chodziło w tej legendzie nie o zabitego węża, lecz o wijące się wężowe sploty, nieszczęsnym trafem zgolone. Bo święta siła mężczyzny mieszka w jego włosach, jak to powiedział Pan do Mojżesza, mówiąc o kapłanach, synach Aarona: «Nie uczynią łysymi głów swoich». Podobnie rozumiano tajemnicę Samsona i hebrajskich Nazarejczyków. To samo wnioskować można z historii Rzymian, którzy - skoro niemądrze wyzbyli się swych włosów - wyzbyli się również dawnej republikańskiej cnoty, swej chluby, i stali się najpierw zniewieściałymi rebeliantami, a później niewolniczymi hołdownikami cesarza, wreszcie zaś łupem pożądliwych, długim włosom porośniętych barbarzyńców. Zauważ też, jak kapłańska i zakonna tonsura szkodzi mądrości i nauce: jak giną pełne chwały sploty starej Grecji, a prawdziwa religia ulega zepsuciu! Jak wiemy z dawnych opowiadań, potężni bardowie naszej wyspy nie godzili się na utratę splotów i przez to zachowali swą moc wieszczą nienaruszoną”.

Tu pan Milton zamilknął. Liczył na to, że mu odpowiem. Aby go ułagodzić (gdyż mowa jego była gwałtowna i pełna patosu), rzekłam, iż to dawne obcięcie jego włosów stało się może powodem, że odrosły potem tym silniej jak u Samsona, gdy był w więzieniu w Gazie.

Ta moja uwaga sprawiła mu przyjemność. Rzekł do mnie, iż gdy pisze wiersz, nic nie pije innego, tylko czystą źródlaną wodę, jak to czynili Nazarejczycy albo Tyrezjasz czy Homer. Potem śmiało mnie zapytał, czy nie uważam, iż ma piękne sploty na głowie.

Odrzekłam tylko: „Tak, waszmość panie. Nie widzę w nich nijakiej wady”. Ta skąpa odpowiedź mocno ubodła jego dumę, ale nic nie odrzekł. Kłamać nie mogłam, a pamiętałam, że włosy Muna były dłuższe, bardziej jedwabiste, gęstsze i piękniej się wiły, a o ile były szlachetniejsze, tego się nawet powiedzieć nie da. Ukryłam jednak swą myśl, dodając: „Dostało mi się tyle niezасłużonych pochwał dla moich włosów, a tak niewiele dla reszty mojej osoby i dla jakichkolwiek moich zalet, że nie budzą we mnie podziwu piękne włosy u innych”.

„Musisz jednak wzbudzić w sobie podziw dla moich - rzekł - skoro mam zostać twym mężem. A teraz mam ci jeszcze rzec coś więcej. Pomiedzy kobietą a mężczyzną niemal wszystko polega na przeciwieństwach. Gdy więc kobieta obcina włosy, które są ukoronowaniem jej chwały, wyzbywa się kobiecego wdzięku, a staje się pożądlivą, nieprzystojną w mowie wiedźmą, o sile równej męskiej i popada w nienaturalne skłonności. Zważywszy przeto, że mężczyzna pragnie znaleźć w żonie uległość i pokorę serca, w przezorności swojej przeznaczyłem cię na żonę, mając pewność, iż obfitość włosów świadczy o czysto niewieściej naturze w tobie”.

„Ufam, że masz rację, waszmość panie - odrzekłam, darząc go poważnym spojrzeniem. - Mogę być prostą i nieuczoną, ale mam nadzieję, że nie wydam ci się zbyt śmiałą”.

James uganiał za zającem, który umknął, gdy jego chart ruszył na innego. Potem, zmęczony, dał pokój gonitwie i przyłączył się do nas. Nakłonił pana Miliona, by mówił o wierszach, które pisze lub też pisać zamierza. On zaś rozpowiadał tak obszernie i wymownie, że wypełniło to czas aż do samego Wheatley (gdzie obejrzał włości bardzo uważnie) i do połowy drogi do domu. Mówił nam o swoim wielkim i dostojnym dramacie, podzielonym na pięć aktów, któremu dał tytuł: *Adam wygnany z Raju*.

Jeszcze przed pierwszym aktem - mówił - jest prolog, w którym Mojżesz opowiada, jak przywdział prawdziwe swoje ciało po zniknięciu sprzed ludzkich oczu na górze Pisgah. Ciało to nie podlega zepsuciu dzięki działaniu przeczystego wiatru, rosy i chmur; a stało się takim od chwili obcowania z samym Bogiem na górze. Potem, jako że nieprzystojnym by było uczynienie widowiska z nagiego mężczyzny (a jeszcze bardziej z nagiej kobiety) Mojżesz powiada widzom, że Adam i niedawno stworzona jego małżonka, Ewa, są razem z nim na scenie, lecz niewidzialni. Ich niewinność strzeże ich przed oczyma grzeszników.”

„Chytry to i ostrożny wybieg przed trudnością - rzekł James. - Proszę, powiedz mi, waść, jak przebiega akt pierwszy”.

„W pierwszym akcie ukazuje się archanioł Gabriel, kreśli obraz Raju i tłumaczy, że odkąd stworzona została ziemia, przebywa na niej równie często jak i w niebie. Chór aniołów pyta, czemu się ukazuje tak często. A on powiada, że od chwili buntu Lucyfera musi czuwać nad tą wspaniałą nową istotą, jaką jest człowiek, by nie dał się Lucyferowi uwieść. Na to wkracza Sprawiedliwość, Miłosierdzie i Mądrość (promieniejące silnym blaskiem) i prowadzą dysputę nad losem człowieka, w razie gdyby upadł. Wtedy chór śpiewa wielki Hymn stworzenia ze strofą i antystrofą. Jednakże do tego aktu zostało mi dotychczas objawionych zaledwie kilka urywków wierszy, a do drugiego na razie jeszcze nic. Ale wiem, że w drugim akcie pojawia się Lucyfer, już powalony przez Archanioła Michała, oplakuje swój los i szuka zemsty na człowieku. Na widok Lucyfera chór chce mu stawić opór i zwiastuje wieść, iż znalazła się piękna niewiasta dla strzeżenia mężczyzny przed samotnością, więc Lucyfer niech na zwycięstwo nie liczy. On zaś przeczy im: spodziewa się bowiem, iż zadanie jego tym samym zostało ułatwione. Poróżnione strony wiodą dysputę, po której Lucyfer odchodzi, a chór śpiewa drugi wielki hymn walki i zwycięstwa w niebie nad Lucyferem i jego współnikami”.

„Czy napisałeś, waść, jakąś część aktu trzeciego?” - zapytał James.

„Napisałem - powiada pan Milton - i chociaż jest to niewiele ponad dwadzieścia pięć wierszy, byłbym niewdzięcznikiem wobec Boga, gdybym nie wyznał szczerze, iż jest to dzieło wzniosłe. Najpierw ukazuje się Lucyfer i lży. Dalej Adam i Ewa, którzy już dali się uwieść przez węża, pojawiają się zmieszani, przyodziani liśćmi. Sumienie jest postacią idącą za Adamem i oskarża go, a Sprawiedliwość wzywa człowieka, by stawił się przed Bogiem dla rozsądzenia sprawy. Tymczasem na scenie pojawia się chór, który otrzymuje od anioła wieść o tym, w jaki sposób człowiek upadł”.

„Czy Sumienie nie idzie też za Ewą? - zapytałam. - Czy ona nie jest również wezwana na sąd?”

Pan Milton nie dał odpowiedzi, lecz podniósł nieco głos, jakby ostrzegał, by mu nie przerywać dalszego wywodu: Jak już mówiłem, ten akt kończy się opowiadaniem o upadku Adama. Akt czwarty jeszcze nie dojrzał - przetrawiam go. Adam i Ewa ukażą się znowu, aby się oskarżać nawzajem. Szczególnie Adam wini uparcie żonę. Wtedy ukazuje się znów Sprawiedliwość, wiedzie z nim dysputę, bierze górę w tej batalii, a chór udziela mu nagany i wskazuje na bunt Lucyfera jako na przykład zgubny. W akcie piątym i ostatnim zjawia się anioł z mieczem, by wypędzić z Raju grzeszną parę. Przedtem jednak anioł ukazuje Adamowi postacie wszelkiego zła w życiu i na świecie, a on, zdjęty trwożą, nadaje im (tak jak już nadał wszelkiemu stworzeniu) nazwy straszliwe i nowe: Trud, Nieszczęście, Nienawiść, Wojna, Zawiść, Głód, Zaraza, Choroba, Lęk. Są to postacie dotąd nieznanne. Adam jest upokorzony, ugina się, rozpacza. W końcu ukazuje się Miłosierdzie, pociesza go, obiecuje Mesjasza, przywołuje Wiarę, Nadzieję i Miłość, które udzielają Adamowi pouczenia. Adam jest

skruszony, oddaje chwałę Bogu, poddaje się wymiarowi kary. Na zakończenie odzywa się jeszcze chór krótką pieśnią”.

„Proszę, powiedz mi waść więcej o matce naszej, Ewie - rzekłam. - Czy ona naprawdę, jak to wynika z twojej opowieści, nie zaznała wyrzutów sumienia ani żalu?”

„Mój dramat nie nosi tytułu *Sławna historia Adama i Ewy*, jak ty byś pragnęła, ale *Adam wygnany z Raju* - odrzekł surowo pan Milton. - Adam jest płci doskonalszej, więc on jest protagonistą, a Ewa tylko przypadkowym narzędziem czy dodatkiem w jego zbrodni przeciwko Bogu. Ona cierpi razem z nim, skoro pierwotnie była jego żebrem, wyjętym podczas snu. Jest jego żoną, więc stanowi z nim jedno ciało. Nie staje przed Bogiem odrębnie, ale jest objęta karą męża i niewymieniona w sposób bardziej szczególny niż inne jego żebra, tak samo obciążone winą, a do owej chwili połączone z jego kośćmi. To przez głupotę Adam się zastawiał winą Ewy i rozgniewał Boga. Postąpił jak nieposłuszne dziecko, które stłukło kubek lub miskę i płacze: «Matulu, to nie ja stłukłem, to moja ręka!»”

„Czy to znaczy - zapytałam - że kobieta może postąpić źle tylko wtedy, gdy jej mąż też źle czyni?”

„To jest nierozważne pytanie - odparł pan Milton. - Jedynym obowiązkiem i jedyną wiedzą kobiety winno być czujne posłuszeństwo wobec męża, a jeśli on tego nie narzuci, tym gorzej dla nich obojga. Dusza niewiasty żadną miarą nie może posiadać darów wyższych nad te, które są udziałem mężczyzny ciałem z nią połączonego. Jeśli on skończy w piekle, niezawodnie pociągnie ją za sobą. Natomiast mężczyzna związany z kobietą złą może jednak ocalić duszę, porzucając kobietę, tak jak Pismo święte żąda od niego, by wyrwał oko lub obciął rękę, które są mu obrazą”.

„To smutny wniosek - rzekłam - i mocne ostrzeżenie dla ojców, aby córki wydawali za ludzi uczciwych zasad”.

Aby nadać inny kierunek rozmowie, James zapytał, na jaką scenę pan Milton przeznaczą swoje dzieło. Kierownicy bowiem zwykłych teatrów pogardliwie spoglądać będą na sztukę bez żadnego nowoczesnego posmaku kazirodztwa, morderstwa czy rozpusty: bo za takie widowiska ludzie dziś płacą najchętniej. A poza tym wiadomo, że nowy Parlament, by pomścić krzywdę prezbiteriańskiego pana Williama Prynne'a, członka Parlamentu, któremu z rozkazu króla obcięto uszy i którego długo więziono za jego książkę *Histriomasti* napisaną przeciwko komediantom i widzom, postanowił zamknąć wszelkie teatry, gdyż nie ma żadnej nadziei na ich naprawę. A przedstawienie, które pan Milton opisał - mówił James - składając się z pięciu aktów, ciągnie się w czasie poza zwykłą miarę dramatu w maskach lub interludium - gdybyśmy nawet mogli założyć, że znajdzie się wielmoża dość nabożny, aby był przekonany o wartości tematu, i dość zasobny, aby na to grosza nie skąpił”.

Pan Milton jechał dalej w zamyśleniu, a po chwili rzekł: „Śmiem przypuszczać, że gdy czasy się zmienią, Parlament da się namówić na to, aby

działać wedle mego zamysłu, to znaczy - aby zapożyczyć u Greków attyckich ich obyczaj uroczystych dramatycznych panagorii. Takie widowiska niegdyś odbywały się również w naszym kraju, a zwano je «misteria». Wówczas jednak czynione to było bez rozwagi a sprośnie przez gromady kupczyków, a nie ze szlachetną i szacowną wspaniałością z rozkazu suwerennego parlamentu. Mam na myśli, że tragedie o królewskiej wspaniałości i wystawności winny być odgrywane w takich miejscach jak Westminster Hall lub w wielkiej auli kolegium Christ Church w Oksfordzie i że zatęchłe, śmieszne błazeństwa albo prostackie, wrzaskliwe pokazy krwawego rozbestwienia winny być wszędzie prawem zakazane. Takiemu to teatrum, odnowionemu i odrodzonymu jak tysiuletni Feniks, postanowiłem przekazać mój dramat”.

W takim nastroju zakończyła się nasza rozmowa. Ponieważ byliśmy już w pobliżu Shotover, zgodnie dodaliśmy ostrogi koniom i niebawem wjechaliśmy w dworską bramę. Pan Milton przyjeżdżał do nas z Oksfordu jeszcze dwa lub trzy razy przed ślubem i prowadził długie dyskursy. Byliśmy wszyscy w domu wielce zajęci szyciem mojej wyprawy i przygotowywaniem koniecznego opatrzenia. Obiecano mi dwie czarne suknie z jedwabnej materii, ale dostałam tylko jedną, a także różanego koloru suknię do ślubu. Na same moje stroje wydał ojciec ponad sześćdziesiąt srebrnych funtów. Gdy bliżej poznałam pana Milтона, ani mniej, ani więcej go ceniłam. Zmierzyłam bowiem jego charakter i postawę już od pierwszego wejrzenia, jak to mówią *ex pede Herculem*^[27].

Postać pana Milтона (mówiąc w przenośni) nie wyrastała ponad średnią miarę, ale ufał, że przez pobożne myślenie doda sobie co najmniej kilka piędzi i kroczyć będzie przez każdą aulę lub dworską komnatę jak kolos z Rodosu. Zgadając się na małżeństwo z nim, umyśliłam sobie, że będzie się trzymał tak wyniosłe, iż całe życie spędzę, że tak powiem, z dala od niego, czego nie mogłabym zgoła uczynić z człowiekiem mniej wybrednym lub bardziej przyziemnych gustów. Tym zaś sposobem będę mogła zachować w stanie nienaruszonym ową prawdziwą i trwałą miłość, którą żywiłam do Muna. Czy trafne, czy błędne było to przewidywanie, wykażą dopiero moje dalsze dzieje.

Tymczasem opiszę nasz ślub, który się odbył w ranek tak dżdżysty, iż bracia moi musieli mnie przenieść na rękach od naszej kolasy do wrót kościelnych, bo cały chodnik między ostrokrzewami był jednym rwącym strumieniem. Babki kościelne wywróżyły z tej powodzi, że małżeństwo będzie pewnikiem bardzo płodne.

[27] nawet z nogi [poznasz] Herkulesa (łac.) Niegdyś bystry Grek, wiedząc, że trasa pewnego wyścigu została wymierzona tysiącem kroków półboga Herkulesa, obliczył długość jednego kroku, a według tej długości - wzrost Herkulesa. Bohater ów, nawiasem mówiąc, był niższy zarówno od Goegmagoga, jak i od Goliata. (Przyp. aut.)

Jednakże deszcz ucichł wraz z głosem dzwonów kościelnych, które tego dnia tak raziły moje uszy, że niemal odchodziłam od zmysłów. Niewielu z naszych krewniaków i znajomych zebrało się w kościele, gdyż niedostatecznie wcześniej uwiadomiono ich o ślubie, a także dlatego, że w ten sam dzień młodsza siostra Muna, Cary, którą poślubił był sir Tomasz Gardiner, junior, zjechała wraz z mężem z Londynu do jego dworu w Cuddesdon; z tej okazji liczna kompania pociągnęła do nich, aby pogratulować nie tylko małżeństwa, ale także uwolnienia jego ojca, sir Thomasa, seniora, z więzienia[28].

Pan Milton zrazu opierał się wymienianiu obrączek w naszym związku, gdyż uważał to za niepotrzebne i zabobonne jak krzyż przy ceremonii chrztu. Matka moja orzekła, iż co do krzyża chrzestnego może postąpić wedle upodobania, gdy ze mną spłodzi dzieci, ale że „bez obrączki nie ma ślubu”. Bez tego, powiadała, nie będzie mnie uważała za prawdziwie zaślubioną, ani ja siebie także, a w takich sprawach nie wolno postępować wbrew sumieniu. Niech pan Milton mówi, co chce, ale ona obrączki się nie wyrzeknie. Wówczas Milton ustąpił, bo chociaż proboszcz skłonny był iść mu na rękę, jednak kolatorem był mój ojciec i miał ostatnie słowo.

W uznaniu dla pojednawczości pana Milтона, który - jak się sam wyraził - „zgiął kolano w domu Remmona”, mój ojciec zakazał, na jego prośbę, zwyczajowego potykania się do słupa. Stary ten obyczaj wciąż jeszcze kwitł u nas w Oxfordshire, a ten, kto dojeżdżał do deski, używając kija miast kopii, i pierwszy deskę złamał, bywał nagrodzony barwnym wieńcem i uznany za pierwszego drużbę na weselu. Za to miał też przywilej zaniesienia do domu panny młodej okraciem na swej szyi, a gdy ją przeniósł szczęśliwie przez próg, wolno mu było zdjąć jej podwiązki, którymi ozdabiał własne nakrycie głowy. W mniemaniu pana Milтона było to prostackim i szpetnym zwyczajem. Podobało mu się za to, gdy dzieci rzucały przed nami kwiaty na drogę od kościoła aż do domu, a także gdy szli przed nami muzykanci z wesołym rzępoleniem i dęciem w rogi. Miał też uciechę ze zmagania się wyrostków o rzucane im grosze i z rozdawania dziewczętom miodowników z migdałami.

W kruchcie kościelnej, gdzie mi drużbował mój brat, Richard, odbyłam powinność swoją w tej ceremonii jak gdyby we śnie; a gdy mi wsunięto obrączkę na palec i uroczyście wymówiłam słowa przysięgi, zdało mi się, jakoby mój głos wydobywał się z innych warg niż moje, i poczułam, iż w owym dziwnie brzmiącym zobowiązaniu nie ja wypowiadam te słowa.

[28] Sir Thomas Gardiner, senior, który był niegdyś królewskim kandydatem na urząd przewodniczącego w Izbie Gmin, oskarżony został przed Izbą, iż przeszkadzał w podpisaniu przez niektóre osoby petycji o usunięcie z Parlamentu biskupów i rzymskokatolickich lordów. Został skazany na więź przez lordów, a następnie oskarżony za przeciwstawianie się Parlamentowi w sprawie władzy nad siłą zbrojną i za to, że powiedział, iż „niebezpieczną jest rzeczą narażać się na gniew królewski”. Teraz jednak był znów na wolności i cała okolica uważała go za prawdziwego męczennika. (Przyp. aut.)

Cała okolica przesłała nam dary: kilka sztuk zwierzyny podarowali Tyrrellowie, a inni wino, ryby, ptactwo dzikie, owoce i wiele innych przysmaków. W zamian za to mój ojciec rozdał kilkadziesiąt sztuk koronek od panny młodej i więcej jeszcze barwnych i ozdobnych rękawic oksfordzkiej roboty - dla upamiętnienia wesela. Przewidziano, że uroczystość weselna odbędzie się w kilku jakoby częściach. Najpierw śniadanie we dworze, na które byli sproszeni wszyscy dzierżawcy, aby napili się piwa i pojedli mięsiwa i ciast, co też uczynili wielce *żarłocznie*. Następnie zaślubiny w kruchcie kościelnej i błogosławieństwo przed ołtarzem. Wreszcie uczta w naszym domu dla szlachty i sąsiadów - z przemówieniami wygłaszanymi przy kielichu. Po czym cała nasza rodzina, konno lub w kolasach, miała się wybrać do Londynu, aby zakończyć wesele w domu pana Milтона. Małżonek mój bowiem uważał, iż nie przystoi, by niewiasta spędziła pierwszą noc po ślubie w domu swego ojca. Pomstował na grzeszny, szalony obyczaj tańców, praktykowany na wiejskich weselach. Mówił, iż te gonitwy i podskoki nie do taktu muzyki, ta sprośna, nieprzystojna mowa, to szarpanie kobiecych strojów przez męską młodzież, bezwstydnie podrywanie ich sukien - do tego on w swoim domu nie dopuści! Z obrzydzeniem widziałby też, gdyby panna młoda zmuszona była dotrzymać kroku wszystkim tancerzom, nie odmawiając żadnemu, choćby ten był pijany, ospowaty, prostacki, niezdarny i cuchnący. Rzekł również, że w noc poślubną musi mieć prawo postawić straż u drzwi sypialni, aby rozwydrzeni chłopcy i dziewczęta nie śpiewali pod progiem sprośnych piosenek i nie zaglądali kolejno przez dziurkę od klucza, jak to było w podłym obyczaju.

Z uczy w naszym dworze niewiele pamiętam z powodu mego zmieszania, które wzmogłam jeszcze znaczną ilością wypitej wiśniówki. Zaledwie wiedziałam, kto zacz, mieszając moją chrzestną Moulton z ciotką Archdale, co obie przyjęły z niesmakiem. Nawet na najprostsze pytania odpowiadałam nedorzecznie. Wiem tylko, że pan Milton w gładkiej, czarnej szacie, zdobionej jeno piękną koronką i guzami z kryształu w srebro oprawnymi, przemówił na prośbę obecnych. Wygłaszając tę mowę, nie jąkał się, nie chichotał, ani nie potykał się o słowa, jak to jest zwyczajem u pana młodego. Będąc całkiem trzeźwy, stał przez godzinę bez mała i pięknym głosem modulował, a wdzięcznymi ruchami podkreślał opowiadanie o szacownych dziejach małżeństwa od czasów najdawniejszych aż do naszych. Na zakończenie zaś wyrecytował parę strof własnego natchnienia, które chyba przeznaczone były do jego misterium, a miały je śpiewać chóry anielskie Adamowi i Ewie. Wuj Jones i paru jeszcze ichmościów twierdzili potem, że przemawiał językiem anielskim i w stan zachwycenia ich wprowadził. Jednakże rozweselona kompania posmutniała nieco, jak gdyby pomyśleli sobie: „Zdało nam się, że na dziś już koniec z nabożeństwem, a oto przyszło znów wysłuchać uroczystego kazania”. Tedy zanurzyli wąsy w puchary i popili nieco na ochotę.

Rozdział trzynasty

WIOŻĄ MNIE DO LONDYNU

Gdy tylko zakończyła się uczta weselna, pożegnaliśmy się ze wszystkimi i ruszyliśmy do Londynu: pan Milton, cała moja rodzina i ja. Panowie konno, moja matka, ja i dzieci w naszych dwóch kolasach. Nie starczyło już miejsca dla Trunco; wysłano ją więc następnego rana dylizanssem. Przy pierwszym wzgórzku, gdy konie zwolniły kroku, mój mąż rzekł do mnie przez okno kolasy: „Żono, skoro zamieniłaś nazwisko ojca na moje, zmienię także i chrzestne twoje imię. Nie cierpię bowiem tych grymasów francuskich. Pojmij, że odtąd to afektowane imię Marie, co brzmi tak jękliwie, będzie brzmiało zwyczajnie, po angielsku: Mary”.

„Mężu - odrzekłam - możesz mnie zwać, jak sobie zyczysz, ale zda mi się, iż trudno będzie przekonać moich krewnych i sąsiadów, by poszli za twoim przykładem”.

„To jeszcze nie racja! - odrzekł. - Ci z twoich krewnych i znajomych, którzy nie zechcą grzecznie się zastosować do mojej woli, nie przestąpią progu mego domu”.

Moja matka, która siedziała obok mnie w kolasie i odwróciła twarz, aby ukryć łzy, teraz utarła nos z hałasem godnym trąby i krzyknęła wyzywającym głosem: „Moje dziecko nazwałam tak na cześć jej królewskiej mości. Jak ośmielasz się waćpan zmieniać jej imię?”.

Mąż mój odparł z uszanowaniem: „Pani matko, skoro królowa jejmość dała w zastaw lub sprzedała co najlepsze klejnoty koronne, aby dostarczyć królowi broni przeciwko narodowi, czy myślisz, że jeszcze dzisiaj winniśmy jej uszanowanie?”.

„Odpowiedź, synu - rzekła na to moja matka - zależy od tego, czy jesteś wiernym poddanym, czy też przeklętym «okrągłym łbem» - tej nazwy używano teraz powszechnie - a na dowód, że nie jestem sama żoną «okrągłego łba», dalej będę wołała na mą córkę «Marie». Ufam, iż nie będziesz tak śmiały, by odsądzić ją od naszego widoku”.

„Pani matko - rzekł mój mąż - powszechnym zwyczajem przemawiają matki do swych córek pieszczoną mową, jaka im się tylko podoba. Chociaż więc nie odstąpię od tego, com rzekł w sprawie krewniaków mojej żony, żądając, aby nazywali ją Mary, zaznaczam, że nie miałem na myśli jej ojca lub matki, mówiąc o krewniakach.”

„Ton discours est parfaitement gentil, mon beau petit beaufils!”^[29] - zawołała moja matka drwiąco.

[29] Twoja mowa jest niezwykle dworna, mój piękny zięciuniu! (fr.)

Tak oto kłótnia została stłumiona i jechaliśmy dalej w milczeniu. Gdy się dziwiłam, że skręcamy na gościniec do Abingdonu, powiedziano mi, że nie jedziemy prostą drogą do Londynu, lecz na noc zajedziemy do domu brata mężowego, Christophera, młodego prawnika, który osiedlił się w Reading, a jakiś przypadek przeszkodził mu stawić się na nasze wesele. Gdyśmy się zbliżali do mostu miejskiego, doszedł nas zza rzeki wielki hałas i głos trąb. Przez most zbliżali się obdarci jeźdźcy, stanowiący forpocztę pochodu, który u nas zwano „dziką muzyką”, a tu i ówdzie nazywano skimmington. Tym to sposobem wydaje się na pośmiewisko niewiastę cudzołożną lub sekutnicę, prowadząc ją w szyderyczym tryumfie. Kiedy nas jeźdźcy ci mijali, dąc w wole rogi, bijąc w kotły i garnki i krzyząc: „Z drogi, rogate wszyscy, z drogi!”, pan Milton nie chciał ustąpić i uderzył groźnie w rękojeść szpady, ale moja matka wrzasnęła do stangreta: „Ned, zjeżdżaj z drogi natychmiast, tu na prawo, w bramę tego dworu!”.

Następna kolasa wjechała tuż za nami, w samą porę, by nie wstrzymać pochodu, a gdy mój mąż zobaczył tłum za jeźdźcami, rozmyślił się i wjechał za nami. Na przedzie pochodu kroczył pomyłony starzec z długim, siwym włosem, odziany w kubrak skórzany i dziurawe buty. Dmuchał w piszczałkę taką, jakiej używają na wsi domokrażcy, którzy zajmują się kastrowaniem knurów. Za nim na ośle jechał chorąży z kobiecią zapaską na drągu miast sztandaru, a wedle niego szli obdarci kobziarze, wygrywając znaną melodię *Zielone rękawki* prostackim jęklwym rytmem. Za tymi obdartusami jechała stara wiedźma, prawdziwa Baba Jaga z wyglądu, na chudej szkapie. Po obu stronach siodła miała kosze wypełnione ludzką mierzwą, którą rozrzucała chochlą bez różnicy w tłum lub za siebie na świtę. Koń zaś miał umocowane na łbie papierowe jelenie rogi. Potem jechały główne osoby pochodu, mała, drobna kobieta o rysach ostrych, siedząca okrakiem na koniu, bez spódnicy, ale z wielką, drewnianą chochlą w ręku, a przywiązany plecami do niej, twarzą do końskiego ogona, siedział wielki, czerwony na twarzy mężczyzna, jej mąż, z kądzielą w ręku.

Idący po bokach drągale, przebrani za heroldów, grozili im wciąż pałkami, o ile żona nie biła męża chochlą, a on pilnie nie prządkł. Za nimi ciągnęła najmizerniejsza ludność miasteczka, mężczyźni i kobiety zaopatrzeni w przeróżne instrumenty muzyczne, chwyczone na ośle, to z kuchni, to ze straganu, to z obory na wezwanie uczestników pochodu. Rozlegało się takie trzaskanie garnkami i skopkami, takie brzdąkanie na drumlach, takie bębnienie piszczelami w drewniane solniczki, takie dzwonienie kluczami i szczypcami, jakich nigdy w życiu nie słyszałam.

Moi rodzice, siostry i mali bracia boki zrywali na ten widok. Mój mąż spoglądał ponuro i podśmiewywał się z cicha. James z niesmakiem odwrócił oczy od widowiska, spoglądając ku łabędziom na rzece. Mnie zaś ogarnęło przede wszystkim zdumienie i obrzydzenie wobec barbarzyństwa tych łyków, bo choć nieraz słyszałam drwiące groźby urzędnika owej „dzikiej muzyki”,

nigdy tego dotąd nie widziałam. Gdy bezładny pochód nas minął, mój mąż rozpoczął uczony dyskurs na ten temat z moim ojcem, twierdząc, że taki rodzaj podłej maskarady zazwyczaj towarzyszył rzymskim wodzom, gdy przejeżdżali przez swe rodzinne miasto w boskim triumfie; przypominało im to niejako ich śmiertelność. Przypuszczał też, że w podobny sposób skimmington w dawnych czasach towarzyszył wspaniałym pochodom weselnym, w obrzydły sposób przypominając mężowi i żonie o niezmiennym stosunku mężczyzny i kobiety: on - bezwzględny władca, ona - chętna i nadskakująca sługa.

„Niemniej - rzekł mój ojciec - choć w Anglii żona jest de jure^[30] jeno sługą i bydłkiem, mówiono mi, że gdyby zbudowano most od Calais do Dover, wszystkie białogłowy całej Europy pospieszyłyby do nas. Gdyż de facto^[31] Anglik jest tak pełen uszanowania i czułości dla żony, iż sadza ją na najprzedniejszym miejscu przy stole i zawsze po swojej prawicy. Nie zmusza jej też do ciężkiej pracy lub trudów, którymi może bez wstydu się obarczyć”.

Na to mój mąż odparł drwiąco: „Słusznie tak mniemasz, panie ojcze. Niektórzy Anglicy, a także Walijszczyki, są ponoć tak ustępliwi wobec swych żon, że dama ma najlepszą komnatę w domu, aby tam folgować swoim waporom, podczas gdy pan domu zapisuje rejestry w ciemnej komórce, która jeszcze w dodatku służy pani za bieliźniarnię”.

„Tu mnie ubodłeś, mój panie - rzekł wesoło mój ojciec -lecz wiano mej żony wyniosło pełnych trzy tysiące funtów, gdyśmy stanęli na ślubnym kobiercu. A wiadomo: kto płaci za skrzypce, ten wybiera taniec”.

Wtedy mój mąż rzekł jakby od niechcienia, z uśmiechem do mnie: „Żono, czytałem niedawno w *Zapiskach* pana Richarda Hakluyta, jak to jest u Moskwiczan, jeśli dwoje się kocha. Mężczyzna między innymi darami posyła dziewczynie knut, aby wiedziała, czego się spodziewać, jeśli go obrazi. I taki jest u nich zwyczaj, że jeśli kobieta nie jest bita choć raz na tydzień, to zdaje się jej, iż nie jest kochana, i staje się tym gorsza. Żony tam bardzo są posłuszne i nigdy nie ruszą się z domu, chyba w określonych porach. Jeśli mu żona się staje całkiem wstrętą, mąż ją przepędza, który to przywilej otrzymali z pewnością od greckiego Kościoła, gdy się pierwotnie nawrócili”.

Nic na to nie rzekłam, ani: „Panie, zmiłuj się!”, ani nawet „Och!”

Dotarliśmy do Reading już po ciemku i zjedliśmy kolację w domu pana Christophera Milтона, a mianowicie: tuczone kurczęta, które się jednak nie umywały do naszych, świetnego łososia, groszek zielony z masłem, sałatkę z karczochów i dużo truskawek i wiśni. Pan Christopher był przyjemnym człowiekiem, mającym bystrość umysłu właściwą prawnikowi, ale bez cienia tej surowości, którą wyróżnia się mój mąż.

[30] w myśl prawa (łac.)

[31] w istocie (łac.)

Bliższy też był naszej rodzinie sposobem myślenia w sprawach religii i polityki. Żona jego, Thomasine, była wdzięczną i bardzo dobrą kobietą.

W czasie sporu przy kolacji mój mąż dowodził praw Parlamentu, wykładając, że to najwyższy w kraju sąd, a król nie ma żadnej władzy stawiania granic jego swobodom i przywilejom. Jego brat był innego mniemania: przytoczył zdanie dra Cowella, asystenta katedry prawa cywilnego w Cambridge, które stawia króla ponad prawem z uwagi na jego władzę absolutną. Oświadczył też, że chociaż jego królewska mość przez wzgląd na podejmowane uchwały prawne dopuszcza biskupów, szlachtę i Izbę Niższą do wspólnych z nim obrad, nie czyni tego z musu, jeno z królewskiej łaskawości. Jakież znaczenie - pytał pan Christopher - miałby próżny tytuł królewski, gdyby Parlament mógł poddać króla jęgomości prawom wstrętnym jego woli?

Wówczas mój mąż zaczął grzmieć tubalnym głosem przez stół, dowodząc, iż ta nowomodna doktryna, skrycie szerząca się w Anglii, że co się królowi spodoba, to dla narodu staje się prawem, to są zamorskie faramuszkę, trujący napitek, który Parlament rychło wyrzyga.

„Ach, Parlament! - zawołała moja matka. - Parlament może uchwalić, że gówno jest różą; mimo to, co gówno to gówno!”

Tę uwagę mój mąż zlekceważył i zawołał: „Od czterech wieków i więcej, odkąd stary Bracton ogłosił swój traktat

o prawie i konstytucji naszego królestwa, jedni po drugich w nieprzerwanym następstwie uczciwi świadkowie stwierdza li, że król Anglii nie może dla własnego upodobania dokonać najmniejszej nawet zmiany w naszych dobrze przemyślanych prawach. A więc ten wolny naród, podległy takim prawom, na jakie sam dał zgodę i przyzwolenie, nie może zostać pozbawiony ani dóbr, ani życia, ani swobód przez jakiegoś tam nędznego jakałę czy szkockiego...”

„Strzeż się, bracie - przerwał mu pan Christopher - bo moje Reading i Oksford pana sędziego Powella są wierniejszymi twierdzami niż twoje londyńskie City”.

Mój mąż nie stropił się jednak i mówił dalej: „...tak, tego jakałę, szkockiego pretendenta. Oto, bracie, jak się sprawa ma. A jeśli ktoś twierdzi, jak to uczynił niedawno doktor Roger Mainwaring, że «wola królewska i jego rozkaz wiążą obywatela w sumieniu pod karą wiecznego potępienia®», to takich bluźnierczych i obłudnych kwiatków na obliczu monarchii nasz szlachetny naród długo nie ścierpi i rychło je zedrze gwałtowną dłonią, nie szczędząc przy tym i skóry. Bądź waść pewien, że nim lato upłynie (jeśli się grubo nie mylę co do czasów, jakie nadchodzą), przyjdzie do otwartej wojny, a natenczas i ja z bronią w ręku stanę po stronie ludu”.

Pan Christopher odrzekł bardzo łagodnie: „Możesz mieć rację, bracie, zarówno co do polityki, jak co do przepowiedni. Osobiście jednak nie wierzę, że znajdzie się w Anglii dość ludzi na tyle szalonych, by stanąć do walki przeciw królowi w obronie jakiejś starej zasady wolnościowej, dziś już porośniętej grubą warstwą chwastów i mchu; ani też, że ty i ja - bo ja jestem wierny królowi jako

głowie Kościoła i jako najwyższemu dowódcy wojska - staniemy naprzeciw siebie do bratobójczej walki, jakkolwiek gorąco teraz się sprzeczamy. Spójrz, Johnie, przez okno, gdy wstaniesz jutro rano, i przyjrzyj się ludziom, gdy radośnie zmierzają na rynek. Posłuchaj, jak wymieniają wesole, sąsiedzkie powitania, i rzeknij mi wtenczas, czy naród o tak czerstwym obliczu może w jakiejś swojej części być tak zepsuty, aby popaść w wojnę domową. Daj pokój, Johnie, możesz drwić i piorunować, ale nie więcej jest dzisiaj znaków na wojnę w Anglii niżli śladów przymrozku na moich truskawkach”.

Kołysanie i rzucanie kolasy przez tyle mil po nierównej drodze byłoby mnie zmęczyło nawet każdego innego dnia, następującego po ranku spędzonym swobodnie i bez wysiłku. Teraz byłam tak zmęczona, że nawet już nie czułam się senna, lecz znowu rozbudzona, jak gdyby niespokojna, z ostrym bólem głowy, jakby mi nóż w czaszkę wbito.

Komnata ślubna była zawieszona długimi wieńcami i pachniała mocno werbeną i bożym drzewkiem. W ozdobnych naczyniach pyszniły się róże damasceńskie i goździki różnych odmian. Przy łożu stała srebrna taca, dzban wina i kielichy, a także talerz kminkowych ciasteczek i pierwsze w tym roku brzoskwinie i jabłuszka. Białe atlasowe przykrycie na łożu iskrzyło się złotym pyłkiem w świetle siedmiu grubych świec woskowych, oprawionych w kryształowy kandelabr u stóp łoża. Zara i Ann przespały się w kolasie, a teraz pełniły obowiązki drухen, rozwiązując mi sznurówkę, zdejmując trzewiki, pończoszki i bieliznę, aż zostałam wreszcie naga wśród cienkiej, lniaanej pościeli. Potem zaśpiewały piosenkę i powiedziały memu bratu, Richardowi, jako družbie, by do mnie wezwał mego męża. Wreszcie pocałowały mnie na dobranoc. Zara niczym mi nie dokuczyła, bo obawiała się mego męża; Ann zaś była, jak zawsze, słodkim, kochanym dzieckiem.

Wszedł mój mąż i zaryglował drzwi. Okiennice już były zamknięte i oto pozostaliśmy sami.

Kiedy już zdjął ubranie i wszedł do łoża, trzymając w ręku Biblię, ucałował mnie serdecznie i zaczął mi odczytywać ustęp z Pieśni nad Pieśniami, gdzie Salomon sławi panią swego serca dla jej urody: porównuje jej brzuch do brogu pszenicy, a jej piersi do sarenek dwóch, bliźnich. Potem zamknął książkę, włożywszy płatek róży pomiędzy kartki dla pamięci. Przemówił do mnie bardzo słodko i miłośnie, ale w jakimś obcym języku, który brzmiał tak osobliwie, jakby to był syryjski, czy też aramejski. Wtedy nakazał, bym wyszła z łóżka i uklękła obok niego, aby dziękować Bogu za Jego nieskończoną dobroć, że stworzył nas dwoje, mężczyznę i kobietę; i mówił jeszcze dużo innych rzeczy, które powtarzałam za nim. Kiedy zaś zakończyliśmy słowem „Amen”, uniósł mnie w górę na pościel i wziął w ramiona. Drżał cały z wielkiej namiętności. A gdy ja nic nie odrzekłam i leżałam jakby bez czucia i mowy, podniósł moją głowę, mówiąc: „Ach, skromności dziewicza, jakże cię podziwiam!” - i przybliżył czarękę wina do moich warg. Popiłam trochę, lecz chociaż pragnęłam mu się przypodobać, nie umiałam zapalić się jego namiętnością. Zalecał się do

mnie pięknym opowiadaniem o swojej podróży do Włoch w poszukiwaniu narzeczonej: jak to pewnego dnia, gdy był na uczelni w Cambridge, wyszedł na przechadzkę za miasto aż poza Grantchester, a że zmęczyła go długa nauka, usnął pod drzewem przydrożnym. Przejeżdżały dwie młode i piękne panie kolasą, a jedna z nich, która, jak się później dowiedział od świadka owego zajścia, była piękniejszą od swej towarzyszki, zakochała się w nim, kiedy tam leżał. Na skrawku papieru, który mu wcisnęła do ręki, kiedy spał, napisała ołówkiem wiersz po włosku, by mu powiedzieć, że skoro zamknięte jego oczy uwiodły ją swą pięknnością, to cóż by się stało, gdyby je otworzył! Najpilniej zasięgając wiadomości, nie odkrył jednak, kim była ta białogłowa i ruszył w podróż do Italii na jej poszukiwanie. Nie odnalazł jej w czasie swej podróży, a teraz, kiedy mnie poślubił, już jej nie żałuje.

Czyż mogłam dać inną odpowiedź jak „Och”, lub „Ach!” albo „Hm”? Mówiąc, bawił się subtelnie moimi lokami.

Od duszącej woni ziół i kwiatów spłynęło na mnie wielkie znużenie, wino zaś mnie zemdliło. Zawołałam: „Mężu, głowa moja pęka! Czy nie mógłbyś zwilżyć chusteczkę w tym naczyniu z kwiatami na oknie i przyłożyć mi do czoła?”.

Kiedyś za naszym domem w Forest Hill chart i wyżliczka zaczęły się ze sobą parzyć, a Trunco przyłapała je na gorącym uczynku. Wylała na nie wtedy całe wiadro wody. W jednej chwili ugasiła ruję samiczki. Co do charta zaś, który wabił się Jack, to stał, trzęsąc się tak głupio, że wszyscy się śmieliśmy, a on zawył żałośnie. Nieprzyzwoitością byłoby przyrównywać tamto zajście do obecnego. Ale moja niewczesna prośba o zwilżoną chusteczkę była tym razem nie mniejszym wstrząsem dla usposobienia mego męża jak ówczesne chluśnięcie wodą dla Jacka i Blanche. Wyglądał zaskoczony, zdawało się, że nie wierzy własnym uszom. W pierwszej chwili nie wiedział, co rzec. Zaraz jednak wypuścił mnie z ramion i wybuchnął: „Ból głowy! Na ciało Bachusa i na Wenery słodkie mleko, słuchajcie tej niewdzięcznej, flegmatycznej nieszczęsnicy! Tu, gdzie każda inna by mdlała, upojona zbytkiem poezji i wina, modlitwy i woni róż i werbeny - nie w rozpuście ani w igraszce, ale w świętym i prawym związku małżeńskim - ta nędzna kłoda jęczy, że ma ból głowy, i chce, bym na jej czole kładł mokrą szmatę!”.

„Nie chciałam cię obrazić, mężu - szepnęłam - ale gdybyś miał ból głowy taki jak mój, śmiem twierdzić, że byłbyś mniej poetyczny i roznamiętniony. Jeśli kochasz mnie prawdziwie, tak jak powiadasz, dasz mi to, o co proszę”.

„Nie, dziecko - odrzekł - kocham cię zbyt prawdziwie, by ci pobłażać i ustępować w takich kapryсах, które są zniewagą. Jestem twym mężem, a nie szczerzącym zęby gachem, przed którym wzgardliwie upuszczasz rękawiczkę, by się uniżył, podnosząc ją. Ani nie jestem śliniącym się wyżłem, któremu rozkażesz «aportuj!». Jeśli ci trzeba mokrej chustki na czoło, pozwalam ci, abyś poszła po nią sama!”.

Popłakałam trochę, ale z bólu i urazy, nie z tkliwego żalu nad sobą. Wstałam z łoża, trzymając się za głowę, bo mi w niej pulsowało jak w bębnie, i na chwiejnych nogach doszłam do okna. Umoczyłam palce w wodzie i zwilżyłam nią skronie. Wzięłam ze stołu jedwabną chustkę, aby nią czoło przewiązać, ale on wrzasnął na mnie, bym nie tykała jego szat. Naga, potykałam się po komnacie w poszukiwaniu własnej chustki. Skoro nie pozwolono, by Trunco jechała ze mną (ona byłaby starannie ułożyła moje rzeczy w szufladzie przed nocą), nic nie znalazłam i żałośnie powróciłam do łóżka.

„Nie miewam na ogół bólów głowy - rzekłam, chcąc ułagodzić mego męża, który siedział na łóżku wyprostowany i patrzył na mnie spode łba - chyba że zbiera się na burzę albo z powodu kwiatów. Dziś wieczór...”

„Kwiatów! - przerwał mi mój mąż. - Jakąż to oporną, bzdurną, roztrzepaną srokę przygarnąłem? Powietrze tej nocy jest świeże i łagodne, więc nie śmie winić pogody za ten udany ból głowy. Przeto musi uskarżać się na te cudowne róże - kwiecie piękniejsze nad girlandy z wyspy Rodos i z Saronu i od pradawnych czasów poświęcone ślubnemu obrzędowi!”

„Nie, mężu - rzekłam, oburącz ściskając skronie - źle mnie rozumiesz. Mówiłam przedtem o kwiatkach, mając na myśli, że w tej porze miesiąca...”

Wyskoczył z łóżka i krzyknął: „O nieba! Czyż to możliwe? Czy może być tak ciemna i niechlujna albo tak bezmyślna, aby w ten sposób ze mnie zadrwić? Żono, czy matka nic ci nie mówiła, że takie kwiaty plugawią męzczyznę i że mąż obowiązany jest, z prawa Bożego, opuścić żonę, gdy na nią przyjdzie jej czas?”

Zaprzeczyłam: „Nie, mój czas jeszcze nie przyszedł. Co innego chciałam rzec...”

„Słyszałem wszystko, co rzekłaś, ty jałówko miesięczna! - krzyknął gburowato. - Wiesz tak jak ja albo nawet lepiej, że ból głowy jest zapowiedzią i ostrzeżeniem przed miesiączką i że wobec tego przed świtem w czasie snu, mogłem być splugawiony”.

Był tak opryskliwy, zniecierpliwiony i uparty, a mnie głowa bolała tak dotkliwie, że nie stać mnie było na dalsze tłumaczenie. Chciałam tylko powiedzieć, że pogoda i ten okres był zazwyczaj u mnie powodem bólu głowy, ale tym razem przyczynił się do niego jeszcze turkot i trzęsienie kolasy. Dla ułatwienia pozwoliłam mu na razie wierzyć, że to z powodu miesiączki nie może się mną cieszyć. Nad ranem - myślałam -ból głowy minie i śmiać się będzie razem ze mną, gdy mu wszystko wyjaśnię. Tymczasem wysunął spod łoża łóżko podręczne, na które rzucił nieco pościeli, i kazał mi się tam położyć. Tak też uczyniłam, podczas gdy on leżał wsparty na jednym łokciu, odwrócony do mnie plecami, i czytał grecką książkę, którą miał przy sobie. Poskarżyłam się, że jasność świecy razi mnie, ale nie zważał na to i czytał dalej. Zakryłam więc twarz włosami i wkrótce usnęłam.

Bardzo rano obudził mnie odgłos, którego się przeraziłam, bo brzmiało to tak, jak gdyby ktoś płakał. Świece pogasły i na razie nie mogłam sobie

uprzytomnić, gdzie jestem. Kiedy sobie uświadomiłam, że była to moja noc poślubna i że jestem w Reading, pośród derek, na wysuwany łóżku, a mój mąż leży wyżej, po mojej prawej ręce, w wielkim łożu pod nakryciem iskrzącym się od złotego pyłku, i że to on płacze, nie wiedziałam, co zrobić. Z głową już było lepiej. Bolesne było dla mnie, że w oczekiwaniach swoich tak bardzo się na mnie zawiódł i teraz płacze z żalu. Mając serce czułe, byłabym niemal wszystko zrobiła, aby ukoić jego cierpienie.

„Mężu, co cię boli? - zapytałam szeptem. - Czemu płaczesz? Już mi głowa nie dolega. Czy mogę przyjść do ciebie, aby cię pocieszyć?”

Łkanie ustało, ale nie odpowiadał. Powtórzyłam pytanie nieco głośniejsze i wyraziłam żal, jeśli mu sprawiłam przykrość swoją głupotą.

Znów nie odpowiedział, tylko słyszałam, iż sięgnął po kielich z winem i powoli je łykał. Stąd wiedziałam, że nie drzemie, a jednak nie pragnie rozmowy ze mną.

Wzruszyłam ramionami, przewróciłam się na drugi bok i usnęłam. Dziki miałam sen. Widziałam szturm na irlandzki zamek, widziałam chude, straszne twarze młodych irlandzkich chłopów podczas walki na wieży oblężniczej, zbrojnych w łopaty do kopania torfu. Wkrótce pochwycili ich angielscy żołnierze, uzbrojeni w piki, i zrzucili ich z murów zamku. Twarz Muna ukazała się i zniknęła i znów się ukazała zza kłębow dymu, gdy brama zamkowa płonęła.

Gdy w parę godzin później się zbudziłam, mego męża nie było, a pani Thomasine Milton bardzo łaskawie podała mi śniadanie do łóżka. Chciała, bym nie odczuła wstydu przy wspólnym stole z rodziną. Mniemała bowiem, iż utraciłam już wianek. Zauważyłam, że mój mąż zabrał z pokoju całą swoją odzież i inne przedmioty. Ufałam, że mu się wytłumaczę, gdy wróci do komnaty na dzień dobry, i że mu oszczędzę posępnego dnia. Jednakże nie wrócił, choć długo ociągałam się ze wstaniem, oczekując tej chwili. Wkrótce Zara wpadła do pokoju, aby mnie z chichotem powiadomić, że kolasa już czeka. Gdy zesłam na dół, mój mąż siedział już na koniu. Z wyjaśnieniami trzeba więc było zaczekać do wieczora.

Wsiadłam do kolasy i większą część drogi drzemałam wtulona w siedzenie. Tylko raz czy dwa usłyszałam wezwanie, by się wychylić z okna i spojrzeć na piękne widoki, na przykład na zamek Windsor z bielejącymi, okrągłymi basztami. Mój mąż rzekł, iż w wierszu napisał o nim:

Baszty widnieją i strzelnice
Ponad głębokim cieniem drzew.

Poprawiał ten fragment pięć razy, zanim doskonale brzmiał wedle jego słuchu i rozumienia.

Jechaliśmy przez kwitnące miasto Brentford, mieszczące jeden z najbogatszych dworów króla jegomości, i przez miasteczko Turnham Green. Od miasteczka Hammersmith domy ciągnęły się nieprzerwanie po obu stronach drogi aż do końca naszej podróży. Oto Kensington. A dalej, po prawej naszej ręce, St. James's Palace z rozległymi ogrodami. Potem jechaliśmy koło

Whitehall Palace i Charing Cross, i wzdłuż Strandu. Wszystkie te sławne nazwy były mi dobrze znane, ale same miejscowości widziałam po raz pierwszy. Tak dojechalśmy aż do samego serca Londynu.

Tu panował taki zgiełk, taki krzyk, wrzaski, wołania, tak potracali się wszyscy na chodnikach, że pytałam się, czy to dzień targowy, czy też może naród się buntuje. Moja matka śmiała się, powiadając, że w mieście jest teraz dość pusto, jak to zwykle w czerwcu, gdyż wiele znakomitych osób, które nie mają miejskich interesów, wyjechało do letnich rezydencji na wieś wraz ze służbą. Wyjeżdżałam często do Oksfordu i Thame, a raz nawet do Worcester, by odwiedzić rodzinę mojej matki w Honeybourne. Ale nawet w dzień targowy żadna z tych miejscowości nie była tak pełna ludzi ani tak nie śmierdziała. Na kocich łbach ulic piętrzyła się mierzwa, której ze stułokciowego odcinka ulicy starczyłoby na nawiezenie półwłókowego pola, a wraz z mierzwą gnijące głąby kapuściane, strąki z grochu, stare szmaty i inne brudy z rynsztoków; wszystko to, parując dzień cały pod upalnym słońcem, wystarczyło, aby mi się znowu zakręciło w głowie. Nad tym wszystkim jakaś siarkowa woń i gęsty, tłusty, wstrętny dym wybuchał ze wszystkich kominów i ciągnął wzdłuż ulic. Bo, jak zauważyłam, w Londynie nie palili drzewem, jeno morskim węglem. Dla kogoś, kto się z tym zapachem w nozdrzach nie urodził, groziło to uduszeniem.

„Nie rozumiem - rzekłam - jak ktokolwiek może mieszkać w tym miejscu, a nie utracić zmysłów od hałasu albo nie omdleć od smrodu rynsztoków”.

„Prędko przywykniesz do tego zamieszania w Londynie - powiedziała moja matka - a w porównaniu z nim życie na wsi wyda ci się nudne i jednostajne. Powiadają, że dla prawdziwego łyka spod dzwonnicy Bow wszystko, co leży poza Brentford, jest barbarią, a świat chrześcijański kończy się w Greenwich. I zaiste, Londyn stał się prawdziwym środkiem ziemi, odkąd Rzym upadł. Tym bardziej że ma drugie tyle mieszkańców co dawna stolica świata”.

Na to mąż mój się przyznał, iż urodził się tak blisko Bow Church, w domu „Pod Rozpostartym Orłem” na Bread Street, że gdyby piorun uderzył w dzwonnice, dzwony by się zwały wprost na jego kołyskę.

Teraz zaczęło się błyskanie latarniami i pochodniami, bo wieczór był zachmurzony, a wysokie domy zasłaniały resztę światła dziennego. Tłumy były tak gęste, że konie nasze tylko stępa iść mogły. Raz nawet byliśmy zmuszeni zatrzymać się na całe pół godziny dla jakiejś przeszkody, która zastąpiła drogę szeregom pojazdów, a wśród nich i naszym kolasom. Gdy tak czekaliśmy, ze czterystu zaciężnej młodzieży wracało z pola, gdzie ich ćwiczano, zbrojnych w piki pobielone wapnem przeciw rdzy. Za nimi zaś kroczyło ze dwustu muszkieterów śpiewających piosenkę: *Ostatnia noc biskupów*, w której powtarzały się słowa: „Za śmiałyś, prałacie! Zejdź do nas, prałacie!”.

„Bezbożne, zapchłone psy!” zawołała moja matka, wygrażając im pięścią.

Nie wiem, jakimi ulicami jechaliśmy. Nie znałam ich wówczas tak dobrze jak dziś, ale pamiętam pierwszy widok katedry Św. Pawia, która się wznosiła potwornie wielka nad nami. Wieża kościelna, niegdyś mająca ponad pięćset stóp

wysokości, obcięta była teraz znacznie, gdyż górną część rozwalila gwałtowna wichura i rozebrano ją dla bezpieczeństwa. W końcu, przejechawszy koło Św. Marcina, dotarliśmy do wielkiej bramy zwanej Aldersgate, jednej z siedmiu bram Londynu, która ma dwie prostokątne baszty czteropiętrowe, złączone ponad ulicą przejściem murowanym.

„Tą bramą wjechał król Plaga pierwszy raz do Londynu -zawołał pan Milton w okno kolasy. - Patrzcie, jak wisi złowrogo nad nami niby sędzia”.

Spojrzeliliśmy w górę i zobaczyliśmy mglisty kształt króla, siedzącego na tronie. Był to król James, który tą bramą wjeżdżał, gdy brał w posiadanie miasto, wioząc ze sobą „szkocką chimerę władzy z bożej łaski”, jak to nazywał mój mąż.

„Bardzo śmiały ten twój małżonek - szepnęła do mnie moja matka - jako że czuje się w domu między swymi braćmi, łykami, zjadaczami bułek z masłem”.

Wówczas mój mąż zapytał ją: „Pani matko, czy nie doszło twoich uszu, co uczony pan Selden powiedział? Jako to król jest czymś, co ludzie stworzyli dla swoich potrzeb, tak jak w rodzinie jeden człowiek ma obowiązek kupowania żywności?”.

Przejechaliśmy przez bramę i w kilka obrotów kół dojechaliśmy do wejścia po prawej stronie ulicy Aldersgate, która to ulica było długa i prosta, zabudowana dużymi domami o jednostajnych kształtach. Przy wejściu wysiedliśmy z kolas i przeszliśmy aleją do ładnego, strzechą krytego domu o dziesięciu pokojach, tynkowanego na biały i różany kolor. Przed domem był ogród: trawnik, altanka z róż, szerokie rabaty białych goździków, młode morwowe drzewo i ołowiana figura chłopca z gęsią.

„To jest twój dom, Mary - zawołał mój mąż głosem, który wskazywał, że już się skłania ku przebaczeniu. - Tu wreszcie zażyjemy spokoju wśród mojego dobytku i moich ludzi. - I szepnął mi jeszcze do ucha: - Teraz będziesz mogła mnie kochać, obcując ze mną bez strachu, poddając mi się w pokorze, jak to przysięgłaś przed Bogiem”.

Przez chwilę zdało mi się, że pochwyci mnie w ramiona i przeniesie przez próg, wedle zwyczaju, ale się powstrzymał.

Pierwszy pozdrowił nas ojciec jego, John Milton, rejent. Łagodny, uważny, wielkiej słodyczy starszy pan, który wyszedł z bawialni, trzymając w ręku smyczek. Już przekroczył osiemdziesiątkę, ale żwawy był jak niejeden pięćdziesięcioletni mężczyzna i czytał drobny druk bez szkieł. Bardzo mnie honorował, nazwał słodkim dzieckiem i zaraz przyprowadził wnuczków, Neda i Johnny Phillipsów, by mnie powitali. Były to dzieci jego córki Ann, która wyszła za niejakiego Phillipsa, sekretarza kanclerza koronnego (ważnego urzędnika, podlegającego Lordowi Wielkiej Pieczęci). Owdowiawszy zaś, wyszła za mąż powtórnie za pana Thomasa Agara, który był następcą jej pierwszego męża na tym samym urzędzie. Mój mąż od dwóch lat był opiekunem swych siostrzeńców, z których starszy, Ned, miał lat jedenaście, a Johnny dziesięć. Byli to chłopcy smukli, poważni, nieśmiali, tak niepodobni do

tych trzech budrysów, moich braci, Johna, Williama i Archdale'a, jak niepodobna jest czapla do sokoła. Zdawali się też mieć wielki respekt dla mego męża. Jedyłą osobą, która prócz nich w domu zamieszkiwała, była Jane Yates, gospodyni mego męża, surowego oblicza, skwaszona stara panna, nader skromnie odziana i licząca sobie około pół wieku. Ponieważ nie było w tym domu dosyć miejsca, abyśmy się wszyscy mogli pomieścić, rodzice się tak umówili, że siedmioro mego rodzeństwa, to znaczy - wszyscy moi bracia i siostry oprócz trojga najmłodszych: George'a, Bess i Betty, [32]zanocują w domu pana Abrahama Blackborougha w zaułku Św. Marcina. Pan Blackborough, zapalony zbieracz ksiąg i pism, był krewnym mego męża, aczkolwiek dalekim.

Po wieczerzy mieliśmy muzykę - pan Milton, jego brat Christopher, który nam towarzyszył od Reading, i obaj siostrzeńcy śpiewali razem tęskne madrygały. Mój mąż śpiewał partię tenorową, jego brat śpiewał basową, a chłopcy dyskantową, dziadzio zaś pięknie im wtórował na skrzypcach. Gdy skończyli, moja matka kazała mi zagrać na gitarze, co też uczyniłam, lecz niezbyt ochoczo. I choć Powellowie wielce mi przyklaskiwali, bo zaśpiewałam, jak mogłam najpiękniej, a śpiewka była żywa i ładna, to jednak Miltonowie nie kwapili się pochwalić. Zrozumiałam, że muzyka dla nich to sprawa bardziej poważna i święta niż dla nas. Ostatnia ich pieśń tchnęła smutkiem i powagą. A ułożył ją sam dziadzio. Jedna zwrotka brzmiała:

O, gdybym skrzydła gołębie miał,
Wnet uciekłbym w kraj daleki,
Tam żyłbym cicho, żyłbym bez trosk,
Aż śmierć mi zamknie powieki.

Ja zaś wybrałam dziarską *Balladę* Humphry'ego Croucha na melodię *Wszyscy rogacze*, niestety. Pamiętam dwie zwrotki:

Wieśniak na targu kobyłę sprzedał,
Sprzedał dwie krowy i byka
I z torbą pełną aktów sądowych Poszedł, by szukać prawnika.
Rejent papiery pilnie obejrzał,
Zgarnął brzęczące monety
I wtedy rzecze: „Źle z twoją sprawą!
Wszyscyśmy dziady, niestety!”

Mam ci ja, mam ja miłą dziewczynę -Jak dama kroczy zuchwale,
Choć nie ma złota, choć nie ma srebra Ni żadnych niewieścich zalet.

[32] Mam dwie siostrzyczki noszące to samo imię: Elżbieta. Druga została tak ochrzczona, kiedy jej siostra, o cztery lata od niej starsza, w dzień chrzcina młodszej pozornie zmarła i została przez cyrulika uznana za nieżywą. Jednakże zbudziła się i żyła dalej. (Przyp. aut.)

Dumnie się pyszni, z góry spogląda Na wszystkie inne kobiety,
Gdy kroczy w tłumie babek i dziadów -Wszyscyśmy dziady, niestety!

Mój ojciec mnie zachęcał, bym jeszcze zaśpiewała coś wesołego, ale mąż mój natychmiast się sprzeciwił, mówiąc: „Nie, waszmość panie, głos twojej córki już słabnie, gdyby dalej śpiewała, może sobie na gardło zaszkodzić”. A później wziął mnie na stronę i rzekł: „Nigdy już nie śpiewaj tej ballady w moim domu, nigdy więcej. Obrażliwe to dla mego ojca, a także głupie i podłe.”

Sumitowałam się więc mówiąc: „Prawdziwie, mężu, śpiewałam tylko dla muzyki, nikogo nie myślałam obrazić”.

Na to on mi rzekł: „Melodia nic niewarta, a twój głos, choć nieszpetyny, jest niećwiczony, prostacki jak gęśliczki. Gdy zaczął brzęczeć, zdawało mi się, że to zbliżają się niedźwiedzie”.

Po czym Miltonowie jeszcze raz zaśpiewali bardzo pięknie i melodyjnie, tym razem przy harmonium, na którym grał mój mąż. Ale moi braciszczkowie zaczęli ziewać i wiercić się, więc odsunęliśmy stół i krzesła i zaczęliśmy bawić się w takie gry, jak: „Wstań, świnko, i idź”, „Ogień” i „Waszmość panie, daj mi drogę przez ogród”, z czego mieli chłopcy uciechę. Był już czas, aby poszli do pana Blackborougha, gdzie też i dziadzio mieszkał chwilowo, a nam, memu mężowi i mnie, pora była się położyć.

W ciągu dnia powtarzałam sobie, co mam mężowi powiedzieć, a gdyśmy poszli do sypialni, urządzonej pięknie jak też cały ten dom, mówkę miałam gładko ułożoną. Przyglądałam mu się, gdy cesał i zaplatał włosy w milczeniu, rozdziewał się i naciągał myckę na noc. Potem rzekł, że mam wyciągnąć łóżko podręczne i znowu na nim spać. Więc zebrałam się na odwagę i rzekłam: Johnie, mężu kochany, tak się martwię, że zeszłej nocy, gdy mówiłam o bólu głowy...” - Tu zatrzymałam się, bo on się odwrócił i zaczął czyścić paznokcie. Rzucił mi jeno przez ramię: „Dość tego, żono, nie mówmy o tym, wielka to wina twojej matki, iż cię nie uprzedziła...”.

Ale ja mu przerwałam i rzekłam pospiesznie: „Nie, nie, daj mi mówić, niczyja to wina, jeno moja. Śmieszna to pomyłka z tym moim bólem głowy, wcale nie to miałam na myśli, coś zrozumiał. A gdy wczesnym rankiem słyszałam, że płaczesz, nie mogłam tego ścierpieć i chciałam wejść do twego łóża...”.

Na to on huknął: „Czyś nie słyszała, że już nic więcej nie chcę wiedzieć o całej tej sprawie? Co było, to było. A że tak czcigodna chwila została zbezczeszczone przez głupotę twojej matki, czy też dobrowolnie przez ciebie, to już nie jest do naprawienia”.

„Ale słuchaj, mężu!...” , błagałam.

Zbladł z wściekłości. Jeśli tylko otworzysz do mnie gębę dziś w nocy - rzekł - choćby kwiląc do mnie jak kurczę, lub ośmielisz się położyć rękę na mej pościeli, zaręczam, że źle się z tobą skończy. Okres miesięczny kala przez siedem dni i nocy i wielka to z mojej strony łaskawość, że ci dozwolił spać w jednej ze mną komnacie”.

Cóż, uczyniłam wszystko, co mogłam, i już nic więcej nie dało się zrobić. Skłoniłam więc głowę na poduszkę i wnet usnęłam. A jak mój mąż noc przebył - czy spał, czytał czy płakał - tego wcale nie byłam ciekawa ani o to dbałam, tak bardzo byłam znużona.

Rozdział czternasty

POŻEGNANIE Z RODZINĄ

Trunco przyjechała do Aldersgate drugiego wieczoru. Wielce mnie uradował jej widok. Winszowała mi przyzwoitego opatrzenia domu, a jeśli miała obawy, jak nam, mojemu mężowi i mnie, będzie się powodziło razem, to pocziwie zachowała je dla siebie. Miała na strychu siennik, wspólny z Jane Yates, której pomagała w domowym gospodarstwie. Zapytałam mego męża, czy nie powinnam teraz zająć się domem. Odparł, iż nie ma potrzeby, skoro to jeszcze miodowy miesiąc. To rzekł nieco cierpko, bo miodowy miesiąc jest określeniem londyńskim odnoszącym się do takich ludzi, którzy świeżo poślubieni nie chcą nic uronić ze swego wielkiego kochania: na razie jest miód, ale odmieni się to wraz z miesiącem, kiedy ich wzajemna chęć nieco ostygnie, a słodycz miodu ich zemdli. - „Gdy twoi rodzice i cały ten rój braci i sióstr wyjedzie - rzekł - będzie czasu dość, aby zająć się tą sprawą!” Jane Yates orzekła, że przechodzi jej siły szykowanie obiadu i kolacji na taki tłum ludzi, mimo iż pomagała jej Trunco i jeszcze jedna kuchareczka, którą co dzień przywoził wozem z Highgate jej ojciec, przyjeżdżając na targ. Wtedy Trunco się ofiarowała podjąć to niemożliwe zadanie pod moim zwierzchnictwem, jeśli mój mąż się na to zgodzi. Ale on powiedział jej, iż nie powinna się wtrącać do nie swoich spraw, i zniechęcił ją do pracy. Dla oszczędności postanowił sprowadzać żywność codziennie z „Little Britain”, gdzie sprzedawano pierwsze lepsze pasztety i mięso już przyrządzone, a także był tam cukiernik, który piekł placki, przyrządzał galaretki i tym podobne słodycze; uparł się przy tym, chociaż Trunco mogła zrobić coś znacznie lepszego i o połowę taniej. Nie zezwolił też, by obecność moich rodziców przerwała to, co nazywał curriculum jego małej uczelni, z wyjątkiem jednej tylko chwili, po wieczery, między nauką religii udzielaną siostrzeńcom a jego własnymi studiami hebrajskimi, którą to chwilę poświęcał muzyce, tańcom i ogólnej rozmowie. Powellowie radzi spędzali cały dzień poza domem, bo taka surowość i regularność mierzyła ich. Pogoda wciąż dopisywała, więc znajdowali uciechę w odwiedzaniu przyjaciół i krewnych, a poniekąd przyprawiali do domu na wieczrę. Chętnie się przyglądali niedźwiedzim w parku i walkom kogutów albo najmowali łodzie, by wiosłować w górę rzeki aż do Richmond i Twickenham, a potem wracać z prądem. Zwiedzali najciekawsze zabytki Londynu i Westminsteru i chodzili do teatrów, których było wówczas pięć czy sześć, bądź po jednej, bądź po drugiej stronie rzeki. Trunco przez ten czas radośnie czuwała nad młodszymi dziećmi i poskramiała ich zawadiackie pomysły, bo mój mąż zaraz wpadał i krzyczał na nią, jeśli Bess i Georgie wrzeszczeli na siebie, albo gdy oboje dokuczali Betty. Mnie zakazał uczestniczenia w jakichkolwiek publicznych rozrywkach, nawet w towarzystwie moich rodziców, twierdząc, iż nie ścierpi, by moja dusza nasiąkała

zepsuciem. Matka moja była zmuszona do ustępowania mu. Mówiła jednak: „Chcę ci tylko przypomnieć, synu, że przez piętnaście lat sama odpowiadałam za moją córkę i jeśli jej umysł nie jest wypaczony, jak ty to nazywasz, to przez godzinę czy dwie w zwierzyńcu albo w teatrum "Pod Feniksem" na Drury Lane też się nic złego nie stanie. Poza tym wydaje mi się przykre, że moje córki, Zara i Ann, przyglądają się zabawom, a Marie nie jest do tego dopuszczona”.

Aby uniknąć kłótni, zapewniałam, że naprawdę nie mam chęci przyglądania się, jak biednego niedźwiadka psy szarpią za uszy, ani jak on się na nich mści, zgniatając im zebra własną piersią lub łapą wypruwając im flaki. Co zaś tyczy się teatru, to chętnie zaczekam, aż będę mogła pójść na sztukę Willa

Shakespeare'a lub Bena Jonsona w towarzystwie mego męża. W jednym bowiem ze swoich wierszy, które mi pokazał, chwalił tych dwóch dramatopisarzy. Mój mąż przytakiwał tej mojej mowie ruchem głowy i mówił: „W swoim czasie, wszystko w swoim czasie!”.

Nieprędko zapomnę pierwszy spacer w towarzystwie mojej matki wzdłuż Cheapside, najprzedniejszej w świecie ulicy, która ciągnie się okazale i nieprzerwanie od Paternoster Row aż do Poultry. Najpierw ujrzałam Goldsmith's Row, najpiękniejszy szereg domów, jaki można sobie wyobrazić: dziesięć domów mieszkalnych i czternaście sklepów przepelnionych naczyniami ze złota i srebra. Domy te są czteropiętrowe, a nad każdą bramą jest rzeźba bogato malowana i pozłacana; przedstawia ona myśliwego konno na jakiejś potwornej bestii. Potem widziałam „Standard in Cheap”, to jest słup kamienny, rzeźbiony w obrazy z trębaczem u szczytu; pomnik ten był zbezczeszczonej przez rebeliantów Jacka Cade'a i Wata Tylera. A potem wielkie mnóstwo pięknych zajazdów oraz Conduit, gmach wielki jak zamek, z ogromnym ołowianym zbiornikiem na wodę źródlaną, która płynie aż z miasteczka Paddington; i starożytny, złożony krzyż w Cheap (ten sam, który w rok później rzucono na rozkaz Parlamentu, jako papistycznego bożka, wśród radosnych okrzyków tłumu). Dalej wspaniały szereg bławatnych sklepów z puszystymi aksamitami, z bogatymi pasiastymi jedwabiami mieszanymi z bawełną lub indyjskimi wzorzystymi jedwabiami, jasne i gładkie atłasy, tafty przejrzyste i błyszczące, na które szalona mnie brała ochota. Wszystko to grało różnymi barwami: szkarłatem, karminem, fioletem, barwą pomarańczową, francuską zielenią, purpurą, imbirem, śnieżną bielą, barwą śmietankową, lazurową, niebieską, rudą czy też szafranową; a do tego cudne hafty i lama złota, i tkaniny srebrem i złotem lite.

Jeszcze jest wiele innych najrozmaitszych składów w Cheapside i w bocznych ulicach. W otwartych drzwiach stoją mężczyźni w fartuchach i wołają: „Czego wam trzeba, czego wam trzeba?”. Czasem, gdy widzą zamożnego przechodnia, wpychają go zgrabnie do sklepu i namawiają do kupna wrzaskliwym głosem. W głowie mi się zakręciło od patrzenia na przechodniów, między którymi zauważyłam wielu cudzoziemców. Cieszyłam się z powrotu do

domu męża, gdzie panował spokój, bo ulica Aldersgate była dostatecznie odległa od City, aby nie było tu słycać całego tego wrzasku i łoskotu.

Któregoś ranka wyszłam z moim mężem, a za nami Trunco, na plac ćwiczeń artyleryjskich, gdzie odbywał on swoją służbę ochotniczą wraz z całą kompanią z owej dzielnicy, złączoną wspólnymi dążeniami religijnymi. Mówił mi po drodze, że jego bronią jest pika, a nie muszkiet, i że piki są szlachetniejszą bronią od muszkietów, nie tylko dla swej starożytności, ale również dla wstęg, które z nich powiewają. A przy tym dowódca zawsze jest z tymi, którzy walczą pikami, muszkietery zaś zajmują flanki. On sam zajmował najbardziej honorowe stanowisko spośród wszystkich dżentelmenów władających pikami, mianowicie w ostatnim szeregu - w szeregu osłaniającym tyły, po prawej ręce; a także było to miejsce dość bezpieczne. Potem swoją szesnastopową piką, którą niósł w ręku, zaczął mi pokazywać, wciąż idąc, rozmaite postury do piki i rozprawiał o zastosowaniu każdego z tych chwytów, nie zważając na żarty łyków, których mijaliśmy na ulicy, i mrugania ich żon.

Na placu artyleryjskim Trunco i ja przyglądałyśmy się ćwiczeniom, które z wielką dokładnością wykonano. Sierżant major Robert Skippon, naczelnik Towarzystwa Artyleryjskiego, był obecny we własnej osobie. Kompanie stojące rzędem, w sześciu szeregach każda, odróżniały się między sobą barwami chust: czarnych, szarych lub rdzawych; chusta mego męża była szara. Sierżant major Skippon miał granatowy kaftan i białe spodnie. Był wieku średniego, cery ciemnej, spokojny, z małą bródką, okazałym nosem i z blizną na prawym policzku, zdobytą w niderlandzkich wojnach, w których brał udział jako prosty ciura. Nieuczony, ale chrześcijanin prawy, gołębiego serca w interesach, ale lew na polu bitwy. Miał też wielką miłość u żołnierzy. Po wykonaniu przez oddział mego męża kilku prostych ruchów kapitan wydał komendę: „Pogłębić szeregi w prawo! Każdy niech stanie za swoim pomocnikiem!”.

Zmieszany obecnością sierżanta majora Skippona, kapitan wydał komendę: „W prawo!”, lecz szablą wskazał przeciwny kierunek, z czego powstało wielkie zamieszanie w szeregach i kilku ludzi nadziało się na piki towarzyszy, którzy stali za nimi.

Trunco roześmiała się głośno na ten widok, a major Skippon wykrzyknął: „Na miejsca! Na miejsca!”. Potem zaś zwrócił się do kompanii w te słowa: „Wstyďte się, panowie z Szarej Kompanii! Czyście wy dzieci, że nie wiecie, która wasza ręka lewa, a która prawa? Cóż się stanie w dzień Sądu, kiedy zabrzmi rozkaz: Baranki na prawo, kozły na lewo? Czy wtedy niektórzy z was nie ześlizną się do piekieł, ciągnąc piki za sobą?”.

Nie mówił ostrym, drwiącym głosem, ale serdecznie i poważnie. Panowie w szarych chustach wydawali się zawstyżeni i zaczęli szemrać między sobą na kapitana. Tego dnia więcej już nie popadli w takie zamieszanie. Przyglądałyśmy się muszkieterym, którzy dawali ognia. Były to ślepe strzały. Każdy żołnierz kładł szczyptę prochu na panewkę i wypalał, przyzwyczajając w ten sposób swoje oczy do blasku, aby nie zamykać ich wtedy, gdy prawdziwie będzie

strzelał. Potem zaś jeszcze wszystkie kompanie razem ćwiczyły pod jedną komendą, wykonując takie rozkazy, jak: „Pół obrotu w lewo! Pół obrotu w prawo!” i inne. Na tym musztrę zakończono.

Zobaczyliśmy mojego męża, jak szedł ku nam w towarzystwie kapitana, tłumacząc mu bardzo poważnie, że nie dorósł do swego stanowiska i powinien je odstąpić komuś godniejszemu. Kapitan gęsto się tłumaczył, mówiąc, że jego rozkaz był zupełnie jasny, a jeśli wskazał szablą w przeciwnym kierunku, to tylko po to, aby dać znać żołnierzom na lewej flance, że mają dobrze zważać na jego słowa; ci bowiem byli najgorzej wyćwiczeni. Mąż mój jednak wcale tego nie słuchał. „Miej się na baczności, waszmość panie - rzekł surowo - bo któregoś dnia wybierzemy sobie innego kapitana”.

Postawiwszy sprawę wobec kapitana tak jasno i ostro, podszedł do nas i zapytał, która z kompanii najbardziej rycerski miała wygląd. Wielce się ucieszył, gdyśmy chwaliły szarych. Powiedział nam: „Zachowujemy między sobą prezbiteriańską dyscyplinę i co środa rano zwołujemy synod. Dlatego osiągamy doskonałość w naszych ćwiczeniach, jako że złączeni we wspólnym religijnym duchu nie znosimy ani nieposłuszeństwa, ani niezdarności”. Po czym zwrócił się do Trunco i rzekł: „Niewiasto, bardzo nieprzystojnie się śmiałaś, kiedy nasz kapitan się pomylił”.

„Nie, panie, nie śmiałam się - rzekła Trunco - a jeżeli nawet, to nie z kompanii ani z jej postawy, jeno mi się przypomniał stary żart o śledziarzu i kozie”.

„No to dalej, opowiadaj!” powiedział mój mąż, poważnym tonem wytrawnego pedagoga.

Jeśli wasza miłość zezwoli, to powiem, iż zapomniałam tego żartu, gdyż byłby nieprzystojny dla uszu mojej niewinnej pani”, odrzekła Trunco.

Jeśli będziesz bezczelna - mruknął przez zaciśnięte zęby - to możesz się doczekać batów, gdy wrócimy do domu, a uprzedzam cię, że przykładam dobrze”.

„Panie Boże, miej litość nad nami!”, krzyknęła Trunco.

Tego dnia, przed obiadem mój brat William przysunął się do mnie i zapytał szeptem: „Siostrze Milton, daj mi, proszę, zerwaną strunę od twojej gitary i pożycz mi małych nożyczek”.

„Dobrze - odparłam bezmyślnie - tylko oddaj mi zaraz nożyczki”.

Wziął strunę i pociął ją na kilkadziesiąt małych kawałków, które zebrał starannie w papier. Potem rzekł do mnie: „Siostruniu, myślę, że brat Milton jest bardzo niedobry. Ja podśledzałem, kiedy zabronił ci śpiewać tę piosenkę: *Wszyscyśmy dziady, niestety*. Przecież ty ładniej śpiewasz piosenki niż wszyscy Miltonowie i Phillipsowie w Londynie.”

„Nic tobie do tego, William, nie wtrącaj się” - powiedziałam. Ale nie mogłam się jakoś na niego gniewać, ani wtedy, ani nawet przy stole, kiedy splątał złośliwego i mściwego figła, niepostrzeżenie rzucając mojemu mężowi ścinki struny ze swego papierka na talerz gorącego pasztetu cielęcego.

O Boże, jakżeż on mnie wtedy przestraszył! Od gorącego mięsa kawałeczki struny zaczęły się wić i skręcać, jakby całe danie ruszało się od robactwa. Nic jednak nie mogłam na to wszystko poradzić, wołałam siedzieć cicho, aby nie pogorszyć sprawy.

Prócz mnie tylko moja matka widziała, co chłopak zrobił. Śmiała się po cichu, aż jej ramiona się unosiły jak koła od kolasy na wyboistej drodze. Mój mąż, który właśnie rozprawiał na jakiś poważny temat, wziął łyżkę i począł jeść mięso z talerza, i dalej mówił z pełnymi ustami, nie widząc, co zaszło. Moją matkęomal nie rozsadziło od śmiechu, aż wreszcie udała, że się dławi, i uciekła od stołu. Wtedy mój ojciec zauważył robaczki i zaczął również się śmiać, ale głośno i niepowstrzymanie, jakby z żartu, który udał się mojemu mężowi. Wtedy już cały stół ryknął śmiechem. Mój mąż dalej zajadał, wreszcie wytarł nóż o kawałek chleba. Uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł: „Głupich żartów nienawidzę, ale słony dowcip od czasu do czasu dodaje smaku najbardziej uczonej mowie”. Niestety, biedny żarcik Williama odbił się od mojego męża jak piłka tenisowa od muru kościelnego!

Następnej niedzieli rano mój mąż rzekł do moich rodziców, że mogą Boga czcić, gdzie im się podoba, ale on nie pójdzie na nabożeństwo do kościoła Św. Botolpha, bo tamtejszy duchowny jest oszczercą i trzyma stronę prałatów. Jest to mianowicie wielebny George Hall (syn biskupa Exeteru, który piórem wojował z moim mężem). Pójdzie natomiast posłuchać kazania wielebnego Johna Goodwina, doktora filozofii, w kościele Św. Stefana przy Coleman Street, a ja mam pójść z nim.

„Czy to nie ten sam Goodwin - zapytał mój ojciec - który dwa lata temu publicznie zaprotestował przeciwko kanonom arcybiskupa Lauda?”

Mój mąż odparł, iż to ten sam, a jest on także uczony w hebrajskich pismach i uważany za najlepszego w mieście kaznodzieję. Radny miejski Penington, poseł do Parlamentu i pułkownik dowodzący białym pułkiem, jest jego parafianinem i przyjacielem, tak samo jak i matka pana Johna Hampdena, również posła.

Mój ojciec odpowiedział: „No to ja zaprowadzę moją rodzinę do kościoła Św. Botolpha, bo wyznaję, że jestem zatwardziałym stronnikiem prałatów”.

W kościele Św. Stefana nabożeństwo różniło się pod wieloma względami od tego, do którego przywykłam. Co mnie jednak najbardziej uderzyło, to zachowanie wiernych. W Forest Hill ludzie wpadali do kościoła tak swobodnie jak do gospody i wesoło się pozdrawiali z daleka, zajadając chleb z masłem. Poniektóre kobiety robiły pończochy na drutach, mężczyźni zaś mieli nieraz psy przy nodze, a piwo butelkowane podawano sobie z ust do ust, wzajemnie się częstując. Wszystko to działo się na oczach mego ojca i proboszcza. Kiedyś, jeszcze za urzędowania biednego Fulкера, w czasie kazania polowano na szczura i ubito go w rogu, przy samej chrzcielnicy. Nawet „drwał” Lukę nie bardzo opanował hałaśliwe obyczaje parafian. Tutaj zaś ludzie wchodzili do kościoła z bojaźnią i drzeniem, stąpali ostrożnie wolnym przejściem między

ławkami i ani drgnęli, dopóki nie wszedł kaznodzieja. Dziwiło mnie jednak, że mężczyźni nie zdjęli kapeluszy, gdy śpiewano psalmy, a potem komunię przyjmowano siedząc, nie klęcząc.

Wielebny Goodwin był człowiekiem energicznym, ale spokojnym, z głową jak kula armatnia, ujętą w ciasną myckę, i ze wzgardliwym nosem. W czasie kazania ani się nie sadził na piękne zdania, ani nie grzmiał, nie próbował podniecać wiernych waleniem i bębnieniem w pulpit, jak czynili po większej części inni kaznodzieje. Nie rozbierał też tekstu, jak „drwal”

Luke. Sam wyznał, iż, jego zdaniem, kaznodzieja winien dbać nie o pochlebianie słuchaczom sztuczkami oratorskimi, aby mu dali wiarę, ale po prostu o wykład argumentów, które mogą ich przekonać.

Tematem kazania był werset: Jakże radosną rzeczą jest, o bracia, przebywanie pospołu w jedności!”. Kaznodzieja rozprawiał zwłaszcza o słowie „jedność”. Jedność, mówił, nie zapanuje, jeśli wszyscy wierni nie będą zjednoczeni myślą jak jeden mąż, odrzucając spośród gromady każdego innowiercę czy schizmatyka. Porównał wiernych do kompanii żołnierzy, wykazując, jak konieczną jest rzeczą dla każdego żołnierza, by stał dokładnie tam, gdzie mu wyznaczono miejsce w szeregu, by zachowywał przepisowe odstępy, by nosił te same odznaki pułkowe co jego towarzysze i aby na rozkaz kapitana „w prawo zwrot!” nikt się przewrotnie nie obrócił w lewo. Chwalił zachowanie Szkotów w wojnie przeciw biskupom. Swoją karnością dowiedli jasno, jaką potęgą byliby Anglicy na polu bitwy, gdyby mieli wolę po temu, bo przecież w liczbie, chłop w chłopa, dorównywali Szkotom. Ale taka jedność, mówił dalej kaznodzieja, musi być dobrowolną i samorzutną jednością, a nie wymuszoną na wiernych strachem lub karą. Nigdy by nie karał człowieka za to, że on, ze względu na swe sumienie, nie chce uczęszczać na nabożeństwo do tej czy innej parafii. Jeśli argumenty i życzliwość go nie przekonują, niech mu będzie wolno odejść i oczyszczać swoje sumienie w innej parafii. Wielebny Goodwin śmiało się wypowiadał za tym, aby w ramach anglikańskiego Kościoła dozwolone były niewielkie - oczywiście, tylko niewielkie - różnice zdań między poszczególnymi kongregacjami. Tak jak w armii niektóre pułki noszą niebieskie odznaki, inne białe, jeszcze inne zaś czerwone czy purpurowe, lecz wszystkie walczą ramię przy ramieniu pod komendą naczelnego wodza i są złączone jednym przymierzem.

Była to mowa bardzo śmiała na owe prezbiteriańskie czasy. Mąż mój nie był z niej w pełni zadowolony. Mówił, iż tolerancja może się stać takim samym złem jak tyrania i może dać szatanowi pełną swobodę płodzenia niezliczonych sekt. Każda z nich przypisze sobie domniemaną a bezsensowną odrębność. Jednakże, jak się później okaże, w rok czy dwa zmienił on zdanie, kiedy zaczął go uwierać twardy but jedności.

Znaleziono dla nas miejsce przy samej ambonie. Gdy odczytywany był tekst, usłyszałam za sobą ogólne poruszenie, więc zerknęłam przez ramię i śmieszne mi się wydało, że wszyscy wierni pochylają się wprzód i każdy człowiek,

mężczyzna czy kobieta, nadstawia uszu, pomagając sobie w tym ręką i udając, że w ten sposób lepiej słyszy. Mężczyźni przeważnie byli krótko ostrzyżeni, kobiety zaś ukryły swoje włosy w głębokich czepkach. Wyglądali z tym śmiesznie, niby nietoperze, a ich uszy wydawały się tak duże, że przypomniała mi się wyspa Arucetto (opisana przez Purchasa w jego *Pielgrzymie*), gdzie mężczyźni i kobiety mają uszy takich rozmiarów, że kładą się na jednym jak na łóżku, a drugim się nakrywają niby kołdrą.

Tego wieczoru mój ojciec w rozmowie z moim mężem chciał się od niego dowiedzieć, według jakiego programu uczył Johnny'ego i Neda łaciny. Miał bowiem wątpliwości, czy wielebny Proctor, który kierował nauką jego synów, celnie wybrał autorów. Mój mąż odparł, że skoro tylko chłopcy przebrną przez gramatykę Lilly'ego i będą mogli już trochę czytać po łacinie, powinni zacząć studiować czterech wielkich autorów starożytnych traktujących o rolnictwie, mianowicie: Katona, Warrona, Palladiusza i Kolumellę. A poza tym muszą studiować globusy i mapy. Wkrótce będą też czytali dzieło Witruwiusza o architekturze, Meli o geografii, Geminusa (po łacinie) o astrologii, Celsusa o medycynie, Pliniusza o przyrodzie...

„Uważaj, synu! - zawołał mój ojciec. - Katon, Warron, Kolumella mieli rację bytu w swoim czasie i miejscu. Jednakże co Anglia, to nie Włochy, bo ma klimat o wiele chłodniejszy i bardziej wilgotny. Gdyby moi synowie mieli słuchać tak przedawnionych, starożytnych wskazówek, nie mógłbym liczyć na wysokie roczne dochody z mojej oksfordzkiej posiadłości. Jeśli muszą czytać autorów traktujących o rolnictwie, to chciałbym im dać nowoczesnych pisarzy angielskich, takich jak Gervase Markham i Leonard Mascall - mniej byłoby rzeczy, których by musieli się oduczyć. Co się tyczy Meli, to Nowy Świat byłby dla niego istotnie nowy. Geminus, gdyby dziś żył, nazwałby Galileusza wariatem lubującym się w paradoksach albo żalonym błaznem. A znów Celsus by zadrzał, gdyby mu nasz dr Harvey objawił tę prawdę potworną, że krew obiega ciało ludzkie wbrew prawidłom ustalonym przez starożytnych. Czemu by moi synowie nie mieli zgłębiać raczej Cycerona, Sallustiusza, Liwiusza, tak samo jak ja?”

Na to mój mąż odpowiedział jedynie: „Co waszmość nazywasz prawdą dra Harveya, jest w istocie fantastyczną spekulacją, niepopartą dowodami rzeczowymi. Chociażbym nie zabraniał nowoczesnych dociekań i komentarzy do prac Kolumella, to jednak tam, gdzie Kolumella drzemie, nie wzywałbym takich sprośnych doboszy jak Markham i Mascall, by go zbudzić do życia. Ów zaś niedawno zmarły Galileusz, którego miałem przyjemność poznać w czasie wojażu mego do Włoch, zrobił niejedno ważne odkrycie za pomocą szkieł optycznych własnego pomysłu, jednakże gadał jak wariat, kiedy zapominając o Piśmie świętym (o tym, jak to fundamenty ziemi ugruntowane są tak pewnie, iż nic ich nie poruszy), twierdził, że ziemia jest zwykłym tylko satelitą słońca. Ale dość tego: nie mogę sobie pozwolić na prowadzenie dysputy z adwersarzem, który kleci do kupy tak nędzną całość złożoną z fałszu i z połowicznej prawdy.

Powiem tylko to, że jeśli waszmość wiesz lepiej niż twój proboszcz i niż ja sam, jacy autorzy łacińscy nadają się do nauki dla twoich chłopców, to rób, jak ci się podoba, bo mnie to nic a nic nie obchodzi”.

Wtedy ojciec go przeprosił i byłby dalej wyjaśniał tę sprawę, ale mój mąż wziął z półki książkę i zagłębił się w nią z tak ostentacyjnym zainteresowaniem, że ojciec się powstrzymał. Mój teść, żeby wyprowadzić niemiłą rozmowę na inny tor, poszedł do pewnej skrytki, otworzył ją uroczyście i wyciągnął złoty medal na łańcuchu, byśmy go podziwiali. Podawał go każdemu, z ręki do ręki. Ofiarował mu go pewien polski książę, na którego życzenie ułożył wielki utwór muzyczny, *In No-mine*, w czterdziestu częściach. „To tylko ładna drobnostka, ale ze szczerego złota - rzekł. - Więcej mnie raduje myśl, że kiedy moja ziemską powłoka zniszczyje, muzyka, którą stworzyłem, dźwięczeć będzie jeszcze długo po mnie.”

Było jeszcze wiele innych utarczek między moim mężem a moją rodziną, ale żadna ze stron nie pragnęła otwartej walki, a stary pan Milton stawał między walczącymi stronami, śmiejąc się albo powtarzając znane dykteryjki. Po tygodniu moi rodzice wreszcie się pożegnali, zapewniając o swojej wdzięczności i najlepszej woli. Przed wyjazdem matka zawołała mnie do siebie i rzekła: „Kochane dziecko, z głębi serca ci współczuję, że masz tak niełaskawego męża, ale nie daj się zgnębić i obstawaj śmiało przy swoim. Nie dawaj mu nic za nic, a za jego skąpe dary dawaj mu jeszcze mniej. Twoja piękność go urzekła, to pewne, jeśli więc postępować będziesz roztropnie, będzie ci jadał z ręki. Zapewne w naszej obecności wstyd mu okazywać swoje przymilne uczucia dla ciebie. Kiedy wyjedziemy, zaręczam ci, że czołgać się będzie u twoich stóp, aby zyskać fawory, których mu odmawiasz”.

Ja jednak dobrze wiedziałam, że nie ma co się łudzić, i z ciężkim sercem żegnałam matkę i resztę rodziny. Teraz, kiedy dom mógł powrócić do swego zwykłego trybu, a stary pan Milton do swojej sypialni, której pozbawili go moi rodzice, nasza kuchnia się zmieniła: chleb, ser, masło, miód i ogrodowizny, do tego piwo lub woda; mięsna potrawa tylko co drugi dzień; ciast żadnych ani pasztetów, ani galaretek, ani żadnych w ogóle przysmaków i frykasów - takie było codzienne życie w domu przy ulicy Aldersgate. Nie można powiedzieć, by mój mąż jadł mało, ale jadł, co przed nim postawiono, bez różnicy, jak gdyby nie wiedział, co je, i nigdy nie zasiedziało się przy stole, chyba dla dyskusji lub rozmowy. Jane Yates zamiatała i szorowała z religijnym wprost zapamiętaniem, ale kucharką była żalostną. Marnowała groszek, kapustę i kalafior, rozgotowując je na miazgę. Mięso od rzeźnika przynosiła żyłaste, a czasem tak śmierdzące, że ani Trunco, ani ja nie mogłyśmy go strawić. Mimo to mój mąż łakomie pożerał całe to paskudztwo, mając przed sobą książkę, w której notował rysikiem z czarnego ołowiu. Obydwaj chłopcy i starszy pan zanadto się bali mego męża, i Jane Yates, aby zwrócić uwagę, że nie jest to najlepsze mięso, jakie w Smithfield można było nabyć.

Kiedy parę dni po wyjeździe rodziców rzekłam memu mężowi, iż pragnę pokierować domowym gospodarstwem zamiast Jane i spróbować urozmaicić nieco nasze posiłki, a jego tym ucieszyć, odparł, że jest zadowolony z obecnego stanu rzeczy. Powiedział, że nie jest niewolnikiem swego brzucha, a lepiej *uczynię*, jeśli nie będę *czasu marnowaia po próżnicy* ani narażała go na niepotrzebne wydatki; zresztą nie należy wprowadzać zbytków, które by zepsuły smak jego uczniów, bo to, co mają, wystarcza, aby ich w zdrowiu utrzymać. Powiedział mi zarazem, że Jane Yates poskarżyła mu się na Trunco: jest pyskata, opryskliwa, leniwa, kłótniwa. To ciemna, wiejska baba, niewarta swojej zapłaty. Ostrzegł mnie, bym trzymała Trunco z dala od siebie, bo on jest tego samego o niej mniemania, co i Jane Yates. Mam pamiętać, że Trunco jest służącą, i to niewychowaną. To powiedział przez wzgląd na obietnicę daną moim rodzicom, że jej na razie nie oddali, o ile zgodzi się ona na pracę i zapłatę kuchareczki (której tego dnia wypowiedział służbę) i na spanie w kuchni na słomie.

Oburzyło mnie to i powiedziałam, że Trunco jest raczej przyjacielem niż służą, a wychowania jej nie brak, jest wprawna pokojówką. Z miłości do mnie zaniecha skarg, nawet jeśli zostanie poniżona do pracy pomocniczej w kuchni i sypiania na słomie, ale mnie honor nakazuje upomnieć się o lepsze dla niej traktowanie.

„Nie mamy tu żadnych wystawnych pokojów - rzekł - w tym skromnym naszym podmiejskim domu, więc twoja Trunco nie może być pokojówką. Nie jesteś ani tak bogata, ani wyszukana w stroju, ani (mam nadzieję) nie przywykłaś na tyle do próżniactwa, aby potrzebować dla siebie panny służącej. Więc skoro ja nie znoszę, by ktoś siedział z założonymi rękoma, to musi albo pomagać w kuchni, albo odejść. Ja tu jestem panem”.

Przypomniały mi się rady mojej matki i odparłam: „Oj, mężu, jesteś panem Jane Yates, ale ja jestem panią mojej Trunco i nie wyrzeknę się ludzkiego jej traktowania”.

Wyśmiał mnie, ale żartobliwie:* „Byłoby to chwalebne i wspaniałomyślne - rzekł - gdyby jej utrzymanie i zapłata płynęły z twojej kieszeni”.

„Wolałabym sprzedać nieliczne moje broszki i pierścionki - rzekłam - niż żeby Trunco usługiwała tej twojej starej babie, widocznie przykrej i kłótniwej z natury, kiedy ją oskarża przed tobą”.

Jane Yates - powiedział, opanowując się - jest mi wierną i oddaną służą. Kiedy jako chłopak chodziłem do katedralnej szkoły i siedziałem nieraz nad książkami do północy albo i dłużej, to Jane Yates czuwała, by mi podać kubek gorącego mleka, zanim wejdę do łóżka, i włożyć grzałkę do zimnej pościeli. Nie pozwolę, by jej ubliżano”.

„Twoja wierna Jane Yates naubliżała mojej drogiej Trunco, którą kocham - rzekłam z uporem. - Jeśli jedna z nich ma rządzić drugą i spać na puchowym materacu na poddaszu, to należy się to raczej Trunco. Ona przynajmniej ma głowę na karku i nie jest tak głupia, aby kupować na rynku obrzydliwie

śmierdzące wołowe żeberko ani by zepsuć dobre kalafiory, zostawiając je za długo w wodzie i skąpiąc soli. Byłaby sobie też zadała trud, aby je oczyścić z grubych, zielonych gaśienic...”

Uśmiechnął się do mnie, wyraźnie zdecydowany nie dać się tego dnia wytrącić z równowagi. „Moja droga, za wiele bierzesz na siebie - rzekł - i w końcu zapominasz się”.

„Muszę cię przeprosić, jeśli się uniosłam - odparłam - ale muszę też ci powiedzieć i temu nie zaprzeczysz, że gdyby w Forest Hill podano na stół taki posiłek jak ten dzisiejszy, moja matka rzuciłaby go kucharzowi w łeb”.

„O tym nie wątpię - odpowiedział. - Twoja matka jest kobietą bardzo zaradczą i gwałtowną”.

Na to wybuchnęłam płaczem i pobiegłam na górę po ciemku do naszego pokoju. Mój mąż nie przyszedł za mną, by mnie pocieszyć albo strofować, ale niezwłocznie zawołał Trunco i powiedział jej, że musi wybierać. Wtedy pocziwa kobieta zaklinała się, że jej wszystko jedno, czy szyje poduszki, czy międli konopie, byle mogła żyć w jednym domu ze mną. Obiecała poddać się rozkazom swojej towarzyszki w pracy. „A co do spania na słomie - rzekła - ze spokojnym sumieniem niejednej kobiecie śpi się tak słodko na słomie jak innym na puchach. Jeśli zaś chodzi o zapłatę, panie, możesz mi płacić, ile chcesz.”

Kiedy obmyłam twarz po omacku i opanowałam rozterkę, wróciłam na dół i zastałam mego męża pogrążonego w lekturze jakiegoś traktatu teologicznego. Nie chciałam mu przerywać, wzięłam sobie książkę i zaczęłam czytać. Były to *Brytyjskie pastoralki* Williama Browne’a. Mój mąż skinieniem głowy pochwalił ten wybór. Niegdyś popisał był uwagi na marginesach owej książki. Śmiałam się do siebie, widząc, które strofy starego Browne’a pobudziły jego wyobraźnię. W jednym miejscu napisał: „Przepiękna dziewczina się rozbiera”. To odnosiło się do wierszy:

Kiedy prześliczna panna, cnotliwa i czysta,
W sukni, która odsłania śnieżną biel jej szyi,
Stoi sama w komnacie (dzień już gaśnie),
pragnąc Zubożyć swoje szaty,
a wzbogacić łożę - Wtedy najpierw zdejmuje tę suknię liliową,
Która wzdycha boleśnie, gdy się z nią rozstaje...

(„Ho-ho!” westchnęłam w duszy). Przy innych zaś strofach widniały takie uroczyście sentencje, jak: „Poeci żyją wiecznie”, „Wielcy poeci są przedmiotem zawiści, lecz mimo zawiści osiągają nieśmiertelną chwałę” i dalej: „Mężczyźni ubiegają się o zdobycie serca pięknych kobiet”, i jeszcze: „Nieszczęścia tych, którzy się żenią dla piękności”, i: „Wszyscy się urodzili dla miłości.” Ale najjaśniej odzwierciedlała jego umysł uwaga: „Bardzo piękne”, w odniesieniu do opisu śpiącego pasterza:

Ręce złożył na piersiach, laskę rzucił obok.
Gdyby tu przyszła Wenus, gdyby go ujrzała,

Jak z odsłoniętą piersią, ze splotami włosów Spadłymi na ramiona, cicho śpi przy drodze - Rzekłaby: „To Adonis!” O, zaiste, jeśli Prawdą jest, co powiadał niegdyś Pitagoras

O dusz wędrowce, dusza Adonisa nigdzie Nie mogłaby odnaleźć cudniejszego ciała.

(Oho, znowu o tej jego bezowocnej podróży do Italii! Czy zamierzał spotkać się tam z Wenus we własnej osobie?)

Kiedy dokończył rozdział w swojej książce, zwrócił się do mnie, by mi rzec, iż Trunco zgodziła się na dziewczynę podręczną w kuchni za jeden funt i pięć szylingów rocznie. Ma on też nadzieję, że nie będzie z nią kłopotu w domu., A jeśli się okaże uczciwą i sprawną - rzekł - przyrzekam, że skoro twój ojciec wypłaci mi obiecany posag, dam jej nawet funt i piętnaście szylingów rocznie”.

„Czy rzeczywiście był obiecany jakiś posag? - zawołałam.

- Ufam, że nieduży, bo mój ojciec nie posiada wielkiej fortuny, a ta, którą ma, jest mocno obciążona”.

„Nie - odpowiedział - nie tak zacny, jak się spodziewałem. Tylko 1000 funtów. Twój ojciec spłaci go na święty Michał, kiedy należy mu się znaczna suma z majątków, jakie ma w Walii. Jednocześnie zwróci mi dług, który mi się należy od dawna, a który przeoczono”.

Byłam zdumiona tą wiadomością, bo byłabym przysięgła, że mój ojciec nie posiada ani piędzi ziemi w Walii. A jeśli tam miał majątki, to dlaczego mnie podstępnie nakłonił do tego małżeństwa, zapewniając o swoim zupełnym ubóstwie? Czy to możliwe, by i mego męża zwiódł obietnicą jakiejś sumy, o której dobrze wiedział, że jej nie posiada?

Podziękowałam memu mężowi za jego obietnicę dotyczącą Trunco i powróciłam do czytania, choć łamałam sobie głowę nad owym zagadkowym posagiem.

Wkrótce zamknął książkę, stanął za moim krzesłem i przegarnął palcami moje włosy, jakby je czesząc. Chwytając w każdą rękę ciężki splot, rozdzielił włosy (jak gdyby rozsuwał zasłony) i wycisnął pocałunek na moim karku. Nie wiedziałam, co rzec, i dalej udawałam, że czytam, ale on z przekorą zabrał mi książkę i zamknął ją. Pozamykał drzwi w całym domu, zaryglował je i poprosił mnie na górę, gdzie oczekuje mnie niespodzianka.

Nogi się pode mną ugięły, gdy ujrzałam sypialnię przybraną rzadkimi jedwabiami indyjskimi i wstęgami. Łoże lśniło srebrem i złotem. Zgotowane tu było małe święto na cześć miłości, z winem w srebrnym pucharze. Były też wyborowe owoce i znowu szafranowe ciasteczka. „O, mężu - rzekłam -dlaczego tyle blasku właśnie w dzisiejszy wieczór? Teraz nie możesz obcować ze mną tak, jak mogłeś czynić to każdej nocy od dwunastu dni, które spędziłam tu z tobą”.

„A czemuż to nie, łaskawa pani?” rzekł, blednąc jak korale chorego indyka.

„Bo przyszedł na mnie, dziś wieczór; mój czas”.

„Twój czas! - zawołał. - Znowu twój czas!”

„Wyciągnij to zapasowe łóżko”, rzekłam, nie wiedząc, czy mam się śmiać czy płakać.

„Ale czy mi nie mówiłaś...” zaczął.

„A czy dopuściłeś mnie do słowa, czy też kazałeś milczeć?”, zapytałam.

Rozdział piętnasty

WRACAM DO FOREST HILL

Im wytrwalej usiłowałam mego męża przekonać, że przez swoją niecierpliwość i srogość wobec mnie oddała się od zamierzonego celu, tym bardziej się niecierpliwił i srożył. Ten człowiek nie potrafił z wdziękiem przyznać się do winy. Obawiał się, że straci swój autorytet i bezsporną powagę sądu. Chociaż nieraz zmienił zdanie i odwrócił kota ogonem, nawet w sprawie zasad religijnych, to jednak (piszę to bez ironii ani wyrzutu, ale dla stwierdzenia faktu) w jednej tylko kwestii jest stały i zawsze lojalny, mianowicie pokornie wierzy w swoją własną nieomyślność. Nikt na całym świecie nie był sam sobie tak bardzo oddany, z taką szczerością i skromnością. Aby mnie ukarać za to, co nazywał głupim mydleniem oczu, i za zawód, jaki go spotkał, wyгнаł mnie całkowicie ze swojej sypialni na trzy tygodnie - do ciasnej komórki, do której wchodziło się przez jego komnatę. Cały dzień byłam więźniem w domu i w ogrodzie. Nie miałam żadnej roboty, bo i moja, i jego odzież była w dobrym stanie, do haftu zaś nie mam zręczności, a drobiu nie chowaliśmy ani nie warzyliśmy piwa. Za pracą w kuchni przepadam, ale mój mąż mi zapowiedział, że Jane i Trunco nie potrzebują trzeciej pary rąk przy gotowaniu i że plotkując z nimi, opóźnię tylko robotę. Skoro mi też nie pozwalał grać na gitarze ani śpiewać, aby go nie rozpraszać, kiedy oddaje się nauce, a nie miałam partnera do gry w karty, pozostało mi niemal wyłącznie czytanie książek. Ile razy jednak chciałam wziąć książkę z półki, musiałam uzyskać jego pozwolenie: jeśli uznawał książkę za niewskazaną dla mnie, zabraniał mi tej lektury. Kiedy zapytałam, czy mogę przysłuchiwać się lekcji łaciny naszych siostrzeńców, gdyż jeszcze nie zapomniałam początków, jakich udzielał mi nasz proboszcz, wielbny Fulker, odparł, iż moja obecność będzie rozpraszać chłopców, a dla niego będzie wielce kłopotliwa. „A poza tym - dodał żartem - dla kobiety dość jednego języka”.

Dni te wlokły się ciężko, niby sznur starych, popsutych wozów na niesmarowanych osiach, wozów, przeładowanych, ciągnionych po błocie i pod górę przez zmęczone woły. Dostałam pocztą list od mojej matki, która pisała, jak bardzo za mną tęskni, żałując nie tylko mego towarzystwa, ale również wielkiej pomocy, jaką ze mnie miała przy młodszych dzieciach, a także w mleczarni, przy gęsiach i w kurniku. „Nawet nauczyłam się - pisała matka - cenić to ładaco, Trunco, która była najsprytniejszą kobietą do dzieci, jaką kiedykolwiek widziałam, i pocziwym, życzliwym dziwadłem na dodatek”. - Ten krótki, zamazany list kończył się tak: „Żebyż cię tu mieć znowu w tym domu, chociażby do świętego Michała! Byłoby to błogosławieństwem i ulgą w tysiącnych kłopotach. Wyznaję, drogie dziecko, że chociaż ze wszystkich moich jedenaściorga dzieci ty sprawiłaś mi najwięcej kłopotu, to jednak żadne

nie jest tak bliskie sercu twojej udęczonej, prawdziwie kochającej cię matki, Ann Powell. Twój ojciec przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia panu Miltonowi i tobie”.

W kopercie był jeszcze skrawek papieru, który nie był przeznaczony dla oczu mojego męża. Tam wyczytałam: „Obawiam się, że niestety przejdiesz przez czyściec w ciągu najbliższego miesiąca lub dwóch z tym sztywnym, obłudnym, judaszowym nicponiem, zanim dasz mu rady. Jeśli masz olej w głowie, nie ustąpisz mu w niczym, ani na pół cala. Inaczej zrobi tępego i bezmyślnego kozła ofiarnego z mojej królowy, która zasługuje na coś lepszego. Tak jej dopomóż Bóg!”.

Jak słyszałam, mój mąż lubi widzieć pogodne twarze wokół siebie. Chociaż mnie jeszcze więził, to jednak, prawdę mówiąc, nie zmienił swego zachowania w stosunku do mnie, wstydząc się widocznie domowników. W czasie posiłków usiłował nawiązać przyjemną rozmowę. Ale nie widziałam powodu, dla którego miałabym ulegać wymaganiom tej jego udawanej zgody. Odpowiadałam: „Tak” albo „Nie”, albo „Nie wiem” - i ani słowa więcej. Nie pozorowałam szczęśliwości, której nie czułam. Byłam apatyczna, nie jadłam mięsa, ruszałam się ospale, często wzdychałam, ziewałam podczas jego wywodów i ocierałam oczy chusteczką. Im bardziej go to drażniło, tym bardziej melancholijnie się nosiłam; wszystko bez otwartej skargi czy nieuprzejmości.

Już na drugi czy trzeci dzień Trunco pokłóciła się z towarzyszką pracy. Jane mnie też nie lubiła, ani z pierwszego wejrzenia, ani z drugiego. Była to zresztą antypatia wzajemna. Ponieważ nie śmiała jawnie okazać mi swojej złości, zaznaczała ją pośrednio przez obraźliwe traktowanie Trunco, którą pędzała po schodach w górę i w dół, ile razy mój mąż był w pobliżu, zarzucając jej lenistwo, bezczelność i złodziejstwo. Trunco postanowiła być cierpliwym kopciuszkiem i nigdy Jane nie odpowiadać. A Jane która wiecznie miała imię Pańskie na ustach, ale samego szatana w sercu, była coraz bardziej na nią rozsierzona i zamieniła kuchnię w istne piekielko zmyślając różne plotki, byle na Trunco ściągnąć niełaskę. Wchodziła do sali jadalnej, gdzie Trunco porządnie nakryła do obiadu, i przekładała łyżki i noże na opak, łapała talerz czy filiżankę, odstawiając z powrotem na półkę, albo też rozrzucała papiery mego męża, gdy Trunco ukończyła sprzątanie gabinetu. Wreszcie złapałam ją na gorącym uczynku, gdy wzięła śmietniczkę pełną śmieci, zebranych przez Trunco długim zamiataniem, i wysypała je na schody. Nic nie rzekłam, tylko czekałam, aż oskarży Trunco przed moim mężem, że nie zamiotła schodów. Ale on, idąc wkrótce na górę, zaczął narzekać na ten śmietnik i sam zawołał Trunco, by jej się zapytać, jak mogła nie zamieść schodów.

Wtedy rzekłam: „Mężu, to nie moja Trunco jest niedbała. Śledziłam twoją Jane Yates i na własne oczy widziałam, jak wzięła śmietniczkę i wysypała ją na schodach, zapewne po to, abyś się gniewał na tę biedną kobietę. Bo wiesz, że ten lizigarnek, Jane, która się tak głęboko wkradła w twoje łaski, jest przy tym wszystkim bardzo złośliwym, obłudnym, łakomym stworem”.

To wywołało wielkie wzburzenie. Jane Yates się zaklinała, że jest niewinna, i oskarżała mnie o składanie fałszywego świadectwa przeciwko niej, by pokryć przestępstwa Trunco za pomocą oszczerstwa. Zapytała mego męża: „Czy ja ci, panie, wiernie nie służyłam, odkąd oboje byliśmy dziećmi, bez jednej pomyłki czy wykroczenia? Czy przyjąłbyś słowo tej zuchwałej dziewczyny, twojej żony, stawiając je wyżej nad moje, kiedy mi zarzuca taką zbrodnię, że gdybym ją naprawdę popełniła, to nie nadawałabym się na gospodynię w twoim domu ani godziny dłużej?”

Mój mąż ją uspokoił i wyglądał zatroskany wyborem, czy bronić winien mego honoru, czy ją zlekceważyć. Na szczęście nadszedł starszy pan Milton i postawił sprawę bardzo rozsądnie. Oświadczył, że musiałam się pomylić, a Jane wmawiał, że niosła na dół śmietniczkę, z której może nieco kurzu się rozsypało. Wymógł wreszcie na niej potwierdzenie tego domysłu. Wszyscy jednak troje byli zgodni, że Trunco zawiniła. Spierałam się z nimi, że gdyby Trunco schodów nie zamiatała, jak oni mówią, to byłoby dziwne, że kurz leży w kupkach, zmieszany z nitkami zielonej wełny z dywanu starszego pana. Nie chcieli słuchać moich argumentów, a mój mąż powiedział, że już dość długo się babrał w tym błocie, i nakazał mi milczenie, bo pogorszę jeszcze sprawę Trunco. Zdzielił ją kijem przez ramiona trzy czy cztery razy, i to dość mocno. Ze względu na mnie nie pisnęła ani słowa.

Zawód, jaki spotkał mego męża w materii naszego współżycia, i zły humor, z jakim przyjąłam niezasłużoną karę, tak go dziwnie zmieniły, że obawiałam się, co będzie dalej z nami wszystkimi. Nie wiem, czy to był przypadek, że Ned i Johnny Phillipsowie właśnie wtedy poddali się nudzie i lenistwu. Może to raczej on dawał upust swojej śledzienie kosztem tych niewiniątek. Jednakże dwa lub trzy razy dziennie słyszałam ciężkie uderzenia jego kija na ich delikatnych ciałach lub trzask jego płaskiej, z gruszy wystruganej feruły na ich pokleksanych palcach. Ryczeli i szlochali rozpaczliwie. Bez jego zgody nie wolno im było odezwać się do niego inaczej jak po łacinie lub po grecku. Jakże jednak mogą dzieci - w momencie gdy obrywają pogrzebaczem lub ferułą - pamiętać o przypadkach, rodzajach i koniugacjach, aby prawidłowo błagać o litość?

Gdy zbił Johnny'ego tak mocno, że nie mógł zjeść posiłku inaczej jak stojąc wyprostowany i tonąc we łzach, zapytałam mego męża na osobności, czy surowość ta była konieczna.

„Żono - odparł - czy uważasz się za mądrzejszą od Salomona, który sądził, iż żałując różgi psuje się dziecko? W dodatku dzisiaj dzieciak nie tylko był głupi, ale także uparty i próbował usprawiedliwić swój błąd”.

W uszach mi jeszcze brzmiały wycia Johnny'ego i jego błagania: „Miserere, Domine! Ignosce, Domine, ignosce!”^[33]. Zapytałam więc mego męża zuchwale:

[33] Zmiłuj się, Panie! Przebacz, Panie, przebacz! (łac.)

„Czy twój opiekun w Cambridge okładał cię kiedykolwiek ferułą za taki sam występki?” Odeszłam, nie czekając na jego odpowiedź.

Był to dziesiąty dzień mojej niewoli, przed samą wieczerzą. Poszłam do skrzyni w mojej komórce, wyjęłam welinową księgę, otworzyłam ją kluczykiem i zaczęłam pisać. Drżałam z pasji i zaledwie mogłam kreślić litery, kiedy pisałam te słowa: „Marie Powell poślubiła Johna Meltona, alias Milтона, juniora, i on zmienił jej miano na Mary Milton. W ten sposób zamieniła szlachetny klejnot Powellów (którym jej ojciec ozdobił tytułową kartę tej księgi) na klejnot Miltonów, nadany pomyłkowo jego ojcu rejentowi, przez Urząd Heraldyczny, który tym samym obdarzył nieszlachcica, Johna Meltona młodszego, sfalszowanymi tytułami rycerza i dżentelmena”.

Na tym przerwałam pisanie i zaczęłam czytać i marzyć o Munie. Mój mąż podszedł do drzwi i pchnął je bez zapukania, co zazwyczaj czynił. Zobaczył książkę i zapytał, co czytam.

„Nic”, odparłam.

„Gdybym tego rodzaju odpowiedź usłyszał z ust ucznia, dałbym mu porządne baty”, rzekł.

„Nie wątpię o tym, mężu - odparłam, a moja złość wzbierała na nowo. - Zdaje się, że hojniej szafujesz ferułą niż plackiem owocowym”.

Jaką książkę czytasz bez mego zezwolenia?”, zapytał znów groźnie.

„Moją własną książkę”, odparłam; i zamykając pośpiesznie klamrę, wsunęłam moją księgę pod siebie, na skrzynię, na której siedziałam.

„Daj mi natychmiast - rzekł - bo wyrwę ją spod ciebie!”

Moja odpowiedź brzmiała: „Za nic! To moja książka, dostałam ją od chrzestnej Moulton z wskazówką, abym jej nikomu na świecie nigdy nie pokazywała”.

„Żono - powiedział - strzeż się i pamiętaj o swoim ślubowaniu. Nic teraz nie posiadasz na świecie, co by nie było moim”.

„Wielka, wielka prawda - rzekłam. - Ty złożyłeś wobec mnie to samo zobowiązanie o swoim dobytku. Skoro jednak wzbronileś mi kilku swoich książek, nie możesz się uskarżać, jeśli ja ci wzbraniam tej jednej, jedynej”.

„Odmawiasz posłuszeństwa wobec wyraźnego rozkazu? - zapytał. - Śmiesz sprzeciwić mi się w materii porządku domowego?”

„Tak - odparłam, tracąc panowanie - a jeśli palcem mnie tkniesz, to się strzeż, ty gruboskórny chamie! Nie będę wołała litości po łacinie jak twoi nieszczęśni uczniowie, ale będę się bronić zębami i pazurami, tak jak niegdyś broniłeś się przed swoim opiekunem, panem Chappellem, i, do kroćset! ręczę, że zostawię znak na twojej skórze!”

„Więc tak! - rzekł, ciężko dysząc. - Więc aż do tego musiało dojść! Mój ogień, mój duch, moja krew! Twoja podła natura, twoja brudna, zimna złośliwość! Prawdziwie napisał Salomon, że zła żona jest mężowi zgnilizną jego kości, ciągłym upadkiem!”

„Nie prowokuj mnie do wymieniania z tobą retoryki najgorszych przedmieść! Ty śmierzeliu opluty, wymokły plagiatorze, batożony tyłku, pożeraczu śmierdzącej wołowiny! -krzyczałam w pasji, bo jak mnie złość porwała, to prawdziwie byłam pierworodną córką mojej matki. - Czy bierzesz mnie za oślicę Isacharową i wyobrażasz sobie, że zniosę w pokorze wszystkie twoje bezczelne wymysły?”

Wyglądał na człowieka ogarniętego bezmiernym obrzydzeniem. Wyszedł z komórki, nie żegnając się. Powiedział tylko: „Pomówię z tobą znowu jutro rano”, i drzwi zamknął za sobą na klucz. Spokojnie się położyłam na łóżku, zdjęłam suknie, przykryłam się pikowaną kołdrą i bez dalszych ceregieli usnęłam głęboko. Najpierw miałam bardzo miłe sny, a potem nagle spotkałam Muna. Zastałam go toczącego kule nad rzeką. Za jego plecami był zamek w ruinie i żołnierze, chodzący tu i tam. Zapytałam go: „Munie najmilszy, jak się czujesz?”. Odparł: „Czuję się? Jak mogę się czuć, kiedy należysz do innego? Toczę kule, palę fajkę, wyczekując lepszych czasów”. Odwrócił się do mnie plecami i wszedł do zamku. Nie mogłam iść za nim, bo w drzwiach czuwał strażnik. Uzbrojony był w pikę i zaczął mi pokazywać różne postawy z piką, mówiąc: „Patrz, Mary, jak się ćwiczy pika! Popatrz, Mary, taki jest szyk piki”. Przyjrzałam się bliżej jego twarzy i, o dziwo, był to mój mąż! „Ach, idź sobie i daj mi spokój” - rzekłam. „Gdzież ja pójdę, żono?”, zapytał tonem skargi. „Do kogóżby innego - odrzekłam - jak nie do twojej zwodnej Pani, królowej wrózek, Mikol, którą wzywałeś kiedyś w Babraham niedaleko Cambridge wśród zarośli, trzymając świecę i magiczną różdżkę, i od której chciałeś kupić nieśmiertelność za wysoką cenę”. (Czemu to właśnie rzekłam, nie wiem). Chciałam go odepchnąć i przejść, ale ramiona jego wznosiły się i opadały od szłochu. Pożałowałam go i rzekłam: „Nie, mężu, nie chciałam ci dokuczyć”. Wtedy wsadził rękę w kieszeń i wyciągnął kawałek papieru, w którym zawiniętych było kilka szafranowych ciasteczek. Ofiarował mi je. „Teraz już są zatęchłe i czerstwe”, powiedział, znowu płacząc.

Więcej nie pamiętam, ale obudziłam się ze śmiechem i oto stał nade mną mój mąż w płaszczu, w kapeluszu i w butach. Już dniało, ale jeszcze było za wcześnie, bym miała wstawać, więc powiedziałam mu „dzień dobry” i zapytałam, czemu już jest na nogach.

Kiedy nie odpowiadał, rzekłam, iż całym sercem żałuję owej kłótni między nami i postanowiłam być mu dobrą żoną. Ponieważ jednak zamknięta jestem w domu cały dzień, niby więzień, bez pracy i ruchu, ulegam humorom, które we mnie wzbierają i zatruwają mój umysł; dlatego gadałam sama nie wiem co.

„Nie, Mary - odparł oschle - nie kłóciliśmy się, gdyż nie może być takiej rzeczy jak kłótnia między panem a sługą. Byłaś buntownicza, bezczelna i nieposłuszna. Czuwałam całą noc i myślałam o moim nieszczęściu, aż wreszcie o świcie dostąpiłem objawienia. Takiej chłosty cielesnej, na jaką zasłużyłaś, dać ci nie mogę, a przynajmniej nie mogę wymierzyć jej bez skandalu. Jak zaś mówi mądry Wergiliusz, zwycięstwo nad kobietą nie przynosi mężczyźnie sławy.

Dalsze więzienie cię byłoby niedogodne i niezdrowe. Nie mogę cię karać grzywną, bo nie masz dochodów. Na łagodne upomnienia jesteś niewrażliwa. Przebaczyć zaś byłoby słabością. Zdecydowałem więc wystawić cię na publiczny wstyd, odsyłając cię do domu twego ojca w Forest Hill. Nie przyjmę cię znowu na swoje łono, dopóki nie wyrazisz serdecznego żalu. W dodatku na Św. Michał - kiedy spodziewam się twego powrotu - pan Powell winien mi wypłacić umówiony posag, to jest 1000 funtów, a prócz tego 500 funtów, które mi jest dłużny. Bez tych pieniędzy nie przyjmę cię i on to musi zrozumieć”.

Zaczęłam się śmiać, a kiedy, zdumiony, pytał mnie, z czego się tak niewczesnie raduję, odrzekłam, że na św. Michał ciasteczka będą akurat tak samo spleśniałe jak ciastka ciotki Jones.

Jakie ciasteczka?”, zapytał.

„Wybacz, panie mężu - rzekłam - to były ciasteczka, które strażnik wyciągnął z kieszeni szarawarów w moim śnie. Jeszcze całkiem nie otrzeźwiałam”.

Wydało mi się - z tego, jakim wzrokiem patrzył na moje nagie ramiona i lśniące włosy rozsypane na poduszkach, że gdybym wtenczas zaczęła pokornie się sumitować i błagać ze łzami rozpacz, aby uśmierzył swą złość do mnie, byłby dość rychło zmiękł. Gdybym, zaiste, ustąpiła mu miejsca w łóżu, byłby natychmiast zrzucił kubrak i szarawary i namiętnie się ku mnie porwał, nie myśląc o biednych, drżących chłopaczkach na dole, którzy na niego czekali w zimnej komórce, gotowi czytać mu ustępy, które im zadał z Pomponiusza Meli albo z Juliusza Solinusa Polyhistora. Ale uniosłam się honorem. Przypomniała mi się jego stronnictwo dla Jane Yates i cierpienia biednej Trunco, jego srogość wobec mnie i niepotrzebne razy, które wymierzał swoim siostrzeńcom. Zresztą - czyż nie zagroził, że odeśle mnie do raję? Dlatego rzekłam tylko: „Ach, rób, jak chcesz, ty wymokły śledziu, mnie jest wszystko jedno. Ale przyznam się, że z dwojga złego wolę hańbę publiczną w Forest Hill od prywatnej niewoli przy ulicy Aldersgate”.

Spiorunował mnie wzrokiem jak belfer, chwytając powietrze rękoma, aż go wypędziłam z mojej izdebki słowami: „Skoro jestem żoną twoją jeno z imienia i skoro postanowiłeś odesłać mnie do ojca w panińskim stanie, nie przystoi ci stać tu, gapiąc się na mnie i obrażać moją skromność. Strzeż mnie Boże! Przypomnij sobie, jak wstydliva dama w twojej maskaradzie z Ludlow odpowiedziała lubieżnemu starcowi, gdy ją uwięził w swoim zamku i pożądał jej, wywracając oczami”.

Gdym się już ustroiła i utrefiła włosy, zesłam na śniadanie z tak wielkim spokojem ducha, iż chyba musiał to zauważyć.

I zjadłam z apetytem śniadanie. Przy stole rzekłam do starszego pana tak, aby i chłopcy słyszeli: „Panie ojczy, żal mi was opuszczać, ale wina w tym - jeśli ktokolwiek jest tu winny - że twój syn, John, jest tak niezmiernie pobłażliwym mężem dla mnie. Bo widząc, jak mało jest pracy dla mnie w tym pięknie utrzymanym domu, i dowiedziawszy się, że matka moja napisała, błagając mnie,

jeśli to tylko możliwe, bym wróciła i pomogła jej przez kilka tygodni w gospodarstwie domowym, John zgodził się mnie puścić. Ma bowiem całkowite do mnie zaufanie. Pojadę więc dziś dylizansem, a moja Trunco jedzie ze mną, aby mi się nic nie stało”.

Mój mąż chciał wtrącić jakiś ostry sprzeciw, ale się rozmyślił i rzekł tylko sucho: „Tak jest, panie ojcze, moja żona opuści nas dzisiaj i żywię nadzieję, że wróci do nas z większą miłością do Aldersgate, niż dotychczas okazywała”.

Stary jegomość zawołał świegotliwym głosem: „Przyklaskuję twojej poczciwości, Johnie, i ręczę, że jej matka oceni twoją dobroć. Bo wiesz, jak się rzecz ma: podczas kiedy w mieście praca domowa jest lekka latem, a ciężka w zimie, na wsi jest wprost przeciwnie.” Po czym zwracając się do mnie, rzekł: „Drogie dziecko, ufam, że nie jest ci nie w smak nasze spokojne i filozoficzne życie tutejsze i że nie wzdychasz za sokołami, końmi i innymi urokami wsi. John jest szlachetnym człowiekiem, a jeśli okaże się nie mniej uczciwym małżonkiem, niż był dla mnie synem, mieć się możesz za najszcześniejszą niewiastę na świecie”.

„Panie ojcze - odrzekłam - będę cię wspominać z wielką miłością i tkliwością”.

Już była spakowana skrzynia z całą moją wyprawą, a również Trunco wkrótce przysposobiła swój tłumoczek. Bynajmniej nie martwiła się wyjazdem. Ponieważ mój mąż wyeksकुzował się tym, iż oczekuje uczonej kompanii tego ranka, starszy pan postanowił nas odprowadzić do dylizansu. Znalezione też kogoś, aby odwiózł moją skrzynię na taczkach. Mój mąż jeszcze przywołał mnie do swego gabinetu, jak gdyby chcąc mnie uściskać na pożegnanie, ale miast tego rozłożył przede mną papier, każąc mi go podpisać, zanim mnie zwolni. Było tam napisane: „Ponieważ ja, Marie Powell, inaczej Mary Milton, w dniu dzisiejszym, piątego lipca 1642 roku, z mojej własnej i nieprzymuszonej woli opuszczam dom i mieszkanie szlachetnie urodzonego Johna Milтона młodszego, który to dom mieści się w drugim okręgu parafii Św. Botolph, w dzielnicy Aldersgate miasta Londyn, ja, wyżej wymieniona Marie Powell, uroczyście oświadczam, że wracam pod dostateczną eskortą do domu mego ojca, Richarda Powella z Forest Hill, w hrabstwie Oxon, szlachcica, sędziego pokoju, i zeznaję, iż jestem w takim samym stanie dziewictwa, jak kiedy przybyłam do jego domu. Dalej oświadczam, że tenże John Milton traktował mnie dobrze i nie zatrzymał żadnej części tych dóbr i pieniędzy, które przywiozłam ze sobą, kiedy przybyłam z własnej woli do jego domu”.

Ten to dokument podpisałam i przypieczętowałam w obecności Jane Yates, która także znak swój przyłożyła jako świadek. Ponieważ zaś czytać nie umiała, a mąż mój nie udzielił jej wiadomości o tym, co było napisane, tajemnica dobrze była zachowana. Myślę, że chyba byłabym podpisała każde oświadczenie, byle tylko się wydostać z tego biało-różowego więzienia, a że słowa wypisane nie mijały się z prawdą, nie widziałam w nich nic złego. Zdało mi się, iż nie ufał

mojej prawdomówności, a dokument wystawił, abym się nie poskarżyła ojcu, że źle się ze mną obchodził, albo też, abym nie wzięła kochanka w podróży.

Rozkoszą było dla mnie wyjść z tego domu, znowu zaznać wolności na Aldersgate i przejść przez tłumne ulice do Bishopsgate. Starszy pan szedł koło mnie bardzo żwawo i ciągle coś mi pokazywał, żaląc się, że Londyn tak bardzo się zmienił od czasu, kiedy po raz pierwszy tu przybył w połowie panowania królowej Elżbiety.

Z ciekawością zapytałam go, co myśli o wierszach mego męża, ale on nic nie chciał powiedzieć. Tyle tylko rzekł, że je-

Ko John jest zręcznym chłopakiem, który dobrze włada słowem. O sobie zaś mówił, że nie pogardza sztuką poetycką, nie cierpi tylko tych, którzy jej nadużywają. Poezja, rzekł, jest miłym odpoczynkiem od wysiłków, jakich wymagają poważniejsze sprawy i nauki.

„Dobrze cię rozumiem, panie ojcze - powiedziałam. - Wolałbyś, żeby John wybrał sobie jakąś pożyteczną profesję?”

„Nie mów mu tego - odrzekł z uśmiechem. - Uzał się tylko nad moją zawiedzioną ambicją. Poezja nigdy nie okrasza jego rzepy i nie posmaruje chleba”.

Nie było dla nas wolnych miejsc w dyliżansie, ale na podwórzu zajazdu zauważyłam znajomego dżentelmena, który trzymał konie wyścigowe. Był to kapitan Windebank, syn sekretarza Windebanka. Posiadał on znaczny dwór w Bletchington, na północ od Oksfordu, dokąd też niebawem miał wracać z ciotką swoją i ze służącym. Zgodził się nas odwieźć, Trunco i mnie, za zwykłą opłatą pocztową, którą starszy pan mu wręczył.

Pożegnaliśmy się tedy i zaraz pojazd wyjechał z podwórza, a była to kolasa wygodna, pięknie zaprzęzona w gładkie konie. Wyjechaliśmy, strzelając z bata, z okrzykami forysiów. Powiedziałam ciotce kapitana, że niedawno wyszłam za męża, a teraz wracam na kilka tygodni do mojej matki, która ciężko zaniemogła i wzywa mnie. Stara pani nie była wścibska i grzecznie mnie potraktowała. „Dziwię się tylko - rzekła - że w takich czasach zacny mąż waćpani, choć człowiek wiekowy, zgadza się na waćpani wyjazd, nawet na tak krótko”.

„Ach, nie - zaśmiałam się - to był mój teść, nie mój mąż”.

„Wszystko jedno - odparła. - Czyś waćpani nie słyszała nowin? Oto wypłynął okręt z Holandii, wysłany przez królową, z bronią i amunicją dla króla, który stoi w Yorku. Dzisiaj oczekują tego okrętu na rzece Humber i niebawem ogłoszą wojnę wszem wobec, zadzwonią lance i wystrzelą pistolety. Wczoraj już Parlament wyznaczył Komitet Bezpieczeństwa, co oznacza, że ogłosił już wojnę przeciw królowi jegomości.

Tak, tak, choć jeszcze nie widać płomieni buchających z kominów, to jednak czarny dym wszędzie już się unosi. Dlatego właśnie wracam z siostrzeńcem do jego domu w Bletchington, chociaż spraw naszych w Londynie jeszcze nie załatwiliśmy. Modłę się do Boga, aby tęgie serca otoczyły króla i natchnęły go

pojednawczością wobec Parlamentu. Bo znam usposobienie Izby Niższej Westminsteru. Są to ludzie bardzo uparci”.

Kapitan Windebank był rojalistą, więc z całym należnym szacunkiem dla swej purytańskiej ciotki rzekł: „Ze swojej strony błagam Boga, by zmienił serca tych warchołów w Parlamencie, aby ustąpili ze swych żądań”.

„Amen _ rzekłam. - Niech dojdzie do jakichś układów. Wojna domowa jest niemądrą polityką”.

„Temu nie przeczę - krzyknęła stara pani - ani temu, że Bóg może wszystko zmienić w jednej chwili, jeśli znowu do niego wrócimy. Będzie to winą naszej bezbożności, jeśli nieszczęście nas nawiedzi. My, niewiasty, powinnyśmy modlić się z wielką powagą i żarliwością, bo ze wszystkich stworzeń my najwięcej od wojny ucierpimy. Tyle krzywd może nas spotkać!”

„Pani ciotko - rzekł na to kapitan - zgadzam się, że papiści, purytanie i protestanci wszyscy razem szesznią, jeśli rzeczy tak się dalej będą miały jak teraz, ale myślę, iż przyczyną nieszczęścia będzie nie brak modłów, jeno zbyt dużo pacierzy mówionych w przewrotny sposób”.

Zdumiona byłam widząc, ilu żołnierzy ciągnęło drogą, konno lub pieszo, w tę i tamtą stronę. Nim wyjechaliśmy całkiem poza miasto, usłyszeliśmy daleki huk, jeden, a potem drugi, od czego się postrachały konie, a i my również. Kapitan rzekł, że huk ten pochodzi od żelaznych moździerzy, z których parlamentarzyści strzelają na próbę. „Daj Boże -rzekł - żeby je roztrzęśli w drobny mak!”

„I żeby nikogo nie zranili!”, krzyknęła jego ciotka pośpiesznie.

Wówczas kapitan powiedział, że z powodu tego przysposobienia wojennego wszelkie rzemiosło w kraju upada; pracują tylko tacy rękodzielnicy, jak płatnerze, puszkarze, siodlarze. Rzekł nam też, że w kufrze, na dachu kolasy, wiezie złote i srebrne naczynia z Londynu, aby je zawieźć królowi. Przeznaczone są do mennicy na wojskowe wydatki. Kiedy zaś kapitan wysiadł na chwilę po drodze dla swojej potrzeby, stara pani szepnęła do mnie: „Nie taki on głupi, jak się zdaje, a choć na pewno będziemy jedli w jego domu z cynowych talerzy, dopóki te nienormalne czasy nie przejdą, zapewniam cię, iż całe to srebro, którego większa część należy do mnie, będzie bezpiecznie zagrzebane pod starym dębem albo pod kamieniem w lochach”. Zdziwiło mnie, że żaden oficer parlamentarzystów nie zatrzymał naszej kolasy, by ją przeszukać.

Nocowaliśmy w Aylesbury w Buckinghamshire, a kapitan Windebank był tak uprzejmy, że opłacił karczmarza pieniędzmi, które mu wręczył stary pan Milton, inaczej bowiem Trunco i ja spałybyśmy głodne w kolasie. Następnego dnia w porze kolacji przejechaliśmy przez Thame i znaleźliśmy się w okolicy dobrze mi znanej. Po kilku jeszcze milach wyłoniły się dzwonnice kościoła Świętego Mikołaja i dymiące kominy naszego dworu.

„Ach, Trunco - zawołałam, gdy weszliśmy w bramę, pożegnawszy się z wdzięcznością z naszymi znajomymi - dobrze jest wrócić od pogan do

chrześcijańskiego kraju! Ale -na miłość boską! - nie mów ani słowa przeciwko memu mężowi i jego domownikom do kogokolwiek ze służby. Pamiętaj, że tak jak mówiłam starej pani w kolasie, moja matka serdecznie prosiła w liście, abym z nią spędziła resztę tego lata, a na to mój mąż dobrotliwie się zgodził. Jeśli usłyszę, że powiedziałaś jedno słowo ponadto, to wyrwę ci język”.

„Możesz zawierzyć biednej Trunco - odparła - która żyje tylko dla swojej pani”.

Zapieczerowany list, który mój mąż przeznaczył do rąk własnych mego ojca, posłałam do domu przez Trunco - bo a nuż ojciec nie zechce mnie wpuścić, gdy go przeczyta? Matka jednak wybiegła z małej bawialni, skoro tylko usłyszała mój głos. Odsunawszy mnie od siebie na długość ramion, krzyknęła głośno: „Panie święty, przecież dziewczyna całkiem rumieńce straciła! Córeczko, chyba się jeszcze nie spodziewasz?”. Zauważyła także chudość moich policzków i pytała: „Czy się znęcał nad tobą? Czy cię bił? Jak to jest, że tak wracasz do domu niby chory kot, bez uprzedzenia?”.

Wciągnęła mnie do bawialni i zaraz posłała Trunco po wino hiszpańskie dla mnie, po zimną cielęcinę pieczoną ze słodkimi korzeniami i sałatą, po chleb i masło. Wtedy przyszedł mój ojciec. Od razu widziałam z jego miny, że byłam mile widziana niezależnie od wszystkiego, •co mogło być w owym liście napisane. Podczas kiedy jadłam i piłam łapczywie jak zgłodniały żołnierski koń, wyczytał głośno z listu, co następuje:

„Wielce łaskawy Panie,

Córka twoja, Mary, za moim pozwoleniem i z mojej niezmiennej łaskawości, wysłana jest z powrotem do twego domu

- jak tego sobie życzyła pani Powell w swym liście - aby z wami pozostać do świętego Michała. Ufam, że, zanim to święto przeminie, otrzymam od waszmość pana należny mi posag, zgodnie z dokumentem podpisanym naszymi piórami, oraz że waszmość pan również skwitujesz - z dawniejszego długu prawnie mi należne 500 funtów, z czasów kiedy córka wasza była jeszcze w powijkach. Jeżeli nie mam wierzyć krążącym wieściom, iż była uwiedziona, zanim do mnie przysła, jest ona w stanie dziewiczym i proszę, abyś waszmość teraz, gdy wróciła pod opiekę ojca - strzegł jej dla mnie i uchwalił od wszelakiego skandalu i lekkomyślności. Z pomocą Nieba spłodzę z nią twoich wnuków, gdy powróci do mnie i gdy waszmość zadoścuczynisz naszej umowie, co mnie pozwoli na poniesienie wydatków związanych z ich urodzeniem i wychowaniem.

Zechciej mnie, waszmość, polecić łaskawej pamięci swojej pani - o co prosi szczerze oddany, wierny i życzliwy sługa

John Milton”

Na to krzyknęła moja matka, pomstując na pana Milтона, nazywając go skurwysynem, ibisem i mówiąc, że jeżeli prawdziwie nie spełnił swoich obowiązków (chyba że postąpił tak przez niemoc), zasłużył na to, by go pędzono pod byczą pytą przez najdłuższą ulicę w całej parafii Św. Botolpha.

Kazała mi opowiedzieć całą sprawę swoimi słowami, co też uczyniłam. A gdy wreszcie przyszło do owego cyrografu, który kazano mi podpisać, mój ojciec był równie ześlony jak ona. „Choć poślubił cię kościelnym obrządkiem, jak przystało, i w łożu z tobą leżał, na co dosyć jest świadków - mówił ojciec - jednakże ma, zdaje się, nadzieję poniechać cię i wykręcić się z umowy, jak gdyby był barbarzyńskim Moskałem. Będzie szukał dziury w całym, by unieważnić wasz związek, co dla bystrego jurysty nie jest nigdy rzeczą zbyt trudną. Postąpiłaś nierozważnie, Marie, podpisując ten papier, bo małżeństwo nie dokonane przez copula carnalis[34] łatwiej jest zerwać aniżeli dokonane. Ale myślę, że w trybunale twoje zeznanie o dziewictwie nie miałoby wielkiej wagi, gdyby obrona stwierdziła, żeś podpis złożyła pod przymusem. Nie martw się, drogie dziecko: moja w tym głowa, abyś nie była już więcej prześladowana. Jestem szczęśliwy, że znowu jesteś tu wśród nas. Niech ludzie nie wiedzą nic więcej, jak tylko to, że przyjechałaś dla zdrowia, jako że zgniłe powietrze londyńskie nie sprzyja ci - bladeść lica nada, że tak powiem, rumieniec prawdy tej relacji - nikt nie będzie o tym rozmyślał, a na święty Michał zobaczymy, co będzie”.

„Panie ojcze - rzekłam - tak prawdę mówiąc, to nie czuję całkowitej abominacji do mego męża. Zdaje mi się, że zrazu przypadłam mu do gustu, ale przez swoje nieobycie w gwałtownej namiętności utracił równowagę, potknął się o własne ostrogi i runął jak długi. A wówczas nie zebrało mu się na śmiech ze siebie samego, jeno zerwawszy się na równe nogi mnie obwinił o swój nieudany atak”.

Na to mój ojciec rzekł: „Możesz go też nazwać niedźwiedziem z bajki, który sobie poparzył łapy o kocioł, a z wściekłości chciał ów kocioł udusić, więc ścisnął go mocno i tym bardziej się parzył”.

„Albo indyjską małpką cesarza - dodała moja matka - która ochlapała się nieco błotem na brzuchu i tak zaczęła się drapać, by się oczyścić, aż ostrymi pazurami przebiła cienką skórę i szarpała własne flaki”.

„No tak - rzekłam - porównania objaśniają, ale naprawić nic nie mogą. Poza tym serdecznie mi żal, że musicie sprzedać dobra wasze w Walii, aby wypłacić tak wielki posag memu mężowi, gdy on tymczasem ani w swoim liście, ani w tym papierze, który podpisałam, nawet nie uznał mnie za żonę. Wiecie sami, że mogłam wyjść za mąż bogato i wasz dobytek poratować, gdyby nie proboszcz i jego nieposkromiony język. Jeśli mój mąż nie będzie ze mną płodził dzieci, dopóki wasze dukaty nie zadźwięczą w jego mieszkaniu lub nie zabłysną ułożone w stożki na jego stole, to nie uwierzę w szczerść tego, co napisał w swojej książce o ideale «dziewicy średnio zamożnej, lecz uczciwie wychowanej. Teraz jednak wiedzą tutaj, wszyscy, noszę godne miano mężatki, i tego mi on tak łatwo nie odbierze.

[34] obcowanie cielesne (łac.)

A nic mnie tak bardzo nie uraduje, jak żyć czas jakiś po dawnemu z wami. Ręczę wam, że nie zarzucicie mi lenistwa. Chciałabym wam jeszcze zaśpiewać piosenkę przy mojej gitarze, na której nie wolno mi było grać w domu mego męża! Usłyszycie *Skargę świeżo zaślubionej*, a zaczyna się to tak:

Będę sprzątać, szorować,

Wszystko czyścić najpiękniej,

Byłam znów była w Yorku U mej milej materiki.”

Pocałowali mnie na dobranoc i przeznaczyci mi małą izdebkę nad kuchnią, bym ją miała dla siebie. Bo Zara i Ann spały teraz we wspólnym łóżku w dawnym moim pokoju. Miałam przy sobie moją welinową księgę. A nazajutrz rano miałam dosiąść mego podjezdka i wziąć sokola na pięść, i pełnym cwałem ruszyć ku Red Hill.

Rozdział szesnasty

POCZĄTEK WOJNY

Nie wątpię, że w spokojniejszych czasach ten nagły powrót do domu rodzicielskiego dałby powód do niekończących się zjadliwych plotek w Forest Hill, gdzie (jak mówi poeta) Języki nigdy nie próżnują”. Teraz jednak brakowało już tylko niewielu tygodni, aby naprawdę proklamowana została wojna i by wypaliły muszkiety prawdziwymi, śmiertcionośnymi kulami. Już w lipcu nie myślano i nie mówiono o niczym innym, tylko o wojnie domowej. Widziano znaki zwiastujące spustoszenie kraju. Tego lata białe goździki nie zakwitły, za to niezwykła obfitość maków upstrzyła pola krwistą czerwienią, a w naszej piwnicy trzy beczki dobrego wina skwaśniały się na ocet na skutek burzy czy pioruna.

Nasze hrabstwo oksfordzkie podzieliło się na dwa obozy. Spośród dziewięciu posłów do Parlamentu trzech skłaniało się w stronę króla Karola, a sześciu ku berłu Pyma. W samym Oksfordzie uniwersytet stał za królem Karolem, lecz miasto mu było przeciwne. Po stronie króla nadawano rangi wojskowe szlachcie i rycerstwu, z prawem zaciągania zbrojnych hufców „dla obrony królestwa”. W obozie parlamentarzystów uchwalono pospolite ruszenie i wyznaczono dowódców, aby ściągali żołnierza w podobnych celach. Na dowódcę Oxfordshire wyznaczony został lord Saye and Sele, przezywany „Stara Przebiegłość”. Choć bardzo starożytnego rodu, był purytaninem i nienawidził dworskiego życia. Stał na czele szlachty opierającej się królewskiej samowoli. Większość panów, rycerstwa i szlachty, siedzących na majątkach w naszym hrabstwie, opowiadała się za królem. Należeli do niej na przykład Tyrrelowie i Gardinerowie; pan Timothy Tyrrell otrzymał nominację na pułkownika w regimentach królewskich.

Kiedy wreszcie przedstawiciel władzy odczytał w Oksfordzie orędzie króla z jego dworu w Yorku, w wielu domach naszych sąsiadów powstała niezgoda, nawet między synami a ojcami lub pomiędzy braćmi. W proklamacji król wzywał do stłumienia tego, co nazywał „rebelią kierowaną i dowodzoną przez Roberta, hrabiego Essexu” (który objął naczelne dowództwo nad wojskami Parlamentu), i gromił „złość i zakusy tych, co zmierzają do ostatecznej ruiny naszej osoby, prawdziwej religii protestanckiej, ustalonego prawa, mienia i wolności obywateli i samego istnienia parlamentów”. Z drugiej strony proklamacja Parlamentu nazywała zdrajcami wszystkich tych, którzy chwycili za broń przeciw hrabiemu Essexowi, ale wyrażała się lojalnie i z przywiązaniem o królu. Głoszono w niej, że króla „sprowadzili na manowce papiści i inni źli doradcy, którzy zamierzają w ten sposób doprowadzić królestwo do upadku”. Obie strony jednak wzywały wszystkich ludzi dobrej woli, by udzielili pomocy własną osobą, służbą i pieniędzmi, ochoczo a radośnie. Na dodatek król

obiecował strzec Parlamentu przed jego wrogami i to samo obiecywał Parlament królowi. Wszystko w tych oświadczeniach było odwrócone do góry nogami.

Siostra Muna, lady Cary Gardiner, przyjechała prosić mego ojca, aby za nią w pewnej drobnej sprawie poręczył. Rzekła nam, iż jej ukochany mąż już ją pożegnał i poszedł na dwór królewski do Yorku. Brat jej, Mun, walczy o życie przeciw zbuntowanym Irlandczykom, a jest na żołdzie Parlamentu, choć Bóg widzi, iż nie ma człowieka wierniejszego odeń królowi. A drugi jej brat, Ralph, jest w Izbie Niższej stronnikiem pana Johna Pyma. Jej ojca zaś kazał król wezwać, by pełnił urząd dziedzicznego marszałka szlachty i podniósł sztandar królewski uroczystym, dawnym obyczajem, choć nie było wiadomo, gdzie go miał podnieść, a to dla wielkiej zawiści i zazdrości między panami o ten honor. Lady Cary zapytała bardzo szczerze mego ojca, ku której ze stron się skłania. On zaś odparł ze śmiechem, że jego wyznaniem jest: Kyhoysasism. Kiedy zapytała, co to za jakieś dziwne, nowe wyznanie, objaśnił, że wyraz ten składa się z pierwszych liter słów ballady: Keep your head on your shoulders and so I shall mine („zachowaj głowę nietkniętą na karku i ja to samo uczynię”). Krótko mówiąc, był neutralny. Słuchać będzie rozkazów legalnie mu przekazanych, ale nic nie podejmie z własnej woli. Jeśli usiądzie między dwa stołki, ufa, że siądzie bezboleśnie. To dodało śmiałości lady Cary, aby nam zdradzić fakt, iż jej ojciec, marszałek szlachty, nie oddawał czci biskupom, z powodu których cały ten spór się toczył. Doniósł jej, iż całym sercem pragnie, aby król jegomości ustąpił Parlamentowi, ale ponieważ jadł chleb z łaski króla przez lat trzydzieści, więc nie opuści go teraz w potrzebie. Zaiste, oświadczył, iż raczej da głowę, strzegąc i broniąc tego, czego sumienie jego strzec i bronić mu zabrania, aniżeliby miał zaniechać posłuszeństwa i obowiązku. Na to mój ojciec odparł, że, jak słyszał, także Lord Falkland, choć był przeciwny ściąganiu sum na budowę floty, a również rządowi prałatów, jednak chwycił za broń i stanął przy królu jegomości - choć z głębi serca nienawidzi sprawy, której służy, lecz honor mu nie pozwala jej opuścić.

Po czym udzieliliśmy sobie nawzajem wiadomości i pogłosek o sprawkach żołnierzy Parlamentu wśród ciągłych marszów po kraju, podejmowanych dla musztry: jak rabowali domy i chaty, bezcześcili kościoły, niszcząc organy i zrzucając piszczałki berdyszami, jak krzyczeli i szydzili: „Słuchajcie, jak grają organy!”. Podobnie królewscy żołnierze rabowali chaty i domy. Mój ojciec opowiedział, jak oddział żołnierzy króla wprowadził konie do kościoła (gdzie wierni byli pobożnymi purytanami) i jak potem świętokradzko chrzcili je przy chrzcielnicy, choć bez użycia krzyża, takimi purytańskimi imionami jak „Dzień-upokorzenia-Ezawa” albo „Klnij-Boga-i-umieraj-Jobie!” i jak ich kapral wgramolił się na ambonę i skamlał przez nos w udawanym kazaniu do „wszystkich nabożnych koni, klaczy, oślic, mułów, osłów, mlecznych oślic, źrebców i źrebiąt tu zgromadzonych z wiarą i miłością”.

Lady Cary i ja spacerowałyśmy po ogrodzie, bo był piękny, letni dzień, a kiedy oddaliśmy się od domu, zatrzymała się i rzekła: „Wybacz, waćpani,

moją śmiałość, ale powiedz mi, czemu tak źle się obeszłaś z moim bratem, Munem? Gdzie miałaś serce, wychodząc tak nagle za innego? Zanim wyjechał do Irlandii, wyznał mi, że łączy was najprawdziwsze porozumienie wzajemne, i przykazywał, bym cię kochała jak siostrę. Kiedy poślubiłam pana Thomasa i osiadłam w Cuddesdon, miałam często cię odwiedzać, czuwać, byś o nim pamiętała, donosić mu, jak wyglądasz, i przekazywać mu miłosne polecenia z ust twych pochodzące. Tego uczynić nie zdołałam, bo skoro ojciec mego męża został uwięziony, aż do czerwca nie mogłam przyjechać do Cuddesdon. Przyjechałam dopiero w sam dzień twego ślubu z tym byle jakim skrybą z Cambridge. Z listu, który doszedł moich rąk, wnoszę, iż serce mego biednego Muna jest niemal złamane i cała odwaga, na jaką się umie dziś zdobyć, jest za słaba, aby go utrzymać przy życiu”.

Oniemiałam na chwilę. Potem zapytałam ją: „Ale powiedz mi, waćpani, czy nie tak się rzecz ma, iż odbyły się zrękowiny kapitana Verneya z jego krewną, Doli Leke, i że niedawno posłał jej pukiel włosów? Bo o tym zapewniał nas małżonek waćpani”.

„Nie, nie! - zawołała. - Pukiel włosów był dla jego matki, a Doli Leke żaliła się i była o ten dar zazdrosna. Wyraźnie to rzekłam memu mężów. Mój brat, Mun, pisze, że kiedy się dowiedział o twoim ślubie z panem Miltonem, pochwyliła go tak nadzwyczajna omdlałość, iż zimnym potem się oblał i ta choroba jego umysłu całkiem podważyła mu ducha”.

Łzy mi się zakręciły w oczach i błagałam ją, by zechciała zapoznać Muna z prawdziwym stanem rzeczy: że byłam podejrzewana przez proboszcza i całe miasteczko, iż Mun ranie uwiódł; odtąd życie moje było żalosne; a kiedy usłyszałam o zrękowinach Muna z jego kuzynką Leke, upadłam na duchu i uległam namowom moich rodziców, bym poślubiła pana Milтона, któremu ojciec mój winien był znaczną sumę pieniędzy. „I to dodaj - krzyknęłam - że jestem najnieszczęśliwszą z kobiet, ale dotąd dziewicą, bo odjechałam mego męża na skutek kłótni i on mnie nie poznał!”

Lady Cary Gardiner rysami przypominała Muna, choć bynajmniej nie była przystojna, a gdy płakała i żaliła się nade mną, zdało mi się, jak gdyby to był sam Mun. Wzięła mnie za rękę i uściśnęła ją. Obiecała, że znów przyjedzie, by mnie odwiedzić i pocieszyć.

Pilnie ją wypytywałam, co się z Munem dzieje. Rzekła, iż ostatnio cierpiał na gwałtowną febrę, a medycy opuścili go jako skazanego. Było to zapewne w tym samym czasie, kiedy odczuwałam tak wielki smutek w domu mego męża. Ale teraz, jak mówiła, był na dobrej drodze i dorobił się rabunkiem na Irlandczykach około 50 funtów. Lady Cary zgodziła się pośredniczyć między nami, o ile tylko polecenie, jakie jej dam dla Muna, nie będzie z ujmą dla honoru. Stan małżeński bowiem uważa ona za święty, chociażby lekkomyślnie zawarty.

„Powiedz mu - rzekłam - że jesteście znowu razem, ale tylko dopóki jestem z dala od mego męża, i że jeno duchem możemy być zespoleni, bo szaleństwem

by było nam się spotkać, gdyby nawet to było możliwe. Powiedz mu, że go tak miłuję, jak nie miłowałam nikogo w życiu.

Obiecała napisać o tym do Muna, ucałowała mnie i na tym się rozstałyśmy.

W tym samym tygodniu dwóch żołnierzy z pułku lorda Saye and Sele skradło kilka gęsi z naszego pola, ale za to ojciec mój otrzymał pełną satysfakcję. Gdy wniósł na nich skargę, złodzieje zostali ukarani drewnianym koniem przez godzinę, z muszkietami umocowanymi do nóg i z gęsim pierzem we włosach; przewinę ich wypisano na papierze i przymocowano im na piersiach. Ojciec skorzystał z tej okazji, by zawiadomić lorda Saye, że dwór w Forest Hill ze wszystkimi przynależnościami nie jest jego własnością, jeno trzymany w dzierżawie od Brome'ów, a zastawiony u pana Roberta Pye'a seniora, sławnego parlamentarzysty, i prosił, aby pułk lorda Saye otrzymał instrukcje unikania wykroczeń i rabunku. Jednocześnie posłał do najbliższego dowódcy wojsk królewskich zawiadomienie, że sam już nie może brać udziału w czynnej służbie, ale za to dwaj jego starsi synowie zaciągnęli się u króla, a o jego wierności królowi dobrze jest wiadomo. Gdy odwiedzały nas osoby znane ze swego przywiązania do króla, wówczas głównym rozmówcą była moja matka. Ojciec zaś rozmawiał roztropnie z osobami przeciwnych opinii, a wówczas moja matka nie odzywała się.

Mój brat, James, był jednym z tych studentów oksfordzkich, których wraz z wybranymi służącymi uniwersytetu ściągnął doktor Pinke, wicekanclerz, aby odbyli pod jego okiem służbę ćwiczebną dla obrony Oksfordu. Żołnierze Parlamentu bowiem ciągle przechodzili przez hrabstwo dwójkami i trójkami, a czasem całymi kompaniami, i doktor Pinke obawiał się, iż mogą napaść na Banbury, a wówczas i Oksford byłby zagrożony. Było w kolegiach nieco starej broni, którą dostarczono młodzieży. Pewnego dnia w środku sierpnia cały ten oddział, ponad trzystu ludzi, przemaszerował od kolegów przez High Street aż do Christ Church, gdzie uzbrojono ich jak do potyczki i ćwiczone w składaniu się bronią. Dopiero gdy deszcz zaczął siąpić, przemaszerowali z powrotem. James uzbrojony był w pikę (cały oddział podzielono na cztery kompanie - dwie kompanie muszkietierów, jedną halabardników i jedną uzbrojoną w piki). Maszerował ramię w ramię z doktorem prawa po swej prawej ręce i z klerykiem po lewej. Przed nimi szli dobosze i chorąży kompanii kuchcików uniwersyteckich. Na następną musztrę, która wypadła w trzy dni później, ponad czterystu ludzi zebrało się przed budynkami kolegów. Wyćwiczone ich w komendzie i w składaniu się bronią, po czym potykali się przez kilka godzin. Ale wszystkie muszkiety były zdatne jeno na złom, a nie do bitwy. Chyba że do ślepego ognia; niektóre nawet nie miały panewek.

Następnego dnia, a była to niedziela, przyszedł James, by z nami pokpiwać z owego wojennego szaleństwa, które ogarnęło uniwersytet. Pytaliśmy go, dlaczego miasto tego dnia nie ćwiczy. Odparł na to, że łyki potajemnie zakazały ćwiczeń, aby się nie zdało, że czynią to dla króla. Spytałam go też żartobliwie, czy nie uważa za rzecz wielce chlubną składać się piką, jako że jest to

najzaszczytniejsza broń wedle powszechnego mniemania. Na to on się zaśmiał. Uważał, że gdyby rozdano między żołnierzy dobre muszkiety, rusznice i pistolety, pika byłaby mizerną bronią i posługiwanie się nią nie stanowiłoby żadnego zaszczytu. „Piki przeciw pistoletom i strzelbom, które mogą zabić na odległość stu dwudziestu jardów i więcej, toć to bardzo nierówna walka! Chciałbym wiedzieć, jaka to może być mądrość czy chwała, aby bronić się jeno pikami przeciw ołowianym kulom. Nie ma też jednego kopijnika na dwudziestu, który by największą siłą i zręcznością mógł śmiertelnie porazić człowieka odzianego w stalowy napierśnik lub nawet skórzaną kurtę. Jak mi Mun Verney niedawno opowiadał, gdzieś w Niderlandach powstało wielkie zamieszanie - a cała kłótnia wynikła przy grze w karty. Szwajcar oskarżył swego partnera, Anglika, że go oszukał o kilka pensów. Wówczas uwydatniła się prawdziwa wartość piki. Stał bowiem oddział Szwajcarów z nastawionymi pikami. Przeciwko nim wyszło dwóch żołnierzy z chorągwi pułkownika Barclaya, odzianych w skórzane kurty i uzbrojonych tylko w szable. Wdarli się w sam środek oddziału, ścięli tuzin ostrzy i wyszli nawet niedraśnięci, trzymając po trzy, cztery ostrza w dłoniach, które cisnęli potem między Szwajcarów, wołając z wielkim śmiechem: „O, dobrzy ludzie, miejcie litość!”.

Koń by się uśmieł, widząc, jaką starożytną broń rozdawano żołnierzom w owym czasie - halabardy i lance, zabytki z okresu wojen Dwóch Róż, a wraz z nimi napierśniki, żelazne kołnierze i kaski, zabytki z wojen krzyżowych. Mój ojciec, gdy wyznaczał w naszym miasteczku straż przeciwko maruderom, zalecał każdemu używać takiej broni, jaką najlepiej władał: chłopom doradzał motyki, widły i bosaki; drwalom - siekiery; kowalom - młoty. Twierdził, że nie jest dobrą bronią halabarda czy pika, o ile nie włada nią człowiek wyćwiczony. Rzecz to pewna, że koło Shotover jeden z naszych owczarzy, gdy mu zagroził halabardą ordynarny żołnierz, rzucił się na niego z nożycami do strzyżenia owiec i byłby mu ustrzygł dobrych parę strzępów mięsa, gdyby nie to, że wojak z miejsca rzucił broń i zemknął.

Dnia 24 sierpnia nadeszła wieść, iż pan Edmund Verney zatknął sztandar królewski w Nottingham na polu opodal zamku. Sztandar ten miał u szczytu umocowany proporczyk ze znakami króla i ramieniem wskazującym na koronę oraz taką dewizę: „Oddaj cesarzowi, co cesarskie.” Podejmując się tego zadania, pan Edmund Verney przysiągł, że gdyby ktokolwiek chciał ów sztandar wyrwać mu z ręki, musi wpieryć mu duszę z ciała. I dodał: „Tak mi Boże dopomóż!”. Jednakże, jak słyszeliśmy, pogoda była okropna i sztandar tylko przez chwilę stał zatknięty. Obaliła go wnet wichura tak gwałtowna, że tego dnia nie dało się już zatknąć go na nowo, co przyjaciele królewscy przyjęli za złą wróżbę. Nie było też wielu widzów do oglądania tej ceremonii: niewielu żołnierzy, a jeszcze mniej broni.

Zdało mi się to rzeczą bardzo dziwną, że chociaż w całym kraju dziewięć dziesiątych ludzi przeciwnych było wojnie i wolałoby cicho siedzieć niż walczyć, to jednak pozostała jedna dziesiąta, złożona z przewrotnych i

rozgorączkowanych tchórzów potrafiła kazaniami, klątwami i innymi strachami wpędzić resztę w wojenne tarapaty. Ludziom uczciwym i spokojnym wydawało się to wojną prowadzoną przez pijanych bezbożników z jednej strony, a obłudnych skrybów i faryzeuszów z drugiej. Z powodu tej ogólnej niechęci do wojny prowadzona ona była nierówno, ospale i (o ile nie chodziło o zemstę) w dosyć ludzki i szlachetny sposób. Do okrucieństw posuwali się tylko niektórzy szaleńcy, barbarzyńscy nicponie z obydwóch stron albo jacyś starzy żołnierze, którzy nauczyli się podłości i okrucieństwa w niemieckich wojnach.

Wszyscy w Forest Hill rozmawiali o kamieniach, które wciągnięto na szczyt wieży Św. Magdaleny w Oksfordzie, aby je zrzucić na każdego, kto by się ośmielił uderzyć na kolegium, oraz o tym, że gościniec koło wschodniego mostu, którym wjeżdżaliśmy do Oksfordu, zabarykadowano wielkimi pniami. Była to znaczna niedogodność dla ludzi ze wsi, bo ilekroć wóz z żywnością lub innym ładunkiem miał przejechać przez most, trzeba było podnosić ciężką bramę z belek za pomocą łańcuchów i bloków. Było to miejsce ściśle strzeżone w nocy. Tak samo stały straże przy krzywym wykopie przeprowadzonym przed wejściem do miasta od Wadham College do St John's College Walks oraz koło Penniless Bench w Carfax. James jednak powiedział nam, iż wszystko to jest jeno pustym udawaniem, bo miasto było odmiennego ducha niż kolegia: kiedy studenci zaczęli, dla lepszej obrony miasta, rozbierać kamienny most nad strumieniem Osney, mieszczanie wystąpili w wielkiej liczbie i kazali im zaprzestać. Doktor Pinke obawiał się, że jeśli lord Saye and Sele wystąpi ze swymi siłami przeciw niemu, miasto nie utrzyma się dłużej niż pół godziny, bo prócz swych studentów i wybranych służących miał tylko stu pięćdziesięciu ludzi słabo wyćwiczonych, którzy przybyli pod komendą sir Johna Byrona, drżał więc, że aule i kolegia będą splądrowane i spalone. Wobec tego pojechał któregoś dnia do lorda Saye w Aylesbury, żeby się wyprosić od udziału w walce: niech oddziały będą odesłane, a studenci rozbrojeni, aby Oksford był otwartym miastem, nikomu niegroźnym. Ale lorda Saye nie było, a jego adjutanci źle przyjęli doktora Pinke, nazwali go złośliwym zdrajcą i odesłali do więzienia w Londynie.

W parę dni później, około dziewiątej z rana, przyszła do nas wieść, że wielki oddział konny żołnierzy Parlamentu jedzie drogą z Thame w kierunku Oksfordu. Nasi zniwiarze opuścili pola i pobiegli oglądać widowisko, chociaż żniwa były już wielce opóźnione z powodu burzliwej pogody w tym miesiącu. Nie wrócili już w pole tego dnia, co przyniosło mojemu ojcu wielką stratę, gdyż następnego dnia padało, a tak samo następnej nocy. Wszyscy się obawiali, że ten oddział dużo szkody wyrządzi w Oksfordzie, plądrując kolegia, nie szanując witraży ani księgozbiorów. Ale dzięki temu, że studenci złożyli broń, a żołnierze pana Johna Byrona gdzieś odeszli, nic się złego nie stało. Lord Saye wjechał do miasta kolasa w sześć koni i wydał rozkaz, by rozwalono umocnienia. Wysłał ludzi, aby poszukali w kolegiach ukrytych sreber i broni. Znalezione srebra za lamperiami w Christ Church i te zabrano. Srebra należących do kolegów nie

zabierano, o ile nie były ukryte, a władze kolegów musiały obiecać, iż nie użyją ich przeciwko parlamentarzystom. Lord Saye stanął w zajeździe „Pod Gwiazdą”, a na ulicy rozpalono ognisko z ksiąg papistów i z obrazów zdjętych z kościołów i kolegów. Nikt nie uszkodził pięknych witraży w Christ Church i w innych kolegiach, jeno żołnierze zdumiewali się, że są tak bezwstydnie bałwochwalcze. Ale pewien ciura z Londynu, zakuty prezbiterianin, gdy przejeżdżał koło kościoła Panny Marii na High Street, wypalił z rusznicy do figury Matki Boskiej nad wejściem i jednym wystrzałem odbił głowę Najświętszej Panny i Dzieciątka, które trzymała w ramionach. A z pistoletu strzelił do obrazu Zbawiciela nad bramą Ali Souls College. Chybił jednak, a wtedy ktoś ze starszyny przybiegł, prosząc go, by oszczędzał prochu i kul, więc zaniechał dalszej próby.

Potem pułk granatowych z Londynu wmaszerował do Oksfordu i drugi pułk rudych. Wszyscy oni byli nadzwyczaj nieudolni we władaniu bronią i ciągle się upominali o obiecany żołd. Miał on wynosić pięć szylingów na głowę, nie licząc chleba i sera. Ale lord Saye największych krzykaczy osadził w karczerze, a resztę uśmierzył obietnicami.

Działo się to na parę dni przed św. Michałem. Przez cały ten czas byłam tak zajęta gospodarstwem domowym i tak uszczęśliwiona pobyt w domu, że tygodnie płynęły jak dni. Poszłam jednak teraz do mego ojca i wprost go zapytałam, jakie ma względem mnie zamiary: czy odeśle mnie z pieniędzmi czy bez pieniędzy, czy też w ogóle nie będzie mnie odsyłał. Odpowiedział, że nie ma żadnych pieniędzy pod ręką, a gdyby nawet miał, nie byłby tak głupi, aby posyłać większe sumy do Londynu, gdyż bez wątpienia żołnierze zagrabiliby je w drodze. Nie życzyłby sobie też, abym jechała do Londynu bez pieniędzy, gdyż mój mąż nie zechciałby mnie przyjąć, a w ten sposób stałabym się kobietą porzuconą. „Kochanie - rzekł - zaufaj mi, siedź spokojnie, nic nie rób, a jeśli twój mąż list napisze, nie odpowiadaj, tak jak i ja nie odpowiem. Wiadomo bowiem, że wszystkie listy są zatrzymywane i otwierane, a wiele z nich przepada. Pan Milton nie będzie miał dowodu, że list do ciebie doszedł. Uważajmy też, jak wojna się dalej rozwija, aby stosownie do tego postąpić. Jeżeli król wygra, tak jak mu obiecują, przed Godami i pójdzie na Londyn, i zdobędzie go, wtenczas i twój mąż będzie ujęty. Straci uszy, napiętnowany będzie na obu policzkach i pójdzie gnić w więzieniu, a takiego żoną lepiej nie być”.

„A jeśli król jegomość będzie pobity, panie ojczy?” zapytałam.

„No to będzie gorzej - odparł. - Ale będziesz przynajmniej miała przyzwoity dom, bo twój mąż, jako że jest zdolnym skrybą na rzecz Parlamentu, może się stać jednym z głównych ludzi u nich. Nie, nie może on zaprzeczyć, iż jest tobie prawowicie poślubiony. Jeśli zaś będę się uskarżał, że straciłem cały majątek, bo wymuszono na mnie kontrybucję dla przegranej sprawy, nic mu innego nie pozostanie, jak przyjąć cię z powrotem bez posagu”.

„Byłoby nieszlachetnie pozostawiać jego listy bez odpowiedzi, jeśli zamierzone są uczciwie - rzekłam. - Wierzę bowiem, że kocha on mnie raczej za bardzo niżli za mało. Prawdziwie sędzę, iż winien jest grzechu, który dr John Donne gromił kiedyś w kazaniu, to jest miłości do żony tak gorącej, jak gdyby była kochanicą. Jego surowość dla mnie, którą niejeden nazwałby okrucieństwem, obraca się również przeciw niemu. Dlatego nie mogę go nienawidzić. Ponadto jeśli on jest nieodwołalnie ze mną związany ślubowaniem złożonym w kruchcie naszego kościoła, to i ja jestem tak samo związana z nim ślubowaniem uczynionym w tejże kruchcie”.

„To uczucie świadczy o twojej dobrej naturze, drogie dziecko - rzekł mój ojciec. - Jednakże w tej chwili nic zrobić nie można, przysięgam, że nic zgoła. Jestem teraz o wiele mniej zasobny niż przed twoim ślubem. Moje dobra w Walii to tylko metafora, chytrze wprowadzona przez twoją matkę do naszych targów z panem Miltonem. On się bowiem upierał przy dużym posagu i nie ustępował. Wiesz również o tym, że tegoroczny urodzaj jest tak mizerny, iż nie mogę liczyć na dzierżawców, że mi zapłacą umówioną tenutę, a własne gumna zapełnię najwyżej do jednej trzeciej”.

Cóż miałam mówić? Siedziałam dalej w domu. Wiele jeszcze oddziałów i wojsk szło przez naszą okolicę do Oksfordu. A ćwiczona milicja obywatelska wychodziła z miasta w odwrotnym kierunku, do Thame, gdzie była musztrowana i zbrojona przez lorda Saye. Nazajutrz po Św. Michale wybuchły rozruchy w Carfax, w Oksfordzie, pomiędzy pułkiem granatowych a pułkiem rudych: granatowi trwali w rebelii i zuchwale wznieśli okrzyk, że król hojniej wypłaca żołd niż Parlament i że jeśli dostaną rozkaz walczenia przeciw królowi, przejdą do niego z bronią w rękę. Na to żołnierze z pułku rudych, bardziej karni i religijni, zgorszeni bluźnierstwami wplatanymi przez granatowych w ich pijackie pogroźki, natarli na nich. Ostro skrzyżowali szable i bili się dobrą chwilę. Po obu stronach byli tacy, co utracili palce, ale zabitych nie było. Wieśniacy tak się przerazili tych rozruchów, że przez kilka dni nie odważyli się chodzić do miasta z żywnością.

Wkrótce granatowi, a potem rudzi, wymaszerowali z miasta przeciw królowi, który stał z wojskiem w Shrewsbury. Ale wielu z nich nie stawiło się do szeregów. Kapitanowie i sierżanci przeszukiwali całą okolicę i zbierali po drodze porzuconą przez nich broń. Tuzin czy dwa tych tchórzów schroniło się w Shotover Forest. Nocą wychodzili z kryjówek i kradli nam gęsi i drób. Nareszcie zostali schwytani i odesłani do swoich kompanii, które ich ukarały chłostą. Jednego razu, gdy trzy tysiące żołnierzy kwaterowało w Oksfordzie jednocześnie, wylało się to tałatajstwo na wszystkie okoliczne miasteczka i wioski, a setka zdziechałych ciurów przysłała do Forest Hill. Kiedy jednak mój ojciec pokazał ich kapitanowi swój kontrakt z panem Robertem Pye'em, posłem do Parlamentu, zachowali się potulnie i ugodowo i zapłacili za wszystko, co rekwirowali. Nasz proboszcz wygłaszał kazania odpowiednie dla nich. Tak więc uwierzyli, że są wśród przyjaciół, chociaż w rzeczywistości Forest Hill stało

zdecydowanie przy królu, jeśli w ogóle przy czymś stało. Co im się najwięcej podobało, to to, że proboszcz zrywał się przed świtem i wygłaszał im kazania przy łójówce, tak że śpiewali psalmy, zanim jeszcze zapiały koguty: uważali, że godzina modlitwy przy świeczce większą ma wartość przed obliczem Pana niż trzy godziny za dnia. Na czwarty dzień żołnierze odjechali i okolica wolna była od wszelakiego wojska, wyjąwszy paru maruderów.

Pod koniec października doszły nas niejasne wieści o wielkiej bitwie, która miała miejsce w niedzielę o czterdzieści mil na północ od nas. Ale jak została rozegrana, tego nikt powiedzieć nie umiał. Była to bitwa pod Edgehill. Król w czternaście tysięcy żołnierza wyruszył był ze Shrewsbury w stronę Londynu. Wieść o tym zaniesiono do Worcester, gdzie leżał obozem hrabia Essex. Wtedy on pospiesznie ruszył w dziesięć tysięcy ludzi, by zabiec drogę królowi. Ale rekonesans parlamentarzystów nie był dokładnie powiadomiony o miejscu pobytu króla jegomości. I tak obie armie szły drogami w jednakowym kierunku, jeno o dwadzieścia mil od siebie; a żadna nie wiedziała o drugiej przez całe dziesięć dni marszu. Aż wreszcie na południu hrabstwa Warwick spotkały się przypadkowo wrogie kompanie przy rekwizycji paszy. Wówczas hrabia spiesznie rzucił swoją armię pomiędzy wojska królewskie a miasto Banbury. Ale połowa jego armat, ciągnionych przez woły, spóźniła się o dzień drogi, którą to stratę bardzo odczuł.

Bitwę wydano w Edgehill, na ziemiach, które częściowo należały do lorda Brooke, a częściowo do lorda Saye and Sele. Obaj dowodzili wojskami Parlamentu. Siostrzeniec królewski, dwudziestotrzyletni książę Rupert of the Rhine, generał konnicy królewskiej, zaszarżował i rozbił część armii Parlamentu. Ale ludzie jego natychmiast rzucili się do plądrowania taborów, dzięki czemu wojsko Parlamentu na nowo stanęło w ordynku i natarło na królewskich pieszych, którzy głodowali od dwóch dni z braku dowozu i bardzo podupadli na duchu. Nastąpiła ostra walka o zdobycie sztandaru królewskiego. Niosła go kompania gwardii królewskiej złożona z młodych rycerzy i panów tak możnych, że majątki ich cenione były znacznie wyżej aniżeli majątek całej armii wroga. Ojciec Muna bronił sztandaru bardzo dzielnie i zapuścił się z nim aż w szeregi nieprzyjaciół, zażywając go jak kopii, której ostrze wbił w ciało dragona i ułamał je. Szablą ubił jeszcze potem kilkunastu (jedni mówią: szesnastu, inni, że jeno dwóch), ale, niestety, przy ostatnim odrąbano mu dłoń w przegubie i sztandar zdobyto, a on poległ. Wielce to ośmieliło parlamentarzystów, którzy rzucili się naprzód, tak że sam król był w wielkim niebezpieczeństwie od kul z pistoletów. A mali książęta, Charles i James, którzy przyglądali się bitwie z okien zajazdu „Pod Wschodzącym Słońcem” omal że nie dostali się do niewoli. Byli bowiem pod opieką doktora filozofii Harveya, tego samego, co odkrył krążenie krwi; zapomniał on teraz o bitwie i o swoich obowiązkach. Jednakże udało im się pospiesznie umknąć na swych konikach. W tej samej potyczce poległ lord marszałek dworu, hrabia Lindsey, którego król wyznaczył na głównego dowódcę swych wojsk.

Kiedy noc zapadła, pięć tysięcy trupa leżało na polu, a każda strona przyznała się tylko do tysiąca poległych, ustępując czterech tysięcy swoim wrogom. Hrabia Essex utracił sztandar z takim trudem zdobyty, bo jeden z papistów, kapitan gwardii królewskiej, przebrawszy się w pomarańczową szarfę wojsk Essexu, którą zdarł z trupa, wcisnął się między parlamentarzystów. Tam śmiało zaczepił sekretarza hrabiego, pod którego opieką był sztandar, twierdząc, że sam go zdobył, i oburzając się, że marny skryba ma sobie powierzona tak cenną zdobycz. Głośnym swym wrzaskiem zastraszył sekretarza, który wreszcie oddał mu sztandar, a kapitan w ciemności pobiegł z powrotem do obozu królewskiego, gdzie sztandar rzucił królowi do stóp. Żadna ze stron nie mogła się słusznie poszczycić zwycięstwem, choć każda się nim chełpiła. Król jednak bardzo wiele uzyskał, bo hrabia Essex wycofał swe bataliony z Warwick, a król zajął dla siebie Banbury i własny zamek lorda Saye and Sele, po czym ruszył na Londyn. Dwudziestego dziewiątego października wjechał konno do Oksfordu północną bramą na czele swej piechoty. Przed nim niesiono, bijąc w kotły i bębny, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt chorągwi Parlamentu, zdobytych w bitwie, a wojsko szło w radosnym uniesieniu zwycięstwa. Za piechotą ciągnęły wielkie armaty z obsługą, dwadzieścia siedem sztuk wszystkiego, które wciągnięto do lasku przy Magdalen College.

Burmistrz i starszyzna Oksfordu składali królowi audiencję w Carfax i tak jak przedtem szynkowali wino szeregowym Parlamentu, tak teraz królowi złożyli dar pieniężny. Król zamieszkał w Christ Church z siostrzeńcami, książętami Rupertem i Maurice'em, i z małymi królewiczami. Królewskie wojska były zakwaterowane w Oksfordzie i po okolicznych wsiach, a jedna kompania przyszła do Forest Hill, bardzo roz hulana, i nakradła wiele drobiu i świń. Ta bohaterska hołota wykpiwała też proboszcza podczas nabożeństwa i nieprzystojnie poufaliła się z kobietami. Niektórzy z nich nie chcieli płacić szynkarzowi, twierdząc, że obronili nas od wściekłości rebeliantów i że wolno im napić się darmo.

Potem przyszły pułki konnicy królewskiej, które przeciągnęły przez Oksford bez zatrzymania. Poszły dalej w stronę Abingdon i Reading i do Londynu. Broń, którą obdarzono mieszczan oksfordzkich podczas musztry w Thame, odebrano im z nakazu królewskiego. Otrzymali ją teraz studenci. Mój brat, James, dostał znowu pikę i maszerował z królem w pułku hrabiego Dover. Drugi mój brat, Richard, wraz z innymi panami z trybunału służył w oddziale konnym lorda kanclerza, ale taka sama liczba jego kolegów, prawników, zaciągnęła się po stronie przeciwnej, wstępując do gwardii lorda Essexu. Wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy przyjdzie moim dwóm braciom wymienić razy z moim małżonkiem, gdyż nie wątpiłam, że będzie on stał z nastawioną piką w wielkiej bitwie, jaka się rozegra w obronie Londynu, dokąd ciągnęła wielka armia parlamentarzystów wracająca przez Northampton.

Kiedy król zajął Reading, nabraliśmy serca, dowiadując się, że Parlament jest gotów traktować z królem jegomością i że rozmowy już się zaczęły. Wszyscy

wierzyli, że wkrótce wojna się skończy. Okropną rzeź w Edgehill, gdzie obie armie dowiodły zaszczytnie swych niezaprzeczalnych walorów, uważano za ostateczny upust krwi, konieczny dla wyleczenia narodowej choroby, która pochodziła ze zbytku tłuszczu i krwi, to znaczy, że zbyt długiego i gnuśnego dobrobytu. Nagle jednak przyszły wieści, że książę Rupert ruszył naprzód i wziął Brentford, podczas kiedy jeszcze toczyły się układy pokojowe. Wtedy wszystkie oddziały z Londynu wyszły aż do Turnham Greene, aby mu zastąpić drogę pod dowództwem wielmożnego generała-majora Skippona. Te wyćwiczone oddziały tak się dzielnie prezentowały, że król nie pozwolił księciu z nimi się ścierać. Wycofał swą armię do Colnbrook i nawiązał znowu układy z Parlamentem (ale bez skutku), po czym pociągnął do Reading, a stamtąd dalej do Oksfordu. Był to bowiem już koniec listopada, pora, w której wszelkie uczciwe wojsko winno udać się na zimowe leża i spać jak susły aż do wiosny. Oksford otoczył pasem wysuniętych straży o dziesięć lub dwanaście mil od miasta i wybudował nowe forty w miejsce tych, które rozbił lord Saye.

Niepotrzebnie się troskałam obawą, że owdowieję za przyczyną moich braci, bo - jak się później dowiedziałam - mąż mój nawet nie wziął udziału w marszu na Turnham Greene, aczkolwiek odważnym był z natury i wspominał często, jak szlachetny dramaturg Ajschylos bił się przeciw Persom w obronie Aten, swego rodzinnego miasta. Mój mąż pokłócił się ostatnio z kapitanem swej kompanii, kupczykiem z zawodu, którego uważał za nikczemną postać, i nie chciał dalej pod nim służyć. A wtedy, kiedy już raz złożył broń, zmiarkował, iż znacznie mniej zaszczytną, a bardziej niebezpieczną jest walka nowoczesna od starożytnej. Ajschylos, służąc jako kopijnik, niewątpliwie potrafił zręcznie pochwyć i odwrócić strzały Persów, które w niego mierzyły, posługując się tarczą umocowaną na lewym ramieniu. A czyż w dzisiejszych czasach nie było wielu odważnych i dzielnych ludzi zastrzelonych z za płotu przez tchórzliwych muszkietierów, którzy nigdy nie śmieliby im w oczy spojrzeć? A jakież to człowiek posiadał tak niesłychaną zręczność, by mógł odbić kulę z pistoletu za pomocą swej piki? Wskutek czego mając w pamięci, że rozważa jest niezbędną częścią dzielności, postanowił nie ryzykować życia w bitwie. Bo jeśli polegnie, to któż się znajdzie, by dokończyć boską tragedię *Adam wygnany z Raju*, która leżała niedokończona na jego stole? Życie poety, twierdził, większą miało cenę niż żywoty stu tysięcy chłopów lub rzemieślników i byłoby to brakiem szacunku dla Boga, gdyby lekkomyślnie utracił je w bitwie. Jeżeli, jak mówi Pismo, żywy pies więcej jest wart aniżeli ubity lew, to żywy lew więcej jest wart niż wszystko; niechże psy zamiast niego zdychają.

Toteż prowadził on dalej zwykły swój tryb życia, z tą różnicą, że już nie ćwiczył w parku artyleryjskim. A jeśli się doskonalił w zażywaniu piki, czynił to w zaciszu swego ogrodu - i po to, aby w tym kształcić swych siostrzeńców, którzy, jak wszystkie dzieci czasu wojny, pragnęli stać się żołnierzami.

Potem przyszła wieść, że królewska armia nadciąga do Brentford. Lord Saye poderwał całe miasto, głosząc orędzie w ratuszu: „Niebezpieczeństwo jest tylko

w beczynności. Niech każdy zamknie swój sklepik, a ima się broni! Wstańcie a działajcie, bo Pan będzie przy was!” wtedy mój mąż odstąpił swoją pikę zaciężnemu, który był bez broni. I napisał sonet, który dla ochrony przybił na drzwiach swego domu. Żywił bowiem smutną pewnością, że oddziały dowodzone przez tak podłych kupczyków jak jego były kapitan, nie oprą się ludziom szlacheckiego stanu, lecz załamią się przy pierwszej salwie muszkietów i zemkną na chyżych nogach. Stąd wniosek, że miasto zostanie bez obrony, wyjąwszy to, co może zdziałać kilku desperatów w strażnicach, wzniesionych tu i ówdzie na ulicach, a zaopatrzonych w słupy, drągi i łańcuchy. Taki opór może jeno wzniecić złość wojaków, cała zaś ludność - dwieście tysięcy dusz albo i więcej - skazana będzie na rabunek i gwałty.

W sonecie wyżej wzmiankowanym zwracał się do każdego rycerza, kapitana czy pułkownika lub pomniejszego oficera, który by trafił do jego domu, i upraszał ich opieki od gwałtów żołdactwa, obiecując za ten miłosierny uczynek wieczną sławę. „Nie wznoszę oszczepu przeciw siedzibie Muz!”, pisał; i wspominał dalej, jak to Aleksander, wielki Macedończyk, podczas plądrowania Teb oszczędził dom poety Pindara (który już dawno nie żył) i jak to przy innej okazji Spartanie przez pamięć na poetę Eurypidesa powstrzymali się od zniszczenia całego miasta Aten.

Atak na Londyn nie doszedł do skutku i mój mąż zdjął papier z drzwi. A kiedy sąsiad jego, pan Jokay Matthews kpiąco się o tym odezwał, wielce był obrażony i aby okazać, że nie jest tchórzem, wstąpił do wojska Parlamentu. Nie powstrzymała go w tych zamiarach wiadomość, że dzielny lord Brooke, z którym był w przyjaznych stosunkach i który też był autorem antyklerykalnych książek, zginął od zbłąkanej kuli, wypalonej z dachu katedry w Lichfield. Dlatego też, kiedy przyszła wiosna i sir William Waller został mianowany dowódcą armii parlamentarzystów w zachodniej części kraju, a każdy kaznodzieja w Londynie przeklinał „Meroz”^[35] z ambony, wówczas mój mąż poszedł śmiało do radnego miejskiego Izaaka Penningtona, posła do Parlamentu. Był on wówczas burmistrzem Londynu i dowódcą pułku białych, a wielce mego męża poważał. Jego to poprosił mój mąż, aby go rekomendował na generał-adiutanta armii sir Williama Wallera!

Burmistrz Pennington zapytał mego męża, czy - będąc sprawnym kopijnikiem i uczonym w pismach takich wojskowych autorów łacińskich jak Elian, Polienus i Frontinus - ma również doświadczenie w nowoczesnym rzemiośle wojennym.

[35] Była to aluzja do ustępu z Księgi Sędziów (5,23): „Przeklinajcie ziemię Meroz, rzekł Anioł Pański: złorzeczcie obywatelom jej, iż nie przyszli na pomoc Pańską, na pomoc najmocniejszym jego.” Gorliwi duchowni obu stronnictw posługiwali się tym wersetem dla pobudzenia opieszłych i neutralnych. (Przyp. aut.)

Pozycja generał-adiutanta bowiem, choć poniżej wszystkich pułkowników, wyższa jest od wszystkich podpułkowników. Mój mąż uparcie przeczył, aby Gdyż bez tego nie da się go polecić na tak zaszczytną służbę, z żołdem wynoszącym 18 szylingów dziennie, podczas kiedy w armii sir Williama Wallera, znajdowali się gorliwi oficerowie, którzy się już wyróżnili w sławnych potrzebach szwedzkich, nie otrzymali jednak wyższej rangi nad kapitana, z żołdem w wysokości tylko dziesięciu szylingów.

Pozycja generał-adiutanta bowiem, choć poniżej wszystkich pułkowników, wyższa jest od wszystkich podpułkowników. Moj mąż uparcie przeczył, aby doświadczenie wojenne było do tej funkcji potrzebne. Zadanie generał-adiutanta, mówił, nie polega na rozkazywaniu. Jest on wysyłany dla przyspieszenia wykonania rozkazów kwatery głównej w całej armii. Wybiera się więc na to stanowisko człowieka, który jest nieustraszony, śmiały w odezwaniu, wymowny, dociekliwie roztropny i obdarzony świetną pamięcią. Musi też znakomicie konia zażywać, być tęgim rębaczem i uzyskiwać natychmiastowe posłuszeństwo.

Burmistrz, jak myślę, nieco się wahał, lecz wreszcie zgodził się pomówić w tej materii z sir Williamem Wallerem. Zdaje się jednak, iż sir William Waller, który miał trochę na pieńku z burmistrzem w sprawach religii (jako że burmistrz był mniej surowy w swych prezbiteriariskich poglądach), nie dał się przekonać o zdolnościach mego męża; albo też może miał odpowiedniejszego człowieka. Wówczas mój mąż, skoro nie mógł uzyskać pozycji godnej swej ambicji (uważał bowiem, że nie ustępuje nawet najlepszym we wszystkim, co czynił, a miał nadzieję, że od generał-adiutanta postąpi szybko na komisarza generalnego albo na generał-majora), pogardził ofiarowanym mu stanowiskiem adiutanta pułkowego jako zbyt nędznym. Wrócił więc do siedziby Muz czy też do Merozu aż do czasu, gdy ludzie u władzy przyjdą sami go prosić o służbę.

Rozdział siedemnasty

MÓJ MAŻ PRZYSYŁA PO MNIE

Nie zamierzam pisać historii utarczek, bitew i oblężeń, których wspomnienie jest boleśnie żywe w pamięci ludzkiej. Będę o nich mówić tylko o tyle, o ile wpłynęły na zmiany w życiu moim lub moich krewnych i przyjaciół.

Tej zimy 1642-1643 roku król pozostał na zimowych leżach w Oksfordzie i miał tam swoją kwaterę główną. Było to bowiem najbliższe miejsce pod Londynem, dość wygodne dla jego celów. Okazało się to nader kłopotliwe dla studentów, którzy musieli ustąpić swoich kwater urzędnikom królewskiego dworu i oficerom armii. Sąd lorda kanclerza zasiadał w kolegiach, które po części służyły także jako spichlerze. Trybunał niższy miał siedzibę w szkole filozofii naturalnej. Główny skład broni i prochu znajdował się w New College. Magazyn z suknem na mundury żołnierskie znajdował się w szkole astronomii i muzyki, a w szkole retoryki mieściły się warsztaty ciesielskie, gdzie budowano zwodzone mosty dla fortyfikacji.

Przejazd dylizansów i wozów ciężarowych między Londynem a Oksfordem został zawieszony, wszystkie zaś listy chwymano i badano. Nie mogę przeto powiedzieć z całą pewnością, ile listów, które mój mąż wysłał do mego ojca w sprawie mojej przedłużonej nieobecności, dotarło do nas. Jednakże z półsłówek, które wymknęły się ojcu, zrozumiałam, że przynajmniej jeden list do niego doszedł. Bo dosłyszałam, jak mówił do wuja Jonesa: „Jeśli pan Milton tak się troszczy o bezpieczny powrót mojej córki, czemuż nie przyjedzie po nią sam, jak to odważny i kochający mąż uczynić powinien?”

Wuj Jones odparł: „Bracie, jakżeż może się on wyprawić w taką drogę napisawszy tyle złego o biskupach? Byłby aresztowany na pewno i wrzucony do lochu, a wtenczas sprawa jego byłaby sto razy gorsza. Dowiedziałem się bowiem, że komendant więzienia, Smith, chciwy dozorca więźniów w Oksfordzie, dopuszcza się niezmiernych okrucieństw na więźniach, których ma w opiece”.

„Ależ - krzyknął mój ojciec - gdyby Nan, moja żona, uciekła do Londynu, to choćbym i sto pamfletów ogłosił przeciwko Parlamentowi i choćby straże po drodze były najbardziej czujne, to bym się jednak uwinął, by ją wyszukać i przywieźć z powrotem ze sobą, choćbym miał życie stracić w tym hazardzie!”

Na to wuj Jones odrzekł chłodno: „Nie mógłbyś nic pomniejszego uczynić, bracie, jako człowiek uczciwy, bo opiekun twojej żony, jej wuj, Abraham Archdale, akurat nie wypłacił ci dwa tysiące funtów zastrzeżonych tobie intercyzą ślubną - byłem jej świadkiem dwadzieścia lat temu - a potem jeszcze odziedziczyła tysiąc funtów, które także ci spadły z nieba. Zda mi się jednak, że pan Milton nie otrzymał ani pensa z sum obiecanych w intercyzie ślubnej twojej córki, której to również byłem świadkiem”.

Wtedy padły gniewne słowa ze stron obu i wuj Jones całkowicie przestał u nas bywać.

Z początkiem nowego roku 1643 sprowadzono mennicę ze Shrewsbury do Oksfordu i zainstalowano ją w New Inn Hall, ongiś siedzibie uczonych purytańskich, obecnie przez nich opuszczonej. Przybycie mennicy nie było radosnym wydarzeniem dla władz kolegialnych, gdyż zastawy stołowe, które oszczędził lord Saye pod warunkiem, iż nie zostaną użyte przeciw Parlamentowi, teraz przemocą kazał zabrać król i bił z nich monety. Ten oksfordzki pieniądz był bardzo ozdobny i nosił łaciński napis; „Niech Bóg powstanie, a wrogowie jego niech będą rozproszeni”.

Żalosią to było stratą dla kolegiów, że je pozbawiono starodawnych mis, kubków i dzbanów. Prezydent i członkowie St John's College, zagrożeni utratą pamiątek ofiarowanych niegdyś przez hojnych dobrodziejów, złożyli królowi sumę 800 funtów, czyli równowartość zastaw, licząc według wagi. Mieli nadzieję, że w ten sposób je uratują. Lecz król jegomość, choć łaskawie przyjął pieniądze, jednak wnet przysłał również po zastawy, aby bić z nich korony i szylingi. Wszyscy panowie i szlachta z całego hrabstwa byli teraz wezwani do przysyłania swych zastaw w zamian za obietnicę zapłaty po odniesionym zwycięstwie. Mój ojciec musiał posłać trzy funty naczyń, wśród których był również mój kubek i misa, dar chrzestnej Moulton, ofiarowany mi w dniu mego chrztu. Zatrzymał jednak dziewięć czy dziesięć funtów najlepszych sztuk, które ukrył w ogrodzie, pod rabatą goździków. Te rekwizycje przyniosły królowi około 3000 funtów srebra, srebra pozłacanego oraz złota. Jednakże obydwaj zarządcy mennicy - jednym z nich był dziedzic Bushell - żalili się, że wiele pozłacanych kubków i dzbanów, z wrytymi nazwiskami ogólnie szanowanych osób, zrobionych jest z pospolitego kruszcu, zdatnego tylko na wyrób drobnej monety, a nie koron.

Moc żołnierzy kwaterowało u nas owej zimy, wartych szubienicy w tym życiu, a piekła w przyszłym. Byli to pijani, ordynarni, drażliwi, kłótlivi, wiecznie niezadowoleni nicponie. Majątek srogo ucierpiał od ich kradzieży oraz od wypasania końmi naszych łąk bez naszej zgody, a także od ducha próżniactwa i *rozpusty*, jakiego udzielili naszym ludziom. Zmienili nasz dom we wstrętą, ordynarną karczmę, zatabaczoną i zapluta. Każda beczka naszego dobrego piwa drżała na ich widok. Królewski oficer zarekwirował nasze trzy najlepsze wałachy pod siodło dla dragonów, płacąc za nie memu ojcu tylko po cztery funty, choć warte były dwa razy tyle, oraz nasz najlepszy zaprzęg ciężkich koni za nędzną sumę sześciu funtów od sztuki, łącznie z nowym niebieskim wozem, który przeznaczal pod wielką mosiężną armatę. Wzięli do wojska trzech ludzi z naszej służby i jeszcze sześciu czy siedmiu synów naszych dzierzawców. Nakaz króla dotyczył tylko ludzi zdolnych do noszenia broni i raczej kawalerów niż żonatyh a także raczej spośród służby aniżeli spośród gospodarzy i raczej rękodzielników czy kupców niż wieśniaków. Mój ojciec jednak nie kierował się ściśle tym wyborem, ale pozbył się pijaków i innych

nicponiów, którzy byli mu najmniej przydatni, bez względu na ich zawód czy sytuację. Tylu było koniokradów, iż musieliśmy założyć pęta z kłódkami na przednie nogi naszych pozostałych bydła, choć i to nie zabezpieczało przed ich utratą. Życie ludzkie nie było tak cenione jak dawniej, gdyż śmierć w bitwie czekała na każdego żołnierza. Pewnego dnia w naszej drewnianej dwóch ciurów pokłóciło się o podkowę, poszli więc do sadu i tam stoczyli walkę na rusznice. Jeden został trafiony w pierś i skonał, raniwszy uprzednio przeciwnika w nogę. Rana się rozjątrzyła i chory zmarł w ciągu tygodnia.

W lutym nadzieje nasze wzrosły, bo przyjechali komisarze Parlamentu z hrabią Pembroke na czele, kanclerzem uniwersytetu. Miał on nadzieję na porozumienie z królem i na załatwienie sporu. Proponował zawieszenie broni. Król przyjął wysłanników dobrze i odeszli wielce zadowoleni z odpowiedzią na piśmie. Ponieważ jednak kilka dni przedtem książę Rupert zdobył Cirencester mimo silnej obrony, większość doradców królewskich nalegała, aby był nieustępliwy. I tak wojna ciągnęła się dalej. Ale póki trwały układy, to jest od lutego do połowy kwietnia, nastąpiła przerwa w walkach. Mój mąż z tego skorzystał, by przysłać do nas umyślnego. Ponieważ zaś nie mógł znaleźć dość odważnego mężczyzny, który by się puścił w tę podwójną podróż, jego umyślnym była służąca Jane Yates. Pewnego ranka w marcu zjawiała się u drzwi pokoi służbowych, prosząc o pozwolenie widzenia się z moim ojcem. Ale tak się złożyło, że drzwi otworzyła jej Trunco, która kazała jej czekać przed progiem, zatrzasnęła drzwi przed nią i przybiegła do mnie do pokoju kredensowego. „Och, proszę pani - krzychała - zjawiała się ta kłamczucha z kwaśnym oddechem, Jane Yates. Chciałaby mówić z twoim czcigodnym ojcem. Czy mogę ją wrzucić do świńskiego koryta, bo przysięgam, że jest z piekła rodem!”

„Nie, Trunco - rzekłam - to byłoby niemiłosierne. Ale nie trudź wielmożnego pana, który na górze zajęty jest rachunkami. Może pomówi z nią moja matka i zastąpi ojca”.

Kiedy matka dowiedziała się o przybyciu Jane, wezwała ją do małej bawialni i zapytała, o co jej chodzi. Jane odrzekła, że ma ustne polecenie od pana Johna Milтона, które ma przekazać panu sędziemu Powellowi we własnej osobie, a nikomu innemu. Na to rzekła moja matka, że jest żoną pana sędziego Powella i że jego wielmożność rozkazał, by mu nikt w pracy nie przeszkadzał.

Jeśli tak jest, proszę pani - odrzekła Jane - to za twoim zezwoleniem poczekam w kuchni, aż jego wielmożność skończy pracę”.

„Nie, tego nie uczynisz - krzyknęła moja matka. - Nie chcę żadnego obłudnego śmiecia prezbiteriańskiego w mojej kuchni, abyś tu wносиła zamieszanie i wzburzała mi służbę. Jeśli chcesz czekać, to będziesz czekać w długiej szopie, gdzie kwaterują żołnierze. Ręczę, że popieszczą cię grzecznie, kiedy Trunco opowie kapralowi, w jaki sposób ją traktowałaś w Aldersgate. Czyż nie tak, Trunco? Trunco jest kocmołuch z miłym usposobieniem, zawsze gotowa oddać dobrem za dobre i złem za złe - i to w równej mierze. A kapral ze

wstrętem patrzy na wszystkich purytanów, czy to męskiego, czy żeńskiego rodzaju”.

Wówczas Jane zgodziła się przekazać polecenie mojej matce w zastępstwie ojca, jeśli nie może tego uczynić wobec samego wielmożnego sędziego Powella. Przyznała się, że obawia się bardzo tych bezecnych żołnierzy, groźnych dla jej cnoty. Ja jednak sobie pomyślałam, że nie ma na świecie człowieka, chyba że byłby ślepy i pijany, a do tego jeszcze szalony, który by się odważył zadawać z takim kudłatym flejtuchem jak ona.

„No, to mówże, niewiasto!”, krzyknęła moja matka.

„Więc to mi kazał powiedzieć pan John Milton - rzekła Ja-ne. - Od zeszłego św. Michała napisał czterokrotnie do jego wielmożności, męża łaskawej pani, i nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Obawia się, że przechwycono jego listy. Dlatego przysłała mnie, osobę zaufaną, abym wypowiedziała ustnie jego polecenie i tak samo powtórzyła mu odpowiedź. Chce on wiedzieć, dlaczego jego żona nie wróciła do niego, jak to było umówione, i rozkazuje, aby wróciła w moim towarzystwie. A co do sumy, jemu należnej, to poprzestanie teraz na tysiącu funtów. Tamten dług może poczekać parę miesięcy. I żąda, aby tę sumę wypłacono na ręce pana Rousa, księgarza w Oksfordzie, który obiecał, że mu te pieniądze dostarczy za pośrednictwem jednego z komisarzy porządkowych, pana Pierrepointa. A także żąda, by małżonka do niego wróciła z reskryptem wystawionym przez pana Rousa na pieniądze, które otrzymał”.

„Czy to już wszystko? - drwiąco krzyknęła moja matka. - Na Boga, czy to wszystko? Czy do jego ładnego domku w ogrodzie na ulicy Aldersgate nie doszły wieści przez służbę czy przez sąsiadów, że nasz kraj jest uwikłany w wojnę? Jakże on to sobie umyślił, że jego wielmożność, mój pan małżonek, nagłym sposobem zdobędzie w tych czasach tak znaczną sumę jak tysiąc funtów, a jeśliby zdobył, że odda ją bezczelnemu prezbiteriańskiemu buntownikowi raczej niż swemu panu, królowi jegomości? Król Karol potrzebuje dziś każdego złamanego grosza, uciulanego przez kochających poddanych. Wynoś się teraz, bym się nie rozeźliła, ty kaprawa babko kościelna, bo jeszcze kijem cię zdzielę na dodatek!”

Ale Jane Yates upierała się, wołając: „Wielmożna pani, ulituj się nade mną, bom w wielkich trudach z Londynu przyszła. Jestem tylko posłańcem, jak powiada mój pan, a nie mogę sądzić w tej materii. Jeśli nie wrócę z odpowiedzią na piśmie, mój pan powie, że zawiodła jego zaufanie”.

„Trunco - rzekła moja matka - bacz, aby ta niewiasta była gościnnie opatrzona dla czci tego domu i nie mścij się na niej”. Potem zwróciła się do Jane i rzekła: „Wielmożny mój pan małżonek przesyła niskie ukłony twemu panu, a na jego zuchwałę polecenie odpowiada: Niech twój pan się podrapie, gdzie go swędzi”.

„Wielmożna pani - krzyknęła nieszczęsna kobieta - takiej odpowiedzi nie ośmielę się powtórzyć memu panu”.

„A czyż on taki srogi? - zapytała moja matka. - Na moją duszę, żal mi ciebie. Czemu sobie nie znajdziesz innego pana? Jeśliś taka śmiała, by przynieść bezczelne żądania komuś, co nie jest twoim panem, odważysz się chyba zanieść mu stosowną odpowiedź”.

Tak ją przyjęła moja matka. Lecz mój ojciec, gdy się dowiedział od ochmistrza, że wysłannica pana Milтона była w kuchni i że uskarżała się, iż nie miała dostępu do niego, natychmiast zszedł do Jane. Przemówił do niej grzecznie w obecności mojej i ochmistrza i dał jej całkiem inne zlecenie. Oświadczył, że chociaż mój mąż odesłał mnie nagle z Londynu do Forest Hill, choć nie byłam tutaj zaproszona, on jednak rad jest, iż z nim nieco dłużej przebywam, i będzie mnie gościł, dopóki mój mąż po mnie nie przyjedzie. Bo nazbyt mnie miłuje, aby wysyłać mnie w drogę niepewną, z jedną tylko służebną, pomiędzy walczące armie. A co się *tyczy* pieniędzy, żałuje bardzo, iż nie może ich wręczyć panu Rousowi, chyba że mój małżonek podpisze obligację, iż ani grosza z tego nie użyje na pociechę dla wrogów króla jegomości. A także polecił złożyć uszanowanie starszemu panu Miltonowi i zapewnienie, iż jest zawsze do usług gotowy. Kazał Jane powtórzyć te słowa po nim i nauczyć się ich na pamięć. Kiedy odeszła, zawołał mnie do siebie i rzekł: „Mój syn, Milton, myśli może, że uda mu się z tobą rozwieść i ożenić się z inną. Dlatego też dałem mu odpowiedź wobec świadków, co go powstrzyma, przysięgam, od tego kroku. Zażyłem go chytrze i w gładki sposób”.

„Panie ojcze - rzekłam - powiedz mi (gdyż bynajmniej nie jest to dla mnie jasne), z jakich to przyczyn mężczyzna czy kobieta może starać się o rozwód pod prawem?”

Zaśmiał się trochę i odparł: „Ej, niecnotko, to jest pytanie tak szerokie jak wrota kolegalnej biblioteki. Odpowiem ci jednak krótkim wierszem łacińskim, jeśli ci to cokolwiek objaśni:

Error, conditio, votum, cognitio, crimen,

Cultus disparitas, vis, ordo, ligamen, honestas,

Si sis affinis, si forte coire nequibis -

Haec socianda vetant connubia, facta retractant.

Kiedy się stropiłam, łaskawie mi objaśnił znaczenie tego wiersza. Było to wyliczenie - według zasad prawa kanonicznego - wszystkich przeszkód, które sprzeciwiają się zawarciu małżeństwa albo anulują małżeństwo już zawarte:

1. Jeśli jedna ze stron przez pomyłkę lub podstęp oszukana jest co do osoby, nazwiska lub stanu drugiej strony.

2. Jeśli jedna ze stron jest poślubiona komu innemu.

3. Jeśli jedna ze stron złożyła uroczysty ślub czystości wobec duchownego.

4. Jeśli są krewnymi lub powinowatymi w stopniu zakazanym przez Kościół.

5. Jeśli któraś ze stron w poprzednim małżeństwie popełniła cudzołóstwo lub kazirodztwo lub jeśli mężczyzna ochrzcił własne dziecko.

6. Jeśli któraś ze stron zamordowała duchownego lub popełniła morderstwo w celu usunięcia przeszkody w małżeństwie.

7. Jeśli któraś ze stron okaże się być Żydem, Turkiem, Saraceniem lub temu podobnym.

8. Jeśli któraś ze stron popełniła okrutny gwałt na osobie drugiej strony lub jeśli spiskowała na jej życie.

9. Jeśli mężczyzna jest duchownym.

10. Jeśli mężczyzna jest impotentem lub jeśli przyrodzenie kobiety jest zniekształcone, tak że nie mogą obcować ze sobą cieleśnie.^[36]

„Widzisz więc - rzekł ojciec - ile skarbów tu leży dla kanonicznego prawnika. Może on znaleźć rysę w każdym niemal małżeństwie. Bo jeśli John of Stiles zezna, iż przed ślubem z Joan of Noke spał w tej samej pościeli z jej ciotką, siostrą cioteczną lub babką, wówczas John i Joan są już spowinowaceni i ich małżeństwo nie jest małżeństwem: wolni są więc jak ptaki”.

„A czy nie można rozwieść się z kobietą - zapytałam - jeśli popełniła ona cudzołóstwo albo opuściła małżonka?”

„Nie - powiedział. - Może wówczas nastąpić separacja, ale nie ma sprawy rozwodowej, to znaczy, żadna ze stron nie może poślubić kogoś innego, jak to bywa w tamtych wypadkach. Niemniej purytanie pchają do reformy w tej sprawie i to, co dziś zakazane w Oksfordzie, może jutro być dozwolone w Londynie. Dlatego też, nie chcąc, aby cię przedstawił jako ladacznicę, która odeszła od jego stołu i łoża, udaremniłem jego oskarżenie polityczną odpowiedzią daną jego wysłanniczce. Bo nie może zaprzeczyć, że to raczej on ciebie odesłał, niż ty jego opuściłaś”.

Nagle zapytał: „Powiedz mi, kochanie, może ty jednak chciałabyś do niego wrócić mimo wszystko?”

„Uczciwa kobieta nie ma własnych żądań - odparłam. - Posłuszna jest rozkazom tych, co nią rządzą. Ale jeśli są oni w niezgodzie i kobieta nie wie, komu z nich winna jest posłuszeństwo, czy ojcu, czy mężowi, cóż może uczynić innego, jak słuchać ostatniego rozkazu? Każ mi zostać, a zostanę”. „Zostań!” powiedział.

I zostałam. Byłam jak pies, który zerwał się z łańcucha, ale ciągnie go za sobą. Tego samego lata przeczytano w Oksfordzie królewskie orędzie zabraniające pod karą śmierci jakiegokolwiek styczności z Londynem.

W tym to roku 1643 król miał nadzieję zmusić Westminsterki parlament do uległości (zwołał był do Oksfordu antyparlament, który urzędował w uczelniach) i powziął plan marszu na Londyn z trzech różnych stron.

[36] Tę przeszkodę wysunęły przeciw hrabiemu Essexowi dwie kolejne jego żony i uzyskały rozwiązanie małżeństwa. Stało się to przyczyną wielu złośliwych żartów na dworze, a hrabia Essex tym gorliwiej starał się potem wykazać swą męską dzielność w walce po stronie Parlamentu. (Przyp. aut.)

Według tego planu hrabia Newcastle miał maszerować z dalekiej północy przez Lincolnshire; sir Ralph Hopton, poseł okryty sławą z czasów wojen niemieckich, maszerować miał z zachodu, z Kornwalii, trzymając się południowego wybrzeża; król jegomość zaś wyruszyłby z Oksfordu, skoro tylko tamci dwaj zbliżą się do Londynu na taką samą odległość, jaka dzieli Oksford od stolicy. Hrabia Newcastle i sir Ralph Hopton odnieśli obydwaj wielkie zwycięstwa. Dzięki temu w ciągu lata zagarnęli dla króla cały zachód i północ - oprócz dwóch czy trzech portów morskich - i prawie wszystkie ziemie w środkowej Anglii. Hrabia Essex usiłował powetować te straty, maszerując na Oksford. Wielki zapanował popłoch w Forest Hill na wieść, że zajął Reading. Jednakże armia jego upadła na duchu po śmierci wielmożnego Johna Hampdena, uważanego za wielkiego obrońcę wolności ludu. Raniony w potyczce o kilka mil od nas, zmarł w Thame. Hrabia się cofnął i wkrótce król odzyskał Reading.

Niemniej parlamentarzyści byli silniejsi, niżli się nam zdawało. Flota pozostała im wierna. Nie brakowało im pieniędzy na żołd. Do nich należał Sussex, a więc główne w kraju huty żelaza, gdzie były odlewnie wielkich dział. Mogli też sprowadzać z zamorskich krajów wszelką wojenną amunicję, na jaką ich tylko było stać. Poza brakiem floty cierpiał król jeszcze od trzech bolączek: pierwsza to brak pieniędzy; druga, że ludzie pobrani do wojska w jednym hrabstwie nie chcieli maszerować na teren hrabstwa sąsiedniego; a trzecia, że były nieustanne utarczki i zawiści między jego dowódcami, szczególnie między książęcymi jego siostrzeńcami a dumnymi angielskimi panami, z których każdy wolałby iść na dno z towarzyszami na wspólnym statku, niż żeby miał wyrzec się swej godności, słuchając jakiegokolwiek rozkazu oprócz królewskiego. Gdyby nie te przeszkody, król byłby już zwyciężył.

Londyn bowiem, serce rebelii, był w tak posępnym i złowróżbnym stanie niezgody, z ciżbą ludzką na ulicach, wrzaskami o krew „tego psa, Pyma” i zdrajców, wrogów pokoju, że król mógłby wziąć miasto bez trudu, gdyby uderzył z armią bitną i dobrze płatną, chociażby niewielką. Ale panowie i chłopci z zachodu nieskorzy byli zapuszczać się na wschód, dopóki nie padnie Gloucester, którego uporczywie bronił niejaki pułkownik Massey. Tak samo panowie i chłopci z północy nie chcieli posunąć się na południe, dopóki nie skapituluje Hull, zaopatrywane w pomoc i żywność od strony morza.

Toteż król zawrócił ze swoją armią i otoczył Gloucester. Wiedział bowiem z listów, które przejął, że miasto wytrzyma najwyżej jeszcze dwie niedziele. Wezwał załogę do poddania, ale pułkownik Massey uniżenie odmówił. Wtedy rzekł król jegomość: „Jeśli spodziewacie się pomocy, jesteście w błędzie. Waller jest rozbity, a Essex przyjsć w sukurs nie może”. Niemniej mieszkańcy podłożyli ogień na przedmieściach i trwali w oporze, gdyż wiedzieli, że sprzęt obłężniczy króla jegomości jest nic niewarty. Wtedy hrabia Essex wymaszerował z Londynu z generałem Skipponem i jego zaprawionymi w walkach oddziałami, gotowymi do najdalszych nawet i najszybszych marszów.

Ominęli Oksford kręgiem i przeszli na lewo od nas. Dotarli do Gloucester w ciągu dziesięciu dni i uwolnili oblężonych. Jednakże król jego mość nie bardzo nad tym bolał, gdyż w ten sposób wywabił wroga z jego najsilniejszej pozycji i wierzył, iż odetnie mu odwrót. Ruszył więc żywo i przeciąwszy gościniec londyński w Newbury, w Berkshire, zmusił hrabiego Essexa do bitwy. Walka ta była pod każdym względem równie gorąca jak bitwa w Edgehill. I znowu żadna ze stron nie mogła się poszczycić zwycięstwem, bo choć konnica królewska była stokroć lepsza od konnicy Parlamentu, to jednak londyńska piechota generała Skippona stała jak mur i nie dała się złamać, mimo iż kule armatnie przebiły jej czworoboki, obryzgując żołnierzy mózgami i wnętrznościami ich towarzyszy. Następnego ranka, kiedy hrabia zwoływał swoje wojska na nową bitwę, ujrzał, iż droga na Londyn stoi przed nim otworem. Poprowadził tedy wiwatującą armię do domu. W Oksfordzie tłumaczono, że królowi zabrakło prochu i kul, więc nie mógł utrzymać zdobytego stanowiska.

W tej bitwie zginął lord Falkland, królewski sekretarz stanu i doradca, który najwytrwalej nakłaniał króla do pokoju: człowiek dobry, umęczony wypadkami, zdolny przewidzieć całą nędzę mającą spaść na Anglię, jakkolwiek by się wojna zakończyła. Rankiem przed bitwą wołał o czystą koszulę, bo jeśli tego dnia miał zginąć, niechże nie znajdą jego ciała w cuchnącej bieliźnie! Mniej więcej w tym samym czasie zmarł jego przyjaciel, pan Chillingworth, chrzestny mego brata Jamesa, będący wówczas na urzędzie kanclerza w Salisbury. Skonał w niewoli parlamentarzystów, a był opatrzony na śmierć przez swego przeciwnika z Merton College, dra Cheynalla, któremu przypadła w udziale radość wygłoszenia pogrzebowej mowy o nim. Wrzucił mu do grobu jego książkę pt. *Religia protestantów*, przeciwko której niegdyś zabierał głos mój mąż. A czyniąc to, wołał: „Przepadnij, przekłeta księgo, zepsuta księgo i zgniła! Ziemia do ziemi i proch do prochu! Idź do tego miejsca zgnilizny, abyś skisła wraz z twym autorem i była świadkiem jego rozkładu”.

Po swojej porażce w Newbury król wrócił do Oksfordu. Nie wiedział wówczas, że tym odwrotem marnuje ostatnią sposobność zwycięstwa. Gdy bowiem hrabia Newcastle (który opanował północ) wstrzymał londyńczykom dowóz węgla, tak iż nie mogli rozpalić ognia na kominku nawet w najlepszej izbie ani grzać piwa, ani jeść przyrumienionych grzanek z masłem, niezadowolenie wśród nich szybko wzrastało i poczęli się krzątać około swych spraw. Jeden z nich wniósł skargę w Parlamencie, że bezmierną cenę krwi, tak hojnie przelanej, wrzucono do dziurawego wora. Osiągnięte zdobycze poszły na marne przez lenistwo i głupotę generałów. To tak, jakby bohatersko przelana krew miała jeno użyżnić ziemię pod żniwo nowych klęsk. W tym porywie złości zabrali się do reformowania swoich wojsk od góry do dołu, aby zastąpić starych, niedołącznych i schorzałych dowódców ludźmi młodymi i dzielnymi. Co więcej, pan Pym targował się wówczas ze Szkotami, którzy godzili się przyjść mu z pomocą i wrogów jego przepędzić z węglowego zagłębia, ale tylko pod

warunkiem, iż Parlament sownie ich opłaci i przyjmie prezbiteriańską wiarę w imieniu całej Anglii, i narzuci ją każdemu, kto piastuje urząd.

Było to ostatnie poczynanie pana Pyma. Zmarł bowiem około Bożego Narodzenia tego samego roku 1643, a Parlament został bez przywódcy. Spośród innych czołowych ludzi żaden nie miał jego talentów ani też jego wytrwałości. Pułkownik Oliver Cromwell nie miał jeszcze większego znaczenia w Izbie Gmin, bo był raptus z niewyparzoną gębą, bez żadnej wymowy, a poza tym brali go na języki za to, że wyrzwał niedźwiedzie królowej, przywiezione przez nią z Holandii. Kiedy bowiem zastał mieszczan w Uppingham, w Rutlandshire, jak w dniu poświęconym Panu znęcali się nad tymi niedźwiedziami, w samym środku ich zabawy rozkazał, by je schwytano i ubito, spętane przy drzewie; nędzne to było polowanie. Ówczesne swoje mniemania polityczne wyrażał pułkownik Cromwell chytrze jednym zdaniem: „Mogę wam rzec, panowie, czego nie chcę, ale czego chcę, tego nie rzeknę”.

W Forest Hill nazwiska generałów Wallera i Skippona oraz hrabiego Essexu nie zdawały się tak groźne jak nazwiska pomniejszych oficerów z armii Parlamentu, którzy stali garnizonem w Aylesbury i Thame. Forest Hill leżało poza terenem fortyfikacji oksfordzkich, w kierunku Londynu. Mieliśmy wprawdzie parę silnych fortów i garnizonów strzegących nas od strony Londynu, mianowicie Wallingford, Shirburn Castle, Brill Town i Boarstall House, ale nie były one połączone między sobą żadnymi umocnieniami. Nigdyśmy nie mieli spokojnej nocy. Zrywaliśmy się ze snu przy najlżejszym skrzypnięciu drzwi, bo zawsze zdawało się nam, że żołnierze mogą się skradać po ciemku poprzez niechronioną przestrzeń, włamać się do domu i zgwałcić albo zamordować nas w łóżach. Żołnierze u nas zakwaterowani bynajmniej nie należeli do czujnych. Pewnej nocy tego lata, kiedy jęczmień był już zżęty i ustawiony w kopice, zakradł się podstępnie jakiś oddział konnicy Parlamentu przed samym wschodem księżyca, prowadzony zapewne przez Toma Messengera albo innego sąsiada, który z nimi służył. Każdy żołnierz zgarnął wielki wór odciętych kłosów, pozostawiając słomę. Odkryliśmy to dopiero pół godziny po świcie, kiedy już śladu po nich nie było.

Był niejaki major Jecamiah Abercrombie, Szkot z pochodzenia, oraz pułkownik Crawford, skrzętni rabusie, których wielce się bali nasi obrońcy. Obaj zginęli przed końcem wojny, ale za życia byli bardzo groźni i wyrządzili mojemu ojcu ciężkie straty, rabując tego roku pszenicę i jęczmień, a także wiele sztuk bydła. Nauczyli się sztuki rabunku, jak myślę, pod dowództwem króla szwedzkiego. Jako zapłatę za nocowanie i żywienie żołnierzy u nas zakwaterowanych mój ojciec otrzymał asygnaty, które miały być zrealizowane, jak oświadczone, „kiedy Bóg pozwoli”. Koszt kwaterowania jednego żołnierza obliczono na sześć pensów dziennie, a siedem pensów dragona. Urósł z tego znaczny dług, gdyż pięćdziesięciu ludzi mieszkało u nas przez kilka miesięcy. Rzeczywiste jednak koszty były znacznie większe od tej obiecanej zapłaty, bo wiele żon przybyło razem z mężami, których się czepiały jak kleszcze, a i te

trzeba było jakoś wykarmić. Do tego jeszcze dochodziło wypasanie łąk, które liczyło się po trzy szylingi tygodniowo od konia. Ale już teraz nadzieja na wypłatę była tak marna, że sprzedawano pokątnie asygnaty na pięć funtów za trzydzieści szylingów gotówki, a w rok później tę samą ilość już tylko za dziesięć szylingów.

1643 był rokiem, w którym febra obozowa zapanowała w Oksfordzie, co nas niezmiernie przeraziło. Była to jakaś choroba nadzwyczaj zaraźliwa, z plamami miast wrzodów, którą silni mężczyźni i kobiety mogli przetrwać łatwiej niż dżumę. Ale i ona wyrządziła wiele szkód, a w niektórych parafiach sprzątnęła jakby miotłą wszystkich starych i niedołężnych ludzi. Nie było to winą powietrza w Oksfordzie, które -jak wiadomo - jest zdrowe. Ale wielkie gromady żołnierzy kwaterowały w mieście, a leżeli po dwudziestu lub trzydziestu w jednej izbie, napelniając wszystkie domy brudem i smrodem. Albowiem nie jest zwyczajem żołnierza myć się lub zmieniać odzież. Ci ludzie zapadali na zarazę wszyscy razem, całymi kompaniami, a wielu zmarło, choć zapewne mogliby przeżyć, gdyby ktoś o nich zadbał. W połowie lata całe miasto było jakby jednym wielkim lazaretem, a nie garnizonem. Nawet sam gubernator, sir William Pennyman, zginął od zarazy. Plaga przyciągnęła i do Forest Hill i wielka była śmiertelność między żołnierzami, służbą i naszymi dzierżawcami. Ale nikt z mojej rodziny nie zapadł na tę chorobę, bo Trunco codziennie zadawała nam leki.

Trzy razy w tym roku lady Cary Gardiner przyjeżdżała do nas w odwiedziny. Za pierwszym razem była w wielkiej alteracji, bo mówiono, iż sir Thomas, jej mąż, zginął. Ale okazało się, że żyje jako jeniec w Windsor Castle, skąd potem został zwolniony za przyczyną jej brata, sir Ralpha Verneya, członka Parlamentu, i wkrótce wymieniono go na oficera armii nieprzyjacielskiej. Jednakże było to wbrew sumieniu sir Ralpha, aby zaprzysiąc Przymierze. I tak jak kiedyś obraził Muna i wszystkich swych bliskich, przeciwstawiając się królowi, tak teraz obraził swych nowych przyjaciół z Parlamentu. Zrzekł się posłowania i wywędrował do Francji.

Za następnym pobycem lady Cary pokazała mi list od Muna z Irlandii. Pisał, że mu zalegają z żołdem do 600 czy 700 funtów i że jego ludzie już zapomnieli, jak się chleb do ust kładzie, a plądrować nie było gdzie, bo kraj był straszliwie zniszczony. Ale niedawno mianowano go majorem, a był w dobrym zdrowiu, dzięki Bogu.

Za trzecim razem przyjechała po to, aby mi powiedzieć, że wobec zawieszenia broni, uchwalonego na rok w Irlandii, Mun wrócił do domu.

Ja o tym dobrze wiem - rzekłam. - Przez cały zeszły piątek i sobotę małam co się nie udusiła, tak czułam go blisko. Śnił mi się co noc, a za dnia wciąż wytykałam głowę za okno, by zobaczyć, czy nie wjeżdża w bramę. Ale teraz myślę, że znów odjechał nieco dalej ode mnie."

„Miałaś rację - rzekła. - Choć nie zamierzałam cię o tym powiadamiać, powiem teraz, że mój brat przybył do Oksfordu zeszłego piątku i przedłożył

swoje służby królowi jegomości, który wielce łaskawie go powitał. Będzie służył jako pułkownik w dobrym pułku nad walijską granicą. Znając okoliczności, w jakich żyjesz, uczciwie nie mógł przybyć do tego domu, choć tak gorąco tego pragnął, iż odeszła go ochota do snu i dlatego w niedzielę odjechał”.

Raz czy dwa razy widziałam królową w owym czasie, kiedy mieszkała w Merton College w Oksfordzie. Trwało to zaledwie parę miesięcy. Wkrótce odpłynęła do Francji z małą córeczką, którą powiła w drodze, w Exeter. Pozostawiła króla samego z jego troskami. Króla często widywałam w Oksfordzie i okolicy, ale rozmawiałam z nim tylko jeden raz, kiedy jechał konno samotnie i spotkał mnie w zaroślach koło lasu Shotover. Jąkając się, zapytał mnie, czy nie wiem, którędy poszły charty. Najmilszą jego rozrywką było polowanie. Gdyby w ściganiu wrogów miał chociaż ćwierć tej śmiałości, z jaką ścigał jelenia, byłby ich przepędził z granic królestwa w ciągu tygodnia.

Rozdział osiemnasty

DECYDUJĘ SIĘ NA POWRÓT DO MĘŻA

Rok 1644 był okrutnym rokiem i posepnym. Opowiem o nim pokrótce. Pierwszy kwartał nie przyniósł nic nadzwyczajnego, jeno to, iż dla ciężkich czasów, braku służby, wielkiej liczby dragonów i innych żołnierzy zakwaterowanych u nas (którzy jak leniwe, głodne psy wiecznie plątali nam się pod nogami lub naprzykrzali skamleniem albo warczeniem) pracę przy gospodarstwie, dawniej tak miłą, teraz uważałam za wielce uciążliwą. Nie skarżyłam się jednak, bo moja matka sama pracowała jak niewolnica, a moje siostry po równi ze mną. A poza tym, jak się przekonałam, dużo pracy i liczna kompania lepsze są o wiele niżli próżniactwo i samotność. Żołnierze przez niedbalstwo podpalili mniejszą stodołę i znaczny zapas pszenicy i żyta spłonął razem z nią. Nie zapłacono za to żadnego odszkodowania. Zara zaczęła się poufalić z naszym kapitanem dragonów, co się ogromnie nie podobało mojej matce; wiedziała bowiem, że jest żonaty z pewną dziedziczką z Worcester. Ale nie mogła przeszkodzić zalotom, bo kapitan stał się gospodarzem naszego dworu w równej jak i mój ojciec mierze jeśli nie większej - i byliśmy zdani na jego łaskę i niełaskę. Zara nie była otwarcie nieposłuszna czy lekkomyślna, toteż mój ojciec uważał, że może bez niepokojów sumienia korzystać z jej pośrednictwa w rozmowach z kapitanem, który pożyczął czasem tuzin roślących ludzi do pomocy w gospodarstwie lub przy sprzedaży drewna.

Ze sprzedaży ciągnął mój ojciec nadzwyczajne dochody, bo miasto Oksford spalało trzy razy więcej drewna niż kiedykolwiek, a ceny wzrastały z miesiąca na miesiąc, aż wreszcie sprzedawało się drewno na funty, jakby to był ser, zamiast na wozy lub naręcze. Doprowadził też do korzystnej umowy z panem Timothy'm Tyrrellem na kopanie najlepszej gliny porcelanowej z garncarskich glinianek w Shotover. Sprzedawał ją w Oksfordzie wyrobnikom fajek, którzy nie mogli nigdzie otrzymać równie dobrego surowca^[37]. Pomimo jednak tych dochodów na Nowy Rok 1644 mój ojciec przekonał się, że jeśli nie zamieni swych asygnat na rolę, domy czy pieniądze, to majątek jego zmniejszył się w ciągu ubiegłego roku o 1000 funtów.

[37] konfitury: najpierw był torf, potem czerwona gleba, dalej niebieskawa glina, żółty piasek, potem owa fajkowa glina, a dalej jeszcze twarda ruda żelazna i (o ile sobie przypominam) czerwonawe maum, tłusta glina o zabarwieniu zielonym, drobny szary żwir, potem znowu tłusta glina zielonkawa i wreszcie żółta ochra. (Przyp. aut.)

W lutym Szkoci sprzymierzeni z Parlamentem przekroczyli granicę i choć wytrwale unikali spotkania z królewską armią, jednak odciągali pewną jej część, która w innym wypadku byłaby użyta przeciw Parlamentowi. W ten sposób podratowali londyńczyków. W maju Komitet Bezpieczeństwa, zebrany w Londynie, w Derby House, uchwalił, że Oksford musi być zdobyty, a tym samym unieszkodliwiona osoba króla, która w tej wojnie, jak w partii szachów, była decydującą figurą w końcowej rozgrywce. Hrabia Essex i sir William Waller mieli sobie poruczone wykonanie tego zadania i maszerowali z wielką armią na Reading, które zajęli ponownie, po czym natarli na Abingdon, główne przedmurze Oksfordu, opuszczone przez królewskich oficerów na skutek pomyłki w rozkazach.

Kiedy 25 po południu podniósł się krzyk w Forest Hill że „okrągłe łby» zdobyły Abingdon”, mój ojciec nie wiedział, czy zostać, czy uciekać. Nasz kapitan dragonów tymczasem *zaczął* fortyfikować dwór i stodoły. Wybijał dziury w murach jako strzelnice dla armat. Jego ludzie stali całą noc pod bronią, a memu ojcu rozkazał opuścić Forest Hill rankiem, razem ze wszystkimi domownikami. Kiedy mój ojciec zapewniał, iż jesteśmy równie bezpieczni w tym domu jak w każdym innym, kapitan zagroził, że przynagli go wystrzałem z pistoletu, jeśli się upierał. Nasz exodus odbył się piechotą. Wybraliśmy trochę rzeczy i załadowaliśmy je na jeden wóz, a na drugi wóz prowiant na trzy czy cztery tygodnie. Baliśmy się iść bliższą drogą przez East Bridge, więc okrążyliśmy przez Islip i doszliśmy do North Gate; był to ciężki marsz. W Stanton St John Zara odłączyła się od naszego towarzystwa i chyłkiem przemknęła się do swojego kapitana. W naszej nieobecności stała się panią opuszczonego domu. Uprzednio mój ojciec nabył stary drewniany dom z czterech pokoi w pobliżu New Inn Hall, który służył jako magazyn na tarcicę. Przy domu była drewnutnia. Po usunięciu desek mieszkaliśmy w tym domu więcej niż dwie niedziele. Bardzo było niewygodnie, bo nie mieliśmy łóżek ani stołów, ani nawet krzeseł; mieliśmy tylko takie sprzęty, jakie mogliśmy złożyć z piłowanych pniaków i kawałków desek. Garnki do gotowania mieliśmy tylko dwa na siedemnaście osób. Komin nie chciał ciągnąć, więc dym pełzał po izbach. Wróg stał tuż pod miastem, gdzie - w wypadku oblężenia - zapasów nie było więcej jak na dwie niedziele. Jeden z członków Rady Królewskiej śmiał królowi doradzać, by się poddał, bo sprawa jest przegrana. Hrabia Essex przeszedł w bród rzekę Isis w Sandford - nie wątpię, że wuj i ciotka Jones serdecznie go tam powitali - a potem poprowadził całą armię pomiędzy Oksfordem a Forest Hill, aż doszedł do Islip Bridge. Tam go zatrzymały wojska zakwaterowane w samym Islip. Król przyglądał się z wieży Magdalen College, jak jego armia przemaszerowała, i robił przegląd ordynku. Trzy czy cztery pociski wystrzelono z fortu w St Clemens Port do nieprzyjacielskiej konnicy, gdy harcowała na Headington Hill. Od tej kanonady nie zginął żaden żołnierz, ale w parafii Św.Klemensa wiele było szyb pękniętych lub stłuczonych. Od strony zachodniej generał sir William Waller przekroczył rzekę Isis w

Newbridge i wysłał swoją konnicę na północ w stronę Woodstock. Na wieść o tym wycofano straż królewską z mostu w Islip i zdawało się nam, iż złapano nas w worek.

Król zdecydował, że im ucieknie, aby uniknąć maty, a wykonał to bardzo zręcznie nocnym marszem 3 czerwca, prowadząc wielki oddział konnicy i 2500 muszkietierów, z których jednym był mój brat James. Orszak liczył siedemdziesiąt wozów. Nie zauważył tego nieprzyjaciel, gdyż król obmyślił chytry wybieg: wysłał znaczną część swojej piechoty i całą artylerię na Abingdon. Tym ruchem zmylił generała Wallera i wywabił go z powrotem z Newbridge. Krótko mówiąc, jego królewska mość bezpiecznie odmaszerowała do Worcester i pociągnął nieprzyjaciela w ślad za sobą, tak iż Oksford było znów wolne, choć Abingdon trzymali parlamentarzyści.

12 czerwca opuściliśmy nasze nędzne mieszkanie i z radością wróciliśmy do Forest Hill. „No! - rzekł mój ojciec, gdy rozejrzał się ostatni raz po wszystkich kątach brudnego lamusa, który opuszczaliśmy. Tak pisze Sylvester:

Aniołowie, niebiańskich pałaców zwyczajni,
Nie zabawili długo w tej okropnej stajni”.

W miłej sercu jadalni naszego dworu zastaliśmy Zarę żywą i całą z jej kapitanem, który - jak się okazało - nie był takim zabijaką, jakiego udawał. Gdy bowiem widział, że nieprzyjaciel się zbliża, wycofał swoją kompanię do Islip. Zara, wbrew jego zaleceniom, pozostała na miejscu, aby doglądać domu. Na drzwiach umieściła ostrzeżenie, by domu nie rabowano, gdyż jest własnością pana Roberta Pye'a, posła. Wezwanie to zostało uszanowane i choć żołnierze Parlamentu przechodzili tędy i brali owoce z sadu i z ogrodu oraz zagarnęli trochę drzewa z podwórza do ognisk, innych jednak szkód nie wyrządzili. Kapitan przymaszerował z powrotem do Forest Hill zaledwie na dwa dni przed nami. Zara więc swoją troskliwością odkupiła swą winę w oczach mego ojca; ale matka nazwała ją ladaczną.

Do końca roku mieliśmy spokój, ale nieustanne były alarmy, że nieprzyjacielska konnica nadciąga. 15 sierpnia doszło do potyczki w samym Forest Hill, kilku dragonów wysłanych z Abingdon przez generał-majora Browne'a, zwanego „handlarzem chrustu” zaczęło rankiem wśród mgły naszych dragonów. Po obu stronach byli ranni od cięć szablą, a nasz dzierzawca, Catcher, zginął od zabłąkanej kuli, kiedy uciekał w stronę naszego domu, żeby się schronić, więc strata niewielka. Kiedyś, podczas komunii w Boże Narodzenie, wypił całe wino z kielicha, klnąc się, że mu się to należy za złożoną ofiarę. W parę dni później małe dziecko sąsiada Mathadee, to samo, które zawodziło w kościele, zostało na śmierć stratowane przez konnych, gdy się bawiło w uliczce. Stało się to z przypadku, nie zaś z barbarzyństwa.

W tym roku panowała w Oksfordzie zaraza, ale febra obozowa zdawała się ustawać.

W innych miejscowościach wojna toczyła się nadal, bezładnie i ze zmiennym szczęściem. W marcu część pułku Muna poszła w rozsypkę na skutek jakiejś

potyczki - nie mogłam się dowiedzieć, gdzie to się stało, zapewne w Cheshire. Jego pułkownik poległ, a on sam ledwo uszedł z życiem. Jednakże szczęśliwie wyprowadził z tej potrzeby większą część swoich ludzi, a w nagrodę za dobrą służbę został pasowany na rycerza. Potem, jeszcze w tym samym miesiącu, mianowano go zastępcą gubernatora Chesteru. Było to stanowisko zaufane i zaszczytne - więc serce moje zabiło żywiej, bo byłam z niego dumna. W niedzielę 2 lipca generał Cromwell odniósł wielkie zwycięstwo nad wojskami hrabiego Newcastle. Stoczył on tę bitwę między wilgotnymi polami zbóż na równinie Marston Moor, w Yorkshire (4000 ludzi poległo tam w ciągu trzech godzin), i zagarnął jeszcze tego samego lata York, Liverpool i Lincoln, ale nie zdobył Chesteru, którego bronił Mun wytrwale, choć w wielkim niedostatku. Hrabia Newcastle uciekł do krain zamorskich.

Piszę tu, że zwycięzcą w Marston Moor był generał Cromwell, chociaż wiadomo, że armią Parlamentu dowodził wtedy lord Leven, Szkot. Lord Leven bowiem został spędzony z pola bitwy i niewielu jego Szkotów odznaczyło się tego dnia. To generał Cromwell, choć oszołomiony raną w szyję, rozbił w puch szwadron księcia Ruperta i uratował chwiejne szczęście swoich stronników. Między sposobem atakowania księcia Ruperta a generała Cromwella taka była różnica, że choć obydwoj przez cały czas dawali ognia, dopóki nie wpadli w nieprzyjacielskie szeregi, to jednak książę Rupert szarżował pełnym galopem, aby siła uderzenia była tym straszniejsza, podczas gdy generał Cromwell jechał truchcikiem, by łatwiej zgarnąć swoich ludzi do powtórnego ataku, gdyby zaszła tego potrzeba. W parę tygodni po owej bitwie sam król odniósł zwycięstwo na południowym zachodzie w Lostwithiel, w Kornwalii, nad generałem Skipponem, który - gdy opuściła go cała konnica pod dowództwem hrabiego Essexu - utracił całą swą artylerię oraz 5000 spośród 6000 pieszych, wycofując się z tego niegościnnego hrabstwa. Przy końcu roku więc ani Parlament, ani król nie mogli się poszczycić zwycięstwem nad przeciwnikiem.

Tymczasem mój mąż w Londynie bez ustanku ostrzył pióro i otrząsał z inkaustu. Nie pisał przeciwko wrogom Parlamentu, jak należałoby przypuszczać, ani przeciwko jakimukolwiek stronnictwu w Parlamencie. Tak jak ongiś osobista krzywda skłoniła go do rzucania gromów na biskupów, tak obecnie, gdy pragnął rozvodu ze mną, a widział, iż uzyskać go nie może na zasadzie zwykłej skargi, rozeźlił się i już niczego nie studiował ani prawie o niczym innym nie pisał, jak tylko o rozwodzie, rozwodzie, rozwodzie! Nim się opamiętał, opublikował cztery traktaty. To przysporzyło mu wrogów, nie tylko wśród ludzi miłujących przyjęte zwyczaje religijne, ale i wśród jego prezbiteriańskich przyjaciół.

W ten sposób skwitował dawne swoje upodobania i zrobił zwrot ku nowej postawie „niezależności”[38].

Zapewne nie napisał niczego bardzo nowego o problemie rozwodu (tu rzecz muszę, iż choć sposób prowadzenia dysputy zawsze był jego własny, to jednak rzadko był oryginalny w argumentach). Raczej bardzo skrzętnie szperał za starymi pojęciami, które dawno poszły do lamusa, i przywoływał je na pamięć z taką siłą i taką wymową, że zdawały się nowością. Najpierwszym z owych pojęć było to, iż niezgodność umysłu między mężem a żoną, która zakłóci spokój w małżeństwie, jest słusznym i dostatecznym powodem rozwodu, a nie tylko separacji. Argument taki wysuwany był już sto lat temu - chociaż dosyć nieśmiało przez uczonych teologów wyznaczonych podczas reformy religijnej do badania tych spraw. Teraz, kiedy Parlament zwołał do Westminsteru wielkie zgromadzenie teologów, by uporządkowali, jak się należy, wszystkie sprawy organizacji kościelnej, mój mąż nie wątpił, iż ciskając w nich ową doktrynę doczeka się uchwalenia takich praw, jakie będą Jemu dogodne, a wielu ludziom (jak pisał) „otrą dziesięć tysięcy łez z ich żywota”.

Bardzo gorzkich używał słów, gdy pisał o nierozumnym prawie kanonicznym, które wciąż jeszcze obowiązywało. Bo aczkolwiek biskupi, którzy je stosowali, byli teraz unieruchomieni w Tower, to jednak nie utracili jeszcze imienia i godności swego urzędu i, po prawdzie, to oni pozostawali arbitrami we wszystkich sprawach rozwodowych przez dalsze trzy lata.

Wystarano się o egzemplarz pierwszego z tych nowych pism mego męża. Tytuł jego brzmiał: „Doktryna i dyscyplina rozwodu, uwolniona dla dobra płci obojga od więzów prawa kanonicznego i innych błędów, a kierowana prawem miłości ku wolności chrześcijańskiej. W tym i wiele urywków Pisma św. odzyskało swe dawne utracone znaczenie; teraz pora, by o tym pomyślano w zamierzonej reformie”. Tej pierwszej książki nie podpisał swoim nazwiskiem, ale trudno było nie poznać jego stylu i sposobu argumentacji.

Jakże grzmiał, jakże żarliwie powstawał przeciwko takim, co chcieliby przyznawać rozwody za niedostatki cielesne, ale nie za braki umysłowe! Jakże załamywał ręce nad nieszczęśliwymi i beznadziejnymi związkami, do których widocznie zaliczał również swój własny: pisał o dwóch kadłubach spętanych sztucznie ze sobą czy raczej o żywej duszy przykutej do martwego ciała, które przez zaraźliwy smutek i wieczny zły humor gasi płomień jego ducha, zniżając go do pospolitego poziomu we wszystkich jego poczynaniach.

[38] Owa doktryna „independencji”, według której każde - choćby najmniejsze - zgromadzenie mogło rozstrzygać swoje problemy duchowe bez żadnych upomnień ani wskazań z niczyjej strony, była herezją wyhodowaną najpierw na uniwersytecie w Cambridge za panowania króla Jakuba. Wygnana stamtąd ze wstrętem - przeniosła się do Holandii i Północnej Ameryki. Teraz zaś wróciła i z dnia na dzień stawiała się coraz silniejsza. (Przyp. aut.)

Pisał też o mnie (choć nie wymieniając imienia) jak o niemym, bezdusznym współniku, przyziemnym i flegmatycznym, o istocie, która przez wady i niedobory swego usposobienia małżeńskiego i przez swe drażniące, bezpomocne i niestosowne towarzystwo pogwałciła czcigodną tajemnicę natury i wpełchnęła go w sytuację gorszą od najbardziej samotnego życia.

Gdym to czytała, w sercu poczułam litość, bo przecież dziwny wymierzył on sam sobie cios przez swe wyniosłe i stanowcze obcowanie ze mną, a także przez rozważanie swego własnego punktu honoru i własnej przyjemności z taką pilnością, iż nie starczyło mu już czasu na moje sprawy. Ale teraz tak boleśnie wił się w swoich żalnościach, że w przeciwieństwie do teologów zajętych reformą nie zdradzał żadnej litości dla położenia kobiety, interesując się jedynie sprawami mężczyzny. Kiedy więc, szukając lekarstwa przeciw takim nienaturalnym więzom, żądał, aby żadna władza cywilna, czyli doczesna, nie mogła przeszkodzić mężczyźnie w porzuceniu kobiety (czy ona tego chce, czy nie) ani w poślubieniu innej, miłszej jego sercu, uważałam, że nie jest to godne dżentelmena.

Że mężczyzna ma prawo do takiej anulacji, niezależnie od mocy cywilnego czy kanonicznego prawa, tego usiłował dowieść mój mąż na podstawie Księgi Powtórzonego Prawa, gdzie powiedziano: „Kiedy mąż pojął żonę, a zdarzy się, iż nie /najdzie ona łaski w jego oczach, bo znalazł w niej nieczystość, wtedy niech jej napisze list rozwodowy, a da jej do ręki i wyśle ją ze swego domu”. Twierdził, że chodzi tu tak samo o nieczystość umysłu jak i o nieczystość ciała. Przyznawał, że zanim mąż odsunie swoją żonę, powinna najpierw odbyć się uroczysta ceremonia w obecności duchownej osoby oraz poważnej, a wyborowej starszyczny z jego parafii. Jeśli jednak mąż - twierdził dalej - będąc upomniany, uroczystie przysięgnie, iż jest to sprawa naturalnej niezgodności, a nie złośliwej niechęci, ma być zwolniony od zakazu, który ustanowił Chrystus przeciwko lekkim rozwodom, i kobieta musi wrócić do rodziców, a jemu dać wolność zawarcia nowego małżeństwa.

Na zarzuty, że mężczyzna, który się żeni, nie wnikając w usposobienie swojej żony, musi winić siebie, a nie innych, Jeśli chwycił wróbla zamiast kanarka, i że ten, kto ożeni się w pośpiechu, długo będzie tego żałował, mój mąż odpowiadał w te słowa: „Niech wiedzą, że mimo podjętych trudów może słów zdarzyć i ostrożnemu mężczyźnie, że pomyli się w wyborze, a przykładów takich jest wiele. Ludzie najtrzeźwiejsi i wzorowego prowadzenia najmniej w tych sprawach mają doświadczenia. A któż tego nie wie, iż wstydlive milczenie dziewicy może nieraz ukrywać brak życia i naturalne lenistwo, uniemożliwiające współżycie. Niedostępna też jest taka swoboda w obcowaniu, która by wystarczyła, aby osiągnąć doskonale rozeznanie, nim będzie za późno. Jeśli zaś żywi się jakieś podejrzenia, to cóż pospolitszego jak twierdzenie przyjaciół, że bliższa znajomość wszystkiemu zaradzi”. Tu zdało mi się, że słyszę starszego pana, mojego teścia, ujmującego się za urną: „I w końcu nic w tym dziwnego, że poniektórzy, co w młodości zachowali czystość, nie są zbyt

spozostzegawczy, gdy spieszą do małżeńskiego łozą. Nie jest dobrze, iż człowiek przez błąd pochodzący ze skromności musi stracić tak wielkie szczęście, bez możliwości uwolnienia się, podczas gdy ci, co żyli najswobodniej, najlepiej dobierają sobie żonę, gdyż dzikie ich miłostki, dowolnie rozwiązywane, były jakby tyłuż rozwodami, które im dały doświadczenie”.

Te słowa mego mężą, kiedy je czytałam, przywiodły mi go bardzo żywo na pamięć, po wielu tygodniach i miesiącach zapomnienia. Mając teraz dwa lata więcej aniżeli wtedy, kiedy wychodziłam za mąż, nabyłam większej wiedzy o sobie i byłam nierada, że kreśli mój portret jako osoby przyziemnej i flegmatycznej, wiecznie posępnej i w złym humorze. W myśli snułam obrazy, jak to znajdę się znowu w jego towarzystwie i odpowiadać będę na jego gwałtowne oskarżenia, że jestem przyziemna, z uśmiechem a dowcipnie, jędrnie i gładko. I zawsze wracała ta sama myśl: Choćby najgłośniejsz drwił i lamentował, to jednak nie przestał być moim mężem, oboje jesteśmy nierozzerwalnie złączeni złotą obrączką i on wie o tym równie dobrze jak ja. Żadne z nas nie ma prawa powtórnie zawrzeć związku małżeńskiego za życia drugiego. Bogu bym dziękowała, gdyby było inaczej, bo od chwili śmierci swego ojca Mun kierować się może swymi uczuciami. A jest on już teraz oficerem znacznym w armii królewskiej i ma prawo liczyć na poważny awans. Gdyby nie przeszkoda, jaką stanowi moje małżeństwo, na pewno byłby tu wówczas przyjechał konno z Oksfordu, by prosić o zezwolenie poślubienia mnie, a mój ojciec zgodziłby się ochoczo. Nie powinnam dać się wprowadzić w błąd co do uczuć mego mężą dla mnie: nie ulega wątpliwości, iż kocha mnie namiętnie, a w głębi serca wie, jak źle ze mną postąpił, ale jest zbyt dumny, by przyznać się do błędu. Odesłał mnie na dwa miesiące, aby mnie ukarać; ale nie na dwa lata - by ukarać siebie. Mogłabym przysiąc, że żadna kobieta prócz mnie nigdy podobać mu się nie będzie; gdyż jaka by nie była piękna z twarzy, a mądra w rozmowie, jego dusza jest uwikłana w sploty mych włosów i dopóki nie będzie ze mną leżał i nie będzie miał ze mną pełni rozkoszy, musi się męczyć jak ten niespokojny duch z przypowieści, który wędrował, szukając spoczynku, a nie znalazł.

Doktryna mego mężą, choć (jak powiadam) nienowa, była straszliwie nie w smak westminsterskiemu zgromadzeniu. Kiedy wyznaczono w Londynie Nadzwyczajny Dzień Umartwienia z powodu zwycięstw odniesionych przez króla w Kornwalii, a do wygłoszenia kazania przed obydwoma izbami Parlamentu powołano w tym dniu uczonego prezbiterianina, pana Herberta Palmera, ów kaznodzieja wskazał na książkę mego mężą jako najbardziej bezwstydną ze wszystkich wydanych w owym roku i najbardziej zasługującą na spalenie. W kazaniu tym, wymierzonym przeciw tolerancji i wolności sumienia, mój mąż ujrzał się zaszeregowanym między poligamistów i adwokatów tak potwornych doktryn, że żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie mógłby ich uznać za swoje.

Kiedy ogłoszono to kazanie wraz z innymi traktatami, a między nimi również traktat pana Prynne’a, który zarzucał memu mężowi rozpustę, bezprawie,

herezję i ateizm, podjął on zażartą obronę w dwóch pamfletach: *Tetrachordon* i *Colasterion*, strosząc pióra jak królewski jeź kolce. Później, gdy cech księgarzy złożył na niego skargę w Parlamencie, twierdząc, że owa *Doktryna i dyscyplina rozvodu* wydana została wbrew zarządzeniu Parlamentu, które zakazuje wydania jakiegokolwiek książki bez licencji, mój mąż popadł w furję przeciw nowemu pogwałceniu jego wolności i skierował do Parlamentu książkę zatytułowaną *Areopagitica* w obronie wolności prasy. Był bowiem zawsze świadom swojej ogromnej wiedzy i nie mógł ścierpieć, by jego książki osądzał - jako dobre czy złe - człowiek nieuczony, przeciętnych zdolności, upoważniony do zduszenia ich w chwili narodzin po dość pobieżnym oglądnięciu. Dochodzę teraz do Nowego Roku 1645. Był to rok pamiętny w moim życiu z wielu przyczyn smutnych i rok osobliwy. Zaczął się od stracenia przez ścięcie arcybiskupa Ixiuda po zakończeniu procesu o zdradę, który trwał cztery lata. Rok ten przyniósł pierwsze poruszenia trzeciej siły, która wkrótce wchodziła się do sporu między królem, sprzyjającym prałatom, a jego prezbiteriańskimi Parlamentami w Westminsterze i w Edynburgu. Najpierw złamała ona potęgę króla, a potem drogą gróźb i przemocą złamała też potęgę prezbiterianów tak w Anglii, jak w Szkocji, i odebrała im rządy. Potęga ta miała swoją siedzibę w armii angielskiej Nowego Wzoru, która ukształtowała się w zimie 1644-45, a którą dowcipnie oksfordzcy prześmiewali jako „Nową Pałę”. Składała się z 14 000 piechoty w płaszczach z wenecjańskiej czerwieni i 7600 konnicy w płaszczach skórzanych oraz ze zdatnej do użytku artylerii. Jak już mówiłam, w Londynie uznano, że król nie ulegnie, dopóki dowództwo nad siłami Parlamentu nie zostanie odebrane z rąk ludzi chorych, starych i chwiejnych, choćby najgodniejszych, a powierzone ludziom młodym, zdrowym i stanowczym. Postanowiono również, że oprzeć się trzeba nie na poborowych, którzy muszą odsłużyć tylko jeden sezon i myślą jedynie o szybkim powrocie do swego sklepiku czy do pług, lecz na żołnierzach, którzy służą przez cały rok i dobrowolnie wybierają wojnę jako swój zawód, i że trzy źle odziane, źle uzbrojone armie w nieładzie muszą się złączyć w jedną, która by nie odczuwała powyższych braków, ale budziła zaufanie, iż dobrze o sobie zaświadczy w spotkaniu z każdą siłą, jaką tylko zdoła król wystawić.

Hrabia Essex [\[39\]](#) stracił zaufanie Parlamentu, gdyż postąpił nieszlachetnie opuszczając armię generała Skippona w Kornwalii. Na jego więc miejsce powołano młodego sir Thomasa Fairfaxa w randze generał-kapitana, Skippon zaś - w randze generał-majora - został dowódcą jego piechoty.

[39] Hrabia Essex mniej więcej w rok później rozchorował się i umarł w swoim domu w Londynie. (Przyp. aut.)

Na razie nie było nominacji na generał-lejtnanta konnicy, ale wkrótce otrzymał ją generał Cromwell jako człowiek najodpowiedniejszy na dowódcę, chociaż wszyscy członkowie Parlamentu zobowiązani byli mocą uchwały zwanej „regułą samozaparcia” do rezygnacji ze stanowisk w armii.

Kiedy sir Thomas Fairfax badał listę oficerów pod kątem ich zdolności do sprawowania dowództwa, generał Skippon służył mu w tym pomocą. Gdy doszli do tych, którzy już służyli w innych armiach, odrzucili spośród nich bardzo wielu, zwłaszcza Szkotów, mających za sobą wieloletnie kampanie w krajach zamorskich; tylko dwunastu takim oficerom odnowiono patenty. To wywołało protesty i skargi, lecz generał Skippon odparł, iż służba holenderska i szwedzka złą stanowiły szkołę jako przygotowanie do wojny obecnej. Oficerowie weterani na ogół nie byli gorliwi w służbie, nie dbali o żołnierza, byli skorzy do nadużyć i rabunku wobec niewinnych wieśniaków, niebaczni na ruchy wroga, a jeszcze do tego wszystkiego brak im było zdolności czy woli, aby zrozumieć, że wojna angielska, jeśli w ogóle ma być kiedyś zakończona, musi być prowadzona po angielsku i przyzwoicie. Dodał także, że te półtora tysiąca oficerów-weteranów, co służą królowi, to tyleż cierni w jego ciele albo kamyków w jego bucie.

Wbrew temu, co twierdziło stronnictwo królewskie, oficerowie mianowani do Armii Nowego Wzoru byli przeważnie panami lub szlachtą o dobrym urodzeniu i solidnie wykształceni. Jednakże generałowie Fairfax i Skippon nie wahali się powierzyć dowództwa pułków ludziom skromnego pochodzenia, jeśli się najbardziej do tego nadawali, jak pułkownikowi Okey, Pryde czy Ewer. Nim wstąpili do wojska, jeden z nich był dostawcą w marynarce, drugi woźnicą browarowym, a trzeci służącym, ale zdobyli doświadczenie w służbie i wykazali biegłość w sztuce wojennej w niezliczonych bitwach, oblężeniach i potyczkach. Generał Fairfax nie chciał przyjąć nominacji ofiarowanej mu przez Parlament, dopóki nie będzie wprowadzona poprawka: gdyż użyte były w niej te słowa co zawsze „...dla obrony osoby króla...”. Uważał to za obłudę, bo przecież kula nie może odróżnić króla od szeregowca. Toteż owa klauzula została opuszczona we wszystkich następnych nominacjach.

W tej armii, dobrze zorganizowanej, dobrze płatnej i odnoszącej zwycięstwo prawie w każdej stoczonych bitwie, zrodził się tak wielki szacunek dla zalet żołnierskich, dla odwagi, wytrwałości, schludności, miłości koleżeńskiej - że jednolitość doktryny religijnej przestano uważać za rzecz najważniejszą. Kiedy prezbiteriańscy duchowni, którzy dotychczas maszerowali z armią, opuścili żołnierskie życie, jako zbyt uciążliwe, i wzięli się do spokojniejszych spraw, w armii pozostało tylko czterech czy pięciu duchowych przewodników, odważniejszych niż inni. Wszystko to byli sekciarze, tacy ludzie jak Peters, Dell, Saltmarsh, „Sądny Dzień”, Sedgwick i inni, których nie odstraszał zapach dymu i prochu ani świst kul i którzy sami zadawali śmierć w bitwach.

Ponieważ dyscyplina wojenna była surowa i oficerowie zabraniali wszelkich rozruchów i wykroczeń, jako niegodnych dobrego żołnierza, trudno się dziwić, iż odprężenia i upustu dla uciśnionego ducha szukano w religijnych

rozważaniach i wizjach wieczorami przy ognisku obozowym, a od czasu do czasu również w przypadkowych kazaniach w takt bębna, niezmiernie dziwnych, wygłaszanych przez sierżantów, kapralów i szeregowców. Byle tylko nie wpadali w ateizm i byle odrzekali się od papieża i prałatów, dopuszczano w sprawach religii tak szeroką tolerancję, iż w oddziale liczącym stu jeźdźców naliczyć mogłeś wyznawców trzydziestu różnych schizmatyckich sekt, takich jak anabaptyści, starobrowniści, traskici, antyskrypturyści, familiści, „usypiacze duszy”, kwestioniści, „poszukiwacze”, chiliaści, sebaktyści, a nawet „rozwodnicy” z sekty Johna Milтона. Dziwne to było, że żołnierz mógł zwracać się bezkarnie do Boga Ojca w sposób tak poufały, że na normalnego człowieka wystąpiłby zimny pot i dostałby gęsiej skórki. A jednak gdyby wobec porucznika w swoim oddziale czy kompanii pozwolił sobie na mniejszą nawet śmiałość, posiedziałby w karcerze na mocy wyroku sądu wojennego, a język by miał przekłuty rozpaloną do czerwoności igłą.

Niektóre pułki piechoty stały twardo przy swoim prezbiteriańskim wyznaniu (tak jak ich szkoccy sprzymierzeńcy, którzy wagarowali po okolicy, udając, że wojują). Ale w konnicy, która była dumą armii dla swej niezłomności i zuchwałej odwagi, niemal każdy człowiek miał sąd niezależny i prześmiewał prezbiterianów jako „zjadaczy księży”, a Szkotów jako „sotów” (błaznów), którzy w każdej potrzebie trzymali straż tylną. Na „Przymierze Narodowe” zżymali się jako na sprawę narzuconą Anglikom przez tychże „błaznów” i pytali drwiąco: „Czy naprawdę Duch Św. był sprowadzony do Londynu z Edynburga w tornistrze?”. Zgromadzenie prezbiteriańskich teologów w Westminsterze było przedmiotem ich najostrzejszych drwin. Nazywali ich „wyschłymi szczepami winnymi” i „zgromadzeniem obłudy”.

Ta nowo utworzona armia wyruszyła na Oksford wiosną 1645 roku z Windsoru, gdzie odbywała musztrę; wyruszyła z wielkim zasobem armat, pocisków, ręcznych granatów, prochu, szpad, łopat, kilofów i drabin. Lecz najpierw generał Cromwell, wyjechawszy z Watlington w dzień Św. Jerzego (a był to w Oksfordzie dzień targowy) w 1500 koni, zaatakował pułk hrabiego Northamptona, który stał w Islip. Naciągnął od Wheatley i przejechał przez Forest Hill wieczorem. Jego ludzie zbrojni byli jeno w pistolety i szable, a nosili wysokie, filcowe kapelusze, skórzane kurty, długie, szerokie burki, szarawary z sukna szarego i skórzane buty z cholewami. Na pierwszy alarm nasi dragoni uciekli z miasta, bo zawiodła ich kawalerska fantazja, i pocwałowali do Islip, by ostrzec hrabiego. Mój ojciec był akurat na targu w Oksfordzie z Zará i dwoma młodszymi chłopcami, Williamem i Archdale'em. W jego nieobecności moja matka stała w bramie domu, aby odpowiadać, gdyby ktokolwiek o coś pytał. Jednakże żołnierze Parlamentu, zakwaterowani u nas w pierwszym roku wojny, widocznie życzliwe o nas zaświadczyli, bo obyło się bez rabunku czy innej krzywdy.

Kiedy matka ujrzała piękny ordynek tych żołnierzy, odezwała się do mnie z westchnieniem, że rozumie, iż jeden pluton takich zuchów wart jest tyle co cały

szwadron strojnej konnicy króla jegomości. Mniemanie to było uzasadnione, gdyż następnego dnia w bitwie, której odgłosy dochodziły do nas z Istep niesione wiatrem, zmasakrowano pułk hrabiego Northamptona, goniąc go przez cztery mile, i wzięto dwustu jeńców, pięćset koni i sztandar królowej. Potem jeszcze zwycięzcy zajęli Bletchington House, i to bez rozlewu krwi; stało się tak z powodu dam, które tam bawiły w gościnie u młodej żony pułkownika Windebanka, komendanta tego terenu (był to ten sam, który przywiózł mnie z Londynu): bo generał Cromwell zagroził, że nie da pardonu, jeśli dom był szturmowany.

Pułkownik Windebank, gdy go zwolniono, wrócił do Oksfordu. Tu sądem wojskowym został skazany na śmierć za tchórzostwo i rozstrzelany w Merton College, a zakończył życie bardzo mężnie. Myślę, że gdyby królowa znalazła się wówczas u boku króla, byłaby go skłoniła do oszczędzenia pułkownika, bo to, co uczynił, uczynił tylko przez cześć dla dam, obawiając się barbarzyństwa generała Cromwella. Jednakże parlamentarzyści na ogół byli ludzcy dla więźniów jako dla rodaków czy rodaczek i unikali niepotrzebnego rabunku. Za to królewscy oficerowie i żołnierze, szczególnie ci spod znaków księcia Ruperta, byli straszliwie barbarzyńscy, czego się nauczyli w wojnach niemieckich. Obdzierali jeńców do naga, nim ich zamordowali. Kiedy zaś zajęli Bolton w Lancashire, nastąpiła tam taka rzeź, takie gwałty i okrucieństwa, jakich nie widziano w Anglii od czasów pogańskich.

Nowością w tej wojnie było to, że u rebeliantów panował rygor, a pod znakami króla szedł motłoch. Za czasów Wata Tylera i Jacka Cade'a było wprost przeciwnie. Niektórzy z szeregów Parlamentu nawet przeczyli, jakoby byli „żołnierzami”, gdyż słowo to oznacza ludzi, co służą za zapłatą i poprzestają na posłuszeństwie dla swego księcia czy gubernatora. Nie chcieli też, by ich uważano jeno za maszyny czy też za ludzi, którzy wyrzekli się prawa do własnej opinii o dobrym zarządzaniu krajem. Nie są najemnymi wojskami, mówili, ani przymusowymi zacieźnikami, lecz ochotnikami. W większości byli to właściciele wolnych gruntów i mieszcianie, niezbyt wysoko płatni, zazwyczaj z zalegającym od dawna żołdem, a jednak trwali w służbie, do której poszli, dlatego że tak im nakazywało sumienie. Na ogół byli zdania, że czas trwania Parlamentu winien być ograniczony, lecz należy zwoływać go regularnie, że wybory muszą być lepiej uporządkowane, a poselskie mandaty słuszniej rozdzielone. Usunąć też należy nieuzasadnione przywileje i wywierany przez biskupów nacisk (choć sami biskupi mogą pozostać, to im nie wadzi). Król, o którym jeszcze mówili z przywiązaniem i którego żalowali z obowiązku, winien odzyskać swoje prawa, ale z ograniczeniem nadużywania ich. Ustawy należy uprościć, zmniejszyć koszty sądowe, monopole usunąć, a dziesięciny złagodzić, itd., itd. Nie mogłam ich nienawidzić ani nawet nie mogłam wysmiewać ich jako „okrągłych łbów”, bo wielu z nich nosiło włosy długie, szczególnie kawalerzyści.

Memu ojcu, z jego wozami i wózkami, zabroniono wrócić przez most do Forest Hill. Matka drżała o jego bezpieczeństwo i zastanawiała się, czy prosić o list żelazny, by do niego pojechać do Oksfordu (na co by, jak przypuszczam, uzyskała pozwolenie), czy raczej nie ruszać się z miejsca. Trzeba zaś tu wspomnieć, że w ubiegłym październiku żołnierz z oksfordzkiego garnizonu piekł skradzioną świnie w szopie Thames Street, blisko targu zbożowego, i podpalił budynek. Ponieważ dał właśnie silny, północny wiatr, spłonęły wtedy wszystkie drewniane domy z zachodniej strony targu zbożowego, od Bocardo, czyli od bramy północnej, aż do Carfax. Między nimi był i skład, który służył nam za schronisko w poprzednim roku, i cały zapas drzewa mego ojca poszedł z dymem. Wiedząc tedy, iż w Oksfordzie nie posiadamy własnego pomieszczenia (a znaleźć mieszkanie było trudno, chyba za nadmiernie wysokim czynszem), moja matka postanowiła pozostać w *Forest Hill*. Ale i tu było niebezpiecznie, bośmy byli w zasięgu wielkich armat z St Clemenfs Port Któregoś dnia, gdy byłam zajęta na piętrze mleczarni, kula armatnia, wagi dziewięciu funtów, przeleciała ze świstem nad dachem i spadła na wielką łąkę za domem.

Pułkownik sir Robert Pye, junior, który dowodził pułkiem konnicy w służbie Parlamentu i który w roku poprzednim zmusił Taunton do posłuszeństwa, odwiedził moją matkę w parę dni później. Pił z nami wino w małej bawialni i obiecał, że nie stanie się żadna krzywda ani naszemu domowi, ani naszym ludziom. Z nim przybył jeden z jego rotmistrzów, dawniej prawnik z Middle Tempie, a potem człek bardzo sławny. Nazywał się Henry Ireton.

Przeciwko sir Robertowi wytoczyła była gwałtowne oskarżenia lady Cary Gardiner podczas niedawnej u nas wizyty. On to bowiem zagarnął i spalił Hillesden House w Buckinghamshire, rezydencję jej wuja, sir Alexandra Dentona (w tym właśnie domu Mun był niegdyś serdecznie przygarnięty po swojej kompromitacji na uniwersytecie oksfordzkim). Moja matka więc, która wielką estymę żywiła dla pana Alexandra, niełatwo mogła darować teraz panu Robertowi i kiedy tylko grzeczność pozwoliła, opuściła jego towarzystwo, ekskuzując się jakimiś zajęciami gospodarskimi. Jednakże sir Robert nie pożegnał się natychmiast, ale pozostał w bawialni i rozpoczął dyskurs ze mną na temat mego małżeństwa. Był on teraz takim samym gorliwym prezbiterianinem jak na Trzy Króle, pięć lat temu, kiedy to moja chrzestna, Moulton, zażądała, aby przemówił na cześć biskupów.

„Czcigodna pani - rzekł - małżonek jejmości, pan Milton, w książce, którą napisał na temat doktryny i dyscypliny rozwodów, zgorszył wielu i wielu wywiódł na manowce. Między innymi, o ile wiem, również i kobietę kaznodziejkę, panią Attaway, koronczarkę z zawodu, która od dłuższego czasu wywiera nadzwyczajny wpływ na tłumy odwiedzające jej konwentykiel przy Coleman Street. Kobieta ta przyjęła twierdzenia książki męża waćpani, a będąc małżonką człowieka nieuświęconego, który «nie kroczy drogami Syjonu ani nie mówi językiem Kanaanu» (jak się ona wyraża), lecz jest po prostu uczciwym

żołnierzem w naszej armii - zaczęła się zalecać do swego towarzysza - kaznodziei, niejakiego Williama

Jenneya, człowieka żonatego, budząc w nim wzajemne uczucie. On również, uważając, iż żona jego nie odpowiada jego wymaganiom, rozwodzi się z nią w sposób, jaki doradza mąż waćpani, zostawiając ją w poważnym stanie, a bez grosza przy duszy, aby odziać i nakarmić jako tako swe biedne dzieci. Po czym jejmość Attaway i ów Jenney oświadczają, że są mężem i żoną wobec Boga i «niechże nikt nie rozdziela tych, których Bóg połączył». Teraz uważają się za upoważnionych do skażenia łoża sierżanta Attaway'a cudzołożnymi uściskami. W ten sposób dwa ogniska domowe zostały zniszczone, a dwie dusze niemal bezpowrotnie stracone. O, bestie, należałoby im się chłosta, aby wrócili do zdrowych zmysłów”.

„Prawdziwie trafi mnie wiadomość o tym, wasza wielmożność - rzekłam. - Ale chociaż małżonek mój zapewnił mnie, że będąc jednym ciałem z nim, żadną miarą nie ujdę potępienia, jeśli on będzie potępiony, to jednak w swoim sumieniu nie czuję się odpowiedzialna przed Bogiem za to, co napisał w swej książce”.

„Może nie wprost odpowiedzialna - odrzekł sir Robert -lecz zda mi się, że jesteś, waćpani, jakby przyczyną tego - chcę powiedzieć: przyczyną zewnętrzną, która, aczkolwiek nieświadomie, pobudza przyczynę główną do działania. Gdybyś bowiem, waćpani, nie opuściła małżonka na skutek kłótni, jak to mówią powszechnie, i nie przebywała tutaj, otoczona synami Marsa, nigdy by on nie zastanawiał się tak dalece nad owymi sprawami ani jego umysł nie pogrążyłby się w takim niemal bezbożnym obłądzeniu”.

„Powszechnie gadanie jest tu bardziej niż kiedykolwiek powszechnie mylne, wasza wielmożność - odrzekłam - jeśli mnie spotyka zarzut odjechania mego męża z samowolnej pobudki. Muszę wprawdzie przyznać, że memu mężowi nie przypadły do gustu moje maniery z Forest Hill, jak na przykład gra na gitarze, ale - daję słowo - bynajmniej się z nim nie pokłóciłam, jak może was sam o tym zapewnić, jeno wysłał mnie tu do domu na ferie letnie. Kiedy zaś wybuchła wojna, a mój mąż został przez króla oskarżony o zdradę, nie mógł ryzykować przyjazdu tutaj, by mnie zabrać. A ojciec mój nie chciał narażać mojej cnoty pośród wojsk maszerujących przez gościńce. Dlatego też muszę, chcąc nie chcąc, siedzieć w Forest Hill”.

„Rad jestem usłyszeć to z ust waćpani - powiedział - a nie mogę tego podać w wątpliwość. Ale cóż teraz stoi na przeszkodzie do powrotu waćpani do małżonka?”

„Dwie rzeczy - odrzekłam. - Pobyt mojego ojca w Oksfordzie i naleganie mego męża, aby został mu wypłacony mój posag w wysokości tysiąca funtów, obiecany w intercyzie ślubnej. Chce mieć na stole pieniądze jednocześnie z moim powrotem”.

„Co się tyczy pierwszej przeszkody - rzekł - to chociaż może wydawać się niewłaściwe, byś waćpani wyjeżdżała, nie pożegnawszy się z ojcem, jednakże

mieć trzeba na uwadze, że pierwszy obowiązek waćpani jest dla męża, z którym wypadki wojenne cię rozdzieliły. Winnaś, waćpani, wrócić do niego jak najszybciej, aby nie popaść w oskarżenie o samowolne odejście; w tej podróży zaś mogę ci służyć pomocą. Więcej, jeśliś waćpani nieskłonna do tego, mogę ci rozkazać i zmusić do powrotu do niego. Co zaś do pieniędzy, to przecież ojciec jest nieobecny, więc posłać ich nie może. I mąż waćpani musi z tym czekać do chwili, kiedy zdobędziemy Oksford i sprowadzimy ojca do domu. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się możliwe, aby fortuna ojca waćpani, która się teraz znalazła jakoby między żarnami, wyłoniła z siebie choćby drobną część uzgodnionego posagu. Ale to już nie jest winą waćpani”.

Podziękowałam sir Robertowi za jego troskliwość i łaskawość i odrzekłam: „Wasza miłość, to, co mówisz, jest prawdą bez sprzeciwu, ale chcę przypomnieć, że mąż mój jest bardzo dumnym, cholerycznym człowiekiem. Jeślibym miała nagle do niego zajechać, pewną jest rzeczą, iż nie chciałby mnie przyjąć, a wówczas cóż się ze mną stanie? Zdaje mi się, że drobne moje przewinienie tak się rozjątrzyło w jego umyśle, iż stałam się dla niego jakimś monstrum, które należałoby raczej atakować piką aniżeli przyjąć czułymi pocałunkami”.

Wówczas po raz pierwszy rotmistrz Ireton przemówił. Był to powściągliwy, milczący człowiek, z drobną, jakby kocią twarzą, a znał go mój ojciec z owych czasów, kiedy był on bakałarzem w Oksfordzie i kiedy razem jeździli na polowania. Kiedym spoglądała na rotmistrza Iretona, przypomniła mi się stara gadka: „Kot wie dobrze, czyją brodę liże.” Nie żywiłam jednak nieufności do niego, tylko się dziwiłam, czemu sir Robert tak swobodnie przy nim rozmawiał o sprawach prywatnych.

„Wybacz, waćpani, moją śmiałość - rzekł teraz rotmistrz Ireton - lecz ja to przywiódłem pana Roberta tutaj, nie on mnie. Przyjaciel mój, pan Agar, który wziął za żonę siostrę męża waćpani i którego pasierbów, jak słyszę, kształci pan Milton, wielce jest zatroskany całą tą sprawą. Pan Agar bowiem jest człowiekiem bogobojnym i niemal we wszystkim podziwiał męża waćpani, wyjąwszy nową jego doktrynę o rozwodzie, której jest wielkim przeciwnikiem. Jeśli się nie mylę, mąż waćpani napisał - w książce pod tytułem *Tetrachordon*, wydanej kilka tygodni temu - że jeśli prawo nie udzieli mu satysfakcji w sprawie rozwodu, do którego dąży tak wytrwale, to on pójdzie za głosem własnego sumienia. Powiada, że prawo, nie on, poniesie konsekwencje tego sporu”.

Jest to wielce nagła i samowolna decyzja - rzekłam - i nie wyjdzie mu ona na dobre”.

Rotmistrz Ireton odezwał się znowu: „Nie chcę, byś waćpani myślała, że jestem źle usposobiony dla twego męża i że chcę odwrócić twoje serce od niego. Przyznam, iż zgadzam się z nim w kwestii wolnego sumienia; nie jestem prezbiterianinem jak sir Robert tu obecny. Nie mniej trafi mnie to zawsze, gdy widzę, że jakiś zacny człowiek dla wolności swego sumienia popełnia szczerze

głupstwo. Powiem otwarcie, łaskawa pani, mąż twój cieszy się admiracją niejakiego doktora Davisa, walijskiego lekarza, którego córka słynie z dowcipu i piękności. Chętnie by ją oddał mężowi waćpani, gdy ten odrzuci waćpanią prywatnym listem rozwodowym. A chociaż panienka nieskłonna jest do tego małżeństwa, będzie musiała słuchać ślepo ojca, tak jak pani byłaś posłuszna swemu ojcu, wychodząc za pana Milтона. To wszystko, co mówię, jest prawdą, Bóg widzi, że nie kłamię. Nie przystoi mi prawić pustych komplementów, lecz dama owa ani w połowie nie jest tak urodziwa jak waćpani. A co do dowcipu, to sądzę, iż pani jesteś nie mniej od niej rozważna i żywego umysłu. Krótko mówiąc, pan Agar prosił mnie, jeśli będę tędy jechał, abym cię, waćpani, uprzedził, jakie piwo się dla ciebie warzy, i abym przyspieszył twój powrót, zanim pan Milton uczyni nierozważny krok. Byłby w tym podobny do starego Lamecha, który był najpierwszym bigamistą i koruptorem małżeństwa, a przy tym pociągnąłby uczciwą, ładną kobietę wraz ze sobą w błoto. Nie bez kozery też czyni to pan Agar. Bo niewątpliwie, jeśli mąż waćpani wprowadzi do domu - jako gospodynię, kobietę, która nie bardziej jest jego żoną niż królowa moja, będzie to dla pana Agara wielkim utrapieniem i skandalem. Ujrzy się on wtedy zmuszonym do zabrania swoich pasierbów spod opieki pana Milтона”.

Podczas gdy rotmistrz Ireton jeszcze mówił, wróciła moja matka. Rzekłam tedy do niej bardzo spokojnie: „Pani matko, ci dwaj panowie oficerowie przyszli mnie uprzedzić, iż małżonek mój zamierza mnie porzucić i pojąć inną żonę. Poradzili mi, jaką drogę mam wybrać. Pułkownik Pye grzecznie ofiarował mi swoje usługi w tej sprawie: chce mnie zawieźć do Londynu i nie ścierpi odmowy. Ponieważ więc nie mam ochoty na to, aby być publicznie ogłoszoną za ladacnicę, a nie widzę przeszkód do powrotu oprócz tego jednego zmartwienia, że nie zabieram ze sobą posagu, przeto - za twoim pozwoleniem - wrócę, gdyż obowiązek mnie do tego nakłania. Powiem jeszcze wobec tych panów oficerów, czego nie mogłabym powiedzieć wobec naszych przyjaciół z przeciwnego stronnictwa, to mianowicie, że - będąc tylko kobietą - nie wiem, czyja sprawa jest słuszna, króla czy Parlamentu, lecz widzę wyraźnie, iż wojska Parlamentu są w znacznie lepszym ordynku, lepiej umundurowane, lepiej opatrzone i lepszą mają dyscyplinę. I że w końcu muszą przeważyć nad wojskami królewskimi. Zda mi się więc, że ojciec mój nigdy nie odzyska pieniędzy, wymuszonych z niego pod nazwą pożyczek, ani nie otrzyma owych wielkich sum, które mu się należą za kwaterunek wojska i za drzewo sprzedane oficerom kwaterunkowym króla jegomości. Bo te asygnaty, które dostał, będą nic niewarte, jeśli król będzie pobity. A w żaden sposób nie możemy się spodziewać, aby darowano ojcu prywatne długi, takie jak dług zaciągnięty u sir Roberta Pye’a, seniora. Nie ulega więc wątpliwości, że ojciec będzie zrujnowany. Jeśli teraz wrócę do mego męża i uzyskam jego życzliwość, będę mogła służyć wam ochronieniem i utrzymaniem, kiedy straciecie dom z powodu klęski króla”.

Zrazu matka moja wielce oponowała, ale zobaczyła wreszcie, iż rozumię słusznie. Udzieliła zgody na moją podróż, gdy sir Robert uroczyście ją zapewnił, że żadna krzywda mnie nie spotka i że jeśli mój mąż mnie nie przyjmie, to on odwiezie mnie żywą i całą. Zapytałam rotmistrza Iretona, gdzie będę mieszkać w Londynie w tym czasie, kiedy pan Agar będzie przygotowywał spotkanie między mną a moim mężem. Zapewnił mnie, że pan Agar zakwateruje mnie przystojnie. Wówczas zapytałam jeszcze, kiedy mnie odwieżą do Londynu. „Choćby jutro rano - rzekł pułkownik Pye - jeśli taka jest wola waćpani, gdyż odsyłam dwóch rannych oficerów do ich domów i będziesz waćpani opatrywać ich rany w drodze, uiszczając w ten sposób zapłatę za podróż”.

„Do usług waćpana”, rzekłam dziarskim głosem, ale w rzeczywistości ciężko mi było na sercu. Opowieść rotmistrza Iretona o córce doktora Davisa wprawiła mnie w zakłopotanie. Wydało mi się, że teraz będę zmuszona udawać większą miłość dla mego męża, niż w rzeczywistości odczuwałam, jeśli pragnę być znowu jego żoną. To zaś bardzo było przeciwne mojej niewieściej godności. Ale, jak Hobson, nie miałam wyboru: to albo nic.

Gdy oficerowie opuścili dom, moja matka odezwała się do mnie z wielką dobrocią. „Marie - rzekła - jesteś dla mnie lepszą córką, niżem przypuszczała. Wracaj tedy z moim błogosławieństwem do tego wściekłego psa, twego małżonka, któremu wszystko jedno, kogo gryzie i jak. Niechże zobaczą, czy zdołasz z niego wyczarować dobrym słowem choć trochę zdrowego rozumu. Możesz mu powiedzieć, że odmowa powrotu w towarzystwie tej jego zakistej baby, którego od ciebie wymagał, wynikała tylko z mojego nakazu i że teraz pożałowałaś tego gorzko pod wpływem łagodnej perswazji pułkownika Pye'a. Daję ci radę taką: Poniżaj się przed nim, pełzaj na brzuchu jak wąż, gryź ziemię, łagodź jego złość chytrością, ale gdy tylko zerwie umowę z doktorem Davisem i przyjmie cię wreszcie do siebie, wtedy możesz pokazać, co potrafisz. Skocz mu na kark i poszarp mu dobrze boki ostrogami”.

„A czy Trunco może ze mną pojechać, pani matko?”, spytałam.

„Całym sercem się na to zgadzam - odrzekła - choć zabierając mi znowu Trunco, okradasz mnie powtórnie z najpogodniejszej i najlepszej niewiasty, jaką kiedykolwiek miałam”.

Zebrałam tedy wszystko, co posiadałam, i spakowałam do skrzyni. Wszystko z wyjątkiem welinowej księgi, którą zostawiłam pod opieką matki, ale zabierając od niej kluczyk. Raz jeszcze wypadło mi żegnać wesołe, najmilsze Forest Hill, gdzie się urodziła i - dołóż moja! - jechać do tego wstrętnego, zatęchłego, zakurzonego, zawęglonego Londynu, rodzinnego miasta mego małżonka, którego muszę się nauczyć kochać, choćby wbrew moim wrodzonym skłonnościom!

Rozdział dziewiętnasty

JESTEM PRZY NADZIEI; MÓJ OJCIEC JEST ZRUJNOWANY

W ciągu krótkiego oblężenia Oksfordu, podjętego wówczas przez generał-kapitana sir Thomasa Fairfaxa, rodzinę moją spotkały dwa wielkie nieszczęścia, o czym się dowiedziałam dopiero w rok później, więc mogę zachować tę wiadomość aż do następnego rozdziału. Na razie opowiem, jak to 21 maja 1645 roku miasto zostało tak opasane, że żaden prowiant już nie dochodził. Ludzie generała Fairfaxa zbudowali w Marston nowy most przez rzekę Cherwell. Wtedy gubernator, pułkownik sir William Legge, obawiając się szturm, zmuszony był zalać łąki i spalić domy na przedmieściach, by wzmocnić obronę. Jednakże były miejsca słabe w umocnieniach miasta, szczególnie od północy, i straż nie była tak czujna ani broń w takim porządku, jak za czasów dawnego gubernatora, pana Artura Astona. Pan Artur, papista, był oficerem bardzo srogim i czujnym: karał swoich ludzi za pijaństwo grzywną lub karcerem, jak gdyby to były „okrągłe łby”, i zakazywał wszelkiego picia po capstrzyku. Poza tym mieszczanie, opłacani jeno obietnicami, a już nie pieniędzmi, ponosili wiele ciężarów z powodu żołnierzy zakwaterowanych u nich, a widząc, że sprawa królewska jest chwiejna, byli niespokojni i poczęli okazywać, niechęć i opieszałość w pracy, jakiej od nich wymagano. Po prawdzie jednak miasto nie było szturmowane, bo kiedy w tydzień później generał Fairfax się dowiedział, że król opuścił Oksford i pomaszerował na północ, by oswobodzić Chester (gdzie sir Mun był w wielkich opałach), odstąpił również od Oksfordu i poszedł za królem. A wkrótce, 14 czerwca, król jegomość został otoczony i rozgromiony we wsi Naseby niedaleko miasta Daventry. Z tej klęski już nigdy się nie podniósł, choć nie ostatnia to była batalia w owej wojnie, a Oksford utrzymał się jeszcze dłużej niż przez rok.

Bitwa pod Naseby była zażarta. Na jednym skrzydle książę Rupert rozgromił konnicę generała Iretona, a generał Cromwell na drugim rozbił całkowicie konnicę przeciwnika. Główne zaś korpusy szarżowały na siebie z okrutną zawziętością, bijąc się nawet kolbami muszkietów. Okrzykiem wojennym parlamentarzystów było: „Bóg siła nasza”, armii króla zaś: „Królowa Marie”. Generał Skippon został trafiony w bok bardzo niebezpiecznie, bo kula wbiła w ciało odłamek zbroi i strzępy koszuli. Generał Ireton miał udd przebite piką, halabarda zraniła mu twarz, a konia pod nim ubito. Generał Cromwell znalazł się także w wielkiej opresji, uległ bowiem w walce samowtór z rotmistrzem konnicy królewskiej, który cięciem szabli zerwał mu umocowanie hełmu, zrzucił go z jego głowy - i byłby rozwalił głowę do podbródka drugim cięciem, gdyby ludzie Cromwella nie przybyli na pomoc. Jakiś prosty szeregowy bardzo

przytomnie rzucił mu własny hełm, który generał Cromwell pochwycił i wcisnął sobie na uszy, aczkolwiek tyłem do przodu, i tak walczył przez resztę dnia. Sam król bił się po drugiej stronie bardzo szlachetnie, co musieli przyznać nawet wrogowie, i nadstawiał życia nie gorzej od każdego szeregowca. Nie było mu jednak dane zginąć w bitwie.

Było to osobliwe, iż padło tak niewielu w ciągu tylu godzin zacieklej walki twarzą w twarz na przestrzeni jednej mili. Nie zginęło więcej nad sześciuset ludzi królewskich z armii liczącej 7500 żołnierzy, a zaledwie dwustu ludzi z Nowej Armii, która była dwukrotnie większa. Z tego powodu umniejszono znaczenie tej bitwy w porównaniu z innymi, stoczonymi w Edgehil, w Marston Moor i gdzie indziej, gdyż ogólnie uważa się za najlepszego dowódcę tego, który najwięcej krwi przeleje. Taki Pompejusz zyskał sobie przydomek „Wielkiego” (którego odmówiono Juliuszowi Cezarowi), ponieważ ubił lub stracił w swych bitwach ponad dwa miliony ludzi. Cezar zaś jeno milion. W tych ostatnich naszych wojnach żelazem ubito więcej niż prochem (choć proch więcej czynił spustoszenia wśród źle wyćwiczonych oddziałów); a choroby, szczególnie gorączka tyfusowa i ospa, jeszcze więcej ludzi powaliły niż żelazo i proch razem wzięte.

Słyszałam, że zwycięstwo w Naseby mieszkańcy Londynu uczcili głośnymi wiwatami, biciem w dzwony kościelne i jękliwym śpiewaniem psalmów na ulicach i podwórkach. W parę dni potem jeńcy pojmani w tej bitwie przemaszerowali ulicami miasta w liczbie czterech tysięcy; niesiono też zdobyte sztandary, które później rozwieszono w Westminster Hall. Nie zależało mi na tym, by zażywać owego widoku, gdyż nie mogłam się zgodzić z drwinami i syczeniem, jakie spotykało jeńców od ludności. Kiedy się znaleźli pod ochroną na placu artyleryjskim w Tothill Fields, Parlament zapewnił im bezpieczny powrót do domów, jeśli się zgodzą odtąd żyć w pokoju. Taką jednak mieli wiarę w króla i jego sprawę, że znaczna większość nie chciała jej się wyrzec. Tych wysłano okrętami jako kontraktowych robotników do kolonii.

Moich dwóch rannych oficerów odwiozłam do ich domów w Bishopsgate. Każdy z nich usiłował mnie nawrócić na swoją wiarę; jeden był anabaptystą i miał złamany obojczyk, a drugi socynianinem z ropiejącą nogą. Anabaptysta powiedział mi między innymi o tym, jak wielu życzliwych miał Parlament w Oksfordzie - w różnych rangach, od pułkownika w dół; ci nieustannie przekazywali wiadomości generałowi Fairfaxowi o wszystkim, co działo się w mieście. Każdy zostawiał swój list w umówionych domach, wciskając go w jakąś dziurę albo za szybę okienną, ilekroć wolno mu było wyjść na ulicę, listy te zaraz brali ludzie w przebraniu miejskich ogrodników i wynosili poza forty do pewnego śmierzącego dołu, odległego o dwie mile, gdzie czuwał agent Parlamentu, by je odebrać. - Kiedy rozstałam się z oficerami, udałam się łodzią do Westminsteru, do domu pana Roberta Pye'a, seniora, posła, tego właśnie, który wziął był w zastaw nasz dwór. Tu pan Agar ofiarował mi swoje usługi, wielce mnie honorując i radując się z mego powrotu. Rzekł też, iż krewny jego,

pan Abraham Blackborough, ma ładną kwaterę przygotowaną na mój przyjazd. Potem pojechałam wraz z Trunco kolasą do pana Blackborougha. Był to ten sam dom w uliczce Św. Marcina Wielkiego, gdzie moi bracia i siostry zamieszkiwali trzy lata temu. Pojechałyśmy już nocą, gdyż nie chciałam, aby doszło do uszu mego męża, że tam znalazłam przystań. Nie wolno mi było ukazać się w oknie, a Trunco nie wolno było wyjawić służbie mego prawdziwego nazwiska.

Pan Blackborough, miły, krotochwilny jegomość, opowiedział mi, iż mój mąż podczas spaceru, jaki odbywa każdego popołudnia w stronę miasta, często zatrzymuje się tutaj, by zapytać, czy nie nadeszły jakieś nowe pamflety. Pan Blackborough bowiem namiętnie je kupował, a mój mąż wolał czytać je swobodnie u mego gospodarza niż w pośpiechu u księgarza na dziedzińcu katedry Św. Pawła, gdzie mógł usłyszeć niegrzeczną uwagę: „Kupuj albo się wynoś!” i gdzie nie ma zydła i stołu dla wygody klienta. Pan Blackborough miał nadzieję, że mój mąż przyjdzie nazajutrz, a wtedy zabawi go rozmową o bardzo ładnej książce, zatytułowanej *Małżeństwo do woli*, a odnoszącej się do niego w sposób szczególny. „Kiedy mąż waćpani wejdzie - rzekł - a zauważę, iż jest w dobrym humorze, dam ci o tym znak, mówiąc podniesionym głosem: «Oto, mój panie, pamflet, który czeka na ciebie!», a potem ustąpię ci miejsca na scenie. Ale z jego słów, wypowiedzianych przy różnych okazjach, wnoszę, iż taką już czuje do ciebie, pani, odrazę - nazwałbym ją namiętym dyzgustem - i wszelkie twoje, choćby najmniejsze niedoskonałości ogląda przez tak powiększający teleskop, że nie będzie łatwą rzeczą dla ciebie doprowadzić do zgody z nim. Jednakże właśnie w nadmiarze jego rozgoryczenia leży twoja sposobność. Przez długie bowiem przeżuwanie tej sprawy wbił sobie w głowę, iż podobna jesteś Meduzie, z węzami miast włosów, z rysami lisimi i zimnym, kamiennym wzrokiem. Toteż, gdy zaskoczy go twój wygląd, tak odmienny od ponurego obrazu, jaki sobie wytworzył, twoje zadanie przestanie być niewykonalne!”

Jak mi waszmość radzisz zachować się wobec niego? -zapytałam - gdyż jeśli mam być szczerą, wracam przynaglona nie jakąś wielką ku niemu miłością ani uczuciem skruchy za błędy popełnione, ale tą myślą, iż miejsce żony, przez los jej przeznaczone, jest obok męża, nawet złego - a pan Milton jak myślę, jest lepszym mężem niż wielu innych. Poza tym, jak rzekłam panu pułkownikowi Robertowi Pye'owi, nie opuściłam mego męża z własnej woli, lecz to on mnie wysłał na dwumiesięczne wakacje do domu mego ojca. Wypadki zaś sprawiły, że nie mogłam do niego wrócić, te same wypadki, które (zapewne) i jemu przeszkodziły po mnie przyjechać”.

„Może waćpani w ten sposób widzisz sprawę - odparł - ale nie spodziewaj się, iż on się z tym zgodzi w obecnym swym usposobieniu. Powiedziano mu bowiem, że twój ojciec uważa za plamę na honorze, iż wydał córkę za zdrajcę, «ogolony łeb». Nazwa ta mocno go ubodła, gdyż szczyli się nie tylko umiłowaniem wielkiej sprawy wolności, ale i pięknnością swych długich włosów. Radzę ci więc, waćpani, uleczyć boleść jego serca i zranioną dumę przez tak słodki potok obfitych łez żalu, na jaki tylko stać fontanny twych oczu, i tak

nisko przywrzeć do ziemi przed nim jak walijski naleśnik. A także radzę ci przyjąć z uległością, cokolwiek ci narzuci w swój sztywny, pouczający sposób. Bo jeśli i ja mam być z tobą szczery, to choć podziwiam jego wykształcenie i ogromne talenty, suponuję, iż jest on wielkim nieukiem w sprawach codziennego życia”.

„Moja matka jest tego samego co waszmość pan zdania - rzekłam - i dała mi bardzo podobną radę. Tym się będę kierować i jestem mocno zobowiązana waszmości za jego łaskawość”.

Nazajutrz po południu, około drugiej, przyglądałam się przechodniom zza firanki i wreszcie poznałam mego męża.

Zbliżał się ostrym krokiem, z laską na ramieniu, jakby piką. Wyglądał wesoły i lekki, wbiegł na stopnie naszego domu, by zapukać do drzwi.

Wkrótce usłyszałam kroki na schodach i dobrze mi znany głos. Żywa jego perora doszła mych uszu z sąsiedniego pokoju. O ile mogłam się zorientować, miał nowy pomysł i nim był w tej chwili całkowicie zajęty. Chodziło mu o ufundowanie nowych akademii wojskowych, gdzie dobrze urodzona młodzież byłaby szkolona w sztukach i naukach użytecznych tym, co rządzić mają pospolitą ludnością wsi i miast w naszym kraju. Dosłyszałam, jak krzyczał, iż uniwersytety są wylęgarniami zabobonów i lenistwa, prawie niezdatnymi do reformy. Pan Blackborough podbijał mu bębenka, wciąż powtarzając: „Masz waszmość słuszność!”, albo: „Szczera to prawda!” - i wtedy zrozumiałam, co on miał na myśli, kiedy pisał, iż potrzeba mu żony, z którą można dobrze rozmawiać. Chodziło mu po prostu o to, że ja nigdy go nie ucieszyłam takimi zawołaniami: „Masz rację, mężu!” albo: „Święta prawda, panie małżonku!”, kiedy się rozwodził nudno a obszernie o tego rodzaju problemach.

Czekając, kiedy wybije moja godzina, rozmyślałam o najsmutniejszych sprawach, jakie tylko mogłam przywieść na pamięć z historii i tragedii - takich jak śmierć Hektora i oślepienie króla Leara, aby się sztucznie wprowadzić we właściwy tok myślenia. Ale nic się nie nadawało do tego celu. Wreszcie jednak przypomniała mi się moja mała, biała wyzliczka imieniem Blanche, którą dostałam w dzień mych siedemnastych urodzin: jak to ona przez moją nieuwagę podczas zabawy złamała sobie łapkę i skamlała żałością; i jak mój brat, James, wyzwolił ją od męki wystrzałem z guldynki. Poczułam, że w oczach mnie szczypie, a łyzy {dyną. Wówczas otworzyły się drzwi, właśnie w najodpowiedniejszej chwili, i pan Blackborough zawołał: „Waszmość panie, pamflet czeka na ciebie. Ufam, iż przeczytasz go z radością; a co więcej, ręczę, że kartki są jeszcze nierozcięte”.

Ruszyłam naprzód na chwiejnych nogach, zapłakana, z rękoma złożonymi na piersiach. Mój mąż spojrział na mnie z najwyższym zdumieniem, porwał się ku mnie, ale zaraz się opamiętał i cofnął się, wystraszony. Uklękałam pokornie na słomiance i spuściłam głowę tak, że kapturek mi spadł i odkrył włosy. Zaczęłam szlochać przekonywająco i wymawiać urywane słowa, a szczególnie: „O, przebacz, przebacz mi!”. Były to właśnie te same słowa, których użyłam

niegdyś nad moją biedną, skamlącą Blanche. Wówczas przyszli wszyscy razem, gromadą, stary pan Milton i moja bratowa, pani Agar i wdowa pani Webber, matka żony pana Christophera Milтона. Wspólnie czekali w innym pokoju, a teraz jednomyślnie wstawiali się u mego męża, błagając o przebaczenie dla mnie, tak młodej, ładnej i skruszonej. Tylko pan Blackborough stał na uboczu ze słodko-kwaśną miną i spoglądał na to teatrum. Stary pan prosił mego męża, aby nie brał mi za złe, że nie przywiozłam obiecane go posagu. Nie było to moją winą, a jeśli będzie ze mną szczerze postępował, może być pewien, iż mój ojciec w tej sprawie postąpi z nim tak samo.

Mój mąż stał zdumiony i niezdecydowany, ale oni wszyscy ronili łzy wraz ze mną, nawet stary pan. Nie mógł więc mój mąż okazać się człowiekiem twardego serca, kiedy płakał jego ojciec. Podniósł mnie z ziemi i wziął w ramiona, by mnie pocieszyć, ale jeszcze nie pocałował. Wtedy całe towarzystwo umknęło na paluszkach jedni po drugich, zostawiając nas samych.

Błagałam mego męża o zapewnienie, że mi przebaczył. Całą winę za krnąbrność zrzuciłam na moją matkę, jak sobie tego życzyła sama, i nie ustawałam w płaczu, aż wreszcie rzekł: „To wola boża, bym ci przebaczył. Nie przychodzi mi to łatwo, bo tak wielką wyrządziłaś mi krzywdę i tak obrzydła jest twoja niewdzięczność. Ale kto może się sprzeciwić bożemu przykazaniu? Dlatego też mówię: «Niewiasto, przebaczam ci!»”.

„Więc przyjmiesz mnie znowu jako żonę? - zapytałam cichutko zdławionym głosem. - Jestem wciąż jeszcze dziewicą, a dostałam nauczki i będę ci we wszystkim posłuszna od tej chwili do końca życia”.

Odzyskał panowanie nad sobą i rzekł: „Przyjmę cię wkrótce; ale nie teraz jeszcze, bo muszę mieć czas na właściwe przygotowanie i upewnić się, że żałujesz szczerze i nie przyszłaś tu podstępnie, by podrzucić mi bękartą jakiego rozpustnego rotmistrza czy sierżanta”.

„Zgadzam się na czekanie - rzekłam, ocierając łzy chusteczką. - Zaczekam choćby dwadzieścia lat, jeśli przyjmiesz mnie w końcu do siebie”.

Wtedy złożył na moich ustach pocałunek miłości i nienawiści jednocześnie i zawoławszy swoich krewnych powiadomił ich, że się ze mną pogodził. Radowali się, chwalili jego mądrość i wspaniałomyślność i pożegnali nas wielce zadowoleni. Dziwiłam się moim własnym zdolnościom aktorskim i czułam nienawiść do siebie jako do wstrętnej, nędznej obłudnicy. Mając ten niepokój sumienia, wzdrażałam się wewnętrznie przed poważnymi a drwiącymi gratulacjami zacnego pana Blackborougha.

Mój mąż oznajmił mi, że ostatnio podjął się kształcenia dalszych siedmiu chłopców oprócz pięciu, których już uczył. Nie były to jakieś drobne płatki z parafii, ale synowie szlachty i ludzi zasłużonych. Wszyscy oni będą mieszkać u niego. Ponieważ zaś on sam musi mieć osobny pokój sypialny, w którym może mnie przyjmować tylko od czasu do czasu, na razie nie będzie dla mnie pokoju w jego domu. Jednakże, mówił, znalazł już dom bardziej dla jego celów sposobny, dwunastopokojowy, położony w Barbakanie (jest to ulica wiodąca do

Aldersgate). Zamierza tam się przenieść na Św. Michał. Kazał mi więc cierpliwie czekać przez trzy miesiące i obiecał, że jeśli spodoba mu się moje zachowanie i jeśli wdowa pani Webber (z którą na razie mam zamieszkać w jej domu przy kościele Św. Klemensa, koło Strandu) dobrze o mnie zaświadczy, wówczas podpisze akt amnestii i zawrze ze mną stały układ pokojowy.

Wydaje mi się jednak, iż niełatwo mu przyszło zrzec się zamierzonego małżeństwa z córką dra Davisa (którą mi pokazano kiedyś na ulicy i która z rysów o wiele była ode mnie piękniejszą), tym bardziej że sobie z niego podrwiwała; nie mógł on bowiem tego znieść, gdy sobie z niego drwiono lub mu się sprzeciwiano. Ale pomimo wszystko porzucił tamten plan i pogodził się z myślą o odnowieniu związku ze mną.

Odtąd nie pisał już o rozwodach. Oświadczył, iż to, co napisał, wystarczyło, aby osiągnąć cel, a on pragnie żyć w pamięci potomnych również dzięki innym książkom. Miast tego zajmował się swoją *Historią Anglii od czasów najdawniejszych*, pisaną na jędrną modłę historii Tacyta oraz komponowaniem zbioru swoich wierszy angielskich, włoskich, greckich i łacińskich, które chciał opublikować. To zdumiewające, jak zazdrośnie troszczył się on o to, aby żaden napisany przez niego kiedykolwiek wiersz nie poszedł w zapomnienie, nawet owe trzy czy cztery szkolne ćwiczenia o „spisku prochowym” i owe dwie elegie o zmarłych biskupach, o których mówił pan Pory, albo rymowane tłumaczenie Psalmów Dawida, jeszcze ze szkolnych czasów. Jednakże na karcie tytułowej, kiedy książka już była wydana, widniał skromny cytat z *Eklogi* Wergiliusza:

Zwieńcz mi czoło zielonym spikanardu liściem,
By złośliwcy nie lżyli przyszłego poety.

Rozumiał przez to, iż skromna ta roślina ma zastąpić tymczasem laury i girlandy bluszczu, póki ich nie zdobędzie wielką, dramatyczną poezją.

Wobec Trunco był grzeczny. Na parę miesięcy przed moim powrotem wykrył, iż Jane Yates była oszustką i nikczemną złodziejką. Wykradała naczynia cynowe i bieliznę. Kiedy się dowiedział, że sprzedawała nawet niektóre książki z jego biblioteki handlarzowi w Little Britain, odprawił ją nagle, choć na prośbę starszego pana zlitował się i nie oskarżył jej przed sądem. Wtedy po niejkiej pani Catherine Thomson, która mu prowadziła dom przez krótki czas, nie najlepiej, ale przynajmniej uczciwie, zatrudnił w kuchni Trunco, i to za dobrym wynagrodzeniem. Przekonał się bowiem, ile pieniędzy oszczędzał w każdym miesiącu dzięki jej mądrym gospodarzeniu i ile smaku potrafiła ona nadać prostym nawet potrawom przez umiejętne ich przyrządzanie. Zanim Trunco nastąpiła, najśmielszy z jego uczniów pewnego razu odważył się wyrazić otwartą skargę na podawane im jedzenie.

Wdowa pani Webber odnosiła się do mnie serdecznie, jak gdybym była samą Thomasine Milton, jej córką, która od chwili zajęcia Reading przez parlamentarzystów zamieszkała razem z mężem w Exeter. Pan Christopher był wówczas komisarzem królewskim do sekwestracji majątków, jakie posiadali

parlamentarzyści. Również wdowa po cichu sprzyjała królowi jegomości. A to było główną przyczyną, dla której była dobra dla mnie. Wiedziała bowiem, że moja rodzina podziela jej poglądy. Na życzenie mego męża trzymała mnie w domu pod bokiem i nie pozwalała wychodzić samej, nawet do piekarza, o cztery bramy od nas - ale zawsze wymyślała dla mnie przyjemne zajęcie, bym nie popadła w przygnębienie, a kiedy wychodziłyśmy razem na spacer, prowadziła mnie często do swoich znajomych, których towarzystwo było takim urozmaiceniem, jakiego się wcale nie spodziewałam. Wszyscy przyznawali, że Londyn stał się straszliwie nudny: żadnych teatrów, wyścigów, walk niedźwiedzich, żadnych przedstawień; obalono nawet „słupy majowe” na przedmieściach. Kościoły były ponure jak więzienia, sklepy bławatników i sukienników pogrążone w żałobie, w Hyde Parku zaledwie czasem ukazał się jakiś powozik, a po dziewiątej wieczór całe miasto było wymarłe. Pieniądzy nie miałam i drażniło mnie to, że nawet pół szylinga nie mogłam wydać na barwne wstążki, które wyciągał ze swego zawiniątka domokrążca i nęcił mnie, rozglądając się ostrożnie (dla zakazu i anatemy rzuconych przez władzę duchowną na wszystkie wesole przybrania).

Mój mąż przychodził prawie codziennie. Zazwyczaj przynosił książki odpowiednie dla mnie i prowadził ze mną przyjemne rozmowy. Nigdy jednak nie spędził nocy w moim pokoju. Wydał mi się mniej surowych poglądów co do sposobu, w jaki winien mąż kierować swoją żoną. „Żona - powiedział - nie ma być uważana za sługę, ale przyjęta łaskawie do mężowskiego królestwa, wprowadzie nie na równych prawach, ale jednak wspaniałomyślnie, jako jego własny obraz i chwała”. A w jednej ze swych książek napisał nawet, że jeśli w jakimś stadle żona przewyższa męża w rozwadze i zręczności, a on to z zadowoleniem uznaje, to niechże mądrzejszy z dwojga obejmie rządy, jak przystało!

Podczas pobytu u wdowy dowiedziałam się ze smutkiem, że kapitan sir Thomas Gardiner, mąż lady Cary, zginął w potyczce koło Aylesbury. Była wtedy w odmiennym stanie, więc wszyscy wielką żywili nadzieję, że uroda syna i dzięki temu ród nie wyginie. Jednakże urodziła się córka, a biedna lady Cary znosi odtąd lekceważenie i pogardę rodziny Gardinerów, bo ich zawiodła.

Chester było ponownie oblegane po kilkumiesięcznej przerwie. Sir Mun mężnie bronił tej twierdzy dla króla. We wrześniu ksiązę Rupert poddał miasto Bristol w ręce generała Fairfaxa, trochę zbyt ustępliwie, czym sobie zasłużył u króla na surową niełaskę. W tym samym jeszcze miesiącu Jego królewska mość, idąc z odsieczą do Chester, został rozbity pod murami miasta, ponosząc wielkie straty. Ale nawet wtedy, choć garnizon cierpiał dotkliwe braki w prochu i żywności, sir Mun nie ustąpił. Pani Webber i jej znajomi wielce wychwalali jego nieugiętą wierność. Wreszcie powiedziała mi w zaufaniu pewna młoda dama, że sir Mun niedawno się ożenił; kim jednak może być jego żona, nie wiedziała. Wiadomość ta uderzyła mnie boleśnie, ale ułatwiła mi pogodzenie się z moim losem. Przypuszczałam, że żoną Muna jest Doli Leke.

Mun śnił mi się ostatniej nocy, zanim mój mąż zabrał mnie do swego domu w Barbakanie. Leżał sam w łożu, patrzył na mnie bardzo smutno i zapytał: Jak możesz, kochanie, teraz jeszcze żywić nadzieję na szczęście? I jak mogę ja? Przyjdzie jednak dzień, kiedy zejdziemy się znowu mimo wszystko i będziemy szczęśliwi razem”.

Nie będę opisywała szczegółowo mojej nocy poślubnej. Tyle tylko powiem, że mój mąż nie zaniechał żadnego przyjemnego akcesorium, które zastosował przy dawniejszych spotkaniach, nawet złotego pyłku na łożu; i że, być może, moja matka miała rację mówiąc, iż mężczyźni czystych obyczajów winni żenić się jeno z wdowami. Jednakże nacieszył się mną, a ja nic nie uczyniłam, by mu się sprzeciwić, jego zaś miłość własna była tak wielka, że nie zauważył braku miłości we mnie, gdym mu się poddała. Kazał mi zachować milczenie, kiedy mnie pieścił, abym przez swobodne lub nieudatne słowo nie przerwała czaru i nie sprofanowała świętego obrządku, którego on sam jest kapłanem, a ja dobrowolną ofiarą.

Dosyć tego. Zaszłam w ciążę bardzo prędko - wtedy już mnie nie pieścił i kazał sypiać osobno. Wymagał, abym z miłości dla niego przyjęła osobliwy a nowy rodzaj życia. Sypiać mam na sienniku, a nie na puchach, spożywać jedzenie prostackie, myć się zimną wodą i nie czytać książek innych, jak tylko o bitwach i niebezpiecznych wyprawach. Z mego pokoju uczynił zbrojownię, znosząc szable, piki i pistolety. Ściany zawiesił czerwoną tkaniną i poumieszczał na niej wiele tarcz. Często mnie też prowadził na poligon artyleryjski i na pola Św. Marcina, abym się przyglądała ćwiczeniom. Nie było to dowodem złych uczuć z jego strony, ale wyrazem jego dziwnej chimery. Miał bowiem nadzieję, że tym sztucznym staraniem zdobędzie syna, który stanie się sławny dla swej dzielności jako wielki wódz, a wtedy wypełni się stare proroctwo, przetłumaczone przez niejakiego Gildasa z greki na łacinę za czasów cesarza Klaudiusza, że świat cały podbije w końcu rasa brytyjska. Proroctwo to, zaczynające się:

Brute, sub occasum Solis...

a kończące się słowami:

...Ipsis

Totius terrae sibditus orbis erit^[40] wypisał pięknymi, wielkimi literami na tablicy przybitej u stóp mego twardego łoża. Mimo woli więc nauczyłam się tego na pamięć. Nasz syn miał nosić imię Artur. Dlatego nad moim wezglowiem wisiało wielkie „A” wyhaftowane złotą nicią na chorągwi Św. Jerzego. Nie sprzeciwiałam się tym imaginacjom mego męża. Jaki jednak był ich skutek, okaże się wkrótce.

[40] „Brutusie, ku zachodowi słońca...(…) Będzie im poddany cały świat”.

Barbakan był ulicą dość hałaśliwą. Ale pokój szkolny, gdzie chłopcy mieli lekcje, położony był z drugiej strony domu, tak że nie przerywały im pracy krzyki handlarek ryb i ciast, sprzedawców mioteł, śpiewaków ulicznych czy odgłosy wrzaskliwych kłótni między woźnicami a stangretami. Nareszcie miałam sobie powierzone prowadzenie domu, i to ku zadowoleniu mego męża. W swojej dobroci rzekł mi, iż Trunco i ja stanowimy razem dobrą parę koni do jego pługa. Mimo straszliwej podwyżki cen opału i wszelkich towarów zaopatrzenie domu w żywność, napoje, mydło, świece i opał kosztowało mnie trochę mniej (w stosunku do zwiększonej ilości domowników), aniżeli wydawała na to Jane Yates, chociaż ona tak ostentacyjnie wszystkiego skąpiła. Mój mąż przynosił mi czasem prezenty, jakieś drobiazgi z jedwabiu w ciemnych kolorach i z cienkiego płótna, abym je nosiła, gdy skończy się moja ciąża, a raz nawet przyniósł mi do natychmiastowego użytku domowego srebrną zapinkę z granatów w kształcie szabli. Ale nie pozwalał nigdy, bym sobie sama coś wybrała w sklepie, chyba jeno trzewiki, pończochy lub bieliznę. Wychowankowie mego męża byli to dobrzy chłopcy i prędko zaczęli się do mnie odnosić niemal jak do własnej matki. Spośród dwunastki, jaką mieliśmy u siebie, ulubieńcami moimi byli Henry Lawrence, Cyriack Skinner (wnuk sir Edwarda Coke'a, prawnika) i młody hrabia Barrimore. Mąż mój uczył ich dobrego władania szablą, a także doskonalił ich w arkanach walki wręcz. Czasem brał ich ze sobą na wycieczki, by im pokazać jakieś ciekawe miejsca albo by ćwiczyli się w wiosłowaniu na rzece. Teraz, kiedy pogodził się z myślą, że żyć będzie w związku małżeńskim ze mną, oszczędnie używał wobec nich feruły i kija. Mieliśmy naprawdę dobrych sąsiadów, przede wszystkim hrabiego Bridgewatera, który niegdyś był prezydentem Walii. W jego to zamku w Ludlow została odegrana maska *Comus*, pióra mego męża. Z nim mieszkała jego córka, lady Alice Egerton, która grała w owej sztuce Damę, i pan Thomas Egerton, jego syn. Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi. W Barbakanie mieszkał też dziwnym zbiegiem okoliczności pan Henry Lawes, kompozytor, który ułożył był muzykę do tej sztuki i odegrał w niej rolę Tyrzisa. Był to człowiek łagodny, uprzejmy i wielce lubiany. Właśnie w tym czasie mój mąż zadedykował mu sonet zaczynający się od słów: „Harry, którego wdzięczne, melodyjne pieśni...”. Dużo więc wtedy nasłuchiwałam się muzyki. Jednakże mój mąż nie zezwalał, bym słuchała, gdy grano lub śpiewano melodie słodkie a tęskne. Myśląc o naszym nieurodzonym jeszcze synu, powiedział, że powinnam raczej słuchać wojennych strof doryckich, które wzmacniają ducha, aniżeli lidyjskich, które go zmiękczają. Nasze dziecię winno się urodzić, jak to obliczył, w końcu lipca, pod znakiem Lwa, który sprzyja wielkim wodzom jak żaden inny znak na firmamencie.

Sonet dedykowany panu Lawesowi za późno był napisany, aby mógł się znaleźć w zbiorze wierszy, który mój mąż opublikował na Nowy Rok 1646. Natomiast znalazłam wśród sonetów jeden taki, który najwidoczniej był skierowany do córki dra Davisa (aczkolwiek bezimiennie) jako do czystej a

roztropnej dziewicy, umiejącej ominąć szeroką, zieloną drogę, jaka prowadzi do upadku. Wiersz był jednak ostrożny: obiecywał owej pannie nie małżeństwo, lecz tylko miejsce przy uczcie weselnej, kiedy pan miody z weselnymi przyjaciółmi dozna szczęścia o północnej godzinie. Nie miałam mu więc tego za złe. Ilekroć mój mąż tworzy sonet (a nie napisał żadnego większego poematu, od czasu jak jestem z nim), trzyma się zabobonnego obyczaju. Najpierw myje się od stóp do głów i wdziewa czystą bieliznę i najlepszy strój, ale nie przypasuje szabli. Potem bierze czarę czystej wody w ręce i idzie do świeżo wymiecionej komnaty, gdzie nie ma żadnych innych sprzętów oprócz stołu i krzesła. Tam się zamyka, nakazując zupełną ciszę w całym domu. Domyślam się, iż wzniósłszy myśli do Boga, popija wodę i zabiera się do pracy. Na drzwiach jego pokoju wisi kartka z ostrzeżeniem, a na niej, otoczone wieńcem laurowym, widnieje imię muzy Kalliope, której on w tej chwili służy.

Parlament zabronił w Londynie świątecznych uroczystości na Boże Narodzenie, gdyż paszteciki, kaszkę ze śliwkami i ostrokrzew uznano za papistyczne zabobony. Mój mąż był bardzo rad, że ominą nas święta, bo uważał je za wielką przerwę w nauce i pracy. Ach, jakże okropnie zimny był ten Nowy Rok 1646! 8 grudnia na nowiu chwycił ostry mróz i trzymał cały miesiąc, aż do nowego księżyca. Lód zgrubiał wspaniale, ale nie było wody w rurach, tak że trzeba nam było kupować ją na kubelki po wysokiej cenie. Przez trzy tygodnie byliśmy bez węgla i gdyby hrabia Bridgewater nie zezwolił memu mężowi na wykarczowanie starego i spróchniałego jesionu w ogrodzie, byłibyśmy i bez drzewa.

Jako córka właściciela lasu pokazałam chłopcom, jak ów jesion połupać na szczapy, posługując się piłą, młotem i klinem. Potem dzień w dzień tajało, a nocą mróz chwytał na nowo. Dłużej niż przez miesiąc trwała taka gołoledź, że strach było chodzić. Ale mój mąż prosił, abym wyzbyła się wszelkich lęków - przez wzgląd na syna, który ma być dzielny. 3 lutego wyprowadził mnie, bym posłuchała wojskowej muzyki podczas jakiejś musztry na polach Św. Marcina, ale nie zaszłam dalej jak do naszej furtki, gdzie się pośliznęłam na lodzie, upadłam i nie mogłam wstać. Bardzo się bałam poronić, gdyż -jak mówią - poronienie jest równie bolesne jak poród, jeno że potem nie ma czym się pochwalić. Taka niedola jednak została mi oszczędzona mimo poruszeń dziecka we mnie; nie odniosłam też żadnych widocznych obrażeń oprócz tego, że skrzyłam nogę w kostce. Mój mąż nie pozwolił mi leżeć w łóżku. Prosił, bym owinęła nogę mokrymi szmatami i tak kuśtykała, aż będę mogła znów gładko chodzić. Miało to być nauką męstwa dla naszego syna.

Tego samego dnia, 3 lutego, Mun z powodu braku żywności i prochu dla swojej załogi zmuszony był - po dzielnej obronie - poddać się w Chester na honorowych warunkach. Wy-maszerował ze swymi ludźmi - z łopoczącymi sztandarami, przy biciu bębnow i z zapalonymi lontami; każdy żołnierz miał w ustach kulę i proch w bandolecie. Pozwolone mu było pożeglować do Irlandii i zaciągnąć się pod sztandary lorda namiestnika, markiza Ormonde'a, któremu

król poruczył zadanie pozyskania papistycznych konfederatów do walki przeciw Parlamentowi.

Na terenie Anglii zbliżał się koniec wojny, z chwilą gdy kornwalijska armia sir Ralpha Hoptona się poddała. Stało się to w marcu. Już teraz w wielu częściach kraju prawdziwie miało się wrażenie, że to Irlandia, tak bardzo ludzie zbiednieli. Królewscy żołnierze objedli do głodu wszystkich, u których kwaterowali, a sami ledwo żyli z braku łoża. Byli to desperaci uganiający po kraju. Włamywali się do domów, okradali przechodniów i zabierali bydło na oczach właścicieli. Nawet ich oficerowie rabowali okrutnie, a kiedy jeden z nich zdezerterował, przechodząc na stronę Parlamentu, jako przyczynę swej decyzji podał to, że wobec napływających skarg nie śmiał patrzeć w oczy uczciwemu człowiekowi: było to tak ciężko znieść jak kulę w łeb. Natomiast żołnierze Parlamentu byli znacznie lepiej płatni, więc rzadko uciekali się do łotrstwa. Dlatego też wieśniacy uważali ich sprawę za godniejszą szacunku i poczęli bardziej im sprzyjać.

Król jeszcze raz nawiązał pertraktacje z westminsterskim Parlamentem; ale stawiał wielkie, niemożliwe do przyjęcia żądania. A już szły kłótnie wśród członków Izby Gmin, jakie nagrody w pieniądzu i dostojenstwach dostaną się tym, którzy przyniesli im zwycięstwo. Bo niewiele zamków i garnizonów znajdowało się jeszcze w rękach króla. W kwietniu pan Christopher Milton z żoną przybyli z Exeter, które wreszcie poddało się Parlamentowi. Stracił on całą swą fortunę oprócz domu w Ludgate z intratą wynoszącą czterdzieści funtów rocznie, o którą się ułożył i za to zamieszkał u wdowy pani Webber. Mój mąż dawał mu nieco gotówki, póki nie mógł się jeszcze utrzymać z praktyki prawniczej. W maju, kiedy byłam w siódmym miesiącu, przyszła wieść, że dwór w Woodstock był szturmowany, a król uszedł z Oksfordu przebrany za sługę jednego ze swych dworzan. Udał się do Szkocji, aby tam stawić się do dyspozycji szkockiego Parlamentu. Ze swymi kochanymi Szkotami, powiadał, pogodzi się zawsze po każdej kłótni.

Wówczas Oksford został znowu poddany ścisłemu oblężeniu, a w czerwcu król pisał z Newcastle, zezwalając gubernatorowi na kapitulację na honorowych warunkach: lękał się bowiem o bezpieczeństwo młodego księcia Yorku i swoich siostrzeńców, księcia Ruperta (któremu już wybaczył utratę Bristolu) i księcia Maurice'a. Ale gubernator, sir Thomas Glemham, nie dał się namówić na kapitulację. Generał Skippon otrzymał polecenie zbudowania mocniejszych fortyfikacji na Headington Hill. Również w innych punktach dookoła miasta wzniesiono nowe umocnienia. Początkowo z obydwu stron strzelano wielkimi pociskami. Niektóre z nich, wystrzelone z Oksford, trafiły w samo Forest Hill i w jego otoczenie, a jeden zabił pana Roberta Hicksa, dzentelmena z Nottinghamshire, kiedy grał w kręgle na naszym boisku. Wkrótce jednak postanowiono zaniechać tak niebezpiecznej strzelaniny, by nie narażać starych kościołów i oksfordzkich kolegów na zniszczenie i na sponiewieranie znajdujących się w nich starożytności.

Sir Robert Pye, senior, wysłał list do mego ojca z usilną prośbą, aby dla własnego dobra opuścił dwór i schronił się w Oksfordzie przed rozpoczęciem oblężenia. Wówczas jego syn, pułkownik, mógłby objąć dwór w posiadanie zgodnie z warunkami zastawu. Miał prawo tak uczynić, biorąc pod uwagę, że zaległe procenty nie były spłacone, a główna suma niezwrócona. Dzięki temu jednak komisarze parlamentarni nie zasekwestrują majątku (co w innym wypadku musiałyby nastąpić). Sir Robert obiecał działać, jako dobry sąsiad, na rzecz mego ojca: zabezpieczyć całą jego osobistą majątność w domu i poza domem i wydać mu ją, skoro tylko czasy się zmienią. Na odgłos armat, dochodzący z daleka, mój ojciec pospiesznie opuścił dom i zostawił klucze, by je wręczono pułkownikowi Pye'owi, a sam uszedł do Oksfordu ze wszystkimi domownikami. Odtąd ich schronieniem była otwarta szopa dla bydła w Beef Lane. Tam przebywali - z braku lepszego mieszkania - aż do końca czerwca, kiedy gubernator zdecydował się na kapitulację.

Warunki przyznane przez generała Fairfaxa były wielce wspaniałomyślne. Zezwolił na wymarsz całego garnizonu w liczbie 7000 ludzi z bronią i bagażem. Wprawdzie majątki wszystkich rojalistów ujętych w mieście miały ulec sekwestracji, ale właścicielom wolno było układać się z Parlamentem, na takich mianowicie warunkach, że za opłatą grzywny - nie wyższej niż dwuletni dochód z majątku - tenże majątek miał im być zwrócony; tymczasem zaś mogli w nim mieszkać jako dzierżawcy Parlamentu, jeśli tylko zachowają się spokojnie.

Mój biedny ojciec jednak niewiele skorzystał na tej wspaniałomyślności. W niedzielę, dnia 28 czerwca, w tydzień po podpisaniu warunków kapitulacji, wyjechał z Oksfordu i udał się do naszego dworu. Kiedy zapukał do drzwi, z okna wychylił się jakiś stary człowiek z obrzękłą twarzą i mierząc do niego z pistoletu, zapytał go, czego chce.

Jestem sędzią Richard Powell i to jest mój dom - rzekł ojciec. - A kto zacz?"

Ja jestem Lawrence Farre, sługa sir Roberta Pye'a, seniora - odparł tamten - i to jest jego dom, nie waszmości".

„Czy żadnej wiadomości nie zostawił dla mnie sir Robert Pye, senior, albo jego syn, pułkownik? Lub też pan John Pye?" „Żadnej, panie - odpowiedział służący. - Młody sir Robert przejeżdżał tędy 15 dnia tego miesiąca, bo był w kościele w Halton, kiedy pułkownik Ireton poślubił córkę generała Olivera Cromwella. Ale nie dał mi żadnych instrukcji, jeno bym strzegł tego miejsca przeciw złodziejom i natrętom. Teraz już odjechał ze swoim pułkiem”.

„I chyba okazałeś się godny jego zaufania”, powiedział mój ojciec.

„Myślę, że spełnił jego rozkaz - odrzekł Farre - bo żywa dusza tu nie weszła, jeno cztery osoby z glejtem od komisji sekwestracyjnej hrabstwa Oxfordshire, zasiadającej w Woodstock. A z tych czterech, trzech było pisarków, którzy sporządzili inwentarz twego, waszmości panie, dobytku; czwarty zaś był dżentelmenem, członkiem samej komisji, i żalił się, iż zbyt wysokie ceny postawili na niektóre przedmioty, a wtedy oni je odpowiednio

obniżyli, aby mu dogodzić. Miał z sobą brata, którego nie wpuściłem, bo nie miał glejtu, choć to on prawdziwie był nabywcą tych rzeczy i zabrał je...”

Mój biedny ojciec zawołał drżącym głosem: „Cóż ty mówisz, dobry człowieku? Ktoś nabył rzeczy i wywiózł je?” „O, tak, panie, naprawdę! - rzekł Farre wesoło. - Wyprzątnęli to miejsce do czysta, a ja żałowałem bardzo, że nie było tu mego pana, żeby to nabyć, bo wszystko poszło za psie pieniądze. Był tylko jeden jedyny nabywca, mianowicie pan Thomas Appletree, który kupował na rzecz swego brata. Przecież nikogo innego nie wpuściłem, bo taki miałem rozkaz, by nikt nie wszedł bez glejtu. Na pewno sir Robert byłby chętnie kupił kobierce i krzesła, stoły, łóża, szafy, kantorki, prasy, za taką samą ceną albo i za podwójną: bo wtedy mógłby wydzierżawić dom z większym zyskiem. A bieliznę mógł kupić na swój własny użytek”.

„Powiadacie, że wszystko zabrali? - pytał mój ojciec zdumiony. - Ach, drapieżniki! Jak oni to wywieźli?”

„Czterema wózkami waszmość pana, które też kupili, i tym wielkim wozem, i dwoma starymi powozami. Zabrali też świnię, owce, bydło i trochę drobiu z podwórza, a także ziarno i chmiel, i trochę desek. Ale nie mieli czym zabrać belek; wrócą jeszcze po nie. Ugodzili się na 335 funtów, na co pan Appletree, brat, dał dwadzieścia szylingów zadatku głównemu pisarzowi”.

„Ale kiedy się odbyła ta przymusowa sprzedaż? - zapytał mój ojciec. - Którego dnia?”

„W poniedziałek zeszłego tygodnia - odparł - dwudziestego drugiego dnia czerwca”.

„Ależ to było już po podpisaniu kapitulacji - zawołał mój ojciec - a zgodnie z warunkami lorda Fairfaksa te rzeczy nie mogły być prawnie zasekwestrowane, chyba gdybym odmówił zapłaty za nie!”

„To nie moja wina - rzekł Farre. - Ja dostałem rozkazy i posłuchałem ich, a ten dżentelmen, pan Appletree, był dla mnie bardzo grzeczny i dał mi dziesięć szylingów w prezencie, mimo że byłem srogi dla jego brata. Teraz więc, waszmość panie, idź sobie, bo nie mam tu nic dla ciebie. Dom jest pusty, jeno zostało moje łóżko i garnek do gotowania, a jeśli chcesz złożyć skargę, to znasz chyba drogę do sądu”.

Wartość owych rzeczy, sprzedanych tak po kryjomu, wynosiła w tych czasach wielkiej drożyzny co najmniej 900 funtów. Ale nie koniec na tym. Okazało się, że pod nieobecność mego ojca żołnierze Parlamentu paśli swoje konie w liczbie trzystu na naszych dwóch wielkich łąkach, i to właśnie w porze sianokosów. Ponieważ konie zjadły wszystko, oficerowie ucziwie chcieli zapłacić za tę stratę kwitami, lecz Farre odmówił był przyjęcia kwitów, oświadczając, że mu nic do tego. Teraz zaś pułk już gdzieś powędrował.

Nasze ziemie dzierżawne w Wheatley też były zasekwestrowane i mój ojciec okrutnie się obawiał, że teraz wyjdzie na jaw jego niebaczone postępowanie z tym majątkiem. Tu wypada mi rzec, czego się dowiedziałam ostatnio o tych ziemiach, których dzierżawę (jak już pisałam) mój ojciec niedawno odstąpił

swemu kuzynowi, sir Edwardowi Powellowi, pod zastaw 300 funtów. Właścicielem owej ziemi było Ali Souls College, a mój ojciec je dzierżawił od 1626 roku, to jest od roku mego urodzenia. W 1634 odnowił dzierżawę, lecz nie zwrócił kolegium unieważnionego, starego dokumentu dzierżawy. A w cztery lata później odstąpił tę dzierżawę niejakiemu Richardowi Batemanowi za 200 funtów. Następnego roku, łamiąc sobie głowę, skąd wziąć pieniądze, oddał stary i nieważny kontrakt dzierżawny niejakiemu George'owi Hearne'owi na trzydzieści jeden lat za 340 funtów, a pan Hearne łaskawie odstąpił mu kawałek ziemi za 40 funtów rocznie. Nie był to pomysł uczciwy, ale miał nadzieję, że pana Hearne'a wkrótce spłaci i tym sposobem ureguluje sprawę. Po dwóch latach, pomyślawszy sobie, że czy za konia, czy za stryczek - wisieć trzeba zarówno, poszedł znów do Ali Souls College (które ma długą kiesę, a krótką pamięć) i tam przekupił rachmistrza, by pomieszał dokumenty kolegium. Po czym nie wzmiankując o odnowieniu umowy dzierżawnej w 1634 roku ani o swoich umowach z panem Batemanem i panem Hearne'em, odniósł do kolegium stary i nieważny kontrakt dzierżawny z 1626 roku, który do tego czasu przechował, i prosił o jego odnowienie, co za drobną opłatą nowy przełożony kolegium przyznał mu z ochotą. Nie wiedział bowiem, że dzierżawa już została odnowiona w 1634 roku. Ten to bezwartościowy świstek ojciec oddał znowu w zastaw swemu krewnemu, sir Edwardowi Powellowi, w zamian za 300 funtów. Tak to w sumie uzyskał z owego kawałka ziemi, który nigdy nie był jego własnością, 840 funtów - oprócz tego, co się na nim urodziło.

Zasekwestrowano również naszą wolną własność gruntową w Wheatley. I tu nie obyło się bez kłopotu. Ojciec mój bowiem nie wyjawiał memu mężowi (który na tej ziemi miał pierwszeństwo z tytułu starego długu, prawem zastrzeżonego), że grunta były wypuszczone w zastaw niejakiemu Ash-worthowi na dziewięćdziesięciodziewięćdziesięcioletnią dzierżawę.

I jeszcze nie koniec na tym. Oto całe drewno budowlane złożone na podwórzu w Forest Hill, wartości 500 funtów, to, które kupili, ale jeszcze nie zdążyli wwieźć bracia Appletree, i jeszcze wiele innego budulca leżącego w zagajnikach Forest Hill i Stow Wood, zrabował memu ojcu sam Parlament. Mieszkańcy Banbury wnieśli do Parlamentu pokorną prośbę, uskarżając się, że połowa ich miasta spaliła się i część kościoła i dzwonnicy leży w gruzach, a „przecież jest budulec i deski w domu niejakiego pana Powella, stronnika króla, niedaleko Oksfordu, więc proszą, aby im przyznano ów budulec na remont kościoła i miasta”.

To im natychmiast przyznano. I tak mój ojciec był goły jak bizun. Ponieważ pokłócił się z wujem Jonesem, a Archdale'owie i Moultonowie albo zginęli, albo byli wysiedleni i zrujnowani wojną, nie miał teraz żadnego przyjaciela, do którego mógłby się zwrócić o pomoc. Uznał więc swoje położenie za rozpaczliwe. Nie było rady; brzuch jego wołał: jeść!”. Musiał więc przyjechać do Londynu i żywić się niepytowaną kaszą w Barbakanie.

Rozdział dwudziesty

DZIECKO MI SIĘ URODZIŁO, A OJCIEC ZMARŁ

4 lipca wieczorem, owego roku 1646, siedziałam nad igłą szyjąc płócienną wyprawkę dla mego dziecka. Przez otwarte okna sływał chłodny wiew od północy. W Barbakanie śpiewak wędrowny raczył nas balladą, znaną mi od dzieciństwa:

Król Ryszard Lwie Serce, co władał nad nami,
Niegdyś lwa udusił gołymi rękami.
Księcia Austrii, łotra, wcale się nie lękał,
Jego syna zabił, trzasnąwszy go w szczękę.
Cóż mówić o czynach, które w Ziemi Świętej...

Pieśń urwała się nagle. Podniosłam oczy znad roboty i ujrzałam przed sąsiednią bramą załadowany wóz. Były tam dwa czy trzy kufry, jakieś toboły i trochę sprzętów, a woźnica, ubrany w płaszcz żołnierski, siedział na skórzanym krześle. Dookoła stało dziewięć czy dziesięć osób, przeważnie dzieci, obdartych i zakurzonych. Wśród nich młoda kobieta z twarzą zasłoniętą żółtą maską. Zapytała o coś ulicznego śpiewaka, a ten wskazał na nasz dom. Wtedy woźnica cofnął konia, aż wóz stanął przed naszą bramą. Dwóch ludzi zniosło woźnicę z jego krzesła na ziemię, a kiedy litowałam się nad jego ułomnością, serce mi nagle stanęło, bo poznałam w nim mego brata, Jamesa. A otaczająca go obdarta zgraja była resztą mojej rodziny! Niedowidząc na odległość, nie poznałam ich zrazu: tak dziwnie wyglądali zdrożeni i zakurzeni.

Dopiero teraz dowiedziałam się, jakie nieszczęścia spadły na moją rodzinę podczas drugiego oblężenia Oksfordu. Oto 3 czerwca 1645 roku bardzo wczesnym rankiem wysłano oddział konnicy i oddział piechoty przez East Bridge, by zaskoczyć gwardię parlamentarzystów w Headington Hill. Wpadli na gwardzistów z dobytymi szablami, zasiekli pięćdziesięciu i wzięli blisko stu w niewolę. Wśród atakujących był mój brat, James, który został trafiony w nasadę kości pacierzowej kulą o wadze przeszło jednej uncji. Choć kula utraciła swoją siłę, zanim wbiła się w ciało, jednak James stracił władzę w nogach, bez nadziei na wyleczenie. Drugim wielkim nieszczęściem było, że moi dwaj bracia i Zara zapadli na ospę, kiedy przebywali w zatłoczonym mieszkaniu nad sklepem kapelusznika, przy ulicy Penny-farthing. Ospa nie pozostawiła nadmiernych śladów na twarzach Williama i Archdale'a, ale Zara była tak okropnie zeszpecona, iż odtąd zawsze nosiła zasłonę z białej lub żółtej gazy, by oszczędzić znajomym swego widoku. Raz jeszcze moja matka lamentowała nie bez racji nad brakiem klasztorów - gdyż powiadała, jaki inny oblubieniec, poza

samym jeno Jezusem Chrystusem, Panem naszym, tak ją ukocha, by wziąć sobie za żonę teraz, kiedy wygląda jak trędowata?

Trunco poszła otworzyć drzwi i powitała moich rodziców serdecznie, a potem wpadła do mego męża, by mu rzec o ich przybyciu: „Waszmość panie - rzekła - wybacz, że śmiem cię o to prosić: miej litość dla tych zacnych ludzi nie tylko w imię Boże, ale również przez wzgląd na moją panią. Jest tak bliska rozwiązania, że jeśli okażesz się choć trochę twardym dla jej rodziny - choć oni nigdy cię źle nie traktowali - to może poronić, a to byłoby największym w świecie nieszczęściem”.

Mojego męża zastała Trunco na trawniku za domem, przechadzającego się z fajką i z książką. Cisnął książkę i fajkę na trawnik i rzekł: „Czy twoja pani wie o ich przybyciu? O, bodajby raczej szumowiny wszystkich domów wariatów i zakładów poprawczych zwały się tu do nas! Nie piśnij słowa, a wyprawię ich stąd spokojnie bez jej wiedzy”.

Lecz kiedy przybiegł do domu, już mnie zastał w objęciach mojej matki, płaczącą nad nieszczęściem Jamesa i Zary. Pytania i odpowiedzi biegały między nami jak piłki tenisowe. Cóż więc mógł uczynić innego, jak ich powitać, posłać po jakiś poczęstunek i żałować ich w nieszczęściu? Po chwili, widząc, w jakim są stanie, ofiarował im dach nad głową, dopóki nie doprowadzą swych spraw do lepszego ładu. Był to czas ferii letnich i wszyscy chłopcy oprócz Neda i Johnny'ego Phillipsów mieli przebywać w domach rodzicielskich aż do św. Michała. Mój ojciec patrzył błędnym wzrokiem. Postarzał się przez ten rok i stracił wiele zębów. Zachowanie jego wobec mego męża przypominało pokorę psa, który się boi zasłużonej kary, a gdy miast kija rzucono mu kość, jest szczęśliwy i czołga się po ziemi. Ale moja matka nie przestała być z rodu Moultonów i zachowała dumną postawę. „Synu Miltonie - rzekła - przyznam się, iż ciebie nie doceniałam. Zapewniałam mego biednego Dicka, że nie mamy się czego spodziewać u twoich drzwi, że na darmo będzie cię prosił i narazi nas jeno na upokorzenie. Jednakże on uparcie liczył na twoją wspaniałomyślność, i tym razem miał rację. Wybacz mi, proszę, to moje krzywdzące mniemanie. Bo gdyby mnie ktoś przesłał tak pieprzną odpowiedź jak ta, którą ja ci dałam przez twoją służbę, nie zapomniałabym mu tego do grobowej deski. Szczerze więc dziękuję za twoje wspaniałomyślne uczucia, a póki twój dach będzie naszym, obiecuję, że będziemy cicho siedzieć i ściśniemy się wszyscy, aby ci jak najmniej zawadzać albo i wcale”.

Mój mąż nie odrzekł nic, tylko nakazał Trunco, aby zamiotła pokoje i przyniosła wody dla podróżników. Po chwili wyeksकुzował się i wrócił do swojej książki i fajki. Przez owe trzy lata mej nieobecności stał się niepohamowanym fajkarzem. Bez tytoniu nie zasiadł do pisania, więc jeśli nie mógł nabyć lepszych jego odmian - takich jak Bermudas, Providentia, czy Shallow-Congo - zadowalał się jakimś piekielnym Mundungo. Gdyby zabrakło nawet Mundungo, to myślę, że byłby gotów posiekać konopny postronek i tym nabić fajkę.

Przykry ów zwyczaj tym tłumaczył, że palenie tytoniu lepiej działa na trawienie niż anyżowy ulepek albo napar z kwiatu lipowego, który mu chciałam podawać. Jednakże był to drogi lek, skoro Bermudas kosztowało siedem pensów lut, czyli sumę, która stanowiła dzienne wynagrodzenie robotnika.

Radowałam się wielce na myśl, że mieć będę matkę przy połogu, bo gdyby mój mąż chciał mnie wówczas poddać jakimś próbom nadmiernej wytrzymałości, ona nie dopuści do tego. Wierzyłam, że byłby on zdolny wysłać mnie wozem na pola koło Highgate lub między wiatraki w Hampstead, kiedy najdą mnie pierwsze bóle, abym urodziła bez pomocy babki, pod płotem lub w rowie między pokrzywami - a to nie z braku serca dla mnie, lecz jedynie dla wojskowego ducha jego dzielnego syna. Mówił mi kiedyś, iż dawni Rzymianie dla hartowania swych dzieci mieli zwyczaj kłaść je głowami w zimny strumyk, od czego słabsze ginęły. „No, waszmość panie - rzekła Trunco, która to posłyszała - niechże obcy robią, co chcą, wszystko mi jedno! Ale w Anglii to byłoby uznane za rozmyślnie zabójstwo przez każdy sąd królewski.” Innym znów razem rzekł do mnie zniechęcony, patrząc na mój żywot: Jest takie zwierzę w ryfieńskich górach, poza Rosją, które zwie się rosomak. Ponoć samica jego koci się, wchodząc między dwa drzewa blisko stojące. Dopóty ciśnie swe łono, aż urodzi”. Cóż to miało znaczyć? Czy chciał on zrobić ze mnie rosomaka?

Pamiętam, że miałam wielką ochotę na miód, słodczyce i wszelkie smakołyki. Rzekłam więc któregoś dnia mężowi: „Niedobrze jest odmawiać ciężarnej kobiecie, jeśli ma zachciankę, bo może poronić”. On jednak wysmiał mnie, mówiąc, że powtarzam stare babskie bajdy, i dalej trzymał mnie na żołnierskim wikcie, jeden funt chleba i ćwierć funta sera, do tego sałata i trochę wiśni. Za to nie żałował mi mleka, pragnąc, abym miała pokarm dla dziecka. Trunco zaś potajemnie przynosiła mi kandyzowane, zielone cytryny do przegryzania, co przekładałam nade wszystko.

Mój mąż obiecał mi jako rzecz najwspanialszą, że gdy tylko syn nasz przyjdzie na świat, on uczyni moje imię sławnym na całą potomność, pisząc o tym fakcie przedłużony sonet. Dotychczas trzy kobiety zostały zaszczycone wierszem na ich cześć: włoska śpiewaczka, Leonora Baroni z Mantui, w której, jak się zdaje, był zakochany podczas swego pobytu w Italii, pani Catherine Thomson, stara, pobożna szlachcianka, która dom mu prowadziła, gdy wydalili Jane Yates, ale nie wzięła za to żadnego wynagrodzenia, żywiąc wielką admirację dla jego pism i litując się nad jego osamotnieniem, oraz lady Margaret Ley, żona niejakiego kapitana Hobsona, a córka hrabiego Małborougha, kobieta wielkiego dowcipu, nieco od niego starsza, w której domu był wciąż podejmowany podczas mej nieobecności. To właśnie lady Margaret przekonała go (przez swe zręczne władanie kapitanem Hobsonem), iż niewiasta może bez żadnej niestosowności rządzić płytkim małżonkiem. Przekonała go również swoją szczodłą przyjaźnią, której wówczas najbardziej potrzebował - aby odrzucił całą nurtującą go wzdargę i otworzył przed nią swe serce, tak jak się kwiat otwiera do słońca. Byliby razem tworzyli piękną parę małżeńską, gdyby

nie to, iż była ona w późniejszych niż on latach. Po moim powrocie ostygła wielce w afekcie do mego małżonka, twierdząc, iż wrócił do mnie pies do wymiocin, i setnie go zelżyła za to, że lekce sobie ważył jej przestrogi.

Jak się *odbył mój* poród? Trwał długo, prawie *trzy dni*, a mój mąż zupełnie nie mógł pracować, tak się bał, że dziecko umrze. Wreszcie urodziło się 29 lipca, w dzień miesięcznego postu, około pół do siódmej wieczorem. Była to dziewczynka. Mój mąż nie był tak szalony, aby mnie winić za tę pomyłkę (gdyż uważa, że dusza dziecka i płeć zawarte są *in semine patris*^[41]), ale przez blisko miesiąc był całkowicie niepokieszony i w końcu nie napisał tego sonetu dla mnie. Nadaliśmy dziecku imię Ann - na cześć mojej matki, a także jego siostry, pani Agar - więc litera A, którą zawiesił nad moim wezglowiem była jednak usprawiedliwiona, ale laury chyba nie. Ann wydawała się krępkim dzieckiem i z rysów zadziwiająco podobna była do mego męża (to podobieństwo przetrwało). Wkrótce jednak spostrzegłam, że jedną nóżkę ma o cal czy dwa krótszą od drugiej. Ułomność tę przypisywałam poślizgnięciu się na lodzie, a Trunco mniemała, że gdyby mój mąż zezwolił mi poleżeć nieco, a nie zmuszał do chodzenia ze spuchniętą kostką, dziecko byłoby się urodziło ze zdrowymi nóżkami. Żadna z nas nie odważyła się jednak rzec słowa o tym memu mężowi, który i tak nigdy nie spoglądał na dziecko życzliwie.

Gdy wstałam z połogu, mój mąż nie zgodził się na to, abym szła uroczyście do wywodu w kościele, a nawet w sam dzień urodzenia zabronił babce odmówić zwykłą modlitwę, natomiast nakazał, bym w sercu swoim pokornie dzięki czyniła Bogu, iż dozwolił mi służyć Jego celom. Nie pozwolił też, aby moje dziecko zostało ochrzczone. Oświadczył, że wytrwale przeszukując Pismo, nie znalazł w nim podstaw do owej praktyki chrztu niemowląt; i dodał, iż dopóki go ktoś nie przekona, że taki uczynek jest słowem bożym poręczony, dopóty będzie uważał, iż jest on wprost grzechem. Kiedy rzekłam, że nieochrzczone dziecko w mniemaniu prostych ludzi nie zazna szczęścia, a łącno stać się może łupem szatana, odparł, iż głupi prostaczkowie pleść mogą, co chcą, lecz niewarte to jest uwagi mędrca. Toteż dziecko pozostało nieochrzczone do dziś dnia.

Kiedy już wstałam i chodziłam, mąż mój zażądał, by znaleziono inną kwatere dla tych spośród mego rodzeństwa, którzy nie potrzebują naszej opieki, ich ruchliwość bowiem utrudnia mu skupienie przy pracy. I tak się stało.

Richard, jako prawnik, łatwo znalazł samodzielną pracę, bo nigdy, jak sięgnąć pamięcią, nie pisano tylu petycji, nie sporządzano tak licznych specyfikacji, nie zaprzysięgano tylu świadectw i nie wytaczano takiego mnóstwa spraw sądowych; a stary pan Milton łaskawie pokierował Richardem na tej drodze. James był nieprzysposobiony do jakiegokolwiek profesji lub rzemiosła, gdyż naukę przerwała mu wojna, ale pan Blackborough zatrudnił go w swej bibliotece za skromnym wynagrodzeniem.

[41] w nasieniu ojca (łac.)

Miał uporządkować książki i druki, które leżały w wielkim nieładzie, i sporządzić ich inwentarz. Później zaś James pracował u księgarza. Czytał rękopisy, które mu przynoszono do druku, i oceniał ich zalety. James nie skarżył się nigdy na swoje kalectwo, lecz mówił mało i żadną miarą nie mógł się pogodzić z moim małżeństwem, gdyż istniała wielka antypatia pomiędzy nim a moim mężem. Archdale'a wziął do siebie mój wuj Cyprian Archdale. Wreszcie John i William, którzy mieli wówczas lat piętnaście i szesnaście, a na siłach im nie zbywało, wybrali profesję żołnierską. Około Bożego Narodzenia zaciągnęli się do konnicy parlamentarzystów, a pan Agar polecił ich swemu przyjacielowi, generałowi Iretonowi. Wkrótce pozyskali sobie jego estymę i zostali promowani na oficerów niższych stopni. Słodką moją siostrzyczkę Ann zabrała do Sandfordu ciotka Jones i nie widziałam jej więcej aż do jej wesela, które odbyło się niedawno z niejakim panem Kinastonem. Zara pozostała w domu i troszczyła się o troje najmłodszych: Bess, Betty i George'a. Była teraz żarliwie pobożna. Zupełnie jej nie poznawałam, bo myślała jeno o rzeczach niebieskich - odgadywałam, iż potajemnie należy do papistów tak jak jej kapitan, który zginął w oblężeniu Oksfordu od podmuchu armatniej kuli.

Teraz wypada mi rzec, jak mój ojciec usiłował załatwić swe długi wobec mego męża, któremu dał pierwszeństwo przed innymi wierzycielami. Wyznał, iż tymczasem nie może mu wypłacić mego posagu, ale nie odrzekł się od zobowiązania i przyrzekł uiszczyć przynajmniej część, kiedy ruchomości, tak bezprawnie odebrane przez pana Appletree, będą mu zwrócone. Posłał też do Forest Hill moich braci, Johna i Williama, aby odzyskać srebro zakopane w ogrodzie pod rabatą goździków. Odkopali je, podczas gdy Farre spał, i wrócili z nim bez szwanku do domu. Srebro to sprzedał prywatnie w Cheapside, wyjąwszy moje pamiątki chrzestne, którymi znowu mogłam się teraz cieszyć. Pieniądze ze sprzedaży dał memu mężowi i dołożył mu jeszcze sumę uzyskaną niedawno za wielką ilość łozy, sprzedanej przed wojną pewnemu dżentelmenowi z Berkshire, a także za kwity wystawione przez parlamentarzystów w związku z kwaterunkami i z wypasaniem łąk, których równowartość udało się teraz odzyskać. Tym sposobem z długu 500 funtów pozostało jeno 320 funtów.

Wówczas mój ojciec sporządził dokument wyszczególniając w nim to, co mu z jego własności pozostało, i wysłał go do Komisji Układów z Wierzycielami z siedzibą w Goldsmiths' Hall, dążąc do ugody. Oświadczył, że kiedy sprawa będzie ustalona, a on wpłaci grzywnę, która nie może być znaczna, wówczas mój mąż będzie mógł objąć posiadłość naszą w Wheatley, wartą obecnie 80 funtów rocznie, i tym sposobem odzyska w ciągu czterech lat należne mu 320 funtów. Nie miał odwagi wyjawić, że owa ziemia jest również zastawiona panu Ashworthowi na dziewięćdziesiąt dziewięć lat i że zastaw ten jest o dziesięć lat starszy od zastawu mego męża; ani też, że choć główna suma, pożyczona przez pana Ashwortha, została zwrócona w 1642 roku, aby majątek nie przeszedł w jego ręce, jednakże zaległe procenty wynosiły 400 funtów czy coś koło tego.

We wrześniu położył się mój ojciec do łóżka i już nie wstał, a to ze zgryzoty, z trapiącego go codziennie lęku, że jego kruczki wyjdą na jaw i zniesławią całą rodzinę. W grudniu komisja uznała, że na majątek jego składa się nie tylko dobytek z Forest Hill, skradziony przez braci Appletree, lecz również budulec przyznany przez Parlament mieszkańcom z Banbury, i nie biorąc pod uwagę jego prawnie zaciągniętych długów, nazaczyła mu grzywnę 180 funtów. Jeśli ta nie będzie zapłacona, zabiorą wszystko, co mu pozostało. Wtedy ostatecznie upadł na duchu. Nic nie chciał jeść i usychał z żalu na naszych oczach, leżąc ciągle w wielkiej gorączce i ciężkich potach. Kiedy się zbliżałam do jego łoża, czuł się nieswojo w moim towarzystwie, często lży ronił, oskarżał siebie, że był dla mnie niedobry, i nie dawał wiary moim zapewnieniom, że nie mam do niego urazy ni żalu.

Myślę, że szczególnie trapiło jego sumienie to, iż musiał zaprzysiąc „Narodowe Przymierze”, jako prezbiterianin, zanim mógł zawrzeć ugodę o majątek. Wyraźnie się teraz okazało, że w sercu był papistą. Nazajutrz bowiem po Bożym Narodzeniu, kiedy moja matka i mój mąż byli oboje nieobecni, Zarahaczem przyprowadziła księdza w przebraniu, by odprawił nad nim pewne obrządki, a myślę, że było to ostatnie namaszczenie, gdyż cudownie go to ukoilo. Gorączka spadła i choć słabł z dniem każdym, nie czuł się tak bardzo schorząły i zmarł w wielkim spokoju trochę po północy w dniu Nowego Roku 1647.

Zapisek pośmiertnym przeznaczył memu bratu Richardowi dwór w Forest Hill (choć nie był już jego własnością) ze wszystkim, co należy do gospodarstwa domowego, ze wszystkimi sprzętami i budulcem, oraz domy i ziemie w Wheatley, grunta wolne i dzierżawy (obciążone powyżej wartości, i to cztero- lub pięciokrotnie, ale i tego też nie wyznał) - „poza tym - jak pisał - wszystko, co posiadam w królestwie Anglii i dominium Walii” (co było zupełnym urojeniem). Z tego zapisu ma Richard w pierwszym rzędzie zapewnić dożywocie wdowie, mojej matce, zanim spłaci różnorodne inne długi; między innymi wspomniany był mój posag. Teraz się okazało, że najdawniejszy ze wszystkich zapis na majątku odnosił się do dożywocia mojej matki, w sumie 2000 funtów, danych memu ojcu - kiedy się żenił - przez wuja matki, Archdale'a. Ojciec wówczas ręczył skrytem dłużnym, że zapewni mojej matce tę sumę w ziemi, której roczna wartość wynieść miała co najmniej 100 funtów. Tej czynności jednakże zaniedbał. A co do ziemi w Forest Hill (która też już nie była jego), to przeznaczył ją do podziału pomiędzy swoje dzieci, mianowicie połowę dla Richarda, a resztę w równych częściach dla nas wszystkich. Nazaczył Richarda na egzekutora swojego testamentu, a gdyby on nie chciał podjąć owego trudu, ma się tym zająć moja matka. Zwraçał się z gorącą prośbą, by nie sprzeniewierzono się tej jego woli. Sir Robertowi Pye'owi, seniorowi, zostawia 20 szylingów, aby kupił żalobny pierścień na pamiątkę serdecznej przyjaźni.

Po pogrzebie mego ojca mój mąż nie mógł się już zgodzić na pozostawanie w naszym domu mojej matki, Zary i trojga dzieci, gdyż - powiadał - tyle robią hałasu, że jest zupełnie ogłuszony. Nie mogłam mu tego brać za złe, bo przecież był to jego dom, nie ich. Ale tyle miast i wsi spalono, że Londyn był przeludniony uchodźcami. Ceny, jakich żądano za kwatery, były nadmiernie wysokie, zwłaszcza dla wdów z małymi dziećmi. Wreszcie jednak matka znalazła dwie niechlujne izby w nędznym domu przy pewnej ulicy w Westminsterze, niestety - bardzo daleko od Aldersgate. Obawiałam się, iż odtąd nieczęsto widywać będę moją rodzinę. Opuścili nasz dom 30 stycznia.

Był to ten sam dzień, kiedy Szkoci - w zamian za obietnicę 200 000 funtów i za zapłacenie takiej samej sumy od razu w brzęczącej monecie - wycofali swe wojska z Anglii i dobrowolnie wydali osobę królewską w ręce Parlamentu, choć był to przecież ich król tak samo jak i nasz. Ujęcie osoby królewskiej stało się wstępem do otwartego sporu między Parlamentem a armią. Teraz bowiem, kiedy posłowie - w większej części prezbiterianie - osiągnęli swój cel, byli skłonni rozpuścić armię, a przynajmniej tę jej część, która była odmiennych aniżeli oni poglądów, potrzebowali jeszcze tylko kilku pułków konnicy i piechoty do służby w Irlandii. Ale wojsko po odniesionym zwycięstwie pragnęło jego owoców, a nie samych tylko laurów. Wymagania żołnierzy były następujące: najpierw zabezpieczenie zaległego żołdu i należnych świadczeń dla kolegów, inwalidów wojennych, oraz dla wdów i sierot po poległych czy zmarłych podczas służby. Nie było to wielkie wymaganie, jeśli się zważy, że żołd prostego żołnierza, stanowiący wynagrodzenie za jego twardą i niebezpieczną służbę, wynosił jeno pensa dziennie więcej aniżeli zarobek ostatniego z robotników mego ojca. A chociaż Parlament płacił lepiej niż król, zaległość prostego żołnierza wynosiła nieraz 5-6 funtów, a nawet i 10 funtów. Poza tym w sprawach religii armia żądała zupełnej wolności sumienia, do tego stopnia, że gdyby ktoś zapragnął czcić słońce lub księżyc, jak Persowie, albo nawet cynowy kufel, z którego pije piwo, nikt nie ma prawa mu tego zabronić; owa wolność bowiem miała być jedyną więzią jednoczącą wszystkich. Wreszcie większość żołnierzy pragnęła, by zniesiono Izbę Lordów i aby Anglią rządziła jedna jedyna Izba Przedstawicieli, wybranych przez cały lud, a nie tylko przez obywateli miast samorządnych czy przez właścicieli domów z wolnych miast królewskich.

Parlament próbował załatwić sprawę autorytatywnie, nakazując rozwiązanie większej części konnicy i niemal całej piechoty. Zaległy żołd miał być wypłacony tylko za okres sześciu tygodni, a każdy oficer, który by nie poddał się dyscyplinie prezbiteriańskiej, miał być usunięty i pozbawiony honorów. Uchwalono zaciągnąć nową armię dla służby w Irlandii pod tym samym prezbiteriańskim dowództwem, dając jej wysoki żołd. Ale armia zakwaterowana w Essex wprost odmówiła rozejścia się. Wtedy wysłano do niej generałów Cromwella, Skippona i Iretona jako mediatorów. Kiedy jednak się przekonali, że prości żołnierze pójdą nowo obraną drogą, mianując się ludem i z tego tytułu

rzędcami parlamentu, a wszyscy oficerowie podtrzymują ich w tym z wyjątkiem kilku prezbiterianów (jak pułkownik Richard Graves i pułkownik sir Robert Pye, których między innymi wyznaczył Parlament do czuwania nad osobą króla), wtedy generałowie stanęli po stronie armii. To samo uczynił generał Fairfax. Niewiele ich obeszło - albo może nawet było całkiem po ich myśli - kiedy kornet Joyce z kilku śmiałkami z konnicy ruszyli do Holmby w Northamptonshire, gdzie przebywał król jako więzień, i uprowadzili go z rąk parlamentarzystów. Wiedzano bowiem, iż prebiterianie po kryjomu paktują z królem przeciw interesom całej armii, a zwłaszcza „niezależnych”. Umieszczono jego królewską mość w bezpiecznym miejscu, a wówczas generał Fairfax z armią wolno pomaszerowali w kierunku Londynu.

Parlament, wystraszony, gotów był paktować z armią - bo gdzie miecz, tam i władza. Ale prezbiteriański lud Londynu (podniecony przez generała Massey'a, tego, który tak dzielnie bronił Gloucester przeciw królowi, i przez generała Brownem, „handlarza chrustem”) rozpoczął wrzawę i zmusił Parlament do oporu. Wówczas generał Fairfax poszedł spiesznym marszem na Londyn, jak gdyby na miasto zajęte przez wroga. Dla mego męża były to wielkie chwile: bo oto wyszło na jaw tchórzostwo prezbiterianów, jego wrogów. Śmiało wykrzykiwali swoje hasło wojenne: Jeden za wszystkich!”, ilekroć dochodziły ich słuchy, że armia się zatrzymała; ale na każdą wieść o podjętym na nowo marszu wołali: „Pertraktować! Pertraktować!” Wreszcie poddano Tower generałowi Fairfaxowi bez wystrzału, a on i jego ludzie przemaszerowali przez miasto we wzorowym szyku, uwieńczeni laurami. Parlament okazał się wobec nich uległy i przeznaczył na sprzedaż ziemie biskupie i wiele skonfiskowanych majątków, aby za te pieniądze wypłacić żołnierzom zaległy żołd. Zachęceni powodzeniem, ludzie pytali: „Kimże byli pierwsi parowie Anglii, jak nie pułkownikami Wilhelma Zdobywcy? A kim pierwsi rycerze, jak nie jego kapitanami? A kim szlachta, jak nie prostymi żołnierzami?”

Mój mąż w tym czasie napisał sonet przeciw prezbiteria-nom, nazywając ich gwałcicielami sumień. Twierdził, iż nowi prezbiterianie byli gorsi niż którykolwiek z owych biskupów, których wypędzili. Na różne sposoby okazywał swoją przeciw nim zawziętość. A był to ten sam John Milton, który sześć lat wcześniej napisał:

„Nie mam żadnej obawy, żeby jakikolwiek fałsz czy zmaza mogła się kiedykolwiek pojawić w zgromadzeniu prezbiteriańskim. Śmiem wyrazić pewność, iż każdy prawdziwy protestant będzie podziwiał jego rzetelność i prawość, jego boskie i święte cele. I bacząc na jego zasadę (tak głęboko zgodną z nauką Ewangelii, z wyraźnymi nakazami Pisma), wyzna, iż jest to jedyny prawdziwy ustrój Kościoła”.

Wzięliśmy na służbę niejakiego Toma Tannera, który miał być na posyłki, a także wykonywać przy domu robotę niestosowną dla niewiast. Prawdziwie zwał się Cnotliwy Tanner, lecz mój mąż nazywał go po prostu Tomem. Był ponurym prezbiterianinem, który sam siebie mienił „nędznym pyłem” lub „na pięć stóp

długim robakiem” i nieustannie chwalił Pana za Jego miłosierdzie oraz wywraçał oczy, pokazując białka. Trunco i ja uważaliśmy jego przemowy za wielce nużące, zwłaszcza że opowiadał nam wciąż o swych niedomaganiach - jednego dnia było to ropne zapalenie gardła, drugiego flux hepaticus[42] trzeciego zwyczajne zapalenie płuc, a za każdym razem żądał, byśmy się natychmiast za niego modliły. Gdy mu to pomogło, zaczynał chwalić Boga wniebogłose jak człowiek szalony. Mój mąż bawił się często, pytając Toma Tannera, co słyszał na zgromadzeniu w kościele Św. Anny w Aldersgate, z którego powracał.

Tom odpowiadał: „Waszmość panie, słyszałem prawdziwie pobożne kazanie i byłbym chciał, abyś i ty je słyszała! - A raz dodał: - To kazanie byłoby wyniosło twą duszę ponad twoje nędzne ciało.”

„Co acan gadasz? - wrzasnął mój mąż. - Jak śmiesz ciało moje zwać nędznym? Miej się na baczości! Miej się na baczości!”

„Nie, waszmość panie - rzekł Tom - jesteś bardzo urodziwym i przyzwoitym mężczyzną i Opatrzności bożej to zawdzięczasz, ale ja chciałem rzec, że kazanie...”

„No więc mów! - przerwał mój mąż. - Jaki był tekst?” „Tekst, waszmość panie? Co, jaki tekst? - odparł Tom. -Rzecz była o pewnym królu żydowskim, który wziął kozik, przeciął kartki książki i wrzucił ją w ogień. A nasz pastor, jako że jest wielce wymowny, począł tym samym kozikiem ciąć na paski...”

„Co, tym samym kozikiem! - zawołał mój mąż z udaną powagą. - Jak to, istniał jeszcze ten kozik?”

„Nie wiem, panie, czy to był kozik istniejący czy kozik z Sheffield - rzekł Tom - ale kaznodzieja użył go, by pociąć na paski dzieła tych bałwochwalców, poetów, żyjących teraz wśród nas, którzy zdobią swe wiersze imionami pogańskich bożków i bogiń i lubieżnymi opowieściami o nimfach i w ogóle”.

„Powinien był raczej zachować ten nóż, aby nim obciąć własne uszy, i to tak blisko skóry, jak obcięto uszy pana Marginala Prynne’a, który był pierwszym nauczycielem waszego kaznodziei na jego łotrowskiej drodze”.

„Ach, waszmość panie, że też muszę słuchać, jak ty źle mówisz o tym zbożnym człowieku! - rzekł Tom. - Wielebny Christopher Love, magister, nasz pastor, jest tak wspaniałym kaznodzieją dla wszystkich biedaków męczących się około spraw duszy, bo przemawia z głębi swego serca, Niebu niech będzie chwała!”

„Ej, Tomie - rzekł mój mąż - ręczę, że twój wielebny Kupidyn ciągnie kazanie z takich głębin w swoim ciecie, że słowa wylatują najbliższym wyjściem. Ale gadaj, jak on podzielił tekst?”

[42] szkodliwa dla zdrowia wydzielina z wątroby (łac.)

„Waszmość panie, kaznodzieja wziął swój kozik...”, zaczął znowu Tom.

„Co, ten sam kozik! - zawołał mój mąż, udając zdziwienie.

- Czy już się nie stępił przez ciągle zmaganie się z diamentową twardością poniekórych nieśmiertelnych poematów?”

I tak dokuczał nadal biednemu Tomowi, niedorzecznie naśladowując walijską wymowę kaznodziei i ośmieszając głupotę jego zgromadzenia, aż Tom uznał to za zbyt dokuczliwe i rzucił służbę.

Prezbiteriańską dyscyplinę, którą wprowadzono w Anglii na wzór szkocki i narzucono wszystkim londyńskim parafiom, mój mąż uznał za wielce go krępującą, chociaż dom jego w Barbakanie należał do parafii Św. Jana Zachariasza - co też w pierwszym rzędzie wpłynęło na jego decyzję, by tu właśnie zamieszkać. Pastorem był tu bowiem niejaki William Barton, który miał wobec mego męża pewne zobowiązania wdzięczności. Oto dawny sposób śpiewania Psalmów Dawida, śpiewem gregoriańskim, tak jak napisane były w psalterzu, miał być zniesiony jako papistyczny. Psalmi miały być przerobione na wiersze z napisaną do nich muzyką. W tym celu wielebny Barton przygotował wersję metryczną Psalmów (przeciwstawiając się wersji pana George'a Withera, który melodyjnie, lecz niechlujnie je opracował, i przestarzałej wersji Sternholda i Hopkinsa). Mój mąż wygładził niektóre wersety w jego przekładzie, a także przekonał hrabiego Bridgewatera i innych znajomych wielmożów, aby polecili w Izbie Lordów raczej tę książkę niż przekład wydany przez pana Francisa Rousa^[43], posła, któremu oczywiście sprzyjała Izba Gmin. Lordowie dali się przekonać, a wielebny Barton, szczerze mówiąc memu mężowi, iż „ręka rękę myje”, ochronił go od ingerowania w jego religijne wierzenia. Odpowiadał za jego prawomyślność przed starszyzną sądu parafialnego i, jak myślę, zapewniał ich, że mój mąż wreszcie skończył z pamfletami o rozwodach i zaznaczył zmianę przekonań, przyjmując mnie znów na swoje łono. Mój mąż jednak oświadczył, że nie pragnie się ukrywać za sutanną pastora. Wypisał tedy szczerze wyznanie wiary dla wielebnego Bartona, aby je pokazał sędziom śledczym, aby sformułował je po aramejsku (ponieważ innego języka Zbawiciel nasz nie używał, był to najlepszy język, jakim mój mąż mógł się posłużyć do swych zamiarów). Nie ulegało wątpliwości, iż ten język jest całkowicie niedostępny nie tylko sędziom, ale nawet wielebnemu Bartonowi.

Teraz, kiedy armia panowała nad całą sytuacją, mąż mój nie potrzebował lękać się prezbiterianów. Kiedy przenieśliśmy się w tym roku do nowego domu w High Holborn, na terenie parafii Św. Andrzeja, z całą śmiałością podał się za „niezależnego”.

[43] Nie był to pan John Rous, bibliotekarz oksfordzki, dla którego mój mąż w tym czasie napisał łacińską odę. (Przyp. aut.)

Pewnego dnia przybył do naszego domu pan Agar z generałem Iretonem. Miejscowy pastor wkrótce był powiadomiony o tych odwiedzinach i wnet nauczył się traktować mego męża z respektem. Albowiem generał Ireton, od czasu kiedy ożenił się z córką generała Cromwella, stał się personą wielce ważną. Generał Cromwell tak bardzo go kochał, iż dowiedziawszy się kiedyś, że dwór i miasteczko Ireton w Derbyshire należą do niejakiego kapitana Sandersa, mianował go pułkownikiem, aby łącniej go namówić do sprzedaży tej majątności, którą pragnął dać w prezencie swemu zięciowi. Gdy zaś pułkownik Sanders uparł się i nie chciał majątku sprzedać, odebrał mu znowu pułkownikostwo.

Do nowego domu przenieśliśmy się z następującej przyczyny. W dwa miesiące po śmierci mego biednego ojca przeniósł się również do wieczności zacny stary jegomość, pan John Milton, senior, który nigdy nam nie przysporzył najmniejszego kłopotu, a zostawił memu mężowi w czynszach i innych dochodach sporą sumę, tak iż nie potrzebował już zabiegać o większą liczbę uczniów. Wtedy postanowił znaleźć sobie mniejszy dom i odprawić wszystkich chłopców, zatrzymując tylko najstarszych, którzy już raczej byli dla niego pomocą niż kłopotem. Postąpił tak dlatego, że ostatnimi czasy nie dopisywało mu lewe oko, na skutek zbytniego czytania. Uczniowie, których zatrzymał, mogli mu czytać na głos albo też robili wyciągi z książek, których sam nie miałby czasu przegłądać.

Chociaż polecił wersję Psalmów wielebnego Bartona, dając jej pierwszeństwo przed Psalterzem pana Rouse'a, uważał, iż sam może to zrobić lepiej aniżeli którykolwiek z nich. Gdy pomyślał sobie, iż Psalmy będą śpiewane w kościołach co niedzielę przez całą ludność Anglii przez tysiąc lat albo i więcej, nie mógł się z tym pogodzić, aby przez wzgląd na wielebnego Bartona miał być pozbawiony chwały ułożenia tych wersetów. Nie tylko bowiem miał lepszy słuch do muzyki i harmonii słów niż ktokolwiek inny na świecie - to przyznać muszę bez obawy sprzeciwu - ale był również znawcą języka hebrajskiego i mógł tłumaczyć z oryginalnego tekstu. Pan Agar zachęcał go do tej pracy i prosił go o wzory nowego tłumaczenia, poddając myśl, że jeśli się lordowie i gminy nie pogodzą co do tego, które z dwóch proponowanych tłumaczeń jest lepsze, znacznie piękniejsza wersja mego męża może im być narzucona jako trzecia i najlepsza przez generała Iretona lub kogoś innego.

Nowy nasz dom, który zajęliśmy około św. Michała 1647 roku, był bardzo przyjemny. Stał naprzeciw pół Lincoln's Inn. W tym to domu mój mąż przez dwa czy trzy miesiące pracował nad owym przekładem Psalmów. Rozesłał niebawem tłumaczenie dziewięciu Psalmów wydrukowanych w książce. Jeśli nie znalazł się nikt, kto by narzucił je Parlamentowi, to stało się tak może dlatego, iż były zbyt szlachetne i doskonałe. Albowiem, jak rzekłam memu mężowi, prezbiterianin z natury swojej szuka i trzyma się tego, co *gorsze*, uważając, iż zbytnią zarozumiałością jest kochać się w perfekcji.

W owym roku 1647 ceny wszelkiego prowiantu tak wzrosły jak jeszcze nigdy za naszych czasów - wołowina trzy pensy funt, masło sześć i pół pensa funt, ser cztery pensy funt, świece siedem pensów funt, cukier szylinga i sześć pensów funt - i wszystko inne w tej samej proporcji. Był to czas rozpowszechnionych chorób i niedomagań. Więcej wybuchało gorączek niż kiedykolwiek za mojej pamięci (szczególnie plamista gorączka). W Londynie morowa zaraza, mało słońca, ciągle deszcze, owoce gniły na drzewach, a tak wiele bydła padło od zatrutej trawy, że mleka było tyle co na lekarstwo.

Często mi wówczas dzwoniła w uszach piosenka pod nazwą *Świat się przewrócił do góry nogami*:

Słuchajcie, ludzie, co wam opowiem:

Poległa Gwiazdka, poległa Litość W bitwie pod Naseby. Rzeź była straszna.

Prawdę i szczerłość też tam zabito.

Bigosy, mięsa -Wszystko zabrane,

Skradziony prosiak z gęsią pospołu.

Nie trza się dziwić -Zapłakać trzeba:

Świat się przewrócił głową do dołu.

W listopadzie tegoż roku mój mąż za zgodą mojej matki objął w posiadanie nasze wolne grunta w Wheatley, a pani Elisabeth Ashworth (wdowa po Edwardzie Ashworth, który miał starszą dzierżawę), pozostawiona bez przyjaciół i w ubóstwie wskutek okrucieństw wojennych, pozbyć go się nie mogła. Jak to mówią: trzymać w garści to dziewięć dziesiątych prawa, a on mógł okazać na usprawiedliwienie swój skrypt, który był starszy od jej dzierżawy. Pobierał 80 funtów rocznej dzierżawy, z czego wypłacał mojej matce trzecią część, jaka zwyczajem przypada wdowie, mianowicie 26 funtów, 13 szylingów i 4 pensy. To była cała podstawa jej utrzymania, wyjąwszy parę szylingów miesięcznie otrzymywanych od Richarda i kilka pensów od biednego, głodującego Jamesa. Raz nawet dostała pewną sumę w darze od dawnych dzierżawców i niezamożnych sąsiadów z Forest Hill, którzy żywili do niej głębokie przywiązanie, takich jak Tomlinsowie z młyna, Boysowie z cegielni, drwal Martin, jegomość Mathadee i Tom Messenger, który sam przywiózł wszystkie te pieniądze, prawie 15 funtów, z listem i wyliczeniem. Jako egzekutor-ka testamentu mego ojca, matka była teraz pozywana przez różne sądy z powodu długów wobec wielu osób, wynoszących ogółem 2000 czy 3000 fantów. Żadną miarą nie mogła ani sprostać tym wymaganiom, ani zapewnić przyzwoitego utrzymania dla siebie i Zary, i dla trojga najmłodszych. Była nawet zmuszona do pracy jako wyrobnica. Umówiła się z domokrażcą, że będzie mu robić siatki do kuchennego użytku, do gotowania ziół. Dla handlarza pończochami i bielizną szyła niewieście kacabajki nocne z czerwonej i żółtej flaneli. Dałam jej moje srebro otrzymane przy chrzcie, by je sprzedała na swoje potrzeby.

Mój mąż nic nie mógł zrobić dla mojej matki, gdyż, jak powiadał, musi w pierwszym rzędzie mieć na uwadze swój własny dom i swoich bliskich. Miał

wprawdzie około 250 funtów rocznie, z których wydawał co najmniej 80 funtów na książki do swojej biblioteki, a odkładał około 50 funtów. Ale cóż ja mogłam uczynić? Nie miał obowiązków względem mojej matki, która też nie okazywała mu nigdy należnej grzeczności. Poza tym obiecany mój posag w sumie 1000 funtów nie został wypłacony i nigdy wypłacony nie będzie. A urodziłam mu na jego udrękę kulawą Ann zamiast krzepkiego Artura („niegdyś króla i króla w przyszłości”, jak żywił nadzieję), który by wsławił i uwiecznił jego ród. Czy moje biedne, ułomne dziecko będzie mogło wstąpić w odpowiedni związek małżeński nie mając przystojnego posagu? Takie myśli dręczyły mnie nieustannie i często spędzałam bezsenne noce.

Chowałam zazwyczaj pod spódnicą kawałki sera i wędliny, które sobie odejmowałam od ust, aby je cichaczem dać Żarze, kiedy przychodziła do Lincoln's Inn, by się ze mną spotkać. Mój mąż nie chciał się zgodzić na moje odwiedziny u matki, kiedy bowiem sam poszedł do niej za interesem, uznał, iż powietrze jest tam zanieczyszczone, i obawiał się dla mnie zarazy.

Ale z pomocą mojej matce przyszła Trunco. Znalazł się człowiek uczciwy, który się w niej zakochał, gdyż była jeszcze kobietą przystojną, choć bliską trzydziestki; a tak się złożyło, iż ojciec jego, który pędził okowitę, zmarł, pozostawiając mu swoje alembiki na Ludgate Hill. Człowiek ten nie znał się na pędzeniu wódki, gdyż służył w wojsku, i to przy armatach. Teraz go zwolniono, gdyż stracił ramię od wybuchu wielkiej kolubryny. Toteż Trunco zawiadomiła mego męża, iż go opuści, i poślubiła swego gorzelnika, stawiając warunek, że on będzie panem de nomine^[44], ale ona rządzić będzie interesem i pobierać jedną trzecią część dochodu. Nie należy zapominać, iż zanim przyszła do nas, była żoną browarnika w Abingdon i prowadziła jego rachunki. Tak była zapobiegliwa, że po pierwszych dwóch latach miała już w sakiewce 400 funtów, choć gorzelnia była w smutnym stanie, kiedy ją obejmowała. A już na Nowy Rok 1648, zaraz po ślubie, odstąpiła mojej matce -z wdzięczności (jak sama rzekła) i w nagrodę za dobroć, której doznała, kiedy sama była w potrzebie, dwie dość dobre izby w domu swego męża z opatrzeniem w chleb i piwo. Smutno mi było bez towarzystwa Trunco, ale sama nie pragnęłam dla niej niczego innego jak ślubu i cieszyłam się widząc, że gospodarzy jako jejmość Fairacre, bo tak się teraz nazywała. Nosiła się dostatnio i miała piękną bieliznę i dobrego chłopaczka do posługi. W niedzielę, gdy szła na sumę, kroczył za nią w pluszowym kaftanie, niosąc pozłacany jej modlitewnik.

[44] z imienia, nominalnym (łac.)

Rozdział dwudziesty pierwszy

ZNÓW ROZMAWIAM Z MUNEM

Byłoby zbędnym opowiadać każdy incydent z owego trzechstronnego zatargu, który teraz nastąpił. Król wygrywał dysydentów w armii, w których był mocy, przeciwko prezbiterianom w Londynie i ich szkockim aliantom, a jednocześnie ściągał rozbite swoje siły do ponownej próby narzucenia własnej woli (i panowania biskupów) obu wrogim partiom, gdy ich wodzowie wzajemnie się wytepią. Sprawa biskupów była nadal owym robakiem, który go gryzł: ustąpiłby w czym innym, ale tutaj zapał się mocno. Mówiono, iż któregoś dnia w owym czasie rzucił kość między swoje dwa hiszpańskie psy i śmiał się, widząc, jak wściekle się o nią żarły. Poniektórzy domyślili się, iż w ten sposób chce przedstawić ową kość niezgody, którą rzucił między partie, mianowicie obietnicę swej królewskiej łaski. Mniemano bowiem powszechnie, iż bez monarchii kraj nie będzie mógł się rządzić. Toteż król sam często powtarzał wodzom armii: „Nic nie możecie beze mnie - powiadam wam - rozpadniecie się w gruzy, jeśli was nie podtrzymam.” Były to niespokojne i niepewne dni. Nikt sąsiadowi grosza nie pożyczył i nie śmiał nawet rzec mu „dzień dobry” albo, jutro będzie pogoda”. Tak bardzo jeden nie dowierzał drugiemu.

Nie czytałam żadnych dzienników ani pamfletów i mało zważałam na rozmowy dookoła mnie, tak iż nie mogłabym zgadnąć, co się dzieje w Irlandii z sir Munem, o którym mniemałam, iż służy pod markizem Ormonde'em. Począwszy od pierwszej nocy, którą spędziłam w łóżu mego męża, więzy sympatii między mną a Munem były rozluźnione albo nawet zerwane. Ani mnie już nie nawiedzał we śnie, ani nie wiedziałam, co go spotyka na drodze życia, a ilekroć opadła mnie jakaś niewytłumaczona żalność czy boleść, czy też radość, nie mogłam, jak dawniej, powiedzieć sobie z ufnością: „To samo dzieje się z Munem”.

Zamieniłam się w mieszczkę zaharowaną jak wół roboczy, nawykłą wreszcie do londyńskiego hałasu, fetoru i dymu, plotkującą czasem po próżnicy z sąsiadkami, pozbawioną jazdy wierzchem lub kolasa i w ogóle wszelkiego ruchu. Toteż zaczęłam tyć, jagody mi zbladły, a oczy utraciły blask. Włosy chowałam pod kapelusz lub czepek, tak samo jak inne kobiety w mieście, gdyż w Londynie obfite, swobodnie opadające sploty robią się wstrętne, szczególnie w porze gęstej mgły. Barwnych strojów już nie nosiłam, jako że tego nie życzył sobie mój mąż, ale suknie jeno ciemne i prostego kroju. Rzekł mi, iż jest to przeciwne naturze, by niewiasta nosiła się strojnziej aniżeli mężczyzna. „Dowodem - powiada - pawi ogon, lwia grzywa, gardziel gila”.

„Racja, panie mężu - odparłam, gdyż nauczyłam się sztuki dawania ciętych odpowiedzi - a także rogi jelenie”.

W owych czasach wesołe oczy i świeże lica uważano w mieście za coś karygodnego; u duchownego lub u matrony było to wstrętnym przestępstwem, u wdowy zasługiwało na potępienie wieczne. Nędzny wygląd i zbieleńcze wargi były dowodem chwalebnej bogobojności. Niejednego krwistego łyka zakuto w dyby tylko dlatego, że zbyt świeżo wyglądał w jakiś mroźny poranek. Toteż moja prezencja była w guście ówczesnej mody. Tak mówiłam sama do siebie: Marie - gdyż wciąż jeszcze byłam Marie we własnym mniemaniu - już jesteś na pół drogi do ciemnej mogiły. Wielki czas, byś się stała nabożną i mowę swoją przeplatała zawsze słowami „Jeśli taka wola boża” i „dzięki Bogu” lub: „Baranku boży, zmiłuj się nade mną”. Do kościoła jednak chodziłam teraz rzadko, jako że nabożeństwa były dziwne, a mój mąż nie nakazywał mi uczestniczenia w nich i sam rzadko kiedy brał w nich udział. Powiedział tylko tyle, że zabrania mi przyjmowania sakramentu ołtarza z ręki prezbiteriariskiego kapłana: albowiem owi poważni zwierzchnicy bractwa, wyznaczeni do badania, kto godzien jest sakramentu, stawiają pytania nieskromne, tak uwłaczające czci, iż kobieta uczciwa musi się rumienić. Nie wątpił też, iż chwycą tę sposobność, aby ją wykorzystać przeciw niemu, wyciągając mnie na spytki o jego zwyczajach i mniemaniach.

Moja mała Nan była dzieckiem niemrawym i choć pragnęłam ją ukochać, nie mogłam. Bardzo mnie to dziwiło. Słyszałam bowiem, że natura każdą matkę uczy miłości do dziecka. Byłam wobec niej cierpliwa, ale długo trwało, zanim się nauczyła chodzić; bardzo jej przeszkadzała chora lewa nóżka. Mój mąż był wobec niej opryskliwy, gdyż często płakała w nocy, bo mój pokarm jej nie służył. Kiedy zaś zaczęła szczebiotać, jąkała się. Trunco chciała jej dopasować drewnianą podeszwę dla krótszej nóżki i wyrównać chód, ale mój mąż tego zabronił, przepowiadając, iż z czasem w ciągu lat natura sama wyrówna ten błąd i krótsza nóżka wyrośnie. Jednakże mylił się, bo gdy Nan zaczęła kuśtykać, całe jej ciało krzywiło się coraz bardziej i jedna łopatką podniosła się znacznie nad drugą.

Mój mąż nigdy nie był w stosunku do mnie frywolny ani w słowach, ani w postępowaniu, a sypiał ze mną tylko wtedy, gdy miał wyraźny zamiar spłodzenia dziecka, i to bardzo rzadko. To jego rozróżnienie między godziwym aktem prokreacji a żądzą zmysłowej natury wydało mi się nedorzeczne, gdyż obie te sprawy są w rzeczywistości tak podobne do siebie jak jedno kminkowe ciasteczko do drugiego. Już na parę dni przedtem obliczał astrologiczne horoskopy, by zapewnić szczęśliwy wynik, a potem troskliwie przysposabiał mego ducha muzyką i poezją. Pysnił się dokładnością swych horoskopów. Sztuki tej nauczył się od pana Josepha Meade’a, autora Clavis Apocaliptica^[45],

[45] klucz apokaliptyczny (łac.)

starszego tutora jego kolegium w Cambridge. Śmiał się z takich astrologów-amatorów jak William Lilly, William Hodges czy John Booker. Jednakże przyznawał, że Hodges dobrze się zna na wrózeniu z kryształowej kuli, a Booker na leczeniu za pomocą pierścieni ze znakami niebieskimi i za pomocą amuletów. Lilly'go zaś chwalił za to, że - choć miał marne wykształcenie - jednak napisał książkę *Chrześcijańska astrologia*, która pognębiła prezbiterianów. Uważali oni bowiem astrologię za sztukę diabelską, a nie za prawdziwą naukę. A jeszcze i za to chwalił mój mąż Lilly'ego, że był użytecznym narzędziem w ręku generała Fairfaxa, który zatrudnił go, by utrzymać ducha wśród żołnierzy za pomocą dobrych przepowiedni.

Co do mnie, to nigdy nie miałam cierpliwości wobec gwiazd, które niewątpliwie są stworzeniami chytrymi i złudnymi, a których mowa jest dwuznaczna. Kiedy rzekłam memu mężowi, co o nich myślę, bardzo się tym zgniewał. Wcisnął mi do ręki moje Pismo święte i kazał głośno odczytać tekst o gwieździe, która poprowadziła mędrców do Betlejem. I rzekł: „Ach, niewiasto porywczego i nieokiełznanego języka, czyż nie miarkujesz teraz, iż niebaczone słowo wymierzone przeciw świętej nauce astrologii jest jakoby kamieniem rzuconym krnąbrnie w oblicze samego Boga, kamieniem, co odbiwszy się uderzy w twarz tego, który go rzucił?”

„Prawdziwie żałuję, mężu - odparłam - jeśli mówiłam opacznie. Ale nie znajduję w tym tekście żadnej wzmianki o tym, żeby mędrcy stawiali jakieś horoskopy. Zdaje się, iż jeno szli za swymi garbatymi nosami i ruchomą gwiazdą, tak jak by zrobił każdy nieuczony człowiek”.

To, że mój mąż jeno rzadko ze mną obcował, nie częściej jak dwa czy trzy razy do roku, nie bolało mnie, bo nie miałam natury gorącej i namiętnej. Nie pragnęłam więcej dzieci od niego, wspominając, jak ciężką uczynił poprzednią moją ciążę, i to bez żadnej potrzeby. Karmiłam moje dziecko tak długo, jak tylko mogłam, gdyż to ponoć chroni przed poczęciem.

Stosowałam też w pewnych razach sporysz, którego to lekarstwa używają miejskie niewiasty.

Widziałam, iż sąsiedzi mi współczuli, lecz niektórzy unikali mego towarzystwa dlatego, że nie widywali mnie w kościele; a wiedziano też o tym, że Nan nie była ochrzczona ani ja nie byłam u wyvodu. Nieraz słyszałam, jak rozmawiano za moimi plecami: „Patrzcie, kumo, patrzcie, widzicie tę wytworną szlachciankę, co tak dumnie nosi głowę, a na rękę ma kalekie dziecko - to jejmość Milton!” Albo: „To kajdanki Johna Milтона - nie słyszeliście o panu Miltonie, rozwodniku? Aczkolwiek tak marnie wygląda, nie patrzy jej z oczu Łaska. Będzie się smażyć, kumo, tak, niestety, pewnikiem będzie się smażyć!”

Mój mąż rzadko stosował leki, ale jak wszyscy uczeni, bakałarze i skryby, którzy od długiego siedzenia cierpią na leniwe trawienie, używał kalabryjskiej manny, która zwalnia kiszki. Cierpiał też na wzdęcia, gdyż zawsze jadł w pośpiechu. Sam przyznawał, iż wskutek gwałtownego temperamentu nie mógł ścierpieć żadnej zwłoki, żadnego spoczynku, ani nawet żadnej ubocznej myśli,

dopóki nie doprowadził do końca zamierzonego w danym dniu przedsięwzięcia. Toteż, choć zazwyczaj przychodził w porę do stołu, podczas posiłków wyglądał nieraz jak lunatyk. Zwłaszcza jeśli zapalił się do jakiejś ostrej polemiki, widać było, iż w duchu szaleje. Wyciągał z kieszeni notatnik i naprędce robił w nim zapiski. W takich chwilach jadł nieuważnie a gwałtownie. A przecież wie o tym każdy głupiec, że posiłek spożyty w pośpiechu, a nie we wdzięcznej swobodzie, daje wiatry. Niewiele pił piwa, miodu czy wina, gdyż - jak powiadał - napitek go usypia. Nie pił też wody, jako że splukiwanie wodą pożywienia szkodzi trawieniu. Nie pamiętał jednak o picciu między posiłkami. Ostrzegłam go kiedyś, że jeśli nie będzie obficie przepłukiwał kiszek, to zaczną gnić i spowodują podagrę.

Wyśmiał mnie i zapytał, za co go mam? Za kadź do warzenia sera czy za antałek jabłeczniaka?

„Nie - rzekłam - i nie będę na tyle śmiała, by tu zastosować przysłowie, które mówi: «Nie wystarczy zaprowadzić konia do wodopoju, jeszcze trzeba, aby pił». Czemu żalisz się na bóle głowy, a dzień cały siedzisz skulony pośród książek, przy oknach szczelnie zamkniętych i w takim zaduchu, wśród takich kłębow dymu z fajki, że kiedy się stoi przy jednej ścianie, nie można dojrzeć drugiej?”

„Okna zamykam od hałasu dzieci bawiących się na polach, a tytoń palę dla pokrzepienia się przeciw domowym kłopotom i troskom”.

„Ach, czemuż nie jestem żoną króla Nabuchodonozora!” zawołałam.

„A to czemu, ty półgłówku?”, zapytał.

„Bo Nabuchodonozor - odparłam - był równie szalonym jak i ty skrybą, jednakowoż żywiąc się jak wół trawą miał przynajmniej świeży oddech.”

„Wielkie Nieba! - zawołał. - Czyż nigdy nie zaniechasz miotania oskarżeń, tych kłótni przewrotnej jędzy i tych hardych odpowiedzi?”

Któregoś popołudnia w początkach lutego 1648 roku (był to dzień promienny i ciepły, jakby majowy) czułam takie duszności wewnętrzne, iż z trudem oddychałam. Niech się dzieje, co chce, muszę wyjść z domu na świeże powietrze, chociaż mój mąż, zabierając swych dwóch siostrzeńców na konną przejażdżkę, przykazywał, bym pozostała w domu, gdyż spodziewał się jakiegoś posłańca. Wysłam na pola Lincoln's Inn z Nan na rękach. Ponieważ dzień był piękny, prawnicy i inni obywatele grali tam w kręgle na trawie. Zaledwie wysłam z domu, poczułam się lekka, a gnębiące mnie wapory rozproszyły się. Rozejrzałam się badawczo dookoła i zrozumiałam przyczynę: oto przede mną, o rzut kamieniem, stał sir Mun, wsparty o drzewo, z zapadniętym licem i głęboką blizną od szabli na czole. Nie śledził gry, lecz wpatrzony był uparcie we mnie.

Kiedy szłam ku niemu, zdjął kapelusz i rzekł: „Waćpani Milton, twój pokorny sługa”.

„Niech sługa nakryje głowę - odparłam. - Nie wyglądasz tak zasobnie jak za ostatnim naszym spotkaniem”. Bo jego bogaty strój był stary, zaplamiony i w łątach.

Milczał chwilę, a potem rzekł: „Na Boga, obyśmy mogli oboje mieć więcej szczęścia!”.

Zaczęłam popłakiwać, spoglądając na mój znoszony codzienny kaftan i na brudnego dzieciaka w moich objęciach.

Wtedy wybuchnął namiętnie: „O, Marie, Marie, jak to się dzieje, iż żadne z nas dotąd nie umarło? Jakie mamy wytłumaczenie, by żyć? Jasnym jest i rzuca się w oczy, iż nie kochasz ani swego męża, ani swego dziecka. Niewątpliwie jesteś mimo to dobrą żoną dla godności małżeństwa i uchodzisz za dobrą matkę. Co do mnie, już nie kocham prawdziwie ani króla, któremu służę, ani okrutnej doli żołnierskiej, na którą jestem skazany. Jednakże jestem prawym obywatelem, bo tak nakazuje honor służby królowi, i uchodzę za dzielnego dowódcę”.

„Miły mój - odparłam - umrzeć nie jest łatwo bez dostatecznej racji. Mój czas jeszcze nie nadszedł, ani twój, a kto rzec może z całą pewnością, czy metempsychoza, o której pouczałeś mnie kiedyś, jest prawdą czy ułudą? Póki życia naszego, to jedno wiemy, iż związani jesteśmy w jeden i ten sam snop czasu, choć tkwimy daleko od siebie. Kiedy snop się rozsypie, a my spłoniemy każde z osobna, wtedy może zginiemy dla siebie na wieki”.

„Nigdy! Tak się nigdy nie stanie - odparł żywo. - Mun nie utraci nigdy swej Marie, ani Marie swego Muna. Jednakże ponury cień twego męża nas rozdziela. On jest szatanem, bo inaczej nie wtargnąłby pomiędzy nas, aby w ambitnym pożądaniu zagarnąć to, co mu się jeno prawem należy”.

„Ów szatan oparzył sobie palce - rzekłam. - Grabież nie dała mu szczęścia”.

„O tym nie wątpię - powiedział Mun. - Dlatego też zabrałbym cię jutro do Francji. Wyplynę z Tilbury o rannym przyptywie. Ale prawo jest nietykalne tak jak cnota. John Milton nie kocha ciebie i ty nie odwzajemniasz mu się miłością, a jednak posiadał cię na mocy prawa, któremu żaden uczciwy człowiek się nie sprzeciwi. A on sam nigdy nie wyzwoli ciebie, nie dopuści do tego jego upór skryby. Zapewne w trybunale francuskim uzyskalibyśmy łącznie dla ciebie rozwód, jako że jesteście odmiennej wiary. Poślubiłaś go bowiem według starej liturgii, a on teraz, jak słyszę, stał się żydowskim lewitą. A jednak poślubić cię nie dałoby mi moje sumienie ani twoje”.

„Byłabym prostą ladaczną, gdybym spędziła dzisiejszą noc w jednym łóżu z tobą - rzekłam - skoro zeszłej nocy, wobec szczęśliwych horoskopów gwiazdnych, mój mąż dopełnił swej małżeńskiej woli ze mną. A co z Doli Leke, o której mówią, że jest twoją żoną?”

„Nie mam żony - odparł - jednakże moja sytuacja podobna jest do twojej, gdyż odkąd dowiedziałem się o twym powrocie do męża, przez te ostatnie dwa lata żyłem z wielu kobietami. Nie mógłbym postąpić z tobą tak jak z nimi, nawet gdybyś mi to rozkazała. Gdybyś uciekła ze mną do Francji, nie byłoby to dla używania cielesnego”.

Jakże mogłoby być inaczej? - zapytałam. - Przecież nie ślubowałam czystości jak służebnice pierwotnego Kościoła, ani ty nie jesteś diakonem, by

niewinnie leżeć ze mną w łożu wbrew szatańskim podszeptom. A jednak nie mogę skrzywdzić męża, który na przekór własnej skłonności dał się namówić, by łaskawie mnie znowu przyjąć w swój dom po długiej niebytności. Ani nie mogę wnieść przeciw niemu żadnej słusznej skargi, gdyż nigdy nie podniósł ręki na mnie ani mi nie ubliżył w taki sposób, że musiałby za to odpowiadać przed Bogiem. Żywił też i wspierał mego ojca i matkę i całą rodzinę, kiedy była w potrzebie. I nie ograbił mojej matki z jej wdowiego grosza. Postępuje uczciwie, choć bez miłości - takiej, jaką my znamy, ty i ja. Ma swego diabła, jak powiadasz, diabła prawniczego, tego samego, który nękał Żydów, doprowadzając ich do różnych dziwactw, nawet do obciążania dziesięciną mięty i ruty, lecz temu szatanowi trzeba dać folgę, inaczej będzie szalał i wył i zniszczy i siebie, i nas. Wprawdzie raz i drugi czynił mi wyrzuty bez żadnej racji, ale i ja nie posłuchałam raz i drugi jego nakazów i udałam głupszą, niż jestem. Bogiem a prawdą - by oddać każdemu, co mu się należy - żadne z nas nie skrzywdziło drugiego więcej, niż to zazwyczaj bywa. Nie mogłabym go teraz zostawić i iść za tobą. Wyłby jak irlandzki wilk zraniony w swej godności, jakkolwiek ani mnie nie kocha, ani nie ceni”.

Jednakże krewni jego i przyjaciele nalegaliby na niego, aby wniósł o rozwód z tobą - rzekł Mun. - A to, iż go opuściłaś, zadowoliliby wymagania każdego prezbiteriańskiego sądu ustanowionego w tych czasach. Wierzę, że oddałabyś mu przysługę, przecinając ten węzeł po jego myśli”.

„Miły mój - rzekłam - rozumiesz mnie dobrze, lecz mylisz się co do Johna Milтона. Gdybym go opuściła, by żyć z tobą, istotnie otrzymałby zezwolenie prezbiterianów na rozwód z powodu cudzołóstwa. Ale to, że nie wolno mu było rozwieść się ze mną, kiedy jemu się tak podobało dla moich braków umysłowych i duchowych, teraz zaś byłby przynaglony do porzucenia mnie dla pospolitego cudzołóstwa - to doprowadziłoby go do szału. Po cóż młócimy tę słomę? Nie ma w niej dla nas ziarna. Rozwód nie doprowadzi do naszego szczęścia. Wiemy dobrze oboje i przyznać musimy, że już nie czas, bym przyszła do ciebie”.

Skinął głową i rzekł powoli: „Masz rację, już nie czas. Lecz rozważałem to z tobą dla owej boleści oglądania ciebie i mówienia z tobą jak przez kratę więzienną, jakbym był więźniem, który jutro musi umrzeć. Marie, jesteśmy sobie poślubieni duchem, a noc zaślubin spędziliśmy pod dzwonami, co jest węzłem nierozzerwalnym. Ale co mamy do pokazania? Niemal zazdroścę twemu mężowi tego biednego, żalosego dziecka w twoich objęciach, które dźwigasz jak ciężkie brzemie, nie jak skarb”.

Znów zaczęłam płakać, a kiedy Nan roześmiała mi się w twarz, zgniewało mnie to i takiego jej przyłożyłam klapsa, że jej śmiech zmienił się we wrzask. Wtedy było mi przykro i pocałowałam ją, ale krzyczała tym bardziej, dopóki jej nie ukołam słodyczami.

Nagle było znów między Munem a mną tak samo jak wówczas pod dzwonami: mówiliśmy z sobą jakimś dziwnym, zagadkowym językiem,

wyłącznie naszym. Odkrywaliśmy jedno drugiemu głębokie pojęcia, których sobie żadne z nas uprzednio tak jasno nie uświadamiało, i wyobrażenia tak subtelne, że byliśmy jak duchy, które rozmawiają ze sobą o naturze wiatru i błyskawic. Niebawem trawa pól Lincoln's Inn zniknęła gdzieś w dali, zniknęły wszystkie domy i wszyscy gracze w kręgle, a on i ja staliśmy sami - tak nam się zdało - nad brzegiem zimnej rzeki, gdzie pływało wodne ptactwo i brodziły czaple.

Nie wiem, jak długo trwał ten nasz dyskurs, ale w końcu czar przysł, rzeka odpłynęła, domy wróciły na miejsce, uderzenia kręgli znów się odezwały, a spoza domów dochodził ochryply głos parafialnego herolda, który przy dźwięku dzwonka ostrzegał przed rzucaniem śmieci na ulicę.

Rozstaliśmy się po kilku jeszcze wypowiedzianych słowach, ale bez uścisku ani innego pożegnania: ja spokojnie zabrałam dziecko z powrotem do domu, Mun powlókł się w stronę grających w kręgle. Ostatnie jego słowa do mnie były: „A że w tym życiu już nigdy cię nie zobaczę, to jeno taki zwrot - jak za lat dziecinnych w Sylwestra stawałem w drzwiach (gdy była za minutę dwunasta na zegarze) i wołałem do starszego brata, Ralpa: «Żegnam, bracie kochany, bo jadę w podróż i nie wrócę do ciebie aż w przyszłym roku!»”.

Mój mąż wrócił zmęczony swoją niecodzienną wycieczką. Zapytał: „Nie było tu nikogo? Nie ma dla mnie jakiegoś listu lub innej wiadomości?”.

„Nie - rzekłam - nie mam żadnych wiadomości dla ciebie oprócz tego, że brak nam węgla, a handlarz znów go nie dostarczył, chociaż trzy dni temu obiecał uroczyście przywieźć przynajmniej trzy, cztery korce. Dziecko śpi. Czy jesteś gotów do wieczerzy?”

„Wieczera? - zapytał. - Nie, nie wcześniej jak za pół godziny! Musimy dobrze gospodarzyć światłem dziennym. Mam jeszcze nieco czasu na jeden lub dwa rozdziały niebezpiecznej książki, którą Rada mi dała do ocenzurowania. Ale zjem jabłko. Dalej, żono, pospiesz się: najpierw ściągnij mi z nóg zabłocone buty, a potem przynieś kapie i kwaśne jabłko. Czemu stoisz i gapisz się?”

„Nie ma w domu jabłek, ani słodkich, ani kwaśnych - rzekłam, schylając się, by mu ściągnąć buty. - Zjadłbyś może nieszpułkę?”

„Nieszpułkę! - wrzasnął. - Nieszpułkę! Czyż naprawdę masz taką kapuścianą głowę? Nie wiesz, że ze wszystkich owoców jeno nieszpułka nie sprzyja pracy kiszek, lecz przeciwnie, powoduje największą obstrukcję? Jabłko, rzekłam, zjem jabłko albo nic!” „litości - zawołałam - czy rzeczywiście tak źle z tobą? Taki wesoły incydent ożywiłby twoją komedię w rajach:

Adam

Zjem jabłko. Przynieś mi kwaśne jabłko!

Ewa

Mężu, dobrze wiesz, iż Bóg zabronił nam jabłek. Nie zjadłbyś nieszpułki w to miejsce?

Adam

Nieszpułkę, nieszpułkę, kapuściana głowo! Nie wiesz, że nieszpułki powodują silną obstrukcję? Jabłko, rzekłem, zjem jabłko lub nic. Choćbym miał za to w piekle siedzieć! Czyż nie jestem tu panem? Na całym świecie nic tak nie służy słabemu żołądkowi jak kwaśne jabłko.

Ewa

Więc niech cię piekło pochłonie, żarłoczny brzuchu! Sam sięgnij po nie, choćby to było sodomowe jabłko.

Adam zrywa jabłko. Straszliwy grzmot. Wchodzi anioł z dobytym mieczem.

Adam

O, przebacz, dostojny panie, nie moja była to wina. Kusila mnie ta oto niewiasta.

No, mężu, czemu stoisz i gapisz się? Oto twoje kapcie. Czy mam ci je nałożyć jak dziecku?”

Opanował się i udawał niemowę, powstrzymując się od repliki, ale w sposób tak wyniosły i pogardliwy, jak jeszcze nigdy w życiu nie widziałam. Po czym wsunawszy stopy w pantofle poszedł czytać w swoim gabinecie. Z jego odmierzonych kroków poznałam, iż za moją śmiałość ukarze mnie zupełnym milczeniem przez trzy dni i trzy noce.

Teraz mogłam znów być sama. Ale ów powrót do mego nędznego życia - do tego życia psa z kotem - był tak dotkliwy, że popołudniowe spotkanie z Munem zdało mi się teraz sennym marzeniem. Zaiste szczerze się zastanawiałam, czy to wszystko nie było sennym widziadłem - pajęczą złudą mojej wyobraźni, roziskrzoną blaskiem rosy. Wyznaję, iż przywykłam cieszyć się zmyślonymi dialogami pomiędzy Munem a mną. Teraz nie wiedziałam, czy i dzisiejszy dialog nie był również zmyślony. Jaki miałam dowód, że naprawdę spotkałam go na łące, gdzie grają w kręgle? Ach! - zawołałam. - Komu zależy na rozróżnieniu między prawdą a nieprawdą? Toż to jeno słowa. Pewien student w Trinity College w Oksfordzie prowadził dysputę z uczonym doktorem nad punktem logiki dotyczącym prawdziwości pozorów. Ów doktor rzekł: „Lis machając ogonem, ujrzał jego cień na murze i mniemał, iż to róg: był to róg prawdziwy czy fałszywy?”. Rezolutny student odparł: „Ależ prawdziwy.” Wtedy doktor wpadł na chwilę w furję i krzyknął: „Więc skoro to prawdziwy róg, to zadmij na nim, ty głupcze, ty!” - „Waszmość panie - odparł student - gdybym był lisem, pewnikiem był zagrał i narobiłbym takiego hałasu, że głowa by was rozboleła”.

Mun niedawno powrócił był z Irlandii na mocy artykułów pokoju podpisanych przez markiza Ormonde'a z jednej strony a Parlament z drugiej. Markiz bowiem wolał Parlamentowi oddać miasta i zamki, które trzymał w Irlandii, aniżeli by miały należeć do miejscowych papistów, z którymi się poróżnił. Obawiał się, że mogli oni wezwać hiszpańskich lub francuskich żołnierzy i osadzić w tych fortecach ku trwałej szkodzie naszego kraju. Markiz już pożeglował do Francji, dokąd i Mun pospieszył po spotkaniu ze mną. Wkrótce jednak na wezwanie skonfederowanych katolików - jak się zwali owi

Irlandczycy - powrócił z Francji do Irlandii, aby zawrzeć ścisłe przymierze między nimi a królewską partią protestanckich obrońców hierarchii. Sir Mun wsiadł na ten sam okręt - który jednak wypłynął zbyt późno. Kiedy bowiem wreszcie udało im się wylądować w Cork, we wrześniu 1648 roku, nie mogli już przyłożyć ręki do zamierzeń króla, to jest do wzniesienia walki przeciwko armii angielskiej jednocześnie w Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii.

Po prawdzie owa „druga wojna domowa” już minęła ostatecznie. Na ulicach Londynu były wprawdzie rozruchy i zbiegowiska, rozlegały się grzmiące okrzyki: „Dla Boga i króla Karola!”, i wystrzały z muszkietów, które napęniały mnie wielką obawą. Ale wojska zakwaterowane w Whitehall i w okolicy Charing Cross okazały się godne powierzonego im zadania stłumienia rozruchów. Rebelię w hrabstwie Kent krwawo stłumił generał Fairfax, walijską zaś generał Cromwell w Pembroke. Szkocka armia prezbiteriańska, zaproszona przez towarzyszy angielskich do przejścia granicy, uległa generałowi Cromwellowi i Lambertowi w trzydniowej bitwie pod Preston. Colchester w Essex, ostatnie miasto królewskie, jakie się jeszcze trzymało, skapitulowało pod koniec sierpnia. Niemniej, kiedy król już był więźniem armii i przewieziono go z wyspy Wight do pałacu w Windsor, skąd ucieczka była niełatwa, w Irlandii znów dobyto szabli, i to w obronie sprawy już przegranej.

Mój mąż wielce się radował zwycięstwem pod Preston, gdzie 8000 angielskich odszczepieńców rozgromiło trzykrotnie większą liczbę szkockich prezbiterianów. A przyszli tu, aby (jak powiadali) „obalić ową bezbożną tolerancję ustanowioną przez Parlament wbrew Przymierzu”. Twierdził on, iż hańba dwóch wojen biskupich została wreszcie wymazana i był teraz dowód, iż podczas gdy doskonała wolność sumienia daje żołnierzom moc do walki rozumnej i do koleżeńskiej miłości, to narzucona dyscyplina prezbiteriańska ogranicza, ogłupia i tłumi nawet najbardziej wojowniczego ducha. Rzekł mi też, że Szkoci w przeddzień bitwy wielce osłabili swoje siły, usuwając wszystkich oficerów niedoskonale prawowiernych, między którymi byli ich najzdolniejsi i najśmielsi dowódcy, a uczynili to dlatego, iż obawiali się, że ściągną dopust boży na wszystkie szeregi.

Szkockich jeńców sprowadzono do Londynu i sprzedano ich jako niewolników faktorom plantatorów z wysp Barbados po pięć szylingów od głowy[46].

[46] Walijskich jednak jeńców, pojmanyh w Pembroke, generał Cromwell sprzedał po jednym szylingu od głowy. Dziwne to jest, że człowiek, który sam pochodził z Walii, uznał, iż jeden Szkot jest wart pięciu Walijszyków. (Przyp. aut.)

Matka moja serdecznie się uśmieła, patrząc na tych biedaków nagich i parszywych, jak maszerowali ulicami miasta: mówiła, że ten, kto zaprzedał własnego króla w niewolę, sam nie zasługuje na nic lepszego. Mój brat, James, litował się nad nimi, mniemał jednak, że plantatorzy z Barbados okażą się lepszymi panami, niż byli kiedykolwiek ich obłąkani lordowie i pastorzy. Podczas ostatnich zamieszek bowiem plantatorzy tak byli dalecy od bratobójczych waśni, że kiedy jeden drugiego nazwał „kawalerem” lub „okrągłym łbem”, uważano to za wielką obrazę i dla zadośćuczynienia musiał wydać obiad ze świniną i indykiem dla wszystkich, którzy obelgę zasłyszeli.

(Lecz nawet na tych rajszych wyspach ostatnio zapanował zamęt. Wielu młodych rojalistów angielskich tam zbiegło, a dwóch panów z Devonshire opanowało wszystkie wyspy w imieniu króla, tak iż Parlament musiał wysłać flotę, żeby je odbić. Poniektórzy nigdy nie wiedzą, jak się dobrze mają ani jak strasznym pożeraczem publicznych skarbów i rodzicielem nieszczęść wszelakich jest wojna domowa).

Rozdział dwudziesty drugi

PRZYGLĄDAM SIĘ STRACENIU KRÓLA

Mój mąż zadedykował lordowi generałowi Fairfaxowi pochwalny sonet, w którym go prosił, aby - gdy wojnę zakończy i łeb urwie hydrze nowej rebelii - przyłożył ręki do nowych zadań, to jest do zreformowania angielskich rządów. W ten sposób oczyściłby dobrą wiarę narodu z haniebnego piętna publicznego oszustwa, aby już nigdy nie powstała nowa okazja do rebelii. Jednakże ów sonet oraz metryczna wersja Psalmów były jedynymi wierszami, jakie teraz napisał, a wielki swój zamysł o utworze *Adam wygnany z Raju* odłożył na bok. Pewnego dnia zapytałam go, z jakiej to przyczyny nie podejmuje tej pracy na nowo, skoro wierzy, że stanie się ona podstawą jego nieśmiertelnej sławy. Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Dopiero zakpiłam z niego, mówiąc: „Z tym poematem jesteś, mężu, jak św. Jerzy - zawsze na koniu, lecz nigdy w drodze!”.

Wówczas wybuchnął wielce podniecony: „Boski poemat, taki jak ten, powstać może jeno w czasach podniosłych i pełnych dostojeństwa, co się tyczy stosunków społecznych, i pod piórem poety, który czuje się szczęśliwy w swoim domowym zaciszu. Jak mogę pisać, kiedy w Parlamencie gadają łobuzy, opłacane łajdaki szczekają bzdury z wyniosłości swych prezbiteriańskich pulpitów, a mnie Bóg skarał tak bezużyteczną i swarliwą towarzyszką jak ty? Już to samo wystarczyłoby, bym się wyrzekł Boga, gdyż uwierzyć nie mogę, abym nie zasłużył na nic lepszego”.

„Oj, mężu - rzekłam - jesteś niezrównany w swej cierpliwości jak sam Hiob. Toteż ufam, iż jak Hiob doczekasz się nagrody i wyleczysz się ze swych wrzodów. Za jedno możesz już dziękować Bogu, że nie masz w swym łonie dziecka, które wybija hołubce, tak jak u mnie”.

Były to bowiem ciężkie dla mnie czasy z ciągłym czkaniem i wymiotami przez całą wiosnę i lato bez przerwy aż do początku października. Było to bardzo żywe dziecko, nie takie jak Nan, która leżała w moim łonie jak martwa.

Mój mąż, raz zawiedziony w nadziei, że zrodzi wielkiego wojownika, porzucił już ten zamysł. Ale podniecił go horoskop narodzin, który wyprowadził zgodnie z prawidłami i praktyką Korneliusza Agryppy z dodatkami niejakiego Valentine'a Naiboda i ustalił na noc, w którą się uroczyście ze mną ułożył. Spodziewał się, iż tym razem prawdziwie spłodzi syna, który będzie sławnym wróżbitą, Merlinem w dziedzinie matematyki. Toteż ozdobił mój pokój znakami zodiaku i planet i dziwnymi wzorami matematycznymi, z których nic nie rozumiałam. Mniemał, że nie potrzebuję ich rozumieć, zważywszy, iż oddziaływać będą na mego syna poprzez moje oczy. Na tej to pracy spędził cały miesiąc albo i więcej, dopóki sprawy nie ustalił ku pełnemu swemu zadowoleniu, usuwając tymczasem na bok inne prace. Zmienił też mój sposób żywienia, nakazując, bym jadła tyle wodnej rzeżuchy, ile tylko pomieści mój

żołądek. Bo w jakimś starym poemacie powiedziano, iż rzeżuchą wodną żywił się Merlin. A także (nie wiem czemu) jeść miałam rybę i jaja zamiast wołowiny i boczku.

Jednakże i tym razem tylko początkowa litera ostała się przy narodzeniu. Dnia 25 października 1648 roku (był to także dzień postny) o godzinie pierwszej nad ranem urodziła się - zamiast Merlina - moja druga córka, Mary, która jest tak wyraźnym moim powtórzeniem, iż mogła powstać z dzieworództwa. Mary jest bystra, samowolna, zwinna, prawdziwy Turek dla swych towarzyszy zabaw. Już teraz, choć ma zaledwie trzy lata, kiedy piszę te słowa, widać, iż będzie miała czuprynę równą mojej. Mój mąż bardzo źle przyjął drugą córkę. Nie mógł jej nic zarzucić oprócz tego, że jest płci niewieściej.

Niemniej oskarżał mnie, iż z zawziętością sprzeciwiałam się jego życzeniom i zamysłom.

W owym czasie zaczął go gryźć nowy robak. Przekonał się bowiem, że w Europie takim uczonym jak Vossius, Grotius, Heinsius i Salmasius schlebiają i kłaniają się możni tego świata, czcząc ich tak, jak się czciło poetów w czasach Petrarcki. Podniecony ambitnym pragnieniem, aby Miltonus był uznany za największego uczonego swoich czasów, pisał jednocześnie trzy różne książki, z których każda wymagała wielkiego trudu i wiedzy.

Jeśli chodzi o prądy panujące w życiu publicznym, to te odpowiadały jego umiłowaniam. Był niezmiernie rad ze sposobu załatwienia porachunków „niezależnych” w armii z prezbiterianami na terenie Parlamentu. W dniu 6 grudnia tego samego roku pułkownik Pryde (który rozwoził piwo, zanim został promowany na oficera) wkroczył na czele swoich ludzi do Izby Gmin ze spisem nazwisk w rękę i wyrzucił wszystkich posłów, którzy byli prezbiterianami albo też z innych względów nie dogadzali armii. Więc jak teraz wyglądało „Narodowe Przymierze”, na które cały kraj musiał przysięgać, aby się przypodobać Szkotom? Było wyrzucone na śmietnik jak przestarzały almanach. Między usuniętymi posłami byli: sir Robert Pye, senior, sir William Walter (niegdyś bohater armii, zwany „Wilhelmem Zdobywcą”), generał Massey, obrońca Gloucester, pan Prynne, męczennik z obciętymi uszami, i inni równie wysokiej rangi. Targowali się oni z królem o warunki nowego traktatu (zwanego potocznie traktatem w Newport) i chcieli mu przyznać więcej, aniżeli którykolwiek pułk w armii uznałby za słuszne. Wśród wojska, gdzie zwycięstwo podziało na żołnierzy jak dobre piwo, mówiono teraz otwarcie, że „kto dobył szabli przeciw królowi, pochwę musi rzucić w ogień”.

Wtedy pozostali członkowie Parlamentu, stronnictwo zwane „Kloc” lub „Kadłub”, które przystało do „niezależnych” i sprzyjało armii, pchnęło naprzód swój śmiały zamiar. Chcieli zamienić Anglię w republikę i w tym celu ośmielili się stawić króla przed sąd, zarzucając mu spiskowanie przeciw własnemu poddanym. Generał Cromwell tak postawił sprawę, że każdy członek Parlamentu miał czuć się w swym sumieniu zwolniony z obowiązku wierności wobec króla. Wstał i oświadczył uroczyście, że jeśliby jakiś poszczególny

człowiek z własnego popędu wniósł tę sprawę, byłby najpodlejszym zdrajcą. Skoro jednak Opatrzność i konieczność ich do tego zmusza, to można ufać, iż wszechmocny Bóg pobłogosławi ich obradom. Dzień, w którym zarządzono sąd nad królem, wypadł równo w siedem lat po owym dniu, w którym tenże wkroczył do Parlamentu z żądaniem wydania pięciu posłów, którzy wystąpili przeciw niemu.

„Tak, Parlament to towar nietrwały - rzekła moja matka, która przychodziła do mnie w odwiedzinach po południu w czasie przechadzki mego męża i przynosiła mi wiadomości z Westminsteru - po roku lub po dwóch Parlament kiśnie i zaczyna śmierdzieć. Ten nasz tak śmierdzi, że czuć go aż w niebie”.

Ów rok 1648 był rokiem dziwnym i smutnym. Styczeń minął prawie bez mrozu i wiatru, a słońce uśmiechało się do nas przymilnie i bez przerwy, tak że drzewa i krzewy pączkowały, a agrest w naszym ogrodzie pokrył się listkami. „Miło na to patrzeć - powiada do mnie Trunco - ale zapłacimy za to później albo też nie jestem gospodarską córką, co się zna na pogodzie”. Wiosna zaczęła się przyjemnie, lecz nagle w końcu kwietnia chwyciły straszne mrozy, od których zbyt ufne młode pędy szerniały i opadły. Na wsi mróz zwarzył żyto w kłosach i wiele innego zboża również. Lato było nadzwyczaj wilgotne. Padało niemal codziennie, a czasem wprost ulewnie. Siano zgniło, a zboża legły. To, co można było zżąć, i tak nie wyschło, lecz porosło w mendlach, a to, co pozostało niezżęte, zgniło, a nie dojrzało, i, uduszone przez chwasty, pokryło się śniecią lub pleśnią. Lato przekształciło się w zimę z krótką jeno przerwą jesiennego słońca. Nieliczne owoce, które przetrwały przymrozki, teraz gniły żałośnie na drzewach. Cieszyłam się, iż memu ojcu oszczędzone były wysiłki i troski takiego roku. Gdy przyszła fala drożyzny w okresie świąt Bożego Narodzenia, ceny na naszym rynku podwoiły się w porównaniu do dawnych; wołowina trzymała się w cenie 4 pensów za funt, masło 8 pensów za funt, ser 5 pensów, pszenica 8 szylingów za buszel, cukru nie było na lekarstwo.

Potem nastąpił bardzo nieprzyjemny, czarny Nowy Rok, tym straszny, że sądzono króla. Wielu przywódców narodowych cofnęło się przed tym okropnym przedsięwzięciem: wszyscy panowie, którzy jeszcze zasiadali w Izbie Lordów; a także lord generał Fairfax i sporo członków Izby Gmin, mimo iż pułkownik Pryde ją przetrzebił. Wśród nich był radny miejski Pennington i generał Skippon oraz inni dzielni dowódcy z ostatniej wojny. Ale generał Cromwell z Iretonem, swym zięciem, i panem sierżantem Bradshawem oraz pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu innymi śmiałkami parli nadal do ukończenia tej sprawy, choć nie było precedensu w historii Anglii, by stawiano króla przed sądem pod jakimkolwiek zarzutem, a już nie do pomyslenia było oskarżać go o najwyższą zdradę.

Generał Ireton przyszedł do nas następnego dnia po owych rugach, to jest 10 grudnia, i uprzejmie zapytał mego męża, co to za skrypty trzyma w ręku. Mąż mój odparł, iż od dawna już jest pogrążony w wielkim dziele, niejednokrotnie przerywanym, mianowicie w *Historii Anglii od czasów najdawniejszych*, a także

w innej pracy - w obszernym zbiorze słów łacińskich z odnośnikami do miejsc, gdzie ich użyli najwięksi pisarze; w ten sposób powstanie pełny słownik. Poza tym pracuje jeszcze nad trzecim dziełem pod nazwą: *System teologii, czyli metodyczny wykład doktryny chrześcijańskiej*.

„Są to prace olbrzymie, głębokie, niezmiernie ważne i zaszczytne - rzekł generał Ireton - i życzę waszmości szczęśliwych wyników tych mozolnych poczynań. Czy jednak nie mógłbyś odłożyć ich na bok na kilka tygodni, by zająć się sprawą pilną? My, którzy dzierzemy teraz władzę, potrzebujemy twego pióra, jako najmocniejszego i najodważniejszego w Anglii, aby usprawiedliwić powziętą decyzję skazania Karola Stuarta na karę śmierci. Jeśli się dobrze wywiążesz ze swego zadania wobec nas, biorę to na siebie, abyś był wynagrodzony wedle zasług. Jest to bowiem wielce szlachetne i potrzebne zadanie”.

„Nie piszę pod niczyj dyktat - odparł mój mąż. - Jednakże jeśli wam trzeba pamfletu o sprawowaniu władzy przez króla lub jego zastępców i o tym, jak winni oni zdawać sprawę przed ludem, który są powołani sądzić, napiszę o tym z taką samą chęcią, z jaką - ufam - wy czytać będziecie. Wierzę wraz z wami, że kto ma władzę, ma i prawo zażądać rachunku od niegodziwego króla, a poznawszy go i osądziwszy, zdjąć go z urzędu lub nawet ściąć. O tym poucza Pismo św., jak to widzimy na przykładzie Aoda i Eglona albo Samuela i Agaga, albo Jehu i Jehorama. U Greków i Rzymian zabicie tyrana było otwarcie uznawane za czyn obywatelskiej cnoty i dokonano go ze sto razy. Czyż zachowały się wśród greckich wspomnień milsze imiona nad Harmodiusa i Aristogitona? Albo nad imiona obydwu Brutusów wśród Rzymian? Bez wątplenia Juliusz Cezar, którego uśmiercił drugi Brutus, mniej srogim był tyranem niż którykolwiek z jego następców w długim szeregu imperatorów - i zasłużył sobie na litość z wielu względów. Niemniej był tyranem i Brutus dopełnił chwalebного czynu, a to tym bardziej, iż Juliusza miłował jak drugiego ojca. Powracając do naszych własnych dziejów, aby zacząć od historyka Gildasa”...

Tu generał Ireton, który naglony był czasem, poparł mego męża i rzekł wyraźnie, iż nie ma potrzeby namawiania lub zachęcania go do czynu, do którego się czuje i zdolny, i ochotny. „Ale - dodał - niechże waszmość pan szybko przyłoży ręki do dzieła, gdyż zapewniam, że postępowanie z królem rychlej się skończy niż sprawa hrabiego Strafforda i arcybiskupa Lauda”.

Toteż mój mąż mozolił się nad tą pracą bardzo wytrwale, odkładając wszystko inne na bok, dopóki jej nie dokona. Odniósł ją drukarzom w ów nieszczęsny dzień 29 stycznia 1649 roku, w którym sędziowie wydali na króla wyrok.

Król zdawał się niezmiernie zdziwiony, gdy stanął przed trybunałem w Whitehall. Zrazu lekce sobie ważył całą sprawę. Nie chciał też zdjąć nakrycia głowy, jak tego wymagała cześć dla sądu. Spierał się drwiąco z panem sierzantem Bradshawem, który przewodniczył sądowi (zgromadzonemu w

Malowanej Sali). Twierdził, iż niedorzecznością jest, by króla sądzeni jego poddani. Kiedy pan Bradshaw zapytał, czy uważa się za winnego, czy też nie, odparł, iż zanim da odpowiedź, muszą mu wyjaśnić, z jakiego artykułu i z jakiej racji ma stawać przed tym nowym trybunałem. Okazał się tak opornym, iż lord przewodniczący rozkazał sierzantowi „wyprowadzić więźnia”. Król tedy wyszedł, nadal spór tocząc. Postawę swą oparł, jak mówiono, na prawie i obyczaju angielskim, a także na słowach Eklezjasty: „Gdzie słowo króla, tam i władza; a komuż wolno mu rzec: co czynisz?”.

Kiedy mój mąż usłyszał o takiej obronie, parsknął jak koń i powiada: „Co się tyczy tekstu w księdze Eklezjasty, prorok tu stawia pytanie, lecz nie raczy odpowiedzieć. Tak samo gdy Psalmista zapytuje: «Dlaczego poganie z taką złością się swarzą?» - sprawa pozostaje niewyjaśniona. Jednakże na owo pytanie Eklezjasty bogobojny człowiek z miejsca odpowie: «Ja sam rzec mogę królowi: Co czynisz?» A co do drugiej sprawy, to ci, którym powierzono ujęcie praw i zwyczajów angielskich, nigdy nie stanęli przed tak rzadkim i niepospolitym zdarzeniem, by król niecnie wszczynął wojnę przeciw własnemu Parlamentowi i narodowi. Jeśli się jednak odważył tak uczynić i łamiąc przysięgę, zdradził swój naród, to musi być postawiony przed oczy każdego rozsądnego obywatela”.

Skoro król jegomość nie chciał się bronić, groziło mu, iż przez upór swój da dowód, że inkryminowaną zbrodnię popełnił i do niej się przyznaje. Nadal się spierał, twierdząc, że trybunał nie ma nad nim władzy, i znowu go wyprowadzono z sali.

W jego nieobecności świadkowie ze wszystkich części królestwa zeznawali o różnych jego postępkach zmierzających do wojny, poczynając od wzniesienia sztandaru. Na trzeci dzień przywołano króla i pozwolono mu przemówić we własnej obronie; nie zgodzono się jednak, aby kwestionował uprawnienia trybunału. Król przemówić nie chciał, lecz zgłosił prośbę, by mógł obradować z obu Izbami przed odczytaniem wyroku. Tej prośbie odmówiono, jako zmierzającej do zwłoki. Poza tym w dniu Nowego Roku Izba Lordów przestała istnieć, a Izba Gmin - czy raczej to, co z niej pozostało, zaledwie pół ćwierci całości - ujęła całkowitą władzę we własne ręce.

Wówczas odczytano wyrok, to jest, że „wymieniony Karol Stuart, jako tyran, zdrajca, zabójca i wróg narodu pozbawiony zostanie życia przez odrąbanie głowy od tułowia”.

Król tym razem byłby mówił, lecz czas już nie był po temu, jako że od chwili wyroku nie miał głosu, będąc nieboszczykiem według prawa. Nie uczyniono więc zadość jego prośbie i został wyprowadzony.

Taka to nastąpiła żalosna odmiana w doli króla jegomości, który zaledwie kilka dni przedtem myśl miał zajęłą troską o wirydarz z melonami przy królewskim dworze w Wimbledon. Miejsce to, jak powiadał mój mąż, było wielce starannie przekopane i nawiezione, i pięknie oporządzone dla uprawy melonów muszkatowych i innych odmian, obrzeżonych grzędami kwiecica i wonnych ziół, tak iż ceniono je na 300 funtów. Królowi jegomości nie było

pisane kiedykolwiek jeszcze skosztować dojrzałego, słodkiego melona ani zdjąć swym srebrnym nożem aksamitną skórkę z delikatnej żółtej brzoskwini, zwanej „melokotona”, za którą przepadał. Ale jeszcze nie wierzył, by to wszystko było czymś więcej jak odegranym teatrum, aż do chwili, gdy jacyś żołnierze puścili dym z fajek w jego stronę, kiedy wychodził ze strażą z Malowanej Sali, a żaden oficer im tego nie wzbroniał. Ponieważ przez całe życie nigdy go to nie spotkało, teraz zrozumiał nagle całą grozę swego położenia. Jego żołądek bowiem był równie uczulony na zapach tytoniu jak ongiś żołądek jego ojca, króla Jakuba, który napisał rozprawę przeciw owemu nałogowi.

Tego dnia wolno było królowi pożegnać swoje dzieci, księżniczkę Elżbietę i księcia Gloucester; inni byli nieobecni. Księżniczka gorzkie łzy ronila, gdy jej król rzekł, co mu grozi. Ostrzegł też małego księcia (nie wierząc, by kiedykolwiek ogłoszono rzeczpospolitą), aby nie dał się koronować w miejsce ojca. Ograbiliby bowiem swego starszego brata, księcia Walii z praw pierworództwa, i w końcu sam dałby głowę. „Wpierw dałbym się poszarpać na strzępy!”, odparło dziecko.

Na drugi dzień, a był to wtorek, mój mąż zerwał się jeszcze wcześniej niż zazwyczaj i pół godziny po piątej wszedł do mojej izby. Prosił, abym wstała i włożywszy ciepłe suknie poszła z nim do Westminsteru, gdzie ujrzymy widok dotąd w Anglii niebywały. Musimy tam być wczas, zanim się zbiegnie ciżba. Wzięłam ze sobą małą Mary, by ją nakarmić po drodze. Idąc ciemnymi ulicami w kierunku Westminsteru, zagryzaliśmy chleb z serem. Noc była jasna, zimna i mroźna, a mąż mój zapomniał na chwilę, iż nisko ceni mój rozum, i z dumą rozprawiał o naszej angielskiej ojczyźnie: że gdy odrzuci ową szatańską zmorę monarchii i zerwie się z uspienia a przetrze oczy, ujrzy się wolną i wielką - tak, o wiele większą niż rzeczpospolita ateńska lub rzymska mimo ich wspaniałych szeregów dzielnych dowódców, uczonych mędrców, rozumnych doradców i znakomitych poetów. Rzekł, iż starożytnym nie dostało dwóch rzeczy szczególnie: po pierwsze - mieli fałszywą i złudną religię, a następnie - dobrobyt ich zależał od przymusowej pracy niewolników. W Anglii zaś niewolnictwo i pańszczyzna są dawno zniesione i każdy tu jest wolny, chyba że się ograniczy i zwiąże własnym szaleństwem. Potem wpadł w ekstazę mówiąc, jaki jest jego własny udział w tej wspaniałej rewolucji, jak on piórem utrwali to, co miecz wykuł, i jak setki pokoleń pamiętać będą i opiewać, iż on to upoił ich dusze słodkim winem wolności.

Stawiał wielkie kroki, a kiedy mówił, laska jego wirowała w powietrzu, ja zaś nie mogłam za nim nadążyć. Moje maleństwo miało zaledwie trzy miesiące, ale był to tłuscioszek, a spowiłam ją dobrze w kożuszek, tak iż był to ciężar nie lada. „Oj, mężu - zawołałam - ręce i nogi mi mdleją. Zazdroszczę ci wolności, o której tak słodko przemawiasz”.

Jęknął i zacytował jakiś grecki czy hebrajski wiersz przeciw mej niewczesnej mowie. I rzekł: „Przyznaj się, że ilekroć otwieram przed tobą serce, ty myślisz o

jutrzejszym tłustym obiedzie albo o tym, czy kupić schabu, czy solonej wołowiny i jakich korzeni dobrać do sosu, albo czy na jarmarku będą pory?”

„Ktoś w naszym domu musi o tych rzeczach myśleć - odparłam - a jeśli twoja kiesa nie podoła wydatkom na zapłacenie dobrej kucharki, jeno zasmarowanego kocmołucha, to myślenie spada na mnie”.

Szliśmy dalej w *milczeniu*, ale skoro wstyd mu nie *pozwał* odebrać mi dziecka, jako że był dżentelmenem, a nie zwyczajnym łykiem, miał dla mnie tyle względów, iż zwolnił nieco kroku. Kiedy już byliśmy opodal pałacu Whitehall, doszedł nas daleki pomruk i gwar jakby wielkiego zgromadzenia szpaków, które obsiadły gęsto trzcinę. Pochodnie i latarnie noc zamieniły w dzień. Tłum był już gęsty dookoła pałacu, przed którym wzniesiono rusztowanie pod gołym niebem przy Sali Bankietowej. Mąż mój ganił powolny mój krok, gdyż inni zajęli już miejsca przed nami. Szczęście nam jednak dopisało, bo natknęliśmy się na mego brata, Johna, w owym czasie już oficera w przybocznym oddziale generała Iretona. Chętnie nas eskortował do wyborowego miejsca. Uczynił to, wykrzykując na głos: „Z drogi, obywatele, w imię generała Iretona!”. Na krzyk ten rozstąpił się przed nami tłum na obie strony jak przed Mojżeszem Morze Czerwone, gdy wyprowadzał Żydów z ziemi egipskiej. Stanęliśmy o kilka kroków zaledwie od podstawy wysokiego szafotu, ogrodzonego na wysokość paru łokci. Pośrodku stał tam pień z toporem. Nie mogliśmy jednak dojrzeć owej maszyny z racji czarnego sukna rozwieszonego na ogrodzeniu. Wówczas John zasalutował i odszedł.

Kilku ludzi stało już na rusztowaniu, a twarze mieli zasłonięte czarnymi maskami, gdyż zadanie ich było tak nienawistne, że żaden nie odważył się odsłonić oblicza. Główny kat i jego pomocnik nosili szerokie marynarskie spodnie, by ukryć nawet kształt nóg. Kat miał siwą perukę i brodę, która - gdy się rozjaśniło - też wyglądała sztucznie. Kompania piechoty i oddział konnicy ustawione były wokół rusztowania, by zapobiec ucieczce lub odsieczce. Staliśmy tuż koło piechoty.

Przysłuchiwałam się rozmowie żołnierzy. Któryś z nich pytał towarzysza: „Towarzyszu Sim, czy to nie okropna historia? Czy nie drży ci serce z obrzydzenia mimo całej wypitej gorzałki i odprawionych modłów?”.

„Tak, tak, towarzyszu Zack - odparł Sim - wierzę jednak, że nie ugnę się pod ciężarem obowiązku, tak jak nie uchylili się od niego rzymscy żołnierze w dawnych czasach, ci, którym nałożono o wiele cięższe zadanie niż nasze - mówię o tych, którzy na Golgocie mieczem powstrzymywali rzeszę pogrążoną w żalu. Czyż nie jesteśmy w każdym calu tak mężni jak Rzymianie? W górę serce, Zack. Pięć lat temu nad rzeką w Newbury pokazałeś, jaki śmiałek z ciebie. Nie byłbym tego zrobił co ty, nie, nawet za pięćset funtów i wesołą żonkę, prawdę mówię!”

A inny powiada: „No, Zack, cóż wtedy zrobiłeś? Był to w bitwie? Nigdy nie słyszałem, by gadali o twoich wyczynach. Chcę usłyszeć tę historię!”.

„To na czarownicy wykonałem wyrok - rzecze Zack - gdyż nie dbam o czarownice i nie boję się ich, jako że urodziłem się w niedzielę. Wyznaję, iż mój sierżant pochwalił mnie i przyznał, że owego dnia postąpił po męsku”.

„Tak, pochwalił, ręczę za to! - krzyknął Sim. - Były to czasy przed reformą armii, kiedy jeszcze marudziliśmy wygodnie w marszach, a lekce sobie wazyliśmy dowódców. Z Zackiem mitrężyliśmy czas na zbieraniu orzechów i czarnych jagód i prowadzeniu dysputy o jakimś punkcie zasad wiary, nie wiem jakim, a było jeszcze czterech czy pięciu maruderów z nami. Zack dla zabawy gonił mnie z szablą, a ja, uciekając, wdrapałem się na dąb, sposobny po temu. Wciągnąłem się na sam czubek i stamtąd natrząsałem się z niego. A kiedy siedziałem na rozwidleniu, czekając na Zacka, poczułem nagle strzykanie w kciukach. Spojrzałem pomiędzy liśćmi ku rzece, jako że była tuż, i ujrzałem rzecz straszliwą: kobieta wysoka, chuda i smukła stąpała po wodzie z taką pewnością, jak gdyby wędrowała gościńcem. Przywołałem go cicho i skinąłem, by wszedł na wierzchołek, co też uczynił a wraz z nim jeszcze jeden. I wyglądaliśmy spośród liści, a niepodobna, abyśmy wszyscy ulegali złudzie”.

Teraz Zack opowiadał dalej: „Ale nie chodziła wprost po wodzie, lecz ślizgała się na małej deseczce zanurzonej tuż pod wodą. A kiedy doszła do brzegu kopnęła deszczułkę, która jak strzała trafiła w brzeg przeciwległy. Wtedy ześliznęliśmy się szybko na dół, a ten człowiek, co był z nami, poszukał naszego sierżanta, Rubena Ketta (który szedł ku nam, aby nas skarcił za włóczęgę), i zdał mu sprawę, co zaszło. Na sierżanta wystąpiły poty, lecz nakazał przeszukanie lasu i zatrzymanie kobiety natychmiast. Inni się wzdragali, ale ja namówiłem Sima i podałem mu niezawodny sposób zamawiania uroków czarownicy: musi włożyć rękę do kieszeni hajdawerów i tam zasalutować towarzysza, który wyruszył razem z nim. Wtedy obydwaj, przemierzając las, znaleźliśmy ową kobietę siedzącą na zwalonej kłodzie i beczynn timerzącą przed siebie. Z miejsca chwyciłem ją za ramię, pytając, kim jest, lecz nie odrzekła ani słowa. Zawlokłem ją tedy przed sierżanta, który długo ją pytał, lecz i jemu nic nie rzekła, udając głuchą. Wtedy on wrzasnął do niej: «Jesteś czarownicą i skończymy z tobą!*, na co ona roześmiała mu się w twarz”.

„Nie - wtrącił Sim - w tym się mylisz, Zack. Roześmiała się dopiero później, kiedy sierżant wybrał pobożnego Hitchcocka i Franka Yellowsa jako celnych strzelców, aby ją zgładzili. A mnie wówczas wybrał, by ją oprzeć o skarpę nad rzeką. Wiesz dobrze, dziecko moje, że chęci do tego nie miałem. Niemniej spełniłem jako tako swój obowiązek, a ci dwaj dali do niej ognia z odległości dwóch kopii. Ale ona, kpiąc i śmiejąc się głośno, złapała w lot kule, każdą w jedną rękę, i rzuciła je z powrotem ku ich zdumieniu i przerażeniu. Wtedy sierżant Kett prosił Boga o siły, bo słaniał się jak trzcina, choć pospolicie był to zuch i potężny kaznodzieja...”

„Temu zaprzeczam - krzyknął Zack - nigdy nie wzruszył nas swym kazaniem i był prawdziwym lewitą, tak był nieugięty w przestrzeganiu przepisów.

Pamiętam, iż nie pozwalał, byśmy jedli krwawą kiszkę lub zająca nawet w największej potrzebie”.

„Czy był lewitą czy sodomitą - rzekł Sim - wszystko jedno. Głośno się modlił o siłę, a siła na niego spłynęła i przyłożył swój muszkiet wprost do jej piersi. Jednakże kula odbiła się jak dziecinna piłeczka i zdarła mu skórzany kapelusz z głowy, a wtedy czarownica, choć wciąż milcząca, roześmiała się wzgardliwie. Jeden tylko Zack nie był tym zgnębiony. Za tę to niewzruszoną postawę szanuję cię, Zack. Zack rzekł sierżantowi, iż przebicie skroni czarownicy stałą przewyciężyłoby najsilniejsze czary. I z miejsca Zack stał się jej katem. Czyż nie zrobiłeś tego, Zack, swoim sheffieldzkim kozikiem? Tak, tak, nie więcej cię to kosztowało niż uśmiercenie lisa lub szczura”.

„Czy powiedziała coś przed śmiercią? - zapytał jakiś żołnierz. - Czy coś prorokowała? Mów, Zack, wiem na pewno, że prorokowała. Co rzekła, zanim pokazałeś jej swoją krzepę?”

Zack spojrział na Sima, a Sim na Zacka. Wreszcie Sim rzekł: „W końcu przemówiła, lecz powiedziała mu tylko tyle: «Ej, synu, niewielka to rzecz zamordować starą, szaloną niewiastę, nie masz się czego wzdragać, ale czy ci skóra nie ścierpnie, a wąpia nie zemdleją w ten dzień, kiedy się zgodzisz zamordować namaszczonego króla?»”.

Kiedy Sim to rzekł, zapadła cisza na chwilę między żołnierzami.

Wśród tłumu cywilnych dookoła nas zaczęło się wykpiwanie i sprośne żarty, ale o jakichś rzeczach nieznanych, nie o tym wielkim zdarzeniu, którego cień przesłaniał wszystko inne, o owej kaźni jego królewskiej mości. O tym mówiono tylko szeptem.

Niedaleko mnie stała żona cieśli, a obok jej mąż. Żartowała wesoło i bez przerwy drwiła z niego słodkim głosem, on zaś odpowiadał krótko, tylko tyle: „Na miłość boską, koteczko, nie mogłabyś zamilknąć?” albo: „Twoje szczebiotanie jest nie na miejscu, moje ty oczko świńskie.” Owa kobieta zagadała do mnie i powiada: „Słuchajcie, kumo! Kiedy ten kochany mój mąż wraca pijany do domu, a to nieczęsto się zdarza, nie częściej jak siedem razy na tydzień, i bluźni, i potyka się po schodach - cóż, myślicie, że ja robię z nim? Zgadnijcie, kumo! Myślicie, że mu kiedy powiem plugawe słowo? Za nic bym tak nie uczyniła! Miast tego staram się, by miał łóżko miękko zaślane i wygodne do smacznego snu, a zażywając go mową pochlebną i miłą, wabię go w stronę łóżka i ściągam mu buty, i głaszczę pieśczołliwie, dopóki się nie ułoży, a gorzałka w nim się nie ustoi”.

Tu wtrąciła się jakaś mała, czarnooka dziewczka służebna, która rzekła za mnie: „To wstyd dla waćpani tak pochlebiać łajdakowi! Ach, jesteście słabe, ustępliwe niewolnice, zdrajczynie własnej płci. Czy wszystkie żony tak muszą pełzać jak ty przed klnącymi nieprzystojnie mężami? Niech mnie diabli wezmą, jeśli tak uczynię, kiedy poślubię mego pana: bo gdyby on się zachował jak Świnia, no to ja go zażyję jak bydlaka”.

„Co, ty poślubisz swego pana, gospośniu? - zawołał jakiś sprzedawca mioteł. - A kiedy ślub? Czy mogę być twoim drużbą i zdjąć podwiązki z twych gładkich, białych nówek?”

„Na to musisz zaczekać dzień lub dwa - odparła - aż zemrze moja pani”.

Wtedy ludzie ją pytali, od czego ma jej pani zemrzeć?

„Z czego by, jak nie z zazdrości? - odparła. - Wczoraj ujrzała jego i moją koszulę, gdy wisiały jedna przy drugiej na sznurze, i od razu zległa z tego zmartwienia, a nie tknie już ni kęska jadła”.

„Ach, niewiasty, niewiasty, skończcie z tym gadaniem! - krzyknął zasmolony majtek. - Nic nie uczynicie, by zachęcić do ślubu wesołego kawalera, takiego jak ja. Widzi mi się, iż dobra niewiasta jest jakby jednym węgorzem w worku z tysiącem jadowitych żmij. A jeśli człowiek ma szczęście i wyłowi tego jednego, to i tak trzyma jeno oślizgłego węgorza za ogon”.

Na to stary brodacz z zajęczą wargą - o ile mogłam się zorientować, jakiś podupadły na zdrowiu woźnica czy coś w tym rodzaju - odkaszlnął i rzekł: „Tak jest! A pewien uczciwy biskup odważył się kiedyś rzec to na kazaniu wobec królowej Elżbiety: Kobiety są to po większej części naiwne, głupie, swawolne sroki, niestałe, bezrozumne, bezradne, słabe, niedbałe, popędliwe, zadufane w sobie, próżne, miłe plotkary podsłuchujące i podjudzające, o złych językach, a gorszej głowie, ze wszech miar otumanione najpodlejszymi odpadkami z diabelskiego śmietnika”.

„Czy naprawdę tak rzekł biskup? - zawołała dziewczka służebna. - No, to nic dziwnego, że biskupi już poszli na spoczynek wieczny. Udław się tym, zajęcza wargo, udław się!”

Niebawem zaczęli wszyscy razem śpiewać na melodię piosenki: *Obdarci, ale szczerzy*.

Nie dbam ja o podatki,

Choćby najbardziej nas gniotły,

Byleby tylko piwa Nie obciążali lotry.

Inne podatki niech będą -Wcale nie zrzędzie mi mina,

Gdy cena wina podskoczy -Mogę nie pijać wina!

Odczuwałam dotkliwe zimno przedświtu i zdało mi się, iż zemdleję. Ale dziewczyna, która uciekła od swej pracy po to, aby, jak mówiła, być świadkiem pomsty za śmierć swoich trzech braci (z których najstarszy zginął w Taunton podczas oblężenia, a pozostali w Preston), litościwie uwolniła mnie na przeciąg godziny albo i więcej od ciężaru dziecka. Uniosła je w górę, pokazując wszystkim, i wołała ze śmiechem: „Patrzcie, jakie piękne dziecko urodziłam! Poczekajcie, aż je zaniosę mojej pani i przeproszę ją za mój grzech. Jeśli zastanę ją na nogach, zwali się na pewno i zemrze w ciągu godziny!”

„A wtedy będę ci drużbował!” , zawołał sprzedawca mioteł.

Słońce wzeszło i świeciło nad wielką ciżbą ludzką zalegającą ulicę od rusztowania aż do samego Charing Cross, a w kierunku przeciwnym prawie aż do skarpy nadrzecznej przy Opactwie Westminsterskim. Moje dziecko, które

dotąd było rozbudzone i kwiliło, teraz usnęło. Nagle przez tłum przeszła wieść, że król nadchodzi, ale była to jeno plotka i staliśmy jeszcze dobrą chwilę, zanim usłyszeliśmy daleki wart-kot bębnow i zgiełk ciżby, kiedy przez park rzeczywiście nadchodził król od strony St James's Palace, do Whitehall pod strażą halabardników kroczących przed nim i za nim. Powiadano, że idzie wartko i drży z zimna. Potem nastąpiła jeszcze jedna zwłoka, co najmniej dwugodzinna, a my trwaliliśmy na naszych stanowiskach. Między ludźmi rozeszła się wieść, iż Parlament uchwała ustawę, która wzbroni obwołania kogokolwiek królem, a z kaźnią czekają, aż uchwała ta zapadnie. Mój mąż czytał książkę, którą wsparł na moich ramionach, i zdawał się nie zważać na to, co się działo wokół nas. Serdecznie zapragnęłam być już w domu, w swojej kuchni, z kubkiem gorącej polewki winnej w rękę, z nogami wspartymi o ciepły gzyms od paleniska. Ale nie było odwrotu, a kto zemdłał, tego trzymała w postawie stojącej gęsta ciżba ludzka, od której szedł potężny zaduch.

Wreszcie powstał szmer zarazem i lęku, i litości, i ponurej nienawiści, a mój mąż zamknął książkę. Król ukazał się w środkowym oknie Sali Bankietowej, z którego usunięto szyby, i wkroczył na szafot. Miał wstęgę Orderu Podwiązki, a także zdobny drogimi kamieniami Order Św. Jerzego. Z powagą spojrział na pień i - jak się domyśliliśmy - uskarżał się, iż jest za niski, miał bowiem jeno sześć cali wysokości. Potem wyszedł na krawędź rusztowania, aby przemówić, a postawę miał dumną i posępną. Widząc jednak tłumy niezmiernie, rozmyślił się i przemówił tylko do tych, co stali z nim pospołu na szafocie. Jednakże słyszeliśmy większość słów, które wypowiedział, gdyż tłum stał, milcząc, jeno czasem odezwał się kaszel.

Przemówienie króla jegomości trwało około dziesięciu minut i nie dosięgło tego, czego się spodziewano od króla, który ma za chwilę umrzeć, albowiem mówił kłótliwie i bez związku. Nie uznał za właściwe ani oskarżać swych zabójców, ani prosić Boga o przebaczenie dla nich, ale pouczał nas, oświadczając, że władca a poddany to dwie rzeczy całkiem różne i że lud nie ma udziału w rządzeniu, choć jego wolności i swobody on pragnie tak samo jak każdy inny człowiek. Sam siebie nazwał „męczennikiem ludu”.

Dwukrotnie spostrzegł, że ktoś się zbliża do topora, i dwukrotnie przerwał mowę słowami: „Uwaga, topór! Proszę uważać na topór, bo mnie to może zabość!”. Obawiał się, jak przypuszczano, iż topór może się przewrócić, a jego wyszczerbione ostrze nieczysto utnie mu głowę. Mnie się jednak zdało, iż szacował w toporze moc potężniejszą od jego własnej. W tej mowie najlepsze było wyznanie podłego postępku w sprawie hrabiego Strafford. Ale mógł to wszystko wyrazić dokładniej i uczciwiej. Tymczasem nawet nie nazwał hrabiego z imienia, a jeno rzekł, iż niesprawiedliwy wyrok, do którego dopuścił, teraz jest pokarany niesprawiedliwym wyrokiem na niego samego.

Kiedy przestał mówić, stary biskup Juxon, który ongiś był lordem skarbnikiem^[47], a teraz już nawet nie był biskupem, jeno królewskim kapelanem - popatrzył zdziwiony i przybliżywszy się o krok, przypomniał królowi jegomości, iż nie powiedział nic o religii. Król najserdeczniej mu podziękował za przypomnienie, lecz rzekł tylko tyle, iż prawdziwie wszystkim wiadomo, jako umiera chrześcijaninem wedle wyznania anglikańskiego zgodnie ze spuścizną po ojcu. Gdy skończył, biskup podał mu białą atlasową czapkę, w którą wcisnął całe włosy, a główny kat mu w tym pomagał. Wówczas rozpiął swą ciemną delię i podał ją biskupowi, zdjął z szyi Order Św. Jerzego i zrzucił obcisły kaftan. I złożył głowę na pniu. Między żołnierzami poszedł głośny szmer, iż jest to właśnie ten sam lśniący topór, przyniesiony z Tower, którym ścięto hrabiego Strafforda. Tłum milczał.

Nie mogłam się przyjrzeć twarzy króla jegomości, kiedy tam leżał, bo narożnik szafotu ją zasłaniał. Ale przez szparę między zasłonami widziałam, jak wyciągnięciem rąk dał znak, a wtedy topór spadł, celnie wymierzony, i ujrzałam głowę, która w skoku minęła szparę.

Pomocnik kata ujął głowę w ręce i pokazał ją ciżbie, która raz jeden westchnęła głęboko i znów zamilkła na czas jednego pacierza.

Owo milczenie pierwszy przerwał mój mąż, który donośnie wypowiedział te słowa, przez niego samego przetłumaczone ze sztuki Seneki:

„...Nie można zabić

Ofiary bardziej miłej Bogu niżli

Król niegodziwy i grzeszny.”

„Zamilknij, ty gówniarzu! - wrzasnął marynarz, wygrażając mu wielkimi pięściami, a łzy toczyły się po jego licu.

- Dość tego! Daj spokój, a jeśli nie, to, jak mi Bóg miły, wgniotę cię w ten gościniec! Nie masz trzewi, człowieku, nie masz trzewi? Dawid cierpiał, iż odciął jeno skrawek sukni króla Saula. Czyż nie większe winno być nasze cierpienie? Utraciliśmy naszego króla. Został ścięty, czyż oczu nie masz?”

Sprzedawca mioteł i stary woźnica też grozili memu mężowi na swój sposób. On jednak popatrzył na nich wzgardliwie i odparł: „Wy, łajdaki, skoro tak miłowaliście waszego króla, czemu milczeliście? Czemu żaden z was palcem nie kiwnął, by go ratować? Czemu daliście mu umrzeć bez słowa sprzeciwu? Baliście się tych kilku żołnierzy? - a do płaczących niewiast rzekł: - Tak, córki Izraela, płaczcie nad Saulem, który was przyodział szkarłatem i innymi rozkoszami! Albowiem ów król Saul zanurzył szaty wasze we krwi mężów waszych i braci!”

Wtedy przyszły dwa oddziały konnicy, by rozpędzić tłum, jeden z Westminsteru, a drugi ze Strandu.

[47] On pierwszy nałożył podatek okrętowy na miasta leżące w środku kraju.

Szybko wystraszyli wszystkich. Ciżba niosła nas ulicami, a niektórzy upadli. Ludzie ich stratowali i udusili. Mego męża i mnie tłum rozdzielił, lecz owa miła dziewczka służebna nie opuszczała mnie i wreszcie schroniliśmy się w ciasnym przedsionku przy kościele Św. Marcina Polnego. Tam czekałyśmy, aż uliczny tłum się przeredzi, a tymczasem nakarmiłam dziecko. W owym przedsionku stało jeszcze dziewięciu czy dziesięciu ludzi, w których nie widziałam nic godnego uwagi, oraz jeden niebieskooki, krzepki jegomość z krzywymi ustami i nosem. Ten płakał. Zdało mi się, iż był kupcem; że zaś był nieutulony w swym żalu, kciuk wsadził do ust jak dwuletnie dziecko. Po chwili poznałam go mimo przebrania. „Ach, panie Archie Armstrong - krzyknęłam - nie użalaj się tak boleśnie, proszę, bo serce mi pęknie! A jednak muszę się śmiać.” Ryczał tym głośniej, a z płaczem mieszał szkockie grube wyrazy. Chciał przez to wyrazić, iż litościwie przebacza swemu panu, który stojąc na rusztowaniu, wyznał otwarcie, iż ścierpiał, by wykonano niesprawiedliwy wyrok na jego błaznie i wygnano go ze dworu jeno za prawdę, którą powiedział! Wówczas począł gwałtownie wyrzekać przeciw arcybiskupowi Laudowi, lecz inny Szkot stojący przy nim zawołał: „Daj spokój, człowieku, zapłacił za tę muzykę, wiesz o tym dobrze!”. Więc nic już nie mówił, jeno dalej płakał.

Nie roniłam łez, stojąc pod rusztowaniem ani później w drodze do domu; ale wieczorem w łóżu płakałam gorzko. Prawdziwie ani nie miłowałam króla dla jego cnót, ani mu nie współczułam, kiedy był w niewoli. A teraz płakałam dla osamotnienia, jakie mnie ogarnęło, gdyż zrozumiałam, że starożytny, potężny filar, złoty filar monarchii został zwalony. Któraż córka nie pożałuje ojca, gdy umrze, choćby nawet był głupcem, tyranem czy oszustem? Zmarł, a był jej ojcem. Więc kiedy umiera król, naród przywdziewa żalobę. Jednakże zwyczajnie, kiedy król umiera, rodzi się król i naród się raduje. Teraz nie czas na radość; monarchia upadła, a niemądry król zginął śmiercią łotra.

Rozdział dwudziesty trzeci

ZŁE WIEŚCI Z IRLANDII

Drukowana praca mego męża znalazła się w sprzedaży mniej więcej w dwa tygodnie po tych zajściach, po trzy szylingi za egzemplarz, i cieszyła się powodzeniem, choć wielu zgorszyła. Pokazano mi jedną gazetę, gdzie pisano przeciwko niej takie oto słowa: „Świeżo wyszła książka Johna Meltona, niedowiarka, który myśli, że żona trzyma go w niewoli i że własne jego podwiązki są dybami i kajdankami. Taki to człowiek, że modą «niezależnych» nie chce mieć żadnych obowiązków ani przed Bogiem, ani przed człowiekiem”. To drwiące oskarżenie i inne podobne nie zaszkodziły książce, a nawet skłoniły wielu do nabycia jej, budząc ciekawość. Ale inna książka, która wyszła mniej więcej cztery dni wcześniej, zepsuła jej powodzenie na rynku, rozchodząc się znakomicie, chociaż była sprzedawana po piętnaście szylingów.

Tę konkurencyjną książkę opublikował niejaki Royston, u którego mój brat, James, robił korektę próbnych odbitek. Nosila tytuł: *Eikon Basilike - wizerunek Namaszczonego Króla w jego opuszczeniu i cierpieniach*. Rojaliści uznali ją niejako za trzeci, czy też Najnowszy Testament. Kiedy nazajutrz po śmierci króla poszłam z moją matką do mieszkania Jamesa, wspomniał mi o tej książce, którą rzekomo napisał sam król. Jednakże James, choć widział przypiski ręką własną króla nakreślone na egzemplarzu przysłanym do druku, uważał, że to podrobił jakiś kapelan lub jeszcze ktoś inny. Styl utworu bowiem był jakiś kwiecisty, kaznodziejski, niepodobny do skrępowanego, nerwowego stylu króla. Kiedy rzekłam memu mężowi, co słyszałam, nastawił uszu i zapytał, czy wiem, w której oficynie drukarskiej książkę składają.

Odrzekłam, iż - jak mi się zdaje - u pana Dugarda.

Wtedy rzekł: „Dobrze, dobrze. Myślę, iż pan Dugard wykonuje prace i dla mego przyjaciela, pana Simmonsa, koło «Złotego Lwa» przy ulicy Aldersgate, który ma wydać moją nową książkę. Chciałbym, aby pan Simmons wejrzał w ową kwestię i zdał mi z niej sprawę”.

Jak dotąd, nie było wiadomo, kto ową książkę napisał. Niektórzy podejrzewali kapelana, wielbnego Simmonsa; inni dra Gaudena, biskupa z Exeter; jeszcze inni - młodszego syna biskupa Halla. Prócz zagorzałych rojalistów wszyscy byli zgodni w tym jednym punkcie, iż nie król jegomość był autorem.

W dzień czy dwa później pan Simmons przyszedł do nas z uśmiechem na twarzy i przyniósł kilka kartek rękopisu owej książki. Były to rzekomo modlitwy pisane ręką króla w dniach niewoli. Mój mąż czytał je i szydził, iż są

nieźle sklecone, ale napisane tylko po to, by zyskać aplauz niestałej, bezrozumnej i bałwochwalczej zgrai.

Zadumał się nieco. Nagle zachichotał i rzekł do Johnny Phillipsa: Johnny, weź z półki trzeci tom Arkadii pana Philipa Sidneya i podaj mi go szybko.”

Johnny przyniósł książkę, której kartki mój mąż przerzucał, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, mianowicie modlitwę strapionej Pameli, podsłuchaną przez niejaką Cecropię, która czatowała pod drzwiami. Wesoło odezwał się do Johnny’ego: „Masz tu, chłopcze, zadanie na dzień wolny od pracy, przerób tę dziewiczą modlitwę na taką, która się zda dla nabożnego króla”.

Johnny wziął książkę i poszedł do drugiego pokoju, a tymczasem mój mąż zrobił nam wykład o zbożnych oszustwach literackich i jak to niezaprzeczalnie były one w użyciu między wielebnymi od najdawniejszych czasów.

Wkrótce Johnny powrócił z ową modlitwą odpowiednio przystosowaną. Trzeba było zaledwie kilku drobnych zmian do jej przekształcenia, takich jak opuszczenie imienia cnotliwego Musidora, ukochanego Pameli. Kiedy modlitwę uroczyście odczytano, mój mąż i pan Simmons śmieli się serdecznie. Pan Simmons zabrał przerobioną modlitwę bez słowa, jeno mrugnął i wetknął ją pomiędzy inne modlitwy, po czym wziął kapelusz i szybko wyszedł. Kiedy książka się ukazała, egzemplarze, które pochodziły z drukarni pana Dugarda (ale nie inne), zawierały również ową przerobioną modlitwę. Pan Royston nawymyślał memu bratu za niedopatrzanie i byłby go wyrzucił z posady, gdyby nie pan Simmons, który wiedząc ode mnie, co zaszło, odwiedził pana Roystona i wziął całą winę na siebie. Pan Royston lubił żarty na tyle, iż śmiał się z owego fortelu; i wkrótce z panem Simmonsem razem ubili interes na tej właśnie książce: pan Royston bowiem obawiał się, iż tylko patrzeć, a nowy rząd każe ją wycofać ze sprzedaży, co też nastąpiło w połowie marca; pan Simmons zaś, dufny w łaskę rządu, którego stał się głównym drukarzem, ułożył się, że kupi od niego połowę praw do publikacji tej książki. Drukarze jeden za drugim obstają jak złodzieje, a nie dbają o to, co drukują, byle tylko nie stracić uszu lub nie narazić się na napiętnowanie. Pana Simmonsa nigdy później nie napastowano, a z pięćdziesięciu wydań, które w ciągu roku wyszły spod jego prasy, za dwadzieścia czy trzydzieści zgarnął należność.

Mego męża dręczyło, że podrobiony Eikon Basilike ściągnął na siebie całą uwagę niezliczonych czytelników. Sam był niemal jedynym znacznym pisarzem, który śmiało wystąpił w obronie królobójców. Przez całą bowiem Anglię wzdłuż i wszerz przeszedł dreszcz strachu po tym, co zaszło, i zgrozy przed należną karą. Kim był król jako człowiek, o tym już zapomniano. Teraz, żałując go jako męża stanu, głoszono z wyrzutem sumienia, iż był najlepszym człowiekiem, najlepszym królem, świętym męczennikiem, niemalże samym Chrystusem. Potem zaczęto się zastanawiać, czy ścięcie króla z wyroku tak samowolnego trybunału nie okaże się wielce niebezpiecznym precedensem dla absolutnej tyranii dowódców wojskowych. Bo jeśli mogli zdjąć głowę królowi wbrew wszelkim przepisom prawa, czyż nie mogli tym łacniej odrąbać głowy

któregokolwiek pana, szlachcica czy pomniejszego obywatela? Zapanowałyby wówczas zasada: kto ma miecz, ten górą, i wkrótce popadlibyśmy w mordowanie i wyrzynanie się wzajemne aż do ostateczności.

Docierały do nas echa wielkiego wzburzenia, jakie zapanowało we wszystkich królestwach Europy, gdzie mniemano, iż Anglicy oszaleli. Szkoci, którzy króla sprzedali, wylewali gorące łzy, kiedy się opamiętali i zrozumieli, że topór pozbawił głowy za jednym ciosem i króla Anglii, i króla Szkocji. W lutym ogłosili w Cross of Edinburgh żyjącego na wygnaniu księcia Walii Karolem II, i to nie tylko z tytułem króla Szkocji, lecz bezczelnie mianowali go też królem Anglii i Irlandii. W Irlandii w owym czasie do bezsensownej ligi ukutej przez markiza Ormonde'a między zbiegłymi „kawalerami” (większość z nich to byli arminianie Kościoła anglikańskiego) i skonfederowanymi irlandzkimi papistami dodano jeszcze szkockich presbiterianów z Ulster, których straszliwe męki - zadane im przez irlandzkich papistów, owych „krwawych torysów”, jak ich zwał mój mąż - stały się ongiś wstępem do wojny.

Przez napisanie swej nowej książki *Piastowanie urzędu przez króla i jego urzędników* mój mąż zraził sobie swego brata Christophera i hrabiego Bridgewatera oraz wielu innych dawnych przyjaciół. Jednakże przyjaciele, których mu owa książka pozyskała, byli bardziej użyteczni i potężni aniżeli tamci, jak się to wkrótce okaże.

W rzeczypospolitej angielskiej władza królewska, a z nią Izba Lordów, zostały zniesione. Rządy sprawowała Rada Stanu, złożona z panów, rycerzy i szlachty, a trzon Parlamentu, który ocalał, dostarczał doradców i popleczników. Ale trudno było odgadnąć, jak długo ów rząd utrzyma przewagę nad wewnętrznymi i zewnętrznymi nieprzyjaciółmi, choć lord generał Fairfax, generał Skippon, radny miejski Pennigton i inni ludzie znaczni zgodzili się na służbę w Radzie pod przewodnictwem pana sierżanta Bradshawa^[48]. Duchami przewodnimi całego przedsięwzięcia byli generałowie Cromwell i Ireton. Generał Ireton zmarł niedawno w Irlandii na febrę, lecz generał Cromwell jeszcze żyje: ten hałaśliwy, wścibski, dziki niechluj z czerwonym nosem i tubalnym głosem, który zna się na ludziach lepiej niż na książkach, który używa religijnych frazesów z bogobojnymi duchownymi, błaznuje ze sprośnymi żołdakami, a umie być godnym i skromnym wobec ludzi znacznych (i wszystko to czyni bez obłudy), który często płacze, zachowuje się jak okrutnik, błaznuje przy stole, odwiedza kościół w czerwonej chuście na szyi jak indyk w koralach, korzy się przed Bogiem, jest miłującym ojcem, przyjacielem i dowódcą - i nigdy nie patrzy przed siebie dalej jak na trzy kroki, ale tę odległość potrafi wymierzyć do setnej części cala.

[48] Mój mąż mógł nazywać pana Bradshawa „kuzynem”, gdyż jego matka pochodziła z tej samej rodziny albo też z innej rodziny o tym samym nazwisku.

Powiadają, iż generał Cromwell przestudiował książkę mego męża *Piastowanie urzędu przez króla i jego urzędników* i niezmiernie ją podziwiał. Bardziej jednak prawdopodobnym się zdaje, iż jeno generał Ireton ją przeczytał, a zaznaczył jeden lub drugi ustęp do przeczytania dla teścia. Jakkolwiek rzecz się miała, niedługo po sesji Rady, a mianowicie dnia 14 marca, co wypadło w środę, dwaj ichmościowie w opończach stanęli u naszych drzwi ze strażą złożoną z dwóch halabardników i zapytali o mego męża. Przeraziłam się, gdyż mniemałam, że to oficerowie nasłani, by męża mego wziąć w areszt, lecz prosiłam ich, aby siedli, zanim sprowadzę go z komnaty na piętrze, gdzie pracuje nad swoją historią Anglii. Zeszedł z szablą w rękę, bo oświadczył, iż raczej woli zginąć niż być zamkniętym w więzieniu; wkrótce jednak wsunął ostrze do pochwy, kiedy poznał owych panów. Byli to członkowie Rady Stanu, a mianowicie: pan Bulstrode Whitlocke, światły jurysta, i pan Harry Vane, junior.

Pan Harry był człowiekiem wielce uzdolnionym, którego mój mąż w owym czasie uczcił pochwalnym sonetem. Twarz jego miała w sobie coś niezwykłego. Każdy rys przeczył pozostałym, ale ogólnie biorąc był to człowiek przystojny. Gdybym była czarownicą, tego człowieka wybrałabym na czarta mego wiecu, bo miał siarkę w żyłach. Czas jakiś przebywał w Ameryce, gdzie w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat wybrany został gubernatorem kolonii w Massachusetts, a stanowisko to utracił dlatego, że *okazywał nadmierne* względy pewnej kaznodziejce, pani Hutchinson, która była znienawidzona przez kolonistów jako uzurpatorka przywilejów kapłańskich. Z ciekawości chciałam zostać, lecz mój mąż wyprosił mnie, jako że sprawa była ważka.

Kiedy owi radni wyszli, mój mąż - starając się ukryć podniecenie ducha - polecił mi zająć się usuwaniem sprzętów i pakowaniem skrzyń, bo mieliśmy się przeprowadzić.

Jak to, znowu, mężu? - krzyknęłam. - Będzie to trzecia zmiana domu w ciągu trzech lat”.

„Tak, żono - odparł, a wydał mi się niezwykle uradowany - ty i ja nabierzemy biegłości w przeprowadzkach. Za każdym razem będzie stłuczonych farfurek, mniej książek utraci okładki, mniej kapeluszy i chustek zapomniny na gwoździach za drzwiami”.

„A gdzie jest nasz nowy dom?”, zapytałam.

„Tego jeszcze nie wiem dokładnie - odparł - ale zapewne będzie to w sposobnej odległości od pałacu Whitehall. Może przyjmie nas do swego domu pan Thomson, brat owej jejmości, która zabiegała o moje potrzeby w twojej nieobecności. Przyjmie nas w swoim domu przy oberży «Pod Bykiem» na Charing Cross”.

„Czyżbyś przyjął urząd od naszych władz?”, zapytałam. A pomyślałam sobie w głębi duszy: „Czart przysłał dwóch grzecznych posłów, Beliala i Demogorgona, by cię kusić, a tyś upadł”.

„Tak jest - odparł - mam być sekretarzem dla języków obcych. Stało się to z polecenia generała Olivera Cromwella, który przed Radą zachwalał moją książkę”.

Odkrył nawet przede mną, jakie miał pobierać uposażenie: będzie ono wynosiło piętnaście szylingów i dziesięć i pół pensa dziennie. Ale wiedziałam dobrze, że nigdy nie zmieni swego sposobu życia, choćby nie wiem jak się wzbogacił; będzie więcej wydawał tylko na książki. Gdyby zarobił dziesięć tysięcy funtów rocznie, a cukier podróżałby o 1 szyling i 8 pensów za funt - jak to właśnie było w tej chwili - i tak byłby orzekł, że cukier po tej cenie niewart jest jedzenia. Jednakże na książki i muzykę, a czasem również na piękną marmurową statuetkę nie żałowałby grosza.

„A jakież będą twoje obowiązki?”, spytałam.

„Pisanie po łacinie listów do zagranicznych państw i książąt w imieniu angielskiej republiki - odrzekł. - Czasem też będę musiał napisać książkę w obronie naszych nowych wolności. Jest to wielce niezwykła sprawa, że sekretarz stanu jest wybrany raczej dla swej uczciwości i zręczności we władaniu piórem aniżeli dla swej uległości panującym przekonaniom. Król Karol jako głównego sekretarza miał lorda Conwaya, którego otrzymał w spadku po królu Jakubie. Był to znakomity sokolnik i wierny zausznik księcia Buckingham, ale czytać ani pisać nie umiał”.

„A co się stanie z twoją *Historią Anglii*? - spytałam. - I z łacińskim dykcjonarzem, i z *Metodycznym wykładem chrześcijańskiej doktryny*? Jakże tych wszystkich dzieł dokończysz?”

„Ach - odrzekł - może to wszystko poczekać. Zresztą teraz, kiedy Ned za wstawiennictwem swego ojczyma idzie na wyższą uczelnię, niełatwo byłoby mi dokończyć *Wykład* albo dykcjonarz, bo John nie jest ani tak pracowity, ani tak zdolny jak Ned”.

„Mam nadzieję - rzekłam - że nasz nowy dom będzie miał ogród, gdzie będę zażywać przechadzki i gdzie dzieci nasze będą bawić się na trawniku”.

„Dom pana Thomsona wychodzi na Spring Gardens - odrzekł - lecz nie jest to miejsce, gdzie bym dozwalał mojej żonie przebywać, bo opanowały je rzezimieszki, gamratki i wałęsające się żoldactwo. Ale zapewne w piękną pogodę będziesz mogła chodzić z dziećmi do ogrodów pałacu White-hall, dokąd na pewno otrzymam wstęp. Tam kompania jest wyborowa”.

„Będzie to rozkoszne - odrzekłam - jeśli tylko zgodzisz mi silną służącą do noszenia Nan. Nie może, biedactwo, chodzić tak daleko, aż do pałacu Whitehall, na swej chorej nóżce, o czym dobrze wiesz”.

„Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy urodziłaś krzywe dziecko. Nie jestem głupi i wiem, jak się to dzieje, że się rodzą krzywe dzieci. Nie odzywaj się więcej, żebym cię nie oskarżył, iż chciałaś pozbyć się dziecka, gdy było jeszcze w twoim łonie. Gdyby Nan była synem, którego oczekiwałem, i gdybyś go tak okaleczyła, byłbym z radością zabiegał o twoje powieszenie”.

„Niech Bóg ci daruje to posądzenie, mężu. Zaprawdę ja ci tego darować nie mogę”.

Uśmiechnął się do mnie oziębło i rzekł: „Zbyt lekko używasz imienia bożego, Mary. Raczej nie mieszaj Go do tych spraw. Lecz gdy moja córka, Ann, dorośnie i będzie pytać sąsiadów: «Jak to się stało, iż wyszłam okaleczona z rąk mego Stwórcy? Czy gniewał się wówczas na mnie?» - czy nie przypuszczasz, iż odpowiedzą jej wtedy: «Nie, dziecko, było to złą wolą twojej matki, nie od Boga to pochodzi»”.

Jakże mógł ktokolwiek prowadzić dysputę z takim człowiekiem? Rzekłam mu tylko: „Znaczy to pokrótce, że chociaż będziesz otrzymywał 16 szylingów dziennie od Rady, biedne nasze dziatki będą zamknięte w hałaśliwym domu czynszowym przy cuchnącej ulicy i nigdy się nie pocieszą kwiatami i trawą”.

„Co mnie zadowoli - odparł - zadowoli również moją żonę i córki. Nie twoja też to sprawa, ile mam dochodu. Gdyby twój ojciec był mi w terminie wypłacił owe 1000 obiecanych funtów, miałabyś każdą dziewczkę służebną, jakiej byś jeno pragnęła”.

Ach, te 1000 funtów posagu! Jakże one mu przyłgnęły do mózgu! Pochlebiał sobie, iż doskonale panuje nad swymi namiętnościami, niby Morze Kaspijskie, które nie podlega przyływowi i odpływowi. Jednakże pewnego wieczoru w owym czasie mieliśmy ostrą wymianę zdań w łożu - nie ma to znaczenia, w jakiej sprawie. Nie mogąc spać, na godzinę przed świtem wysunęłam się z łoża i podeszłam do kominka. Ostrożnie dmuchając mieszkiem, zapaliłam kawałek papieru od żaru, a tym papierem świeczkę. Z puzderka, które leżało obok na półeczce, wzięłam małe nożyczki, by obciąć sobie paznokcie. Potem cicho wsunęłam się znów do łóżka, zasłaniając ręką płomień świecy z obawy, iż go obudzę. Lecz on, czujny a podejrzliwy, ujrzał, iż skradam się do niego ze świecą i nożyczkami - a były to bardzo dobre nożyczki z Woodstock - i wyrzucił je przez otwarte okno. Wtedy zawołał triumfalnie: „O, Dalilo, Dalilo, filistyńska córo, znalazłaś Samsona, co śpi z otwartym okiem”.

Zaczęłam się śmiać i płakać w ciemnościach, gdyż świeczka zgasła, i powiadam: „Cóż to, wielmożny Samsonie, nie możesz to paznokci obciąć w łożu? Musisz się od razu na mnie rzucać? Posiniaczone mam przeguby, nadwreżony palec, gorącym łojem oblaną stopę, a drogie moje nożyczki są wyrzucone. Co jeszcze do tego dodasz? Może się bałeś, że chcę obciąć twoje męskie wdzięki i zniweczyć świętą cnotę mężczyzny? Nie daj Boże, abym jeszcze leżała kiedy w łożu z takim zbabiałym jakałą!”.

Jedyna jego odpowiedź była: „Spotka cię za to kara, ty niecna Lamio, ty pełzający bazyliuszku z Forest Hill!”. Ale nazajutrz już więcej o tym nie słyszałam. Zapewne pożałował swego podejrzenia, gdyż nad wieczorem znalazłam w moim puzderku nową parę nożyczek, nie gorszą od owych wyrzuconych. Był to czysty zysk, gdyż choć o tym nie wiedział, odzyskałam i tamtą parę, która zawisała na gałęzce drzewa i jakby tam na mnie czekała.

Przeprowadziliśmy się do pana Thomsona, który nam oddał trzy górne komnaty: jedną wielką od tyłu na książki mego męża, gdzie on też zazwyczaj sypiał, małą izdebkę dla Johna

Phillipsa i mój pokój średniej wielkości z komórką, gdzie sypiały dzieci. Okna miałam na Strand. W moim pokoju spożywaliśmy śniadanie i kolację i przesiadywaliśmy razem. Mąż mój rzekł, iż nie trzeba nam teraz służby, skoro pan Thomson zadba o nasze potrzeby, a całą moją pracę stanowić będzie czuwanie nad dziećmi i utrzymanie jego odzieży w porządku.

Bardzo to osobliwe dla wychowanej na wsi szlachcianki z dwojgiem małych dzieci być na kwaterze w londyńskiej kamienicy, gdzie służba jest grubiańska, kuchnia oddzielona od jej pokoju kilkoma piętrami stromych schodów i dwoma długimi i ciemnymi przejściami. Podwórze, gdzie musi pracować, zawsze pełne kolas i wozów, i pijanych forysiów, których wyrzucono z sąsiedniego zajazdu „Pod Bykiem”, a nigdzie bielizny nie można rozwiesić, jeno na lince pod oknem. Mój mąż wstawał wcześniej i pracował samotnie aż do śniadania o siódmej, po czym szedł do swej pracy - najpierw w Derby House, a później w Whitehall Pałace. Nie widywaliśmy się ze sobą aż do wieczery; zabierał do pracy chleb z serem w torebce.

John Phillips spędzał cały dzień w naszych pokojach, zajęty tym, co mu zlecił mój mąż. Pisał też sam swą własną książeczkę o szybkim i łatwym nauczaniu łaciny, którą opublikował później pan Royston. John zaczął mi okazywać względy ponad zwykłą miarę, pilnie załatwiał moje sprawunki i spełniał drobne usługi. Nieraz i dzieci przypilnował, gdy byłam zajęta, choć po prawdzie dzieci nie lubił. Wkrótce jednak nastąpił chłód między nami, gdyż spostrzegłam, iż żywi dla mnie grzeszną namiętność. Byłby też chętnie ze mną się przespał, gdybym tylko do tego dopuściła. Kiedy pewnego dnia pokazał mi wiersze, jakie próbował złożyć, wyznając, iż jestem ową Bereniką, której sploty opiewa w swoim poemacie, tak silnie go w nos uderzyłam, iż krew mu się puściła, a wiersz jego podarłam na strzępy, taka mnie ogarnęła złość. Jednakże nie miałam sumienia go potępić, jako że był teraz prawie dorosłym mężczyzną, a surowy dozór mego męża nie pozwalał mu ostudzić swych zapałów w jakiejś całonocnej rozpuście. Był też nadto zdany na moją kompanię, a wiedział, że z moim mężem niedobrze się zgadzam i że niepokój mnie trawi. Bałam się, iż uda cnotliwego Józefa, a mnie przedstawi memu mężowi jako Putyfarę. Nie miał jednak natury zepsutej ani nie był mściwy i skoro nie poskarżyłam się na niego przed moim mężem, i on też trzymał język za zębami. Już więcej mi jednak nie narzucał swych usług, milczał dumnie i zamykał się w swoim pokoju. Toteż prowadziłam życie wielce samotne u Thomsonów. Jedyne urozmaicenie stanowiły wizyty Trunco. Dwakroć w tygodniu zabierała ona mnie i dzieci do mężowskiego domu, który stał w ogródku. Tam mogłam rozmawiać z moją ukochaną matką i Zarą, a czasem i z młodszymi braćmi, jeśli mieli przepustkę od służby wojskowej. Moja matka nigdy nie przychodziła do domu pana Thompсона, gdyż ścierpieć nie mogła mego męża.

Łacińskie listy, jakie pisał mój mąż dla Rady Stanu, były jeno nieznaczną częścią jego pracy. Miał też napisać traktat przeciwko bękarciej lidze w Irlandii utworzonej przez markiza Ormonde'a, co też uczynił. Co ważniejsze jednak zalecono mu napisać książkę w odpowiedzi na Eikon Basilike; pracował nad nią większą część wiosny i całe następne lato. Ale najcięższym jego obowiązkiem było wspieranie Rady w zwalczaniu książek i pamfletów wrogich rządowi. Takich publikacji ukazywało się bardzo wiele, trzech różnych rodzajów, mianowicie to, co pisali „kawalerowie”, prezbiterianie i „zwolennicy równości”^[49].

Taka to nastąpiła odmiana: mój mąż, który napisał niegdyś *Areopagitica*, gdzie otrąbił atak przeciwko cenzurowaniu prasy i nakładaniu jej kagańca, teraz stał się sam takimże cenzorem. Wraz z panem Frostem, pierwszym sekretarzem stanu, musiał karać kańczugiem drukarzy i autorów niedozwolonych książek, których król Karol i prezbiterianie karali jeno batem! Jak to godził z sumieniem, nie wiem, bo nie byłam dość zuchwała, aby go pytać. Mniemam jednak, iż myślał podobnie jak owi jezuici, którzy sądzą, iż złe czyny są dobre, kiedy do dobrego prowadzą. Ponadto *Areopagitica* pisał głównie po to, by założyć protest przeciwko cenzurowaniu jego własnych mądrych książek przez głupców. Tu zaś sprawa miała się inaczej: on człek mądry, miał cenzurować książki głupców.

Co się tyczy jego pamfletu stanowiącego odpowiedź na książkę króla, który nazwał *Eikonoklastes* (Obrazoburca), to trzeba przyznać, że dał w nim replikę na ogół dość śmiałą. Rzekł jednak do Johnny Phillipsa, że na wściekłego psa każdy kij jest dobry, a skoro wiedział, iż książka jest podrobiona, a przy tym niebezpieczna, bez skrupułów wykorzystał ten sam zabawny fortel, którym wystrychnął na dudka pana Roystona w sprawie modlitwy Pameli, jeszcze zanim pomyślał o pisaniu odpowiedzi na ową książkę.

Teraz pisał:

„Z opowieści tego rodzaju, zarówno dawniejszych, jak i nowszych, których jest wiele, widzimy, iż poeci, a wśród nich także niektórzy angielscy, w owym punkcie tak pilnie dbali o decorum, iż w niczyich ustach nie umieszczali równie wzniosłych słów jak w ustach tyra. _

[49] „Zwolennicy równości” (Qevellers), których przywódcą był niejaki pułkownik John Lilburne, niezadowoleni byli z nowego rządu, który uważali za zbyt miękki i zbyt tolerancyjny wobec dawnego zła. Twierdzili, że każdy Jaś jest tak samo dobry jak jego pan, i chcieliby znieść wszelkie przywileje, rangi i bogactwa. Tenże Lilburne napisał książkę pod tytułem *Dawne i nowe kajdany Anglii*, w której utrzymywał, iż dowódcy wojskowi - generałowie Cromwell, Ireton i inni - skruszyli dawne kajdany monarchii tylko po to, aby zakuć Anglię w nowe łańcuchy, jeszcze silniejsze. Wzniecił on bunt w armii, ale generał Cromwell uśmierzył rozruchy, rozstrzelawszy dla przestrogi jednego ze „zwolenników równości”. (Przyp. aut.)

Nie postawię tu za przykład jakiegoś niezrozumiałego autora, u którego król mógłby być mniej wymowny, ale takiego, o którym dobrze wiemy, iż był bliskim towarzyszem owych samotności, mianowicie Williama Shakespeare'a.

Wprowadza on osobę Ryszarda III, który przemawia nie mniej górnym stylem pobożności i umartwienia niż styl tej oto książki, a czasem nawet z tej samej przyczyny i w tym samym sensie. «Pragnąłem - rzecze (król Karol w poprzedniej części *Eikon Basilike*) - przysłużyć się nie tylko przyjaciołom, ale i wrogom moim». To samo powiada Ryszard w akcie II, scena I:

Jak dziecko zrodzone Dzisiejszej nocy, tak ja nie potrafię Znaleźć chociażby jednego Anglika, Z którym pragnąłbym wieść niegodne swary.

Dziękuję Bogu za moją zgodliwość[50].

Inna materia tego rodzaju znajduje się w całym toku tragedii, a poeta niedaleko odbiegł od prawdziwej relacji historii, która okazuje nam, iż Ryszard był szczwanym obłudnikiem nie tylko w sprawach swoich uczuć, ale także i w religii.

W modlitwie zatem i w zewnętrznych oznakach dewocji król nie prześcignął najgorszego ze swych poprzedników. Ale właśnie najgorsi z królów wyznających chrześcijaństwo daleko go wyprzedzili. O ile nam wiadomo, modlili się oni własnymi słowami lub przynajmniej zapożyczonymi od wybranych autorów. Lecz ten oto król - nie kontentując się tym, co chociaż dotyczy rzeczy świętej, jest nieświętym złodziejstwem, to jest przypisywaniem sobie samemu modlitw innych ludzi - jeszcze odebrał świętość i chrześcijaństwo samej powinności pacierza, przystosowując do chrześcijańskiego użytku modlitwy składane pogańskiemu bogu. Któż by pomyślał, iż tak mało w nim bojaźni prawdziwego Boga, który wszystko widzi, tak mało czci dla Ducha Św., którego zadaniem jest dyktować i przedkładać nasze chrześcijańskie modły; tak mało dbałości o prawdę ostatnich swych słów, tak mało honoru własnego czy przyjaciół, czy też poczucia własnych utrapień i owej smutnej godziny, jaka na niego przyszła, iż tuż przed śmiercią wcisnął w dłoń godnego biskupa, który go opatrywał, niby owoc swoich świątobliwych ćwiczeń duchownych modlitwę skradzioną słowo w słowo z ust poganki wzywającej pogańskiego boga! A to nie z żadnej poważnej księgi, jeno z tego płochego, błahego poematu pana Phillipa Sidneya pod tytułem *Arkadia*. Książka ta jest w swoim rodzaju wartościowa i dowcipna, lecz niegodna wzmianki pośród utworów religijnej myśli i obowiązku, książka, której nie można czytać bez szczególnej ostrożności. A tym bardziej w godzinie utrapień i doświadczeń nie może ona dla chrześcijaństwa być modlitewnikiem! Trudno o tym myśleć bez uśmiechu, iż on, który postępował wobec nas tak statecznie i tragicznie, miał w końcu opuścić ten świat z tak śmiesznym pożegnaniem, zostawiając w spadku ubóstwiający go przyjaciołom, otaczającym go w ostatniej godzinie,

[50] Przekład Romana Brandstaettera.

taką parodię do opublikowania, która musi okryć wstydem i konfuzją i ich, i jego samego. Zapewne był w tym palec boży, iż wpadli w tak niedorzeczną pułapkę, wystawiając się na pośmiewisko, jeśli nie po co innego, to przynajmniej po to, aby rzucić wzgardę i ohydę w oczach wszystkich ludzi na ową ubóstwianą jego księgę i na cały różaniec jego pacierzy. W ten sposób się okazało, jak Bóg nie przyjmuje modłów od tych, co myślą, że żywy Bóg to jest pogański bożek, któremu można służyć i którego można czcić za pomocą skażonych bzdur pogańskich arkadii i świeckich pieśni, i przypuszczają, że nie rozezna On, jak bezbożną i bezczelną obelgę Mu się wyrządza.

Tyle rzec można o jego modlitwach, a szczególnie o modlitwie arkadyjskiej, którą się posługiwał w niewoli: to wystarczy, by nas pozbawić złudzeń co do tego, jak winniśmy oceniać resztę”.

Oskarżał też króla na zasadzie zasłyszanych dowodów o zbrodniczy spisek z księciem Buckinghamem dla otrucia własnego ojca, króla Jakuba (którego księżę był jakoby kochankiem), po to, by zająć jego miejsce na tronie, a współnikowi dać połowę swego królestwa.

Tymczasem w kwietniu owego roku 1649 wyznaczono generała Cromwella, by podjął wyprawę do Irlandii i pozbawił władzy markiza Ormonde’a. Mianowano go lordem generał-porucznikiem i głównym gubernatorem na trzy lata z uposażeniem 13 000 funtów rocznie. W maju udał się do Oksfordu - do uniwersytetu już wówczas oczyszczonego z wszystkich przełożonych kolegów, członków i studentów, którzy byli zwolennikami króla i odmawiali teraz zmiany barwy - takich było trzystu. Tam pospołu z lordem generałem Fairfaxem uzyskał stopień doktora praw. Sporo jego oficerów, z których niejedyn ponoć zaledwie umiał się podpisać, a już całkiem niezdolny był ułożyć łacińskie zdanie, zostało magistrami. W lipcu, przywdziawszy kosztowny strój, ceniony na pięćset funtów, odjechał z Whitehall do Bristolu, gdzie stała zgromadzona jego armia licząca 12 000 ludzi. Jechał kolasą zaprzęzoną w sześć flamandzkich klaczy w asyście gwardii przybocznej składającej się z osiemdziesięciu oficerów, wśród których był mój brat, John. Generał Ireton dowodził pod jego rozkazami.

„Ach - krzyknęła moja matka, która wraz ze mną spoglądała na jego odjazd - zrobił się z niego diabeł, który woła: «Wszystko jest moje!»). Daj Boże, by nigdy nie powrócił do Anglii, ani on, ani żaden z jego zadufanej a morderczej zgrai, jeno aby kości zostawił w bagnie!”. Było to modlitwą znacznej części londyńskich obywateli, a po mieście rozpowszechniano *Ostatnią wolę i testament generała Cromwella* takiej treści:

„W imię Plutona, amen: Ja, Noll Cromwell, alias Byk Miejski z Ely, Lord Wielki Gubernator Irlandii, wielki spiskowiec i wynalazca wszelkich nieszczęść w Anglii, Lord Nierządu, Kawaler Orderu Królobójców, Generalny Złodziej i Zarządca Rebeliantów Westminsteru, Księżę Szatańskiego Państwa, Chorąży Zła, Generalny Mistrz Wywiadu Jego Piekielnej Mości, będąc złośliwego umysłu, odrażającej pamięci, sporządzam moją ostatnią wolę i testament sposobem następującym...” itd., itd.

Matkę moją rozwścieczyło owo mianowanie magistrów i doktorów w Oksfordzie. „Żeby ten wasz piekielnik - krzyczała - miedzianotwarzy Noll, którego wyrzucili z pomniejszego uniwersytetu, jako niezdatnego do zabiegania nawet o najniższy stopień uniwersytecki, a który udając się na praktykę prawniczą zmarnował czas w karczmach i burdelach i nigdy nic godnego nie skończył - żeby taki łajdak miał być z racji swych wojennych zbrodni przyjmowany z honorami w uniwersytecie oksfordzkim i obdarzony doktoratem praw - od tego kipi mi krew w żyłach! Jaką znajomość prawa ma jego bzdurna mość wyjąwszy przekroczenie, przekręcenie i zburzenie wszelkiego prawa? Ukrzyżował to królestwo i przewrócił je do góry nogami!”

Kiedy rozgłoszono, iż mój mąż stał się małym dygnitarzem i że gada codziennie z trzema czy czterema prawdziwymi dygnitarzami, był nieustannie osaczony przez różnych znajomych - głównie przez rojalistów, którym zasekwestrowano majątki. Błagali, by się za nimi wstawił w tej czy innej sprawie. Jednakże z reguły odmawiał, powiadając, iż nic nie wie o tych sprawach i mniema, że komisarze spełnią swój obowiązek bez popychania i nalegania z jego strony. Kiedy owi natrętni ludzie, przeważnie kobiety, spostrzegli, iż nie mogą przekonać go bezpośrednim sposobem, przychodzili do domu Thomsonów i próbowali łzami i drobnymi darami skłonić mnie, bym pośredniczyła. Nie miałam śmiałości czegokolwiek przyjmować i mówiłam wyraźnie, iż gdybym miała bronić jakiejś sprawy u mego męża, byłoby to najpewniejszym sposobem, by ją zgubić. Pewna dama mniemała, iż odrzuciłam jej dar dlatego, że nie był dość przystojny, i powróciła ze wspianiałymi klejnotami. Byłabym niezmiernie rada je przyjąć, gdyż mąż mój nie dawał mi żadnych wartościowych ozdób, lecz rzekłam, iż próżna jej fatyga, bo przecież i tak nie mogłabym używać tych jej darów. Gdyby mój mąż rozpoznał w nich przekupstwo, zgniewałby się na mnie i kazałby je zwrócić; gdybym się zaś nie przyznała do łapownictwa, doszedłby do przekonania, iż otrzymałam je za zdradę małżeńską.

Pewnego dnia przyszedł dar smakowity, koszyczek białych brzoskwiń, wyraźnie dla mnie przysłany, a ja wzięłam brzoskwinie i zjadłam. Nie tak jak Ewa: wszystkie zjadłam sama, nie częstując męża, jeno trochę dałam mojej małej Nan, a pestki wyrzuciłam przez okno. Jednakże pożałowałam swego łakomstwa, bo na trzeci dzień przyszła żona pana Timothy Tyrrela, córka arcybiskupa Ushera, z opowieścią o niesprawiedliwych sekwestracjach w Shotover i innymi skargami, już nie wiem jakimi. Przypomniała mi też ślubne dary ze zwierzyny, które mój mąż i ja otrzymaliśmy od pana Timothy'ego. Wreszcie zapytała, czy mój mąż nie mógłby rzec paru słów lordowi prezydentowi Bradshawowi, itd. Zgniewałam się i odparłam, iż rogacza zjedliśmy i podziękowaliśmy już dawno za niego.

„To prawda - rzekła - a co z białymi brzoskwiniami?” „Przysłano mi koszyczek małych brzoskwinek, ale nie było dołączonej ni prośby, ni warunków

nijkich - odparłam -a gdybym wiedziała, iż mają być zapłatą za przysługę, nigdy bym ich nie pokosztowała”.

„Dobrze - rzekła - lecz nie wierzysz chyba, waćpani, że w dzisiejszych czasach brzoskwinię rozdaje się za darmo?” „Nie - rzekłam - nie wierzę, obawiam się jednak, iż nie -mogę jejmości inaczej się wywdzięczyć, jak składając piękne podziękowanie i szczerą pochwałę ich smakowitości. Nie jadłam brzoskwiń od drugiego roku wojny, a i wtedy tylko jedną, gdyż resztę skradli żołnierze z pułku pana Timothy’ego”.

Matka moja nieustannie nalegała, bym pomówiła z moim mężem o niesprawiedliwym zawładnięciu naszym dobytkiem w Forest Hill, a także o darowaniu przez Parlament obywatelom Banbury budulca, którym przecież posłowie nie mieli prawa rozporządzać. Sama nie chciała mówić z mym mężem, bo ścierpieć nie mogła ksiązek, które pisał. Mnie jednak pouczała o moich obowiązkach żony jego, a jej córki: powinnam dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość. Toteż mówiłam z nim, lecz odparł, iż czego nie zrobi dla jednej osoby, tego i dla drugiej nie uczyni. Rzekłam, iż byłoby to całkowicie zgodne z jego własną korzyścią (bo wciąż powracał do sprawy niewypłaconego posagu), gdyby wskazał mej matce drogę, na jakiej mogłaby odzyskać to, co jej się prawnie należy. Ale on taką jeno dał odpowiedź: „Żono, na to ucho jestem głuchy”.

Najbardziej natarczywym petentem była pani Royston, żona pana Roystona, wydawcy, który dostał się do więzienia Newgate za publikowanie ksiązek przeciw rządowi. Teraz bowiem istniała bardzo surowa ustawa przeciw tym, co wydają pamflety, ksiązki i dzienniki nakłaniające do oporu lub zdrady. Nawet człowiek, który kupił taką ksiązkę czy ulotkę, podlegał karze grzywny 20 szylingów. Wszyscy zaś uliczni śpiewacy ballad i domokrażcy sprzedający ksiązki i pisma musieli się *wyrzec* swoich zarobków. Owa pani Royston nieustannie nachodziła nasze komnaty i co rana szła za moim mężem do jego urzędu, choćby pogoda była najgorsza, a mąż mój zerwał się najwcześniej. A każdego wieczora czekała na niego przed bramą pałacu, aż wyjdzie. Nie zanosila żadnej prośby, jeno mówiła za każdym razem z głębokim dygiem: Jestem żoną pana Roystona. Pamiętasz, waćpan, nieszczęsnego pana Roystona...”. Wreszcie uległ jej natarczywości i pewnego dnia wstawił się u lorda prezydenta, a pan Royston został zwolniony z *Newgate* za zobowiązaniem, że będzie odtąd zachowywał się lojalnie.

W czasie, kiedy zamieszkiwaliśmy ów dom, zaszłam w ciążę po raz trzeci. Teraz jednak mój mąż nie miał ani czasu, ani ochoty zajmować się moją dietą albo warunkami życia, lecz pozostawił to naturze i prosił Boga, by mu dał syna.

Wtedy też zauważyłam po raz pierwszy, iż traci wzrok w lewym oku. Krok jego stał się niepewny, a przekonałam się, iż kiedy daję mu znaki lub podaję półmiski, siedząc z jego lewej strony przy stole, nie wie, co czynię. Jednakże nic mi o tym nie wspomniął, jako że prawym okiem widział dobrze, aż pewnego dnia rzekł do mnie, iż komnaty, które zamieszkujemy, muszą zapewne być

wilgotne, gdyż płomień świecy zawsze się ukazuje w barwnym otoku. Odparłam, że nie widzę takiego światła, a Johnny rzekł to samo. Wtedy wyznał, iż gęsta mgła zasnuła od jakiegoś czasu lewą stronę jego lewego oka i przedmioty widziane tym jeno okiem wydają mu się mniejsze. Również w prawym jego oku było lekkie zamglenie; oba oczy, kiedy czytał przed śniadaniem, bolały go i wypowiadały mu posłuszeństwo.

Ostrzeżliśmy go, iż musi wyrzec się części swej pracy, jeśli chce, by zamglenie się rozeszło. Nie zgodził się jednak tak postąpić. Kiedy mu polecała zaparzone liście babki jako niezawodny środek na słaby wzrok, też nie przyjął mojej rady, lecz zapytał żartobliwie, w jakim to kobiecym uniwersytecie jestem doktorem fizyki. Pracował tym gorliwiej, nawet w niedzielę, kiedy pisał dalej swój *Metodyczny wykład chrześcijańskiej doktryny*. Zupełnie też zarzucił swój zwykły popołudniowy spacer. Tak to, jedząc i pijąc żarłocznie, lecz bez żadnego wypoczynku dla umysłu - gdyż przynosił teraz z sobą pióro i inkaust nawet do posiłków - cierpiał na wiatry i na nieczynność kiszek. Podagra też go się czepiła - bo wtedy, gdy ciała brak jest ruchu, pozostają w nim humory, nie uchodząc przez-pory w postaci potu, i zatruwają je - i stał się zgryźliwym śledziennikiem, a stracił też pięć czy sześć zębów, choć dotąd miał doskonałe uzębienie. Ale tak sobie ową pracę upodobał, iż nie uskarżał się wcale, a jest jeszcze i teraz bardzo przystojnym mężczyzną o skórze gładkiej i świeżej cerze; włos ma lśniący i czesze go podczas czytania. Wygląda na trzydzieści cztery lata raczej niż na czterdzieści cztery, co jest jego prawdziwym wiekiem. Co się tyczy podagry, to rzekł niedawno, iż to zbawcze niedomaganie, jako że chroni i zapobiega chorobom zakaźnym, kto cierpi na podagrę, rzadko umiera z nagłej febry, a choć może podagra go w końcu zabije, niemniej zapewne pożyje dość długo.

Ceny węgla i żywności wciąż były wysokie, a również inne ceny wzrastały odpowiednio. Nic z tego, czego używaliśmy, cośmy jedli, pili czy wdziewali, nie było wolne od podatków. Na sól nałożono akcyzę jednego pensa od galona; nasze filiżanki, świece, balie, garnki, rondle, kapelusze, pończochy, obuwie i wszelka odzież - musiały opłacać nasze publiczne długi zaciągnięte podczas wojny. Podatki owe nałożył Parlament, a ja sobie wtedy przypomniałam, jaki to krzyk się podniósł w dawnych dobrych czasach o to, że król bez zgody Parlamentu pobrał opłatę na budowanie okrętów, w porównaniu z obecnymi nieznaczną.

W tych samych komnatach dosięgnął mnie też cios wymierzony z Irlandii, a w pierwszej chwili zdało się, iż zabił mnie. Jednakże żyję, jak tego dowodzi ten pamiętnik, choć prawdziwie nie jestem już ową żywą Marie Powell (czy Mary Milton), piszącą dawniej tak gorące i nieokiełznane zdania w welinowej księdze, którą mam znów koło siebie. Niech owe złe wiadomości zamkną ten rozdział; po czym napiszę jeszcze jeden, i na tym skończę.

W sierpniu 1649 roku doszła do Anglii wieść, iż pułkownik sir Edmund Verney, szlachcic (mój Mun), zginął koło Dublina, zabity w wypadzie garnizonu składającego się z żołnierzy Parlamentu. W duszy wiedziałam, iż to

wiadomość nieprawdziwa, aczkolwiek szczegóły jego śmierci i pogrzebu były bardzo dokładne. Później 15 września, kiedy spacerowałam z Trunco, a już blisko byłam domu Thomsonów, dokąd wracałam, nagle krzyknęłam: „Och!”, i osunęłam się na ziemię, na szczęście mała Mary, którą trzymałam w objęciach, nie doznała szwanku. Było to tak, jakby ostry nóż wbito mi w serce.

Trunco przywołała na pomoc kilka kobiet stojących opodal i razem wniosły mnie na górę do naszych komnat i złożyły na łożu, na którym przeleżałam trzy dni i trzy noce w transie jak martwa. Co czyniłam i co widziałam w owym transie, to leży poza prawem naturalnym i nie nadaje się do powtórzenia. Niech mi jeno będzie wolno wyznać, że owe trzy dni spędziłam z Munem, a zdało mi się to całym długim żywotem szczęśliwości. Przebudziwszy się, nie mogłam uwierzyć, iż trwało to jeno trzy doby.

Byłam w czwartym miesiącu ciąży, a mój mąż obawiał się, iż poronię i nie donoszę owego syna, którego się spodziewał. Ale powstałam zdrowa na duchu i ciele, wielce zgłodniała, a nawiedzona tajemnicami tak wielkimi, iż ręczę za to, że małżonek mój sprzedałby cały swój księgozbiór, by je poznać.

Pewnego październikowego wieczoru przyszedł na górę i zapytał: „Czy nie znałaś ongiś sir Edmunda Verneya, ostatnio pułkownika dowodzącego regimentem w Irlandii?”. „Tak, mężu - odparłam spokojnie. - Pułkownik Verney był jedynym w ogóle człowiekiem, którego prawdziwie kochałam, i jedynym, który prawdziwie mnie ukochał. Lecz skoro zapewne będziesz nastawać na mnie w tej materii, rzekę, iż nigdy nie było między nami cielesnego zbliżenia”.

Mój mąż przez chwilę milczał zdziwiony, a potem rzekł: Jest to wyznanie uczciwe. Rad słyszę, iż zdolność miłowania nie jest ci całkowicie obcą, jakem to przypuszczał. Będąc twoim mężem, bez wstrętu ci oznajmiam, iż kochanek twój nie żyje. Może teraz skończy się wreszcie owa sprzeczna z małżeństwem romantyczna przewrotność”.

„Nie zaskoczyła mnie ta wiadomość - rzekłam. - Ugodzili go w serce, o czym wiadomo mi już od połowy zeszłego miesiąca”.

„To miałaś wiadomości zmyślane - odparł - gdyż prawdziwe nadeszły dopiero dziś. Lord generał Cromwell napisał o tym raport do pana marszałka Lenthalla, w którego kompanii znalazłem się dziś po południu, właśnie kiedy rozrywał pieczęcie”.

„Niemniej dobrze o tym wiedziałam - rzekłam - już w tej samej chwili, kiedy sir Edmund zginął. I mogę ci rzec więcej: stało się to w Tredah; sir Edmund poddał się generałowi Cromwellowi, a ten darował mu życie. Kiedy szedł z nim samowtór, podszedł do sir Edmunda jego stary kompan, niejaki kapitan Ropier, krewniak lorda Ropiera, i rzecze: Chciałbym z waszmością zamienić słów kilka», a wtedy dobywa szpady i wbija mu w serce.

I jeszcze więcej mogłabym rzec - dodałam - lecz o więcej nie pytaj!”

Mąż mój nie wiedział, co rzec, bowiem prawda to była oczywista. Jednakże rzekł mi o liście generała Cromwella, który był przeświadczony, iż „ów litosny czyn w Tredah”, jak go nazywał, był oznaką wielkiego zmiłowania,

sprawiedliwym wyrokiem Boga dla Jego największej chwały (gdyż oficerowie i żołnierze tego garnizonu stanowili sam kwiat armii). Mąż mój dodał: „Lord generał pisze *expressis verbis*, iż podpułkownik Verney zginął podczas szturmowania miasta, nie zaś później zamordowany, jak twierdzisz.”

„Tak - rzekłam - bo nie wątpię, że zabójstwo to obciąża jego świątobliwe sumienie”.

Przechodzi ludzkie pojęcie, jak barbarzyńskie było zachowanie angielskich żołnierzy w Irlandii, nawet wobec własnych rodaków, podczas gdy w Anglii zachowywali się tak porządnie i przyzwoicie, iż wzorem się stali na cały świat. Pewien student kolegium Christ Church, Thomas Wood, wysoki, czarny, smagły młodzian, przyjaciel Jamesa, za moich młodych lat często się przechadzał po Forest Hill i błaznował po całym domu. Później służył pod kapitanem sir Thomasem Gardinerem i okazał się tęgim żołnierzem, tak iż mianowano go porucznikiem. Po pierwszej wojnie domowej powrócił do Oksfordu, uzupełnił studia i został magistrem. Później jednak wykręcił kota ogonem, przyłączył się do armii Parlamentu i jako major brał udział w szturmowaniu Tredah.

On to właśnie - kiedy krótko potem wrócił do Anglii - opowiedział Jamesowi o owej rzezi: jak to mszcząc się za straty poniesione przez ludzi generała Cromwella w dwóch próbnych atakach na fortyfikacje, co najmniej 3000 chłopca z załogi, nie licząc kobiet i dzieci, rozniesiono na szablach po kapitulacji. Thomas Wood był też świadkiem śmierci sir Arthura Astona, gubernatora, któremu wybito mózg z czaszki jego własną drewnianą nogą, a potem ciało jego rozsiekano w kawałki, jak gdyby był Agagiem. O jego nogę żołnierze się bili, bo mówiono, iż jest ze złota. Ale okazało się, iż była jeno z drewna.

Kiedy jego ludzie - opowiadał Thomas Wood Jamesowi - mieli się wydostać na poddasze i galerie wieży kościoła Św. Piotra i wdrapać się po schodach na okrągłą wieżę warowną obok St Sunday's Gate (dokąd się schronił nieprzyjaciel), niektórzy spośród atakujących chwyтали dzieci, by je użyć dla własnej obrony, jak puklerzy. Nie udało się jednak wyprzeć nieprzyjaciela z jego stanowisk i generał Cromwell sam dał rozkaz, by wieżę puszczoneo z dymem, rozpalając ognisko z kościelnych ławek, co też uczyniono. Wtedy rozległy się spośród płomieni żalosne okrzyki nad ich głowami: „Boże, Boże, ginę! Przeklęty jestem! Górze, górze!”. A wraz potem wszystko się zapadło - i wieża, i ludzie, i dzwony. Gdy już spalili lub wybili wszystkich w nawach i kaplicach kościoła Św. Piotra, razem blisko 1000 ludzi, a wśród nich bardzo wielu papistów, księży i zakonników, których dobijali ciosami w głowę zadanymi z bliska, zeszli do podziemi, gdzie się ukryły niektóre najdostojniejsze kobiety; te ograbili, a później zamordowali. Major Wood wyznał, że i on też rabował, choć nie mordował.

Major Wood nie był przytomny śmierci Muna, jednakże potwierdził zdradziecki sposób, w jaki śmierć zadano, a wziął to sobie do serca więcej niż wszystko, co zaszło owego dnia, bo niegdyś był towarzyszem Muna w armii królewskiej w wielu bitwach i oblężeniach. Kilka miesięcy temu sam zmarł na

krwawą biegunkę w tym samym mieście Tredah i jest pochowany w tymże samym kościele, gdzie dokonywano owych nieludzkich czynów.

Rozdział dwudziesty czwarty

MÓJ MAŻ ZDOBYWA SŁAWĘ WIELKIM KOSZTEM

Od chwili śmierci Muna żyłam w nieco lepszej zgodzie z moim mężem. Kiedy bowiem już znał moją tajemnicę, mój sposób myślenia stał się dla niego bardziej zrozumiały; i choć nie miłuje mnie goręcej, jednak okazuje się bardziej wyrozumiały, za co odpłacam mu sumiennie troskliwą grzecznością i staraniem. W listopadzie 1649 roku Rada wyznaczyła mu przestronne, jasne, dobrze umeblowane komnaty w pałacu Whitehall, w tej jego części, która leży blisko Scotland Yardu. Uznałam, że jest to bardziej odpowiednie miejsce dla moich dzieci niż dom Thomsona. Okna nasze wychodziły na ładny ogród prywatny. Przed nami mieszkał tu sir John Hippeley, poseł. W tych to komnatkach dnia 16 marca 1650 roku około godziny wpół do dziesiątej wieczorem urodziło się moje dziecko; był to syn. Otrzymał on po ojcu imię John. Kocham go miłością niezwykłą, jakiej nie miałam dla żadnej z córek. Nie dlatego go kocham - jak by się mogło zdawać - iż jest chłopcem, a one są dziewczętami, na ogół bowiem zawsze przekładałam dziewczeczki nad chłopców, jako że są schludniejsze, bardziej przymilne i grzeczniejsze. Nie, powód, dla którego kocham tego chłopca, to...

Jednakże nie wyjawię jeszcze teraz owej przyczyny; gdyż sama tego nie byłam pewna, póki dziecko nie zaczęło chodzić i szczebiotać, a rysy jego nie zaznaczyły się wyraźnie. Pisać będę o innych sprawach, a tę pozostawię na koniec.

Najpierw o mojej matce i o tym, co się jej tyczy. W listopadzie 1649 roku zleciła panu Christopherowi Miltonowi, by podjął starania dla odzyskania (od komisji sekwestratorów na hrabstwo Oksford) dobytku i budulca skradzionego nam trzy lata wcześniej w Forest Hill. W czerwcu zaś następnego roku „komisja ulg od wyroków wojennych” podpisała dekret przychylny dla niej, oświadczając, że pogwałcono prawa mego ojca i że wobec tego komisja sekwestratorów, mianowicie pan Thomas Appletree i jego przewrotna kompania, są odpowiedzialni za całą stratę.

Matka moja dowiedziała się od Toma Messengera, kiedy przybył z gościńcem od naszych dawnych dzierżawców, iż Lawrence Farre, służący sir Roberta Pye'a, okłamał mego ojca owego dnia, kiedy był on w Forest Hill. W rzeczywistości brat pana Thomasa Appletree, Mattew, nabył cały dobytek za sumę 335 funtów, wpłacając dwadzieścia szylingów zadatku, lecz wywiózł tylko tyle, ile oceniono na 91 funtów, 11 szylingów, 10 pensów. Zamierzał sprzedać to w Londynie za trzykrotnie większą sumę i tym zyskiem opłacić następny ładunek

- bo owe dwadzieścia szylingów wpłaconych na zadatek były jedynym jego bogactwem. Miał więc wrócić po resztę. Ale owego dnia, kiedy tam był mój ojciec, jeno najlepsze sprzęty i obrazy z małej bawialni i z sieni były wywiezione, a także ziarno, chmiel, wełna, deski i inne rzeczy z podwórza. Reszta sprzętów i kotar była na miejscu (jak i kolasy, a to z braku pociągowego inwentarza) oraz cały budulec z wyjątkiem tego, który później zabrali obywatele Banbury. Farre zełgał memu ojcu z obawy, iż będzie próbował włamać się do domu i gwałtem pochwycić część swego dobytku, za którą to stratę Farre odpowiadałby przed sekwestраторami. Kilka dni później Farre rzekł sir Robertowi Pye'owi, seniorowi, co zaszło. To rozgniewało sir Roberta, gdyż rozumiał, że sprzedaż była oszustwem, i zakazał Farre'owi wydać cokolwiek ponadto z domu lub z podwórza. Kiedy więc Matthew Appletree wrócił ze swymi wozami, by wziąć nowy ładunek, rzekł mu Farre, by się zabierał szybko, bo oszustwo się wydało. Toteż z miejsca wziął nogi za pas, zostawiając wozy, i więcej nie wrócił.

Cały dobytek, jaki pozostał na podwórzu lub we dworze, zajmowanym obecnie przez imię Masona, jednego z naszych dzierżawców, przekazano znowu mojej matce owym dekretem „komisji do ulg”. Jednakże dobytek ów podlegał grzywnie 180 funtów, nałożonej na majątek mego ojca w chwili zawarcia ugody. Mathew Appletree otrzymał też od komisarzy polecenie zwrócenia sumy 91 funtów, 11 szylingów i 10 pensów do kiesy majątku - choć należałoby się co najmniej 250 funtów, które zabrał niesłusznie; wówczas miał otrzymać zwrot dwudziestu szylingów wpłaconych jako zadatek. Łajdak ten oparł się jednak wyrokowi i pieniędzy nie zwrócił, a tłumaczył się nieustannie, aż wreszcie w końcu roku trybunał, który zarządził zwrot sumy, utracił władzę i tak Matthew Appletree mógł sobie kpić z mojej matki. Co więcej, nie mogła moja matka przejąć dobytku, jaki jej przyznano, nie miała nawet dziesięciu funtów w gotowiznie, by wpłacić je na poczet grzywny. Ponadto uważała ową grzywnę za zdzierstwo, gdyż obliczono ją na podstawie wygórowanego szacunku dóbr, nawet gdyby naprawiono krzywdę wyrządzoną (przez sam Parlament) w materii budulca przyznanego obywatelom Banbury.

Była jeszcze inna udręka: ta, że w styczniu tego samego roku 1650 przeszła ustawa dotycząca tych wszystkich, którzy na mocy długu czy zastawu - po wybuchu wojny domowej - weszli w posiadanie dóbr, z których właścicielami nie zawarto ugody. Na mocy tej ustawy sami musieli się ugodzić, wpłacając takie same należności, jakie by zapłacił sam właściciel, gdyby dobra owe jeszcze posiadał. Był to sposób na unieważnienie wielu sąsiedzkich przysług: nieraz bowiem rodziny parlamentarzystów pozornie trzymały ziemię w zastawie, biorąc ją chwilowo w posiadanie, aby swym przyjaciołom i krewnym, stronnikom króla, oszczędzić wydatku na ugody; później zaś niszczone domniemany list zastawny, a prawowitych właścicieli zapraszano do powrotu. Zdawało się, iż ustawa ta ułatwi sprawę mojej matce. Skoro bowiem mąż mój wziął w posiadanie wolne grunta w Wheatley na mocy zastawu, zmuszony był

ugodzić się i został wezwany przez komisarzy do zapłacenia części grzywny nałożonej na cały majątek mego ojca, a mianowicie 130 funtów. Następnie mógł cieszyć się posiadaniem owych dóbr, dopóki tak pierwotny dług, jak i grzywna 130 funtów nie zostaną wymazane przez dochody, wynoszące 80 funtów rocznie. Tak więc moja matka, aby mogła odzyskać dobytek w Forest Hill, musiała wpłacić (według rozumienia mojego) zaledwie 50 funtów, to jest jedną dziesiątą jego wartości wynoszącej 500 funtów.

Kiedy mój mąż zawierał ugodę, prosił o zwolnienie go z „wdowiej należności w wysokości jednej trzeciej”, to jest z 26 funtów, 13 szylingów i 4 pensów, które dotąd płacił mojej matce z tenuty dzierżawnej, jaką inkasował. Jednakże w zaleceniu, które ustaliło wysokość grzywny na 130 funtów, komisarze nie wspominali o wdowiej części, więc mój mąż przestał ją wpłacać. Uważał bowiem za niesprawiedliwe, by zapłaciwszy grzywnę większą, niżby rozum nakazywał, miał też płacić nadal mojej matce ową trzecią część, dla której nie uczyniono mu ulgi, ale matka moja rzekła, iż sianem się wykrecił, bo grzywna z wolnych gruntów w Wheatley należała się w wysokości 160 funtów (jako dwuletni dochód po 80 funtów rocznie) raczej niż 130 funtów. A w każdym wypadku mój mąż odzyska swoich 130 funtów w ciągu paru lat, łącznie z resztą długu. Mniemała więc, iż komisarze prawdziwie udzielili mu cichego zwolnienia, o które zabiegał. Toteż słusznie się należało, by jej wypłacał wdowią część, która stanowi podstawę jej utrzymania. Te wywody matka moja złożyła na piśmie i wręczyła mi dla pokazania memu mężowi, co też uczyniłam. Tyle jeno rzekł w odpowiedzi, iż gdyby komisarze nakazali mu płacić matce mojej ową część, a grzywna byłaby o tyle umniejszona, uczyniłby tak; lecz w żadnym innym wypadku nie będzie płacił. Grzywna 130 funtów spadła na niego bardzo nie w porę - powiadał - i pozbawiła go wszelkiego dochodu z majątku na przeciąg blisko dwóch lat.

Rzekłam mu: „Mężu, wielki to cios. Matka moja jest wdową z czworgiem sierot pozostających całkowicie na jej utrzymaniu”. „Tak masz rację - odparł - to wdowa po walijskim oszuście i łajdaku”.

„Mój ojciec był dla mnie dobrym ojcem, miłuję jego pamięć i nie chcę słuchać oszczerstw”.

„Doprawdy, nie chcesz? - rzekł. - W takim razie chciałbym, abyś była równie szczerą i miłującą żoną jak córką!”

„Owa trzecia część to jedyne pieniądze mojej matki na utrzymanie - rzekłam - i nierozsądnym byłoby oczekiwać, by komisarze o nich wspominali: nie ty bowiem płacisz grzywnę, lecz majątek. Koniec końców, nie twoja będzie strata. Dlaczego wyznaczają ci grzywnę? Dlatego, że jesteś właścicielem; a podczas gdy ciebie stać na tę drobną kwotę, ona żyć bez niej nie może”.

„Skąd wiesz, iż mnie na nią stać? - zapytał. - A co będzie, jeśli powiem, iż rzecz ma się inaczej? Nie życzę sobie więcej o tym słyszeć. Moja odpowiedź dla twojej matki jest wyraźna: «Nie»”.

Kiedy powtórzyłam jego słowa mojej matce, była bliska szaleństwa, jako że liczyła na 26 funtów, 13 szylingów, 4 penty, dzięki którym mogłaby odzyskać 500 funtów. Zaciągając bowiem pożyczkę 25 funtów, obiecaną przez ciotkę Moulton, która choć żyła biednie, miała jednak kilka jeszcze klejnotów na sprzedaż, zdołałaby opłacić resztę grzywny oraz przejazd kolasa do Forest Hill. Tam odzyskałaby całkowity dobytek, by go sprzedać za pokaźną cenę. A teraz - cóż może zrobić, skoro nie opłaciła grzywny? Idąc za radą Richarda - bo pan Christopher Milton nie chciał w tej sprawie maczać palców - wniosła petycję do komisarzy, by nakazali memu mężowi płacenie nadal jej wdowiej części, aby uchronić ją i dzieci od głodowej śmierci.

Po zbadaniu swej poprzedniej decyzji komisarze stwierdzili, iż nie obejmowała nakazu, by mój mąż płacił jej wdowią część, i objaśnili ją, iż może iść z nią przed sąd, jeśli nie jest zadowolona z dotychczasowego rozstrzygnięcia sprawy. Tego ticzynić nie mogła, nie mając pieniędzy na koszt sprawy, a poza tym obawiała się, że mąż mój mścić się będzie na mnie. Toteż żyła w biedzie i tak żyje nadal. Jest to rzecz wielce dla mnie bolesna. Wyraźnie powiedziałam o tym memu mężowi. Odważyłam się nawet przypomnieć mu obowiązki wobec sierot i wdów. Odpowiedź dał jeno tę, iż Pismo św. zakazuje mu takich krzywdzić, lecz nie nakazuje, by sam siebie krzywdził na ich rzecz.

O wydarzeniach z życia mych braci i sióstr od 1646 roku, kiedy ostatni raz o nich pisałam, nie będę wiele mówić - tyle tylko, iż straciłam brata Williama, kapitana w służbie parlamentarzystów pod rozkazami generała Moncka. Trafiła go w Szkocji kula z muszkietu, w jakiej miejscowości - nie wiem. A mój umiłowany brat James pisze do gazety walczącej ostro z rządem, ja zaś drzę każdego dnia, iż przyjdzie wiadomość o jego uwięzieniu. Moja siostra Zara wyszła za mąż. Ubóstwo uczyniło z niej najbardziej świątobliwą z kobiet, a pewnego dnia błagała, bym jej przebaczyła wszystkie przykrości, jakich od niej doznałam, na co zgodziłam się chętnie, bo sama nie byłam dla niej najlepszą z sióstr. Potem prosiła moją matkę o zgodę na jej wyjazd do Francji: chciała tam wstąpić do klasztoru; matka jednak odmówiła i Zara poddała się jej woli. Wreszcie pewien kapitan, który stracił wzrok na wojnie, Richard Pearson, papista, zakochał się w jej słodkim głosie i dobrych uczynkach i ożenił się z nią. Dochodu ma jeno 100 funtów rocznie, jednakże uważamy to małżeństwo za prawdziwie szczęśliwy związek, bo kapitan jest szlachcicem od dziewięciu czy dziesięciu pokoleń i człowiekiem ochoczego serca.

Co do mnie, to nie jestem już tą samą kobietą, jaką byłam przed urodzeniem mego syna. Mały ten łobuz wyrządził mi tak wielką szkodę, przychodząc na świat, iż Trunco, która była moją babką przy porodzie, rzekła memu mężowi prosto z mostu, iż jeśli będzie ze mną jeszcze spółkował i zajdę w ciążę, to po upływie dziewięciu miesięcy będzie wdowcem. Mogę teraz chodzić jeno o kiju, a wdrapanie się po schodach na górę i z powrotem na dół jest dla mnie męczarnią. Ale nie będę udawać nieszczęśliwej. Mój mąż zgodził dobrą kobietę wiejską do pomocy przy dzieciach.

Jest rad z miłości, jaką żywię dla naszego syna, Johna, którego często podrzuca na kolanach, nucąc mu dziwaczne śpiewki. A kiedy nabył dla Johna koral ze srebrnymi dzwoneczkami, by sobie na nim ostrzył zęby, mnie ofiarował w darze złoty pierścionek z trzema perełkami.

Mój mąż jest teraz najdumniejszym, a zarazem najgodniejszym pożałowania człowiekiem z powodu tego wszystkiego, co go spotkało od chwili nominacji na sekretarza do języków obcych przy Radzie Stanu. Pisze dla Rady gładkie listy łacińskie w odpowiedzi na otrzymywane listy w językach: niemieckim, holenderskim, francuskim, hiszpańskim i portugalskim - gdyż wszystkie te języki rozumie dość dobrze, by posługiwać się nimi w rozmowie z posłami zagranicznymi w imieniu Rady. Jeszcze kilka miesięcy temu badał dla Rady podejrzane druki i książki i zdawał z nich sprawę; a przez rok czy więcej pisał anonimowo do „Mercurius Politicus”, gazety ukazującej się w każdy czwartek, która zarazem podlegała mu jako cenzorowi. Jedna z jego prac opublikowanych w owym „Merkuryszu” wywołała wstrząs. Pisał o sprawie wielebnego Love’a, duchownego z kościoła Św. Anny z Aldersgate, który w roku zeszłym [1651] spiskował ze Szkotami i z prezbiteriańskimi banitami, takim jak pułkownik Graves i inni, by znieść Radę Stanu, a proklamować Karola, króla Szkocji, także królem Anglii. Kiedy Love’a wraz z jego współnikami pojmano i skazano za zdradę, wszyscy duchowni prezbiteriańscy w Londynie wnieśli petycję o łaskę dla niego. Jednakże mój mąż w „Merkuryszu” pochwalał wyrok śmierci jako sprawiedliwy i przykładowy, a generał Cromwell kazał Love’a powiesić na Tower Hill dla postrachu. Jakże gorzko biednemu Tomowi Tannerowi przyszło opłakiwać nabożnego proboszcza.

Autorem owych gazetowych ciekawostek, które co tydzień się rozchodzą po całym kraju, jest niejaki Marchamont Needham, obleśna figura, niegdyś odzwierny w szkole krawieckiej, który pisał dla Parlamentu przeciwko królowi, a po ścięciu króla przeciw Parlamentowi. Później został uwięziony, a wtedy posłano mego męża, aby go przekonał i skłonił do nowej zmiany przekonań. Większość pismaków gazetowych jest sprzedajna, i to za grosze. Podczas ostatnich wojen każdy zadufany w sobie gryzpiórek i oszust mógł rozdymać własną sławę za skromną opłatą w takich pismach jak „Merkurysz” albo „Intelligencer”. Niejaki sir John Gell stał się znany z tego, iż opłacał redaktorów gazety, dzięki czemu każde poczynanie przeciwko wrogom w jego hrabstwie Derby lub w hrabstwach sąsiednich jemu oczywiście przypisywano. To zaś, co jest wydrukowane, dla każdego prostaka już jest ewangelią. Toteż polityka Rady do tego zmierza, by wziąć na dobrą pensję najpracowitszych pisarzy, nawet takich, co zgorszenie szerzą swoim życiem lub językiem, byle tylko znali sposoby przekonywania ludzi, że białe lub szare jest czarne jak smoła, a w razie potrzeby - że sadze są anielskiej białości. Rada bardzo ma szczodłą rękę, gdy chodzi o nagrodzenie wiernej służby - zgodnie z przysłowiem, iż kto kradnie wołu, Bogu. składa kopyta w ofierze. Jeśli im się kto ukłoni, nie zada sobie fatygi daremnej. Pan Needham jest teraz serdecznym druhem mego męża.

Ścierpieć nie mogę tego człowieka z podłym sercem, a obleśnym spojrzeniem. Bo czymże jest zmiana przekonań jak nie nową obłudą? - ani pojąć nie mogę, dlaczego mój tak jest niewybredny, chyba iż sam tak często odwracał kota ogonem, od stronników prałatów do prezbiterianów i od prezbiterianów do „niezależnych”, że poczuwa się do wspólnoty ze wszystkimi ludźmi niestałego sumienia.

Znaczenie Rady wzmożło się ogromnie, tak w kraju, jak i za granicą. Lord generał Cromwell ujarzmił Irlandię tak, jak nigdy jeszcze ujarzmioną nie była, a całe połacie kraju zamieniły się w pustkowia. Ponieważ zaś Szkoci zapraszali swego nowego króla, Karola II, do jego królestwa, tenże Cromwell najechał Szkocję i wygrał sławną bitwę pod Dunbar; a ubiegłego roku, walcząc przeciw spiskowi króla Karola z angielskimi prezbiterianami pragnącymi odwetowego najazdu na Anglię, zwyciężył w jeszcze sławniejszej bitwie pod Worcester, gdzie Szkoci stracili 14 000 zabitych lub jeńców, podczas gdy straty Anglików wyniosły 200 ludzi. Odtąd większość Anglików wbiła się w dumę dzięki posiadaniu takiej armii. Europejscy książęta i rządy, które początkowo z abominacją odwracały się od zbrodni oszalałych Anglików, teraz nabrały dla nich szacunku; bowiem Rada z ręcznie wychodzi z każdej kwestii. Jednakże król Karol uciekł w Worcester z pola bitwy, niezbyt chlubnie, a póki on żyje, sprawa jego żyje również. I chociaż Szkocja, opanowana przez generała Cromwella, jest teraz wcielona do wspólnoty angielskiej, dysydenci wszelkiego rodzaju kwitną jak chwasty w prezbiteriańskich ogrodach.

Tak oto generał Cromwell jest dziś pierwszym u nas dostojnikiem. Lord generał Fairfax już przed zwycięstwem w Dunbar zrezygnował ze swego generalskiego stopnia, gdyż mając prezbiteriankę za żonę nie mógł się pogodzić w swym sumieniu z najeżdżaniem Szkocji, ojczyzny prezbiterianów: wycofał się w zacisze swych książek i sadów w pięknej posiadłości Nun-Appleton w Yorkshire; i mocnego trzeba by haka, jak się zdaje, by go na nowo stamtąd wyciągnąć. Toteż, jak mówi ballada:

Oliver wszystkim dziś,
Oliver wszystkim dziś,
Oliver w Whitehall rządzi!
Oliver tu,
Oliver tam,
Oliver grzmi i sędzi!

Uderza dłonią w szpadę Oliver wielki! - itd.

Nawet mój mąż, choć pochwał skąpi, widzi w generał-kapitanie Cromwellu największego dowódcę w historii świata. A generał-kapitan Cromwell ze swej strony nabrał wielkiej estymy dla mego męża i w oczy mu gratulował, jako najpierwszemu pisarzowi całej Europy: i za takiego uważa go wielu innych ludzi od czasu, kiedy zwyciężył sławnego Salmazjusza.

Kto nie słyszał o Salmazjuszu, alias Claude de Saumaise, do niedawna uważanym za jedyny fenomen literacki swoich czasów, za mędrca największej

wiedzy od czasów Arystotelesa? Prawdę rzekłszy, sama nie słyszałam o nim nigdy, dopóki Rada nie poleciła memu mężowi, by napisał książkę przeciw niemu. Lecz jestem kobietą i na uniwersytecie nie studiowałam; a zresztą sława jego rozbrzmiewała głośniejsz na europejskim kontynencie aniżeli na tej tu wyspie. Ręczę jednak, iż mąż mój znał imię jego i sławę: a w samej rzeczy uczcił go w pamfletach pisanych za czasów, kiedy był dopiero prezbyterianinem. Salmazjusz opublikował swój pierwszy traktat w 1608 roku, to jest w roku urodzenia mego męża, a liczył sobie wtedy zaledwie dwadzieścia lat. W 1629 roku ukazało się jego arcydzieło, foliał z ośmiuset gęsto zadrukowanych stronic: edycja *Historii encyklopedycznej Solinusa Polyhistora* zaopatrzona w tak wiele przypisów, sformułowanych w kształcie uczonych glos łacińskich do każdego rozdziału, że sam Solinus zdawał się jeno miernym jakałą w porównaniu ze swym nowym preceptorem. Książkę tę powitali wszyscy uczeni europejscy - przynajmniej ci, których nie powstrzymywała zawiść - tak gorącymi pochwałami, iż Salmazjusz wielki miał napływ listów od rywalizujących uniwersytetów. Ofiarowywano mu katedry i inne zaszczyty, obiecując wysokie dochody i sycąc niezliczonymi pochwałami i panegirykami. Zwracali się do niego uczeni z Leyden, Utrechtu, Padwy, Bolonii, Upsali i Oksfordu, a nawet sam papież (choć Salmazjusz był zdeklarowanym wrogiem papiestwa, jako że będąc w Niemczech przeszedł na religię reformowaną), który chciał go zjednać darami i pochlebstwem. A król francuski ze swej strony zazdrośnie pilnował, by uczonej Francji nie opuścił.

W owej zażartej walce zwyciężyli Holendrzy, ofiarowując *najwyższą* stawkę, a mianowicie katedrę wyróżnioną spośród wszystkich innych na sławnym uniwersytecie w Leyden oraz wynagrodzenie wysokiego dostojnika. Znajdzie też w Leyden lepszą bibliotekę aniżeli w jakimkolwiek uniwersytecie papistów, a książki będzie mu wydawał mistrz Elzivir, najpierwszy z drukarzy Europy. Salmazjusz przyjął dostojęstwa odpowiadając na piśmie, iż większa zawsze jest swoboda w rzeczpospolitej aniżeli w królestwie. Przez jakieś osiemnaście lat wytrwał w Leyden, pisząc olbrzymie księgi o starożytności, religii, filozofii, prawie, astrologii - i nie wiem, o czym jeszcze. Pisma te wzbudziły tak wielki podziw uczonych, iż król francuski pragnął jego powrotu do ojczyzny za jaką bądź cenę; a kiedy się grzecznie wymówił, król przysłał mu oznakę szlachecką jako wolny dar i wyróżnienie. Ludzie wszystkich stanów i kondycji cisnęli się doń, jako do uznanej bezspornie wyroczeni wszelkiej uczoneści, szukając u niego oświecenia w trudnościach i wątpliwościach.

Ów Salmazjusz, jak mi się zdaje, jest człowiekiem dosyć podobnym do mego męża: drażliwy, bystry, dumny, niestrudzony, cierpiący na bóle głowy, zawsze skulony nad książką, z inkaustem i papierem pod ręką, zawsze świadom wszystkiego, co kiedykolwiek przeczytał, zaopatrzony w tak ogromny bagaż książkowej wiedzy, że nigdy nie znajdzie dosyć czasu, aby go w całości przelać na papier i przekształcić w nowe książki. Jeno trzy są rzeczy, w których się z

moim mężem różni: nie jest poetą; sława nauczyła go pewnej lekkomyślności; za żonę ma jędzę, która nim rządzi.

Salmazjusz dobrze był obeznany z tym, co działo się w Anglii, i dokładnie spenetrował nasze sprawy. Tak rojaliści, jak parlamentarzyści zasięgali jego rad w swoich sporach. On zaś wypowiadał się przeciw ingerowaniu biskupów w sprawy świeckie, choć nie chciał ich ani niszczyć, ani wyrwać z ko-rzeniami. Jednakże miał abominację do dysydentów i schizmatyków, a prezbyterianie, tak szkoccy, jak i angielscy, oraz angielscy i irlandzcy papiści i stronnicy prałatów, przebywający obecnie na wygnaniu, i wreszcie sam król Karol II żywili nadzieję, iż użyje pióra przeciw królobójcom, którzy ujeli rządy w Anglii i w Irlandii. Król Karol przesłał Salmazjuszowi 100 funtów ze swojej chudej kiesy, a ten łaskawie je przyjął - jako że wedle stawu grobla - i już w listopadzie 1649 roku ukazała się jego książka zatytułowana (po łacinie) *Królewska obrona*. Początek brzmiał szumnie:

„Ostatnio zraniły nasze uszy - a jeszcze bardziej nasze umysły - okropne pogłoski o ojcobójstwie popełnionym w Anglii na personie króla przez zgubny spiszek świętokradców. Kogokolwiek dosięgły te ohydne wieści, zdał się na miejscu od pioruna rażony, włosy mu dęba stawały na głowie, a głos utykał w gardle. Tak, nawet słońce samo w swym rocznym obiegu nigdy nie spojrzało na nikczemniejszy i bardziej wstrętny czyn [...]. Godnymi powszechnej nienawiści i obelgi są autorzy tego straszliwego i niesłychanego postępu, godnymi, aby byli prześladowani ogniem i mieczem nie tylko przez wszystkich królów i książąt Europy, którzy rządzą na mocy królewskiego prawa, ale także przez dostojników kierujących uczciwie myślącą i dobrze sprawowaną rzecząpospolitą. Albowiem ci burzyciele i fanatycy nie tylko znajdują radość w podważaniu królewskich tronów, ale usiłują obalić każdą władzę nie przez nich stworzoną. Niczego innego nie pragną, jak tylko rewolucji i przewrotu wszystkiego tego, co ustalone jest zarówno w Kościele, jak w państwie. A czynią to z bezgraniczną żądzą dalszych innowacji, aby zdobyć dla siebie prawo rządzenia wszystkimi, a nie słuchania nikogo...”

W dalszym ciągu Salmazjusz dociekliwie badał prawa królów wedle Starego i Nowego Testamentu i twierdził, że nawet tyrani mają święte namaszczenie i są dla poddanych nietykalni, a odpowiedzialni jeno przed Bogiem. Za pomocą licznych cytatów i przykładów przeprowadził na to dowód poprzez całą historię starożytną i nowoczesną. Uzupełnił swą argumentację krótką historią królów angielskich, dowodząc, iż żadną miarą nie byli oni zależni od parlamentów. I wreszcie doszedł do najwyższego szczytu dzieła, do opisu ohydneho sądu i kaźni króla Karola i do wspaniałej pochwały jego cnotliwego życia i charakteru. Końcowy zaś wniosek był taki:

„Sami jeno żołnierze «niezależnych» i ich oficerowie, mieszkańcy angielskiego królestwa (gdyż owa zaraza, «niezależności» obca jest i Szkotom, i Irlandczykom), w liczbie nie większej jak jeden na stu angielskich obywateli, oni to - powiadam - ojcobójstwem tak niewypowiedzianie dzikim, iż nie ma

dlań prześlągania na ziemi, pozbawili trzy królestwa wspólne im jednego króla, jego zaś pozbawili życia bez żadnej innej racji oprócz gonienia za przewrotną wiarą, która nienawidzi rządów królewskich i osób rządu te sprawujących”.

Na to właśnie dzieło miał mój mąż dać odpowiedź z polecenia Rady. A był do tej pracy człowiekiem najbardziej powołanym. Bo oto wtargnął na jego domenę, którą uważał za nietykalną, ów Salmazjusz! Mąż mój, kiedy otrzymał to zlecenie, poczuł się niejako wyrostkiem, któremu ojciec użyczył topora, by ściąć wielkie, spróchniałe drzewo. Jakżeż radował się wywijając owym toporem w powietrzu; ciągnął po ostrzu palcem, potem szlifował je o krzemień, a trzonkiem uderzał, by osadzić żelazo tym mocniej. Uderzał w pień drzewa to tu, to tam, nasłuchując, czy pusty, i kredą znaczył miejsca, gdzie uderzyć, aby móc zwalić je bez trudu i akuratnie - właśnie w to miejsce, które sobie upatrzył. Nad ową odpowiedzią pracował przez cały rok w każdej chwili wolnej od zajęć dla Rady, zamknięty w swej bibliotece z chlebem, serem, piwem, tabaką i świecami, a nie ścierpiał, by mu przeszkodzono czy przerwano z jakiegokolwiek przyczyny, choćby nawet pożar ogarnął pałac lub tłum wtargnął, by mnie zgwałcić albo zamordować dzieci. Nie było to zadanie łatwe: musiał tropić Salmazjusza jak chart poprzez wszystkie dwanaście rozdziałów, a żadnego ważniejszego twierdzenia nie pozostawić bez odpowiedzi.

Musiał więc zbadać oryginalny tekst każdego cytatu i sprawdzić logikę wyprowadzonych z niego wniosków, przytaczając nowe cytaty z autorów - i tych samych, i innych - spośród długiego ich szeregu od Homera do Hottomana, od Sulpicjusza Sewera do Sichardusa, od Gildasa do Guiccarda.

Uważał tę pracę za wielce szkodliwą dla oczu; pisał swą rozprawę urywkami, robiąc przerwy niemal co godzinę, by wzrok odpoczął. Mimo to nikt nie brał poważniej swego zadania jak on w owym czasie. Sumiennie oddawał uderzenie za uderzenie, łajanie za łajanie, błoto za błoto. Salmazjusz (pisał) jest głupcem w materii łacińskiej gramatyki; był też najemnym żałobnikiem na jakimś pogrzebie i obłudnie wylewał krokodyle łzy; jest cymbałem, zakutą pałą, kłamcą, oszczercą, niewolnikiem, apostatą, diabłem, obłudnikiem, baranem, ryjkowcem, ignorantem, francuskim włóczęgą, Judaszem i wielkouchym osłem ujeżdżanym przez jędzę. A ów opłakiwany przez Salmazjusza król (pisał dalej mój mąż) był uwodzicielem, który w teatrum łajdaczył się z dwórkami, a w miejscach publicznych bawił się wdziękami - nawet ukrytymi - dziewic i matron; ten potwór łajdaczył się nawet z kochankiem swego ojca, księciem Buckinghamem - i jego właśnie pomocą posłużył się do trucia ojca; podły samozwaniec - podszywał się pod królewskie pochodzenie, choć dziadkiem jego był Dawid Rizzio, rozpustny włoski muzyk, kochanek Marii, królowej Szkotów.

Republikański sposób rządzenia (pisał mój mąż) pomyślał Bóg jako doskonalszy od monarchii, choć zezwolił Żydom przynajmniej na zmianę jednego ustroju na drugi; a nie odmówił tego prawa i innym narodom. Armia (pisał dalej) ma spojrzenie bystrzejsze i trafniejsze na sprawy, niż mieli

posłowie, bo mieczem uratowała to, co posłowie niemal zmarnowali głosowaniem. Anglia nigdy nie miała króla, który by wedle prawa i obyczaju nie podlegał sądowi swych poddanych za zbrodnie popełnione przeciwko nim. A wniosek końcowy wyciągał taki: Ja nie drzę, podły ślimaku, przed żadną wojną czy grozą, jaką ty mógłbyś uknuć przeciw nam wśród obcych królów przez swoją wartką a mdłą wymowę - mimo żartobliwych sprawozdań, jakie im składasz, że tu zażywamy koronowanych głów jak nożnych piłek, że bawimy się koronami jak bąkami, a dostojnego berła nie cenimy wyżej nad kaduceusz błazna. Zabawa głupca to twoja sprawa, próżny bałwanie, który próbujesz oszukańczą wymową skłonić królów i książęta do wojny przeciw nam. Wielce tragicznie piszesz swą perorę; niby Ajaks smagasz swym rzemiennym batem i wołasz: «Ach, niesprawiedliwość, bezbożność, przewrotność i okrucieństwo tych ludzi obwieszczę niebiosom i ziemi, a dowiódłszy na nich winy nie omieszkam obarczyć ich przekleństwem aż do ostatniego pokolenia». Ha, ha! Czy ty, pospolity dowcipniś, głupiec, pyskacz, krętacz narodzony jeno po to, by odpisywać i okradać dobrych autorów, czy ty prawdziwie myślisz, że zdolny byłbyś napisać jakąkolwiek księgę, która by przetrwała do następnych pokoleń? Nie, głupcze, nadchodzące czasy owiną cię w twoje własne stęchłe piśmidła i skazą cię na niepamięć. Tam to spocznieś na wieki, chyba iż tę ostatnią twoją księgę wezmą kiedyś do ręki czytelnicy - tak dociekliwe badający moją odpowiedź na nią, że otrząsną pył z jej oprawy, by czytać”.

Ową odpowiedź pod tytułem *Obrona narodu angielskiego* opublikował pan Dugard, zwolniony z więzienia Newgate pod warunkiem, iż zmieni barwę i udzieli pomocy Radzie. Więzienie Newgate to kaznodzieja wymowny: skłania serca do pokuty jeszcze szybciej aniżeli ów krotochwilny łgarz, wielebny Hugh Peters, kapelan generała Cromwella, nawraca prezbiterianów poszukujących miejsca przy korycie i w uniwersyteckich bursach na swój własny lekkomyślny rodzaj „niezależności”.

Mąż mój zaprzyjaźnił się dosyć blisko z panem Dugardem, świetnym drukarzem, dawniejszym przełożonym kupieckiej szkoły krawieckiej. Kiedy inny drukarz skradł prawo druku jednej z pana Dugardowych ksiązek (o chorobie zwanej krzywicą), mój mąż wniósł skargę przed Radę i uzyskał, że sprawiedliwości stało się zadość. Ostatnio przyjaźń jego dla pana Dugarda, który drukuje cokolwiek bądź, byle to sprzedać, naraziła go na biedę. Bo niebacznie zezwolił mu drukować książkę, którą potem na wniosek ministrów zbadała parlamentarna komisja i uznała za „błźnierczą, fałszywą i gorszącą”. Wydrukowane egzemplarze nakazano spalić w Londynie i w Westminsterze pod nadzorem urzędników sądowych. Książka ta, napisana w Polsce, odrzuca Trójcę Świętą, bóstwo Chrystusa, bóstwo Ducha Świętego oraz bliźniacze doktryny Odkupienia i grzechu pierworodnego, twierdząc, iż są to wierzenia mylne i zgubne. Mąż mój nie mógł bronić się nieznajomością błźnierczej treści tej księgi, bo kilka lat wcześniej ostro się wypowiadał przeciw takim cenzorom, którzy stawiają swe imprimatur na książkach, których nie czytali. Nie mógł też

pochwalać doktryny. Jakich używał krętaństw i forteli, by uniknąć odpowiedzialności, nie wiem. Zapewne przedstawił ową książkę jako śmieszny i nieszkodliwy wybryk, znamieny dowód ludzkiej aberracji, sprowadzający do absurdu spekulację myślową nieuków. Jednakże przeciw takim jak ta doktrynom wyszła ustawa i obowiązywały srogie kary za szerzenie ich: banicja w razie powtórnego popełnienia zbrodni, a śmierć, gdyby bluźnierca wrócił na naszą wyspę.

Powracając do *Obrony narodu angielskiego*, trzeba stwierdzić, że nadzwyczaj celnie trafiła ona do umysłów, ale nie tak bardzo w Anglii jak na uniwersytetach europejskich, gdzie uczeni już mają dość Salmazjusza (którego przewali Straszny Człowiekiem) i radują się jego konfuzją. Oto ten znakomity Goliat, zbyt zadufany w sobie, pozostawił tyle szczelin w swej zbroi, a mąż mój wzgardził procą, by go powalić na sposób tchórzliwy, jak Dawid. Wyszedł mu naprzeciw, zbrojny w zwykły oręż uczonego wojownika i pobił go jego własną metodą szermierki, a przebił go na wylot wielekroć. Wreszcie zadał cios ostateczny własnym mieczem Goliata, bo cytował przeciw Salmazjuszowi własne jego słowa ze znanej książki o papieżstwie, opublikowanej cztery lata wcześniej. Salmazjusz wzywał tam do niszczenia nie tylko papieżstwa, ale całej hierarchii biskupów, którzy, powiadał, zgubili królów i książęta swą straszliwą tyranią. Teraz natomiast za honorarium 100 funtów złożył angielskiemu Parlamentowi za to, iż tego czynu dokonał, a nawet posługuje się w obronie biskupów tymi samymi argumentami, które tam zbijał: mianowicie, iż biskupi są pożądanymi i koniecznymi, by przeszkodzić powstawaniu niezliczonych, tchnących zarazą sekt.

Tak się złożyło, iż Salmazjusz był wówczas nieobecny w Leyden. Popadł w niełaskę u Holendrów, którzy zabiegali teraz o przymierze z Anglią i na skargę Rady odpowiedzieli zakazem dalszej publikacji Salmazjuszowej *Obrony królewskiej* w obrębie holenderskich granic. Jednakże opuszczał Leyden z podniesioną głową, zaproszony przez Krystynę szwedzką, miłującą uczonych, która zebrała ich sporo na swoim dworze, jakby tyleż żywych klejnotów - Freinsheima, Vossiusa, Heinsiusa i innych. Bez Salmazjusza jej naszyjnik byłby niepełny. Teraz była usatysfakcjonowana, że przybył i Salmazjusz (odziany w szkarłatne hajdawery i czarny kapelusz z białym piórem), a to za zgodą kuratorów uniwersytetu w Leyden. W ciągu ubiegłego roku trzymała u dworu - jako swego nauczyciela filozofii - najznacniejszego myśliciela tego wieku, imię pana Kartezjusza, który jednak niedawno zmarł na skutek srogiego w Szwecji klimatu. Z obawy, iż spotka go los podobny, Salmazjusz pędził większą część zimy, leżąc wygodnie w łożu we wspaniałych komnatach pałacu królewskiego w Sztokholmie, a królowa często go odwiedzała, zasięgając jego rady w sprawach niemałej wagi. Nieraz, kiedy pani Salmazjusz się przechadzała, królowa zamykała drzwi i krzątała się koło niego jak służebna, poprawiając poduszki, podniecając ogień lub przygrzewając polewkę. Powiadają, iż wszedłszy raz z nagłą ujrzała, jak wielki uczoney szybko wcisnął jakąś

książeczkę pod wezglowie. „O, miły panie Klaudiuszu - rzekła - nie skrywaj owej cennej książki”. Wymawiał się niezręcznie, ale jednak ona była królową i książka musiała się wyłonić spod wezglowia. Była to nędzna błahostka, wszeteczeństwo. Królowa dała ją do głośnego czytania swej pannie respektowej, hrabinie Sparra; ona zaś, czytając, jąkała się i rumieniła. Królowa tymczasem śmiała się serdecznie i gratulowała Salmazjuszowi wielce rozpustnej lektury.

To w Sztokholmie pokazano Salmazjuszowi książkę mego męża. Jednakże królowa przeczytała ją pierwiej, a tak się nią zachwyciła, iż nie odmówiła sobie zachwalania jej wobec swego dworu. Bo kocha się w dźwięcznej mowie, w trudzie i pyle literackiego sporu, a nie dba o wygraną tej czy tamtej strony, byle szła ostra wymiana uderzeń i trafnych pchnięć. „Ciekawam - rzekła - czy ów królojrójczy Miltonus zgodziłby się bawić czas jakiś na naszym dworze. Mniemam, iż byłby nie lada ozdobą, gdyż zarówno w nauce, jak i w słownej szermierce zdaje się być godnym przeciwnikiem każdego żyjącego człowieka”.

Jednakże nadal była dla Salmazjusza łaskawa. Ten zaś szalał ze złości i zaklinał się, że tak Parlament, jak i mego męża pośle razem w diabły, skoro tylko wróci do sił po długiej chorobie i będzie mógł podjąć ów trud. „To będzie rozkoszne, mistrzu kochany - odparła królowa, wielce ubawiona. - Ręczę, iż tego angielskiego wieprza pokrajiesz w cienkie plastry, które usmazysz na swoim ruszcie. A ufam, iż nasz Sztokholm dostąpi zaszczytu drukowania tak wspaniałego dzieła”.

Tę relację usłyszałam od mego brata Jamesa. Mój mąż twierdził, iż kiedy Salmazjusza spotkało publiczne upokorzenie dzięki jego *Obronie* (której sprzedano kilka wydań, a także opublikowano ją w tłumaczeniu francuskim i holenderskim), królowa nim wzgardziła i wygnała go z kraju. Wolę jednak wierzyć, tak jak James, że królowa się nad nim ulitowała i że Sztokholm opuścił niebawem jeno na pilne wezwanie kuratorów uniwersytetu w Leyden. Dotąd nie dał odpowiedzi, choć książka ciąży mu na żołądku jak niestrawny kawał surowego mięsa. Rywale jego szydzą, trącąc się łokciami i mówią: „Straszny Człowiek nigdy się nie podniesie po tym uderzeniu, jakie angielski królobójca wymierzył mu w trzewia!”. Salmazjusz raz wzgardliwie odmawia repliki na tak nikczemny i grubiański napad, innym znów razem grozi, że dostatecznie wykaże Miltonusowi absurdalność jego pretensji do uczoneści, cytując pomyłki, które w niezliczonej ilości popełnił w swych łacińskich wierszach.

Każdy znaczniejszy cudzoziemiec w Londynie, czy to ambasador, poseł, czy inny przedstawiciel obcego państwa lub księcia, odwiedził już mego męża, by mu powinszować jego niezwykłej księgi, lub też wyraził swe uznanie przy okazji przygodnego spotkania. Rada, nie chcąc dać się ubiec w komplementach, uchwaliła dla mego męża 100 funtów w nagrodę za jego trud. Jednakże mąż mój odmówił, aby Salmazjusz w swej replice nie wymawiał mu przyjęcia tej samej sumy, której akceptację obłudnie wytknął Salmazjuszowi uprzednio. Uważa on, że 100 funtów nie nagrodzi olbrzymiej jego pracy. „Albo - rzecze - 1000 funtów, albo nic zgoła”.

W owym czasie, kiedy zajmowaliśmy pokoje w Whitehall - których kiedyś o mało nie pozbawił mego męża nakaz Rady, by usunąć z pałacu „wszystkie osoby zbędne” - wyznaczono mu fundusz dyspozycyjny na podejmowanie co tydzień obiadem zagranicznych posłów i ambasadorów. Nie byłam nigdy obecna na tych obiadach, lecz mój mąż zezwolił, bym oszczędziła mu wydatków, sama zamawiając napoje i szykując mięsiwa w naszej kuchni. W pałacu bowiem kuchnie są prowadzone niechlujnie. Temu byłam rada, jako że już od lat nie przyprawiałam wykwintnych dań dla osób o wybrednym smaku, a sama obficie jadłam i piłam z tego, co pozostało. Stół mego męża stał się sławny, chociaż on sam zaledwie odróżnia jedną potrawę od drugiej, chyba po ostrych i palących sosach.

Księgi mego męża spowodowały publikację czterech czy pięciu odpowiedzi. Jedną z nich dostałam od Jamesa. Mego męża nazwano tam zimnym i surowym Katonem, a to dla jego zarzutu, iż nieboszczyk król jegomość lubował się dotykaniami nagiej skóry pięknych kobiet. Czyż król nie był młodym i urodziwym i czy nie dotykał również owrzodzonych nędzarzy? Ów pisarz drwił z mego męża jako skwaszonego, zgryźliwego purytanina, który nie tylko do innych gorszących doktryn „niezależnych” dodał „rozwód do woli”, ale także najmilszą swą żonę oddalił był od siebie przez prostą zazdrość. Z tego śmiałam się po cichu; a memu mężowi książki tej nie pokazałam.

W grudniu zeszłego roku wyprowadziliśmy się z Whitehall Pałace i wynajęliśmy dom z ogrodem w Petty France w Westminsterze, tuż obok rezydencji lorda Scudamore’a i z wyjściem na St. James Park: a to na skutek kłótni z bliskimi sąsiadami w pałacu. Sąsiad nasz, oficer straży przybocznej, był niezwykle hałaśliwym człowiekiem. Za dnia nieprzerwanie ćwiczył się z przyjaciółmi w szermierce i walce wręcz, a nocami śpiewali chórem hucznymi głosami psalmy i pijackie pieśni na przemian. Miał też dwoje czy troje żywych, a nieposłusznych dzieci i żonę, która szarpała struny gitary, śpiewając fałszywie i bardzo głośno. Jako że ścianki działowe były jeno z łąt i zaprawy, udręka to była wielce dokuczliwa. Mąż mój uskarżał się też, że przerywają mu pracę próżniacy; którzy do pałacu przyszli załatwić inne sprawy, a zapragnęli go odwiedzić i prowadzić z nim dyskurs. W nowym naszym domu, nie tak jak w komnatach zajmowanych dotąd, jest miejsce i dla Enda Philippsa, który powrócił z Cambridge niezadowolony ze srogich rządów nowego rektora kolegium, wielebnego Goodwina. Mąż mój pilnie potrzebuje Neda i Johna, by mu służyli za oczy i ręce. Dlaczego? Dlatego, że mój mąż teraz już jest całkowicie niewidomy.

Kiedy radził się lekarza z powodu zamglenia, jakie widzi patrząc lewym okiem, ostrzeżono go, że jeśli nie wyrzeknie się czytania przynajmniej na rok, straci wzrok również i w drugim oku. Mając jednak zlecenie Rady, by pisał przeciw Salmazjuszowi, nie dbał o ostrzeżenia. Mniemał też, iż jest to świetny interes - zdobyć poklask całej Europy za cenę drugiego oka. Leczył je nalewkami, ekstraktami i tamponami, które jeszcze pogarszały sprawę: bo

saczyło mu się między kątem oka a nosem, co zdawało się wskazywać na aegilops[51], ale pochodziło zapewne z osłabienia, nie z zapalenia ropnego. Przedmioty, na które spoglądał, płynęły to w lewo, to w prawo, tak iż zataczał się jak pijany. W nocy zaś, kiedy się ułożył na spoczynek, do mózgu docierał mu oślepiający blask mimo zamkniętych oczu. Teraz, powiada, jest przed nim nieprzerwana i stała ciemność dzień i noc, barwy mokrego drzewnego popiołu. Jenó wywracanie gałek ocznych może wpuścić szpareczkę światła w kącikach. Trudno uwierzyć, iż utracił wzrok, bo oczy jego nie zmieniły wyglądu, choć straszliwie patrzą w ślup. Ani też się nie uskarża; oświadcza, że sumienie ma wolne od wszelkiego grzechu, którego potworność mogłaby sprowadzić na niego tę klęskę. Zdobył też sławę, o którą się ubiegał, bo jeśli Salmazjusz był przedtem największym uczonym w Europie, to wnosić należy, iż pogromca Salmazjusza musi być największym uczonym świata.

Onegdaj spostrzegłam przypadkowo wielbnego Roberta Pory, gdy szedł ulicą. Kulał z powodu rany, jaką wyniósł z oblężenia Colchesteru. Nie wiem, jakie może być teraz jego zajęcie czy zawód, lecz nie nosił czarnej sukni duchownej. Znać było na nim dobrobyt, ale nie przestał być żartownisiem. Kiedy mu rzekłam: „Mąż mój, John Milton, zaniewidział”, odparł zyczliwie: „Przykro mi to słyszeć. Jednakże on nie uzna tego za boleść ponad siły, gdyż jako poeta znajdzie się w wyborowej kompanii. A gdy się nad tym zastanawiam, to przeznaczenie owo było mu w sposób nieukryty przepowiedziane przez anioła czy innego ducha, którego imienia uroczyście wzywał, będąc w Cambridge: mianowicie, że w pełni lat męskich zjednoczony będzie z Homerem i Tyrezjaszem”.

„Czyżby mąż mój prawdziwie wzywał aniołów - zapytałam.

- Czy nie było to u niego zabobonem?”

„Nie - odparł - bo kolekta na dzień św. Michała zezwala modlić się do aniołów”.

Mąż mój pociesza się filozoficznie, iż Bóg czuwa w sposób szczególnie łaskawy nad niewidomymi; a także, iż zwykł oświecać ich straszliwą ciemność o wiele doskonalszym światłem wewnętrznym; a przeklina tych, którzy niewidomych prześmiewają lub krzywdzą. Teraz nastał czas zdobycia sławy epicznej, której tak dawno pożądał i o której ciągle rozmyślał. Mniemam, iż nawet moja dalsza obecność przy nim już nie odmieni jego zamiarów: bo dziś zawołał Johna Płillipsa, by mu odczytał początek Adama wygnanego z Raju; i przy okazji poprawił dwa czy trzy słowa, aby nie wyjść z wprawy. Oohny stał się wielkim hultajem i rozpustnikiem, odkąd wujaszek nie może czuwać nad jego obyczajami.

[51] jęczmień (gr.)

Ale nie moja to sprawa, tym bardziej iż mnie już teraz nie nagabuje nawet w najmniejszym stopniu).

Miałam ze swoim mężem troje dzieci, a w swym łonie noszę czwarte, które narodzi się za miesiąc. Trzeciego dziecka, chłopca, już ojciec nie widział, odkąd mały liczył sobie kilka miesięcy, a i wtedy widział go jeno mglisto. Tak jest lepiej, bo mały John nie jest Miltonem (czy Meltonem) ani w kształcie, -ani w rysach, nie, na moje słowo, jest całym Verneyem, wiernym wizerunkiem mojego biednego, zamordowanego Muna!

Jakże się to stać mogło? Wszak nigdy nie zażyłam rozkoszy z moim miłym. Niektórzy doktorzy utrzymują, iż w trzecim czy czwartym miesiącu ciąży rodzi się dusza dziecka. Czyż byłoby możliwe, by Mun, umierając, przekazał swą duszę memu dziecku - aby w ten sposób pozostać ze mną i otaczać mnie miłością prawowitą, i być przeze mnie pieszczonym i miłowanym? Jednakże nie dbam o to, co myślicie.

Wczoraj mój mąż przysłał po chłopczyka, który ma teraz prawie dwa lata. Przemawiał do niego prostymi słowami i zawołał wesoło: Jak masz na imię, mój mały? Zaraz ci to powiem! Nie jesteś Jeremiaszem ani Jeroboamem, ani

Joachimem, ani też Jamboniuszem Justynianem: jesteś moim synem, Johnem”.

J” jest dźwiękiem trudnym dla dziecięcych ust, więc kiedy mąż mój rzeki: John! Powtórz to za mną! Hop, hop, jedzie synek, John! Mój syn, John!” - dziecko popatrzyło na niego i odparło: „Syn Mun”.

„Nie, dziecko, nie «Mun»! - zawołał mój mąż. - «Mun» nic nie znaczy. Mów: «Mój syn John!»”

Dziecko spojrzało na niego poważnie, podniosło ramiona rozstawiło nóżki szeroko i ze złością a śmiało wrzasnęło ponownie: „Syn Mun!”.

Mój mąż był tym zmartwiony i raz jeszcze zawołał: „Nie, nie, dziecino, musisz posłuchać swego ojca! Musisz to słowo dobrze za mną powtórzyć. Nosisz imię John po ojcu Johnie, który tak był nazwany dla swego ojca Johna. Jakie jest imię twego dziada? Jak ma na imię twój ojciec? Jak ty sam masz na imię? Wszystkie imiona są te same - John! Mów: «John!»” Widząc, iż mój mąż wyciąga ręce przed siebie, aby go chwycić, dziecko uciekło od niego, wrzeszcząc: „Syn Mun, syn Mun!”, i wyciągnęło rączki do mnie, bym go ucałowała.

EPILOG

W swojej Biblii rodzinnej (znajdującej się teraz w British Museum) Milton napisał własną ręką na białej stronie naprzeciw pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju, gdzie przedtem zanotował daty urodzin swych pierwszych trojga dzieci:

„Moja córka Debora...”

Dalej zaś inna ręka dopisała pod jego dyktando: „urodziła się 2 maja 1652 roku, w niedzielę, na krótko przed godziną trzecią nad ranem. W trzy dni później umarła moja żona, jej matka. A syn mój umarł w sześć tygodni po swej matce”.

Edward Phillips, który w roku 1694 opublikował życiorys swego wuja, podaje, iż śmierć małego Johna spowodowana była „nieumiejętnością a może złym zdrowiem źle dobranej niańki”. Debora jednak utrzymała się przy życiu.

Po upływie czterech lat Milton pojął drugą żonę, Katherineę Woodcock z Hackney. Bardzo niewiele o niej wiemy. Ją to właśnie w jednym z sonetów nazwał „mą niedawno poślubioną świętą”. Umarła w lutym 1657 roku, a jej pięciomiesięczna córeczka, Katherine, zmarła w sześć tygodni później.

Pomimo utraty wzroku Milton nadal pracował dla Rady Państwa, chociaż za zmniejszone wynagrodzenie. Można przypuszczać, że chciał pojechać do Szwecji na stanowisko brytyjskiego ambasadora i zastąpić Salmazjusza w czułych łaskach królowej Krystyny. Wiemy, że w *Drugiej obronie ludu angielskiego* napisał dla niej panegiryk, który jest tak pochlebny, iż trudno wyjaśnić jego genezę w jakikolwiek inny sposób. Jeśli więc rzeczywiście miał takie plany, to musiał przeżyć rozczarowanie, gdyż 16 czerwca 1654 roku, na trzy tygodnie przed ukazaniem się książki, królowa zrzekła się tronu. Salmazjusz niedługo przedtem umarł, „jak powiadają, pękło mu serce”. Milton przyjął od Rady Państwa 1000 funtów jako nagrodę za ową *Drugą obronę*, napisaną przeciw pewnemu Szkotowi nazwiskiem More, który zaangażował się w spór po stronie Salmazjusza. Znajdujemy tam taki fragment autobiograficzny:

„Przyjrzyjmy się teraz oskarżeniom, jakie przeciwko mnie wytoczył. Czy rzeczywiście jest coś nagannego w moich obyczajach albo w moim postępowaniu? Z pewnością nic. Posunął się do tego, na co nigdy nie zdecydowałby się żaden człowiek mający w sobie choć odrobinę szlachetności; zarzuca mi brak urody i utratę wzroku.

«Potwór ogromny, wstrętny, odcięty od świata».

Na pewno nigdy nie spodziewałem się tego, że będę musiał współzawodniczyć w urodzie z Cyklopami. Ale on natychmiast się poprawia, mówiąc: «choć w istocie bynajmniej nie ogromny, gdyż trudno znaleźć postać tak lichą jak jego figura, tak pokurczoną, tak bezkrwistą». Nie warto zajmować się sprawą wyglądu zewnętrznego, ale nie chciałbym też, aby ktokolwiek na

podstawie relacji moich wrogów doszedł do przekonania (podobnie jak ci hiszpańscy prostytutki, którzy kształtują swoje wyobrażenie o heretykach według tego, co mówią ich duchowni), iż mam głowę psa albo skórę nosorożca. Wyzyskam więc tę okazję, aby spłacić dług wdzięczności wobec Opatrzności i odeprzeć najbezwstydniejsze łgarstwa. Nie sądzę, żeby ktokolwiek, patrząc na mnie, był uderzony moją szpetotą; ale nie dbam też o to, aby chwalono moją urodę. Na pewno nie jestem bardzo wysoki, ale raczej zbliżam się do wzrostu średniego niż do karłowatego. Ale cóż by to znaczyło, gdybym nawet był niski, skoro tylu ludzi niskich zdobyło sławę zarówno w wojnie, jak i w pokoju? Jakże może być zwany niskim ten, kto jest dostatecznie wielki, by wszelkiej dosięgnąć chwały? Szczupły jestem, ale nigdy nie brakło mi odwagi ani siły; i nieustannie ćwiczyłem się we władaniu szpadą, dopóki pozwalał mi na to tryb życia i wiek. Mając ten oręż u boku, nie cofnąłbym się przed nikim, choćby silniejszym ode mnie; czułem się całkowicie zabezpieczony przeciwko wszelkim wrogom atakującym jawnie. Obecnie mam tę samą odwagę, tę samą siłę, choć już nie te same oczy. Jeśli chodzi jednak o ich wygląd zewnętrzny, oczy moje są tak samo jasne i świetliste jak oczy ludzi, którzy widzą wyraźnie. Pod tym jednym względem jestem - wbrew mej woli - obłudnikiem. Twarz moja, chociaż mówi się o niej, że jest całkiem pozbawiona krwi, stanowi zupełne przeciwieństwo twarzy trupio bladej. Dzięki temu, choć jestem już po czterdziestce, niemal każdy uzna mnie za człowieka przynajmniej o dziesięć lat młodszego. A gładkość mojej skóry nie jest nawet w najmniejszej mierze skażona zmarszczkami wieku.

Gdyby w tej relacji było choć źdźbło fałszu, to przecież ośmieszyłbym się nią wobec tysięcy moich rodaków, a nawet wobec wielu cudzoziemców, którzy znają mnie osobiście. Skoro zaś ów człowiek w tej materii mego zewnętrznego wyglądu nakłamał tak bezwstydnie i bezczelnie, to możecie łatwo ocenić stopień jego prawdomówności w innych sprawach. Konieczność zmusiła mnie do opisanja mojej prezencji. O twoim, mój panie, wyglądzie - choć doniesiono mi, iż jest on lichszy i bardziej godny wzgardy, będąc wiernym zwierciadłem podłości twego charakteru i nikczemności twego serca - nic nie powiem; na pewno nikt nie pragnie, abym o nim opowiadał. Pragnąłbym jednak z taką samą łatwością odeprzeć to, co ów barbarzyński przeciwnik powiedział o mojej ślepotcie. Ale nie mogę tego odeprzeć - tu muszę poddać się cierpieniu. Jest coś gorszego od ślepoty - niezdolność do jej znoszenia. Dlaczegoż jednak nie miałbym znosić mężnie tej niedoli, do której każdy winien być przygotowany, gdyż pospolitą koleją rzeczy może się ona przydarzyć każdemu człowiekowi; i przytrafiała się ona, jak wiemy, wielu najznakomitszym i najszlachetniejszym postaciom historycznym. Czy mam wspominać owych pradawnych, mądrych pieśniarzy, którym bogowie - jak mówiono - wynagrodzili ślepotą wyższymi łaskami i których ludzie czcili tak bardzo, że woleli przypisywać ich niedolę raczej niesprawiedliwości niebios niż jakimś niedostatkom ich niewinności czy

cnoty. Wszyscy znają historię wieszczą Tyrezjasza. Tak go opiewa Apoloniusz w swych *Argonautykach*:

On przed oczyma ludzi odkrył boskiej woli
Tajne wyroki. Nie zląkł się gniewu Jowisza.
Bogowie wiek mu dali długi i bez skazy,
Lecz oczom jego słodkie odebrali światło.

Ale Bóg jest prawdą. Więc im gorliwiej i uczciwiej głosi się prawdę, tym bardziej człowiek upodabnia się do Boga i pozyskuje tym większą część Jego miłości. Nie możemy przypuścić, aby Bóg był zazdrosny o prawdę albo by sprzeciwiał się swobodnemu rozpowszechnianiu jej wśród ludzi. Więc utrata wzroku, która dotknęła owego natchnionego mędrca, co tak gorliwie rozszerzał wiedzę wśród ludzkości, nie może być traktowana jako kara za przestępstwo. Czy mam jeszcze wspominać owych bohaterów, którzy błyszczeli zarówno mądrością w swych gabinetach, jak i dzielnością na polu walki? Najpierw Tymoleon z Koryntu, który wyzwolił miasto ojczyste i całą Sycylię od niewolniczego jarzma; nie było odeń bardziej cnotliwego człowieka ani bardziej prawego męża stanu. Dalej - Apiusz Klaudiusz, którego roztropne rady wygłaszane w senacie, chociaż nie mogły przywrócić światła jego własnym oczom, jednak obroniły Italię przed straszliwymi najazdami Pyrrusa. Albo Cecyliusz Metellus, arcykapłan, który postradał wzrok, broniąc nie tylko miasta, ale samego Palladium, ostoi grodu, i najszacowniejszych relikwii, przed pożogą. Przy innych okazjach Opatrzność często okazywała, jak łaskawie sprzyja tak wielkim wyczynom w służbie ojczyzny i cnoty. To więc, co przydarzyło się owemu mężowi tak wielkiemu i tak szlachetnemu, trudno zaiste uznać za nieszczęście. Czy trzeba jeszcze wymieniać bohaterów z epok późniejszych, takich jak Dandolo, niezrównany doża Wenecji, albo Boemar Żiżka, najdzielniejszy z wodzów, czy wreszcie Hieronim Zanchius i niektórzy inni teologowie najwyższej próby? Wiemy też, że patriarcha Izaak, człowiek ponad wszystkich innych obdarzony łaską Boga, przez wiele lat był niewidomy, a być może to samo przytrafiło się jego synowi, Jakubowi, który również był przedmiotem boskiej łaskowości. Po cóż więcej przykładów? Czyż sam Zbawiciel nie oświadczył wyraźnie, iż ów biedny człowiek, któremu przywrócił wzrok, oślepnął był nie na skutek swoich grzechów albo grzechów swych przodków? A co się mnie tyczy, to chociaż dokładnie zbadałem swe postępowanie i głębiej swojej duszy, wzywam Cię, Boże, który znasz tajemnice serc, abyś dał świadectwo, iż nie poczuwam się do popełnienia - ani we wczesnych ani w późniejszych latach mego życia - jakiegokolwiek okropności, która mogłaby uzasadnić tak straszliwą karę”.

Jako sekretarz do języków obcych Milton popierał lorda protektora Cromwella, którego zwał „najpierwszym u nas mężem”, we wszystkich jego śmiałych poczynaniach, od brutalnej likwidacji Parlamentu Kadłubowego (epizod, kiedy to Cromwell wtargnął do Izby ze słowami: „Uprzątnijcie to świecidełko!”) aż po zgoła nieangielską próbę rządzenia Anglią za pomocą

terenowych generał-majorów. Gdy zmniejszyła się ilość wymaganej od niego pracy urzędowej, Milton miał czas na swą twórczość pisarską. John Phillips zanotował w roku 1686:

„Utrata wzroku nie zniechęciła go ani nie odebrała mu możliwości powrotu do dawnych planów spokojniejszej pracy, którą podjął przy pomocy sekretarzy. Miał też teraz więcej czasu, gdyż dzięki temu, że wyznaczono mu zastępcę, a nieraz przysyłało mu sprawy do domu, mógł nie uczęszczać do swego urzędu.

Teraz więc zasiadł do mozolnej pracy komponowania -w oparciu o wszystkich autorów klasycznych - zarówno prozaików jak i poetów - wielkiego słownika łacińskiego, mającego zastąpić wadliwy słownik Stephanusa. Pisał też *Raj utracony* oraz *System teologii* oparty na Biblii. I pomimo różnych klęsk, jakie spotykały go jeszcze w życiu, zdołał dokończyć wszystkie te dzieła, już po restauracji - a także *Historię brytyjską*, doprowadzoną do podboju normandzkiego, *Raj odzyskany*, tragedię *Samson Agonistes*, *Wstępną gramatykę logiki i przypadków*. Zaczął też pracę nad wielkim słownikiem greckim. Trudno znaleźć dziedzinę wiedzy, w której by nie położył znacznych zasług”.

John Phillips był dziennikarzem. Tuż przed restauracją przeistoczył się w rojalistę i określił Miltonowego *Eikonoklastesa* jako bluźnierczy paszkwil, chociaż przedtem gorąco bronił tej książki.

Oliver Cromwell zmarł w roku 1658. Następcą był jego łagodny syn Richard. W roku 1660 przyszła restauracja. Życie Milтона było wówczas zagrożone, ale chociaż przez pewien czas trzymano go pod strażą, jednak nie powieszono go i nie wypatroszono mu wnętrzności jak Hugh Petersowi i innym. Stracił tylko wszystkie pieniądze, które zainwestował w imprezy rządowe. Jonathan Richardson opowiada (1734), że Milton ocalał swe życie dzięki wstawiennictwu sir Williama Davenanta, beznosego poety-laureata, którego niegdyś - w roku 1651 - w podobny sposób uratował on od śmierci, kiedy Davenanta schwytano podczas podróży do Ameryki.

Richardson pisze dalej:

„Trzeba jednak pamiętać, iż przebaczenie, które uchroniło nam Milтона, jest zasługą Parlamentu, w którego ręce król oddał tę sprawę; posłowie mieli ją rozstrzygnąć, jak uważali za stosowne, chociaż z całą pewnością kierowali się w niejednym względzie sugestiami króla, okazując swą gorliwość i lojalność, tak wówczas modną. Król wyraził życzenie, aby amnestia rozciągnięta została na wszystkich, którzy nie przyłożyli ręki bezpośrednio do zamordowania jego ojca; życzenie to sformułował w swym przemówieniu w dniu 27 lipca. Ale zastrzeżenia królewskie bynajmniej nie były przestrzegane we wszystkich wypadkach. Ocalenie Milтона jest więc zasługą Parlamentu czy raczej legislatury. To naród udzielił mu przebaczenia, chociaż mało kto wówczas wiedział, jak szczerze odwdzięczy się on za tą łaskawość przez swoje przyszłe dzieła, zwłaszcza przez *Raj utracony*. Łaskawość owa - podkreślmy - jest tym bardziej godna uznania, że właśnie w owym roku, kiedy ważył się los Milтона, rozgorzała na nowo dawna kontrowersja. Właśnie wtedy ukazała się drukiem

wściekła odpowiedź Salmazjusza, niewykończona, gdyż umarł on przed rokiem podczas jej opracowywania. Ale Milton miał już taką pozycję i takie zasługi, że nie zachwiała nim owa złośliwa napaść.

Nie wykluczono więc Milтона od dobrodziejstw ogólnej amnestii: był teraz bezpieczny, a dwie jego najbardziej naganne książki zostały poświęcone zamiast niego. Niczego więcej nie mogli sobie życzyć jego przyjaciele. Powtórzę teraz, co pisze na ów temat biskup Burnefc «Milton z taką zuchwałością - choć jednocześnie z wielkim dowcipem i z wielką czystością wykwińskiego stylu - polemizował z Salmazjuszem i innymi w sprawie egzekucji króla i okazał tak żaarty gniew przeciw zmarłemu królowi i całej królewskiej rodzinie oraz w ogóle przeciwko monarchii, że zaiste byłoby dziwne, gdyby o nim zapomniano, i było to dowodem naprawdę niezwykłej łaskawości, iż mu przebaczone. Nie wyłączono go od dobrodziejstw amnestii. Wszedł więc ze swego ukrycia i żył jeszcze przez wiele lat, często odwiedzany przez cudzoziemców i bardzo podziwiany przez wszystkich rodaków. Wsławiły go bowiem poematy, które pisał pomimo utraty wzroku, zwłaszcza *Raj utracony*, dzieło szlachetnie pomyślane i wykonane; chociaż napisane jest ono białym wierszem, bez rymów, i obfituje w wiele nowych, chropawych słów, jednak uznane zostało za najpiękniejszy i najdoskonalszy poemat, jaki kiedykolwiek napisano, przynajmniej w naszym języku». Zacytowałem tu cały ów fragment, chociaż druga jego część dotyczy spraw, do których dopiero przejdę. Zaznaczę tylko jeszcze, że gdyby biskup znał dzieje sir Williama Davenanta, na pewno nie zdumiewałby się ocaleniem Milтона. Jakże wiele spraw wydaje się niewytłumaczalnymi tylko dlatego, że nie znamy ich wytłumaczenia. Nawet najmądrzejsi ludzie popełniają taki błąd niemal w każdym dniu swego życia.

Uzyskawszy przebaczenie, Milton znowu pokazywał się wśród ludzi i niebawem ożenił się po raz trzeci. Był teraz niewidomy i schorowany; miał 52 lata. W dalszych latach swego życia kilkakrotnie zmieniał mieszkanie. Jedno z nich było przy Jewen Street. Tam przebywał w roku 1662, a około roku 1670 ktoś z jego ówczesnych znajomych powiedział mi, że poeta mieszka od pewnego czasu w domu Millingtona, niegdyś sławnego licytatora, który wówczas sprzedawał stare książki w Little Britain i zawsze prowadził Milтона za rękę, gdy ten wychodził na przechadzkę. Potem miał mały domek w pobliżu Bunhill Fields, gdzie też zmarł, około czternaście lat po wycofaniu się z życia publicznego. O innym jeszcze mieszkaniu wspomina Elwood w swej *Autobiografii*, pisząc, iż Milton «wynajął sobie ładny domek w Giles-Chalfont (w Buckinghamshire), aby zabezpieczyć siebie i swoją rodzinę, gdy w Londynie szalała zaraza».

Zajmował się teraz pisaniem i wydawaniem swych dzieł, zwłaszcza *Raju utraconego*, a potem *Raju odzyskanego* i *Samsona Agonistesa*. Ostatnie z tych dzieł jest godne jego drugiego - nie powstydzilby się żaden z poetów świata. Jeśli jednak jest prawdą, że on sam najbardziej cenił właśnie ten drugi utwór - to cóż mamy na to rzec?...

Szczęściem to było dla niego, że miał tak subtelną rozrywkę i że umysł jego wypełniały najbogatsze i najwznioślejsze myśli. Bo oprócz niedoli spowodowanych odmianą czasów, będącą wbrew jego myśli, i osobistymi nieszczęściami (a zapewne także niedostatkiem i troską o rodzinę) jeszcze nieustannie musiał się trwożyć, że zostanie zamordowany. Chociaż uniknął wyroku prawa, jednak wiedział dobrze, jak wielu uczynił sobie wrogów. Tak był przygnębiony, iż nieraz całą noc leżał bezsennie. Schodził ludziom z drogi, jak tylko mógł. Opowiada o tym dr Tancred Robinson na podstawie relacji krewnego Milтона, pana Walkera, prawnika. Tak zaś mówi poeta sam o sobie:

*Choć mnie przygniotły złe dni i oszczerstwa
I wśród ciemności żyję, w gąszczu grozy,
Wśród samotności...*

Smutna jego sytuacja w owym czasie opisana została przez któregoś z jego wrogów na pustej stronie przed kartą tytułową *Odpowiedzi na Eikon Basilike*; odnalazł tę notatkę mój syn: Na Johna Milтона, który nie poniósł kary za swą zdradziecką książkę, gdy skazywano członków królobójczego sądu w roku 1660.

*Że uniknąłeś zemsty, która doścignęła
Królobójców i własną twą książkę, Miltonie,
To była niezmierna łaskawość Karola.
Lecz jeszcze gorzej teraz upadłeś: ubogi,
Stary, ślepy, dla chleba piszesz.
Salmazjusza Chętnie byś z grobu dźwignął,
byle znaleźć temat*

Gdyby autor tego wiersza wiedział o owych trwogach poety, które wspomniałem wyżej, chętnie dodałby je do listy - jako największe ze wszystkich nieszczęść. Ale czy można zwać nieszczęśliwym człowieka, który potrafił napisać *Raj utracony*?...: Wiadomo, że cierpiał na bóle głowy, podagrę, ślepotę; i chociaż był szlachcicem i posiadał dostatecznie wiele jak na filozofa, jednak nie nosił się wystawnie ani nie opływał w dostatki; nieraz może był nawet w trudnej sytuacji finansowej, na czym cierpiała jego rodzina, a zwłaszcza on, z tego właśnie powodu. Doświadczył zresztą jeszcze innych kłopotów rodzinnych; szczególnie bolesna była dlań pogardliwa zuchwałość, z jaką odnosiła się do niego umiłowana żona^[52]; taki stosunek trwał przez kilka lat, tak że Milton nie mógł wówczas poznać, czym jest szczęście małżeńskie. Wiele z najlepszych lat jego życia zeszło na szamotaniu się, na odbieraniu i parowaniu ataków, oskarżeń i szyderstw.

[52] Marie; nie Katherine ani Elizabeth. (R.G.)

Chociaż zręcznie władał orężem dysputy, bardzo nie lubił używania swoich talentów do takich celów. Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo człowiek, który w swych latach chłopięcych przyzwyczajony był do pochwał i zawsze gorliwie starał się o zaszczynek i miłość, musiał cierpieć, kiedy zwały się nań oszczerstwa i nienawiść ze strony wielkiej części ludzkości, nawet ze strony wielu takich ludzi, od których słusznie mógł oczekiwać i domagać się czegoś wręcz przeciwnego.

Przed wieloma laty opowiadano mi, iż lubił on siadać, odziany w płaszcz z szarego sukna, na progu swego domu koło Bunhill Fields, za Moorgate, kiedy przygrzewało słońce, i wdychać świeże powietrze; tam również, tak samo jak w swojej komnacie, przyjmował odwiedziny ludzi znakomych i wybitnych. A ostatnio powiadał mi o życiu codziennym poety pewien duchowny z Dorsetshire, starszy człowiek, dr Wright. Zastał go niegdyś w małym mieszkaniu (dr Wright sądzi, że był to tylko jeden pokój na piętrze). Wszedłszy przez klatkę schodową obwieszoną zielonym suknem, ujrzał Johna Milтона siedzącego w fotelu. Ubrany był na czarno, dosyć schludnie. Twarz miał bladą, ale bez trupiej siności, palce powykręcane podagrą. W trakcie rozmowy Milton powiedział między innymi, że gdyby tylko ustały bóle podagry, mógłby znosić swą ślepotę.

Bardzo kochał muzykę i dobrze się na niej rozumiał. Powiadają, że komponował, ale żadna z jego kompozycji nie przetrwała. Często sobie grał dla rozrywki - podobno dobrze grał na harmonium i na wioli. Gdy był już ślepy, to muzykowanie przynosiło mu wielką ulgę.

Co się tyczy zamiłowania do muzyki i wpływu, jaki muzyka wywierała na jego duszę, pamiętam epizod opowiedziany przez pewnego dawnego przyjaciela, który często i chętnie mówił o Miltonie. Słyszac kiedyś pięknie śpiewającą kobietę, poeta rzekł: «Przysięgnę, że dama ta jest urodziwa». Uszy zastępowały mu teraz oczy.

Raj utracony jest epickim odpowiednikiem sztuki *Adam wygnany z Raju*. Gdy opublikował ten poemat w roku 1667, otrzymał od Simonsa (syna wydawcy z Aldersgate Street) 5 funtów za każdy nakład w wysokości 1300 egzemplarzy; sprzedawano po trzy szylingi egzemplarz. Było to - jak na poemat epicki, pisany niemodnym białym wierszem - dobre honorarium, zważywszy, że funt był wówczas prawie pięć razy więcej wart niż dziś. Drugie pięć funtów zapłacono mu w 1669 roku.

Edward Phillips pisze o córkach Marie: „Z trzeciej swojej żony Elizabeth, córki niejakiego pana Minshy z Cheshire (i krewnej dra Pageta), która go przeżyła i ponoć jeszcze żyje, nie miał żadnych dzieci. Dziećmi, które miał z pierwszej żony posługiwał się w dziedzinie, gdzie najbardziej potrzebował pomocy: zastępowały mu one wzrok swymi oczyma i językiem. Wprawdzie codziennie miał on pod ręką kogoś, kto chciał mu czytać, choćby służących,

którzy chętnie stawali się jego lektorami, aby zarówno skorzystać z tego, co czytali, jak zaskarbić sobie jego wdzięczność; rodzice posyłali do niego młodych chłopców; on jednak wyłączał od czytania tylko najstarszą swą córkę z powodu jej kalectwa i trudnej wymowy (prawdę mówiąc, sądzę, iż to ostatnie było główną przyczyną, że nie korzystał z jej pomocy). Dwie młodsze musiały odczytywać i dokładnie wymawiać teksty z książek we wszelkich językach: hebrajskim i, jak myślę, syryjskim, greckim, łacińskim, włoskim, hiszpańskim i francuskim. Gdy musiały czytać wszystkie te książki, nie rozumiejąc z nich ani słowa, była to próba cierpliwości niemal nie do wytrzymania. Jednak obie znosiły ją przez długi czas. Ale uciążliwość tego zatrudnienia nie zawsze dała się ukryć i coraz częściej wybuchały skargami, tak że w końcu posłał wszystkie (również najstarszą) na naukę kunsztownych rękodzieł odpowiednich dla kobiet, zwłaszcza wyszywania złotem i srebrem. Byłoby prawdziwym szczęściem, gdyby córki takiego człowieka mogły w jakimś stopniu odziedziczyć jego uczoność, ale ponieważ los zrzucił inaczej, największy honor, jaki można przypisać tej, która jeszcze żyje (jak i innym, gdyby żyły), to ten, że jest córką tak nadzwyczajnego człowieka.

...Umarł w roku 1673^[53] pod koniec lata i miał przystojny pogrzeb odpowiedni dla jego godności w kościele Św. Idziego koło Cripplegate. Od domu do kościoła szło w kondukcje paru dżentelmenów znanych wówczas w mieście, będących jego głównymi przyjaciółmi i wielbicielami.

W chwili śmierci zostawił pono 1500 funtów w gotówce (była to znaczna suma) oprócz nieruchomości. W ciągu swego życia doznał takich strat finansowych, które na pewno złamałyby każdego człowieka mniej oszczędnego i umiarkowanego niż on; nie mniej niż 2000 funtów, które złożył na procent w urzędzie akcyzowym, ale zapomniawszy podjąć je w odpowiednim czasie, już nigdy nie mógł ich wydobyć, pomimo tego, że popierały go znakomite osobistości owych czasów; poza tym stracił jeszcze inną wielką sumę z powodu niezręczności i braku dobrej rady”.

Swoją najcenniejszą posiadłość, dom „Pod Rozpostartym Orłem” przy Bread Street, gdzie się urodził, Milton stracił podczas wielkiego pożaru w 1666 roku.

W późnym okresie swego życia zdobył niezwykłą sławę dzięki poezji. Chwalcami jego byli zwłaszcza John Dryden, poeta-laureat (któremu Milton pozwolił przerobić *Raj utracony* na rymowaną operę) i Andrew Marvell, który czcił go jako nowego Tyrezjasza. Opinia ich przeważała krytyczne zdanie Edmunda Wallera, który był kolegą Milтона w Cambridge: „Stary, ślepy bakałarz opublikował nudny poemat o upadku człowieka. Jeśli jego długości nie uzna się za zaletę, to nie ma on żadnych innych zalet”.

[53] Raczej w r. 1674. (R.G.)

Za panowania Karola II Milton był uważany za główny autorytet w sprawach rozwodów. Ważne osobistości zaciągały u niego rady co do ustawy rozwodowej lorda Roosa, którą sam król popierał w Parlamencie, ponieważ chciał się rozwieść ze swą żoną, która była bezpłodna.

Milton zostawił ustny testament, w którym rzekł:

„Posag należny mi od pana Powella, ojca mojej pierwszej żony, zostawiam niewdzięcznym dzieciom, które miałem z niej; nie otrzymałem żadnej części tych pieniędzy, więc postanawiam, aby oprócz owego obiecanego działu i tego, co już uczyniłem dla nich, nie miały one żadnego innego dobytku, gdyż nie wypełniają swoich obowiązków wobec mnie. Całą resztę dobytku zostawiam do dyspozycji mojej żony Elizabeth”.

Testament ten został odrzucony przez trybunał odwoławczy w Canterbury, kiedy córki wytoczyły sprawę przeciwko wdowie.

Przyznano im wtedy jedną trzecią majątku do podziału, a wdowa otrzymała pozostałe dwie trzecie. Jasne było dla trybunału, że posag jest niemożliwy do odzyskania. Podczas procesu Elizabeth Fisher, służąca, świadczyła, że kiedy powiedziała do Mary Milton (owej córki, która tak bardzo była podobna do swej matki), że Milton ożeni się znowu, ta odpowiedziała: „To nie nowina słyszeć o jego zaślubinach, natomiast gdyby tak dowiedzieć się o jego śmierci, to byłoby coś”. Ujawniło się także na procesie, że córki, aby zdobyć pieniądze na swoje wydatki, po kryjomu sprzedawały książki z biblioteki Milтона wędrownemu handlarzowi.

Wdowa, która miała piękne złote włosy, i była zaledwie dwudziestoczteroletnia, kiedy poślubiła Milтона w roku 1663, spłaciła córki tanio - po sto funtów każdą. Dzięki temu Ann (kaleka) uzyskała męża, „mistrza budowlanego”; ale niedługo potem umarła przy porodzie. Debora już przedtem poślubiła Abrahama Clarke’a, tkacza z Dublinu. Miała dzieci i wnuki, które wyemigrowały do Madras; ale potem linia Milтона tam wygasła. Mary nie wyszła za mąż i już nie żyła w roku 1682, kiedy umarła jej babka, Ann Powell, mająca dobytku 343 funty; zostawiła ona po 10 funtów dla Debory i Ann. Natomiast siostry Marie wszystkie wyszły za mąż. Pani Powell zostawiła po 50 funtów każdej:

„Annę Kinaston, żona Thomasa Kinastona z Londynu, kupca.

Sarah (Zara) Pearson, żona Richarda Pearsona, szlachcica.

Elizabeth (Bess) Howell, żona Thomasa Howella, szlachcica.

Elizabeth (Betty) Holloway, żona Christmаса Hollowaya, szlachcica”.

Nie ma jednak żadnego legatu dla któregokolwiek z braci z wyjątkiem Richarda, któremu testament anulował dług 180 funtów, jakie był jej winny. Można się domyślać, że inni już nie żyli; jedni mogli polec w wojnach prowadzonych przez republikę, innych może zabiła wielka zaraza 1665 roku Richard był dobrze prosperującym prawnikiem, jednym z lektorów w Inner Tempie, a podczas restauracji zdołał otrzymać nowe potwierdzenie testamentu ojca i odebrał od Pye’ów dwór i ziemię w Forest Hill. Dwór zburzono około

1850 roku. Ale kościół Św. Mikołaja jeszcze stoi i wiktoriańscy restauratorzy nie zniszczyli go całkowicie.

Lady Cary Gardiner po raz drugi wyszła za mąż szczęśliwie za Johna Stewkely. Przeżyła swą rówieśniczkę, Marie, o 52 lata i umarła w Islington w roku 1704 bardzo opłakiwana. Robert Pory w roku restauracji był jednym z prebendaruszy kościoła Św. Pawła, Christopher Milton przyjął wyznanie rzymskokatolickie, uzyskał stopień szlachecki w roku 1686 i stał się głównym sędzią spraw ordynaryjnych. Jego linia potem wygasła. Wielebny Lukę Proctor był proboszczem w Forest Hill aż do roku 1663, kiedy przyszedł na jego miejsce niejaki Foster.

Kręta twa Richarda Powella, seniora, wyszły na jaw w parę lat po śmierci Marie, w procesie, jaki odbył się w Oksfordzie przed sądem kanclerskim. Przeciwko kolegium Ali Souls wytoczono oskarżenie, że pozwoliło ono na to, aby grunta w Wheatley, wydierżawione Richardowi Powellowi, były oszukańczo zastawione panom Batemanowi i Hearnowi, a potem Edwardowi Powellowi. Wyrok uniewinnił kolegium i głosił:

„Dzierżawca Richard Powell świadomie się łudził, że zdoła oszukać sir Edwarda Powella... Ale oszustwo jest zbrodnią, a ciało bez duszy (choć to jest Ali Souls) nie może być winne zbrodni ani zmuszone do zapłacenia odszkodowania czy też w jakikolwiek inny sposób ukarane. Można by więc wytoczyć sprawę tylko przeciwko jakimś fizycznym osobom tego ciała; ale do tego, żeby obciążać ich jako osobę prawną, nie ma podstaw”.